

Jeszcze nie zginęła

2010

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2010

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.

www.fabryka.pl

e-mail: biuro@fabryka.pl

ISBN 978-83-7574-178-0

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Rafał Dębski

Rocznik '69, autor kilkudziesięciu opowiadań i dziesięciu powieści, w tym czterech wpisujących się w nurt literatury fantastycznej.

Z wykształcenia i wykonywanego zawodu psycholog, pracuje w gimnazjum, zmagając się ze skutkami lekkomyślnej reformy oświaty. Poza pisaniem jego wielką pasją jest historia, którą traktuje jednak nie jako suchą naukę o wydarzeniach, ale woli dostrzegać w jej krzywym zwierciadle ludzi – ich postawy, emocje, motywacje.

W życiu chciałby osiągnąć wiele. Bardzo wiele. Ale przede wszystkim żyć tak, aby nie żałować... No, ogólnie nie żałować niczego. Jest również – o zgrozo – genetycznym leniem. Może właśnie dlatego bardzo dużo pracuje – żeby mieć jak najszybciej z głowy to, co tak czy inaczej musi wykonać. I – jak to często się dzieje w przypadku ludzi naprawdę leniwych – robota bardzo go kocha i zawsze potrafi odnaleźć. Czy raczej należałoby powiedzieć – dopaść.

Może właśnie dlatego został redaktorem naczelnym „Science Fiction, Fantasy i Horror”.

**Rafał
Dębski**

**Początek
lasu**

Nienawidziłem tego wszystkiego. Kurwa mać, jak ja nienawidziłem tego kraju, tych ludzi, tej całej bieraniny! A najbardziej ze wszystkiego nie cierpiałem brać udziału w obławach. Żołnierz powinien albo siedzieć i grzać dupę w koszarach, albo oddawać życie za ojczyznę w okopie na froncie, w ataku przez pole minowe, w walce na bagnety, pod ciężkim ostrzałem wreszcie. Z sensem. A siedzenie w lesie i czekanie, z której strony padnie strzał, nie jest zajęciem godnym munduru. W dodatku dumnego munduru grenadiera. Wolałbym już chyba, żeby wysłali mnie na front wschodni. Tam przynajmniej służyłbym tak, jak mnie do tego przygotowywano – patrząc wrogowi w oczy, a jeśli już zwalczając partyzantów, to tylko przy okazji innych działań. Chociaż czy ja wiem? Tak mi się zdawało wtedy, kiedy stałem na straży obozu w lasach pod Wąchockiem. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jakim koszmarem był tak naprawdę wyjazd do Rosji. Jednak dzisiaj, kiedy na to patrzę, chyba jednak lepiej by było zostać wsadzonym do eszelonu i przetransportowanym na jakiś front, nawet pod Moskwę czy Leningrad. Dla grenadiera zawsze znajdzie się odpowiedniejsze zajęcie niż straszenie okolicznych chłopków.

Stwierdziłem, że najbardziej nie cierpiałem obław? Żle. Największą odrazę czułem do tych przeklętych bandytów kryjących się po lasach i kłajających kostki niemieckiego olbrzyma. Po jaką nagłą cholere z nami wojowali? Siedzieliby cicho po chałupach, a najlepiej pojechali dobrowolnie na jakieś roboty do Reichu czy Austrii, włos by im z głowy nie spadł. Ale nie, oni musieli do nas strzelać, musieli batożyć wykonujących swoją pracę zarządców, zabierać pieniądze treuhandrom, rozbijać więzienia, wysadzać pociągi, na wszelkie sposoby przeszkadzać w prowadzeniu wojny. W dodatku byli święcie przekonani, że ich mizerny opór stanowi jakiś problem dla wielkiej Rzeszy. Stanowił, owszem, lecz nie dla kraju, ale dla mnie i moich towarzyszy.

– Heini! – usłyszałem nagle za plecami. Odwróciłem się, kładąc automatycznie palec na spuście szmajsera. To był Lutke, najlepszy tropiciel w oddziale, a podobno nawet w całym pułku. On jeden czuł się w lesie jak w domu. Na widok mojej miny zaśmiał się. – Coś taki wystraszony, chłopie? Musisz być czujniejszy. Tutejsi umieją chodzić w gęstwinie lepiej nawet ode mnie.

– Masz szczęście, że do ciebie nie wygarnąłem, idioto!

– Narobiłem tyle hałasu, że powinieneś mnie usłyszeć już dawno. Tak to jest, jak się na warcie myśli o dupach zamiast o służbie.

– Idź w cholere, Lutke.

Odszedł, zanosząc się tubalnym śmiechem. Na pewno opowie chłopakom, jak to mnie

zrobił w konia. Wieczorem przy ognisku nie opędzę się od kpin. Lutkego też nie lubiłem. Może nie był złym kompanem, ale lubił odgrywać błazna, a poza tym miał paskudny bawarski akcent, od którego bolały mnie zęby Literalnie. No i to jego znakomite samopoczucie w przeklętej głuszy mocno działało na nerwy, zresztą nie tylko mnie. Inna rzecz, że parę razy uratował nas od pułapek pozostawionych przez bandytów. Dosłownie wyczuwał niebezpieczeństwo. Z jednej strony wszyscy zazdrościliśmy mu i podziwialiśmy te umiejętności, ale z drugiej – przynajmniej we mnie – budził nieufność. Może dlatego, że potrafił wyrwać się z każdej trudnej sytuacji, czasem wracał z patrolu zupełnie sam, a oddział grabarzy jechał zbierać trupy mniej sprytnych żołnierzy. Nie wiedziałem nawet, jak miał na imię, bo wszyscy zwracali się do niego tylko i wyłącznie „Lutke”, a dowódcy nie wymieniali nawet jego stopnia w mniej oficjalnych sytuacjach.

Zluzował mnie Johann, ponury typ z Tyrolu. Miał bodaj jeszcze gorszy akcent od Lutkego, ale przynajmniej tyle nie gadał. Kiedy dotarłem do ogniska z menażką pełną kapuśniaku, tropiciel był w trakcie opowieści.

– To były delikcje, mówię wam! Ta głupia dziewczucha, zamiast stanąć i zacząć drzeć gębę, co by nas pewnie zniechęciło, bo teren był zagrożony przez bandy, rzuciła się do ucieczki...

– O czym on mówi? – Trąciłem Josefa, który swoim zwyczajem żuł prymkę tytoniu, spluwając gęsto co jakiś czas.

– Dopadli na patrolu jakąś dziewczuchę, chyba od bandytów – wymamrotał cokolwiek niewyraźnie, przekładając kawałek tytoniu z jednej strony gęby do drugiej. – Pewnie łączniczka.

– I gdzie jest? Przyprawdzili ją?

– Słuchaj, to może się dowiesz.

Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że Lutke przerwał opowieść, a wszyscy patrzą na mnie z potępieniem. Wziąłem się więc do jedzenia, a tropiciel podjął:

– Gunter z Jurgenem pobiegli bokami, żeby nie skoczyła w jakieś krzaczory, a ja popędziłem prościutko za nią. Dopadłem ją na takiej małej polance. Słoneczko świeciło, drzewka szumiały, a ona jęczała. Nawet nie próbowała krzyczeć ani specjalnie się wyrwać. Chłopaki trzymali ją za nogi. Ale suce dogodziłem – zaśmiał się oblesnie, a mnie zupa utknęła w gardle. – Potem oni też się spuścili jak należy, wzięliśmy tę Polaczkę i do obozu. Ale też był z niej kawał ścierwa. Wyobraźcie sobie, związane miała ręce, tyle że nie na plecach, a z przodu, żeby sobie ryja nie stłukła o korzenie, w razie jakby się potknęła, boby gadać nie mogła. To w pewnej chwili wyrwała bagnet Jurgenowi. Wiecie, że to flejtuch, zapięcie miał zepsute, więc żelazo wylazło łatwo. A ta kurwa na naszych oczach flaki sobie wyprała. Było na co popatrzeć. Jak próbowałem zabrać nóż, to mnie jeszcze o, ugryzła. – Podwinął rękaw, z idiotyczną dumą pokazując ślady zębów na przedramieniu. – Jurgen za brak dbałości o wyposażenie i narażenie Rzeszy Niemieckiej na stratę cennego jeńca dostał nocne dyżury w kuchni. Będzie miał dość obierania kartofli na całe życie!

Odechciało mi się jeść. Inni rechotali, dogadywali, a ja myślałem o mojej Marii i o tym, co bym zrobił komuś, kto by ją śmiał tknąć.

– Patrzcie – zaśmiał się Josef, wskazując mnie grubym paluchem. – Nasz Romeo jaki się zrobił blady! Myślałby kto, że taki wrażliwy! A jak paliliśmy tę wiochę bandycką, jak jej tam... Michniów, to pierwszy był do podkładania ognia! Pamiętacie? Ze dwieście polskich świń wtedy usmażyliśmy, a jemu nawet brew nie drgnęła. Co ci się stało, chłopie?

– Odwal się, durniu – burknąłem. – Nigdy ci się nie chciało rzygać? Coś chyba było nie tak z tą zupą.

Wzruszył ramionami, odwrócił się i zaczął wypytywać Lutkego o szczegóły. Nie bardzo wiedziałem dlaczego, ale opowieść tropiciela – przecież jedna z wielu podobnych – wywarła na mnie wyjątkowo przygnębiające wrażenie. A przecież, jak powiedział Tyrolczyk, brałem udział w różnych akcjach. Sam zaliczyłem parę miejscowych kobiet, nie zawsze może wbrew ich woli, ale zasadniczo musiałem najpierw trochę powalczyć. A tutaj coś mnie wzięło. Ciemniejące nad lasem niebo, na którego tle ostro odcinały się korony drzew, nagle wydało mi się obce i groźne.

– W zasadzie nie rozumiem, po co siedzimy już drugi dzień i wybieramy z tyłków igliwie, zamiast zrobić swoje i do koszar?

– Stary czeka ponoć jeszcze na jakieś wsparcie – odparł zawsze najlepiej poinformowany Michael. – Chyba obawiają się pójść na tego całego Ponurego bez jednostek ss.

– Nie podoba mi się to – odezwał się Josef. – Powinniśmy iść z obławą od razu. W końcu po coś przytargaliśmy ze sobą te pancerki.

– Naprawdę masz taką ochotę włączyć na teren bandytów? – zmrużył oczy Lutke. – Ostatnio narzekaleś, że pchamy się gdzie nie trzeba.

– A bo nudno jak w pieprzonym grobie! Ty chociaż pętasz się po okolicy, dupy obracasz, a my co?

– A wy gówno – huknął radośnie tropiciel. – Nie umiecie łązić po lesie, to nie zazdroście.

Przez cały wieczór byłem przygnębiony, myślałem o ukochanej i czułem narastającą tęsknotę. Pojechałbym teraz na przepustkę do Lipska, wyparzył się w łaźni, kupił tuzin róż i poszedł do niej. Nie spotkałem nigdy przedtem kobiety, która potrafiłaby dać mężczyźnie tyle co ona. Była prawdziwym wulkanem namiętności, tak inna, tak odmienna od dziewczyn w burdelach o twarzach okraszonych fałszywą radością, jęczących mechanicznie, wpatrzonych smętnym wzrokiem w sufit, kiedy mężczyzna się zaspokajał. Od chwili kiedy przyłapałem na tym pewną panienkę, przestałem odwiedzać puff. Wolałem już dopaść jakąś dziewczuchę. Nawet jeśli broniła się rozpaczliwie i była sucha jak pustynia, ujawniała przynajmniej jakieś autentyczne uczucia.

Miałem nadzieję, że Maria przyśni mi się tej nocy, lecz spotkał mnie zawód. Całą noc gonilem za czymś nieuchwytnym, groźnym i zarazem niesłychanie godnym pożądania. We

śnie wiedziałem, co to jest, ale po przebudzeniu natychmiast wyleciało mi to z głowy, pozostało tylko ulotne doznanie obcowania z tajemnicą.

* * *

Obudziłem się ze sztywnym karkiem, łeb bolał mnie niemiłosiernie. Nic dziwnego, skoro leżałem na jakimś pieprzonym korzeniu, gdyż zrolowany płaszcz wysunął mi się spod głowy. Za to też nienawidziłem tego kraju i tego lasu w szczególności. Nawet koszary pod Kielcami były jakieś obce i nieprzyjazne, chociaż urządzone dokładnie wedle naszych najlepszych niemieckich wzorców.

Świtało dopiero. Przyciągnąłem płaszcz, odwróciłem się na bok. Może jeszcze pośpię, a ból jakoś przejdzie.

– Ożeż kurwa! – doleciał mnie przerażony głos. – O kurwa mać!

Poderwałem się. Takie bluzgi o poranku nie były może czymś nadzwyczajnym, ale w wołaniu brzmiały tony histeryczne tak niepokojące, że postawiłyby na nogi nawet nieboszczyka. Po kilkunastu sekundach kłamię się już w duchu za to porównanie.

Krzyczącym okazał się obergefreiter Kuntze. Stał nieruchomy jak posąg, a z jego ust nieprzerwanym strumieniem płynęły najgorsze znane żołnierzom przekleństwa. Nie oszczędzał nikogo – ani Boga, ani diabła, ani nawet Najświętszej Panienki. Miał wybałuszone ze zgrozy oczy, wpatrywał się w coś pod swoimi nogami. Dopadłem do niego w paru susach, nie byłem pierwszy, kilku chłopaków już dobiegało popatrzeć, o co chodzi. Kuntze kłął jak natchniony, a ja w osłupieniu patrzyłem na to, co wprawilo go w tak wielkie wzburzenie. Tak... Jednak ten głos nie był w stanie zbudzić trupów, przynajmniej tych leżących na ziemi. Trzy ciała. Wszystkie zakrwawione, o oczach zastygłych w przerażeniu. Sporo widziałem już w życiu krwi, sporo nawąchałem się trupich wzywów, i tych świeżych, i takich dobrze już nadgniłych, ale ten widok o poranku sprawił, że musiałem się odwrócić i rzygnąć. Każdy trup miał rozerwane gardło. Ale nie tak zwyczajnie rozerwane. Wyglądało, jakby ktoś wgryzł im się w szyję wielkimi, tygrysimi zębami, przez postrzępioną skórę mogłem dostrzec kręgi szyjne.

– Co się dzieje? – Hauptmann Siegfried Maier biegł ku nam, dopinając pas.

Kuntze przerwał obrazoburczą litanię bluzgów, wskazał ciała. Oficer stanął obok mnie, spojrzał, a potem zwymiotował mi na buty. Nie zwróciłem na to uwagi.

– Kto to jest?

Obergefreiter przełknął ślinę, a potem wychrypiał:

– Günter Hahn, Andreas Wenke i Lutke...

– To ta suka! – rozległo się przerażone wycie. – To ta dziwka!

Spojrzałem w bok. Nad ciałami stanął Jurgen. Miał podkrążone oczy i pociemniałe palce. No tak, przecież dostał karniaka w kuchni, całą noc bawił się z mięchem i warzywami. Nic

przyjemnego.

– Jaka suka? – Hauptmann Maier wytarł usta śnieżnobiałą chusteczką, rzucił ją z obrzydzeniem na trawę.

– Ta, cośmy ją wczoraj zwyobracali! – wrzasnął Jurgen. – Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie będzie! Nie będzie!!!

Oficer bez słowa strzelił go w pysk. Przerażony żołnierz zatchnął się, poczerwieniał i znów otworzył usta do krzyku. Wtedy Maier rąbnął go pięścią w zęby. Z rozbitych warg pocięła krew.

– Mów, o co chodzi, ale jak należy!

– To była wiedźma! – wybełkotał Jurgen. – Wiedziałem, że to złe nasienie, jak tylko jej wsadziłem kutasa! Jakbym zanurzył go we wrzącym oleju! A zaraz potem było mi tak dobrze, że mało nie skończyłem. To nienormalne. Nienormalne!

Jego głos znów zaczął się niebezpiecznie wznosić.

– Bzdura! – ryknął hauptmann. – Nie pieprz, feldfebel!

– To była jakaś wampirzyca! – żołnierz nie dał się uciszyć. – Kurwa, co to za kraj? Nawet upiory są przeciwko nam!

Kolejny cios posłał go na ziemię, ale nieszczęśnik wydzierał się nadal:

– Nawet upiory są przeciwko nam, słyszycie?! Wypierdalajmy z tego lasu i z tego kraju! Wypierdalajmy jak najszybciej!

Ucichł, dopiero kiedy Maier kopnął go z całej siły w głowę.

– Zabierać ich wszystkich i do łapiduchów do Starachowic! Niech ich tam obejrzą.

A potem schylił się, podniósł kawałek materiału leżący na piersi Lutkego. Przysięgnąłbym, że był to skrawek przypominający kwiecistą tkaninę lekkiej sukienki.

* * *

Nie wiem, co tam dokładnie stwierdzili lekarze. Zasadniczo dowódcy niechętnie dzielą się wiedzą z podwładnymi, a w tym przypadku, zdaje się, chcieli zachować jak najdalej idącą dyskrecję. W każdym razie trupy pochowano bez zwyczajnej wojskowej pompy, na cmentarzu w Kielcach. Ludzie szeptali, że Jurgen miał szczęście z tym dyżurem w kuchni, bo dzięki niemu uniknął śmierci. Chociaż było to zabronione, sporo mówiło się o tych wydarzeniach. Nie da się zatkać ludziom zupełnie gęby, nawet w wojsku. Na to nie poradzi żadna władza ani groźba wysłania do karnej kompanii, ani stanięcia przed plutonem egzekucyjnym. Oficjalna wersja była taka, że bandyci podstępnie zarżnęli naszych kolegów. Ja tam nie wiem, czy Jurgen mógł mówić o szczęściu. Może nie zginął, ale oszalał na pewno. Kiedy odwozili go furmanką, związanego w kij, przez mgnienie oka widziałem twarz biedaka. Gdybym nie wiedział, kim jest, uznałbym, iż to jakiś biedny staruszek, któremu pomieszało się w głowie.

W każdym razie poszliśmy z obławą, nie czekając już na posiłki. Dowództwo musiało jakoś pokazać, że wersja o zabiciu żołnierzy przez partyzantów jest słuszna.

Oczywiście skończyło się jak zwykle. Zupełnie jakbyśmy chwyтали dym albo próbowali siecią zagarnąć wiatr. Czynności takie są jednocześnie bezsensowne i niezmiernie męczące. Wiadomo przecież, że kiedy tylko opuścimy las, bandyci wrócą na swoje leża i bez trudu odbudują to, co zostało zniszczone. Zresztą co tam niby było do niszczenia, szałas i ziemianki? W dodatku duch wśród ludzi panował nieszczególny. Bali się. Trupy przekazano lekarzom, Jurgena wywieziono, ale strach pozostał. Chodziliśmy wszędzie dwójkami albo nawet trójkami, nikt nie oddalał się od oddziału. Odetchnęliśmy dopiero na postoju w Skarżysku, w tej miejscowości, której polskiej nazwy nikt z nas, poza Ślązakami, nie potrafił wymówić nawet z grubsza poprawnie. Pogański kraj. Przeklęty.

* * *

To była chwila, w której o mały włos byłbym popuścił w spodnie. I chyba nawet coś tam popuściłem. Nie powiem, zdarzyło mi się coś podobnego w trzydziestym dziewiątym, kiedy na nasze stanowisko ogniowe szła szarża kawalerii, ale w boju to coś zupełnie naturalnego. Tylko ktoś, na kogo kiedykolwiek w życiu waliła ława kilkuset koni, jest w stanie to zrozumieć. Nawet atak brygady pancерnej nie robi takiego wrażenia jak tętent kopyt, wrzask bojowy odważnych do szaleństwa jeźdźców i błysk szabel.

Tym razem jednak słabość dopadła mnie we względnej ciszy, towarzyszyły jej tylko ciężkie, nienawistne spojrzenia uzbrojonych po zęby ludzi. I zapach krwi.

Zostałem przydzielony do eskorty pracownika SD, a dokładniej mówiąc, gestapowca, który miał dotrzeć do Krakowa. Trasa kielecka w dzień nie była zbyt zagrożona, więc Frischke zadowolili się ochroną złożoną z dwóch grenadierów w samochodzie i motocykla ze szpandauem jako zabezpieczeniem. Mieliśmy jednak pecha. Ten mój podopieczny to była płotka, nikt specjalnie ważny. Tyle tylko, że znany był ze zdecydowanych metod przesłuchań, Polacy go nienawidzili. Trafiliśmy chyba na jakąś większą akcję zbrojnego podziemia. Czaili się nie na nas konkretnie, ale oberwaliśmy niejako rykoszetem. Tak przynajmniej myślałem na początku.

Najpierw zobaczyłem, jak w błysku detonacji motocykl z przodu wyskakuje nad drogę. Widziałem kierowcę, który zwinął się w powietrzu, wypadając z rozpiętego skórzanego płaszcza, jeszcze przed chwilą efektownie powiewającego na wietrze. Strzelec miał więcej szczęścia, wyrzuciło go do rowu, pozbierał się szybko i skoczył w przydrożne krzaki. Tutaj fortuna go opuściła. Jakaś siła wygarnęła go z powrotem na drogę, gdzie upadł z rozkrzyżowanymi rękami. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że siłą tą była seria ze stena. Zrozumiałem to dokładnie w momencie, kiedy niezgrabna lufa spojrzała na mnie przez przednią szybę auta. Nic nie słyszałem, zdawało mi się, że wydarzenia przebiegają w zupełnej

ciszy. Słuch powrócił nagle, hałas wybuchł w głowie porażającym doznaniem. Z tyłu grzechotała broń maszynowa, nasz kierowca hamował z piskiem opon, próbując wyminąć palącą się maszynę przed nami. Wybuch granatu, jeden, drugi, rząd otworów na przedniej szybie, a ja nagle poczułem gorącą wilgoć na policzku. Nie musiałem patrzeć w lewo, żeby odgadnąć, co się stało, ale rzuciłem okiem zupełnie odruchowo. Kierowca przechylił się, z rozłupanej głowy wypływała krew pomieszana z mózgiem.

– Nie strzelać! – warknął gestapowiec, słysząc, że szczęknięciem zamkiem peemu. – Spróbujemy się z nimi dogadać.

Mógł próbować. Nikt go nie słuchał. Na powitanie jeden z bandytów wyciął go w pysk, a drugi kopnął w dupę. Charakterystyczny płaszcz i kapelusik z piórkiem nie pozostawiały wątpliwości co do profesji jeńca. Mnie potraktowali nieco łagodniej. Zostałem pozbawiony tylko broni i eleganckiego skórzanego mapnika, który dostałem w prezencie od Marii. Nie mogłem go nosić w zwyczajnych patrolach, żeby ktoś nie uznał, iż stroję się w piórka oficera, ale podczas takiego eskortowania nikt się o to nie czepiał.

– Panowie żołnierze – znów spróbował Frischke, ocierając krew z twarzy i uśmiechając się przymilnie – nie trzeba od razu tak brutalnie.

– To teraz jesteśmy dla ciebie żołnierzami, a nie bandytami? – spytał zjadliwie całkiem niezłą niemiecką dowódca zasadzki.

– Och, niektórzy z nas zbyt łatwo szermują obelżywymi epitetami...

– Milczeć! – wycedził przez zaciśnięte zęby Polak. – Idziemy!

Nienawidziłem ich wszystkich jak nigdy do tej pory. Frischkego zresztą też. To przez niego wpakowałem się w taką kabałę! Bałem się i przez to nienawiść stawała się coraz większa. Prowadzili nas przez las, w pewnym momencie zawiązali nam oczy. To było pokrępowane. Może planowali nas wymienić za jakichś swoich ludzi? Przed kimś, kogo chce się po prostu zaszlachtować, nie trzeba ukrywać drogi. Jechaliśmy przez jakiś czas furmankami, potem znów szliśmy pieszo.

Wreszcie zdjęto nam opaski. Przez chwilę mrugałem szybko, próbując oswoić oczy z blaskiem dnia, wreszcie mogłem się rozejrzeć. Stałem po lewej stronie Frischkego, po prawej ustawili drugiego grenadiera, Karla. Otaczali nas bandyci, ubrani w sorty niemieckich desantowców, widać zrabowane z pociągu albo innego wojskowego transportu, oraz brytyjskie battledressy ze zrzutów. Wyszedł ku nam niezbyt wysoki, krępy mężczyzna w obrzydliwej polskiej rogatywce. Od razu domyśliłem się, że to osławiony Ponury.

– Pan Oberscharführer Frischke – powiedział głębokim głosem. – Bardzo dobrze, że się spotykamy. Mamy do pana parę pytań. Na przykład dotyczących prowadzenia śledztwa w sprawie naszej sanitariuszki, Wandy. Pan wie, o czym mówię, prawda?...

Gestapowiec zbladł, a ja poczułem, że robi mi się nieswojo. A jednak to była doskonale zaplanowana akcja. Chcieli dopaść właśnie jego. Tylko skąd wiedzieli, że... No tak, nieraz słyszałem, że mają sporo agentów wśród pracowników naszych urzędów, nawet w gestapo.

Widać nie były to tylko płatki i opowieści o żelaznym wilku.

I wtedy stało się coś, przez co moje zwieracze o mało nie zdecydowały, że tego już za wiele. Zza pleców dowódcy bandytów wyskoczył nagle wielki chłop w białym podkoszulku, z włosami związanymi białym materiałem. Wyglądał na kucharza i pewnie właśnie oprawił jakąś tuszę, bo ręce miał po łokcie we krwi, a w prawej dłoni dzierżył wielki tasak, czy raczej rzeźnicki topór. Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, ciężkie żelazo zatoczyło łuk, spadając na głowę Frischkego. Idiotyczny kapelusik myśliwski został wtoczony w czaszkę. Tasak rozłupał łeb gestapowca aż do podbródka, krew z mózgiem popłynęła strumieniem. Wyglądało to niesamowicie, bo trup stał jeszcze przez chwilę, choć większość zawartości czaszki miał już pod nogami. Dopiero potem zwałił się ciężko na plecy. Kucharz wrzasnął coś, ale nie zrozumiałem co. Polskiego poduczyłem się trochę, jednak mężczyzna wołał chyba w innym języku. Przymknąłem oczy pewien, że za chwilę ostrze wedrze się także w moją głowę.

– Wanda uratowała kiedyś Grigorija – powiedział ktoś łagodnie po niemiecku. Otworzyłem oczy, spojrzałem na mówiącego. To był ten sam człowiek, który dowodził zasadzką. – Szkop dostał, co mu się należało. Chociaż, prawdę mówiąc, żywy bardziej by nam się przydał.

A zatem kucharz był Rosjaninem. Pewnie jakiś zabłąkany spadochroniarz, zguba partyzantki komunistycznej albo uciekinier z Ostlegionu. Jaka zresztą dla mnie różnica? Przed śmiercią należałoby pomyśleć o czymś innym. Na przykład o tym, jak Maria przyjmie wiadomość, że nie wrócę już do niej... Nigdy... Rosjanin, to wróżyło fatalnie. Słuchałem kiedyś po kryjomu audycji BBC dla Niemców, wiedziałem więc, co opowiadało się na świecie o rzekomych bestialstwach niemieckich żołnierzy na terenie Związku Sowieckiego. Gdyby chociaż połowa z tego była prawdą, ten tępy Rusek musiałby mnie nienawidzić jeszcze bardziej niż ja jego. Patrzył na mnie teraz drapieźnie, oblizując wargi, ściskając w sękatej dłoni solidny trzonek topora. Obok mnie Karl oddychał ciężko, łapiąc spazmatycznie powietrze. Nie znałem go zbyt dobrze, dopiero niedawno pojawił się w oddziale. Albo był nieprzyzwyczajony do widoku krwi, albo tak strasznie się bał. Usłyszałem rechot bandytów. Pokazywali nas sobie palcami i śmiali się do rozpuku. Spojrzałem na siebie, potem na Karla. No tak, idiota nie tyle nawet popuścił w majty, co regularnie się zerznął, w dodatku na rzadko. Obrzydlistwo i wstyd. Obwisłe na tyłku portki wypełniły się cuchnącą treścią, a odór zaczął się już przebijać przez woń surowizny.

Nie wiem, może uratował nas właśnie ten przerażony, usrany jak nieszczęście Karl? Twarze bandytów stały się mniej zacięte, któryś nawet podszedł, poczęstował mnie papierosem. W pierwszej chwili odmówiłem, ale na widok zaciśniętych z powrotem warg Polaka przyjąłem machorkowego skręta. Pierwsze zaciągnięcie mało mnie nie zadusiło, musiałem się przemóc, żeby pociągnąć jeszcze raz. A potem jakoś już poszło. Może dlatego, że ściśnięte przerażeniem gardło zaczęło nieco się rozluźniać.

– Słuchaj, szwabie – podszedł do mnie ten mówiący po niemiecku. – Pójdziecie teraz z tym obesraniec do swoich i opowiecie, co czeka takich katów jak Frischke. Zrozumiałeś?

Kiwnąłem głową. Słowo „obesraniec” wymówił z dużym błędem, coś jak „gównowanie”, ale wiedziałem, o co chodzi.

– Przekażesz dowódcy pozdrowienia od komendanta leśnego wojska.

Zmełłem w ustach przekleństwo. Też się bandyci nazwali! Leśne wojsko! Może lepiej batalion wszarzy? Albo...

– Nie wiem, co tam sobie dokładnie myślisz, hitlerowcu. – Mężczyzna chwycił mnie pod brodę, ścisnął migdałki, aż mi oczy wylazły z orbit. – Ale zetrzyj lepiej ten uśmieszek, bo możemy zdecydować, że jeden z was w zupełności wystarczy jako kurier.

Kretyński uśmieszek? No tak, przez całe życie miałem problemy z tym przeklętym grymasem twarzy. Już w szkole nieraz oberwałem w ucho za bezczelność, potem zdarzało mi się doprowadzać do szału podoficerów... A to nie był żaden uśmiech. Moja twarz układała się w taki wyraz w chwilach, kiedy byłem bardzo niepewny siebie. Wiedziałem, że na otoczeniu sprawia to paskudne wrażenie, ale nie potrafiłem zapanować nad mimiką. Postarałem się wygładzić rysy.

– Przepraszam – bąknąłem. – To tylko...

– Nieważne – uciał. – W drogę.

* * *

Wyprowadzili nas daleko od obozu. Oczywiście z zawiązanymi oczami. Nie pozwolili Karlowi się umyć, a szedłem za nim. Smród stawał się powoli nie do wytrzymania. Chwilami nachodziła mnie myśl, że powinni jednak zastrzelić tego zasrańca. Mogli być pewni, że w przyszłości, kiedy tylko znajdzie okazję, postara się odplącić z nawiązką za chwile zwierzęcego strachu. Nie będzie patrzył, kto stanie mu na drodze, byle był Polakiem. W każdym razie ja właśnie zamierzałem tak zrobić. Podczas następnej obławy postaram się zabić ich jak najwięcej! Przekłęci bandyci!

Po dobrej godzinie zdjęli nam opaski, a jeden, wysoki chłop o dziobatej twarzy, kopnął mnie w dupę. Zamachnął się też na Karla, ale zrezygnował.

– Raus! – warknął. To było pewnie jedyne słowo po niemiecku, jakie znał.

Poszliśmy odprowadzani drwiącymi okrzykami. Karl trząsał się jeszcze, bełkotał coś pod nosem, a jego spodnie z tyłu zaczęły zasychać w obrzydliwą skorupę.

– Zamknij się – powiedziałem. – Jak się natkniemy na jakiś strumień, musisz się umyć. Śmierdzisz gorzej niż cała żydowska gmina z bezzębnym rabinem i głuchym zapiewajką.

Ucichł, został nieco z tyłu. W zasadzie powinno mi być wszystko jedno, czy wracam z Karlem zafajdanym czy nie, w końcu nie moje gatki, nie mój wstyd, ale byłoby jakoś głupio maszerować z cuchnącym szeregowcem przez ulice miasta. Zaczynało się ściemniać, a w

dodatku niebo zaciągnęły chmury. W taki wczesnojesienny dzień zmierzch zazwyczaj zapadał długo i bywało jasno nawet do dziewiątej, ale te przekłete chmury sprawiły, że ciemność ogarniała świat w szybszym tempie. Wyszliśmy z gęstwiny na leśną drogę. Przez chwilę zastanawiałem się, w którą stronę pójść, wreszcie ruszyłem w lewo. Wszystko jedno, dokądś nas przecież ta ścieżka doprowadzi.

– Pośpiesz się! – powiedziałem, nie odwracając głowy. – Musimy albo wyjść na jakąś asfaltową drogę, albo znaleźć miejsce do przenocowania!

Na myśl, że miałbym spać w lesie bez namiotu, a przynajmniej pałatki i tylko w parze z tchórzliwym Karlem, znów zaczął ogarniać mnie lęk. Trzeba być prawdziwym barbarzyńcą, żeby mieszkać i żyć wśród drzew. Pewnie – nasi starogermańscy przodkowie nie wybrzydali na podobne warunki, jednak Niemcy to od przeszło tysiąca lat naród cywilizowany, a chłopakowi wychowanemu w dużym mieście las przyjacielem nigdy nie będzie. Co innego taki chłop z Bawarii jak Lutke... Wspomnienie zabitego kilka miesięcy wcześniej tropiciela wywołało kolejną falę niepokoju. Przyspieszyłem kroku.

– Rusz się, człowieku – zawołałem do tyłu, obejrzałem się i zamarłem. Nagle zdałem sobie sprawę, że od jakiegoś czasu nie słyszę człapania towarzysza. – Karl? Karl! Karl!!!

Pobiegłem z powrotem. Może idiota poszedł w krzaki, zamiast odlać się prosto na leśny dukt? Nowicjusze miewają takie pomysły. Po kilku minutach dotarłem do miejsca, w którym wyszliśmy z gęstwiny. Na pewno nie polazł w przeciwnym kierunku, przecież szedł za mną. Wróciłem, uważnie śledząc w zapadających ciemnościach wszelkie ślady na drodze. Jest! Tutaj! Zmięta trawa na prawym poboczu, połamane gałązki. Czyżby jednak polazł za potrzebą? Ale powinien już przecież wyjść... Zbłądził? Trudno, jak się człowiek związał z kretynem, musi za to odpokutować. Wszedłem ostrożnie między przydrożne krzaki, ruszyłem przed siebie powoli, starając się robić jak najmniej hałasu. W zasadzie powinienem właśnie zachowywać się głośno, wołać, kłać, tak żeby mnie dureń usłyszał. Lecz coś mnie powstrzymywało. Pograżający się w mroku las potrafi przyprawić o dreszcz na plecach. Kiedy jedne zwierzęta układają się już do snu, a inne jeszcze nie wyszły na żer, panuje wśród drzew jakaś dziwnie nabożna cisza, przerywana tylko pojedynczymi odgłosami.

Usłyszałem coś przed sobą. Jakieś chlupotanie czy bulgotanie... Odetchnąłem z ulgą. Najwyraźniej Karl znalazł wodę i dokonuje ablucji. Trzeba będzie go zdrowo opieprzyć za idiotyczny pomysł, żeby odejść, nie meldując o tym starszemu stopniem. Gniew gniewem, uraza urazą, a w wojsku obowiązuje dyscyplina.

Ale to, co zobaczyłem, gdy wyszedłem na malutką polankę, sprawiło, że włosy stanęły mi dęba. Karl tam był, i owszem, ale nie mył się wcale. Leżał na ziemi, a nad nim klęczały dwie postacie. Bulgotanie ucichło jak ucięte nożem. W moją stronę spojrzały dwie pary oczu. To, że nie oszalałem w tamtej chwili, zakrawało na cud. Szczególnie kiedy Lutke wyszczerzył zęby w przyjacielskim uśmiechu i uczynił zapraszający gest ręką. Drugi, w którym bez trudu rozpoznałem Andreasa Wenkego, tylko na mnie popatrzył i wrócił do uczyty. To, co wzięłem

za plusk wody, było odgłosem chłęptania krwi i wyżerania wnętrzości. Lutke wstał, jego zakrwawiony pysek wykrzywił się jeszcze bardziej, zobaczyłem rząd ostrych zębów. Mierzyliśmy się wzrokiem przez długą chwilę, widziałem w jego źrenicach niebezpieczne, drapieżne błyski. To wszystko było tak niespodziewane i tak okropne, że nawet przez moment nie zwątpiłem w realność całej sytuacji. Owszem, miałem uczucie, jakbym obudził się w obcym świecie albo pogrążył zniecka w sennym koszmarze, ale nie odebrało mi to, na szczęście, zdolności działania.

Rzuciłem się do ucieczki. Przedzierałem się przez krzaki – byle tylko wypaść na drogę, znaleźć się tam, gdzie nieprzyjazne rośliny nie będą wczepiać się w nogawki, przestaną hamować ruchy! Trzeciego upiora dostrzegłem w ostatniej chwili. Gunter z rozłożonymi szeroko rękami szedł w moją stronę. Wyglądał trochę jak troskliwy ojciec, który pragnie pochwyć i uchronić przed upadkiem ukochane dziecko. A raczej wyglądałby właśnie tak, gdyby nie wybałuszone oczy i piekielny wyszczerz zębów.

Pognałem w bok, w głąb lasu, zdając sobie sprawę, że w gąszczu z każdym oddechem moje szanse maleją. Trzeba było przebić piersi tajemniczo zamordowanych osinowym kołkiem! Nieszczęsny Jurgen bełkotał coś o tym, ogarnięty amokiem, ale naturalnie nikt go nie słuchał. Przeklęte ścierwa! Wypadłem w miejsce, gdzie drzewa były już starsze, a poszycie nie tak gęste. Gnałem między pniami niczym wystraszony przez nagonkę jeleni, słyszałem za sobą tupot i pełne oskomy dyszenie. Byli coraz bliżej. Jeszcze chwila...

* * *

Lutke, Gunter i Andreas stali parę kroków dalej, wciąż szczerząc się i oblizując łakomie wargi pokryte jeszcze resztkami krwi Karla. Nie śmieli podejść bliżej. W chwili kiedy pojąłem, że nie mam z nimi szans, odwróciłem się i uczyniłem szeroki znak krzyża. Wtedy stanęli jak wryci. Próbowali jeszcze podejść, ale znów się przeżegnałem. Zacząłem iść krok po kroku w tył, wciąż kreśląc religijny symbol, a oni tkwili w miejscu jak wmurowani.

I nagle coś dostrzegłem kątem oka. Raczej kogoś. W coraz głębszej ciemności zajaśniała długa szata. Już po mnie. To była pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy. Ktoś z nimi jeszcze jest... Ale nic się nie działo. W tym momencie pojąłem, że upiory nie wpatrują się we mnie, ale w tę tajemniczą postać. Odwróciłem lekko głowę. Kobieta. Młoda, ładna kobieta w jasnej sukience. Trwała z wyciągniętymi przed siebie rękami, oczy miała przymknięte i coś nuciała. Przez łomot serca, szum tętniącej w skroniach krwi usłyszałem tęskną melodię nieznaną mi piosenki.

Lutke szarpnął się, jakby próbował przerwać zaklęty krąg, a wtedy nucenie przerodziło się w śpiew. To była polska pieśń, brzmiała jak kołysanka. Dotarło do mnie, że moich prześladowców nie powstrzymał znak krzyża, ale właśnie ta kobieta. Krwawe bestie poruszyły się lekko, zaczęły przestępować z nogi na nogę, jakby chciały rozpocząć taniec, a

potem... Potem nagle Lutke odwrócił się i odszedł w mrok. Jego śladem ruszyli pozostali.

Znowu spojrzałem na kobietę. Mimo ciemności widziałem delikatne rysy jej twarzy, pięknie wyrzeźbione kości policzkowe, wiedziałem, że pod zwiewną sukienką kryje się gładkie, jędrne ciało. Popatrzyła na mnie głębokimi, pełnymi ciepła oczami.

– Dziękuję – szepnąłem. Tylko to jedno przyszło mi do głowy.

Położyła palec na ustach, wyciągnęła ku mnie rękę. Po chwili wahania podałem swoją. Miała dłoń chłodną i suchą, przyjemną w dotyku. Opanowała mnie euforia. Boże mój, czym zasłużyłem na tyle szczęścia? Dziewczyna pociągnęła mnie za sobą. Przez chwilę czułem niepokój, ale kiedy tylko spojrzałem w stronę, gdzie znikli moi dawni towarzysze broni, wszystko od razu minęło. Nawet jeśli ta cudowna istota miałaby przywieść mnie do zguby, będzie to na pewno przeżycie nie tak okropne jak rozszarpanie przez krwiożercze upiory. Wszystko wydawało się od tego lepsze...

– Kim jesteś? – spytałem. Czułem się niby jakiś bohater romansu Goethego czy Schillera. Podobno my, Niemcy, jesteśmy bardzo sentymentalni. W tej chwili czułem to całym sobą. Dziewczyna milczała, więc powtórzyłem, starając się jak najlepiej wymówić to po polsku: – Kim jesteś?

Potrząsnęła głową, znów położyła palec na ustach. Uśmiechała się tajemniczo w taki sposób, że poczułem mrowienie w dole brzucha. Pomyślałem o Marii, ale wspomnienie ukochanej okazało się dziwnie blade, odległe. Nie mogłem przypomnieć sobie dokładnie jej twarzy, choć przecież całymi godzinami potrafiłem wpatrywać się w jej zdjęcie, leżąc na łóżku. Porzuciłem więc tę myśl. Zapewne zbyt wiele dzisiaj przeszedłem, żeby trzeźwo rozumować.

Szliśmy pośród ciemnego lasu. Po raz pierwszy, od kiedy przyjechałem do tego przeklętego kraju, nie odczuwałem wśród drzew lęku, nie czułem swędzenia między łopatkami, przebywając w lesie, kiedy to w głowie kołatała tylko jedna myśl – skąd padnie strzał. Kroczyłem nieśpiesznie, trzymając za rękę zjawiskową istotę, nie potykając się o korzenie, choć panowały już prawdziwie egipskie ciemności. Co więcej, poczułem się panem lasu, podążającym u boku jego królowej. Oddałbym resztę życia, by choć raz jeszcze poczuć w sobie tę moc, radość życia, jedność z otoczeniem, z naturą. Wydawało mi się, że słyszę szepty przestraszonych wiewiórek, czuję wzrok ciekawskich nornic, że odważny do szaleństwa dzik wycofuje się po cichutku, zgadując, iż zbliża się ktoś naprawdę potężny.

W pewnej chwili dziewczyna stanęła, puściła moją rękę. Euforia od razu opadła. Nie minęła, ucichła całkiem, nie zmieniła się w poprzedni strach, ale świat wydał się nagle smutny w porównaniu z tym, co odczuwałem przed chwilą. Wyciągnąłem znów dłoń, chcąc dotknąć kobiecego ciała. Nie odsunęła się, patrzyła tylko tymi niesamowitymi oczami. Sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nagle zapragnąłem ją osiąść, choćbym miał dopuścić się gwałtu. Skoczyłem do niej, chwyciłem mocno w pól. Próbowwała się uwolnić. Widziałem jej spokojną twarz. Powinno mnie to przestraszyć, ostrzec, ale byłem zbyt rozpalony, aby

zrozumieć, iż w zupełnych ciemnościach nie mam prawa dostrzegać jej rysów. Zresztą wszystko to było tak niesamowite, że chyba zupełnie straciłem rozeznanie.

Nie broniła się. Była bierna i obojętna, zupełnie jakby napaść dotyczyła kogo innego. A potem nagle ożyła. Otoczyła mnie rękami, przycisnęła mocno do piersi. Wyczułem w niej ogromne pożądanie, które połączyło się z moim, tworząc szeroką, rwącą rzekę, zupełnie jakby potężny nurt zrywał wszystkie tamy. Objęły mnie mocne uda, miałem wrażenie, że nie ja biorę ją, lecz dzieje się dokładnie na odwrót. To było niesamowite i perwersyjnie przyjemne. Wargi miała na przemian chłodne i gorące, język szorstki, intensywnie pachniała ziołami.

Wszedłem w nią nagle, zachłannie, gwałtownie. Ta chwila była dla mnie samego zaskoczeniem. To, co w tej chwili odczuwałem, nie mogło równać się z żadnym przeżyciem. Ból i rozkosz, rozkosz i ból. Czy spełnienie może być bólem, a ból okazać się spełnieniem? Wtedy zrozumiałem, że tak.

* * *

Obudziłem się z ciężką głową. Słońce weszło już dość wysoko. Nocne przeżycia wydawały się w tej chwili czymś zupełnie nierealnym. Te upiory, potem kobieta... Trup Karla... Czy to zdarzyło się naprawdę, czy też wyobraźnia spletała mi figła? Może wczoraj nie widziałem żadnych upiorów, lecz buchtujące stado dzików? Uciekając przed zwierzętami, wyrznąłem głową w pień lub nisko zwieszającą się gałąź, stąd to łupanie pod czaszką? Jak by nie było, trzeba wracać do swoich.

– Karl! – zawołałem na wszelki wypadek. A nuż tchórzliwy szeregowiec jest gdzieś w pobliżu? – Karl!

Po kilku minutach dałem sobie spokój. Nie mogłem odpowiadać za tego niezgulę.

Wróciłem do koszar, zdałem raport z wydarzeń. Po dramatycznych przejściach otrzymałem nawet kilkudniowy urlop i bilet na pociąg do Niemiec, mogłem zobaczyć się z Marią.

Ale nic już nie było takie jak dawniej.

* * *

Kurwa mać, jakże ja nienawidzę tego przekłętego kraju! Miał słuszość oszalały Jurgen, że tutaj nawet upiory są przeciwko nam!

Zrozumiałem to następnego dnia rano po przyjeździe do Lipska. Dokładnie w chwili, kiedy obudziłem się o świcie otulony purpurową pościelą. Ta purpura była mokra i lepka. Tak potrafi się lepić tylko krew.

Krew mojej ukochanej Marii. W błysku uświadomienia przypomniałem sobie, jak bardzo

gorące było łono dziewczyny w lesie. I jak doprowadzając w koszarach do porządku zabrudzony mundur, znalazłem w kieszeni kawałek miękkiego materiału, pochodzący najpewniej z letniej sukienki... Zdałem sobie sprawę, że do tej pory bardzo skutecznie oddalałem od siebie myśl, iż coś może być nie w porządku.

A może powinienem wiedzieć coś więcej? Coś o wiele straszniejszego, co – być może – przypomnę sobie kiedyś, gdy będzie już za późno?

Właściwie powinienem strzelić sobie w łeb.

I strzeliłbym, gdybym tylko miał pewność, że to coś zmieni.

Przeklęty kraj...

Milena Wójtowicz

Urodzona w roku 1983 w Lublinie i jak dotąd tam zamieszkała. Z wykształcenia – magister socjologii, z zawodu – pisarka i tłumaczka.

Jej pierwsze publikacje ukazały się na łamach „Esensji”, „Fahrenheit & Fanzin”, „Science Fiction”.

Jest stałym współpracownikiem magazynu „Fahrenheit”.

Z natury gadatliwa optymistka. Ponadto zadeklarowana miłośniczka psów, roczników statystycznych, komiksów internetowych i lampek choinkowych.

Jest autorką książek: *Podatek*, *Wrota* i *Wrota 2* oraz *Zalotwiczka*.

**Milena
Wójtowicz**

**Joanna i
aniołowie**

Na chwilę przed tym, jak żelazne brudnobrązowe drzwi otworzyły się przed nim, Krzysztof odkrył, że się boi. Autentycznie, przeraźliwie, bardziej niż wtedy, gdy jako ośmiolatek stłukł ukochaną paterę matki, bardziej, niż wtedy, gdy miał lat siedemnaście i zarysował lakier na samochodzie ojca, bardziej niż na maturze, bardziej niż kiedy przystępował do serii testów, których zaliczenie sprawiło, że teraz stał tu, przed tymi drzwiami, i metaforycznie rzecz ujmując, srał w gacie ze strachu.

Nie tylko dlatego, że właśnie nadeszła przełomowa chwila w jego karierze, coś takiego, co trafia się człowiekowi raz na całe życie. Szczerze mówiąc, to kariera była w tej chwili ostatnią rzeczą, o której myślał. Liczyło się tylko to, że zaraz UJRZY. O ile oczywiście, jak zaznaczył podczas ich ostatniego spotkania łysiejący egzaminator z ministerstwa, jego wiara jest tak silna, jak zakładano i jak wskazywały testy.

Stojąc przed żelaznymi drzwiami, Krzysztof modlił się w duchu, żeby była. Przyjść tu, stanąć przed... absolutem i przekonać się, że nie jest się wystarczająco wierzącym... To byłoby straszne. A podobno, jak go uprzedzono, takie sytuacje się zdarzały. Testy psychologiczne, pomiar promieniowania, cała ta nauka zaprzęzona do badań nad ludzką wiarą bywała zawodna. Wszystko i tak korygował test ostateczny.

Po nieskończenie długiej chwili drzwi otworzyły się wreszcie. Nim to się stało, nogi Krzysztofa już, już rwały się do ucieczki, ale rozum zmuszał je do pozostania w miejscu. Był pewien swojej wiary. Był pewien, że się uda. Był pewien, że przysłuży się Ojczyźnie i Kościołowi najlepiej jak może. Polska nie zginie, póki żyją jej wierne dzieci, takie jak on.

Niemal oczekiwał, że gdy przekroczy bramy Instytutu, z głośników popłyną pierwsze takty hymnu. Ale po drugiej stronie czekała na Krzysztofa cisza i wąsaty strażnik, który skrupulatnie sprawdził przepustkę, porównał nazwisko z tym, które widniało na liście, a potem podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

Wewnętrzny 404, zauważył Krzysztof, śledząc z napięciem ruchy strażnika.

– Pani Joanno, kandydat do pani.

Odpowiedź pani Joanny nie dotarła do uszu Krzysztofa, ale musiała być zwięzła, bo strażnik niemal natychmiast odłożył słuchawkę.

– Zaraz po pana przyjdzie ktoś z Badań – powiedział.

– Z Badań? Ale testy...

– Wybrane testy trzeba będzie powtórzyć – wyjaśnił cierpliwie wąsaty.

Dopiero w trakcie badań, na które zaprowadziło go dwóch rosyłych laborantów odzianych w białe kitle, Krzysztof uświadomił sobie, czemu one mają służyć. Nie sprawdzano już jego

wiary. Sprawdzano jego samego. Upewniano się, czy on, Krzysztof Pawłowski, syn Kazimierza, lat dwadzieścia dziewięć, kawaler, który wszedł tego ranka do budynku Instytutu, jest tym samym Krzysztofem Pawłowskim, który przez ostatnie pół roku cierpliwie poddawał się kolejnym testom. Tęczęwkę i odciski palców też sprawdzili. Krzysztof zdziwił się nawet, że nikt nie pobrał mu krwi i nie zlecił badań DNA. W końcu jak sprawdzać, to sprawdzać.

To wszystko potrwało do trzeciej po południu. Krzysztofowi zaczęło burczeć w brzuchu, ale kiedy zaproponowano mu, żeby przed ostatnim testem zajrzał do zakładowej stołówki – w asyście laborantów, rzecz jasna – odmówił. Poprosił tylko o kolejny kubek kawy. Chciał już mieć wszystko za sobą, chciał JE zobaczyć. Poza tym z nerwów i tak nie byłby w stanie nic przełknąć.

Zaprowadzono go więc przed oblicze pani Joanny, jak ją wszyscy nazywali. Nie wiedzieć czemu spodziewał się zobaczyć stateczną matronę w średnim wieku, bladą, bez makijażu, z medalikiem na szyi, przypominającą siostrę Augustynę, która nauczwała religii w salce przy kościele.

Tymczasem pani Joanna była zupełnie inna. Przede wszystkim na oko miała niewiele więcej lat niż on – ciężko mu było stwierdzić ile dokładnie, nigdy nie był dobry w odgadywaniu wieku kobiet. Miała krótko ścięte ciemnoblonde włosy, przydługa grzywka opadała na lewe oko. Prawe, to widoczne, było ozdobione mocnym, ciemnym makijażem. Ubrana była w dżinsy i koszulę, żadnej biżuterii, nawet zegarka.

– Chodź! – Skinęła na niego brodą. Otworzył usta, chcąc zapytać, czy to już, czy naprawdę jest godny, by ICH zobaczyć, ale uniosła dłoń, uciszając go. – Jeśli nie przejdiesz testu, to szkoda mi na darmo strześcić sobie języka – powiedziała.

Krzysztofowi nie pozostało nic innego, jak w milczeniu przyznać jej rację. Podeszedł za nią do drzwi – te też były ogromne, żelazne, dwuskrzydłowe. W lewym skrzydle była mała furtka i to przez nią wyslizgnęła się Joanna. Krzysztof podążył za nią.

Wyszli na dwór. Dopiero gdy oślepiło go światło dnia, dotarło do niego, jaki półmrok panował w Instytucie. Zupełnie jakby nie mieli na porządne żarówki. Przetarł oczy. Powoli zaczynał dostrzegać kształty i...

Padł na kolana. W miejscu, tak jak stał. Świadom, że nie jest godzien, że nie powinien na nich patrzeć, ale niezdolny odwrócić wzrok. Usta same układały się w słowa znanych modlitw, ale te wydawały mu się niewystarczające. Błahe wobec tego, co widział. Sztuczne wobec objawionej mu nagle prawdy.

Byli tu, na otoczonym wysokimi szarymi murami Instytutu dziedzińcu. Unosili się jakieś pół metra nad ziemią. Ogromni, promieniejący blaskiem, który Krzysztof wcześniej wziął za światło dnia. Nie, nie roztaczali go. Oni byli blaskiem, z blasku utkane były ich ciała, ich szaty, ich włosy i ich skrzydła. Czuł ich żar, żar prawdziwej, szczerzej wiary, boski płomień.

To byli ONI. Aniołowie Rzeczypospolitej.

Prawdziwi, rzeczywisci, unoszący się wokół niego, na wyciągnięcie ręki.

Jęknął.

– Będziesz mdleć?

Głos Joanny brzmiał niczym świętokradztwo. Krzysztof odwrócił głowę i zobaczył ją, jak stała z dłońmi w kieszeniach, jakieś dziesięć centymetrów od jednego z NICH. Mierzący ponad dwa metry wzrostu anioł pochylał się, najwyraźniej zafascynowany czubkiem głowy kobiety. Kolejny właśnie nadlatywał – a właściwie kwitował, bo jego skrzydła nie poruszały się – ku nim, zwabiony chyba zainteresowaniem towarzysza.

– Ty... one... – Krzysztof nie umiał znaleźć właściwych słów, nie byłby też w stanie przepchnąć ich przez ściśnięte, nagle suche gardło.

Joanna spojrzała na niego krytycznie, a potem kilkoma szybkimi krokami przemierzyła dziedziniec, ujęła Krzysztofa pod ramię i przepchnęła przez furtkę. Sama przeszła za nim, ryglując za sobą drzwi.

– Ja ich nie widzę – poinformowała oszołomionego mężczyznę. – Niech ktoś mu przyniesie wody!

* * *

Pół godziny później Krzysztof wciąż nie mógł dojść do siebie. Spoglądał w stronę żelaznych drzwi, walcząc z chęcią, by podejść i spróbować przejść na drugą stronę. Niewykonalne, zważywszy na to, że Joanna zamknęła furtkę na klucz. Personel Instytutu gdzie się ulotnił i w ciemnym pokoju zostali tylko oni dwoje. Kobieta przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw.

– Jestem tu z tego samego powodu co ty – powiedziała. – A może raczej z przeciwnego. Widzisz, ja nie wierzę. Nie tylko w nie – machnęła ręką mniej więcej w stronę aniołów. Takim samym gestem wskazywała na nich... a właściwie w miejsce, gdzie jej zdaniem się znajdowały, stojąc na dziedzińcu. Olbrzymy wtedy zauważyły jej ruch i podleciały bliżej, wbijając swoje ciężkie spojrzenia w drobną blondynkę. Krzysztofa przeszedł dreszcz, ale ona tego nie zauważyła. ICH też nie zauważyła. – W ogóle nie wierzę. W nic poza sobą. Jestem agnostyczką idealną. Wpływ czynników metafizycznych na moje emocje, psychikę i decyzyjność wynosi zero. I dlatego ja tu rządzę, a ty masz za zadanie informować mnie o tym, co widzisz. Podniósł głowę i spojrzał na nią z niezrozumieniem.

– To, co widziałeś na dziedzińcu, to jeden z zespołów bojowych. Właściwie pół zespołu. Mamy ich dziesięć. Wrogowie też co najmniej tyle.

– Wrogowie? Ale?

– Nie tylko Polacy wymodlili sobie wsparcie. Po tamtej stronie też są katolicy. I ich wiara wystarczy, by stworzyć, przywołać, czy jak to zwać, anioły.

– Wedle teorii profesora Znaniewskiego... – zaczął automatycznie Krzysztof.

– Nie obchodzą mnie teorie. Nie interesuje mnie, skąd się tu wzięły anioły – zbyła go obojętnie Joanna. – Ja w nie przecież nie wierzę, zapomniałeś? Nieistotne, skąd przyszedły, ważne, że podobno tu są i mogą nam pomóc wygrać wojnę.

– One? – Krzysztof ponownie powędrował wzrokiem w stronę zamkniętych drzwi. Wydawało mu się, że przez szparę pod nimi widzi blask... nie, to było tylko złudzenie. Drzwi były szczelne.

– To broń. Wyjątkowo skuteczna w warunkach bojowych. Zwłaszcza jeśli mówimy o starciu anioł kontra anioł, standardowa broń jest wyjątkowo niewydajna w ich przypadku. Zabicie jednego wymaga tyle amunicji, co rozniesienie w proch całego batalionu. Nieekonomiczne.

– Zabić je? One mogą zginąć?

– Oczywiście. Chociaż, jak wspomniałam, zabicie któregoś jest cholernie trudne. Przeciw aniołom lepiej posyłać anioły. Szanse na to, że się pozabijają nawzajem, są niewielkie, ale przynajmniej nie marnujemy amunicji i minimalizujemy szansę wrogich aniołów na rajd w głąb Polski. Dla twojej osobistej informacji, gdyby któryś się przebił, zniszczenia byłyby niewyobrażalne. Liczba ofiar też.

Mężczyzna przypomniał sobie anioły unoszące się na dziedzińcu. Nie były istotami zdolnymi zabijać czy niszczyć. Były spokojne, łagodne, ciekawe świata niczym dzieci... I tak absolutnie, przenikająco dobre i boskie...

Nie spodziewał się uderzenia w twarz. Prawie zważyło go z krzesła.

– Odpuść – stwierdziła Joanna, rozmasowując dłoń. – Nie rób tego, bo nie będziemy mieli z ciebie żadnego pożytku. Wytrzymaj chociaż z miesiąc.

Podczas testów, podczas całej procedury przygotowawczej, nikt nic nie wspominał o tym, ile ma „wytrzymać”. Dużo było rozmów na temat, jakie to wszystko jest ważne, o wadze poświęcenia – ale nikt nie wspominał o tym, jakie to poświęcenie ma właściwie być. Można było wręcz odnieść wrażenie, że opcja poświęcania się była wyłącznie teoretyczna. Nikt Krzysztofa nie uprzedzał.

– Mówię ci to w ramach eksperymentu – ciągnęła Joanna. W jej głosie po raz pierwszy dało się słyszeć cieplejszą nutę, coś jakby sympatię. – Nie ty będziesz oceniał, czy ci już palma odbiła, czy nie. Od tego mamy fachowców i całą salę pełną drogich i szalenie czułych instrumentów, więc tak czy siak nie ukryjesz przed nami swojego stanu. Ale mam nadzieję, że świadomość tego, że może ci odpuścić, sprawi, że wytrzymasz trochę dłużej. Twojego poprzednika wynieśli stąd po dwóch tygodniach. Wśród obserwatorów rotacja jest straszliwa, a selekcja, jak się miała okazję przekonać, jest długa, żmudna i skomplikowana. Poprzednim nie mówiliśmy, co ich czeka, chociaż niektórzy się chyba sami domyślali.

– Chcesz powiedzieć, że ja...?

– Zwariujesz. Tak krótko mówiąc. Nie wiem, czy zaczniesz mieć zwiady, czy doznasz religijnego objawienia – psychiatrzy twierdzą, że to zależy od typu osobowości, i pewnie już

nawet mają spisany prawdopodobny przebieg twojego nieuchronnego szaleństwa. To spotyka każdego obserwatora. Wychodzi na to, że co innego wierzyć w bliżej nieokreślony, nieobecny byt, a co innego mieć jego manifestację na co dzień, i to w tak... nietypowych okolicznościach jak tutaj. Anioły rzekomo wykańczają ludzi. Podobno nieświadomie. Po prostu na nich wpływają – promieniowanie czy jakaś telepatia – skrzywiła się lekceważąco. – Nieważne, jak to robią, nie moja sprawa. Rzecz w tym, że wpływają. Na wierzących. Wy jesteście dostrojeni do nich, jak odbiorniki do fal radiowych określonej długości. Dlatego bezwzględnie musimy izolować od nich najwyższe dowództwo. Nie mogą zobaczyć aniołów, nie mogą nawet wejść do tego budynku, bo istnieje obawa, że te skrzydlate cosie wywarłyby wpływ na ich psychikę i co za tym idzie – na podejmowane decyzje, na przyszłość wojska, wojny i całego kraju. Wolimy tego nie ryzykować, więc w Instytucie przebywają tylko takie szaraczki jak ty, ja i cały personel. Personel, tak na marginesie, jest mało wierzący. Tacy najlepiej znoszą obecność aniołów, ale jednocześnie ani nie są w stanie ich widzieć, ani wydawać im rozkazów. Zasada jest prosta – im silniejsza wiara i im bliższy kontakt, tym mocniejszy wpływ. Zresztą chyba sam zauważyłeś, co z tobą zrobiły tam, na dziedzińcu. Będziesz musiał opanować te odruchy, a to nie będzie łatwe. I będzie kosztować. I niestety, w końcu twoje zdrowie psychiczne legnie na ołtarzu poświęcenia ojczyźnie. Takie czasy – kiedyś poświęcało się życie, dziś psychikę. Nie martw się, nie jesteś jedyny. Poza tym podobno człowieka da się potem wyleczyć. Tak mówią, ale czy to prawda, będziemy się musieli sami przekonać.

– My?

– Każda grupa bojowa ma przyporządkowanego dowódcę agnostyka. Oczywiście nie wystarczy być po prostu niewierzącym. Trzeba być zatwardziałym niewierzącym, nieskłonny do zmiany przekonań tylko dlatego, że ileś osób wokoło mówi ci, że anioły istnieją, a ileś kolejnych oczekuje od ciebie, że będziesz wydawał im rozkazy. To jest... – zawahała się – trudne. Wiesz, ale nie wierzysz, nie wierzysz, ale wiesz... Ciężko to na dłuższą metę wytrzymać. Więc teraz popracujemy sobie razem – miesiąc, postaraj się chociaż tyle wytrzymać – a potem rozstaniemy się może na dłużej, może na krócej i spotkamy znowu w miłej, ekskluzywnej i supertajnej klinice rządowej.

Krzysztof spoglądał na nią, próbując zrozumieć to wszystko, co właśnie usłyszał, i poukładać sobie jakoś w głowie. Nie było to łatwe, bo w mózgu wciąż pulsowała mu świadomość, że ONE tam są. Tuż za drzwiami. Tak blisko. Ich blask oświetlał tamtą stronę żelaznej furtki. Tamtą stronę ścian.

– Moglibyśmy przejść do innego pokoju? – poprosił.

– Nie. Musisz się nauczyć funkcjonować obok nich. To jest właśnie ostatni test. Masz tu siedzieć i zrozumieć wszystko, co do ciebie mówię. Myśleć. Mimo że jak wnoszę z twojej wcześniejszej reakcji, za ścianą mamy cud przebijający wszystkie inne cuda tego świata.

– Mamy – potwierdził zachrypniętym głosem Krzysztof.

Joanna wzruszyła ramionami.

– Skoro tak mówisz. Wracając do sprawy twojego stanowiska i obowiązków. Jak już wspomniałam, ja ich nie widzę. Ty masz być moimi oczami. Opuść sobie uwagi o nieziemskich blaskach i innych rzekomych wspaniałościach. Po pierwsze, nic mnie to nie obchodzi, po drugie, jak będziesz z czymś takim wyskakiwał, to wylądujesz na poważnej rozmowie wychowawczej, a jeśli to nie podziała, zdejmą cię ze stanowiska za psucie moich kompetencji.

– Że co?

– O, ożywiłeś się. I już nawet chyba jasno myślisz. Dobrze, zaczynasz się przyzwyczajać. Mówiłam przecież, że ja w nie nie wierzę. I póki nie wierzę, póty mam wartość dla armii Rzeczypospolitej Polskiej. To paradoks, bo ty z kolei jesteś coś wart tylko dzięki swojej wierze. A żadne z nas nie jest nic warte, jeśli nie uzupełnia go drugie, rozumiesz?

Pokręcił głową. Nic nie rozumiał, nic a nic. Wszystko było inne, niż oczekiwał, bardziej pokrętne. Nie tego się spodziewał, nie na to przygotowała go wiara. Na testach nic o tym nie było! Nikt nic nie wspominał!

– Nikt ci nie mógł wcześniej nic powiedzieć, bo to jest tajemnica wojskowa. Ścisłe, absolutnie tajna – Joanna zdawała się czytać w jego myślach. Spojrzał na nią na wpół zaskoczony, na wpół przerażony taką możliwością. O dziwo, od razu zrozumiała, o co chodzi.

– Nie, nie czytam ci w myślach. Nie jesteś moim pierwszym obserwatorem, a jeśli chodzi o wątpliwości i pytania, to wszyscy macie takie same. Nikt wam nic wcześniej nie mówi, żeby nie podważać waszej wiary. Jak już wspomniałam, ona jest dla wojska zbyt cenna.

Krzysztof zmarszczył brwi.

– Chwileczkę! Ja nie mogę nawracać ciebie, za to ty możesz wstrząsać moim światopoglądem i wiarą, tak? To niesprawiedliwe! – Poderwał się na nogi i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pomieszczeniu. Do białych drzwi prowadzących na korytarz. Z powrotem, do żelaznych drzwi i furtki, za którą... Z powrotem. Do białych drzwi.

– Sprawiedliwe. Robię to tylko ten jeden raz. To jest przecież ostatni test. Bez wiedzy, którą ci przekazuję, nie będziesz w stanie wywiązywać się ze swoich obowiązków. Jeśli ta wiedza podważy twoją wiarę, to też nie będziesz w stanie wywiązywać się ze swoich obowiązków. A jeśli nie będziesz w stanie, to znaczy, że nie nadajesz się do tej roboty. Nie przejdiesz ostatniego testu.

Zatrzymał się pod białymi drzwiami. Tak źle mu się myślało. Tak trudno się było skupić i zebrać te wszystkie poszarpane myśli w jedną całość. Oparł czoło o ścianę. Była przyjemnie chłodna, najwidoczniej nie docierał do niej żar blasku... Uderzył lekko czołem o płaską powierzchnię. Nie mógł teraz myśleć o NI... O tym, co było za drugą ścianą. Musiał myśleć o tym, co powiedziała Joanna. I o sobie.

– Ja jestem coś wart, bo wierzę i je widzę, tak? – powiedział, nie odwracając się. – A ty dlatego, że one na ciebie nie mają wpływu?

– Do tego to się sprowadza. Bo widzisz, przyszły obserwatorze, my je będziemy wysyłać

na śmierć.

Zesztywniał.

– Mówiłam przecież na samym początku, ale chyba jeszcze za bardzo huczało ci w głowie. Anioły są bronią. Najlepszą, jaką mamy. I musimy z niej korzystać, nieważne, czy w nią wierzymy czy nie. Ważne, że wyrządza realne zniszczenia i powstrzymuje anioły naszych wrogów.

Mówiła coś takiego, rzeczywiście. O tym, że wrogowie też mają anioły. I o tym, że anioła można zabić.

– Wysyłamy nasze anioły, by walczyły z ich aniołami... – przypomniał sobie. Miał wrażenie, że te obrazoburcze słowa palą jego usta. Wysyłać... Jak można było w ogóle poważnie się na to, by rozkazywać istotom tak bardzo przewyższającym ludzi, tak doskonałym...

– A także z ich myśliwcami, artylerią i całą resztą sprzętu wojskowego. I jak to na wojnie, czasem broń wychodzi z walki bez szwanku, a czasem nie.

Krzysztof poczuł, że przechodzi go dreszcz. Te istoty, świetliste kształty na dziedzińcu... Chodzące doskonałości. Nie powinny ginąć. W żadnym razie. I na pewno nie na polecenie ludzi.

– I właśnie dlatego to ja wydaję im rozkaz do ataku, nie ty – usłyszał za plecami głos Joanny. Znowu odgadła, o czym myślał. Odwrócił się. Kobieta siedziała bokiem na krześle, spoglądając na niego.

– Jak?

– Ultradźwięki. Więcej nie musisz, a nawet nie powinieneś wiedzieć. W tym całym budynku tylko ja wiem, jak obsługiwać komunikator. Który, tak na marginesie, jest świetnie zabezpieczony przed osobami nieuprawnionymi. Uprzedzam, na wypadek gdyby przyszło ci do głowy komunikować się z tymi tam, manifestacjami.

– I tak po prostu wysyłamy je do walki?

– Tak po prostu.

– Ale to... to nieludzkie! Tak nie można! Nie ICH!

Joanna westchnęła.

– Oni nas ocalili. Podobno – zastrzegła od razu. – Bez nich nie mielibyśmy szans w starciu z wrogiem. Który, przypominam, nie ma skrupułów w wykorzystywaniu swoich aniołów. Bez nich, a przynajmniej tak szacują dowódcy wojskowi, Polska straciłaby już co najmniej połowę terytorium. I to są te optymistyczne prognozy. Można by wręcz powiedzieć, że Bóg wynagrodził swój, że się tak na Mickiewicza powołam, naród wybrany i zesłał mu obrońców. Jeśli ktoś oczywiście wierzy w Boga i w takie rzeczy. Można by też uznać, że staruszek – ja co prawda w niego nie wierzę, ale i tak mnie ten koncept bawi – wykazał się straszliwie pokrętnym poczuciem humoru, dając temuż narodowi broń, z której korzystać umieją tylko niewierni – parsknęła.

Już miał jej odpowiedzieć, by nie ośmielała się żartować z takich spraw, kiedy poczuł, że coś się zmieniło. Nie w nim, nie w pokoju, raczej w... atmosferze? W tym wciąż wyczuwalnym blasku, który płynął z dziedzińca. Zmarszczył brwi. To było dziwne uczucie, jakby bolesne pulsowanie z tyłu głowy.

– Test zakończony – oznajmiła nagle Joanna. Kiedy spojrział na nią, zauważył, że przez cały czas nie spuszczała z niego uważnego spojrzenia. Już się nie śmiała, była wręcz śmiertelnie poważna. – Czas wziąć się do roboty, obserwatorze.

Wstała, podeszła do żelaznych drzwi, przekreśliła klucz w zamku i odsunęła rygiel. Nie oglądając się na niego, wyszła na dziedziniec. Krzysztof powoli, niepewnie zaczął przechodzić przez pokój. Każdy krok przybliżał go do sączącego się przez szparę zostawioną przez niedomkniętą furtkę blasku. I do NICH.

Wziął głęboki oddech. Jeden, drugi. Spróbował sięgnąć w głąb siebie, by przekonać się, czy wciąż ma na tyle silną wiarę, by JE zobaczyć. Może tak, może nie. Nie wiedział. Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Pchnął furtkę i wyszedł na dziedziniec. A raczej próbował wyjść, bo zamarł w pół kroku, spoglądając w oszołomieniu na to, co się przed nim roztaczało. To nie był ten sam plac co poprzednio. Aniołów było więcej, ale te, które dołączyły...

Blask mógł krwawić. Mógł brudzić posoką płyty chodnikowe. Mógł zostać okaleczony. Mógł cierpieć. Mógł umierać...

Wszędzie była błyszcząca krew, wszędzie były pokrwawione pióra. Wszędzie były ranne anioły, snujące się pomiędzy swoimi zdrowymi towarzyszami, którzy spoglądali na okaleczonych z taką samą dziecinną fascynacją, z jaką wcześniej obserwowali czubek głowy Joanny. Czy cokolwiek innego. Jak dzieci...

Joanna stała pomiędzy nimi, jedną nogą w kałuży lśniącej krwi, której nie dostrzegła. Obok anioła pozbawionego połowy skrzydła, obojętnie oglądającego postrzępiony kikut, który kiedyś był jego ręką. Ona ich nie widziała. Patrzyła na niego.

– Druga połowa oddziału wróciła z rajdu – powiedziała. – Musisz oszacować straty.

Krzysztof tępo skinął głową i wyszedł na dziedziniec, prosto w pióra i krew.

Rafał W. Orkan

Urodzony we Wrocławiu 10 kwietnia 1980 roku.

Debiutował w czerwcu 2007 w „Science Fiction, Fantasy i Horror”, ale rozkwitł i literacko dojrzał w Zakużonych Warsztatach periodyku internetowego „Fahrenheit”.

Dotychczas ukazały się jego powieści *Głową w mur* i *Dziki Mesjasz*.

Wewnętrznie niezdolny do podporządkowania się systemowi państwowej edukacji, porzucił szkołę, skutkiem czego w rubryczkach poświęconych wykształceniu wpisuje dziś „podstawowe”. Zawodu wyuczonego brak, wykonywał i wykonuje zaś prace najróżniejsze – od wypału węgla w Bieszczadach do magazynowania elektroniki i odzieży, po drodze między innymi budując, wyburzając i grzebiąc w ziemi.

Jest miłośnikiem zimnej muzyki, mięsistej poezji, czarnych myśli i przedmiotów upakowanych czerwoną farbą. Książki czyta od czwartego roku życia, najchętniej oczywiście fantastykę.

Pisanie traktuje jak uzależnienie, od którego nie sposób się uwolnić, oddając mu się z największą rozkoszą. Za swego najgorszego wroga uważa sen – podstępnego zdrajcę, którego stara się wystrzegać jak ognia.

Osobnik trudny w obsłudze, rozkochany we wszystkim, co ma ostrza. Aż dziw, że żona i córka z nim wytrzymują...

**Rafał
W. Orkan**

Wystawa okrucieństw

*Asylums with doors open wide,
Where people had paid to see inside.
For entertainment they watch his body twist,
Behind his eyes he says, 'I still exist'.
„Atrocity Exhibition”
Joy Division*

*Azyl z drzwiami szeroko otwartymi,
Z ludźmi, by zajrzeć do środka, płacącymi.
Dla rozrywki patrzą, jak jego ciało się wije,
On wyrazem oczu mówi: „Ja jeszcze żyję”.
„Wystawa okrucieństw”
Joy Division
Tłum. Krzysztof Oblucki*

Nie jest ze mną jeszcze tak źle, pomyślała Anna, patrząc w lusterko. Wciąż miała jędrną skórę i ten błysk w oku, który tak lubiła i za który zapłaciła tylko pół ceny, korzystając z wiosennej promocji. Od ostatniego zabiegu nie minęło znowu tak wiele i gdyby tylko chciała, mogłaby zawrócić w głowie niejednemu młodzikowi. Jej ciało świetnie prezentowałoby się w otwartej trumnie, o ile ładnie by je przyodziać. Anna w myślach dobrała odpowiednią sukienkę, która doskonale podkreśliłaby jej największy atut – mocno wciętą talię. Z twarzą też nie było najgorzej; mimo długiego wpatrywania się we własne odbicie nie znalazła ani jednej zmarszczki wokół oczu. Jedyne kąciaki ust zaznaczały się drobnym defektem, ale tę maleńką ułomność akurat lubiła – nadawała jej charakteru i sprawiała, że Anna zawsze wyglądała na uśmiechniętą.

– Mamo, jejku! – Wiktoria weszła do kuchni i, jak to miała w zwyczaju, trzasnęła dłońmi o blat, jakby żądała w ten sposób natychmiastowego wydania posiłku. Tacka z makaronem sojowym już przed nią stała. – Naprawdę przesadzasz z tymi oszczędnościami. Jeśli chcesz sobie coś poprawić, to zrób to.

– Tak po prostu? – Anna rzuciła córce pełne politowania spojrzenie.

Wiktoria wzruszyła szczupłymi ramionami. Piżama w różowe króliczki pofałdowała się przy kołnierzyku, więc dziewczyna jęła ją odruchowo wygładzać, drugą ręką sięgając po widelec.

– Chyba nie jest z nami tak źle? – dodała już z pełnymi ustami.

– Nie jest, ale w każdej chwili może być. – Anna odgarnęła z czoła równo przyciętą grzywkę. – Myślisz, że powinnam?

Wiktoria uśmiechnęła się szeroko. Wciągając ustami niesformą nitkę makaronu, sięgnęła do kieszeni piżamy.

– Wesołych świąt, mamo.

Anna odebrała kopertę, natychmiast wyciągając z niej laminowany kartonik, który okazał się karnetem na kilkuetapową sesję permanentnego pociemnienia karnacji w jednym z najlepszych salonów w mieście.

– Och, Wiki! Nie musiałaś. Jejku, dziecko kochane, wydałaś chyba połowę miesięcznego kieszonkowego?

– Wszystko dla mojej mamci – odparła dziewczyna, posyłając jej całusa.

Anna odstawiła lusterko na bok i wstała od stołu, kierując się do przedpokoju.

– Czekał, kochanie, mamusia też ma dla ciebie gwiazdkowy prezent – zawołała.

Po chwili wróciła, trzymając w dłoni kopertę podobną do tej, jaką dostała od córki.

Cmoknąwszy Wiktorię w policzek, położyła podarek obok talerza.

– Co to?

– Sprawdź.

Wiktoria, przelknąwszy ostatni kęs, zajęła się otwieraniem prezentu.

– Pomyślałam, Wiki, że skoro masz już czternaście lat, przyda ci się coś takiego – powiedziała przepraszającym tonem Anna, sadwiąc się na powrót za kuchennym stołem. – Tylko pamiętaj, nie musisz się wcale spieszyć. Na wykorzystanie tego masz jeszcze sporo czasu, kupon traci ważność dopiero za pięć lat.

Wiktoria wydobyla z koperty oblepiony złocistym brokatem prostokąt, na którym pierwsze rzucały się w oczy stylizowane litery układające się w nazwę kliniki dokonującej sztucznych poronień – „Pure Womb”. Kupon upoważniał do jednej darmowej aborcji w trakcie najbliższych pięciu lat.

– Dzięki, mamó.

– Zadowolona?

– Może być. – Dziewczyna mrugnęła do matki porozumiewawczo, zanosząc tacę do zmywarki. – Wybywam dziś na małą imprezkę.

Anna zajęła się parzeniem kawy, nie przerywając rozmowy.

– Chcesz w Wigilię wychodzić na miasto?

– No właśnie tym bardziej, że w Wigilię. Urządzamy sobie z Pati i Andżeliką rajd po galeriach. W „Siódmym niebie” będą częstować darmowymi sorbetami.

– Wolałabym, żebyś się pouczyła.

– W święta? Oszalałaś! – Wiktoria wymownie postukała się w czoło. W różowych tęczęwkach jej oczu błysnęły iskry oburzenia. – Poza tym ty też wychodzisz.

– Ale ja nie idę się bawić, tylko pracować.

– Wcale nie musisz.

– Chyba jednak muszę, skoro moja córka nie potrafi nawet w święta odpuścić sobie zakupów.

Anna zaciągnęła się aromatem świeżo zaparzonej kawy i wręczyła córce kubek bezkofeinowej.

– Po świętach będziecie chyba przerabiali „Cztery wesela i pogrzeb” – dodała po chwili.

– Zgadza się?

Wiktoria wzruszyła ramionami i obejmując kubek obiema dłońmi, oparła się o zmywarkę.

– Strasznie to długie. I nudne jak flaki z olejem – skrzywiła się, jakby trafiła na pływającą w kawie muchę. – Obejrzę sobie klip ze streszczeniem.

– Wiki, streszczenie nie jest prawdziwym filmem. Jeśli nie będziesz oglądała szkolnych lektur, nie dostaniesz się do dobrej szkoły i skończysz jak jakaś biedna kasjerka w spożywczym, która codziennie widzi tylko tych pomarszczonych staruszków bez Internetu.

– Mamó, ale ja już widziałam ten film.

– Dawno i nieprawda.

Wiktoria zmierzyła matkę pełnym litościwej dezaprobaty spojrzeniem i odstawiła pusty kubek do zmywarki, w ślad za brudną tacką.

– Idę się przygotować do wyjścia. Ty lepiej zrób to samo, bo wszystkie okazje przelecą ci koło tego bladego nosa.

Zrezygnowana Anna westchnęła ciężko i ziewając, wróciła do stołu, gdzie odstawiła niedopitą kawę, by ponownie spojrzeć w lusterko. Faktycznie jestem blada – pomyślała, spoglądając krytycznie na niemodną jasnoorzechową barwę własnej cery. Przyda jej się ten karnet do salonu kosmetycznego. Może zażyczy sobie czekoladowego brązu? Ale co wybrać? Zaszaleć z gorzką czekoladą czy zatrzymać się na mlecznej?

Życie jest pasmem nieustających wyborów.

Może zrobić sobie nowe tęczówki?

* * *

Annę niezmiernie cieszył fakt, że pracowała w terenie. Rzadko gnębiła ją nuda, a jeśli nawet zdarzało jej się długo siedzieć w miejscu, zawsze mogła pooglądać telewizję. Ileż to zawodów pozwalało na taki luksus? Nie musiała się spieszyć. Pogoda była wyjątkowo ładna i nie zapowiadało się, by stan ów miał ulec zmianie. Już od kilku dni nie padał deszcz, wiatr przypominał o sobie, zaledwie muskając policzki i niezauważalnie głaszcząc bezlistne konary drzew, temperatura zaś osiągała charakterystyczne dla drugiej połowy grudnia dwadzieścia stopni.

Mimo typowego gwiazdkowego tłoku droga do pracy okazała się przyjemnie spędzoną godziną, w czasie której Anna mogła podziwiać pięknie przystrojone witryny sklepów – chciałoby się dosłownie przylgnąć i wpatrywać się w nie aż do noworocznej zmiany wystroju. Na Gładkiej, zaraz za skrzyżowaniem z Myśliwską, mijała dom pogrzebowy „Acheron”, na którego wystawie rozneglizowane piękności o prawdziwie gotyckich, anorektycznych walorach zapraszały do świątecznych zakupów. Wielkimi migoczącymi literami ogłaszano promocję na trumienki dziecięce: jedna trumienka za pół ceny i wideoportrecik gratis. Obok stały trumny będące wizytówkami sklepu; były takie o wyglądzie butelki coca-coli, ekskluzywnej torby podręcznej czy nawet żółtego kontenera na śmieci, a także trumny podwójne, szklane, futurystyczne, okrągłe, wibrujące i samogrające, które bez przerwy odtwarzały składanki hitów ostatniego lata. Anna zapatrzyła się na witrynę, myśląc o swojej pracy, i uśmiechnęła się w duchu na myśl, że tak niemiły wypadek jak śmierć, zwłaszcza ta, do której dochodzi w tragicznych okolicznościach, może przynajmniej znaleźć ładne i dostojne zwieńczenie.

Do szpitala dotarła kwadrans przed czasem, bez pośpiechu przemaszzerowawszy przez przystrojony choinkami dziedziniec. W okienku rejestracji podała wykupiony wcześniej bilet

i pobrała kartkę z hasłem do elektronicznego formularza, koniecznego, by móc w trakcie opłaconych ośmiu godzin jeździć wraz z określonym zespołem sanitariuszy do każdego wezwania. Usadowiwszy się wygodnie na krześle, rozwinęła monitor przed sobą, palce kładąc na rozświetlonej klawiaturze wbudowanej w kryształowy blat. Formularz wypełniła rutynowo:

Imię: Anna

Drugie imię: Walentyna

Nazwisko: Kolęda

Numer identyfikacyjny: 5INS8GE1 (Kiedyś miała numer 5EXBOMB4, ale szybko go zmieniono, gdy tylko ktoś zauważył oczywistą niepoprawność takiej kombinacji znaków).

Dalej widniało wyjaśnienie – PODKREŚLIĆ WŁAŚCIWE – a poniżej:

Płeć: żeńska, męska, interpleć, inna

Rodzaj wypadków: drogowe, domowe, w miejscu pracy, ofiary przemocy

W obu linijkach podkreśliła pierwsze opcje i zatwierdziła wypełniony formularz, odbierając wydruk z hasłem wywoławczym.

Teraz nie pozostało jej już nic innego, jak tylko udać się do poczekalni, gdzie z zadowoleniem zauważyła, że jest sam na sam z telewizorem. Przełączywszy na jeden z ulubionych kanałów, podeszła do automatu migającego czerwonymi i zielonymi diodami. Wzięła kawę z mlekiem i podwójnym cukrem oraz pigułkę empateksu, którą połknęła, popijając gorącym napojem. Rozsiadłszy się wygodnie w podgrzewanym fotelu, patrzyła w telewizor, oczekując na wywołujące ją z głośnika hasło.

„Z nikim nie zabijesz czasu tak przyjemnie jak z telewizją Hack & Slay” – zagrział przerywnik prezentujący stację, po którym wyświetlono dwudziestominutowy blok reklamowy – „guma do żucia BLOWJOB jest dobra nie tylko do żucia” – a po nim pojawiła się czołówka trzysta osiemdziesiątego pierwszego odcinka telenoweli gorno, zatytułowanej „Prosektorium na ulicy Namiętnej”. Ponieważ empatex zaczął już buzować we krwi, Anna wrzuciła się do żywego, śledząc perypetie niefrasobliwego mordercy i jego przyjaciół. Piętnastominutowy odcinek skończył się, rozpoczął kolejny, a potem jeszcze jeden, lecz głośnik milczał. Anna zaczęła wiercić się w fotelu, coraz obojętniej spoglądając w telewizor – działanie pigułki nie było już tak odczuwalne – i nachodziła ją obawa, że może się powtórzyć scenariusz sprzed dwóch tygodni, kiedy to przesiedziała całe osiem godzin w pustej poczekalni.

Gdy na ekranie telewizora pojawił się kolejny blok reklamowy, do poczekalni wszedł młody mężczyzna o urodzie kalifornijskiego surfera, odziany w sportową marynarkę i starannie wytarte džinsy.

– Dawno cię nie widziałem – oznajmił, siadając w fotelu obok Anny. – Bilet na szesnastą?

– Na trzynastą trzydzieści – odparła, nawet nie starając się ukryć irytacji.

– Oho! Aż tak kiepsko?

– Jak widać.

Mężczyzna poczęstował ją miętówką i zapalił bezdymnego papierosa.

– Nie mam pojęcia, skąd twoje przywiązanie do drogowych, Anka? Przecież to najrzadsze wypadki. Dlaczego nie wybierzesz choć raz innej opcji?

– A skąd wiesz, że nie wybrałam?

– A wybrałaś? – zapytał z niedowierzaniem.

Pokręciła głową.

– No widzisz, ja zawsze mogę liczyć, że coś się wydarzy.

– Słuchaj, Piotrek – oderwała na moment wzrok od telewizora – twoja sprawa, jeśli lubisz ofiary przemocy. Nawet to rozumiem...

– Zawsze coś innego. I z ciekawą historią do dodania.

– Ale ja nie mogę znieść myśli, że ludzie robią to ludziom. Wiesz, bez powodu. Albo i z powodem, ale rzadko słusznym. W każdym razie nieczęsto stoi za tym jakaś sprawiedliwość, jak w telenowelach. W życiu to raczej podłość, okrucieństwo i zła wola.

– To się dobrze sprzedaje – wyjaśnił Piotr, jakby tłumaczył się z własnych grzechów.

– Tak, wiem. Zdaję sobie sprawę, że widzów to uwrażliwia na cudzą krzywdę... że mogą w ten sposób zrozumieć motywację zabójców, którzy przecież nie rodzą się zli, ale jakoś mi z tym ciężko...

Wykonał w odpowiedzi niedbały przeproszający gest.

– Chodzi mi o to – kontynuowała – że łatwiej mi się pogodzić z cierpieniem, jeżeli wynika ono z przypadkowego zrzędzenia losu.

– I dlatego wolisz drogowe? A co z domowymi czy wypadkami w pracy?

Anna zamilkła na chwilę, udając, że przygląda się reklamie proszku do usypiania psów.

– Po prostu – nie wiedziała, jak to wyjaśnić – wiesz... oni po prostu jeszcze żyją. Zazwyczaj.

Mężczyzna pokiwał głową, udając zrozumienie, i nagle wskazał ręką w kierunku telewizora.

– Patrz, zaczyna się „Tragedia z życia wzięta”. Niedawno sprzedałem im materiał z miejsca potrójnego morderstwa.

– Ta... zaraz pokażę moją relację. – Anna przetarła oczy i zmieniła pozycję w fotelu. – Oglądaj, to może pojmiesz, o co mi chodzi.

Po czołówce z charakterystycznym dźwiękiem w tle w kadrze pojawił się zgnieciony samochód, dosłownie wbity w bok ciężarówki. Rozedrgana kamera dotarła do wraku od strony kierowcy. W strzaskanym pojeździe tkwiły dwie osoby: młody chłopak za kierownicą i dziewczyna na miejscu pasażera. Kamera zatrzymała się na kilka chwil właśnie na niej, nieruchomej, wygiętej w nienaturalny sposób. Obraz się wyostrzył, ogniskując na zmasakrowanej twarzy, pozbawionej gałek ocznych, które wprasowały się w potłuczoną

przednią szybę. Oczywistym było, że dziewczyna już nie żyła; pogięta blacha niemal rozerwała ją w pasie. Nie sposób było określić, gdzie kończy się martwe ciało, a zaczyna materia nieożywiona. Kamera powędrowała nieznacznie w bok, prezentując ciemnoszarą rękę, pękniętą wzdłuż chudego bicepsa jak ściśnięty w dłoni banan. Po chwili jednak w kadrze na powrót pojawił się kierowca. Chłopak miał nogi oderwane od miednicy, jednak wciśnięta weń blacha na tyle spowolniła krwawienie, że ofiara wciąż trzymała się przy życiu. Głowa oparta o kierownicę, oczy przymknięte, lecz usta poruszały się bez ustanku, jak gdyby wypowiadając niekończące się zaklęcie. Kamera co rusz przybliżała się, ogniskując na samych ustach, na drżącej twarzy z niedookreślonym grymasem, to znów oddalała się, by objąć całą karykaturalnie poskręcaną sylwetkę. Przez moment dało się zauważyć ruch dłoni wiszącej za oknem, wykręconej pod osobliwym kątem, a niedługo później chłopak nagle uniósł głowę. Zdawało się to niemożliwe, wręcz wstrząsające, jakby zobaczyć ożywionego trupa. W tle dało się słyszeć westchnienie nagrywającej to wszystko kamerzystki, westchnienie przeszło w nieartykułowany szloch, a następnie w słowa:

– Ach, jakie to straszne. Jak okrutny potrafi być los i jak bezlitośnie się z nami obchodzi. To tak potworny widok, że... że... ledwie mogę patrzeć. Mam nadzieję, że widzicie to równie wyraźnie jak ja teraz. Co za tragedia... I nic nie można zrobić. Strażacy wokół mnie próbują wprawdzie jakoś wydobyć tych biednych ludzi, robią, co mogą, i właśnie przygotowują się do cięcia blachy, ale... – Chłopak zdołał oprzeć się o wygięte do przodu oparcie fotela i jęknął. – Widzieliście to państwo? O Boże! Wciąż ma zamknięte oczy, być może jest całkiem nieprzytomny, lecz jeśli jednak czuje ten ból? Jeśli jest świadom swoich ran oraz że jego ukochaną niepowstrzymana siła pozbawiła ludzkiego wyglądu, zmieniając to piękne niegdyś ciało w nieskładne skupisko krwawych strzępów? O Boże! O Boże! Kochankowie aż po grób... Ale czy on czuje ten ból? Czy jest świadom, co ich spotkało?

Głos Anny z offu drżał z przejęcia. Kamera wpuściła strażaków w kadr, ale zaraz przebiła się znowu.

– Czyżby umierał? – słysząc to, najbliższy strażak przesunął się, wpuszczając kamerę pod samo okno, za którym kierowca właśnie opadł spazmatycznie z powrotem na kierownicę, jakby ją namiętnie całował, po czym zaczął przejmująco charczeć. Charkot ów dobywał się z głębi trzewi i zdawał się bardziej zwierzęcy lub wręcz demoniczny niżli ludzki. Wreszcie zamienił się w świńskie rżenie, nieporównanie cichsze, jakby stłumione i mające swe źródło nie w chłopaku, lecz gdzieś głęboko pod nim, gdzie skryła się zmutowana bestia, potwór o pysku wieprza i ludzkiej przeponie. Kadr znieruchomiał, zupełnie jakby kamerę oparto na statywie. Znieruchomiał również kierowca, z wysuniętym na dolną wargę koniuszkiem nadgryzionego języka i sierpowatym księżycem białka wyzierającego spod przymkniętej powieki. Z offu znowu dało się słyszeć głos Anny, tym razem niżony niemal do szeptu brzmiącego nabożną czcią:

– O mój Boże... To już koniec. Brak mi słów, naprawdę. Tak łatwo stracić życie, a tak

trudno je właściwie docenić. Potworność...

Kamera uniosła się jeszcze do pasażerki obok, wróciła do nieruchomego kierowcy, oddaliła się, obejmując cały wrak, po czym obraz pociemniał i nastąpiła zwyczajowa cisza.

Chwilę później zaczęły się reklamy.

– Widzisz teraz, Piotrek? – zapytała Anna.

– Coś jest na rzeczy – odparł szczerze. – Szkoda, że nie wziąłem empateksu.

W tym momencie z głośnika dało się słyszeć hasło wzywające Piotra:

– Kod czerwony osiem cztery „ogryzek”. Powtarzam, kod czerwony osiem cztery „ogryzek”. Powtarzam...

– Czas na mnie.

Anna znowu została sama w poczekalni. Zakłęła pod nosem i kupiła kolejną pigułkę, po czym przełączyła telewizor na niszową stację, propagującą kulturę wysoką i pokazującą klasykę filmową. Kobieta trafiła na „Króla lwa”, cofnęła film do początku i rozsiadła się wygodnie z nadzieją, że empateks zacznie działać, zanim zginie ojciec Simby.

* * *

– I jak ci wczoraj poszło, mamó?

Wiktoria zajadała na śniadanie beztłuszczowe kremówki, popijając sokiem z rabarbaru. Po drugiej stronie stołu Anna przeglądała poranną prasę na kuchennym wyświetlaczu.

– Przesiedziałam osiem godzin w fotelu. Nic nie było, nawet poturbowanego rowerzysty czy czegokolwiek...

– Kiepsczyna.

Anna westchnęła głęboko.

– Ostatnio nie jest różowo, córeczko. Nie dość, że na ulicach jest coraz bezpieczniej, to jeszcze ci dzicy reporterzy...

– Co z nimi?

– No wiesz... dojeżdżasz na miejsce wypadku, a tam już dziesiątki gapiów i każdy z komórką. Każdy nagrywa to samo co ty, i to wcześniej, niektórzy mają nawet szczęście zarejestrować sam wypadek. A później sprzedają te swoje gniotowate, nieumiejętnie zrealizowane nagrania, bez żadnego komentarza i w ogóle, za jedną dziesiątą tego, co ja otrzymuję za swoje fachowe relacje. I jak ja mam później z czymś takim konkurować? Ilość zawsze górowała nad jakością, no i jeszcze ta kwestia ceny. Przecież jak tak dalej pójdzie, nie będę w stanie nas utrzymać.

– Powinni ich zdelegalizować.

– Kogo?

– No, tych dzikich reporterów.

– A, no tak. – Anna machnęła ręką. – Żebyś wiedziała. Wiesz, Wiki, oni nawet się nie

pofatygują, żeby wezwać pogotowie. Zależy im tylko na nagraniach. I jeszcze biadolą później i rozpaczają, jak ich się weźmie na przepytywanki przed kamerą, że to takie straszne, że nic nie mogli zrobić i tak dalej...

– Gnojki.

– Nie wyrażaj się. Ale masz rację, parszywe gnojki. Zanim ktokolwiek się pofatyguje, żeby wezwać pogotowie, większość widowiska już mi przepada. Coraz częściej dojeżdżam do denatów, a materiał na tym cierpi. – Poirytowana Anna zabrała córce jedną kremówkę z talerza. – Wiesz, jaką dziką relację ostatnio widziałam? Karambol, sześć samochodów. Z jednego wyczołguje się ojciec z niemowlęciem na rękach i w tym momencie samochód zaczyna się palić z matką i dwójką pozostałych dzieci w środku. A ojciec z tym najmłodszym w ostatniej chwili unikają śmierci. Rozumiesz? Jakim cudem mam rejestrować takie rzeczy, skoro przez te hieny nie mogę zdążyć na czas? Tym bardziej że ostatnio zaczyna brakować naprawdę widowiskowych wypadków.

Wiktoria wstała i pocałowała mamę w policzek.

– Będzie spoko, mamcia.

Ale nie było. Przez kolejne osiem dni Anna tylko dwa razy pojechała do wypadku, przy czym raz obyło się bez większych obrażeń, a więc i tak nie było czego filmować, a za drugim razem osiemdziesięcioletni staruszek tak wkręcił się pod koła tramwaju, że nie za wiele było widać i materiał wyszedł tak kiepski, że żadna stacja nie chciała go kupić. W końcu Annie udało się go sprzedać za marne grosze jakiejś słabo znanej telewizji, która wykorzystwała z całości zaledwie jedno ujęcie, wmontowane później do krótkiego klipu dokumentalnego traktującego o pracy motorniczych. Anna powątpiewała, by ktokolwiek poza samymi twórcami kiedykolwiek obejrzał ten program.

* * *

– Co to jest? – Wiktoria stuknęła palcem w monitor komputera. U góry ekranu widniał napis „Kulisy zbrodni”. Pod nim wyświetlała się lista nazwisk, a przy każdym małe zdjęcie.

– To portal skupiający morderców – odparła Anna. – Wielu z nich, zwłaszcza tych seryjnych, ma tu swoje profile, a na nich krótkie historie o ich trudnym dzieciństwie, przemyslenia na temat presji społecznej i wszystkiego, co skłoniło ich do zabijania, a także zdjęcia z miejsc zbrodni, rzadziej krótkie filmiki oraz różne inne ciekawe szczegóły.

Wiktoria wydeła usta. Spojrzała na matkę jak na śmierdzącą rybę i cofnęła palec od monitora.

– Nie lepiej po prostu obejrzeć sobie to w telewizji?

– Telewizja nie wyjaśnia motywacji ich działań, nie przedstawia samych morderców. – Przeniosła wzrok na córkę. – Zostaw mnie samą, kochanie. Muszę się na tym trochę skupić.

– Ale po co?

– Jest mi to potrzebne do pracy.

Dziewczyna poklepała mamę po ramieniu i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Anna przewijała dalej listę, ale nie znalazła niczego, co by ją zainteresowało. Zaczęła więc szukać w innej grupie, wciąż bijąc się z myślami, rozważając różne za i przeciw. Wreszcie w gromadzie skazanych na kurs resocjalizacyjno-edukacyjny „Nowe dusze” trafiła na profil niejakiego Krzysztofa Butki-Morowieckiego, zamieszkałego w tym samym mieście co Anna i skazanego na trzy lata za zamordowanie czterech dziewcząt. Kursant miał odzyskać wolność już za niecały tydzień. Anna przejrzała informacje, które umieścił na swój temat – w dzieciństwie nękany psychicznie przez surowego ojca i oziębłą matkę, przeszedł bardzo ciężką chorobę jako nastolatek, po czym został nauczycielem w szkole publicznej. Zamordowane przez niego dziewczęta – jedna trzynastoletnia i trzy piętnastoletnie – oferowały usługi natury seksualnej w zamian za alkohol, którego same nie mogłyby kupić ze względu na zakaz sprzedaży używek nieletnim. Morderca twierdził, iż nie mógł znieść myśli, że tak młode osoby profanują własne ciała trującymi napojami w rodzaju wódki z sokiem. Poniżej znajdował się odnośnik do galerii zdjęć ofiar. Anna przejrzała je pobieżnie, nie zatrzymując wzroku na pokiereszowanych nagich zwłokach i przyznając w duchu, że coś takiego by jej w zupełności wystarczyło. Następnie odszukała numer komunikatora i zatwierdziła chęć połączenia. Założywszy słuchawki, przytknęła mikrofon do ust i czekała.

– Tak? – usłyszała niski i ciepły głos.

– Czy mam przyjemność z panem Krzysztofem Butką-Morowieckim? – zapytała niepewnie.

– To ja. Chyba się nie znamy?

– Nie. Nazywam się Anna Kołęda. Znalazłam pana na portalu „Kulisy zbrodni”.

– Proszę, słucham panią.

Anna zawahała się przez moment, lecz po chwili zaczęła wyrzucać z siebie słowa, nawet się nad nimi nie zastanawiając:

– Bo widzi pan, jestem dziennikarką telewizyjną, dokumentalistką. Na co dzień jeżdżę z ambulansami do wypadków drogowych. Interes zaczyna jednak ostatnio coraz bardziej podupadać, jest trudniej niż dotychczas, pomyślałam więc sobie... hmm, czy pan mnie wyraźnie słyszy?

– Zapewniam panią, że tak. Proszę sobie nie przeszkadzać.

– Bardzo pan uprzejmy, dziękuję. No więc chodzi o to, że znajomy zaproponował mi, żebym przestawiła się na ofiary przemocy, tyle że... widzi pan, ja jestem przyzwyczajona do nieco innego trybu pracy.

– Co pani ma na myśli? – głos w słuchawkach wyrażał szczere zainteresowanie.

– Z ofiarami przemocy to jest tak, że albo już nie żyją, albo wcale nie umierają. A jeśli już, to dopiero w szpitalu. A ja celuję w materiały ukazujących prawdziwe ludzkie cierpienie, związane z przedostawaniem się na drugą stronę, jeżeli rozumie pan, co mam na

myśli.

– Po prostu filmuje pani ostatnie chwile tych ludzi, tak?

– Dokładnie. Ale niezupełnie... Chodzi mi raczej o to, żeby widz mógł zajrzeć umierającej ofierze w oczy i naprawdę zrozumieć, co się dzieje w umyśle takiej osoby. Pragnę wysłać widza w podróż, która dla filmowanego będzie tą ostatnią, a dla widza ma stanowić kolejne ważne doświadczenie w życiu, takie, które nim naprawdę wstrząśnie i poruszy do głębi.

– Zależy pani na wrażliwości?

– Słucham?

– Zależy pani na tym, by widzowie dotarli do najgłębszych pokładów swojej wrażliwości. Chce pani, by w pewnym sensie cierpieli razem z tymi, na których patrzą. Zgadłem?

– Bo ja wiem? – zawahała się.

– Myślę, że mam rację, tylko nie umiem tego wystarczająco jasno wyrazić. Próbuje pani swoją sztuką, jak miemam, pokazać prawdziwe oblicze śmierci, a co za tym idzie, odpowiednio docenić życie.

Anna myślała dłuższą chwilę. W słuchawkach zapadła taktowna cisza.

– Myślę – powiedziała w końcu – że utrafił pan w sedno.

– Cieszę się.

– Ja również. To znaczy... cieszę się, że pan mnie rozumie.

– I skontaktowała się pani ze mną, by zapytać, jak to jest samemu zadać śmierć?

– Ależ nie, skądże! – wybuchła nerwowym śmiechem. – Zupełnie nie o to mi chodziło.

– Więc o co?

– Bo widzi pan... Pomyślałam sobie, że skoro kończy pan ten przymusowy kurs już za sześć dni...

– Tak?

– A czytałam, że skuteczność kursu wynosi trzydzieści osiem procent. To znaczy, że tylko te trzydzieści osiem procent przez najbliższe dwa lata nie wraca do przestępczego procederu.

– To prawda.

– A czy pan... czy pan czuje się wyleczony? Znaczy, chciałam powiedzieć, zresocjalizowany?

– Słucham?

– Pomyślałam sobie – przerwała, by odchrząknąć – że jak już pan wyjdzie, to różne rzeczy mogą się zdarzyć. To znaczy nie wie pan chyba w tej chwili, czy na pewno nie zrobi pan tego znowu?

– Ma pani oczywiście na myśli morderstwo?

– Nie znam się na tym zbyt dobrze, ale myślę, że takie rzeczy po prostu się zdarzają. Że być może zrobi to pan niedługo po zakończeniu kursu, na przykład tydzień później... I nie

byłoby w tym niczyjej winy. To znaczy na pewno nie pana, no i nie mojej.

– Chyba nie do końca rozumiem...

– No bo to raczej byłaby wina systemu, prawda?

– Czy ja dobrze rozumiem, że pani coś mi sugeruje? Anna musiała wypić łyk wody z butelki stojącej nieopodal. Zupełnie zaschło jej w gardle.

– Ależ nic z tych rzeczy. Po prostu wzięłam pod uwagę taką możliwość. No i tego... chciałam skorzystać, jakby co.

– Ale skorzystać z czego? Proszę mówić wprost.

Zebrała się w sobie i wypaliła:

– Chciałabym sfilmować pańską kolejną ofiarę. O ile oczywiście w ogóle dojdzie do kolejnego morderstwa, a życzę panu, żeby nie doszło, oczywiście...

– Oczywiście.

– Ale gdyby...

– Mam panią zawiadomić.

– Gdyby był pan tak miły?

– Ale co to pani da? Czy nie wyjdzie na to samo co jeżdżenie z ambulansem?

– Niezupełnie. Chciałam powiedzieć, że gdyby już doszło do tragedii... Ale wie pan, w razie czego, bo mam nadzieję, że nie dojdzie, to miałabym gorącą prośbę... ewentualnie.

– Tak?

– Gdyby tak ewentualna, hipotetyczna ofiara, która, jak mam nadzieję, nigdy nie stanie się ofiarą... nie pańską w każdym razie...

– Proszę przejść do rzeczy, za chwilę mamy tu sesję terapeutyczną. Nie chciałbym opuścić hydromasażu.

– Tak, oczywiście – poprawiła się Anna, zbierając się w sobie i modelując głos na bardziej zdecydowany. – Jeśli więc już będzie pan musiał kogoś zabić, prosiłabym, gdyby mógł pan być na tyle miły, żeby ofiara nie umarła od razu. Chodzi o to, żeby dożyła mojego przyjazdu. Ideałem byłoby, gdyby nie umierała też nazbyt długo, tak aby nie trzeba było później zanadto przycinać i montować nagrania, które nie powinno trwać dłużej niż kwadrans, aby nie zanudzić widza. A zbyt przycinany materiał przestaje być tak realistyczny, jak powinien.

– Rozumiem.

– Świetnie. Dam panu swój numer na komórkę.

– Ale proszę jeszcze poczekać. Nie powiedziała pani, co będę z tego miał. O ile oczywiście do czegokolwiek dojdzie.

– Cóż – zamilkła na moment – będzie pan miał wspaniały materiał, który idealnie nada się do umieszczenia w „Kulisach zbrodni”. Wyobraża pan sobie te komentarze pod filmem? A tę ilość odwiedzających pański profil użytkowników i gości?

Przez dłuższą chwilę Anna słyszała po drugiej stronie tylko ciężki oddech. Gdy Krzysztof

Butka-Morowiecki ponownie się odezwał, jego głos brzmiał już inaczej, sucho i twardo; ciepły tembr gdzieś się zapodział, podobnie jak łagodny sposób powolnego artykułowania wyrazów. – Czuję – wyznał – że ten kurs resocjalizacyjno-edukacyjny nie podziałał na mnie zgodnie z oczekiwaniami. I czuję też zaciskającą mi się na gardle, wywołującą wewnętrzny niepokój presję społeczeństwa.

* * *

Trzy tygodnie przesiedziane jak na szpilkach. W Annie narastały wątpliwości, gnębiąc niespokojnymi snami, w których widziała siebie z kamerą przyrośniętą do twarzy. W pracy wciąż nie szło jej najlepiej, mimo że kupowała bilety w różnych szpitalach. Na razie korzystała z oszczędności, ale te zwykły kurczyć się w ekspresowym tempie, gdy nie zasilano ich regularnie.

Pewnego chłodnego dnia odebrała telefon, po którym oblał ją zimny pot. W słuchawce usłyszała niski i ciepły głos Krzysztofa i ogarnęło ją przejmujące wrażenie, że oto postawiła krok, którego nie zdoła już za żadne skarby cofnąć.

Krzysztof opisał jej dokładnie miejsce, w które powinna się udać uzbrojona w kamerę. Wyszła niemal natychmiast, zostawiając jedynie notkę przylepioną do lodówki z informacją dla Wiktorii, że wróci wieczorem. Szybko złapała taksówkę i dopiero siedząc wygodnie z tyłu pojazdu, zdała sobie sprawę, że odczuwa emocje, jakich nie doświadczała już od bardzo dawna. To dobry znak, pomyślała, uspokajając się i napawając myślą, że nakręci świetny materiał. Przyłapała się na tym, że nie myśli o pieniądzach, które za niego otrzyma, lecz o wrażeniu, jakie zdoła być może wyrzucić na widzach. W tej samej chwili dotarło do niej, że rozważając swój zawód w tych kategoriach, z całą pewnością musi być prawdziwą artystką.

Z taksówki wysiadła kilka przecznic wcześniej, żeby dać sobie jeszcze parę chwil na uspokojenie. W automacie stojącym przy kiosku zakupiła pigułkę empateksu, po czym wrzuciła kolejną monetę, biorąc jeszcze jedną sztukę. To musi być dobre nagranie, myślała gorączkowo. Muszę się naprawdę wczuć w położenie ofiary.

Odnalazłszy odpowiedni numer bramy, popchnęła niezamknięte drzwi i weszła w półmrok klatki schodowej z opętańczo bijącym sercem. Podwójna dawka empateksu robiła swoje i Anna już teraz odczuwała zaczątki przejmującej rozpaczki nad losem tej biednej ofiary.

Schody do piwnicy wiodły bardzo stromo w dół, potem w lewo i jeszcze raz w dół. Na ścianach, zamknięte w siatkowych koszach, mętnym blaskiem mrugały landrynowate lampy. Odłóżąca całymi płatami farba sypała się na posadzkę, Anna zaklęła więc w duchu z powodu butów, które niechybnie ubrudzi do szczętu, zanim wyjdzie z tego siedliska pajaków i tłustych plam niewiadomego pochodzenia.

Gdy tylko znalazła się w długim korytarzu, ujrzała na jego końcu szaroniebieskie drzwi,

które opisał jej Krzysztof. Wyjmując z torebki kamerę, potknęła się na pustej butelce, niemal łamiąc obcas, co wywołało w niej falę gniewu i zniechęcenia. Zdoławszy jednak zebrać się w sobie, uniosła kamerę, kierując obiektyw na drzwi. Jej kroki niosły się pustym echem po całej piwnicy.

– Zbliżam się do miejsca – powiedziała, nagrywając – o którym poinformował mnie znany morderca. Udajcie się tam ze mną, a być może ujrzycie rzecz, która zmrozi wam krew w żyłach.

Odchrząknęła w kułak, otwierając drzwi. Odśloniło się przed nią dość przestronne pomieszczenie, na którego środku tkwił stół z przywiązaną do niego nagą, doszczętnie zakrwawioną dziewczyną. Zawieszona pod sufitem żarówka oświetlała sponiewierane ciało, broczące z niezliczonych ran. Nie ulegało wątpliwości, że to robota Krzysztofa; poprzednie ofiary zamordował w ten sam sposób, krępując je i tnąc na całym ciele potłuczonym szkłem, aż do zupełnego wykrwawienia.

Zadrżało w niej serce pod przemożnym wpływem dwóch pigułek empateksu. Zrozumiała, że dziewczyna, tak jak poprzednie ofiary, z pewnością jest nastolatką. Ujęła mocniej kamerę, obejmując widokiem całą sylwetkę.

– Proszę spojrzeć na to straszliwe znalezisko. Co za okrucieństwo, tak okaleczyć młodą, niewinną dziewczynę.

Ofiara drgnęła na dźwięk głosu Anny. Nie była w stanie się poruszyć, ale zdołała obrócić twarz w stronę kamery. Anna aż jęknęła na ten widok: oblicze było doszczętnie zmasakrowane, nie pozwalając nawet domyślać się rysów.

– Ona żyje! Widzicie państwo? Ja widzę wyraźnie i mam nadzieję, że to nagranie pozwoli wam również zobaczyć i poczuć to, co ja czuję. – Zogniskowała kadr na tym, co kiedyś było twarzą, a teraz przypominało raczej słoik ketchupu rozbity na wielkim kotlecie. – O Boże, o Boże! – mamrotała Anna, pozwalając, by empatex szumiał jej w głowie kaskadą uczuć. – To jeszcze dziecko, proszę państwa. Nie ma pewnie nawet szesnastu lat, a teraz leży tu, w tej obskurnej piwnicy, przywiązana do nieheblowanego stołu, cierpiąc niewypowiedziane katusze. Zajrzyjmy jej teraz w oczy...

Podchodząc do dziewczyny, dokonała zbliżenia na górną część twarzy. Różowe tęczęwki zachodziły mgłą, lśniła na nich rosa wielu wylanych łez.

– Widzicie to państwo? Co też czai się w tych oczach? Co mogą nam one powiedzieć? Czy widzą już drugą stronę, czy może właśnie dokonują przeglądu całego dotychczasowego życia, wszystkich rzeczy, które dotąd zarejestrowały?

Dziewczyna jęknęła cicho. Między pociętymi wargami pojawiły się krwawe bąble.

– Och, drogie dziecko – zawodziła Anna. – Jakież uczynki przywiodły cię do tego miejsca? Czyżbyś zgrzeszyła w oczach mordercy, próbując go namówić na zakup alkoholu? Tak się to do tej pory odbywało. Młodzieńcze grzeszki okupiłaś strasznym cierpieniem, a teraz czeka cię już tylko bolesna śmierć.

– Mama... – dało się słyszeć z ledwością wypowiedziane słowo.

Anna pociągnęła nosem, przypominając przyszłym widzom, że po drugiej stronie kamery leją się pełne współczucia łzy.

– Gdyby twoja mama mogła być przy tobie, dziecko kochane – jęknęła. – Niech cię pocieszy chociaż to, że twoja śmierć nie pójdzie na marne. Zobaczą cię ludzie, którzy zapłaczą nad twoim losem i...

– Mama...

– I twoja mama też cię zobaczy, kochanie. Choć ty już, niestety, nie zdołasz zobaczyć jej. Dziewczyna próbowała się poruszyć, ale więzy nie pozwoliły jej na to.

– Mama...

– Nie ma tu twojej mamy, złociutka. Ale dałabym wiele, byle tylko...

– Ma-mama... Mama...

Anna załkała szczerymi łzami, empatex zacisnął jej się gorzką pętlą na gardle i przez chwilę nie była zdolna nic powiedzieć. Mogła jedynie nagrywać, prezentując przed okiem kamery zbezczeszczone ciało ofiary, kwilącej coraz głośniejsze i coraz bardziej żałośnie zawodzącej swoje zaklęcie:

– Mama...

– Tak mi cię szkoda, kochanie...

Jeszcze jedno zbliżenie na oczy ukazało rodzącą się nową łzę.

– Mamo... t... to ja...

Anna znieruchomiała jak rażona gromem. Przyjrzała się różowym tęczęwkom.

– To ja...

Jedna chwila rozciągnęła się w wieczność.

– Wiki? – imię córki zdawało się przeciskać przez gardło z takim oporem, jakby Anna musiała je rodzić.

– Mamo...

Kotlet w ketchupowym przybraniu uśmiechnął się.

Anna cofnęła się o kilka kroków, wciąż mierząc obiektywem w twarz dziecka. Bez udziału woli sięgnęła po telefon i beznamiętnym głosem wezwała pogotowie. Następnie zabrała się do rozsupływania więzów, co nie szło jej nazbyt sprawnie jedną ręką. Kamera drżała jej w dłoni, rejestrując kolejne węzły, z którymi nie dawała sobie rady.

Wreszcie rozejrzała się za jakimś ostrym narzędziem. Znalazłszy kawałek szkła, rozcięła sznury, pozwalając, by jej córka wreszcie mogła się ruszyć. Nagrywając każdy ruch, najdrobniejsze drgnienie, obserwowała dziewczynę bez ustanku. Nie potrafiła już jednak nic powiedzieć. Nagranie odbywało się bez najmniejszego komentarza. Wreszcie empatex przestał działać i Anna westchnęła.

– Gdzie ten cholerny ambulans – zaklęła. – Ileż można czekać? Widzowie nie wytrzymają tak długo, oglądając jedną scenę, a montaż zepsuje mi cały film.

Jak na zawołanie usłyszała echo kroków w korytarzu. Drzwi trzasnęły ciśnięte o ścianę, w wejściu zjawili się sanitariusze, a za nimi... Piotr. Z kamerą w rękę.

– Cholera... – zaklęła Anna.

– Co ty tu robisz, Anka? – Piotr wyglądał na szczerze zdumionego, lecz nawet na moment nie spuścił oka obiektywu z koleżanki.

– Co ja tu robię? Wezwałam pogotowie – wyjaśniła. – Wyłącz tę pieprzoną kamerę!

– Wyjdź mi z kadru – Piotr zdawał się jej nie słyszeć. – Przecież psujesz mi ujęcie.

– Niczego ci nie psuję, bo to mój materiał.

– Co?

– To, co słyszałeś – odparła. – Ofiara jest moją córką i jeśli komuś należy się film opisujący jej ostatnie chwile, to chyba rodzonej matce, nieprawdaż?

Piotr nadal kręcił. Zbliżenie na udreżone oblicze dziewczyny ukazało jej obłądny wzrok; źrenice miały się w oczodołach jak uwięzione pod kloszem owady. Tłuste i czarne.

– Co ty chrzaniś, Anka? Mam ważny bilet, to po pierwsze. A po drugie to ta mała jeszcze nie zginęła i wygląda na to, że da się ją uratować.

Sanitariusze czekali na rozwój wypadków, spoglądając jeden na drugiego ze zmieszanyimi minami. Najwyraźniej nie byli pewni, które z dokumentalistów winno podjąć ostateczną, wiążącą ich decyzję.

Anna Kolęda zbladła zaś i zamarła ze wzrokiem utkwionym w konającej córce. Myśli szalały jej po głowie, siłując się i walcząc o słusność. Co teraz powinna zrobić? Zaufać Piotrowi? Zaraz... po cóż innego miałby nalegać na ratunek dla Wiktorii, jak nie dla możliwości nakręcenia jej ostatniego tchnienia? Czy Wiki naprawdę da się jeszcze uratować? Czy Anna jest w stanie podjąć takie ryzyko? A jeśli...

– Nie – oznajmiła. – Moja córka zostaje ze mną.

Gra toczyła się o zbyt wielką stawkę. Szansa dla Wiktorii była niewielka, natomiast Piotr najpewniej zgarnąłby laur zwycięstwa za świetny materiał, zwłaszcza że miał już nagrany dość emocjonującą walkę o film z nią – dobrą i błyskotliwą dokumentalistką. Pozostało jej więc tylko jedno wyjście.

Zaczekać tu, aż Wiki dokona żywota. I wszystko nagrać. Po swojemu, z punktu widzenia rodzonej matki. I pieprzyć już długość nagrania! Ten materiał będzie prawdziwym hitem.

Uniosła kamerę.

– Wybacz mamusi, kochanie – rzekła wyuczenie smutnym głosem – ale i tak byś raczej nie przeżyła, a jeśli nawet... pomyśl o tych wszystkich paskudnych ranach. Żaden chirurg nie przywróciłby cię do poprzedniego stanu. A zamiast tego mamcia nakręci super materiał dla telewizji...

– Hej! – zdenerwował się Piotr, gdy Anna przesłoniła mu cały kadr.

– No, Wiki, dalej... postaraj się o ostatni uśmiech. Dla mamci. Niech ten uśmiech obejrzą miliony widzów.

Wyglądało na to, że dziewczyna rzeczywiście próbuje pokazać ząbki, zamiast tego jednak wywróciła oczy w ślup i zamarła z półotwartymi ustami, na których szklila się karminowa czerwień.

Cholera, pomyślała Anna, w chwili, gdy jej córka zupełnie znieruchomiała. To, co dobrze wygląda w nagraniu, nie będzie się najlepiej prezentowało w trumnie. Trzeba będzie zamknąć wieko i wstawić w nie monitor z jakimś starym filmem, na przykład tym z ostatnich urodzin, gdzie Wiki była akurat po kuracji odchudzającej.

Zakończyła ujęcie zbliżeniem na martwe oczy córki i przez moment dostrzegła odbitą w nich upiorną sylwetkę kobiety z kamerą w ręku, by po chwili upomnieć się w myślach – głupia, przecież to ja! – uśmiechając się do siebie i podziwiając artystyczny nieład, w jakim morderca pozostawił ciało Wiktorii.

To będzie super, pomyślała, odruchowo sięgając do kieszeni w poszukiwaniu pigułki empateksu. Cofnęła jednak zapobiegawczo dłoń. Nie czas na to, Anka. Wyluzuj, dziewczyno. Czasem tak trzeba, tak... Po prostu ciesz się chwilą, tak jak niebawem cieszyć się nią będą widzowie. Każdy ma przecież prawo do chwili relaksu, ty również. Po prostu ciesz się życiem...

Za moment zaś wymyśliła, że to właśnie będzie mottem jej najnowszego filmu.

Ciesz się życiem. Ciesz się...

Zwłokami targnął ostatni, pośmiertny skurcz.

Tomasz Duszyński

Urodzony w Strzelinie 4 stycznia 1976 roku.

Dziennikarz prasowy i radiowy. Debiutował w 2002 roku w portalu Srebrny Glob Eugeniusza Dębskiego. Od tamtej pory opublikował kilkanaście opowiadań.

W 2007 roku ukazał się jego zbiór pt. *Produkt uboczny*. Opowiadania autora można znaleźć także w antologiach: *Trupojad*, *Epidemie i zarazy* oraz w czasopiśmie „Science Fiction, Fantasy i Horror”.

Więcej informacji na stronie autora:
www.tduszynski.eu.interia.pl

**Tomasz
Duszyński**

Strażnik

Henryk Nalepa pochylił się nad trupem, próbując sprawdzić zawartość kieszeni spodni i koszuli. Nic, po raz kolejny nawet najmniejszego śladu. Spojrzał na Strzeszewskiego. Młody pokręcił głową zrezygnowany. Także on nic nie znalazł.

Nalepa wyprostował się i rozejrzał uważnie. Miał wciąż nadzieję, że coś przeoczyli. Coraz mocniej przepełniała go złość i bezsilność. Sam nie wiedział, którego uczucia nienawidzi bardziej. Po raz kolejny ktoś wyprzedził go o krok. Teraz znów, gdy wydawało mu się, że jest już blisko, wszystko się wymykało. Przelatywało między palcami jak woda.

W niepozornej kamienicy na Grodzkiej, tuż pod Wawelem, nie znalazł nikogo żywego. Dziesięć ciał, dwa w korytarzu, trzy na dole i pięć tu, położonych w rzędzie, ramię przy ramieniu. Słodki zapach krwi zmieszany ze smrodem spalenizny przyprawiał o mdłości. Nalepa z niesmakiem obserwował Strzeszewskiego. Młody łapał powietrze w płuca, jakby miało go to uchronić przed spazmatycznymi wymiotami.

Henryk usiadł na krześle przy biurku. To był w sumie jedyny sprzęt, który wydawał się nietknięty. Mężczyzna wyobraził sobie, że ten, który zlecił akcję, siedział przy biurku jak on teraz i czekał, aż ekipa czyszczycieli uprzątnie ślady. Nalepa musiał przyznać, że zrobili to doskonale.

– Szefie... Nic nie ma... – Strzeszewski nerwowo przełykał ślinę. Widać jeszcze nie przyzwyczał się do specyficznego zapachu rozkładających się ciał. Nalepa dawno stracił tę wrażliwość.

– Nie ma... – potwierdził.

Popatrzył na leżące na podłodze ciała. Ci ludzie sprzedali drogo życie. Najprawdopodobniej zabili kilku napastników. Jednak tamte ciała rozplynęły się w powietrzu. Podobnie jak akta. Wszystkie papiery i sprzęt. Komputery, dyskietki, serwery...

Nalepa przesunął palcami pod blatem biurka. Przez chwilę miał nadzieję, że uda mu się odnaleźć cokolwiek, choćby zwykłą kartkę przyklejoną taśmą do sklejk. Przeszukał z Młodym ubrania zabitych. Przejrzał wszystko, co mogło wydawać się dobrym miejscem na tymczasową skrytkę. Nie znalazł nic. Kompletnie nic.

Tylko ten zapach. Henryk wciągnął w nozdrza odrobinę powietrza. Dym. Specyficzna woń unosiła się, przebijała ponad inne, jakby wcześniej wypełniła ten pokój po brzegi. Przypominała odór starych papierosów bez filtra, takich jakie palił dziadek Nalepy.

Okiennice uderzyły o siebie z głuchym hukiem. Na zewnątrz zerwał się wiatr. Jesień, pora roku, która zawsze go przygnębiała. Zrobiło mu się zimno, zdawało się, że ten przejmujący chłód bije od leżących na podłodze ciał.

Henryk podszedł do okna, próbując je zatrzasnąć. Klamka zazgrzytała, jakby sprzeciwiając się jego woli. I wtedy spojrział w dół, na daszek poniżej. Dostrzegł jaśniejszą plamę w otoczce niemal nieprzeniknionej czerni.

– Idź do samochodu, Strzeszewski. Powiedz chłopakom, żeby byli gotowi, zaraz się stąd zmywamy.

– Tak jest!

Nalepa wyczuł w jego głosie ulgę. Począł, aż chłopak zbiegł po schodach i zatrzaśnie drzwi. Dopiero wtedy wskoczył na parapet i ostrożnie, trzymając się okiennej ramy, opuścił w dół.

Teczka. Zwykła biała teczka spięta gumką. Otworzył ją drżącymi dłońmi. Kilka zdjęć, kartki wyglądające jak fotokopie dokumentów. Tyle był w stanie dostrzec w ciemności.

Serce boleśnie uderzyło w piersi. Próbował opanować emocje. Gdy już myślał, że wszystko stracone, znów pojawiła się iskierka nadziei. Miał coraz mniej czasu. Codziennie modlił się, żeby ostatnie dziesięć lat nie poszło na marne.

* * *

To był Marek Sablewski. Eryk rozpoznał go wśród setek klientów przechadzających się po centrum handlowym. Próbował do niego zamachać, dać znak, że go rozpoznał, zwrócić na siebie uwagę, ale dawny znajomy znikł równie szybko, jak się pojawił. Jeszcze przez chwilę Eryk był pewny, że na ruchomych schodach mignęła mu znajoma postać, ale szybko rozplynęła się w kolorowym tłumie. Ile minęło lat? Dziesięć? Tak, równo dekada, a facet prawie się nie zmienił. Może trochę przytył, troszeczkę, ale nie miał siwych włosów, to pewne. Eryk wpatrzył się w wystawową szybę. A co z nim? Dziesięć lat, trzeba być szczerym – zmienił się nie do poznania. Siwe skronie i worki pod oczami. Mógłby się pocieszać, że szpakowaci mężczyźni są atrakcyjniejsi, ale prawda była zupełnie inna.

Odruchowo dotknął policzka, uniósł obwisłą skórę. Ciężka praca, stres, dziecko, żona. Można wymieniać bez końca. Nie było łatwo. Czas był łaskawy tylko dla tego skurczybyka. Sablewski, dziecko szczęścia, spadał na cztery łapy nawet po ich dokładnym związaniu. Dlaczego na świecie zawsze byli tacy ludzie? Chyba tylko po to, żeby denerwować innych, budząc nie tyle podziw, co zazdrość. Chyba że... W sercu Eryka zatiła się iskierka nadziei. Chyba że to nie był Marek.

Ruszył dalej. Minał perfumerię i na chwilę zatrzymał się przy witrynie z butami. Ktoś potrafił go ramieniem. Łepok upuścił loda tuż pod jego nogi, Eryk miał ochotę go dzielić. Z trudem się powstrzymał. Niedzielna pielgrzymka w Galerii Dominikańskiej trwała w najlepsze, weekendowy rytuał polskich rodzin, lanserka, zgiełk i hałas. Coś ciągnęło ludzi do siebie, szczególnie tutaj, we Wrocławiu, gdzie tak wielu było kresowiaków i ich potomków, ludzi z natury obdarzonych silnym instynktem stadnym. Czuli się lepiej w tłumie, gdy mogli

powalczyć na wyprzedających, złapać okazję i szczęśliwi jak dzieci wrócić do domu.

Eryk przygryzł wargi. Psioczył na innych, choć sam niewiele się od nich różnił. Mógł przecież siedzieć w domu z rodziną, na tyłku, jak Pan Bóg przykazał. Nikt mu nie bronił włączyć telewizora, pójść do kościoła na dwunastą albo wyjechać za miasto, na ryby na przykład. Wybrał jednak centrum handlowe. Sam nie wiedział dlaczego. Butów na pewno nie szukał. Zwłaszcza takich.

Obrzucił przelotnym spojrzeniem modne mokasyny i podszedł do fontanny. Ludzie obsiedli ją jak muchy. Ławeczki były zajęte, w większości przez starsze panie chłoneące wzrokiem wszystko, co się wokół nich działo. Przez chwilę były w centrum wydarzeń, zgiełku i hałasu, za którym tęskniły w domu, na zmumifikowanej kanapie. Może już się do nich upodobił?

Popatrzył w górę, na piętrach było jeszcze więcej ludzi. Zaledwie ułamek procenta coś kupował. Większość przechadzała się jak po jakimś cholernym parku zdrojowym.

Eryk znów dostrzegł znajomą twarz. Przy balustradzie dwa piętra wyżej. Wyciągnął nieśmiało dłoń z kieszeni i pomachał. Pociągnęła twarz, ciemne włosy spadające na czoło, szerokie barki. Czy to na pewno był Sablewski? Z tej odległości trudno było mieć stuprocentową pewność. Zresztą po co mu to było wiedzieć. Dziesięć lat zmieniało ludzi. O czym by teraz rozmawiali? O starych czasach? Było, minęło, zapewne żaden z nich po pierwszych słowach przywitania nie potrafiłby przerwać krępującej ciszy.

Eryk opuścił rękę. Nie ma sensu robić z siebie głupka. Przecież nawet nie byli przyjaciółmi. Przez kilka lat studiów nie potrafili się zbliżyć. Co mu przyszło do głowy, żeby zaczepiać Sablewskiego? Poza tym to na pewno nie on.

Mimo wszystko Eryk nie potrafił opuścić głowy. Wciąż wpatrywał się w postać opierającą się o balustradę. Mężczyzna drgnął, wyciągnął jedną rękę, potem drugą, nachylił się. Eryk przez kilka kolejnych sekund nie potrafił ruszyć się z miejsca. Wpatrywał się w tę scenę jak oniemiały. Dopiero gdy wśród przeraźliwego krzyku w fontannie przed nim wylądował mężczyzna, zabarwiający wodę na czerwono, zrozumiał, że wcześniej się pomylił. Marek Sablewski nie zawsze spadał na cztery łapy. Dzisiaj spadł prosto na głowę, łamiąc kark i gruchocząc kręgosłup jak zapalkę.

* * *

– Przebijam. Stawiam swoją emeryturę, że znów próbuje mnie pan wyrolować. – Mężczyzna odłożył swoje karty na stół, zaśmiał się głośno.

Nalepa także się uśmiechnął. Spojrzał na Stanisława Badurę, udając, że czerpie niesamowitą satysfakcję z gry. Siedzący naprzeciwko mężczyzna miał miłą twarz, na pierwszy rzut oka budził zaufanie. Siwe włosy wymagały przycięcia za uszami, krzaczaste brwi o barwie śniegu wyglądały groteskowo, ale spojrzenie zimnych szarych oczu zdradzało

niebywałą przytomność umysłu. Henryk o Badurze wiedział niewiele, wystarczająco jednak dużo, by zachować czujność. Wydawało się, że staruch potrafi odczytywać myśli, zanim zmaterializują się w czyjejs głowie.

Nazwisko tego mężczyzny przewinęło się w jednym jedynym raporcie, który zawierała znalezionateczka. Staruszek był oficerem wywiadu, członkiem specjalnej grupy działającej pod kryptonimem „Strażnik”. Ta nazwa też padła w dokumentach tylko raz. Nalepie jednak wystarczyła. Był pewny, że trafił na właściwy trop. Uchwycił się go kurczowo, wiedząc, że nie odpuści już do końca. Tłumił w sobie radosne podniecenie. Strażnik. Henryk wciąż nie mógł uwierzyć, że wreszcie ma go na wyciągnięcie ręki.

Poszukiwania trwały długo. Nalepa uruchomił wszystkie swoje kontakty i cierpliwie czekał. Gdy wreszcie nadeszła wiadomość od informatorów, wsiadł w samolot i przyleciał do Stanów. To, że ten facet wciąż żył i żadna z władz RP nie zdecydowała się go pozbyć, mówiło samo za siebie. Badura doskonale się kamuflował. Już samo dotarcie do niego i odnalezienie go w Nowym Jorku graniczyło z cudem.

– To co? Planuje pan kolejny bluff? – powtórzył Badura.

– Skądże. – Nalepa uśmiechnął się, siłąc na wesołość. – Nie mogę się łudzić, że byłbym w stanie oszukać takiego szczwanego lisa...

Zauważył ledwie dostrzegalną zmianę w spojrzeniu mężczyzny. Potrafił interpretować takie sygnały. Stary już się domyślił, że prowadzą grę o większej wadze niż poker. Teraz czekał na jego ruch. Sygnał, który pozwoli mu odgadnąć, jakie Nalepa ma zamiary. Po prostu obserwował, czekając spokojnie na rozwój wypadków.

Nalepa mógł udawać, że nie dostrzegł zagrożenia, i dalej prowadzić przedstawienie, a potem się wycofać. Byłby spalony, a Badura znikłby bez śladu na kolejne lata. Pozostało mu wybrać inną opcję.

– Działam na własną rękę – powiedział, odsłaniając trzymane w dłoni karty. – I nigdy nie bluffuję... gdy mam mocne rozdanie.

– Odsłonił pan wszystko przed licytacją. – Badura zaśmiał się. Odrzucił swoje karty na stół. Miał dwie pary, damy na walety. – To chyba znaczy, że nie dybie pan na moją marną emeryturę... Nie mówię, że nie doceniam gestu. Mówi wiele o człowieku i o jego... słabościach.

Nalepa skinął głową, zrozumiał aluzję.

– Lubię mieć dłużników – skrzywił się, co pewnie z trudem przypominało uśmiech. Mrugnął, zapewne zbyt poufałe, jednak chciał sprawdzić reakcję Badury.

– Nigdy nie miałem szczęścia w kartach. – Mężczyzna podniósł się i przeciągnął.

Nalepa był pewny, że Badura właśnie przekazał sygnał swojej ochronie. Położył więc dłonie na stół i rozprostował palce. Przez całą rozgrywkę musieli mieć go na muszce. Jeśli teraz zadziała zbyt nerwowo, pożegna się z życiem.

– Zna pan bajkę o Alicji, której udało się zobaczyć świat po drugiej stronie lustra? –

zapytał trochę zbyt nerwowo. Ściszył głos i patrząc na Badurę, dodał: – Jak bardzo różni się ten drugi świat od naszego?

– Synu... szczęście w kartach raz jest, raz go nie ma... – Staruch zmroził go wzrokiem. – Zupełnie tak jak w życiu. Lepiej nie liczyć wciąż na dobrą passę... może się skończyć.

Chłodne oczy Badury wydawały się wysysać duszę. Nalepa poczuł, że cierpnie mu skóra na karku, mimo to zaryzykował:

– Tadeusz Brzochowski... prezydent Polski, pod koniec lat siedemdziesiątych dokonano zamachu na jego życie...

Staruch zawahał się na ułamek sekundy. W końcu odsunął się od stolika i poprawił zapięcie kurtki.

– W tych latach nie mieliśmy prezydenta, tylko sekretarza partii. Coś się panu pomyliło – powiedział. – To strzępy informacji z kółka fantastycznego?

Nalepa bardzo wolno sięgnął do kieszeni. Drugą dłoń miał cały czas na stole. Wyciągnął zdjęcie i położył je przed sobą.

Badura, wydawało się, nie zaszczycił zdjęcia nawet spojrzeniem, usiadł jednak znów przy stoliku. Uderzył dłonią w blat, podniósł karty i szybko je przetasował.

Nalepa nie dał znać po sobie, że w głębi duszy tryumfuje. Począł, aż mężczyzna rozda karty. Podniósł je i zamyślił się, jakby nagle zapomniał o całej sprawie.

– Czego pan chce? – Badura uśmiechał się, mrużąc oczy. Miał równe, białe zęby.

– Chcę poprosić o pomoc... – Nalepa odłożył na stół trzy karty. Tak naprawdę nawet im się nie przyjrzał.

– Wielu prosi o pomoc. – Badura poślinił palec, wydał nowe karty Nalepie, sam wymienił dwie. – Pieniądze? Informacje? Lepiej niech się pan zastanowi nad odpowiedzią.

Nalepa zauważył gest mężczyzny. Potarcie brwi. Niby nic takiego. Jednak kolejny taki sygnał mógł oznaczać dla niego wyrok. Tylko przez chwilę zastanawiał się, gdzie pomiędzy drzewami ukrywa się snajper.

– Proszę o pomoc w imieniu czwartej RP.

– Czwartej RP? – Badura zaśmiał się chrapliwie. Odkaslnął, ocierając kropelki śliny z brody. – Nie działa więc pan na własną rękę?

Staruch położył karty na stół. Nawet nie licytowali w tej partii.

– Jestem tu nieoficjalnie... – Nalepa znów wytrzymał badawcze spojrzenie.

Badura wyciągnął mu z dłoni karty. Popatrzył na nie, zaśmiał się cicho i wstał.

– Blef ma pan we krwi, a widać i dobrą passę w życiu – powiedział. – Jutro... o tej samej porze...

Nie czekając na odpowiedź, wstał, okręcił się na pięcie i ruszył zwirową alejką w stronę fontanny. Nalepa nie poruszył się, dopóki starzec nie zniknął mu z oczu. Dopiero wtedy spojrzał jeszcze raz na stół, na swoje karty. Cztery asy. Wygrał po raz kolejny. Miał nadzieję, że wbrew ostrzeżeniu Badury dobra passa szybko się nie skończy. Wstał i zapiął szczelniej

płaszcz. Dopiero po chwili zauważył, że na stole nie ma już zdjęcia.

* * *

Eryk wciąż był wstrząśnięty. Nawet nie pamiętał drogi do domu. Wsiadł w samochód i wyjechał z Galerii, nie mogąc dojść do siebie. Tak okropna śmierć. Samobójstwo. Tam, w centrum, przez długą chwilę stał jak wryty. Patrzył, jak krew zabarwia wodę. Jak ciało jego znajomego unosi się w fontannie. Na szczęście nie było widać twarzy. Tylko włosy. Rozpłynęły się, jakby całą głowę Marka otoczyły falujące wodorosty.

– Aniu... pamiętasz Sablewskiego?

Drżał mu głos. Gdy wszedł do domu, od razu musiał usiąść w fotelu. Ugiwały się pod nim nogi.

– Jakiego Sablewskiego?

Ania robiła szalik. Pytała z roztargnieniem.

– Marka... z mojego roku.

– Sablewski? – zawahała się. – Był u ciebie taki na roku?

– No...

Teraz on się zawahał. Próbował połączyć Marka z jakimś wydarzeniem. Takim, które ułatwiłoby Ani skojarzenie go.

– To który to? – Popatrzyła na niego, marszcząc brwi. Nagle rozpromieniła się. – Zaraz. Marek? Czy to nie ten, co uratował ci skórę w akademiku?

Eryk głęboko zaczerpnął powietrza. No tak. Miała rację. Wyparł to? Nie chciał pamiętać o przysłudze, jaką oddał mu Sablewski, czy naprawdę zapomniał?

To było na czwartym roku. Doczepiło się do niego i kumpli kilku kolesi. Dwóch chyba dopiero co wyszło z woja. Przyjechali na imprezę do znajomego. Eryk nawet nie pamiętał, od czego się zaczęło. Ktoś rozbił butelkę na głowie studenta, u którego robili imprezę. Potem w dłoni pojawił się kastet i nóż. Gdyby nie interwencja Marka, mogło się skończyć tragicznie. Ktoś na pewno wylądowałby na erce z nożem w brzuchu.

Sablewski. Cichy i spokojny chłopak. Dał wtedy popis niezłej sprawności. Sam obezwładnił czterech byczków.

– Zasnąłeś? – Ania odłożyła szalik na ławę. – To o tym Marku mówisz?

– Tak – odpowiedział ostro.

Przez chwilę znów wróciły wspomnienia. Miał wówczas za złe Sablewskiemu, że ten upokorzył go w oczach dziewczyn. Pamiętał, że nawet Ania patrzyła wtedy na Marka z podziwem. Gratulacje, uściski i pocałunki. Bohater, prawdziwy king Bruce Lee karate mistrz. Jednak Sablewski wydawał się nie zwracać uwagi na adorujące go panienki. Pytał wciąż Eryka, czy wszystko w porządku, czy nic mu się nie stało. To było jeszcze bardziej upokarzające. Cholerny pedał...

– Spotkałeś go? Co u niego? Wydusisz to wreszcie?

– Nie żyje – powiedział to z niezdrową satysfakcją. Opamiętał się dopiero po chwili. Miał nadzieję, że rozmowie nie przysłuchuje się syn, Michał. Dzieciak na szczęście grał w swoim pokoju na komputerze.

– Co?

– On nie żyje, Aniu. – Poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Zachowywał się jak jakiś psychol. Był zazdrosny o trupa? Jedyne, co mogło go tłumaczyć, to szok. – Widziałem, jak... on popełnił samobójstwo. W centrum handlowym, skoczył z drugiego piętra i... zabił się.

– To straszne. – Ania opadła na oparcie sofy. Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Jesteś pewny, że to on? Szkoda chłopaka...

– To on. Na pewno.

Eryk otarł pot z czoła. Uświadomił sobie, że nawet się nie rozebrał. Wstał z fotela i ściągnął płaszcz. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował.

W tym momencie zadzwonił telefon. Anna ocknęła się pierwsza. Aparat leżał na stoliku obok sofy. Podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

– Tak... jest...

Wzruszyła ramionami, jakby za późno zdając sobie sprawę, że Eryk nie będzie chciał teraz rozmawiać. Przekazała mu jednak słuchawkę.

– Słucham? – zapytał.

– Pan Eryk Poraj?

Głos po drugiej stronie był mocny i wyraźny, jakby ktoś właśnie zmaterializował się tuż przy uchu Eryka, a nie dzwonił do niego Bóg wie skąd. Przez chwilę wydał mu się nawet znajomy.

– Przy telefonie – zniecierpliwził się Eryk.

– Proszę wyjść z domu. Nie jest pan bezpieczny...

– Nie rozumiem? – głos niemal ugrzązł mu w gardle.

– Proszę opuścić mieszkanie, natychmiast.

– To jakiś żart?

Eryk popatrzył na Anię, czując, jak przechodzi go wewnętrzny dreszcz. Chciał odrzucić słuchawkę, niemal wyślizgiwała mu się ze spoconych dłoni, trzymał ją jednak kurczowo przy uchu, jakby na kolejne słowa, które miały zostać wypowiedziane, czekał przez całe życie.

– Kim pan jest i czego pan chce?! – wydusił na jednym wydechu. Uniósł dłoń w stronę Ani, próbując przekonać samego siebie, że wszystko jest w porządku.

– Jeśli nie chce pan skończyć jak Marek Sablewski... proszę wyjść z domu. Spotkamy się na rynku za czterdzieści minut. Pod pręgierzem. Proszę nie brać taksówki ani nie korzystać z komunikacji miejskiej. Pójdzie pan na piechotę.

Połączenie zostało przerwane. Eryk pozostał ze słuchawką przy uchu, wpatrując się w pytające oczy żony. Lodowaty powiew doszedł go od strony otwartego okna. To go

otrzeźwiło. Wbrew rozsądkowi nałożył ponownie płaszcz, przez chwilę jeszcze się wahał, a potem uśmiechnął się do żony i wyszedł z domu.

* * *

Nalepa postanowił prowadzić tę grę do końca. Dzisiaj jego misja mogła się zakończyć, był tego świadomy. Szedł jednak bez ochrony. Jeśli miał osiągnąć sukces, musiał zaryzykować, zaufać swojemu przeczuciu co do Badury. Dźwięk, jaki wydawał chrzęszczący pod butami żwir, przypominał skrzypienie zmrożonego śniegu. W tej chwili Nalepa wyobraził sobie, że przechadza się alejką zupełnie bez celu. Może wstąpi przy okazji do restauracji na kawę, usiądzie przy swoim ulubionym stoliku, poflirtuje z kelnerką, a potem da duży napiwek. Ostatnio stał się melancholijny, jakby żegnał się z życiem.

– Wie pan, dlaczego tu przychodzę?

Nalepa wzdrygnął się. Nieoczekiwane pojawienie się Badury niemal wytrąciło go z równowagi. Staruch ujął go pod ramię i dalej szli razem ścieżką w stronę jeziora, przy którym spacerowały matki z wózkami i turyści.

– Bo lubi pan to miejsce – odpowiedział z namysłem.

– Tak. – Badura zaśmiał się cicho. – Takie parki przypominają mi Polskę. Wie pan... domy i ludzie mogą się różnić. Wysokością, tak jak wieżowce w Stanach, i kolorem skóry, jak mieszkający tu ludzie... ale drzewa... Zawsze pan znajdzie jakiś dąb, nawet klon, który przypomni panu ten z naszego kraju.

– To dlaczego pan nie wróci? – Nalepa popatrzył w szare oczy Badury. Teraz zobaczył coś więcej niż napiętą do granic możliwości twarz człowieka, który analizuje każdy swój ruch i każde słowo. Teraz Stanisław Badura był zwykłym zmęczonym życiem emigrantem, który przez chwilę pozwolił wspomnieniom przejąć kontrolę. Tak naprawdę była to wciąż gra pozorów.

– Gdzie mam wrócić, panie Henryku?

Nalepa zanotował, że Badura zna jego imię. Wszystkiego jednak dowiedzieć się nie mógł. Właśnie na to liczył. Dla starucha Nalepa musiał stanowić teraz sporą zagadkę. A ciekawość, mawiano, zawsze prowadzi do piekła.

– Do Polski, oczywiście...

– Której?

Badura uściśnął mocno łokieć Nalepy i zaśmiał się głośno. Kilka kaczek zamachało skrzydłami i wydało niecierpliwe skrzeki, jakby obrażone, że ktoś im przeszkadza.

– Wie pan, czasem i ja się w tym wszystkim gubię – Badura nie czekał na odpowiedź. Szli dalej, jak dwaj zmęczeni życiem znajomi wspominający czasy, o których mało kto mógł słyszeć. – Trudno czasem zrozumieć, dlaczego los układa się tak, a nie inaczej. Dlaczego jednym się udaje, a drugim nie... Pan na przykład. Czy pan pamięta, kim chciał być jako

dziecko, gdy dorosnie?

– Strażakiem – zaśmiał się Nalepa. – Miałem wóz strażacki, czerwony, z rozkładaną drabinką.

– No widzi pan... – Badura pokiwał głową, jakby chwalił ten wybór. – Ja chciałem prowadzić pociągi, być tym...

– Maszynistą? – domyślił się Nalepa.

– I maszynistą, i zawiadowcą stacji... Potem chciałem być pilotem, astronautą, perkusistą, a nawet... – Badura uśmiechnął się na to wspomnienie. – Wie pan, chciałem być bokserem... jak Kulej. Złoty medal olimpijski to jest coś!

– Cóż, marzenia dzieciństwa rozbijają się najczęściej o dorosłą rzeczywistość. – Nalepa dyskretnie popatrzył na boki, sprawdzając, czy nie śledzi ich ochrona Badury. – Różne czynniki mają wpływ na to, jaką drogę w życiu pan wybierze...

– Tak! – Staruch znów uściśnął mocniej łokieć Nalepy. – Dobrze pan mówi. Co dziwniejsze, możliwych scenariuszy nie jest tak wiele, jak by się mogło wydawać. Gdyby stworzyć pana idealną kopię i wrzucić w identyczne środowisko, okazałoby się, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto przebyłaby tę samą drogę co pan...

– Fascynujący jest jednak ten jeden różniący się przypadek, prawda? – Nalepa zatrzymał się i odwrócił do starca.

– Tak... – Badura znów stał się czujny. Szare oczy zwięzły się w ledwie widoczne szparki. – Ten jeden jest i fascynujący, i niebezpieczny... jak zmutowany gen... wprowadza chaos i zamieszanie.

– Czy da się coś z tym zrobić? – zapytał Nalepa.

– To zależy... Czy gdyby okazało się, że jest pan właśnie takim przypadkiem, zgodziłby się pan na eutanazję w imię jedności i jednakowości?

– Nie... – Nalepa potrząsnął zdecydowanie głową. Zrobiło mu się zimno, ten chłód jednak wydawał się koncentrować w jego boku. Poczul tam ukłucie. Lodowate dotknięcie kościstych palców przenikało przez materiał kurtki.

– No widzi pan... – Staruch poklepał się po piersi, jakby opowiadał dobry kawał. – Bo Polska w tej rzeczywistości, w której żyjemy... ta Polska, którą pan zna, odbiega nieco od normy. Wygląda na to, że to właśnie ona jest tym zmutowanym genem...

Nalepa poczuł, że uginają się pod nim kolana. Chciał o coś zapytać, ale szczęki zacisnęły się, jakby spięte lodową obręczą. Od łokcia przesuwiał się bezwład, który obejmował całe ciało. Henryk próbował z tym walczyć, ale był bez szans.

– Zrozumie pan to...

Staruch popchnął go na chodnik. Nalepa zauważył samochód. Długi, lśniący van z przyciemnianymi szybami. Podparł się na ramieniu Badury. Próbował chyba nawet go przewrócić, ale drzwi samochodu otworzyły się tuż przed nim. Zobaczył, jak dwie pary silnych rąk wyciągają się w jego stronę, a potem poczuł, jak unosi się i ląduje w zupełnej

ciemności.

* * *

Pod McDonaldem stała grupka młodych. Ubrani kolorowo i krzykliwie, jakby chcieli zwrócić na siebie uwagę. Zresztą nawet pod pręgierzem na kamiennych schodkach siedzieli studenci, okupowali ławki i murek. Pręgierz na wrocławskim rynku zawsze był miejscem spotkań, drogowskazem, spod którego wyruszały nocne eskapady.

Eryk rozejrzał się jeszcze raz, uważniej. Jeden z mężczyzn nie pasował do towarzystwa. Modny, drogi płaszcz, skórzane rękawiczki i szalik zawinięty z fantazją wokół szyi. Poraj próbował przywołać w pamięci głos, który rozległ się w słuchawce. Czy pasował do tego mężczyzny? Nie. Raczej nie... Chociaż?

Kobieta, uśmiechnięta blondynka w białych kozaczkach i płaszczu obszytym futerkiem, rozwiąła jego wątpliwości. Powitanie z mężczyzną było gorące i na tyle efektowne, że Eryk przez chwilę poczuł ukłucie zazdrości. Ten facet przez cały czas miał w dłoni czerwoną różę. Jak mógł wcześniej tego nie zauważyć? Mimowolnie się uśmiechnął. Szpieg z niego żaden.

– To wiadomość dla pana...

Odruchowo przejął karteczkę od wyrostka w wojskowej kurtce, który znikł równie szybko, jak się pojawił. Eryk chciał za nim iść, ale zrezygnował. Zanim jednak zainteresował się wiadomością, obrzucił szybkim spojrzeniem ludzi na rynku. Nie napotkał żadnego ciekawskiego, który by mu się przyglądał. Znów pudło.

Na wszelki wypadek postanowił zmienić miejsce. Tutaj był łatwym celem. Stał jak jakiś frajer umówiony przez Internet na randkę w ciemno. Poszedł w stronę Przejścia Garncarskiego. Zanim skręcił w wąską uliczkę, obrócił się jeszcze. Na rynku przetaczał się tłum, nawet gdyby chciał, nie był w stanie wyłowić z niego podejrzanej osoby.

Skręcił w prawo i poszedł wprost do Empiku. Pamiętał, że można przejść przez cały Megastore i wyjść po drugiej stronie na ulicy Igielnej.

Kartkę wciąż ścisnął w dłoni. Niemal parzyła skórę. Tak bardzo chciał wiedzieć, co jest tam napisane, ale się nie odważył. Coś we wnętrzu mówiło mu, że musi uciekać. Zniknąć w tłumie.

* * *

Powoli, ale konsekwentnie przebijał się przez ciężką zasłonę snu. Odzyskiwał świadomość, a wraz z nią czujność. Próbował wyłowić i zdefiniować otaczające go dźwięki oraz zapachy. Nigdy go w tym nie szkolono. Robił to intuicyjnie.

Wentylator, ledwie słyszalny szum z prawej strony. Powiew chłodnego powietrza na

policzku i delikatny kwiatowy zapach. Nalepa leżał na łóżku przykryty pościelą, wyczuwał jej delikatny jedwabny dotyk i fakturę. Był w samej bieliźnie, ktoś musiał go rozebrać i tak zostawić.

Wszystko pamiętał. Spotkanie z Badurą, spacer po parku i... stary skurwiel, przeklął w myślach. Otworzył oczy i usiadł. Znajdował się w ogromnym apartamencie urządzonym w orientalnym stylu. Kilka makatek, chińskie lampiony i papierowa kotara w towarzystwie ciężkich dębowych mebli, szafy, komody i secesyjnego biurka. To wszystko wprowadzało tu spory dysonans.

Henryk wysunął nogi spod kołdry i położył stopy na dywaniku. W tym czasie poczynił szereg kolejnych obserwacji. Otwarta szafa. Jego ubranie starannie powieszona, marynarka i koszula, pewnie także spodnie. Dostrzegł szlafrok przerzucony przez ramę łóżka z napisem „Hotel Polonia”.

Nie było kamer. Mogły być dobrze ukryte.

Wstał. Postanowił nie wykonywać nieprzemyślanych ruchów i nie podejmować głupich decyzji. Nie zabili go do tej pory ani nie wrzucili do jakiejś obskurnej celi. Musieli mieć wobec niego plany, a co więcej, nie obawiali się, że im ucieknie. Nalepa nie odczuwał strachu, raczej ciekawość. Prowadzono tu grę, której reguły bardzo chciał poznać.

Podszedł do szafy. Sprawdził kieszenie spodni i marynarki. Były starannie opróżnione, zupełnie jak kieszenie odnalezionych kilka dni temu trupów. Dopiero po tych zabiegach ruszył do łazienki. Zrobił to, jakby był zwykłym gościem hotelowym, handlowcem w delegacji, który musi odbyć poranną toaletę. Straszliwie cisnął go pęcherz. Podejrzewał, że może to mieć związek ze środkiem, który mu wstrzyknięto. Był to też znak, że od spotkania w parku z Badurą minęło kilka ładnych godzin.

* * *

Eryk nie potrafił zapanować nad emocjami. Być może brało nad nim górę zmęczenie. Nie wrócił już do domu. Zadzwoił do Ani, że dostał pilne wezwanie do pracy. Nie zdziwiła się. W sumie nie było w tym nic niezwykłego, zdarzało mu się to już kilka razy wcześniej, nawet w święta.

Miał klucze do biura, w tę niedzielę było puste. Zamknął się w nim, uznając, że tak będzie najbezpieczniej, dopóki czegoś nie wymyśli.

Zaparzył sobie herbaty i usiadł przy swoim biurku. Kartka leżała na blacie. Bał się znów na nią popatrzeć, jakby miała ożyć i go zaatakować.

– Nie daj się złapać – powtórzył głośno zapisaną na niej informację.

Słowa były skreślone w pośpiechu. Wyglądało to tak, jakby facet miał się z nim spotkać, a potem w ostatniej chwili się rozmyślił, przekazując tylko wiadomość. Być może był śledzony albo... albo stało się z nim coś gorszego.

Eryka przeszył dreszcz. Zimny sopel lodu umiejscowił się u podstawy czaszki i przesunął wzdłuż kręgosłupa. Mężczyzna przełknął gorący łyk herbaty. Poparzył usta i przełyk, ale musiał rozpuścić ogarniający go chłód.

Marek Sablewski, kolega z roku. Zginął na jego oczach. Eryk dostał ostrzeżenie, że on może być następny. Dlaczego? Przecież nie widział Marka tyle lat, nie miał z nim kontaktu, nawet telefonicznego. Nic!

Eryk zadrżał tak mocno, że niemal wylał na siebie herbatę. W filmach szpiegowskich zawsze mieszano postronną osobę w intrygę, gdy ofiara przekazała jej jakąś tajną paczkę, mikrofilm lub wiadomość. Poraj wysilał pamięć. Czyżby w czasie studiów otrzymał od Sablewskiego coś, co posiadał do dzisiaj? Może jakiś list, książkę? Bzdura! Przecież nigdy nie był z nim tak blisko. Nawet go nie lubił! A Ania?

Nagle wszystko się w nim zagotowało. Chwycił za telefon. Słuchawka odbiła się od biurka i zawisła nad podłogą. Podniósł ją i przycisnął do ucha. Wykręcił numer, czując, jak serce z nerwów podchodzi mu do gardła.

– Anka! – krzyknął, gdy wreszcie odebrała. – Zdradzałaś mnie z Sablewskim? Czulaś coś do niego? Anka!

Po drugiej stronie odpowiedziała mu cisza.

Eryk skurczył się w sobie. Tego się nie spodziewał. Żywił tylko podejrzenia, nie przewidział konsekwencji urzeczywistnienia chorej zazdrością wyobraźni.

– Dlaczego? – czuł, że brzmi to żałościwie, ale nie panował nad sobą.

– Panie Poraj...

Eryk poczuł mocne ukłucie w sercu.

– Pana żona i dziecko są w naszych rękach. Proszę nie kontaktować się z policją i zostać tam, gdzie obecnie się pan znajduje. Chyba nie muszę mówić, co się stanie, jeśli pan nie posłucha?

Przeraźliwy krzyk Ani. Eryk w ułamku sekundy poczuł, jak jego świat przestaje istnieć.

* * *

Nalepa ubrał się, a potem podszedł do okna. Przesunął zasłonę i wyjrzał na ulicę.

Przełknął głośno ślinę. Gdyby nie trzymał kurczowo zasłon, pewnie teraz przecierałby ze zdumienia oczy. Wieżowce, Manhattan, ale jakże inny. Empire State Building. WTC w otoczeniu budynków podobnych jak dwie krople wody do Pałacu Kultury. Tak wiele szczegółów naraz wdarło się w jego umysł. Tak wiele szczegółów, które mogły przyprawić o szaleństwo.

Samochody po obu stronach drogi, stragany i sklepy. Kwaciarnia „Basia”, bar, kafejka „U Zbyszka”, drogeria i spożywczy „Warszawianka”. A nad tym wszystkim Bank Polski, ogromna bryła, szklano-marmurowy kolos przypominający budynek przeniesiony wprost z lat

siedemdziesiątych.

Nalepa usiadł na łóżku. Zamknął oczy, próbując opanować wzbierającą w nim euforię. Gdy wreszcie doszedł do siebie, założył buty i ruszył do drzwi. Nacisnął klamkę. Były otwarte.

– Dzień dobry panu...

Czarnoskóry służący uklonił się. Ubrany był w długą złotą tunikę przepasaną bladoniebieską szarfą. Nie patrzył w oczy, wbił spojrzenie w podłogę, czekając na reakcję hotelowego gościa.

– Dzień dobry – odpowiedział Nalepa.

– Zapraszam na śniadanie. Pan Badura będzie zaszczycony, jeśli pan do niego dołączy...

Henryk skinął głową, jaki miał wybór? Służący wyprostował się i ruszył w stronę wind. Dębowe drzwi rozsunały się, zapraszając ich do środka. Nalepa cały czas obserwował towarzyszącego mu mężczyznę. Zachowywał się jak autentyczny pracownik hotelu. Mógł jednak być podwładnym Badury. Poruszał się zwinnie i pewnie, a pod tuniką widać było szeroko zarysowane plecy. Gdyby Nalepie przyszła do głowy ucieczka, na pewno potrafiłby przedsięwziąć odpowiednie środki zaradcze.

Zatrzymali się na pierwszym piętrze. Służący gestem zachęcił Henryka do opuszczenia windy. Wskazał też szerokie przesuwne drzwi, które widać były celem ich podróży.

Henryk ruszył wolno przed siebie. Opiekun szedł tym razem za nim. Nalepa nie mógł mieć już wątpliwości, że mężczyzna został dobrze wyszkolony. Trudno było nawet usłyszeć jego kroki.

Pchnął drzwi, wkraczając do jasno oświetlonej sali. Kilkanaście przykrytych białym obrusem stolików, puste krzesła. Szeroki bar po prawej stronie z ubranym we frak barmanem. Kilku kelnerów w białych marynarkach, stojących w rzędzie przy wejściu. Uklonili się nisko. Pierwszy z nich przywitał się uprzejmie. Nalepa odpowiedział skinieniem głowy.

Dopiero teraz dostrzegł Badurę. Staruch siedział przy jednym ze stolików, wydawał się karłem na tle owalnego, ogromnego okna wychodzącego na ulicę. Nalepa ruszył w jego kierunku prowadzony przez jednego z kelnerów. Usiadł naprzeciw Badury, na krzesło, które dla niego odsunięto.

– Jest pan głodny?

Wydawało się, że Badura tłumi chichot. Wyglądało na to, że bawi się całkiem nieźle kosztem Nalepy.

– Pewnie. – Henryk podniósł białą serwetkę z talerza. – Zjem lekkie śniadanko, zanim pana aresztuję.

Spojrzenie Badury stało się nagle zimne i odpychające. Wyglądało na to, że nie zna się na żartach, ale przynajmniej znikł mu ten obleśny uśmiech z pomarszczonej twarzy.

– Myślę, że będzie miał pan poważniejsze sprawy na głowie, panie Nalepa, niż aresztowanie kogoś, kto chce panu pomóc. Za chwilę dowie się pan rzeczy, które całkowicie

zmienia obraz znanej panu rzeczywistości... Musimy połączyć siły, wydaje się, że obaj nie mamy wyboru!

* * *

Eryk poderwał się z fotela. W pierwszym odruchu chciał wracać do domu, biec do żony i dziecka, ale ugięły się pod nim kolana, a przed oczami zawirowały czerwone plamy. Musiał przytrzymać się biurka, żeby nie upaść.

– Nie...

Powtarzał to słowo, jakby miało magiczną moc.

Sięgnął po telefon. Chciał dzwonić na policję, zrezygnował jednak, zanim wykręcił numer. Drżały mu dłonie, nie potrafił skupić wzroku. Ostrzeżono go przed kontaktowaniem się z glinami. Może telefon był na podsłuchu.

Eryk założył kurtkę, z trudem dopinając zamek. Zastanawiał się, co zrobić. Miał zostać w biurze i czekać, inaczej...

Oparł się o drzwi. Czuł rwanie w trzewiach i mdłości. Nagle jego umysł wszedł na wyższe obroty, przestał mieć na jałowym biegu. Myśli stały się jasne i klarowne. Eryk wiedział, że jeśli zostanie, złapią go.

Zacisnął pięści. Uczepił się tej myśli, jakby była jego jedyną nadzieją. Ania i Michał mieli szansę przeżyć tak długo, jak on pozostanie nieuchwytny. Jego rodzina była potrzebna porywaczom do szantażu. Nie mógł więc dać się złapać. To jedyna szansa na przedłużenie im życia.

Usłyszał pisk opon na dziedzińcu. Nawet nie wyjrzał przez okno. Wyszedł z pokoju i zamknął drzwi biura. Miał nadzieję, że porywacze stracą trochę czasu na ich wyważenie. Pobiegł schodami w górę. Wiedział, że jeśli uda mu się dotrzeć na dach, będzie mógł przedostać się do drugiego budynku i zejść schodami pożarowymi. W ten sposób wymknie się niezauważony.

* * *

Nalepa starał się ukryć zniecierpliwienie za maską obojętności. Chciał jak najszybciej wydusić z tego starucha wszystkie informacje. Wiedział jednak, że musi zachować czujność i uważnie słuchać.

– Jak noc? Spał pan wygodnie?

Staruch zaczął od nieistotnych pytań. Nalepa wiedział, że im mniej znaczący temat podejmowano na początku rozmowy, tym ważniejsze zagadnienie trzymano niczym asa w rękawie na jej koniec.

– Wysoki standard – odpowiedział, jakby i on wymazał całkowicie z pamięci

okoliczności, w jakich się tu znalazł. – Apartament musiał sporo kosztować?

Badura zaśmiał się pod nosem. Najprawdopodobniej nawet nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Ważne, żeby się panu podobał. – Wyciągnął papierośnicę i położył ją obok talerza.

W tym czasie Nalepa nalał do filiżanki herbaty z małego czajniczka. Nie był głodny. Ukradkiem wyjrzał przez okno. Wychodziło na tę samą stronę co jego pokój.

– Może pan palić – powiedział do Badury.

– A nie... – Starszy mężczyzna znów się uśmiechnął. Pogłaskał pieszczotliwie papierośnicę. – Próbuję rzucić palenie. Wystarczy, że wiem, że są tu blisko... i że mogę w każdej chwili po nie sięgnąć.

Nalepa skinął głową, uznając prawo starucha do tego typu wariactw. Posłodził herbatę, z roztargnieniem błędząc wzrokiem po sali. Dostrzegł kilka szczegółów, które działały na wyobraźnię.

Porcelanę wykonano pod Wałbrzychem, grafiki przy barze też zwracały uwagę. Na przykład ta... „Zawsze Polo-Cocta”, logo przypominające reklamę przesłodzonego amerykańskiego napoju. Całość wyglądała nieco groteskowo.

– Pan nie ma żadnego nałogu?

– Nie mam czasu na nałogi. – Nalepa skrzywił się, jakby sama wzmianka o ludzkich słabostkach wydawała mu się idiotyczna.

– Chwali się. – Staruch skłonił głowę z szacunkiem. – Widzę, że nie ma pan ochoty na jedzenie... zupełnie jak ja. Może napijemy się czegoś?

Nalepa spojrział na nadgarstek, jakby chciał sprawdzić, czy o tej porze wypada pić coś mocniejszego. Strzepnął rękawem, udając, że zapomniał, że nie ma zegarka.

– Rzeczy zostaną oddane panu po powrocie... – Badura uśmiechnął się przepaszająco i skinął na kelnera. – Jest już grubo po południu. Myślę, że możemy sobie pozwolić na kieliszek lub dwa... Zaproponuję panu moją ulubioną naleweczkę. Wzmacnia. Przyda się nam obu...

– Poproszę też polo-coctę. – Nalepa mrugnął do kelnera. Przynajmniej usłyszał z ust Badury pierwszą informację, na której mu zależało. On także liczył na szybki powrót. – Brakuje mi trochę cukru.

– Oczywiście, coś jeszcze dla panów? – zapytał mężczyzna.

Nalepie w tej chwili nic innego nie przychodziło na myśl. Potrząsnął głową, dając znak, że nic więcej mu nie trzeba. Badura milczał, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Wszystko w porządku?

– Tak – staruch skinął głową. – Szkoda, że wcześniej nie mieliśmy okazji się poznać. Bardzo mi pan przypomina...

– Kogo?

– Mnie. Mnie samego...

– Aha – Nalepa nie dał po sobie znać, że strzeliłby sobie w łeb, gdyby miał choć trochę przypominać tego pierdziela.

– Pan już wie... Wie pan, gdzie się znajduje?

– To chyba nie jest aż tak trudne. – Nalepa skinął głową kelnerowi w podzięcie, gdy ten postawił przed nim szklanę, a obok niej butelkę polo-cocty.

– Nie, nie jest. – Na twarzy Badury znów pojawił się ten obleśny uśmiech.

– Oczywiście wciąż mogę mieć wątpliwości... – Nalepa zawiesił głos.

– Zastanawia się pan, czy to nie jest scenografia do jakiegoś filmu? – Staruch zarechotał.

Kelner znów się pojawił. Postawił przed nimi na okrągłych podstawkach krwistą nalewkę w sporych kieliszkach.

– Zastanawiałem się – potwierdził Nalepa.

– I już pan nie wątpi, że to inna rzeczywistość? Tak szybko przeszedł pan nad tym do porządku dziennego?

– Za dużo zachodu, by oszukać jednego tak mało znaczącego faceta jak ja. Nic pan by tym nie zyskał. Może więc przejdźmy do rzeczy?

– Przejdźmy do rzeczy – powtórzył jak echo Badura. – Niech tak będzie. Najpierw wzniesmy jednak toast.

– Niech pan go wygłosi – zaproponował Nalepa, unosząc kieliszek.

– Za Polskę. Naszą... i waszą!

Nalepa przełknął słodki, pałący napój, próbując ukryć gorzki uśmiech. Odkaslnął, gdy płyn osiadł na ściankach przetyku. Po ciele rozeszło się przyjemne ciepło. Teraz on uśmiechnął się paskudnie. W kilka sekund dotarła do niego kolejna informacja. To był świat Badury. Ta rzeczywistość była dla niego domem i tej Polsce, bez względu na to, jaka ona była, służył.

– Dobrze! – Henryk oblizał wargi ze smakiem.

– Mówiłem! – Staruch aż uniósł się na krześle z zadowolenia. Dał znak kelnerowi, że zamawia jeszcze raz to samo. – Wszystko, co tutaj robimy, jest najlepszej jakości.

– Nie wątpię – skłamał Nalepa, bawiąc się podstawką, na której znajdowała się reklama papierosów. Sporty, grafika skopiowana z paczki marlboro.

– Niech pan pyta – zezwolił Badura w nagłym przypiływie dobrego humoru. – Odpowiem na wszystkie pytania.

– Dziękuję za zaufanie.

Nalepa upił tym razem tylko łyżeczek nalewki. Rzeczywiście mu smakowała. Po chwili wahania przechylił kieliszek do dna. Miał zadawać trafne pytania? Opracował pewną strategię. Powinien znaleźć nieścisłość, wyczuć wahanie w głosie Badury. Postanowił bardziej skupić się na intonacji jego głosu, wyczuć drzenie, wahanie, zbytnią pewność, która mogła być oznaką wyklepania specjalnie przygotowanej dla niego historyjki albo... prymitywnie, po prostu go sprowokować. Musiał znaleźć punkt zaczepienia. Przecież nie

mógł podłączyć tego starucha do wykrywacza kłamstw. Choć pewnie i z tym ten stary wyga by sobie poradził... Cóż, spośród informacji, które były realne, choć brzmiały fantastycznie, musiał wybrać te fałszywe...

– Do czego jestem panu potrzebny? – zapytał wprost.

– Jest pan bardzo bezpośredni. Przeszedł pan do sedna... – Badura przełknął także swoją nalewkę. Wydawało się, że w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie dotknąć językiem wnętrza kieliszka. Nalewka była gęsta i pozostawiała na ściankach delikatny osad. – Potrzebne jest panu jednak pewne wprowadzenie... Pozwoli pan, że naświetlę sprawy...

– Świetnie. – Nalepa skinął głową i wyraźnie rozochocony machnął na kelnera, pokazując puste naczynia. Udawał, że mocny trunek uderzył mu do głowy.

– Wierzę, że pana umysł jest otwarty. – Badura zaczął bawić się papierośnicą. – Już pan wie, że istnieją światy równoległe... inne wymiary rzeczywistości, jeśli pan woli... – zawiesił głos, jednak nie wydawało się, że potrzebuje potwierdzenia Nalepy. Wyglądało bardziej na to, że sam próbuje zabrać myśli. – Ile takich światów równoległych może istnieć obok siebie, a właściwie się przenikać? Na to pytanie nikt nie jest w stanie odpowiedzieć.

– Wiemy o naszych dwóch. – Nalepa wymownie spojrzął za okno.

– No tak! – Badura zaśmiał się. Nachylił się nad stołem w stronę Nalepy. – Wiemy o naszych dwóch i wygląda na to, że tylko one są powiązane. To jednak nie wszystko... Najważniejsze są zasady, które nimi rządzą.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Wyobraźmy sobie wagę. Dwie szale – stary nagle spoważniał. – Na jednej pana świat, na drugiej nasz. Jeśli jedna szalka pójdzie w górę, druga automatycznie w dół...

– Do czego pan zmierza?

– Odpowiem na przykładzie. Te wymiary są ze sobą powiązane... niczym bliźnięta syjamskie. Jeśli jedno z dzieci rośnie w siłę, robi to kosztem drugiego... Dlatego tak ważne jest zachowanie równowagi między nimi.

– I pan pilnuje tej równowagi?

– Brawo! – Badura klasnął teatralnie w dłonie. – Nie tylko ja. U nas zajmuje się tym specjalna grupa, zresztą podobny wydział był po waszej stronie...

– Wszyscy zostali zlikwidowani, wie pan przez kogo?

– Nie. – Badura znów dotknął papierośnicy. Po chwili wahania otworzył ją i wyciągnął papierosa. – Jeszcze nie. Nad tą sprawą będziemy musieli razem popracować. Na pewno przyda się pana pomoc.

– Jak miałbym pomóc? Wydaje mi się, że całkiem nieźle wam się powodzi w tej Polsce. – Nalepa popatrzył znacząco za okno.

– Najpierw wyjaśnię panu, skąd wzięły się różnice. – Badura obracał papieros w palcach.

– Do pewnego momentu między naszymi światami nie było ich wiele. Tutaj jednak historia potoczyła się inaczej.

– Słucham pana uważnie...

– Odsiecz wiedeńska. Coś panu mówi?

– Chyba każdemu...

– Pan wie, że Sobieski po wygranej bitwie ruszył dalej na Węgry, miał szansę wejść do Turcji, która była w rozsypce, ale pojawiły się niesprzyjające okoliczności i zrezygnował...

– Mniej więcej.

– Tutaj nie skończył na Wiedniu i Węgrzech... Poszedł dalej... Nasza armia jest niezwyciężona po dzień dzisiejszy. Opanowaliśmy Europę środkową i wschodnią, część Azji. Wróciliśmy też na Kreml. – W oczach Badury pojawiły się ogniki. – Do tysiąc dziewięćset osiemnastego roku opanowaliśmy niemal całą Europę. Potem nastąpiła chwilowa stagnacja...

– Znacząca data także dla drugiego... dla mojego świata. – Nalepa uśmiechnął się krzywo. Doskonale zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. – Wygląda na to, że dopiero w trzydziestym dziewiątym znów zaczęło iść wam z górki?

– Dokładnie! – Badura odłożył papierosa i upił mały łyżeczek nalewki. – To jest to powiązanie, o którym mówiłem. – Gdy pana Polskę dotykają nieszczęścia, takie jak wojna, kryzys gospodarczy, u nas zaczyna się rozkwit na niespotykaną skalę! Może pan wyrzeć jeszcze raz przez okno! W pana rzeczywistości Stanom Zjednoczonym powodzi się całkiem nieźle, prawda? A tu? Tutaj uzyskali niepodległość dzięki nam, a potem... cóż. Wystarczy, że powiem, że w tej rzeczywistości nieznanym jest skrót USA. Tu funkcjonuje USNP! United States of New Poland!

Nalepa zaśmiał się pod nosem.

– Nie było lepszej nazwy?

– Przyjęła się. – Badura sprawiał wrażenie, jakby śmiertelnie się obraził. – Jest wyrazem spontanicznego uwielbienia wolności i oddania naszemu krajowi.

– Pana krajowi, ja tej Polski nie znam... – Nalepa wyprostował się na krześle, powoli zaczynał mieć dość tej rozmowy.

– Wie pan, rzeczywiście różnic jest sporo, ale i wiele jest podobieństw. – Badura opanował emocje, znów się uśmiechnął. – I tu, i tu hymn zaczyna się od „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Zresztą pierwsza zwrotka jest taka sama. Ale dalej... Cóż, u nas Napoleon nie wygrał nigdy partii szachów, a co dopiero jakąś bitwę...

– A, to ciekawe...

– I widzi pan, dochodzimy do sedna... – Badura znów nachylił się w stronę Nalepy. Miał gorący, przesiąknięty słodkim alkoholem oddech. – Tak samo jak powiązane są nasze światy, tak samo powiązani są ludzie... Jeśli u was ktoś zmienił bieg historii, u nas nie zapisał się nawet jedną zgłoską w annałach kronikarzy. Choćby Piłsudski! Gdy w pana świecie dokonywał przewrotu majowego, u nas pracował na roli, w gospodarstwie pod Wilnem. Adolf Hitler? Gdy Niemcy zaczęły u was przegrywać wojnę, dopiero wtedy w naszym świecie przysłała do niego dobra passa. Jego obrazy są dziś w cenie... Na szczęście popełnił

samobójstwo, zanim przyszła mu do głowy myśl o buncie i podboju Europy... Są też nasi bohaterowie, ikony tego świata, którzy u was nigdy nie wybiją się ponad przeciętność.

– Na przykład?

– Eryk Poraj... Mówi panu coś to nazwisko?

– Nie. – Nalepa zmarszczył brwi. Miał pamięć i do twarzy, i do nazwisk. – A co? To jakiś znany aktor? – zakpił.

– Nie. – Badura pokręcił głową. Podniósł do ust papierosa. W jego dłoni w jakiś niepojęty sposób znalazła się zapalniczka. – To najważniejsza osoba nie tylko w naszym państwie. Może go pan nazwać władcą tego świata...

Nalepa patrzył, jak kłąb dymu przesłania twarz Badury. Ten zapach papierosów... Doskonale go zapamiętał. Powoli wszystkie elementy układanki zaczynały do siebie pasować. A Eryk Poraj? Nalepa opróżnił kieliszek. Eryk Poraj niewątpliwie był kluczem do wszystkiego.

* * *

Wybiegł na ulicę i szybko skręcił w boczną uliczkę. Wydawało mu się, że pod budynek zajechało kilka podejrzanych samochodów. Terenowe suwy z przyciemnianymi szybami. Przyspieszył. Serce waliło mu jak młotem, ciężko pompując krew. Przebiegł skwerek i pasy na czerwonym świetle. Obejrzał się. Jeden z samochodów znów ruszył.

Eryk niemal krzyknął ze strachu. Pot lał mu się ciurkiem z czoła. Miał wrażenie, że przemieszcza się jak mucha w smole. Jakby biegł w gęstym kisielu.

Znalazł się przy bunkrze na Legnickiej. Wbiegł w przejście podziemne. Dopiero wtedy go tknęło. Obszukał nerwowo płaszcz. Wyciągnął komórkę. Mogli go namierzać, tak jak w szpiegowskich filmach. Przecież powiedzieli, żeby został tam, gdzie jest. Nie pytali nawet o adres. Po prostu wiedzieli!

Telefon wrzucił do kubła na śmieci. Wybiegł po schodkach na poziom ulicy i ruszył między betonowe wieżowce.

Czego mogli od niego chcieć?

Potknął się. Przejechał brzuchem po chodniku. Umazał się błotem. Jakaś starsza pani przyglądała mu się niczym nieobliczalnemu wariatowi. Pies, którego wyprowadziła na spacer, zaczął piskliwie szczekać. Był mniejszy od szczura, przy każdym otworzeniu pyszczka podskakiwał jak gumowa piłka.

Eryk zaśmiał się. Podniósł się, unosząc ręce. Kurtka rozerwała mu się pod pachą. Brzuch był szary, jakby przed chwilą rozegrał mecz rugby. Chyba to przywróciło mu przytomność umysłu, otrząsnął się. Był zawsze życiowym nieudacznikiem. Na nic nie miał wpływu. Teraz też niewiele od niego zależało. Odetchnął głęboko i ruszył przed siebie spokojniejszym krokiem. Miał wewnętrzne Przekonanie, że każdy wybór i tak prowadzi go do życiowej

przegranej.

* * *

Wsiadli do samochodu. Cadillac z odkrytym dachem. Z tyłu znaczek FSO Bielsko-Biała. Nalepa zaczął się śmiać, nie mógł się powstrzymać. To wszystko wyglądało jak jakaś nedorobiona Cepelia. Badura popatrzył na niego jak na wariata, ale nic nie powiedział.

– Wszystko made in Poland? – zapytał Henryk. – Dobrze, bo polskie?

– Aaa... – Staruch także się zaśmiał. – Trochę korzystamy z dobrodziejstw pana rzeczywistości... Kilka rzeczy warto było przenieść, skoro się sprawdziły.

Zajęli miejsca z tyłu. Czarnoskóry kierowca przywitał się z nimi i wolno ruszyli przed siebie.

– To powie mi pan wreszcie, o co chodzi? – zapytał Nalepa, obserwując mijane budynki. Zastanawiał się, czy zobaczy gdzieś McDonalda... Był ciekaw jego polskiej wersji.

– Pomogliśmy wam już kilka razy... – Badura przecesał dłonią włosy poruszone pędem powietrza. – Pierwszy raz, nawet nie wiedząc o tym, w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Potem już świadomie w czterdziestym piątym... i w końcu lat osiemdziesiątych. Przyczyniliśmy się do zwalczenia komuny!

– Szlachetnie z waszej strony... trochę chyba jednak to trwało... Wojna, niech policzę, sześć lat... komuna... pięćdziesiąt...

– Bo to nie takie proste... – obruszył się staruch. – Musieliśmy zrobić to w sposób, który zagwarantowałby, że nie zniszczymy tego, co osiągnęliśmy tutaj. Wprowadzaliśmy kryzys kontrolowany... stopniowo... ale jak widać, z sukcesem, skoro może pan dzisiaj powiedzieć o swoim kraju – wolna Polska!

– Mamy was za to jakoś odznaczyć? Napisać petycję do prezydenta? – zakpił Nalepa.

– Nie. – Badura nie wydawał się zbity z tropu, nic sobie nie robił z uszczypliwości współpasażera. – Tym razem to my potrzebujemy pomocy.

Nalepa uniósł brwi i pokiwał głową, jakby spodziewał się czegoś podobnego.

– Mamy tu problemy... poważne. Kilka naszych protektoratów buntuje się... Powstał ruch oporu na Uralu. Pod Moskwą doszło do starć z partyzantami. Jeszcze gorzej jest za Odrą... Zaczęło się od strajków w Zagłębiu Ruhry. Teraz ludzie wyszli na ulice Berlina...

– To chyba wasz problem, nie nasz. – Nalepa wzruszył ramionami. Udawał, że to wszystko nie za bardzo go obchodzi. – Chyba nie spodziewa się pan, że poprę jakiś chory plan? Żeby tutaj było dobrze, mamy znów popaść w niewolę? Rozbiory? A może Rosjanie wkroczą do Polski?

– Nic z tych rzeczy! – Badura zaśmiał się chrapliwie i pomachał rękami uspokajająco. – Mówiłem panu o naszym prezydencie... Eryku Poraju.

– Tak – potwierdził Nalepa.

– To młody i silny przywódca! On jest w stanie znów poskładać wszystko do kupy. Zjednoczyć całą Rzeczpospolitą pod swoimi rządami. Potrzebuje tylko trochę więcej czasu i...

– Szczęścia? – Nalepa zaczynał powoli pojmować, do czego zmierza staruch. – Kosztem tego drugiego Eryka Poraja z mojej rzeczywistości?

– Dokładnie! – Badura skinął głową z powagą graniczącą ze śmiesznością. – To tylko jednostka, panie Nalepa! Nie musimy w to angażować naszych krajów! Trzymaliśmy nad waszym Porajem pieczę od wielu lat! Przyznaję, czasem podkładaliśmy mu nogę, żeby nie szło mu za dobrze.

– Czasem? – mruknął pod nosem Nalepa. – Wyobrażam sobie...

– Nigdy nie przekroczyliśmy jednak granicy! – zastrzegł Badura z poważną miną. – Lekko poniżej przeciętnej... Ma przecież mieszkanie, żonę...

– Pełnia szczęścia. – Nalepa aż zatrzęsł się ze śmiechu. – To czego ode mnie chcecie? Mam mu przestawić kulasy? Zabić żonę? Po to, żeby wasz prezydent poskładał tu wszystko do kupy?

– Nic pan nie musi robić. Wszystkim zajmiemy się my. – Badura przecesał dłonią przerzedzone włosy. – Daliśmy mu ochronę. Jednak nasz agent, Marek Sablewski, który trzymał nad nim pieczę, nie daje znaku życia. Podejrzewam najgorsze...

– Ktoś jeszcze się w to wmieszał? – Nalepa zmarszczył brwi. – To znaczy, że nie tylko wy wiecie o tych całych wymiarach?

– Nie wiem – odpowiedział z rozbrajającą szczerością Badura. – To by tłumaczyło także zniknięcie waszych ludzi...

Nalepa skinął głową. Akurat w tej sprawie miał już wyrobioną opinię.

– Myśli pan, że chcą zabić tego Poraja? Tak jak Sablewskiego? – zapytał.

– Trudno powiedzieć. – Badura dotknął czoła, jakby ocierał z niego pot. – Pilnujemy go na szczęście jak oka w głowie.

– Nie wątpię. – Nalepa patrzył na mijane budynki. Polskie nazwy, plakaty, neony i witryny. Przez chwilę wydawało mu się, że znów jest w Warszawie.

– Chcę, żeby został pan kierownikiem nowej komórki. Stworzy ją pan w swoim świecie. Dobór pracowników zostawiam panu... To duże wyróżnienie.

Fajne warzywo ta marchewka, pomyślał Nalepa. Oстрыm końcem łatwiej wchodzi w dupę. Za głęboko wepchana może jednak zrobić zbyt dużo spustoszenia. Nie podzielił się jednak tym spostrzeżeniem.

– Gdy tylko opanujemy sytuację tutaj, zastanowimy się wspólnie, co zrobić dla pana Polski. Być może jest ktoś, komu należy pomóc, kto będzie nowym prezydentem, premierem... zapewni zmiany w dobrym kierunku...

Samochód zatrzymał się przed niskim budynkiem.

– Więc co pan na to?

– My dwaj będziemy o tym decydować? – uśmiechnął się chytrze Nalepa.

– Niech się pan nad tym zastanowi...

Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę kamiennych schodków.

– Zastanowię się – powiedział Nalepa pojednawczo. – Chcę jednak prowadzić sprawę tego Poraja. Muszę mieć kontrolę nad pana działaniami.

– Tego nie mogę zrobić... – Badura skrzywił się smutno. – Przynajmniej na razie. Musi pan uzbroić się w cierpliwość. Nabierzmy wpieryw do siebie zaufania. Jeszcze kilka tygodni i akcja we Wrocławiu zostanie zakończona sukcesem. Wprowadzę pana w sprawy stopniowo. Może najpierw stworzy pan nowy wydział? Pozna procedury?

– Rozumiem... – Nalepa zmarszczył czoło. Żadna informacja nie uchodziła jego uwadze.

– Proszę się nie obrażać. Wyrazem mojego zaufania niech będzie to, co pan za chwilę zobaczy... – Staruch uśmiechnął się tajemniczo. – Pozna pan nasz największy sekret!

Masywne dębowe drzwi otworzyły się przed nimi. Weszli w jasny korytarz. Nalepa szybko domyślił się, czego dotyczy owa tajemnica.

* * *

Eryk znalazł się znów w Galerii Dominikańskiej. Usiadł na ławce w głównym pasażu. Uniósł głowę. Z tego miejsca widać było wszystkie poziomy centrum. Także ten najwyższy, gdzie ludzie wychylali się przez balustrady, patrząc w dół, na fontannę. Czyżby to wszystko wydarzyło się naprawdę? Wzrok Poraja mimowolnie przesunął się wzdłuż szklanej tafli bariereki. Właśnie tam stał dzisiaj Marek Sablewski, a potem... ktoś pomógł mu pokonać drogę w dół, do fontanny.

Eryk pił kawę, zastanawiając się, co robić dalej. Gdyby nie żona i dziecko, pewnie teraz poszedłby w ślady dawnego kolegi. Ciekawe, co jutro napisaliby w gazetach. Wyobraził sobie nagłówki w prasie. „Tragiczna niedziela”? „Podwójny skok samobójców”? Nie... a może inny tytuł, na przykład „Galeria samobójców”... Uśmiechnął się, to lepsze.

Prawdę mówiąc, miał ochotę skoczyć, już nie ze względu na to, co stało się dzisiaj. Miał ochotę skończyć tak efektownie za całokształt, za całe nieudane życie. Męki i katusze, przeciwności losu i nogi podkładane przez innych. Gdyby każdy jak on wpadał w dołki kopane przez zawistników, wylądowałby pewnie po drugiej stronie globu. Teraz jednak chciał walczyć. Musiał, dla dobra tych, których kochał.

Jaki zresztą miał wybór? Ukrywać się, uciekać dalej, czy może po prostu się poddać? Wcześniej czy później dopadnie go ten szaleniec. Teraz pewnie spodziewa się, że będzie zaszczyty jak zwierz, wykona nerwowy ruch albo popełni jakiś błąd. Wypadałoby więc zrobić coś, czego się nie spodziewa, zaskoczyć go. Ktoś mądry powiedział, że najciemniej jest pod latarnią. Eryk uśmiechnął się, wstał i zapłacił za kawę. Musiał to jeszcze raz przemyśleć.

* * *

Nie zwracali na Nalepę uwagi. Murzyn z jakimś wychudzonym facetem szli przodem. Badura obok, w zupełnym milczeniu. Przeszli przez korytarz, a potem schodami w dół, do windy. Henrykowi wydawało się, że jadą nią w nieskończoność.

Kilka minut później wkroczyli do kolejnego pomieszczenia. Wypełniał je głośny, miarowy szum i głębokie buczenie.

– Przejdźcie za minutę!

Nalepa ledwie zrozumiał mężczyznę, który odwrócił się od zastawionego sprzętem biurka. Miał twarde, podobny do niemieckiego akcent.

– Przygotujmy się. – Badura uśmiechnął się tajemniczo do Nalepy. Wskazał ruchem głowy w głąb pomieszczenia.

Nalepa spojrział w tym kierunku. Niebieskie iskierki wyładowań wypełniały przestrzeń pomiędzy sufitem a podłogą. Falująca tafla, jakby wykonana z lepkiej substancji. Do jego nozdrzy doszła cierpka woń spalonej izolacji i zgnitych jajek. Włosy uniosły mu się na głowie, ale nie ze strachu, raczej z wyczuwalnego napięcia.

– Jest połączenie! – oznajmił technik.

– Dobrze. – Badura zatarł dłonie. – Panie Henryku? To właśnie nasza brama! Za chwilę znajdziemy się w pana Polsce!

– Chcę poznać tego Poraja – Nalepa nie dawał za wygraną. Postanowił rzucić wszystko na jedną szalę.

– Może za tydzień. – Badura skrzywił się. Wyglądało na to, że chce zbyć Nalepę.

– Tak myślałem, staruchu... – wyszeptał pod nosem Henryk. Zdawał sobie sprawę, że tak dużo czasu nie ma. Za tydzień może być już za późno. Jego misja musiała zakończyć się jak najszybciej, najlepiej jeszcze dziś.

– Gotów? – zapytał radośnie Badura.

– Gotów – skinął głową Nalepa, uśmiechając się chytrze.

– Pan pierwszy. – Staruch musiał czerpać niezłą satysfakcję z całej tej zabawy. Być może myślał, że jego towarzysza się zawaha.

Nalepa nie miał zamiaru czekać. Ruszył wprost w taflę. Chciał się nawet odezwać, ale świat nagle rozpadł się na tysiące odłamków. Coś dziwnego stało się ze wzrokiem Nalepy. Kilka obrazów nałożyło się na siebie. Zawirowały, nadając przestrzeni większej ostrości i głębi. Wydało mu się, że z wirującej otchłani nadciąga fasetowy, rozedrgany powidok. Wnętrze innego pomieszczenia. Ściana wypełniona monitorami, drgającymi punktami łączącymi się w linie. Kształty nabrały barw, ale nagle odsunęły się od mężczyzny. Wciąż je widział, choć wydawało się, że teraz jest od nich oddalony o tysiące kilometrów.

W ułamku sekundy znów wszystko się zmieniło. Obraz spłaszczył się, obrócił i ruszył w stronę Nalepy z ogromną prędkością. I wtedy Henryk poczuł, jakby ten pęd sprasował go, a kiedy wydawało się, że go zgniecie, zupełnie pozbawiając oddechu, przestrzeń znów

zafalowała i rozszerzyła się. Poleciał do przodu, jakby nic go już nie trzymało. Nagle stał się lekki, wydawało się, że gdyby chciał, mógłby wzbić się w niebo. Płuca domagały się powietrza. Zaczerpnął głęboko oddechu, jak tonący, któremu udało się wydostać na powierzchnię wody.

Znalazł się w innym pomieszczeniu. Wiedział, że przeszedł jak Alicja na drugą stronę lustra. Za plecami wyczuwał wciąż drgającą taflę wyładowań. Zza biurka wstał z uśmiechem nieznajomy mężczyzna. Nalepa zareagował odruchowo, uderzając z całej siły pięścią. Chrupnęło, a facet wrzasnął z bólu.

Nalepa zaatakował po raz kolejny, kopiąc go z całej siły w krocze. Gdy mężczyzna skulił się, poprawił kolaniem w twarz.

Tafla znów zafalowała. W pomieszczeniu pojawił się Badura. Niemal przewrócił się o ciało leżącego mężczyzny. Nalepa już na niego czekał. Uderzył w skroń, pozbawiając starucha przytomności. Obszukał go i wyciągnął z kabury broń. Strzelił kilka razy do otaczających go komputerów i urządzeń. Za czwartym razem tafla zajaśniała i przestała wirować. Po prostu zgasła.

* * *

– Ilu ludzi macie w budynku!?

Nalepa ocucił mocnym uderzeniem w policzek mężczyznę w białym kitlu. Tego, którego wcześniej tak sponiewierał. Szarpnął nim znów, mocno. Tamten zwinął się z bólu i strachu, jakby spodziewał się kolejnego ciosu.

– Mów!

– Nie wiem, dlaczego pan to robi? – Badura odzyskał właśnie przytomność. Teraz siedział oparty o ścianę. Był mocno i dokładnie związany. Mówił spokojnym, opanowanym tonem. – Radzę się nad tym zastanowić. Pan nie wie, do czego może doprowadzić nieprzemyślane działanie...

– Zaryzykuję. – Nalepa uśmiechnął się krzywo. Podeszedł do drzwi. Były zaryglowane od środka. Wyglądało na to, że chwilowo jest bezpieczny.

– Gdzie masz telefon? – ryknął do skulonego na podłodze mężczyzny. Gdy ten nie odpowiedział, uderzył go z całej siły w twarz.

– Jezu... – Strużka krwi wypłynęła przez zmasakrowane usta. – Kurtka...

Okrycie mężczyzny wisiało na wieszaku. Nalepa odnalazł telefon w wewnętrznej kieszeni.

– Gdzie jesteśmy, skurwielu? – Popatrzył na młodego.

– Jak... gdzie? – wyświszczał mężczyzna przez złamany nos.

– Nowy Jork?

– Nie. – Młody szybko pokręcił głową. – Gdzieś pod Warszawą... nie znam adresu...

dowozą mnie tutaj w zaplombowanym samochodzie.

Nalepa nie miał powodu mu nie wierzyć. Kręciło mu się w głowie. Nie miał czasu na wyciągnięcie informacji z Badury. Wykręcił numer alarmowy do swoich ludzi. Czekali. Odebrali po jednym sygnale.

– Namierzcie mnie i... przyślijcie wsparcie... Budynek strzeżony. Jestem gdzieś w piwnicy... – powiedział cicho.

* * *

Wybrał boczne wyjście z Galerii, wprost w przejście podziemne od strony Wzgórza Partyzantów. Szedł nieśpiesznym krokiem pod górę. Spokojnie i cicho, jakby nagle znalazł się w zupełnie innym zakątku świata. Lubił to miejsce, wędrował tędy często, podchodząc pod wzniesienie, a potem schodząc do ulicy Kołłątaja.

W fosie odbijały się uliczne lampy, światła niemieckiego konsulatu i Instytutu PAN. W samym centrum miasta wzgórze pełne labiryntów, knajpek i ławeczek ustawionych przy asfaltowej dróżce. Kilka z nich było zajętych. Eryk ukradkiem popatrzył na obściskujące się pary. Stłumiony chichot. Kilka czworonogów w towarzystwie właścicieli. Mężczyzna uprawiający jogging.

Wiedział, że ktoś za nim idzie. Przyczepiło się do niego to nieznośne uczucie, jakby skóra pleców ścierpła, skurczyła się pod wpływem niewidzialnej siły, badawczego spojrzenia.

Zaryzykował. Przyspieszył kroku. W najwyższym punkcie wzniesienia, gdzie ścieżka skręcała w prawo, było niemal zupełnie ciemno, tutaj o tej porze mało kto się zapuszczał. Tajemniczy zakątek z fontanną i płaskorzeźbą, która zawsze tak bardzo mu się podobała. Naga kobieta wyciągająca ręce po żabę, swojego wymarzonego księcia z bajki. Gdyby rzeczywiście jeden pocałunek mógł wszystko zmienić...

Oparł się o granitową ścianę. Wtopił w otoczenie, wstrzymując oddech. Nie wiedział, co go do tego pchnęło. Podniecała go ta zabawa, jakby chciał sam sprowokować życie do dania mu jeszcze większego kopa, ciosu w jaja, tak żeby stracił oddech i wyrzygał wszystko, co ma w żołądku. Dla niego to życie było oślizłą żabą, nie miał go jednak zamiaru ani całować, ani pieścić.

To był impuls. Podniósł kamień, który wyczuł pod butem. Ktoś pojawił się zaledwie na wyciągnięcie ręki. Mężczyzna zawahał się, odwrócił w stronę Eryka, jakby wyczuł jego obecność.

Eryk zamachnął się. Próbował trafić w głowę, zrobił to ze strachu. Pod wpływem głupiej myśli: jeśli nie on, to ja. Mężczyzna jednak odskoczył. Zablockował jego rękę i uderzył w brzuch kolanem.

Eryk zachwiał się, zgiął wpół, uderzając głową niższego przeciwnika zupełnie przypadkowo w nos. Usłyszał łamliwy chrupot i jęk. Teraz obaj zatoczyli się. Eryk czuł, że

jego prześladowca próbuje go złapać za szyję. Odepchnął go z siłą, o którą nigdy by się nie podejrzewał. Potem kopnął na oślep, trafiając tamtego w kolano.

Mężczyzna znów natarł, oplótł Eryka rękami jak zapaśnik. Przez chwilę wydawało się, że zadusi go w stalowych kleszczach. I wtedy ponownie się zachwiali. Eryk zahaczył o nogę tamtego i runęli w dół stoku, w stronę czarnej jak smoła wody.

* * *

Nalepa podszedł do starucha i szarpnął go za nogi, ciągnąc na środek pomieszczenia.

– Nie próbuj nic, bo zabiję – ostrzegł.

– Dlaczego to robisz? – warknął Badura, odruchowo unosząc dłonie. Przypominał rannego skorpiona, który mimo że pozbawiony żądła, próbuje dalej dosięgnąć nim wroga.

– Bo ktoś musi!

Nalepa podszedł do telefonu, który zostawił na biurku. Był wciąż włączony, nikt nie przerwał połączenia.

– Za dziesięć minut opuścimy budynek. – Henryk popatrzył na zegar zawieszony na ścianie. Usiadł na blacie mebla, opierając nogę o krzesło. – Polecisz razem ze mną do Wrocławia.

– Ty chyba nie wiesz, na co się porywasz? – Staruch siedział oparty o biurko, rozmasowując nadgarstki, protekcyjnalny ton zapewne miał onieśmielić Nalepę. – Twoje działanie jest pozbawione sensu. To my mamy przewagę. Wystarczy kilka decyzji podjętych po tamtej stronie – Badura wskazał ruchem głowy uszkodzony portal – a narobimy wam takich kłopotów, że pięćdziesiąt lat Ruskich będzie się wydawało miłym wspomnieniem z wakacji. Nie jesteś patriotą, Nalepa? Źle cię oceniłem?

– Patriotą? – Henryk zaśmiał się głośno. – Pan nim jest? Dla której Polski? Tamtej?

– Dla obu. – Twarz Badury stężała. Wyglądał jak zasuszona kukła z błyszczącymi studniami szarych oczu. – Próbujemy zachować równowagę!

– To ma być równowaga? – Nalepa krzyknął, błyskawicznie się jednak uspokoił. Kontynuował już łagodniejszym tonem: – Jesteście pasożytami, bierzecie z tego miejsca wszystko, co najlepsze. Nie patrząc na konsekwencje. Wysysacie ten świat jak pijawki, próbując zbudować atrapę raj.

Oczy Badury zwięziły się w szparki. Analizował sytuację i rozpatrywał ewentualne scenariusze jej rozwoju.

– Dogadajmy się – powiedział w końcu, nawet się uśmiechnął. – To pan chce dyktować warunki. Rozumiem, tutaj jest pan u siebie. Ja będę gościem, coś jakby obserwatorem...

– Szlachetne, doprawdy. – Nalepa wsłuchał się w odgłosy niesione przytłumionym echem z zewnątrz. Jego ludzie byli już na miejscu.

– Umówmy się, że pomożecie nam zapanować nad sytuacją... – Badura był teraz niczym

dobry polityk z workiem pełnym prezentów. – Potrzebujemy kilku miesięcy, góra... pół roku. Wtedy my zrobimy coś dla was... Staniecie się być może nawet główną siłą w Europie... Niezależność energetyczna, bezpieczeństwo...

– Kuszące – Nalepa udawał, że zastanawia się nad ofertą. – W jednym na pewno ma pan rację...

– Tak? – zainteresował się Badura. Był pewny, że nawiązał nić porozumienia.

– Tutaj ja rozdaję karty...

Metalowe drzwi zadudniły umówionym sygnałem. Nalepa wstał i odblokował zamek. Do pomieszczenia weszło trzech najemników. Przejęli Badurę i technika. Nalepa spojrzał na wprowadzanego starucha. Po raz pierwszy zobaczył w jego oczach autentyczny strach.

* * *

Samolotem zatrzęsło. Musieli wpaść w jakąś turbulencję. Nalepa nie lubił latać, najzwyczajniej w świecie wejście na pokład latającej maszyny było dla niego traumatycznym przeżyciem. Jeszcze tego brakowało, by teraz się rozbili. Poświęcił ostatnie dziesięć lat i wszystko, co miał, żeby wypełnić zadanie. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli zawiedzie. Bał się wyrzutów sumienia. Wiedział, że zaprowadzą go na stryczek albo dach jakiegoś wieżowca.

– Co pan zamierza?

Udawał, że nie dosłyszał słów Badury. Spojrzał przez szybkę. Księżyc rzucał srebrną poświatę na chmury. Lecieli nad nimi, zdawało się, że w dole nie ma w ogóle ziemi. Gdzieś daleko rozbłysło, nagły impuls, nić błyskawicy. Przez ułamek sekundy niebo przypominało Nalepie wirującą taflę, przez którą przeszedł kilkadziesiąt minut temu. Jakby i ono prowadziło do innego, równie pokręconego świata.

– Zadziwia mnie pana postępowanie...

Chciało mu się spać. Powieki ciążyły, a ruchy stały się leniwe. Spojrzał jednak na Badurę. Staruch siedział w fotelu naprzeciwko, wydawało się, że gdzieś z tej wysuszonej sylwetki ulotniła się cała pewność siebie.

– Wydawało mi się, że działa pan dla rządu... Sprawdziłem to. Jednak ludzie, którymi się pan otacza... Oni wydają się pracować dla pana, nie dla agencji.

Nalepa skinął leniwie głową, myślami był zupełnie gdzie indziej. Pozwolił Badurze snuć rozważania.

– Wie pan... – Staruch nagle rozluźnił się. Wyglądało to komicznie, gdy założył nogę na nogę, a jego dłoń powędrowała ku górze, przypięta kajdankami do metalowej osłonki. – Myślmy podobnie. Ja też uważam, że za biurkiem trudno jest podejmować właściwe decyzje. Pan i ja... obaj pracujemy w terenie, siedzimy w tym głęboko, wiemy, że możemy ufać tylko sobie, swoim osądom i decyzjom.

Nalepa uśmiechnął się, dając dowód, że bardzo dobrze to rozumie.

– Jestem w stanie pana poprzeć. Uznać pana najważniejszym przedstawicielem interesów tego świata. Nie ukrywajmy, nigdy nie rozmawialibyśmy z waszym prezydentem czy premierem...

– Wy kontrolujecie bramę? – przerwał Nalepa.

– Tak... – Badura poczuł się pewniej, wszedł na odpowiedni grunt, gdzie miał przewagę.

– Są pewne zasady, którymi rządzą się nasze światy. To czysta fizyka. Nawet wasi uczeni podejrzewają, że jest siła zdolna otworzyć ludziom bramę pomiędzy wymiarami. Wie pan, co to jest?

– Nie wiem... – Nalepa udął fascynację tematem.

– Grawitacja! – Badura znów tryumfował. – Jedyne grawitacja jest zdolna przenikać poprzez bariery odgraniczające jeden świat od drugiego! Wykorzystujemy cząstki przenoszące oddziaływania grawitacyjne. To właśnie grawitony pozwalają nam swobodnie przemieszczać się w przestrzeni dodatkowych wymiarów!

– I właśnie wam udało się ujarzmić grawitację?

– Słyszał pan o silniku Searla? Albo magnokrafcie profesora Pająka?

Nalepa skinął głową.

– No tak. – Badura uśmiechnął się. – Wystarczy trochę powęszyć. Te informacje można znaleźć wszędzie. Na przykład to, co pan dziś widział, może przypominać zaawansowany wirnik z magnesami stałymi. Jednak klucz do bramy pozostaje po naszej stronie... Wie pan, co chcę przez to powiedzieć?

Nalepa uśmiechnął się. Cała ta przemowa miała jeden cel. Pokazać, że jednak ktoś zupełnie inny tu rządzi.

– Przyczyna tego stanu rzeczy jest prozaiczna.

Badura wyglądał teraz jak profesor wykładający nie tylko trudny temat, ale i zasady działania tego okrutnego świata. – Ingerencję w powłokę otaczającą wasz świat można podjąć tylko z zewnątrz, z naszego świata. Co prawda naukowcy dowodzą, że raz na kilkaset lat przy sprzyjających okolicznościach może dojść do samoistnego otwarcia bramy, ale określenie miejsca i czasu jej powstania jest trudniejsze niż wygrana w totolotka. Na to nie może więc pan liczyć.

Nalepa zacisnął szczęki. Chciał wyglądać na zbitego z tropu, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest uzależniony od Badury.

– Ma pan wiele argumentów w rękach – powiedział pojednawczo.

– Dokładnie, synu. – Staruch uśmiechnął się dobrotliwie i wskazał znacząco na kajdanki.

– Zacznijmy więc rozmawiać jak partnerzy.

– Ten Eryk Poraj – Nalepa zignorował sugestię. – Tak naprawdę nikt nie dybie na jego życie? Sami zacisnęliście wokół niego pętlę, napędzacie jego strach według ustalonego scenariusza?

– Nie da się pana oszukać. – Badura uśmiechnął się i skinął głową. – Wasz Poraj musi jeszcze przez jakiś czas pocierpieć. Zdejmie mi pan wreszcie te kajdanki?

– Jak dolecimy do Wrocławia. – Nalepa przeciągnął się i ziewnął szeroko. – Pan też trochę pocierpi. Może ten drugi Badura, jeśli takowy istnieje, choć przez chwilę będzie miał więcej szczęścia...

Odwrócił się i przymknął oczy. Długo wsłuchiwał się w szum wentylacji i bezsilne sapanie starucha, a potem wreszcie zasnął.

* * *

Wyciągnęli go z piwnicy. Szarpali za włosy, a potem uderzyli kolbą w twarz, z całej siły. Nalepa miał wrażenie, że cios sparaliżował lewą połowę ciała. Ognisty prąd przeszył go od szczęki wzdłuż barku i kręgosłupa. Upadł z jękiem na ziemię, plując krwią i połamanymi zębami.

Widział, jak wywlekają z kryjówki jego żonę. Krzyczą do niej po rosyjsku. Rozdarli jej sukienkę. Nagie piersi i jasna jak mleko skóra. Niemal fosforyzująca swoim białym, czystym światłem w brudzie rozbebeszonego podwórza.

– Ty, Polaczku, patrz, jak zabawiamy się z tą suką! – Ciężki wojskowy but pozbawił go oddechu. Przygniótł do podłoża.

Kasia leżała na ziemi. Dwóch trzymało ją za ręce, dwóch za nogi. Widział jej oczy, zwierzęcy strach, przerażenie. Popatrzyła na niego przez łzy, brudne smugi spływały po jej policzkach.

– Urodzi naszych, znaczy jak przeżyje ruchanie całego plutonu!

Pierwszy z nich ją zasłonił. Nalepa widział tylko plecy żołnierza, wojskowy płaszcz, którego żołdat próbował się gorączkowo pozbyć. Inni dopingowali zwierzęcymi okrzykami, ponaglali gwałciciela, a wokół unosił się zapach wódki i śmierci.

Furia oślepiła Nalepę, krew zahuczała w skroniach. Uderzył w jądra zapatrzonego w widowisko żołnierza. Potem chwycił za pas i pociągnął na siebie. Zatopił zęby w jego krtani, czując, jak pulsująca, gorąca posoka zalewa mu gardło i twarz.

Szamotoanina trwała ułamki sekundy. Wyrwał pistolet z kabury rannego i strzelił do tego, którego plecy unosiły się i opadały nad jego żonę. Oficer opadł jak kłoda i dopiero wtedy pozostali chwycili za broń. Dwóch Nalepa zabił od razu, wciąż leżąc na ziemi. Precyzyjnie trafiał w okrągłe, rozpalone twarze, znacząc je śmiertelnymi dziurami. Odpowiedzieli ogniem. Czuł, jak ciało martwego żołdaka podskakuje trafiane pociskami. Henryk wstał, wydobywając z siebie mrozący krew w żyłach krzyk. Strzelał precyzyjnie, szybko, wykorzystując wciąż bezwładne już ciało jako tarczę.

Potem podniósł żonę, nieprzytomną, bezwładną, i ruszył ulicą zrujnowanego Wrocławia w poszukiwaniu kolejnej kryjówki. Chciał się obudzić, modlił się, żeby to wszystko było

jedynie marą, snem, który nie miał prawa nigdy się przyśnić. Jednak Nalepa nie był już pewny, co jest snem, a co jawą. Wyszedł z ruin ratusza i ruszył w stronę placu Solnego. Jego świat powoli umierał, a on wraz z nim.

* * *

Gdy otworzył oczy, Badura uważnie mu się przyglądał. Nalepa przetarł powieki, próbując zamaskować drżenie rąk. W ustach wciąż czuł słony smak krwi. Sen, powtarzał sobie w myślach. To zły sen.

Koła właśnie dotknęły płyty lotniska. Wstrząs był delikatny. Pochwalił się w myślach za zatrudnienie dobrego pilota. Odpiął pasy i skinął na ochronę. Dopiero wtedy rozkuł Badurę.

Samochód czekał na nich na tyłach terminalu. Henryk postawił wszystko na jedną kartę. Wykorzystywał swoje uprawnienia do granic możliwości. Fałszywe dokumenty i zezwolenia kosztowały go majątek. Teraz i tak nie miał już nic do stracenia. Zanim go sprawdzą i zaczną dochodzenie, będzie po wszystkim.

Zapał się w miękkim fotelu i dał sygnał kierowcy. Widział, jak kilku pracowników ochrony lotniska obserwuje ich wyjazd przez bramę. Samochód ruszył w stronę centrum.

* * *

Eryka bolały zebra. Tępe ukłucie przy każdym oddechu. Uderzył boleśnie o jakiś konar. I tak miał więcej szczęścia niż tamten, przynajmniej nie stracił przytomności.

Uciekał jak zbrodniarz. Znalazł się na skrzyżowaniu Kołłątaja i Piłsudskiego. Na przystanku stał tramwaj, Eryk przez chwilę zastanawiał się, czy do niego wskoczyć, ale zrezygnował. Budynek Dworca Głównego był blisko, na wyciągnięcie ręki.

Włożył dłoń do kieszeni płaszcza. Czuł się pewniej, gdy dotykał chłodnej stali. Broń zabrał napastnikowi. Nie potrafił jej ogrzać nawet w kieszeni, ściskając spoconymi dłońmi. Jakby była skuta lodem.

Nogi niosły go same. Wybrał boczne wejście, przy kinie dworcowym. Potem skręcił w lewo do głównego holu. Zauważył, że jest tu sporo ludzi jak na tę porę dnia. Eryk doszedł do wniosku, że większość z nich to studenci wracający po weekendzie do akademików.

Ruszył w stronę peronów. Warszawa Wschodnia, Międzylesie, Katowice. Znów kusilo go, żeby wsiąść w jeden z odrapanych składów i pojechać w nieznaną. Zmienić otoczenie, oczyścić umysł. Zapomnieć.

Zamiast tego wyszedł po drugiej stronie dworca i ruszył trasą, którą znał na pamięć. Prosto do swojego domu.

* * *

Staruch milczał. Nalepie było to nawet na rękę. Wyrzwał przez okno, wciąż nie mogąc nadziwić się temu miastu. W ciągu ostatnich dziesięciu lat był tu kilkakrotnie. Za każdym razem przeżywał to mocno. Jego rodzinne miasto.

Zmieniło się wszystko, no, może oprócz bunkra na Legnickiej, który właśnie mijali. Okrągłak wyglądał tak samo, jak pamiętał, miał może mniej dziur po pociskach. Ale reszta...

Gdy Nalepa patrzył na to miasto, nie widział budynków, parków, fontann i zabytkowych kamienic. Widział ruiny i zgliszcza, tłące się szczątki umierającego Wrocławia. Ten obraz miał przed oczami także teraz. Nakładał się jak film na starym celulojdie. Ludzie na chodnikach rozplynęli się, gruz zaległ stertami tam, gdzie jeszcze przed chwilą można było przejść. Łuna nad miastem płonęła żywym ogniem, nie pochodziła od ulicznych latarni i neonów, a od trawiącego wszystko na swej drodze żywiołu.

Widział patrole uliczne, żołnierzy jak duchy, uzbrojonych po zęby, rosyjskie tablice i ogłoszenia na połamanych słupach. I tylko gdzieś na pokaleczonym ścianie znak Polski Walczącej. Polski żyjącej w podziemiach, pod okupacją.

– Jak chce pan odnaleźć Poraja?

Badura wyrwał go z tego dziwnego transu. Nalepa sam już nie wiedział, czy to, co widzi, jest przyszłością, przeszłością czy teraźniejszym obrazem innego świata.

– Skontaktuje się pan ze swoimi ludźmi. Podjedziemy tam – odpowiedział, z trudem panując nad głosem.

– Dlaczego myśli pan, że to zrobię? Jaki mam w tym interes? – Badura rozsiadł się w fotelu. Wyciągnął nawet swoją papierosnicę i uderzał w nią miarowo palcami.

– To będzie nasz układ. Jeśli chce pan prowadzić dalej tę operację, proponuję przewiezienie Poraja do naszego ośrodka. Tam będziemy w stanie kontrolować jego poczynania. Skąd ma pan pewność, że lada dzień nie popchnie pan go do jakiegoś nieodwracalnego kroku?

– Zastanawiam się, czy to pan nie planuje jakiegoś nieodwracalnego kroku... – Badura uśmiechnął się krzywo. – Pan chyba zdaje sobie sprawę, że przedsięwzięliśmy środki zapobiegawcze i mamy kilka innych wariantów w odwodzie? W każdej chwili możemy zrealizować w tym świecie kilka scenariuszy, które zdestabilizują nie tylko ten region, ale i układ sił na świecie...

– Wiem. Dlatego zaczęliśmy współpracę – odpowiedział ostrożnie Nalepa. – Chcę mieć jednak pewność, że mam kontrolę nad tym, co się dzieje. Zgarniamy Poraja i wsadzamy go do ośrodka. Będzie pan przy tym. Także pana ludzie...

– Dobrze. – Badura wahał się ułamek sekundy. – Proszę o telefon. Zadzwoń i dowiem się, gdzie jest teraz Poraj.

* * *

Wszedł do klatki i zapalił światło. Nie wiedział, czego się spodziewał. Jakiegoś znaku? Ostrzeżenia wypisanego na odrapanych ścianach? Wszystko wyglądało normalnie, poprawka, wyglądało tak jak zwykle. Mdła poświata żarówek, klejąca się poręcz i szare schody z wytartymi kaflami.

Popatrzył w górę, na półpiętro. Nie zdecydował się użyć windy. Ruszył po schodach.

Za drzwiami sąsiadów panowała cisza. Tylko przy jednych usłyszał głuchy pogłos telewizora. Wchodził piętro po piętrze, jakby sam pakował się do betonowych katakumb, które miały stać się miejscem jego wiecznego spoczynku.

W końcu zatrzymał się przed swoimi drzwiami. Obejrzał się czujnie. Przez chwilę miał wrażenie, że ktoś czai się w mroku, patrzy wprost na niego. Nikogo jednak nie było.

Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Jeszcze przez chwilę łudził się nadzieją, że wszystko, co wcześniej się wydarzyło, było jedynie wytworem jego bujnej wyobraźni, chwilową niepoczytalnością, która może się przecież zdarzyć każdemu. Zaraz wejdzie do przedpokoju, ściągnie buty i płaszcz. Ciepło domu ogrzeje mu policzki. Usłyszy żonę krzątającą się w kuchni, syna, który znów zbyt głośno słucha muzyki.

Dlaczego wcześniej nie doceniał takich chwil? Widać porządek świata układał się pod dyktando zwykłych rzeczy, przyzwyczajęń i odruchów. Wystarczy chwila, by Podejść do żony, oderwać ją od zajęć, przyciągnąć do siebie... Dlaczego chce się to zrobić, dopiero gdy nie ma takiej możliwości?

Eryk odszukał klucze w kieszeni i drżącymi dłońmi przekręcił zamek. Ostrożnie uchylił drzwi i przekroczył próg. Wszedł do pustego, przejmująco zimnego mieszkania.

* * *

Zatrzymali się pod blokiem. Nalepa wyjrzał przez okno. Na czwartym piętrze w mieszkaniu Poraja paliło się światło. Jego ludzie zdążyli sprawdzić adres i potwierdzić obecność mężczyzny w domu.

– Nie wiem, po co to panu, Nalepa?! – Badura uważnie obserwował swojego towarzysza. Nie ukrywał zdenerwowania. – Proponuję użyć środka, który zapewni Erykowi smaczny sen, i pomyśleć o transporcie. Nie ma co tracić czasu!

– To prawda, nie ma co tracić czasu... – powiedział Nalepa, wyciągając broń i mierząc w Badurę.

– Co chcesz zrobić? – Staruch był blady jak ściana. Strach walczył z niedowierzaniem na jego twarzy. – Przecież to bez sensu! Człowieku, myślałeś o konsekwencjach? Chcesz mnie zabić? Znajdą się inni, którzy mnie zastąpią!

Nalepa z uśmiechem zamontował tłumik. Badura siedział jak sparaliżowany.

– Ty... chcesz zabić Poraja! – świszczące słowa niczym szelest liści wydobywały się z

gardła mężczyzny. – Oszalałeś? Przecież za naszym światem pociągniesz ten!

– Mam w dupie oba wasze światy! – Nalepa pochylił się nad staruchem. Złapał go za włosy i podciągnął do góry. Był przepelniony nienawiścią, gorączką, która trawiła go niczym piekielny ogień. – Niech twój świat umiera, Badura, tak jak dotąd umierał mój!

Spojrzenie starca stało się błędne. Wydawało się, że jego oczy wyskoczą z orbit.

– Przecież... pracujesz dla tego rządu... jak?

– Szukałem kogoś takiego jak ty dziesięć lat – Nalepa cedził słowa, jakby chciał każdym z nich ugodzić starca. – Po to tylko, by dotrzeć do informacji, by wiedzieć, jak uderzyć w twój świat! Ale teraz wszystko wiem! Poznałem wasz słaby punkt. Wiem, kto jest waszym słabym punktem!

– Kim jesteś? – wycharczał staruch.

– Takim samym strażnikiem jak ty! – Nalepa pochylił się nad Badurą i spojrzał mu głęboko w oczy. – Przecież i ty, i ja dążymy do równowagi. Byłeś w stanie poświęcić własnego agenta, żeby zastraszyć Poraja. Dobrze mówię? Sablewski się nazywał?

– Tak, ale on się nie liczył... Równowaga...

– Równowaga? – zaśmiał się ochryple Nalepa. – Posłużyłeś się dzisiaj przykładem wagi, Badura? Dwóch szalek? Miałeś rację tylko po części. Ja widzę plac zabaw i dzieci na huśtawce. Gdy jedno unosi się w górę, drugie opada w dół. Jest jeszcze trzecie dziecko. Siedzi idealnie na środku. To ta Polska, w której teraz jesteśmy. Ona przetrwa bez względu na wszystko... Teraz jednak coś się zmieni. Przyszła moja kolej na odbicie się od ziemi...

– Z której Polski jesteś?! – wysyczał Badura. Był biały jak kreda, oddychał spazmatycznie, nie potrafiąc opanować drżenia.

– Z tej... mlekiem i miodem płynącej. – Nalepa zacisnął szczęki i pociągnął dwukrotnie za spust. – Mlekiem... i miodem płynącej...

Staruch zapadł się w sobie. Jego oczy zmatowiały, szeroko rozwarte usta wyglądały jak u martwej ryby.

Nalepa wysiadł z samochodu. Odetchnął zimnym powietrzem. Było mu słabo, ugiwały się pod nim nogi. Chwilami miał wrażenie, że traci ostrość widzenia. Na obraz szarego bloku nałożyły się sterczące kikuty ruin. Już sam nie wiedział, gdzie jest. Wypalone trzewia kamienic śmierdziały spalenizną i trupim odorem. Chodniki zamieniły się w rozjechaną ciężkim wojskowym sprzętem breję. Ludzie jak żywe trupy przemykający od załomu do załomu. Wciąż wierzący, że ich los kiedyś się odmieni.

Pamiętał ten dzień dziesięć lat temu, gdy był jednym z nich. Czołgał się w błocie, nisko przy ziemi, jak pies. Szukał nowej kryjówki, z której nie wyciągną go tak łatwo jak z poprzedniej. Ścigali go. Zabił ich zbyt wielu, żeby o nim zapomnieli. Byli blisko. Bardzo blisko. I wtedy osunęła się pod nim ziemia, wpadł do piwnicy, uderzając boleśnie o jakieś meble i skrzynki. W pierwszej chwili myślał, że to lustro. Nie widział w nim jednak swego odbicia. Zobaczył w nim inny, lepszy świat.

Długo nie potrafił dojść do siebie. Zrozumieć. Znaleźć wytłumaczenia dla nowej rzeczywistości. Ta jego wcześniejsza Polska wydała się snem, marą nawiedzającą go we wspomnieniach, chwilach zamyśleń. Polska, która niemal przestała istnieć, zmieciona z oblicza ziemi przez Niemców, a potem Rosjan.

Tracił zmysły. Nawet tutaj, gdy mieszkał na Dworcu Głównym, widział młodych ludzi codziennie zmierzających do pracy. Rozmawiających w swoim ojczystym języku bez obawy, że spotka ich za to kula w łeb. Widział Polskę, która przetrwała wojenną zawieruchę, rozwijała się, wolna i dumna. Dla Nalepy była rajem, spełnieniem najśmielszych marzeń. Choć czuł się w niej zupełnie obco.

Dopiero po jakimś czasie wróciła tęsknota. Za każdym razem, gdy zasypiał, wracały obrazy z przeszłości, niczym wyrzut sumienia. Drobnie na pozór fakty, wydawałoby się, nic nieznaczące elementy układanki, trafiały na swoje miejsce. Nalepa szybko dostrzegł zależności łączące jego Polskę z Polską, w której się znalazł. Nie miał wątpliwości, że istnieje jeszcze jeden świat, świat, który decyduje o losie pozostałych. Henryk wiedział też, że musi poświęcić wszystko, by odnaleźć tego, który ma klucz do jego bram.

Mężczyzna uniósł głowę. Znow spozjrzał w oświetlone okno na czwartym piętrze. To światło wyglądało jak iskierka nadziei. Nalepa czuł, że dziś, bez względu na to, co się wydarzy, wypełnił już swoją misję. Ruszył w stronę klatki schodowej. Wiedział, że już nie musi się spieszyć.

* * *

Eryk nastawił wodę na herbatę. Wyciągnął z szafki kubek. Nie mógł znaleźć herbaty w saszetkach, tylko taką pił. Pomyślał, że będzie musiał powiedzieć Annie, żeby jutro kupiła. Zwalczył w sobie tę myśl, przyszła zupełnie bezwiednie, jakby zapomniał, co naprawdę się dzieje. Znalazł w końcu herbatę w puszcze, zastanawiał się, ile łyżeczek powinien wsypać do kubka, żeby nie była zbyt mocna. Lubił lurowatą, zakropioną mocno cytryną. W końcu wsypał do kubka dwie płaskie łyżeczki, zalał Wrzątkiem i dodał trzy kostki cukru.

Wciąż był w płaszczu, nie zdejmował go, bo nie potrafił pozbyć się dreszczy. Usiadł przy stole, wyciągnął broń z kieszeni i położył ją na kolanach.

Chwytał kubek, czując, jak ciepła fala przeszywa dłonie. Dopiero wtedy zdjął płaszcz i przewiesił go przez oparcie sąsiedniego krzesła. Czekał. Podjął już decyzję. Wiedział, że będzie zdolny do tego, co postanowił, gdy tylko ktoś przekroczy próg jego domu. Czuł, że coś się w nim zmieniło.

Upił kolejny słodkawy łyk, czując, jak przyjemne ciepło rozchodzi się od żołądka i przełyku. Ogarnął go trudny do zrozumienia żal, głupi i śmieszny zarazem. Ta herbata wcale mu nie smakowała, była zbyt mocna i cierpka.

Przypomniał sobie o ostrzeżeniu, kartce, którą dostał od wyrostka w wojskowej kurtce.

Już wiedział, co się zmieniło, Eryk Poraj się zmienił. Uśmiechnął się do swoich myśli. Nie miał zamiaru uciekać. Był pewny, że nie zrobi tego już nigdy więcej.

Andrzej Pilipiuk

Urodzony w 1974 roku, pisać zaczął wcześniej, już w piątej klasie szkoły podstawowej. Tworzenie własnych światów stanowiło dla niego ucieczkę przed siermiężną rzeczywistością. Brak wiary we własne siły spowodował, że pierwsze teksty wydał drukiem późno – dopiero na studiach.

Pewnego dnia Jarosław Grzędowicz, wówczas redaktor naczelny „Feniksa”, podjął decyzję o opublikowaniu opowiadań nikomu nieznanego debiutanta. Tym samym wyrwał z lampy korek, wypuszczając na świat szalonego kozackiego dzina... W ciągu dwunastu lat „wielki grafoman” i „najwybitniejszy piewca wsi polskiej od czasów Reymonta” nie odpuścił sobie nawet na miesiąc, stając się jednym z najpoczytniejszych polskich pisarzy.

Dziś dorobek Andrzeja to przeszło sto opowiadań zebranych w siedmiu odrębnych zbiorach, dwie trylogie i kilka samodzielnych powieści. Fabryka Słów opublikowała dotąd 21 książek jego autorstwa. Proza Pilipiuka była tłumaczona na czeski i rosyjski. W wolnych chwilach, pod pseudonimem Tomasz Olszakowski, wydał dziewiętnaście tomów kontynuacji przygód Pana Samochodzika.

**Andrzej
Pilipiuk**

Lazaret

Pawło Wędrowycz rozgonił stado much. Kawalkiem kija otworzył usta nieboszczyka i dostrzegłszy w głębi błysk złotego zęba, sięgnął po obciążki. Kubuś w tym czasie sprawnie obszukał kieszenie zabitego i namacawszy srebrną pięciokoronówkę, wrzucił ją do woreczka.

– Tatko? – zagadnął.

– *Haw?*

– Tak sobie myślę, mamy złota już z ćwierć kilo, długo jeszcze będziemy się włóczyć po tych pobojuwiskach?

– Przydałoby się drugie tyle... Pamiętasz, co powiedział na konspiracyjnym spotkaniu w Lublinie pan Rozwadowski? Gromadzić pieniądze, broń i wyczekiwać okazji. Gdy nasi zaborcy się wykrwawią, wybije godzina dla wolnej Polski.

Z daleka dobiegł huk wystrzałów. W porzuconych okopach na ziemi niczyjej panował jednak spokój. Tylko muchy bzyczały coraz głośniej.

– *Jeszcze Polska nie zginęła...* – zanucił Pawło, ściągając kolejnemu truposzczakowi złoty sygnet.

Znalazł porzucony pistolet i obejrzawszy go troskliwie, umieścił w plecaku. Po co kupować broń, jak przy odrobinie szczęścia można mieć ją za darmo?

– Tatko?

– *Haw?*

– Tak się zastanawiam, czy my tak do końca jesteśmy Polacy.

– A pies to trącał. Za to złoto kupimy od dezertarów karabiny dla mieszkańców Wojsławic. Jak będzie broń, pogonimy Ruskich, Fryców i tych cesarsko-królewskich obezjajców, a potem się obaczy, do jakiego kraju nas zapiszą. My swojacy i mamy własną gminę wyzwolić, to nasze zadanie. A o resztę niech się martwią Piłsudski z Dmowskim i Paderewskim.

– *Szcze ne wmerła Ukraina...* – zanucił Kubuś, wyluskując zręcznie srebrną papierośnicę z kieszeni zastrzelonego pruskiego oficera.

Słońce wchodziło coraz wyżej na nieboskłon i pobojuwisko zaczęło śmierdzieć jeszcze gorzej... Kawalek dalej, w miejscu, gdzie uderzył szrapnel, spoczywały zwłoki carskiego pułkownika. Żaden z rabusiów zaabsorbowanych odpruwaniem mu medali nie spostrzegł, że w ich stronę pędzi konny patrol.

* * *

Sąd polowy urządzono w opuszczonej chałupie. Stół nakryto podartym i poplamionym zielonym sukniem. Na ścianie zawieszono portret kajzera. Obaj złapani patrzyli ponuro, jak przewodniczący składu sędziowskiego przegląda zawartość ich sakwy z łupartii. Wreszcie zgarnął złoto z powrotem do środka.

– Kapitan Otto von Charlottenburg – przedstawił się. – Otwieram osiemset czterdzieste drugie posiedzenie nadzwyczajnego sądu polowego. – Protokolant z wprawą stuknął w klawisze maszyny do pisania. – Czy oskarżeni przyznają się do winy?

– A konkretnie to do jakiej? – zainteresował się starszy grabieżca.

– Obdzieranie trupów poległych zgodnie z dekretem miłościwie nam panującego zostało uznane za przestępstwo wojenne – ziewnął drugi z oficerów, dla odmiany odziany w węgierski mundur. – Zostaliście schwytani na gorącym uczynku, więc nie przeciągajmy sprawy. Przyznajecie się?

– Zaszła zabawna pomyłka – odezwał się Pawło. – Faktycznie mogło to tak wyglądać, ale jesteśmy żołnierzami armii cesarstwa rosyjskiego i jako tacy powinniśmy podlegać wszelkim prawom przewidzianym dla jeńców wojennych.

– Że co? – zdziwił się Otto. – Jesteście żołnierzami? A gdzie, do diabła, wasze mundury!?

– Na rozkaz naszego dowódcy przebraliśmy się po cywilnemu i wkroczyliśmy na ziemię niczyją w celach wywiadowczych – wyjaśnił Kubuś. – Udawaliśmy hieny cmentarne, by łatwiej przejść linię frontu.

– Jako szpiegdy wojskowi ujęci w trakcie wykonywania rozkazu przełożonego powinniśmy trafić do obozu jenieckiego – doprecyzował jego ojciec.

Otto parsknął niedobrym teutońskim śmiechem. Wreszcie otarł usta dłonią i powstał.

– Sąd uznaje was winnymi – oświadczył. – I skazuje na karę śmierci.

– Protestuję! Jestem niepełnoletni – oburzył się Kubuś. – A mój tatko ma papier z pieczętką od lekarza, że jest chory na głowę.

Oficer wzruszył ramionami.

– A nasza sakwa? – zdenerwował się Pawło. – To nasza własność prywatna.

– Skonfiskowana – prychnął Otto.

– To przemoc! Nie macie prawa...

– Rozstrzelaj ich, ja muszę pilnie wpaść do sztabu – Prusak zwrócił się do swego towarzysza.

Ten wzruszył tylko ramionami.

– Rozkaz – burknął i zasalutował.

Spojrzał na podsądnych. Obaj stali niedbale jak przedtem, ale oczy coś podejrzanie im błyszczały. Spojrzał w nie i poczuł nagle głębokie obrzydzenie do samego siebie.

Co ja tu, do cholery, robię? – zdziwił się. Ta tłusta świnia dorabia się na rabunku spokojnych wieśniaków, a ja mam go kryć, rozstrzeliwując pokrzywdzonych? Wała!

– Starczy – mruknął Pawło.

Kubuś opuścił powieki i pozwolił, by wzbudzona moc przygasła.

* * *

Dziesięć dużych namiotów szpitala polowego stało w kotlinie. W ośmiu umieszczono rannych, dwa przeznaczono na magazyn i sale operacyjne. Personel mieszkał w szopie, amputowane części ciała palono w dole poza szpitalem, a nieboszczyków grzebano w zbiorowej mogiłce kawalek dalej. Teren otoczony był płotem.

Wiatr przyniósł odległy huk działek i suche trzaski karabinowych wystrzałów. Droga wśród pól w stronę lazaretu sunęła kolumna furmanek. Znowu ranni... Lekarz zaklął w bezsilnej złości. Ostatni pielęgniarz z nocnej zmiany właśnie dogorywał na tyfus.

– Panie doktorze? – usłyszał za plecami. Odwrócił się. Stał przed nim węgierski oficer żandarmerii.

– Czym mogę służyć?

– Wspomniał pan, że brak panu ludzi do pracy. Mam tu dwóch pomocników dla pana...

Szef lazaretu skrzywił się.

– To mają być ci pomocnicy?

Pod brezentową ścianą namiotu stał mężczyzna lat około czterdziestu i towarzyszący mu wyrostek. Obaj mieli nieokreślonej barwy włosy, rozbiegane wodnisto-błękitne oczka i chytry wyraz twarzy. Obaj sprawiali wrażenie dziwnie rozlazłych, a niedbały ubiór tylko to podkreślał.

– Coście za jedni?

– Pawło Wędrowycz – przedstawił się mężczyzna. – Felczer, ale bez uprawnień, zajmuję się też leczeniem bydelka, a moje ulubione zajęcie to stomatologia. Jestem też cieślą i stolarzem.

– A ja jestem Kubuś – przedstawił się łeppek. – Specjalność kastracja wieprzków i bezbolesne pozbawianie wiejskich dziewcząt cnoty. A jakby był potrzebny spirytus dezynfekcyjny, to umiem go zrobić nawet ze zgniłych kartofli...

– Skąd pan wytrzasnął tych dwóch? – Doktor mimowolnie się uśmiechnął.

– Zwiad złapał na ziemi niczyjej. Trupy obdzierali... Była decyzja, żeby rozstrzelać, ale pomyślałem, że skoro nie ma pan ludzi, to im wyrok zmienimy na pracę w lazarecie. Tylko niech pan pilnuje, żeby kapitan Otto się nie dowiedział, myśli, że do piachu poszli. Ale sam pan rozumie, Polak, Węgier, dwa bratanki...

– Trupy obdzierali?

– A co, nie wolno? – obraził się Pawło. – Zresztą naszych nie obdzieraliśmy, tylko obcych.

– Dobra, biorę ich – mruknął lekarz. – Będziecie sumiennie pracować?

– Trzeba to trzeba – skrzywił się Pawło. – Zawsze lepiej żyć, niż nie żyć. Zresztą...

– Zresztą to i tak tylko do wieczora, a w nocy wyparujecie jak kamfora – doktor wykazał się dogłębną znajomością chłopskiej natury. – Nie ma tak łatwo, braciszkanie. Jeśli chcecie tu zostać, to złożycie przysięgę na krzyż, że nie uciekniecie.

Pawło tylko zgrzytnął zębami.

– Niech będzie i tak – burknął.

– Wpadliśmy jak śliwka w gówno – westchnął Kubuś.

– A i owszem – uśmiechnął się szef lazaretu.

Pół godzinki później odziani w płócienne fartuchy zabrali się do roboty. Doktor popatrywał na nich spod oka. Pracowali naprawdę sumiennie. Czyścili rany, zmieniali opatrunki, wyjmowali kule i odłamki. Ten cały Pawło chyba faktycznie interesował się stomatologią, lekarz zauważył, że nowy pomocnik bardzo starannie oglądał zęby nieboszczyków... Potem Wędrowycze pomogli mu w poważniejszej operacji. Wreszcie praca została zakończona.

– Odpocznijcie sobie trochę, jedzenie dowiozą może za godzinę – powiedział lekarz. – Potem trzeba zrobić selekcję chorych. No wiecie, podzielić na lekko rannych i ciężko rannych.

– Trzeba to trzeba – skrzywił się Pawło, wyjmując z pochwy rzeźnicki majcher. – A nie będzie z tego jakiej chryi?

Doktor popatrzył na niego zdumiony.

– Z czego?

– No ta selekcja. Znacząco lekko rannych zostawiamy, a ciężko rannych dobijamy – wzruszył ramionami starszy z Wędrowyców. – Rozumiem, że jest wojna, ale to nieludzkie i chyba niezgodne z przepisami?

– Co wam, króliki się w głowach zaległy!? – wybuchnął lekarz. – Lekko ranni zostają tu, a ciężko rannych odeślemy do szpitala. Jeńcy, jak już zdrowi, to do obozu.

– A trza było tak od razu – na twarzy Pawła odmalowała się ulga. – A nie bawić się w zagadki. No to odpoczywamy. – Uwalił się pod rachityczną jabłonką, przeżuł kawałek słoniny i zapadł w sen.

Szef szpitala otarł czoło z potu. Siadł w cieniu na składanym fotelu i popił zimnej wody ze szklanki.

– Diabli nadali – westchnął. – I jeszcze umyślili sobie, żeby wojnę latem prowadzić... Jak można walczyć w taki upał?

* * *

Zmierzchało, gdy doktor wszedł do zabiegowego w towarzystwie nowego pomocnika.

– To jest felczer, z kwatermistrzostwa dosłali. Ma na imię Igor, pomoże wam – wyjaśnił.

Obaj grabieżcy z niejakim podziwem zlustrowali posturę nowego towarzysza pracy.

Chłop jak dąb.

– Jakie dyspozycje? – Pawło wstał z szacunkiem.

– Twój syn niech przeniesie się do namiotu rannych. Ktoś powinien czuwać na miejscu, gdyby czegoś potrzebowali. Ty co pełną godzinę musisz zrobić obchód... Ja muszę odespać.

– Nie trzeba – odezwał się Igor. – Ja się zajmę rannymi, niech śpią zmęczeni.

– Dasz radę? – Lekarz spojrział na kafara.

– Tak.

– No to wszystko. I pić na dyżurze!

* * *

Kolejny dzień zaczął się od potyczki. Koło południa zwieziono im dwadzieścia furmanek rannych. Doktor, Pawło i Igor przez dwie godziny zwijali się jak w ukropie. Kubuś przynosił opatrunki, gotował wodę, dźwigał butle z karbolem, a co jakiś czas wywoził nieboszczyków do dołu za szpitalem.

– Będziesz amputować co trzeba – rozkazał ojciec, gdy chłopak wrócił z kolejnego kursu.

– Pan doktor narysuje wiecznym piórem kreskę, a ty po niej tniesz piłą.

– Hy – ucieszył się chłopiec. – A jak krew się rzuci?

– Zapomniałbym, najpierw opaski uciskowe powyżej cięcia. – Ojciec podał mu pęk rzemiennych pasków.

– Chyba im się to nie spodoba... To uzynanie.

– Igor ci pomoże, przytrzyma.

– A on nie mógłby ciąć? To fachowiec, a mi wprawy brakuje...

– Rękę rozharatał przy operacji – wyjaśnił ojciec.

– Nie ja rozharatał, tylko tyś mnie chlasnął – burknął felczer. – Ze trzy dni minie, zanim się wygoi.

– No więc – Pawło dyplomatycznie zmienił temat – Prusaków tniesz piłą zardzewiałą, naszym dajesz znieczulenie, reszta normalnie.

– Tatko?

– He?

– A którzy to nasi? Po mundurze rozpoznawać można, ale carskich nie lubię, a tamci tu przyleźli...

Pawło zadumał się na chwilę.

– Nasi to Polacy – zawyrokował wreszcie. – Nieważne w jakim mundurze. No, jak któremu Ukraińcowi będzie dobrze z oczu patrzeć, to też można wyjątek zrobić.

– I dla Czechów – dodał Igor. – Bo dobre piwo robią.

– Znieczulać to znieczulać. – Chłopak wzruszył ramionami i wyjął ze skrzynki gumowy młotek.

Wieczór zbliżał się strasznie wolno. Pawło z doktorem operowali w drugim namiocie. Kubuś, wzdychając ciężko, przeprowadzał amputacje. Igor przynosił kolejnych pacjentów, kładł ich na stół, przytwierdzał skórzanymi pasami i zaciskał opaski. Chłopak ucinał co trzeba, przypalał rany, szyl i zakładał opatrunki.

* * *

Ambulans zahamował. Dalej nie dało się jechać. Bitwa przesunęła się już na zachód, pozostawiając zgliszcza, porzucone umocnienia połowe i leje po pociskach.

– Bierzcie nosze i szukajcie na północ – powiedział doktor. – My z Igorem idziemy na wschód. Gdybyście znaleźli kogoś jeszcze żywego, na nosze i do mnie.

– Tak jest – zsalutował chłopak.

Trupów na poboju leżało co niemiara. Pawło znalazł lekko wyszczerbioną carską szablę dragonkę i kroczył po okopach, trącając końcem głowni tych, którzy wydawali się jeszcze żywi. Niestety, jak okiem sięgnąć spoczywali tylko nieboszczycy. Niektórzy wykrywawili się na śmierć... Pomoc przysłała zbyt późno. Dopiero po godzinie znaleźli pierwszego rannego.

– *Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy* – nucił Pawło, wyrywając kolejne złote zęby, gdy syn trącił go w ramię.

Kapitan Otto von Charlottenburg pólleżał oparty plecami o przewrócone działko. Ruszyli w jego kierunku.

– *...Co nam obca przemoc wzięła...* – śpiewał starszy Wędrowycz.

Kubuś i jego tatko z zadowoleniem zauważyli, że oficer ma u pasa przytroczoną ich sakwę z łupami.

– Nosze – wycharczał ranny na widok pielęgniarzy. – Mam strzaskaną nogę!

– *...szablą odbierzemy!*

Koniec

Andrzej W. Sawicki

Rocznik '74, ten sam, który wydał Andrzeja Pilipiuka i Jacka Dukaja. Przygodę z pisaniem fantastyki zaczął jednak trochę później niż jego wielcy rówieśnicy, bo od debiutu na łamach „Fahrenheita” w grudniowym numerze 2004 roku.

Inżynier chemik, którego życiową pasją i zawodowym powołaniem jest eksperymentowanie. Lubi mieszać, zarówno substancje w reaktorach, potrawy w garnkach, jak i życiowe losy bohaterów swoich opowiadań. Pisanie traktuje jako formę psychicznego odpoczynku od pracy.

Dotychczas opublikował kilka opowiadań w czasopiśmie „Science Fiction, Fantasy i Horror” oraz w „Magazynie Fantastycznym”, a także popelnął powieść Inkluzja, która niedawno ukazała się nakładem Fabryki Słów.

**Andrzej
W. Sawicki**

**Grabarz i
ogrodniczka**

Dzień zbliżał się ku końcowi. Choć słońce znikło już za linią lasu, niebo nad puszcza nadal świeciło. Ander przystanął, choć znajdował się na środku ulicy. Wieś Łubiec leżała na niewielkim wzniesieniu i akurat z drogi roztaczał się widok na mazowiecką równinę z podmokłą łąką i z rzadka po niej rozsianymi malowniczymi wierzbami. Kilkaset metrów dalej straszła mroczna, zbita ściana drzew okalająca łąki – granica Puszczy Kampinoskiej.

Młody mężczyzna nie podziwiał jednak uroków polskiej wsi, patrzył w niebo, gdzie nad lasem kłębiły się granatowe obłoki. To one były dodatkowym, prócz zachodzącego słońca, źródłem światła. Pulsowały błyskami, powoli rozrastały się, jak powstający po wybuchu bomby atomowej grzyb. Kuliste, ciągle zmieniające się tumany oplatanie były przez pioruny niczym ogniste, rozgałęzione żyły, jak u żywych istot. Widowisku towarzyszyło niskie dudnienie, gromy dobiegające jakby spod ziemi, a nie z nieba. Powietrzem nie poruszał najmniejszy nawet podmuch, wzmagając grozę nienaturalnego zjawiska.

Chmury Soderberga. Obszar nieciągłości, w którym z czasem i przestrzenią działy się niezrozumiałe rzeczy. Anomalia pożerająca materię niczym czarna dziura, a potem wypływająca ją przeżutą i przemienioną. Niedająca się przeniknąć i zbadać przy użyciu żadnej technologii. Dziura w czasoprzestrzeni, o nieznanym fizyce, przez którą wyciekał inny wszechświat. Obcy i groźny.

Ander patrzył na zjawisko, nie zwracając uwagi na dwa opancerzone transportery, które zatrzymały się za jego plecami. Ich załogi nie odważyły się przeszkadzać mężczyźnie w charakterystycznym czarnym mundurze. Nawet na żołnierzach Respektorium, cieszących się opinią naprawdę twardych, strój robił wrażenie. Jednolity mundur nekrofera – niosącego śmierć, budził grozę wśród niepokornych i buntowników, a i nie cieszył się sympatią wśród sprzymierzeńców. Nikt nie lubił grabarzy, jak ich powszechnie nazywano, bo jak lubić pozbawionych uczuć dziwaków o ciałach naszpikowanych technologią?

W powietrzu czuć było zmiany. Ander odchylił głowę, wciągając nosem powietrze. Chmury znów wpływały na lokalny obszar puszczy, gdzieś blisko granicy lasu. Zasnują go ścianą deszczu albo zanurzają we mgle przemienienia. Wypaczą przypadkową materię, zmieniają ją, obdarzając nienaturalnym życiem, niemożliwym z punktu widzenia biologii, złym, godzącym w podstawowe prawa natury. Mikrowszczepy w nozdrzach i zatokach grabarza wysyłały do operacyjnego mikroprocesora w mózgu alarmujące dane. Powietrze było silnie zjonizowane i unosiły się w nim cząsteczki prostych aminokwasów, zupełnie jak w praoceanie, w którym miliony lat temu powstało życie. Tylko to życie tworzyła anomalia i trzeba je jak najszybciej zniszczyć.

Kierowca transportera zebrał się na odwagę i zamigał światłami. Żołnierze bali się chmur Soderberga. Ander czuł ich strach. No cóż, to tylko zwykli ludzie. Grabarzowi obce było współczucie czy litość, ale też duma i złośliwość. Nie zamierzał pastwić się nad nimi ani przetrzymywać ich tu niepotrzebnie tylko po to, by okazać swoją wyższość. Zszedł z drogi i skinął kierowcy. Przerwali mu co prawda obserwację anomalii, ale patrzył tylko z ciekawości. Czekają na niego obowiązki, znalazł się tu nie dla przyjemności, ale by pomóc w poszukiwaniu i identyfikacji terrorystów.

Przeszedł przez wieś, obojętnie spoglądając na mijane gospodarstwa. Na początku wieku w typowo rolniczej miejscowości pojawiło się kilka wystawnych rezydencji, postawionych przez mieszczuchów wyprowadzających się z przeludnionej Warszawy. Teraz na podjeździe jednego z takich domów dwóch żołnierzy wściekle kopało leżącego chłopaka, niewiele młodszego od Andera. Dzieciak niezdarnie próbował osłonić głowę przed ciosami ciężkich buciorów, krew zalewała mu twarz. Na trawniku leżała dziewczyna. Cios bagnetem przebił jej pierś na wysokości serca. Dziewczyna nie nosiła śladów gwałtownej śmierci, nieruchomym wzrokiem patrzyła w niebo. Grabarz nawet nie zwolnił kroku. Wieśniacy musieli stawiać opór, sami są sobie winni. Ostateczne wprowadzenie Ładu, jedynie słusznych praw Przebudzonych, wymaga ofiar, a wszystko, co może temu zagrozić, zostanie zlikwidowane. Zresztą nawet gdyby żołnierze pastwili się nad aresztowanymi bez powodu, ze zwykłego okrucieństwa, nie ma po co się wtrącać. Metody prowadzenia działań przeciw buntownikom to sprawa dowódcy oddziału stabilizacyjnego. I nic nikomu do tego.

Na parkingu przed budynkiem remizy stały dwa potężne cougary, opancerzone transportery, które minęły grabarza na drodze. Dalej, na skraju miejscowości, żołnierze zaparkowali w poprzek ulicy jeszcze dwa styrkery, ośmiokołowe wozy bojowe, oba zaopatrzone w wieżyczki z działkami, których lufy skierowane były w stronę wsi. Przed bramą garażową remizy leżało ciało zastrzelonego cywila. Może próbował uciekać, śmiał przeciwstawić się żołnierzom albo był kolejną niewinną ofiarą. Choć nie, przecież nie ma niewinnych. Każdy mieszkaniec terenów, gdzie niedawno wkroczył Ład, powinien być traktowany jak potencjalny wróg. Przypadkowe ofiary nie istniały, każda śmierć miała znaczenie i była konieczna, by wprowadzić porządek Przebudzonych.

Przed wejściem do remizy stało czterech żołnierzy w hełmach o opuszczonych czarnych przyłbicach z lumenoprzewodnika. Wszyscy strażnicy trzymali karabinki gotowe do strzału, podpięte światłowodami do pancerzy. Żołnierze musieli aktywować systemy bojowe i byli napompowani stymulantami, bo rozstąpili się przed Anderem, poruszając się gwałtownie, jakby z trudem hamując rozpierającą ich agresję.

Przestronne pomieszczenie, gdzie tradycyjnie odbywały się wioskowe imprezy, pełne było ludzi. Mieszkańcy wsi siedzieli na podłodze, jeden obok drugiego, każdy z rękami założonymi na kark. Bez różnicy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety i dzieci. Ander spojrzał w przelocie w twarze jeńców, malowało się na nich zrezygnowanie, ból, a najczęściej

przerażenie. Grabarz nieznacznie skrzywił usta. W powietrzu unosił się smród zwierzęcego strachu, pot zmieszany z feromonami alarmowymi, markerami lęku, wytwarzanymi przez organizmy w chwili zagrożenia. Spędzeni i stłoczeni wieśniacy niczym się nie różnili od stada bydła czekającego na rzeź.

Mikrodetektory wszczepione w zatoki grabarza niemal całkiem się przeładowały od kaskady zapachów. Doznanie nie należało do najprzyjemniejszych. Ander przestawił system operacyjny w stan oczekiwania i przeszedł przez tłum, kierując się w drugi koniec sali, gdzie czekał na niego major Burhardt, nowy komendant sektora, w którym leżał Łubiec. Anderowi nie podobała się rola straszaka, ale oficer stanowczo nalegał, by grabarz uczestniczył w przesłuchaniu.

Major stał w szerokim rozkroku, ręce trzymając za plecami. Patrzył z góry na jeńców, a jego topornie ciosaną twarz wykrzywił groźny grymas.

– Wczoraj terroryści zaatakowali konwój Respektorium – oficer przemówił po polsku, z silnym wschodnim akcentem. – Zostali odparci, a ich niedobitki wycofały się w kierunku puszczy. Znikły w lesie na moim terenie, w sektorze, w którym od tygodnia jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo. Potraktowałem to jako osobistą zniewagę, a wiedzcie, że nie można zrobić nic głupszego, niż mnie obrazić. Nie zawaham się przed niczym, by zmyć tę plamę z honoru.

Teatralnie zawiesił głos. W sali zapanowała absolutna cisza. Ander stanął za plecami oficera niczym mroczny anioł śmierci, dodatkowo potęgując groźbę panującą w remizie.

– Wiem, że Łubiec stanowi jedno z ogniw łączących terrorystów ze światem, że znajduje się tu ośrodek kontaktowy i przerzutowy. Macie dwie minuty, by wydać osoby współpracujące z bandytami. Potem przestanę być miły.

Zapach strachu wzmógł się jeszcze bardziej. Jakieś dziecko zapłakało krótko, lecz zostało natychmiast uciszone. Ander patrzył na tłum z pozbawioną emocji ciekawością. Wieśniacy unikali jego wzroku, większość z nich wbiła oczy w podłogę. Zwierzęta, bydło. Do tego szkodnicze, pomagające zdrajcom ludzkiego rodzaju siejącym chaos, drwiącym z potęgi Przebudzonych, odrzucającym ich łaskę i dar Ładu. Większość z nich zasługuje na natychmiastową eksterminację.

Jeden z jeńców poruszył się i opuścił ręce, by podeprzeć się i wstać z trudem. Lufy karabinków natychmiast wymierzyły w jego pierś. Szczupły starszy mężczyzna w okolicach sześćdziesiątki, całkiem siwy, z krótką brodą i długimi włosami spiętymi w kucyk. Śmiało patrzył na majora i grabarza przenikliwymi niebieskimi oczami. Pomimo plam zaschniętej krwi na twarzy i podartego, brudnego swetra zdawał się emanować godnością i siłą. Miał postawę starego żołnierza, pełną pewności i zdecydowania. Ander przyjrzał mu się z uwagą. Człowiek nie śmierział tchórzem, wyróżniał się z tłumu.

– Tomasz Trzasczka, jestem rzeźnikiem i masarzem – powiedział. – Pozwoliłem, by partyzanci korzystali z mojej stodoły i baraków za wędzarnią. Znajdziecie tam przygotowaną

dla nich żywność i leki. Czasem tam nocowali, zdarzało się, że przechowywali broń. To wszystko. Nikt inny we wsi im nie pomagał, tylko ja.

Dwóch żołnierzy brutalnie wyciągnęło mężczyznę z tłumu i powlekło po schodach na górę. Major tylko pokiwał głową.

– Męczennik – mruknął cicho do nekrofera. – Polacy już tak mają, lubią to. Myśli, że ofiarując swe życie, ocalił resztę.

– A jeśli naprawdę jest jedynym współpracownikiem terrorystów? – spytał Ander. – Może lepiej zabrać go do bazy na szczegółowe przesłuchanie i opuścić Łubiec? Nad lasem kłębią się chmury, idzie na burzę.

– Chyba się nie boisz, grabarzu? – Burhardt uśmiechnął się nieznacznie. – Żartowałem. Wiem, że się nie boisz, nie jesteś do tego zdolny. Nie, nie będziemy się spieszyć. Anomalia bardzo rzadko wychodzi poza skażoną strefę, nie powinna opuścić puszczy. Nawet jeśli ten Traszka, czy jak mu tam, jest jedynym buntownikiem, zapłaci cała wieś. Moi chłopcy muszą odreagować, a wieśniacy nauczyć się szacunku do prawa. Dzisiejszą noc przeżyje tylko co dziesiąty z nich i zapamięta ją sobie do końca życia. Myślę, że po takim pokazie terroryści szybko stracą wsparcie w okolicy, a chłopcy sami będą wydawać ich współpracowników. Bandyci powinni zrozumieć, że w sektorze, gdzie rządzi major Burhardt, nie mają szans.

Ander skinął głową na znak, że przyjmuje taktykę oficera do wiadomości. Jego wzrok niespodziewanie spotkał się ze spojrzeniem młodej, ładnej kobiety, przy której siedziała dwójka brzdąców. W jej oczach strach zastąpiła niema prośba o litość, błaganie o życie. Przemogła przerażenie i szukała ratunku dla siebie i najbliższych nawet u najbardziej przerażającego wroga.

Miała marne szanse, żołnierze z pewnością nie przepuszczą dziewczynie o takiej urodzie. Delikatna blondynka o sarnich oczach, smakowita ofiara dla znudzonych wojaków. Zgwałcą ją i zamordują, pewnie wcześniej zabijając dzieci. Z pewnością się tego domyślała, czuła nadchodzącą tragedię.

Procesor operacyjny w głowie grabarza aktywował się, reagując na gwałtowny wyrzut hormonów neuroprzekaznikowych do krwi. Automatycznie wysyłał impuls do nanobotów, które przebudziły się z biostazy i selektywnie zablokowały połączenia synaptyczne, w zarodku uśmierzając intensywną falę uczuć, która niemal wstrząsnęła Anderem. Nim minęła sekunda, wszelkie emocje zostały zablokowane z poziomu podstawowej biochemii. System sterujący organizmem grabarza sprawnie wyprał go z uczuć. Tak jak tysiące razy przedtem, chroniąc niczym niewidzialna tarcza przed funkcjami organizmu mogącymi uczynić z niego zwykłego człowieka. Reagującego emocjonalnie i skłonnego do empatii.

Nekrofer zniósł błagalne spojrzenie kobiety bez mrugnięcia, aż ta speszyła się i odwróciła głowę.

Powinna w pokorze przyjąć los, który gotują dla niej siły zbrojne Ładu, wojska Respektorium namaszczone przez Przebudzonych na swą gwardię. Zostanie poświęcona, by

świat mógł stać się lepszy. Ofiara jej życia nie pójdzie na marne, stanie się symbolem bezwzględności nowego porządku, propagandową bronią, ostrzeżeniem dla innych popleczników terrorystów.

Ander odetchnął, ledwie wyczuwalny niepokój znikł. Przez chwilę dokuczała mu jakaś zadra na dnie serca, ale i ona szybko przestała istnieć.

– Chcę porozmawiać z jeńcem, który się przyznał – grabarz zwrócił się do majora.

– Proszę bardzo, jest do twojej dyspozycji, nekroferze. Nie oszczędzaj go, tylko przypadkiem nie zabijaj. Też chciałbym z nim pogadać. – Major skinął głową. – Sierżant Leigh z pewnością ci pomoże, ma ze sobą stosowny sprzęt.

Ander bez słowa odwrócił się i wszedł na piętro. Drzwi niewielkiego pomieszczenia będącego szatnią strażaków były otwarte. W środku na krześle siedział jeńiec. Ze świeżo rozciętej wargi płynęła mu krew. Sierżant i jego pomocnik odłożyli karabinki, zdjęli hełmy i wyłączyli aktywne pancerze. Chyba szykowali się do przesłuchania, bo Leigh akurat wyciągnął z kieszeni na udzie podłużny przedmiot z ciekłokrystalicznym wyświetlaczem. Przytknął go na chwilę do czoła jeńca. Spojrzał na ekranik i uśmiechnął się krzywo.

– Coś nie tak – powiedział do swojego kompana po angielsku.

– Nie czyta chipa – odparł tamten. – Może to przez chmury Soderberga? Są tak blisko...

Obaj żołnierze zupełnie zignorowali grabarza. Nie było to niczym nadzwyczajnym, zwykli wojacy, jeśli już przełamali strach, zawsze starali się okazywać mu pogardę. Ignorował to, gdy nie przeszkadzało w akurat wykonywanych zadaniach.

Grabarz podszedł do żołnierza i spojrzał na urządzenie. Czytnik chipów identyfikacyjnych informował o błędzie. Zdaje się, że niezniszczalny mikroszczep w czasie Tomasza Trzasczki był uszkodzony, choć to niemożliwe.

– To nie jest standardowy czytnik? – grabarz spytał sierżanta w jego języku.

– Wojskowy, o wyższej czułości i rozszerzonym zakresie.

– Zwykły, policyjny, dokonałby tylko odczytu z pamięci identyfikacyjnej, a ten kontroluje też cały system – stwierdził Ander. – Wygląda na to, że pan Trzasczka ma sprytnie sfalszowany identyfikator, w sposób nie do wykrycia w standardowej kontroli. – Grabarz odwrócił się do starszego mężczyzny i spytał go po polsku: – Nie jest pan zwykłym wiejskim rzeźnikiem, prawda?

Spokojna twarz jeńca zbladła i stężała. Stworzenie mu fikcyjnej osobowości musiało kosztować bandytów sporo zachodu. Trzasczka udawał zwykłego łącznika, a naprawę był kimś znacznie ważniejszym. Teraz gdy wróg to odkrył, wszystko z niego wyciągnie, dobrze o tym wiedział.

Bładość na twarzy starszego mężczyzny pogłębiła się, przechodząc w trupią siniznę. Jęciec zadrzał, z jego gardła wyrwało się łkanie, a po chwili bezwładnie osunął się z krzesła. Wstrząsnęły nim gwałtowne drgawki, jak w ataku epilepsji.

– Dziadek ma zawał – stwierdził sierżant.

– On umiera. – Nekrofer kucnął przy mężczyźnie. – Zostawcie nas samych. Natychmiast!

Podniósł głos, udając gniew, z doświadczenia wiedział, że może w ten sposób wystraszyć żołnierzy i skłonić do natychmiastowego posłuchu. I faktycznie, bez gadania wyszli z szatni i zamknęli drzwi.

Odsłonił przedramiona miotającego się mężczyzny i złapał je mocno. Nekrowszczepy z jego dłoni wystrzeliły, igłami przebijając skórę konającego i smakując jego krew. Przed oczami grabarza pojawiła się siatka z systemem nerwowym i pulsującym układem krwionośnym starszego mężczyzny.

– Nie uciekniesz mi tak łatwo – mruknął nekrofer.

Processor w jego mózgu znów przebudził pływające we krwi nanoboty, przedstawiając działanie organizmu na nekroaktywność. Po sekundzie wiedział już, co się dzieje z konającym, jego sfałszowany chip identyfikacyjny miał ukryty ładunek z neurotoksyną. Trzaszczka uruchomił go, próbując popełnić samobójstwo, musiał być naprawdę zdeterminowany. Wolał odebrać sobie życie, niż zdradzić. Nekrofer wysłał wiązki wodzące głęboko w strukturę umierającego organizmu. Namierzył cząsteczki toksyny lawinowo porażające płytki nerwowo-mięśniowe odpowiadające za skurcze i duszenie się ofiary. Ujrzał, jak śmiertcionośna substancja fragmentuje białka na zakończeniach synaptycznych, i bez chwili wahania natarł na nią, porażając nekroenergią. W ten sposób zablokował reakcję, zburzył jej stany energetyczne i uniemożliwił dalszy przebieg. Rozbił cząsteczki neurotoksyny, wyznaczając jej nową, nieszkodliwą dla organizmu ścieżkę metaboliczną, a potem odblokował porażone mięśnie. To było niemal jak zabijanie, tylko odwrotnie. Łatwizna.

Wstał z westchnieniem. Szybka akcja, nie minęło kilkanaście sekund i człowiek został uratowany. Grabarz zdjął kurtkę munduru i rzucił ją na oparcie krzesła. Usiadł, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił i zaciągnął się dymem, czekając, aż mężczyzna dojdzie do siebie.

– Nie obawiaj się, nie będę cię przesłuchiwał ani torturował – odezwał się do Trzaszczki, gdy ten usiadł na podłodze, bezwiednie masując się po piersi. – Nie jestem oficerem śledczym.

– Tylko kim?

– Moim prawdziwym zadaniem jest ochrona jednostek operacyjnych i ludności cywilnej przed efektami anomalii. Likwiduję nienaturalne, chaotyczne życie, po to mnie ukształtowano i wyszkolono. Nie mam zamiaru pastwić się nad jeńcami, jak chciałby major Burhardt.

– Ochrona ludności? – mruknął mężczyzna. – Cele statutowe masz wzniosłe, trzeba przyznać. Szkoda tylko, że życie je dość brutalnie weryfikuje i zarówno ludność cywilna, jak i jednostki operacyjne mają cię za potwora, wstrętnego sługusa Przebudzonych.

– Och, to przez legendę, jaką owiana jest moja profesja. Nekroferzy faktycznie są najbardziej zaufanymi współpracownikami Przebudzonych, obdarzonymi przez nich darem

śmierci. Nie czujemy się związani z ludźmi. Mroczna otoczka to pozory pozwalające nam w spokoju pracować, trzymać ludzi na dystans.

– Maszyny do zabijania alienują się ze społeczeństwa, by móc mordować nie niepokojone. Coś takiego, wzruszające – mruknął Trzasczka.

– Kpisz sobie – zauważył bez emocji grabarz. – To oznaka odwagi. Mało tego, czuję, że się zupełnie nie boisz. Zaintrygowałeś mnie, dlatego chciałem z tobą rozmawiać. Bardzo rzadko spotykam ludzi, którzy wzbudzają moją ciekawość.

– Czuję się zaszczycony. Zdaje się, że żołnierze Respektorium mają zakazane nieformalne kontakty z lokalną społecznością, która dopiero przyjmuje tyranie Przebudzonych, chyba w ramach żartu zwaną Ładem. Hm. Samą tylko postawą doprowadziłem pozbawionego uczuć robota do zlekceważenia regulaminów. Pewnie powinienem być z siebie dumny.

– Znów kpisz. To twoja reakcja obronna na stres? Dzięki niej panujesz nad strachem, czy może poczucie humoru pozwala ci otrząsnąć się z szoku? Przed paroma chwilami spojrzaleś śmierci w oczy, może to dlatego? Czy może kpiny ze mnie to celowe działanie? Próbujesz sprowokować u mnie wybuch gniewu, bym cię zabił. Przecież sam podkreśliłeś, że nie mam uczuć, wiesz zatem, że nic to nie da.

– Mam wrażenie, że rozmawiam z prymitywną sztuczną inteligencją, która nieudolnie stara się analizować otaczający ją świat – westchnął Trzasczka. – Niestety, brak naturalnych doznań, ludzkich doświadczeń mocno jej to utrudnia. Co oni z tobą zrobili, chłopcze? Kiedy zamienili cię w grabarza?

Ander nie odpowiedział. Z zewnątrz dobiegło basowe dudnienie, grom z chmur Soderberga. Obaj odruchowo spojrzeli w okno. Zapadła już ciemna noc, o szyby załomotał deszcz miotany silnym wiatrem.

– Sądząc po akcencie, jesteś rodowitym Polakiem – niespodziewanie zauważył Trzasczka.

– Znów prowokujesz? Wiesz, że w Ładzie nie ma miejsca na państwa i narody. Wszyscy jesteśmy ludźmi, jedną rasą zjednoczoną przez Przebudzonych, by przetrwać.

– Jak mamy przetrwać pozbawieni tożsamości, nie pamiętając, kim jesteśmy? – Trzasczka wstał z trudem, zapierając się o metalowe szafki. – Kim będziemy niezwiązani w społeczność, nie będąc narodem? Pieprzoną wypraną z uczuć armią zombie? Cały ten Ład to ohydny totalitaryzm mający zamienić nas w martwe sługi Przebudzonych.

– Częścią Ładu jest surowe prawo, w którym jednostka nic nie znaczy. Wedle definicji można nazwać je totalitaryzmem, to prawda. Tylko że jest jedynym sposobem, by ludzkość nadal mogła istnieć. – Nekrofer zaciągnął się papierosem i wypuścił kłęb dymu. – Tylko razem, funkcjonując jako jeden zwarty organizm, możemy poradzić sobie w obliczu katastrofy. Co się działo, dopóki nie pojawili się Przebudzeni, by zaprowadzić Ład? Narody, zamiast współpracować w obliczu zagrożenia, skoczyły sobie do gardeł, rozpetwały większe i

mniejsze wojenki, dbając tylko o swój interes, a nie o ogół. Gdyby nie Przebudzeni, ludzie sami doprowadziliby cywilizację do upadku, anomalie byłyby tylko katalizatorem.

Trzasczka nic nie odpowiedział, patrzył na grabarza przenikliwie. Nekrofer poczuł dziwny smak w ustach, powietrze jonizowało się coraz mocniej, zaczynało śmierdzieć ozonem i drobinami aminokwasów. Na zewnątrz grzmiało coraz częściej i głośniej.

– Nie zaprzeczysz? – kontynuował Ander, nie zważając na niepokojące doznania. – No właśnie, jesteś inteligentnym człowiekiem, a mimo to walczysz z Ładem. Dlatego mnie zaintrygowałeś, jestem ciekaw twojej motywacji. Czemu działasz na szkodę ludzkości?

– Jesteś pewien, że na szkodę? Może wręcz przeciwnie, to właśnie ja próbuję ocalić coś z postępującej zagłady? Może to ja walczę o ocalenie ludzkości? Takiej, jaką znam, wolnej i mogącej stanowić o sobie. Powiązanej w społeczności, w których żyją ludzie połączeni czymś więcej niż absurdalnie surowym prawem narzuconym przez żywe trupy!

– Wiem, wiem, wolna ojczyzna, na niej wam tak strasznie zależy. Tylko że ona was nie nakarmi, nie ochroni przed anomaliami, przed deszczem z chmur Soderberga, przed mgłą przemian. Małe ojczyzny nie mają szans w konfrontacji ze skutkami katastrofy. Tylko Przebudzeni...

– Przebudzeni! Powtarzasz komunały głoszone przez propagandę truposzy. – Trzasczka odepchnął się od podtrzymujących go szafek i chwycił się, podszedł do grabarza. – Coś ci poradzę. Spróbuj czasem myśleć, nie zważając na regulaminy i wbijane wam do łbów jedynie słuszne prawdy, spróbuj obserwować i wyciągać wnioski. Dobrze się przyjrzyj Przebudzonym, otwórz szeroko oczy.

Huknęło potężnie, niebo za oknem zapłonęło purpurą. Grabarz drgnął i aktywował system, ustawiając go na gotowość bojową. Stężenie aminokwasów i wolnych rodników w powietrzu było dramatycznie wysokie. Nad Łubiec nadciągnęła burza.

W tej samej chwili z zewnątrz dobiegł kolejny huk, bardziej drapieżny, do którego natychmiast dołączyły stłumione odgłosy karabinowych strzałów. Na parterze remizy rozległy się okrzyki przerażonych ludzi, zmieszane z piskiem dzieci i przekleństwami żołnierzy. Ktoś zaczął strzelać.

Światło w szatni zgasło. Nim grabarzowi włączyło się noktowidzenie, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Trzasczka z miejsca rzucił się w okno, wybił szybę i wypadł na zewnątrz. Ander doskoczył do parapetu, ale zobaczył tylko sylwetkę staczającą się po daszku przylegającej do remizy kotłowni. Jeniec znikł, spadając z budynku. Bez zastanowienia grabarz też przesadził parapet i skoczył w ciemność. Z łomotem wylądował na blaszanym dachu poniżej, pośliznął się na mokrej od deszczu powierzchni, zjechał aż do krawędzi i spadł, nie próbując hamować. Z impetem uderzył o ziemię, przeturlał się i natychmiast poderwał na równe nogi.

Zdawałoby się, że tuż nad dachami kłębiła się ciemność, przez którą co parę chwil przetaczały się pioruny, zmieniająca się w purpurowe i krwawe kłębowisko chmur zalewające

wieś czerwonym blaskiem. Kotłujące się nieustannie tumany z bliska sprawiały wrażenie gęstej, przelewającej się cieczy, utrzymywanej w powietrzu nienaturalną siłą. Wyglądały niczym budyń bulgoczący i wzburzany intensywnym mieszaniem. Chmury wybrzuszały się, jakby miejscami ciągnęła je ku ziemi grawitacja, wypuszczając lejące się niby-macki. Nieregularne, falujące i szarpane wiatrem ramiona anomalii smagały dachy i korony drzew, oblepiając je czarną mazią, która natychmiast krzepła, by po chwili popękać, w kawałach poderwać się i odlecieć, znikając w chmurach. Pokryte przez nią fragmenty budynków i drzew ożywały, pulsowały purpurowym blaskiem, zmieniały kształty, poruszały się i dygotały obdarzone nienaturalnym darem życia.

Ander stał chwilę bez ruchu, z fascynacją patrząc na niezwykle zjawisko. Dopiero gdy kilka kroków od niego w powietrzu świsnęła seria karabinowych pocisków, oprzytomniał. Z remizy wysypywał się wrzeszczący, spanikowany tłum. Wieśniacy rozbiegali się na wszystkie strony, znikając między domami. Dwóch żołnierzy wiło się na ziemi, w drgawkach próbując uwolnić się z aktywnych pancerzy, zerwać hełmy, które jakby przywarły im do głów. Elektronika, niezabezpieczona nekrotechnologią, kompletnie sfiksowała, zamieniając biowspomaganie w katusze i porażając żołnierzy.

Nie wszyscy jednak mieli aktywowane uzbrojenie, w chwili gdy nadciągnęła burza, niektórzy zdążyli w porę je wyłączyć. Jednak bez wsparcia systemu bitewnego umożliwiającego stały kontakt z dowództwem, w szalejącej burzy, wśród ciemności i przerażających błysków, w ryku gromów i wybuchów, spora część żołnierzy wpadła w panikę. Strzelali na oślep w ciemność lub mierząc w uciekających wieśniaków. Wrzeszczeli i klęli wściekle.

Nekrofer przebiegł ulicą, przeskoczył nad trupem zastrzelonej kobiety i przystanął, opierając się o drzewo. Uniósł głowę, węsząc niczym tropiący zwierzynę drapieżnik. Udało się, namierzył go. Mikrowszczepy w nosie rozpoznały zapach Trzaskczki, a system wyświetlił nekroferowi wektory, wskazując drogę, którą pobiegł uciekinier. Ander pomknął wzdłuż płotu, starając się nie wybiegać na chodnik. W powietrzu świstały pociski, masakrując uciekających wieśniaków, siejąc śmierć i potęgując panikę.

W dole ulicy płonął jeden ze styrkerów. Znikła jego wieżyczka z działkiem zastąpiona kolumną wściekłego ognia. Po drugim pojeździe nie było śladu. Na tle płonącego wozu przemknęło kilka sylwetek. Terrorysty! Ander przyspieszył kroku, pędząc w ich stronę. Wyciągnął przed siebie ręce, rozwarł dłonie. Tysiące pokrywających je nekrowszczepów błysnęło w świetle płomieni. Nekrofer był gotowy nieść śmierć.

Gdzieś z tyłu rozjazgotał się ciężki karabin na dachu cougara. Wielkokalibrowe pociski pomknęły smugami w dół ulicy, w stronę płonącego styrkera. Major Burhardt chyba zapanował nad chaosem w oddziale i przeszedł do kontrataku lub szykował się do ewakuacji i kładł ochronną zapórę ogniową. Ander przeskoczył przez płot, o włos unikając ostrzału, przemknął przez podwórko, ignorując szczekanie miejscowego burka, minął budynki

gospodarcze i pognął łukiem przez pole. W ciemności ciągle widział wektory wskazujące położenie celu. Trzasczka nie uciekał już w kierunku lasu, lecz między chałupami przesuwał się z powrotem w stronę remizy. Prowadził bandytów do ataku!

Ander postanowił zaskoczyć go, podchodząc z flanki. Przemknął przez jeszcze jedno gospodarstwo i wybiegł na boczną drogę, na której powinien akurat znajdować się Trzasczka.

Faktycznie był tam. Szedł szybkim krokiem na czele grupy uzbrojonych mężczyzn. Nie sprawiał wrażenia zmęczonego starszego pana, który przed kilkoma minutami konał na podłodze remizy. Poruszał się energicznie, mówił do bandytów, gestykulując gwałtownie.

Nekrofer rozłożył ręce, rozgrzewając wszczepione pod skórę emitery promieniowania. Przeciwników było dwunastu. Uśmierci wszystkich w ciągu dwóch uderzeń serca, większość z nich nawet się nie zorientuje, że są atakowani. System nałożył na obraz ludzi siatki ich układów krwionośnych z intensywnie bijącymi sercami. Byli podnieceni walką, aż świecili żarem bitwy. Jeszcze tylko przez parę chwil, do momentu, gdy nekroenergia porazi im mięśnie tłoczące krew, zaburzy ich rytm i zatrzyma je, powodując natychmiastowe obumarcie tkanki.

Grabarz zrobił krok, wychodząc z mroku. Szarpnęła nim potężna siła, ziemia uciekła mu spod stóp. Przeleciał w powietrzu kilka metrów, by z impetem uderzyć o pień starej lipy rosnącej obok zabudowań. System natychmiast wpompował mu w krew nekrolinę, enzym śmierci pozwalający działać mimo uszkodzeń ciała. Przeturlał się i poderwał, unosząc ręce. Był przekonany, że wszedł na minę lub tuż obok wybuchł granat. Zamierzał zabić przeciwników, nim zaczną strzelać.

I wtedy ujrzał bestię. To ona musiała go zaatakować. Patrzyła teraz na niego żółtymi ślepiami, szczerząc żelazne zęby. Przypominała wielkie kocisko, mające półtora metra w kłębie. Stała na czterech ugiętych łapach ściśle oplecionych liściastymi pnączami. Spod rośliny pobłyskiwał metal, fragmenty sierści i pulsująca mięsna tkanka. Na karku potwora okrakiem siedziała dziewczyna w za dużym hełmie.

Ander zacisnął zęby. Błuzniercy! Stworzyli bestię, wykorzystując oddziaływanie chmur Soderberga. Słyszał, że przed nadejściem panowania Przebudzonych Polacy, jak wszyscy, próbowali badać efekty anomalii i nawet osiągnęli w tym zaskakujące sukcesy. Utworzyli specjalną jednostkę – flornautów, szaleńców sprzęgających swe ciała z nienaturalnym życiem i mogących w jakiś sposób wpływać na rośliny zdeformowane przez anomalie. Grabarz domyślił się, że kierująca bestią kobieta jest przedstawicielem tej zakazanej, błuznierczej profesji, a jej potwór to efekt plugawych eksperymentów z chaotycznym sztucznym życiem. Należało natychmiast unicestwić oboje. System przegrupował wszczepy w jego dłoniach, ustawiając emitery na wyrzucanie spolaryzowanych wiązek nekroenergii o najwyższej mocy. Ander postanowił, że nie będzie pieścić się w selektywne odbieranie życia, zlikwiduje całe wokół.

Bestia z miejsca odbiła się w wielkim susie, przednimi łapami uderzyła w pierś Grabarza. Cios zgruchotał mu żebra, mostek i zmiażdżył klatkę piersiową, niemal wbijając mężczyznę w ziemię. Ander jęknął tylko, krew obficie chlusnęła mu z ust.

– Zabiłam grabarza! – usłyszał kobiecy głos. – Ach, niezupełnie. Trzeba gnidę dobić, bo nekrowszczyce poskładają go do kupy.

Nekrofer przez mgłę zasnuwającą oczy ujrzał młodą kobietę w plamistym mundurze. Stała nad nim, patrząc niezwykle jasnymi błękitnymi oczyma. Zdjęła hełm, odsłaniając krótko ostrzyżoną płową czuprynę. Rękawem otarła pot z czoła. Pochyliła się nad pokonanym. Ander wstrzymał oddech, pozwalając, by system przełączył jego organizm w stan wstrzymania. Z każdą sekundą tracił kontakt z rzeczywistością.

– Zostaw, nie dobijaj – usłyszał znajomy głos Trzasczki. – Zatruj mu tylko trupie wszczyce. Nie patrz tak, wykonaj rozkaz, no już! A ty, grabarzu, słuchaj. Wracaj do swoich martwych panów, ale nie zapominaj o naszej rozmowie. Liczę, że się jeszcze spotkamy.

Zanim ciemność całkiem pochłonięła Andera, ujrzał, jak dziewczyna pochyliła się nad nim coraz niżej, jej oczy przeszywają go na wylot, zanurzają się coraz głębiej w jego umyśle. Ich błękit wypełniał go, wypierając wszelkie myśli.

I śmierć.

* * *

Przez dwa dni po odzyskaniu przytomności Ander nie opuszczał szpitalnej izolatki. Leżał nieruchomo w ciemnym pomieszczeniu niczym w cmentarnej krypcie. Jego ciała przywrócono pełną sprawność, poddano je nawet transfuzji, usuwając z krwi niezidentyfikowane zanieczyszczenia, i zaaplikowano nowe nanoboty, ale nie wszystkie rany od razu udało się wyleczyć. System operacyjny uległ poważnemu uszkodzeniu, prawdopodobnie na skutek infekcji nienaturalną formą życia. Wojskowy nanomedyk nie był w stanie poradzić sobie z defektem. Procesor w mózgu grabarza nadal był aktywny, choć potrafił się blokować i nie odpowiadał na sygnały aparatury kontrolnej. Anderowi polecono odpoczywać i czekać. Istniała szansa, że system sam się zregeneruje, ponoć tak został zaprojektowany.

Mimo to nekrofer się bał. Po raz pierwszy od wielu lat, właściwie od czasów dzieciństwa, gdy przyjęto go do nowicjatu i poddano transformacji, wszczepiając procesor i ustawiając biochemię organizmu na podobieństwo Przebudzonego. Zupełnie nie potrafił sobie poradzić z niemal całkowicie zapomnianymi doznaniem, które wróciły z niesłychaną intensywnością. Nie śmiał nawet drgnąć, by nie sprowokować lawiny wspomnień poruszających czułe struny w duszy. Struny, które od lat pozostawały nietknięte, a teraz znów zagrały i chętnie reagowały na bodźce. Promień słońca wpadający przez przerwę w zasłonie przypominał mu grę światła w koronach drzew w pewien jesienny wieczór dwa lata temu. Osobiście odebrał wtedy życie

grupie podejrzanych o działania dywersyjne. Była wśród nich para nastolatków, która błagała o litość, płacząc i przysięgając, że są niewinni. Zabił ich bez mrugnięcia powieką, powoli odbierając powietrze, blokując układy oddechowe, tak że ich płacz przeszedł w łkanie, a potem w skomlenie. Skonali, wijąc się u jego stóp. Gdy przypomniał sobie tę scenę, wybuchnął płaczem i nie mógł się opanować przez długie godziny. Każde wspomnienie pociągało ze sobą kolejne, jedno bardziej przerażające od drugiego. Sceny zabijania, przesłuchań, torturowania, każda niczym piętno wypalone w umyśle.

Nie powinien nic czuć, system miał przecież całkowicie blokować emocje, oczyścić umysł i sumienie nekrofera. Żal, wstyd, smutek i strach, dominujący nad wszystkim, przytłaczający i odbierający siły. Grabarz leżał bez ruchu, próbując się opanować, pozbierać myśli. Co się z nim działo? Co z nim zrobili bandyci? Dziewczyna o błękitnych oczach pocałowała go przed śmiercią. Śniło mu się to za każdym razem, gdy ze zmęczenia po nieustannych walkach ze wspomnieniami zapadał w niespokojny sen. Terrorystka z przemienionego, skażonego lasu zatrula mu krew, uszkodziła układ biostabilizacyjny, zniszczyła narzędzia śmierci zaszczerpane przez Przebudzonych. Zwróciła mu uczucia.

Nie był już prawdziwym nekroferem, znów stał się człowiekiem. Ander zaczął wiercić się w łóżku i przewracać z boku na bok. Pieprzone sumienie nie da mu teraz spokoju. Nie pomagały nawet powtarzane niczym modlitwa regulaminy i nauki Przebudzonych. Sceny, gdy zabijał niewinnych, wracały do niego nieustannie. W dodatku świadomość tego, że został okaleczony, dręczyła go coraz mocniej. Jeśli nanomedyk odkryje, co się z nim naprawdę dzieje, natychmiast doniesie ordynatorowi, a ten komendanturze. W grę nie wchodziła wymiana procesora, Ander nie był już dzieckiem, któremu można do woli grzebać w mózgu. W najlepszym razie skończy się zatem na lobotomii i fizycznym wypaleniu ośrodków odpowiedzialnych za odczuwanie. Z nekrofera stanie się wtedy zombie, robotem do mordowania o śladowej inteligencji.

Trzeciego dnia intensywność uczuć przygasła, organizm powoli dostosowywał się do nowej sytuacji. Anderowi ustąpiły wybuchy płaczu i przytłaczająca depresja. W samą porę wziął się w garść. Niewiele brakowało, by otworzył okno i skoczył głową w dół. Męka przywróconych emocji była już nie do zniesienia. Całe szczęście, zapanował nad sumieniem. Wstał z łóżka i pozwolił zabrać się pielęgniarkom do sal rehabilitacyjnych, na ćwiczenia sprawnościowe. Już po kilku dniach o własnych siłach zameldował się u lekarza prowadzącego, udając wypranego z uczuć grabarza. Doktor przepisał mu miesięczny urlop z codziennymi wizytami rehabilitacyjnymi, ale nie upierał się, by pacjent zostawał w szpitalu. Nie zareagował też, gdy nekrofer warknięciem zbył propozycję przeprowadzenia kolejnych szczegółowych badań mózgu. I tak Ander został wypuszczony ze szpitala i karetką przewieziony do wojskowego osiedla znajdującego się na obrzeżach miasta, pośród mrówkowców Bemowa. Zamknął się w przydzielonej kwaterze, szczelnie zasłonił okna i siedząc w ciemności, wypił całą butelkę whisky znalezionej w lodówce.

Następnego dnia włóczył się bez celu po mieście, obserwując mijanych ludzi. Schodzili mu z drogi i unikali spojrzenia, jak zwykle reagując na jego mundur strachem i skrętnie skrywaną odrazą. Ander poczuł się nieswojo. Początkowo próbował sobie wmawiać pogardę do tłumu, ohydnej masy mniej lub bardziej jawnie sprzyjającej buntownikom. Polacy, wiecznie niezadowoleni, kłótlivi, pełni pychy i głupiej dumy. Wydaje im się, że są pępkiem świata, zakichanym Mesjaszem narodów, wiecznie zbuntowanym i potrząsającym szabelką. Ład to dla nich kolejna tyrania, którą trzeba pokonać w imię idiotycznego zwyczaju burzenia się przeciw wszystkiemu, co ogranicza ich złotą wolność. Nieważne, że Przebudzeni przynieśli im pokój i bezpieczeństwo, chroniąc przed efektami anomalii i chaosem, który ogarnął cały świat. Dla Polaków zawsze będą przeklętymi truposzami, których należałoby jak najszybciej z powrotem pogrzebać.

Aż przystanął, przypomniawszy sobie, że w jego żyłach też przecież płynie polska krew, buntownika i wichrzyciela. Tylko patrzeć, kiedy się zbudzi, niekontrolowana przez uszkodzony system. Parsknął śmiechem. Zupełnie nie widział się w roli terrorysty, nie po tym wszystkim, w co wierzył i co zrobił.

Wszedł do sklepu z ubraniami i kupił sobie spodnie i skórzaną kurtkę. W przebieralni spakował mundur do torby i na ulicę wyszedł jako cywil. Ludzie przestali na niego zwracać uwagę, za to miał wrażenie, że i tak wiedzą, kim jest, i patrzą z pogardą. Szeptały za jego plecami. Zdrajca, kolaborant.

Wreszcie usiadł w jakiejś szemranej knajpie, gdzie pił dłuższy czas, tępo gapiąc się na ulicę. Przysiadł się do niego jakiś młodzieniec, bez ceregieli oferując narkotyki i usługi prostytutek obu płci. Grabarz tylko uniósł dłoń, wszczepy w jego skórze błysnęły w półmroku. Młodzieniec na ich widok poderwał się, przewracając krzesło. Wybełkotał bezsensowne przeprosiny i znikł.

Nocą znów Anderowi przyśniła się dziewczyna o jasnych włosach. Szła po zniszczonym cmentarzu, pomiędzy posągami aniołów o połamanych skrzydłach, po poczerniałej, uschniętej ziemi. Wszędzie, gdzie stanęła, wyrastały rośliny, groby znikły pochłonięte przez gąszcz. Uśmiechnęła się i spojrzała na Andera oczami błękitnymi jak niebo. Próbował jej dotknąć, ale nie mógł się ruszyć. Był jednym z posągów.

Z dnia na dzień pił coraz więcej. Alkohol miał tłumić uczucia, pomóc w zapanowaniu nad emocjami i w szybkim powrocie do normalnego stanu. Sprawdzał się jednak tylko częściowo. Pozwalał zapomnieć o popełnionych zbrodniach, o koszmarach wspomnień, ale w stanie upojenia także ukochane idee równości i jedności głoszone przez Przebudzonych blakły i grabarza ogarniało poczucie bezsensu. Wpajane latami jedynie słuszne prawdy, przekonanie o konieczności bezkompromisowej walki o wprowadzenie Ładu, poczucie misji, obowiązku, etos doskonałego wojownika, sługi Przebudzonych, wszystko w oparach wódki mieszało się i ginęło jak we mgle. Ander robił się coraz bardziej zmęczony.

Włóczył się po Warszawie w cywilnym ubraniu. Obserwował ludzi, szukał w ich

zachowaniu prawdy, o której mówił Trzasczka, ale zawsze kończył w jednym z tanich barów, upijając się na umór. Nie czuł żadnego związku z przetaczającym się po ulicach szarym tłumem, nie obudziła się w nim też nienawiść do Przebudzonych, jak pewnie oczekiwał stary partyzant. Ander patrzył na patrole policji i Respektorium i widział tylko służby mundurowe pilnujące porządku, może nazbyt brutalne, ale widocznie zmuszone do tego przez okoliczności. Nawet jeśli okładali jakiegoś przechodnia pałkami lub ciągnęli go gdzieś okrwawionego, w Anderze budził się jedynie niesmak na niepotrzebne okrucieństwo. Już odrobinę bardziej poruszał go widok zebranych kalek i dzieci pozbawionych rodzin w czasie wprowadzania Ładu. Współczuł im, ale były to ofiary polskiej buty, tak samo jak te spoczywające w masowych grobach na zgłiszczach Woli, gdzie zawędrował w jednym z pijackich rajdów. Polacy sami byli sobie winni. Fanatycznie bronili swojej zakichanej ojczyzny i zapłacili za to wysoką cenę.

Przywrócenie uczuć wcale nie zmieniło nekrofera w patriotę, który natychmiast zapomniał, w co wierzy. Nadal pozostawał oficerem mrocznej armii Przebudzonych. Może już nie natchnionym, fanatycznym wyznawcą Ładu, w jego umyśle zaczęło kiełkować zwątpienie i rosło poczucie bezsensu, ale nadal daleko mu było do jakichkolwiek buntów.

Pewnego wieczoru w alkoholowym amoku zawędrował pod mur starego cmentarza, warszawskich Powązek. Gdzieś z głębi ogromnej nekropolii w niebo wzbijała się kolumna światła otoczona kłębiącymi się pasmami mgły. W tym punkcie powstał z grobu jeden z Przebudzonych. Miejsce jego spoczynku było teraz dziurą w ziemi, która niczym nieskończony gejzer stale emitowała strumień czystej nekroenergii. Miejsce było jednym z symboli nowego porządku, źródłem potężnej siły, która ocaliła ludzkość. W wielu krajach dawne groby Przebudzonych otaczano kultem, czczono je jako miejsca narodzin wielkich przywódców i wybawicieli. Tylko Polacy traktowali je jako przypomnienie o inwazji, symbol wrogiej agresji. Wzdłuż muru cmentarza stale musiały chodzić patrole chroniące nekropolię przed profanacją.

Pomimo to jakiś nastolatek wyczekał na moment, gdy nikt nie kręcił się w pobliżu, i z zapalem namalował sprayem na murze wielką literę P przechodzącą w kotwicę. Młody dywersant nie zwrócił uwagi na zataczającego się pijaka i gdy Ander złapał go mocno za kołnierz, był zupełnie zaskoczony.

– Co to jest? – Grabarz potrząsnął dzieciakiem. – Po co to zrobiłeś?

Chłopak w odpowiedzi wymierzył mu tylko kopniaka, szarpiąc się wściekle. Ander zaklął głośno i spoliczkował szczeniaka. Szarpali się chwilę, aż do momentu, gdy rozdzieliło ich trzech żołnierzy. Patrol pojawił się jak spod ziemi. Symbol wymalowany na murze i leżąca puszką po sprayu wystarczyły im, by zorientować się w sytuacji. Dowodzący żołnierzami kaprał wyciągnął pistolet i strzałem w głowę zabił chłopaka.

– Są jak szczury – podoficer mruknął po angielsku, chowając broń.

Wstrząśnięty grabarz stał bez ruchu, patrząc na ciało leżące w rosnącej kałuży krwi.

– Tylko że niczego się nie uczą – dodał drugi z żołnierzy i szturchnął nogą zabitego.

Grabarz czuł rosnące w piersi gorąco. Z trudem przełknął ślinę. Kiedyś robił znacznie gorsze rzeczy z dywersantami, ale nie był wtedy człowiekiem. Dziś nie potrafił spokojnie nawet patrzeć. Żołnierze zabili dziecko właściwie bez powodu, za malowanie bazgrołów na murze. A grabarz przyłożył do tego rękę.

– Co tak stoicie, obywatelu? – Kaprał spojrzał podejrzliwie na Andera. – Okazać chip identyfikacyjny!

Grabarz uniósł obie ręce i aktywował system. Wszczyepy emiterów nekroenergii błysnęły, rozgrzewając się momentalnie. Żołnierz z uniesionym czytnikiem chipów cofnął się o krok. Jego przełożony mruknął przeprosiny. Ander odwrócił się i ruszył przed siebie.

Zabijają ludzi bez powodu, nawet dzieci! Latami wpajano mu, że niewinni nie istnieją, że wprowadzenie Ładu wymaga ofiar. Sam też wykonywał podobne wyroki śmierci, tylko że wtedy mógł liczyć na wsparcie systemu, który wypierał go z uczuć i umacniał w wierze w mądrość Przebudzonych. Zupełnie czym innym było przyłożenie ręki do okrutnego mordu, gby miało się sumienie. Czy rzeczywiście takie bestialstwo było konieczne? Czuł strach i potworne obrzydzenie. Do siebie i tego, w co dotychczas wierzył. Zwymiotował na chodnik. Do kwatery dotarł późno w nocy, przeraźliwie trzeźwy i ze strasznym mętlikiem w głowie.

W nocy znów śniła mu się dziewczyna. Patrzyła na niego z pogardą.

Następnego ranka założył mundur i poszedł na osiedle, gdzie znajdował się najbliższy punkt umożliwiający podpięcie do infocentrali. Oficer dyżurny bez pytań umożliwił mu skorzystanie z wojskowego terminalu i nawet udostępnił pomieszczenie, gdzie nekrofer mógł pracować w samotności.

Ander wysłał prośbę do dowódcy sekcji wywiadu w Trzeciej Brygadzie Stabilizacyjnej, w której służył, o udostępnienie bazy danych miejskich służb porządkowych, w tym policji. Odpowiedź, i to pozytywną, dostał już po paru minutach. Wszedł zatem do kartotek, przeglądając meldunki z poprzedniego dnia. I znalazł. Kosma Orwidzki, lat czternaście. Zlikwidowany po przyłapaniu na działalności sabotażowej. Zbezczeszczył mur cmentarza, malując na nim kotwicę – symbol Polski Walczącej. Grabarz sprawdził, że znaku tego używali Polacy w walce propagandowej z okupantem od połowy XX wieku. Umieszczanie go w punktach dobrze widocznych i strzeżonych przez wroga było swego rodzaju tradycją i zajęciem, którym parali się najmłodszy konspiratorzy. Kotwica stanowiła wskazówkę mającą uświadomić mieszkańcom i wrogowi, że działa tu państwo podziemne, że Polska jeszcze nie zginęła. I od razu stało się jasne, dlaczego żołnierze byli tak surowi dla złapanego. Mimo to grabarz ciągle czuł się paskudnie. Dzieciak nie zasłużył na śmierć.

Wcześniej nie interesowała go działalność lokalnego podziemia, nie zdawał sobie nawet sprawy, że istnieje tu jakaś większa organizacja. Był przekonany, że tak jak w wielu miejscach globu terroryści działają w małych grupach i nie tworzą żadnej skomplikowanej siatki. Przeglądając meldunki z ostatnich miesięcy, czuł coraz mocniejsze ciarki przebiegające

po grzbiecie. Młody Orwidzki był jednym z trzystu zabitych w samej Warszawie w ciągu ostatniego kwartału. Jeśli nawet połowa zamordowanych była niewinna, i tak liczba terrorystów była niezwykle wysoka.

W czasie dalszych poszukiwań dotarł do statystyk, z których wynikało, że znaczną część zlikwidowanych bandytów stanowili ludzie bardzo młodzi, obu płci. Polska armia podziemna wysyłała na śmierć dzieci. Grabarzowi znów zrobiło się niedobrze. Nie wiedział już, kogo bardziej się brzydzi, swoich dotychczasowych panów czy terrorystów wysługujących się dziećmi. Ręce mu drżały, rósł w nim gniew. Zarówno na pozbawionych sumienia Przebudzonych, jak i na polskich bandytów, dla których najważniejsza była głupia narodowa duma. Wiedział, że musi dotrzeć głębiej, zdecydować, komu oddać swoje nowe serce, dopiero odzyskaną duszę. Inaczej zwariuje.

Zaczął szukać w zasobach centrali meldunków wywiadu dotyczących działalności podziemia, ale dostęp do tych danych był zablokowany, obłożony najwyższą klauzulą tajności. Wreszcie wszedł na bazę swojej brygady i znalazł ostatnie rozkazy. W sektorze dowodzonym przez majora Burhardta szykowała się duża operacja, w jego rejon przegrupowano sprzęt ciężki, łącznie z artylerią. Polecenie przyszło z samej komendantury Guberni Wschód. Akcją miał pokierować osobiście ktoś z góry. Widocznie aktywność lokalnych terrorystów zaniepokoiła samo kierownictwo Ładu w Europie. Szykowano wielkie oczyszczenie rejonu z bandytów. Operacja miała się rozpocząć już w przyszłym tygodniu.

Ander wyłączył terminal i pomaszzerował prosto do szpitala, gdzie domagał się widzenia ze swoim lekarzem prowadzącym. Zażądał od niego natychmiastowego przywrócenia do czynnej służby.

W nocy znów śnił, że jest kamiennym aniołem. Chodził po zdewastowanym cmentarzu, szukając dziewczyny o błękitnych oczach. Wiedział, że czeka na niego gdzieś w ciemnym gąszczu.

* * *

Pocisk mózdzierzowy wybuchł o kilka metrów od pędzącej ciężarówce. Odłamki z furkotem poszatkowały i tak wiszącą w strzępach plandekę, świsnęły Anderowi koło głowy. Wiekowy star 266 skręcił gwałtownie i zjechał z żuźlowej drogi na pole. Siedzący na pace poprzewracali się, miotani bezwładnością. Jeden z mężczyzn omal nie wypadł z samochodu, któryś z kolegów przytrzymał go w ostatniej chwili. Kierowca sobie nie żałował, ciężarówka pędziła po porośniętych krzakami nieużytkach, masakrując młode brzoźki i niewielkie sosny. Każda nierówność pola powodowała, że pasażerami miotało na wszystkie strony jak szmacianymi zabawkami. Nawet kurczowe trzymanie się elementów szkieletu paki czy trzech ław na niewiele się zdawało.

Grabarz wycedził przekleństwo, właśnie z impetem uderzył kolaniem w skrzynię z

amunicją miotaną po całym samochodzie. Z bólu zrobiło mu się niedobrze. Chwycił się stelaża, na którym wisiały strzepy plandeki i przyłgnął do niego z całych sił. Przez dziurę w łopoczącym płótnie zobaczył, że dwa towarzyszące im samochody też pędziły po wertepach, jak najkrótszą drogą kierując się na ścianę lasu. Z tyłu majaczyły pojedyncze zabudowania wsi Korfowe i wylaniające się pomiędzy nich wozy bojowe Respektorium. Wieżyczki z działkami na styrkerach rozbłysły ognikami. Uderzenie serca później fontanny piachu wzbily się wokół stara, zmuszając grabarza do zamknięcia oczu. Czuł, jak serce łomocze mu w piersi, oby tylko żaden z trzech pozostałych nekroferów jadących razem z nim nie wyczuł jego strachu.

Nawet nie wiedział, którzy spośród dwunastu ludzi w wozie są grabarzami. Wszyscy ubrani byli w cywilne ciuchy, udawali partyzantów przebijających się z Wielkopolski na pomoc kompanom z Puszczy Kampinoskiej, znajdującym się w opałach. To był brawurowy pomysł dowódcy operacji, który teraz siedział w kabinie razem z kierowcą. Wymyślił ją, gdy prawdziwy oddział bandytów wpadł w zasadzkę. Złapanych przesłuchał osobiście i sam przebrał się za ich dowódcę. Ander wszedł do jego oddziału specjalnego, ponieważ był jedynym w brygadzie grabarzem Polakiem. Jego doskonała znajomość języka mogła bardzo się przydać.

Ostrzał i pościg w wykonaniu wojsk Respektorium miał ich uwiarygodnić. Gdzieś przy wsi Korfowe powinien czekać łącznik, którzy zabierze partyzantów w głąb puszczy, może do samego serca twierdzy terrorystów. Po tak efektownym pokazie łącznikowi nie powinno nawet przyjść do głowy, że z uciekinierami coś jest nie w porządku.

Mimo że akcja była pozorowana, Ander z trudem panował nad paniką. Huk wybuchów i gwizd pocisków zapierały dech. Teraz już wiedział, jak czuli się osaczeni bandyci, których kiedyś ścigał i likwidował.

Jadący obok terenowy gruchot nagle oberwał kilkoma przeciwpancernymi pociskami z działka styrkera. Trafiony samochód przewrócił się na bok i przekoziółkował kilkakrotnie. Chwilę później drugi towarzyszący im wóz wjechał do leja powstałego sekundę wcześniej po moździerzowym wybuchu, obrócił się i runął na bok, wzbijając tumany piachu. Ander znów zaklął, jakaś drobina trafiła go w oko, na chwilę odbierając wzrok. Zniszczenie tych samochodów to też część przedstawienia, ich kierowcy poświęcili się na osobistą prośbę dowódcy. Nie sposób było mu odmówić, nikt nie odważyłby się zrobić tego Przebudzonemu.

Star znów skręcił gwałtownie. Z lasu wyjechała konno pojedyncza postać. Pomachała do nadjeżdżającej ciężarówki, wskazując kierunek ucieczki. Grabarz stracił równowagę i znów upadł na podłogę paki. Gdy udało mu się wyrzeć przez dziury w plandece, ciężarówka telepała się piaszczystą drogą między gęstą płataniną drzew. Wdarli się do puszczy.

Samochód zatrzymał się niespodziewanie, trzasnęły drzwi kabiny kierowcy. Ander poprawił przewieszony przez plecy karabinek i dołączył do kompanów zeskakujących z paki. Komandosi udający partyzantów byli dobrze przygotowani do zadania, nie zachowywali się

jak szkolone wojsko, ale jak amatorzy. Rozmawiając głośno i ciekawie rozglądając się wokół, niespiesznie sformowali szereg. Grabarz stanął na jego końcu, za niewysoką dziewczyną o ogolonej do skóry głowie. Nie zwracał uwagi na otaczającą ich zdeformowaną przyrodę, groteskowo powykręcane drzewa o koronach zrosniętych ze sobą w zwarty baldachim, przerażające piętno oddziaływań anomalii. Z rosnącą grozą patrzył na dowódcę rozmawiającego z konnym partyzantem, który ich prowadził. Łącznik okazał się kobietą, zdążyła zsiąść ze zwierzaka i stała przed oficerem.

To była ona! Błękitnooka floronautka dręcząca go w snach. Wiedźma, która wdarła się do jego serca i zwróciła mu uczucia. Stała tam, ubrana w wytarty plamisty mundur nieistniejącej od lat polskiej armii. Jej jasną skórę intensywnie barwiły wypieki. Niebieskie oczy błyszcząły niesamowicie, porażająco. Grabarz zauważył, że koń, którego poklepywała po grzbiecie, ma place skóry porośnięte zielonym mchem, a jedną z jego tylnych nóg ciasno oplata pnącze. Plugastwo! Mutant zdeformowany przez floronautkę – ogrodniczkę, jak Polacy powszechnie nazywali przedstawicieli przeklętej profesji.

Na razie nawet nie spojrzała na partyzantów, tłumaczyła coś Przebudzonemu. Gdyby tylko wiedziała, z kim rozmawia! Że stoi przed nią potężna zmartwychwstała istota, powstała z grobu w gwałtownej erupcji nekroenergii. Przebudzona, by zjednoczyć ginącą ludzkość i rzucić wyzwanie światu niszczonemu przez anomalie. Jeden z twórców przeklętego przez Polaków Ładu, jej znieawidzony wróg.

Georg von Derfflinger był bladym, szczupłym mężczyzną ze szpiczastym nosem i o pociągłej, niebudzącej sympatii twarzy. Mimo że sprawiał wrażenie dobiegającego sześćdziesiątki, miał długie kruczoczarne włosy i ciemne, archaiczne wąsy i bródkę. Jego zgarbione ramiona okrywał skórzany płaszcz sięgający ziemi, nadający mu aparycję sępa. Patrzył na dziewczynę czarnymi, głębokimi jak otchłań oczyma. Odwrócił się w stronę Andera i skinął na niego znacząco. Obawiał się, że obcy akcent może go zdradzić.

Grabarz przełknął ślinę. Zaraz wszystko się wyda, ogrodniczka go rozpozna i plan wniknięcia do wrogiego obozu spali na panewce. Najgorsza jednak była świadomość tego, co po wpadce Przebudzony zrobi z dziewczyną. Z pewnością nie będzie się spieszył.

– Pani porucznik wybaczy, mam problemy z mówieniem – wychrypiał Derfflinger. – Odezwała się stara rana, odłamek w gardle. Podchorąży Gryf, moja prawa ręka, wszystko wyjaśni.

Powłócząc nogami, Ander podszedł do ogrodniczki, cały czas gorączkowo zastanawiał się, co robić. Spojrzała na niego, powodując, że zamarł porażony błękitem. Twarz dziewczyny, zamiast wykrzywić się w gniewie, rozjaśnił łagodny uśmiech.

– Ola – wyciągnęła do niego rękę, przedstawiając się krótko.

Nie rozpoznała go! Bez czarnego munduru, ubrany w drelichowe spodnie i tanią kurtkę z bazaru wyglądał jak zwykły młody mężczyzna, a nie krwiożerczy potwór.

– Gryf – odpowiedział pseudonimem jednego ze złapanych partyzantów i uściśnął dłoń

ogrodniczki, przyjaźnie ciepłą i delikatną.

Usta Derfflingera jakby z wysiłkiem wykrzywiły się w grymasie uśmiechu, zimnym i nieprzystępnym.

* * *

Wykrzywione drzewa o zrosniętych ze sobą konarach oświetlał purpurowy blask bijący od chmur Soderberga. Pulsujące czerwienią, leniwie kotłujące się tumany unosiły się tuż nad ich wierzchołkami. Zdawały się uśpione, pogrążone w letargu. Rytmicznie błyskające, oplatające je rozgałęzione pioruny nadawały chmurom krwistą barwę, a dudniły zaskakująco cicho, jakby ich dźwięk dobiegał z daleka lub z gęstego ośrodka. Gałęziami nie poruszał najmniejszy powiew wiatru, las spał otulony grubym kozuchem chmur. Ander nie mógł się powstrzymać od ukradkowego spoglądania w górę. Lejące się, falujące obłoki w chwilach, gdy przecinały je żyły piorunów, wyglądały jak potężna żywa istota trzymająca pieczę nad puszcza.

– Nie bój się, chmury nie są takie straszne, jak je malują – Oli nie umknęło zainteresowanie grabarza. – Dopóki nie rozpęta się wichura, pozostają zupełnie nieszkodliwe. To nasza tarcza przed armią truposzy. Przez chmury nie przechodzi promieniowanie, więc wróg nie może nas podglądać, jego satelity i samoloty są zupełnie ślepe. Nie jest też w stanie nas zbombardować ani ostrzelać artylerią, chmury wchłaniają pociski, tak jak wszystko inne. Tylko tu pod nimi jesteśmy bezpieczni, tylko dzięki nim mogła narodzić się nasza podziemna armia. To wielkie szczęście, że anomalie powstały.

– Szczęście? – zdumiał się Ander. – Przecież to właśnie przez nie stary porządek runął w gruzy, przez nie utraciliśmy ojczyznę. Odkąd pokryły ogromne obszary w różnych częściach globu, zachwiała się krucha równowaga polityczna, rozsypała się światowa gospodarka, doszło do wojen i ogólnego chaosu. Anomalie niemal doprowadziły do zupełnego upadku cywilizacji, gdyby nie Przebudzeni...

Dziewczyna spojrzała na niego uważnie, Ander nie potrafił zapanować nad falą gorąca, ugryzł się w język w ostatniej chwili.

– Żartujesz? – mruknęła. – Po co powtarzasz bzdury głoszone przez wroga, jego kłamliwą propagandę?

Grabarz w ostatniej chwili powstrzymał się przed aktywowaniem uśpionego systemu. Odruchowo chciał przeskanować organizm dziewczyny, zajrzeć w głąb jej serca, zobaczyć, jak szybko bije, sprawdzić temperaturę ciała, napięcie elektryczne skóry, podejrzeć układ nerwowy i immunologiczny. Widząc, jak jej gruczoły pompują w krew hormony neuroprzekaznikowe, od razu wiedziałby, jak bardzo się zdenerwowała. Gdyby jeszcze mógł użyć swoich nekrowszczepów, by móc wpłynąć na jej organizm, zablokowałby selektywnie odpowiedzialne za gniew synapsy i uspokoił ją w ciągu sekundy. Niestety, Derfflinger

zakazał jakiegokolwiek nekroaktywności, dopóki nie wyda rozkazu do ataku. Zresztą ogrodniczka natychmiast wyczułaby nekroenergię, dostrzegła zmianę zachowania Andera i zorientowała się, że jest grabarzem. Musiał uważać, co mówi, najlepiej trzymać język za zębami. Tylko że patrząc na śliczną blondynkę, nie potrafił nad sobą zapanować. Wiedział, że to przez chemiczne znaczniki płciowe, przekłete feromony, ale i tak nie mógł nic poradzić. Gdy był tak blisko niej, endorfiny, hormony szczęścia, wypełniały mu żyły, wprowadzając w przyjemną euforię, w której tracił nad sobą kontrolę.

– Wiesz, u nas w Poznaniu nie mamy lasów ukrytych w chmurach, musimy niczym szczury pełzać w ruinach, żyć wśród wrogów – powiedział po chwili. – Przebywam z nimi cały czas, siłą rzeczy ulegam ich presji. Prawdy mi się mieszają. Każdemu wydaje się, że ma na nią monopol, a ja co mogę wiedzieć? Wychowywałem się szkolony przez truposzy, całe życie spędzam w ich cieniu. Skąd mam wiedzieć, w co wierzyć?

Dziewczyna patrzyła na niego bez słowa. Ander odetchnął. Wierzyła mu, w jej oczach zamiast złości dostrzegł współczucie.

Koń zarżał, dziewczyna odwróciła wzrok. Grabarz także popatrzył na maszerujący w milczeniu oddział. Szli wąskim szlakiem, który otwierał się przed idącą przodem Olą i zamykał kilka kroków za ostatnim partyzantem. Gąszcz drzew, które miejscami tworzyły ogromne hybrydowe organizmy, połączone z innymi roślinami, zwierzętami i bliżej niesprecyzowanymi fragmentami materii przemielonymi i ożywionymi przez chmury Soderberga, rozstępował się przed ogrodniczką, odsłaniając ukrytą ścieżkę. Ander miał za zadanie zająć dziewczynę rozmową, jak najdłużej odwracając jej uwagę od reszty. Szedł zatem obok niej, męcząc się i walcząc z własnym organizmem, który reagował na bliskość Oli falami zwierzęcych odruchów i niespodziewanie przyjemnych uczuć.

Przebrani za partyzantów żołnierze Respektorium starali się zachowywać jak najswobodniej, ale Ander widział, że z każdym krokiem w głąb lasu robią się coraz bardziej spięci. W sumie szli na niemal samobójczą misję zaplanowaną przez szalonego Przebudzonego. Sam Derfflinger oczywiście był zupełnie nieporuszony, zmierzył Andera zimnym spojrzeniem czarnych oczu i znów uśmiechnął się lodowato, z niemal namacalnie wyczuwalną pogardą. Grabarz zadrżał.

– Propaganda Przebudzonych i tego ich Ładu opiera się na kłamstwie, które powtórzyłeś – odezwała się dziewczyna. – Wszystko tak naprawdę to wina nas samych. Do globalnej katastrofy doprowadziła niepoohamowana ludzka ciekawość i żądza poznania. Stało się to w trakcie eksperymentów z fizyką czasoprzestrzeni, które niechcący doprowadziły do uszkodzenia podstawowych mechanizmów splatających śmierć z życiem, zachwiania równowagi sił w biosferze. Ludzie od zawsze starali się poznać prawa rządzące światem i robili to z coraz większym rozmachem, nie wahając się przy pomocy potężnych urządzeń ingerować w nie same. I wreszcie coś popsuli. Doszło do uwolnienia nieznanych dotychczas energii, tworzących jedną z podstawowych sił umożliwiających działanie ziemskiego

biosystemu. Chaotyczne erupcje czegoś, co nazywamy obecnie nekroenergią, doprowadziły do złamania podstawowych zasad rządzących światem, w dodatku z mroków sprowadziły upiorne istoty, ożywiły cienie zmarłych dawno temu ludzi. Przebudzeni szybko się zorganizowali i postanowili zmienić świat w królestwo śmierci. Wykorzystali chaos, który wtedy panował, trwający kryzys ekonomiczny i polityczny. Niewiele było trzeba, by rozpętać wojny i pchnąć świat w ramiona zagłady.

– Skąd zatem wzięły się chmury Soderberga, mgły przemienienia, anomalie zmieniające oblicze Ziemi? – Ander słuchał dziewczyny z rosnącym zdumieniem. Jeśli wszystko, co mówi, jest prawdą, całe życie wierzył w kłamstwo.

– Anomalie? Pojawiły się niedługo po Przebudzonych. Biosfera zareagowała nimi na zachwianie równowagi, na gwałtowny wzrost energii śmierci, która zaczęła ją wypełniać. Mechanizmy rządzące sprzężonym systemem śmierci i życia uległy trwałemu uszkodzeniu, natura zaczęła więc sama przeciwdziałać katastrofie. Niestety, prawa fizyki zostały już zdeformowane i anomalie, zamiast usuwać strefy śmierci, zaczęły generować chaotyczne strefy życia, tylko potęgując uszkodzenie biosfery. Powstałe obszary nieciągłości to efekt pogłębiających się defektów, rozpaczliwa, nieudana próba samonaprawienia się natury.

– Co nas zatem czeka? To? – mruknął Ander, wymownie wskazując na splecione ze sobą dwa drzewa o korach pokrytych błyszczącą warstwą popękanego metalu, z którego ciekła gęsta ciecz. – Chaos nienaturalnego życia, w którym dla ludzi nie ma miejsca? To może lepiej ulec władzy Przebudzonych? Ich Ład przynajmniej pozwoli przetrwać ludzkości i ocali cywilizację. W takiej chwili walka o wolną ojczyznę traci sens.

Ola parsknęła śmiechem, najwyraźniej biorąc rozterki Andera za żarty. Nie mieściło jej się w głowie, że partyzant ruszający z tak ryzykowną misją na pomoc osaczonym towarzyszom może się wahać.

– Spójrz! – Spomiędzy drzew wyłoniła się stara mogiła z metalowym krzyżem. Otaczał ją porośnięty grubym kożuchem brunatnego glonu płotek, na grobie leżała zupełnie nieczytelna kamienna płyta z napisami. Ktoś położył na niej wiązankę polnych kwiatów. – To mogiła powstańców z tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego. Oni toczyli tak samo pozbawioną sensu walkę jak my. Nie mieli najmniejszych szans na zwycięstwo, a mimo to starli się z armią niepokonanego imperium. I po co? Przecież najeźdźca pozwalał im spokojnie żyć, dawał im pracę i karmił, zapewniał bezpieczeństwo i stabilizację. Ha! W Puszczy znajdziesz więcej takich grobów, z różnych okresów. Ten las dawał schronienie niepokornym Polakom przez wiele pokoleń. Biliśmy się tu z niosącymi pokój i dobrobyt armiami szwedzkimi, rosyjskimi i niemieckimi. Zawsze bez szans powodzenia i zawsze dając świadectwo rodakom i całemu światu, że Polska jeszcze nie zginęła.

– Nie licząc się z kosztami? W imię czego? Narodowej dumy? Gdy cały świat stoi na krawędzi, my wymachujemy sztandarem i każemy ginąć własnym dzieciom. Widziałaś, jak wróg zabija dzieci? Kto kazał im walczyć i po co?! Bo tak trzeba? Dlaczego się nie poddać i

pozwoić im żyć? – Ander całkiem się zapomniał, otworzył się przed dziewczyną jak przed nikim wcześniej. Miał wrażenie, że może zwierzyć jej się ze wszystkiego, podzielić swoimi rozterkami i zwątpieniem.

Ola spojrzała na niego z troską.

– Musiałeś ostatnio przeżyć coś niezwykle poruszającego. Jakaś tragedia? Nie chcesz opowiadać, nie będę nalegała, ale dobrze jest się komuś wyżalić. To przynosi ulgę – powiedziała. – Musisz odpocząć, porządnie się wyspać. Niedługo zatrzymamy się na noc w bazie Łoś, pięć kilometrów od Roztoki. Rankiem pójdziemy lasem w kierunku Łubca, a potem skierujemy się na Wiersze i Truskawkę. Tam organizujemy główne zgrupowanie, połączymy wszystkich partyzantów z kraju, którzy przebili się do Puszczy, w jeden oddział uderzeniowy. Będziesz miał kilka dni na odpoczynek, nim zaczniemy operacje zaczepne. Zobaczysz Twierdzę, to, jak próbujemy zapanować nad siłami anomalii, jak wygląda serce podziemnego państwa. Zobaczysz, że nasza walka i poświęcenie ma sens, że nikt nie ginie na marne, że jest nadzieja.

Ander odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech, na chwilę zapominając, że kilka metrów za nim idzie Przebudzony z oddziałem przebranych morderców. Zapomniał, że dla buntowników nie ma żadnej nadziei.

Do bazy doszli godzinę później. Zupełnie niespodziewanie z gąszczu wyłoniły się dwa bunkry, wyglądające jak kapelusze ogromnych grzybów. Brunatne budowle z otworami strzelniczymi musieli stworzyć flonaucci, zmuszając zdeformowaną anomaliami grzybnię do zespolenia się z drewnem. Ola pomachała niewidocznym strażnikom i partyzanci przeszli nie niepokojeni. Kawałek dalej szlak kończył się, przechodząc w polanę wypełnioną zabudowaniami o najróżniejszych, nieregularnych kształtach. Część z nich stworzono ze stale rosnących drzew, część z materii o pochodzeniu trudnym do określenia. Domy stały pierścieniem wokół niewielkiego placu, opierały się jeden o drugi, w razie czego mogąc służyć jako forteca.

Wśród budynków kręcili się ludzie, także starcy i dzieci. Baza Łoś wyglądała jak dziwna wioska. Ander patrzył na to z zaskoczeniem i ciekawością. Nie spodziewał się tu całej miejscowości. Zaczął się za to domyślać, że Twierdza, o której wspomniała Ola, musiała być czymś podobnym, tylko w znacznie większej skali. Miejscem, gdzie przebywa dowództwo partyzantów i gdzie znajduje się główna siedziba flononautów.

– Musimy się śpieszyć – wychrypiał Derfflinger, który niepostrzeżenie zbliżył się do idącej przodem pary. – Muszę jak najszybciej skontaktować się z pułkownikiem Żegotą. Nie będziemy odpoczywać. Maszerujemy dalej, nawet nocą.

Ander wiedział, że Żegota, jeden z dowódców polskich terrorystów, jest głównym celem operacji. To właśnie ten oficer odpowiedzialny był za ostatnie konfrontacje zbrojne w tym rejonie. Derfflinger chciał go jak najszybciej zlikwidować i wycofać się z lasu. Z pewnością czuł się w nim nieswojo.

– Pułkownik dotrze do Twierdzy dopiero jutro – odparła zdziwiona Ola. – Nie ma sensu się spieszyć. Pańscy żołnierze z pewnością są zmęczeni. Poza tym nocą może podnieść się mgła przemienienia, nawet ja, ogrodniczka, się jej boję. Nie znamy jeszcze zbyt dobrze natury tego zjawiska. Zostaniemy tu na noc.

Derfflinger skinął głową, a jego blada twarz przybrała na chwilę jeszcze bardziej sępi wyraz. Odsunął się od dziewczyny z ledwie ukrywaną odrazą, która jednak nie umknęła Anderowi.

Po wejściu do wnętrza bazy natychmiast do oddziału podbiegła grupa ciekawskich dzieciaków. Grabarz z rosnącą grozą patrzył, jak Przebudzony złapał jednego z najmniejszych berbeci i śmiejąc się, posadził go sobie na karku. Większość żołnierzy oddziału zignorowała dzieci i ich pytania, ale kilku zachowywało się całkiem swobodnie, naśladując Derfflingera. Do przybyłych po chwili podeszło kilku partyzantów, jak się okazało, z komendantem bazy Łoś na czele. Derfflinger wychrypiął coś o swojej ranie gardła i zmęczeniu po długiej drodze. Ander w jego imieniu poprosił miejscowych o przydzielenie kwater na nocleg. Miejscowi byli wyraźnie rozczarowani tym, że nie usłyszą opowieści z zewnątrz i przybyli nie spędzą z nimi wieczoru na pogaduszkach, ale nie nalegali. Rozumieli, że goście są po ciężkich przeżyciach i nie mają ochoty na rozmowy, a może nie mogą nic mówić zgodnie z regułami konspiracji. Oddział został więc podzielony na dwie części i ulokowany w dwóch pustych zabudowaniach przy wejściu do obozu.

– Może miałbyś ochotę odpocząć z nami, przy ognisku? – Ander właśnie wchodził do budynku, gdy Ola złapała go za ramię. – To jedyna okazja, by spróbować miejscowego specjału, bimbrow z czereśni.

Grabarz wahał się przez chwilę, ale Derfflinger nieznacznie, przyzwalająco skinął głową. Widocznie uważał, że Ander świetnie sobie poradzi i rozwieje ewentualną nieufność partyzantów. Nie pozostawało mu zatem nic innego, jak usiąść przy ognisku, na pniu wskazanym przez Olę. Orodniczka usiadła obok grabarza. Partyzanci nie dyskutowali o niczym ważnym i nie próbowali ciągnąć małomównego gościa za język. Rozmawiali o budowie pieca chlebowego, pogodzie i coraz częstszych, budzących grozę mgłach przemienienia, kłopotach z dostawą materiałów wybuchowych, aresztowaniu łączników z Modlina i zasadzce w Babicach, w której poległo dwóch ich towarzyszy. Grabarz początkowo siedział spięty, z uwagą słuchając każdego słowa. Potem jeden z partyzantów puścił wokół ogniska butelkę bimbrow. Pili z niej po kolei, przekazując sąsiadowi. Mocny i aromatyczny alkohol rozgrzewał krew i rozwiązywał języki, Ander wreszcie się rozluźnił, a nawet poczuł swojsko, szczególnie gdy ktoś do ręki dał mu kawał kiełbasy, podobno z dziczyzny, a w dodatku sporządzonej osobiście przez samego pułkownika Żegotę, który znał się na wyrobie wędlin jak mało kto.

W pewnej chwili dwaj partyzanci zaczęli się spierać o to, czy należy nawiązać bliższą współpracę z Narodowymi Siłami Niepodległościowymi, czy raczej utrzymać z nimi rozejm,

a sprzymierzyć się z Brygadami Ludowymi. Do rozmowy włączyła się starsza kobieta, z zajadłością twierdząc, że nie honor jest się wiązać ani z kolaborującymi fanatykami, ani z komunistami. Koniecznie trzeba połączyć siły z Gwardią Maryi, jedyną organizacją w pełni patriotyczną i do tego religijną, kultywującą stare tradycje. Obaj partyzanci wysmiali ją głośno, zaklinając się, że ani im w głowie walka ramię w ramię z bandą dewotów. Spór zaogniał się, nawet próbowano do niego wciągnąć Andera, pytając, za kim właściwie stoi Wielkopolska. Grabarz wzruszył tylko ramionami, nie mogąc zapanować nad zdumieniem. W okupowanym kraju działała nie jedna organizacja terrorystyczna, ale kilka, i do tego ze sobą skłóconych.

– A to Polska właśnie – Ola skwitowała kłótnie, uśmiechając się do Andera niepewnie. – Momentami nie mam pojęcia, jakim cudem ten kraj funkcjonował przed katastrofą...

Ander zagryzł wargę, nie wiedząc, jak to skomentować. Utwierdził się właśnie w przekonaniu, że nie jest w stanie tego narodu w ogóle zrozumieć. Kłótliwego, pełnego pychy i głupiej dumy zmuszającej do wysyłania na śmierć dzieci, a jednocześnie zdolnego do wielkich i bohaterskich czynów w obronie wolności i tego, w co wierzy.

Grabarz zasłonił się, pociągając z butelki, chuchnął i zmienił temat, pytając Olę o życie w puszczy i prosząc, by opowiedziała mu o swoim zajęciu. Dziewczyna chętnie zaczęła mówić o lesie. Ander nawet bez wspomagania systemu czuł, że flornautyka jest wielką pasją Oli, której oddała się bez reszty. Jej oczy błyszczały, odbijając płomień ogniska, grabarz zatonał w nich z przyjemnością, słuchając opowieści o tajemnicach puszczy. Z największą pasją dziewczyna opowiadała mu o eksperymentach, w których flornauci badali nienaturalne życie. Badania początkowo były rozpaczliwą próbą ochrony przed anomaliami, a z czasem przemieniły się w jedyną broń mogącą ocalić nie tylko wolną Polskę, ale całą ludzkość.

Czas płynął, noc robiła się coraz późniejsza, chłodny wiatr groźnie zahuczał w koronach drzew. Partyzanci odchodzili w ciemność, znikając w chatach. Ognisko przygasło niedokarmiane drewnem. Została przy nim tylko jedna para, grabarz i ogrodniczka. Ander zapomniał o napięciu i targającej nim niepewności, z rozkoszą pozwalał, by endorfiny pulsowały mu w żyłach. Bez najmniejszej regulacji systemu i biowspomagania czuł autentyczne szczęście, prawdziwe i naturalne. Rozumiał, że związane jest z bliskością Oli. Wiedział nawet, że wypełniający go żar zwykli ludzie nazywali miłością. Zaśmiał się z siebie w duchu. Grabarz zakochany w ogrodniczce. Absurd. Starał się nie myśleć, że to uczucie może co najwyżej sprowadzić na niego zgubę. Przecież ten związek nie miał najmniejszych szans. Niech to piekło pochłonie! Teraz liczyła się tylko ta noc. Chciał, by trwała wiecznie.

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu i z jękiem usiadł ciężko na pieńku obok. Ander odwrócił głowę, spoglądając na przybysza z zaskoczeniem. To był Trzaszczka. Odgarnął ręką siwe włosy, które opadły mu na twarz, i uśmiechnął się zimno do grabarza. Ola drgnęła, również zaskoczona pojawieniem się niespodziewanego gościa.

– Tato? – mruknęła. – Mieliśmy spotkać się w Twierdzy. Co ty tu robisz?

– Ech, sprowokowały mnie do tej wycieczki pewne informacje – odparł. – Nieładnie zmuszać do takiej aktywności starego człowieka. Goniec przekazał, że przejęłaś grupę poznaniaków, która się przebiła, i prowadzisz ich do miejsca zgrupowania. Wszystko pięknie, tylko że wczoraj wieczorem dostałem meldunek o ujęciu i likwidacji oddziału przez siły Respektorium. Pomyślałem sobie, że sprawdzę, o co tu chodzi, i proszę, niespodzianka! Nasz stary znajomy. Liczyłem, że się jeszcze spotkamy, grabarzu.

Ola odskoczyła od Andera jak oparzona. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Grabarz, widząc jej reakcję, poczuł, jakby ktoś wbił mu igłę w serce.

– To dlatego wydałeś mi się znajomy! – Dziewczyna rozłożyła ręce, a z jej rękawów wysunęły się wijące niczym węże zielone pnącza.

Grabarz siedział bez ruchu, jak skamieniały.

– Spokojnie i ciszej. – Traszczka uniósł rękę, jakby karcąc Olę. – Nie chcemy chyba zbyt wcześnie obudzić naszych gości, poza tym chciałem najpierw zamienić kilka słów z grabarzem. Zrobiłeś, o co cię prosiłem? Obserwowałeś i myślałeś? Mam nadzieję, że tak i że udało ci się dojrzeć coś więcej prócz trupiej propagandy i kłamstw Ładu. No, co nam powiesz? Po co tu przyszedłeś?

Ander spojrzał na Olę, ale w jej oczach nie było już ciepła, tylko złość i gniew. Odwrócił wzrok, spoglądając w żar ogniska. Milczał długą chwilę.

– Ta grupa to komandosi Respektorium i trzech nekroferów, przybocznych Georga von Derfflingera – odezwał się cicho. – Stary truposz osobiście dowodzi oddziałem. Akcja ma na celu rekonesans w obozie wroga, sprawdzenie możliwości przeprowadzenia ataku w Puszczy i likwidację dowódcy terrorystów, pułkownika Żegoty. Wyprowadźcie ludzi z bazy po cichu i szybko, inaczej Przebudzony wszystkich zabije.

– Hm. Sam Derfflinger, słyszałem o nim – Traszczka nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. – Za życia, wieki temu, był żołnierzem, śmiałym i zdolnym dowódcą. Zasłynął tym, że w przebraniu wprowadził oddział do twierdzy wroga i umożliwił jej zajęcie. Chyba chce powtórzyć stary numer. Postaram się dopilnować, by tym razem mu się nie udało.

W ciemności na skraju obozu rozległ się stłumiony krzyk, a potem karabinowy wystrzał. Stary partyzant skinął głową córce. Ta jeszcze raz spojrzała groźnie na Andera, a potem wrzasnęła coś niezrozumiale, jakby kogoś wołając, i skoczyła biegiem w stronę, skąd dobiegał hałas. Traszczka wyciągnął zza pazuchy pistolet i wymierzył w Andera.

– Ciągle nie wiem, co z tobą zrobić, grabarzu...

– Proszę się tym nie kłopotać, pułkowniku Żegota – chrypiący głos rozległ się tuż za ich plecami.

Derfflinger wyszedł z cienia, pojawiając się w blasku dogasającego ogniska. Zgarbiony, w długim czarnym płaszczu i z trupioblada twarzą wyglądał niczym sama śmierć. Za plecami Przebudzonego w mroku majaczyły trzy sylwetki. Ander poczuł ciarki i drzenie na skórze, jakby delikatny podmuch. To nekroferzy aktywowali systemy i przygotowywali się do

zabijania. Trzaskaczka alias Żegota poderwał się na równe nogi i pociągnął za spust. W tej samej chwili błysnęło oślepiająco, a powietrzem wstrząsnął huk wybuchu. Gdzieś obok rozjazgotały się karabiny. Grabarz padł i przeturlał się w bezpieczniejsze miejsce. Aktywował procesor.

Obraz przed oczyma nekrofera znów rozbłysnął, by po chwili łagodnie przygasnąć i wyostrić się, przechodząc w tryb noktowidzenia. Ander bez zastanowienia uruchomił pełną procedurę bojową. Natychmiast jego żyłami popłynęła nekrolina, zamieniając go w maszynę do zabijania.

Przekoziółkował, o włos unikając serii, która przeorała trawę w miejscu, gdzie przed chwilą leżał, i podciął nogi strzelcowi. Sylwetka partyzanta rozbłysła przed nim pulsującą krwawo siatką naczyń krwionośnych i żółtymi liniami układu nerwowego. Grabarz w przelocie musnął dłonią przeciwnika i zamiast odruchowo go zlikwidować, tylko elektrycznie poraził synapsy komórek mięśniowych w jego ramionach i nogach, czasowo uniemożliwiając układowi nerwowemu partyzanta przekazywanie poleceń do mięśni. Mężczyzna runął bezwładnie.

Ander kucnął przy nim, zabierając karabinek. Wokół panował kompletny chaos. W powietrzu świsłały pociski, rażąc żołnierzy Respektorium, próbujących chronić dowódcę z obu skrzydeł. Jeden po drugim padali masakrowani bezlitosnym ostrzałem. Mieszkańcy bazy znikli bez śladu, za to cała chmara partyzantów wychyłała się pomiędzy budynków, zacieśniając pierścień wokół placu. Na środku bez ruchu stał Derfflinger. Grabarz widział go teraz jako pozbawioną konturów sylwetkę, otoczoną rosnącym z każdą chwilą blaskiem, zdającym się parować ze skóry Przebudzonego. Wokół niego śmierć roznosiło trzech nekroferów. Jednym z nich była niska, ogolona na łyso dziewczyna, dwaj pozostali wyglądali niczym bliźniacy, wysocy i smukli mężczyźni w wieku nie do określenia. Poruszali się szybkimi i gwałtownymi ruchami, wirując wokół dowódcy niczym elektrony na orbitach wokół atomowego jądra. Wykonywali śmiertelny taniec, miotając nekrowiązki.

Grabarz niemal fizycznie czuł te strumienie, patrzył, jak w ciągu kilku sekund nekroferzy likwidują partyzantów próbujących zejść ich od strony wejścia do bazy. Nie zwracali uwagi na pojedyncze pociski trafiające w ich ciała, strugi krwi bryzgające z ran. Żegota leżał na ziemi, strzelając z pistoletu raz po raz wprost w jaśniejącą sylwetkę. Derfflinger się nie spieszył, może czekał, aż jego grabarze zlikwidują bandytów, a on wtedy będzie mógł w spokoju zająć się Żegotą.

Ola mknęła pomiędzy budynkami, klucząc wśród umierających. Strumienie śmierci miotane przez grabarzy zupełnie na nią nie działały. Ander zogniskował wzrok na dziewczynie, przełączając system na detekcję życia. Jej sylwetka zamigotała czarownym układem krwionośnym. Natomiast w jej układ nerwowy wrastał obcy organizm przypominający bakteryjną kolonię, kozuchem okrywającą nosiciela. Symbiont! Anomalia zaszczerpiona bezpośrednio w organizm. Pompująca w krew dziewczyny enzymy i

neuroprzekazniki, obdarzająca ją niezwykłą mocą mogącą przeciwstawić się energii śmierci.

Po kolejnych sekundach pojawiła się istota, którą tak rozpaczliwie nawoływała floronautka. Bestia zeskoczyła z drzewa, odbiła się od dachu jednego z domów i wylądowała obok Oli. Ogrodniczka jednym susem wskoczyła na kark potwora, pnącza wyrastające z jej ramion oplotły głowę stworzenia. Ander przełknął ślinę. Dziewczyna opowiadała mu dziś o tej istocie. To był dziki kot, ryś, którego znalazła po przejściu mgły przemienienia zrosniętego w jeden organizm z kolczastym krzewem i gąbczastą masą o niewiadomym pochodzeniu. Ogrodniczka poddała znalezisko serii przemian, hodując z niego nową istotę.

Bestia jednym ogromnym susem wpadła między grabarzy. Złapała w pysk jednego z nich. Masywne szczęki zagłębiły się w trzewiach mężczyzny, trzasnęły miazdzone żebra. Potwór oparł łapę na twarzy nekrofera, zapierając jego głowę o ziemię, i szarpnął wściekle. Rozerwał ofiarę na dwie części bryzgające wkoło strumieniami krwi. Bliźniak zabitego zwrócił się z twarzą pozbawioną emocji w stronę bestii i skierował w nią rękę. Nekrowszczepy pokrywające jego dłonie rozbrzysły metalicznie. Ander poderwał się i rzucił biegiem w stronę walczących.

Niska nekroferka wymierzyła w niego strumień śmierci, ale grabarz był już o kilka kroków od niej. Uniósł karabinek i pociągnął za spust, pakując całą serię prosto w twarz kobiety.

Gdy uniósł głowę, ujrzał kota rozszarpującego drugiego bliźniaka. Ola siedziała na karku bestii, ze zgrozą patrząc na Przebudzonego, który szedł w ich stronę. Wyszczrzył zęby do łpiącego nań kota, oblizującego krew z pyska. Floronautka krzyknęła coś do bestii, a ta z miejsca, bez ostrzeżenia skoczyła na Przebudzonego.

Kota i Olę ogarnął bijący od Derfflingera blask. Sylwetka Przebudzonego rozmazała się zupełnie, zamieniając w świetliste jądro, w które wpadł wielki ryś. Ponad jazgot karabinów i krzyki partyzantów wzniósł się wysoki krzyk dziewczyny. Nagle uśpione niebo rozdarła purpurowa błyskawica, zalewając polanę krwawym blaskiem. Chmury Soderberga kłębiły się nad bazą, jakby była epicentrum powstającej trąby powietrznej. W świetle budzącego się żywiołu blask otaczający Przebudzonego rozproszył się i Ander ujrzał Derfflingera stojącego nad poczerniałymi, nieruchomymi szczątkami kota. Kilka kroków obok Ola próbowała się podnieść. Wyciągnęła rękę z wijącym się pnączem, mierząc nim w przeciwnika niczym bronią. Przebudzony uśmiechnął się ponuro i znów rozgorzał światłem, zamieniając się w źródło czystej nekroenergii. Musnął dłonią wyciągnięte pnącze, a to natychmiast uszło. Floronautka załkała z bólu. Grabarz widział, jak strumień światła przepływa po wrosniętej w jej ciało, umierającej roślinie i wnika w organizm dziewczyny. Poraża symbionta, wchłania się w niego, rozrastając po układzie nerwowym Oli niczym błyskawicznie powiększający się rak.

Gniew, skondensowana wściekłość zalała Andera niepowstrzymaną falą. Rzucił się rozpaczliwym biegiem, pędził niesiony emocjami o intensywności, jakiej jeszcze nie

doświadczył. Wpadł na Derfflingera, uderzając w niego z impetem. Złapał go oburącz za gardło i ścisnął z całych sił. Czuł, jak przez jego ciało przepływa gorący strumień nekroenergii bijący z truposza.

Przebudzony zacharczał, jakby chcąc coś powiedzieć, uśmiechnął się groźnie i oparł ręce na zaciśniętych dłoniach Andera. Grabarzem wstrząsnął żar śmierci. Strumienie energii zadudniły mu w żyłach, wdzierając się we wszystkie komórki. Procesor zawył krytycznym alarmem, pompując w przeciążony organizm zapas nekroliny. Tylko dzięki niej ciało grabarza nie obróciło się natychmiast w proch. Ogień czystej śmierci wypełniał go i jedynie cudem nie unicestwił. Ander mimo oszałamiającego bólu myślał z lodowato zimną wściekłością. Wiedział, że ma tylko sekundy, potem przestanie istnieć. Spolaryzował wypełniającą go rzekę nekroenergii i pojedynczą wiązką skierował ją pionowo w górę. Wprost w centrum wirujących chmur.

Niebo rozdarło się z rykiem. Rozgałęzione pioruny rozbiegły się od powstałej wyrwy, pędząc po chmurach i przeskakując na szczyty drzew, oddając całe połączenie lasu wściekłemu żywiołowi ognia. Dziura wypalona strumieniem nekroenergii w pierw zassała ogromne ilości powietrza, przewracając domy w bazie, łamiąc drzewa i miotając ludźmi, a potem bryznęła kolumną zdeformowanej materii, czarną masą przemienienia.

Ander odepchnął Derfflingera i nie oglądając się za siebie, porwał Olę na ręce. Rzucił się biegiem, gnał na oślep. Za jego plecami czarna sylwetka została pochłonięta przez fontannę chaotycznego życia, pokryta kolumną zmieniającej świat materii. Grabarz nie widział, jak Przebudzony wchłania tony szalejącego życia, rozpala się do białości, nie panuje nad głodem prowokowanym przez wypełniającą go śmierć. I wreszcie zapala się żywym ogniem i z krzykiem ginie, rozerwany na strzępy.

Drogę zastąpił Anderowi błąd jak ściana Żegota. Starzec złapał córkę za rękę, szukał w niej ciepła żywego ciała. Znalazł lodowy chłód i twardy dotyk śmierci. W jego oczach grabarz ujrzał ból i żal. Zatrzymał się i położył dziewczynę na ziemi. System powoli mu się stabilizował, choć ciągle działał w trybie awaryjnym. Pozwolił jednak znów spojrzeć w organizm ogrodniczki.

Konała. Rak nie rozwijał się już, ale zdążył zabić prawie całego symbionta, porazić układ nerwowy i zaatakować kilka ważnych organów, powodując ich szybkie obumieranie. Komórki ciała Oli ginęły porażane ciągle z niej parującą nekroenergią. Grabarz aktywował wszczepy i złapał mocno ręce dziewczyny, łącząc się z nią w jeden układ. Próbował zablokować postępującą śmierć, która nadal penetrowała organizm kobiety. Złagodził i spowolnił proces, odbierając nekroenergię, wchłaniając ją do swego ciała. W przyptywie desperacji zaczął pompować w jej krwiobieg własną krew, by dostarczyć ogrodnicze nekrolinę, substancję neutralizującą energię śmierci i dającą niezwykłą siłę. Ola otworzyła oczy i spojrzała przytomnie na Andera. Ten widział ją przez łzy.

– Nie gniewaj się, grabarzu – powiedziała i uśmiechnęła się lekko. Z każdą chwilą była

coraz bledsza. – Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu, tyle chciałam ci powiedzieć i pokazać. Mogliśmy razem...

Nagle łapczywie zaczerpnęła powietrza i zastygła bez ruchu. Jej serce przestało bić.

– Nie! – warknął Ander. – Nie możesz, nie teraz.

Zamknął oczy, jeszcze raz koncentrując się na gasnącym organizmie. Dziewczyna patrzyła na niego błękitnym, nieruchomym spojrzeniem. Wreszcie Żegota położył dłoń na ramieniu Andera.

– Już za późno – powiedział cicho.

Grabarz warknął wściekle i poderwał się na równe nogi. Złapał starca za bluzę na piersi i potrząsnął nim mocno.

– To twoje dziecko, skurwysynu! Oddała życie za pieprzoną ojczyznę! Jesteś zadowolony? – wydarł się w twarz Żegoty – Ile jeszcze własnych dzieci wyślecie na śmierć?

Starzec złapał go mocno i przyciągnął ku sobie. Ich twarze teraz niemal się stykały.

– Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób, grabarzu? Myślisz, że nie chciałem dla niej jak najlepiej? Wydaje ci się, że kazałem jej ryzykować życie, walczyć w beznadziejnej sprawie? – Żegota przekrzykiwał huk płomieni i ryk nieustannie przetaczających się po niebie piorunów. – To był jej wybór! Została żołnierzem wbrew mojej woli! Walczyła, bo wierzyła, że nasze poświęcenie ma sens. Uszanuj to. Nie mów, że zginęła niepotrzebnie. Bo cię zatłukę, bydlaku!

Żegota pchnął grabarza. Ten runął na ziemię, obok ciała dziewczyny. Nie próbował się bronić, załkał. Patrzył na nieruchomą, spokojną twarz Oli. Wokół płomienie pożerały zabudowania, a niebo raz po raz rozbłyскиwało krwawym blaskiem.

* * *

Zima tego roku nadeszła wcześniej, śnieg zasypał Warszawę już w listopadzie. Brzegi Wisły skuł lód, ulice zamieniły się w wysypaną solą błotną breję. Dokuczliwy mróz przerzedził zarówno przechodniów, jak i patrole. Krótkie dni i chłód zdawały się skutecznie zniechęcać przeciwników Ładu do stawiania oporu. Miasto uspokoiło się, zapadło w zimowy sen.

Punktualnie o siedemnastej szklane drzwi jednego z wielkich biurowców w Śródmieściu rozsunęły się, wypuszczając oficera w czarnym mundurze. Niedawno odrestaurowany budynek był siedzibą administracji Guberni Wschód i centrum logistyki Respektorium. Stanowił jedną z siedzib okupacyjnych władz.

Nekrofer przystanął na chwilę, założył skórzane rękawiczki i postawił kołnierz płaszcza. Nawet nie spojrzął na kilku żołnierzy pilnujących wejścia. Przeszedł między dwoma ułożonymi z worków z piaskiem gniazdami ciężkich karabinów, wyraźnym znakiem, że Ład ciągle się tu dopiero wprowadza, i pomaszerował chodnikiem wzdłuż zawsze zatłoczonej

Świętokrzyskiej, zmierzając w stronę najbliższego przejścia dla pieszych.

Ander spoglądał w twarze mijanych przechodniów, nieodmiennie spotykając się ze strachem i skrywaną nienawiścią, którą i tak łatwo było dojrzeć w oczach i postawie warszawiaków. Grabarz uśmiechnął się w duchu, ale jego twarz pozostawała bez wyrazu, nieruchoma niczym maska.

Idąc alejami, z ciekawością patrzył na wznoszącą się w oddali ogromną budowlę. Świątynia Ładu znajdowała się w trakcie budowy i nie osiągnęła jeszcze połowy docelowej wysokości, a już dominowała nad całym miastem. Stawiano ją w centrum erupcji nekroenergii, w miejscu, gdzie powstał jeden z Przebudzonych, na terenie dawnego cmentarza. Gdy zostanie ukończona, będzie monumentalną białą wieżą, zawsze skąpaną w świetle tysięcy reflektorów. Będzie błyszcząca, widoczna z odległości dziesiątków kilometrów, niczym samotny diament.

Kolejny symbol obcej dominacji, pomnik okupanta. Następne piętno na ciele udręczonego miasta. Warszawa miała szczęście do tego rodzaju pamiątek. Na Starówce straszyl pomnik dzierżącego krzyż Szweda, dawno temu zasiadającego na tronie Polski i szczerze nienawidzącego tego kraju, do wzgórza nad Wisłą przywarła zostawiona przez Rosjan ponura Cytadela, w której torturowano i mordowano patriotów, a w samym centrum miasta wznosił się pałac postawiony na cześć sowieckiego przywódcy. Takich pamiątek w Warszawie było więcej i po obaleniu najeźdźcy zostawały, wrastając na stałe w tkankę tego dziwnego miasta.

Grabarz w zadumie pokręcił głową. Ostatnio sporo studiował historię. Jako oficer Respektorium z wydziału wywiadu wojskowego był do tego służbowo zobligowany. Szczególnie że awans do elitarnego wydziału zawdzięczał perfekcyjnie zdanym egzaminom z wiedzy o lokalnej społeczności, jej mentalności i zwyczajach. Przy przeniesieniu do wywiadu nie bez znaczenia był fakt, że grabarz jako jedyny żołnierz Respektorium wrócił żywy z polskiego lasu, co nie udało się nawet Przebudzonemu. Oficjalnie zawdzięczał swoje ocalenie niezwykłej kreatywności, zdolnościom przystosowawczym i znajomości miejscowego ruchu oporu. Po powrocie z Puszczy musiał napisać dokładny raport i przejść trwające ponad miesiąc szczegółowe przesłuchania, na których czas został formalnie uwięziony w koszarach. Udało się jednak przekonać dowództwo, że po ataku na bazę partyzantów, w której von Derfflinger zniszczył ich gniazdo, zlikwidował wrogich dowódców i sam poległ w bohaterskim boju, Ander w zamieszaniu ukrył się wśród ciał poległych, a potem przebił do granic lasu, udając partyzanckiego łącznika szukającego swego oddziału. Operacja została zatem uznana przez dowództwo za sukces mimo straty Przebudzonego, a grabarz został przedstawiony do odznaczenia i awansu.

Uśmiechał się w duchu, wspominając tę karkołomną próbę powrotu do sił Respektorium i jej zaskakująco pozytywny wynik. Typowo polska brawura, zwana też ułańską fantazją, coraz bardziej przypadła mu do gustu. Dreszcz niepokoju z balansowania na krawędzi, życie w

ciągłym napięciu, nieustanne ryzyko napelniały mu żyły adrenaliną i pozwalały nie odczuwać bólu po stracie Oli. Przynajmniej nie tak dotkliwie.

Rozmyślając, nie zauważył nawet, kiedy dotarł do Hali Mirowskiej, starego bazaru, na którym kłębił się tłum. Odkąd wprowadzono reglamentację żywności i ze sklepów znikły towary, handel bazarowy przeżywał rozkwit, prawdziwą drugą młodość. Co zabawne, korzystali z niego także okupanci, dlatego ogólnie przymykano oko na nie do końca legalny obrót towarów. Nikt nie zwrócił uwagi na ponurego oficera, tacy też tu przychodzili. Jak zwykle schodzono mu z drogi, ale nie budził specjalnych emocji.

Grabarz spacerował niespiesznie między straganami i zamiast na towary spoglądał w twarze przekupniów. Ignorował malujące się w ich oczach obrzydzenie i strach, cierpliwie szukał człowieka pasującego do rysopisu, który przekazał mu jeszcze pułkownik Żegota, zaraz po pogrzebie Oli. To właśnie wtedy, gdy przy wtórze honorowych salw obaj patrzyli na pochłaniane przez las ciało dziewczyny, Ander zdecydował się opuścić obóz i wrócić do Warszawy. Właśnie w tamtej chwili zapragnął zostać jednym z nich, żołnierzem podziemnej armii walczącej o wolność, a najbardziej przydatny mógł być jako szpieg w szeregach wroga. Bez wahania zaryzykował życie, udając bohatera cudem ocalałego ze specjalnego oddziału von Derfflingera.

Dlaczego właściwie to zrobił? Cemu przyłączył się do buntowników? Po raz kolejny sam zadawał sobie to pytanie. Przecież nie rozumiał ich do końca, pogardzał ich skłonnością do ciągłych awantur, kłótnością, głupią dumą i tym szalonym, samobójczym pędem do wolności, palącą potrzebą swobody i suwerenności, w imię której nie wahali się wysyłać na śmierć własnych dzieci. Jednak widząc spokojną twarz Oli znikającą wśród roślin, Ander zapomniał o rozterkach. Był jej to winny. To ona oddała grabarzowi duszę, przywróciła wolność, pozwoliła mu kochać i cierpieć. W ciągu jednej nocnej rozmowy zaraziła swoją pasją, otworzyła przed nim nowy świat i ukazała, kim naprawdę jest człowiek nazywany nekroferem Anderem.

A był jednym z nich. Był synem tej ziemi, należał do tego narodu i powinien jeśli nie kochać go, to przynajmniej być mu wiernym. Jaka by ta jego ojczyzna była, nie miało znaczenia, że pełna jest kłótnych głupców i nawiedzonych szaleńców, Ander będzie za nią walczył i dla niej ryzykował życie. Tak samo jak robiła to Ola.

Żegota wprowadził go krótko w zasady konspiracji, pozwolił nawet wybrać pseudonim. To była jedna z tradycji podziemnego państwa, kultywowana od wieków w czasie panowania najeźdźców. Grabarz zdecydował się przyjąć imię dawnego bohatera, głupca, który błędził, a któremu miłość do kobiety otworzyła oczy i wskazała drogę.

Kupił warzywa u jednego z przekupniów i butelkę bimbru u innego. Krążył wokół mężczyzny, który pasował do opisu podanego przez Żegotę. Musiał podjąć decyzję, czy zaryzykować. Łącznik mógł być obserwowany przez agentów kontrwywiadu lub służb bezpieczeństwa, mógł także być zdrajcą, bo i tych nigdy w tym kraju nie brakowało. Wreszcie

Ander wzruszył w duchu ramionami, niech się dzieje, co chce. Podeszedł do brodatego draba trzymającego mięso rozłożone na gazetach leżących bezpośrednio na chodniku i kupił u niego kawałek schabu. Odbierając pakunek i wręczając pieniądze, przez ułamek sekundy zetknął się palcami z handlarzem. Między ich rękami błysnęła iskra elektrostatycznego wyładowania, infoport w dłoni Andera przekazał pakiet danych i się wyłączył. Grabarz popatrzył olbrzymowi w oczy i odszedł bez słowa. Przechodząc przez ulicę, wykasował z systemu wszystkie zapisy o ostatniej operacji.

* * *

Kurier z Warszawy dotarł do Twierdzy wczesnym rankiem. Zgodnie z poleceniem Żegoty miał mu dostarczyć meldunek jak najszybciej, pomaszerował więc prosto do kwatery pułkownika. Wszedł do budynku, ale zastał w nim tylko siedzącego w kuchni młodego partyzanta. Chłopak popijał herbatę i dorzucał drewnienka do niewielkiego piecyka. Na widok wielkiego mężczyzny z krzaczastą brodą poderwał się i stanął na baczność. Potem sztywno zameldował o nieobecności oficera i o tym, że meldunki z kraju należy składać w komendanturze.

– Pułkownik ma w zwyczaju często odwiedzać grób córki – powiedział, gdy ochłonął uspokojony łagodnymi pytaniami kuriera. – Zaraz wskażę drogę, to niedaleko. Tylko nie rozumiem, dlaczego nie chce pan przekazać meldunku bezpośrednio w dowództwie?

– Nie twój interes, młody – mruknął olbrzym.

Poszli obaj wąską ścieżką prowadzącą poza mury Twierdzy. Po paru minutach dotarli na niewielką polanę, w której centrum rosło drzewo o niezwykle szerokim pniu. Siwowłosy starzec siedział u jego stóp, nieruchomym wzrokiem patrząc przed siebie.

– Porucznik Olę pochowano z honorami we wnętrzu rośliny – z przejęciem powiedział chłopak. – Była ogrodniczką, floronautką o wielkiej mocy. Widziałem na własne oczy, jak roślina rozwarła się i pochłonęła jej ciało.

Kurier podeszedł do Żegoty i skinął mu głową. Chłopak został na skraju polany, nie miał śmiałości bez rozkazu zbliżyć się do starego dowódcy, który po śmierci córki zrobił się oschły i bardzo surowy. Najbardziej srogi i nieprzystępny pozostawał dla partyzanckiej młodzieży, nawet dla chłopców pełniących funkcje jego własnych ordynansów i adiutantów. Mimo że chłopaka korciło, by nadstawić ucha i posłuchać, o czym dwaj oficerowie rozmawiają, odwrócił się na pięcie i grzecznie poszedł do obozu.

– Kmicic przekazał dane – powiedział olbrzym.

– Przyszedł? – spytał nagle ożywiony pułkownik, wstając gwałtownie. – Mówił coś? Nie? Tylko dał materiały?

– Dwa terabajty, plany baz wokół puszczy ze szczegółowymi danymi technicznymi i militarnymi. Do tego meldunki agentów wroga próbujących nas inwigilować, listy osób

przeznaczonych do aresztowania i likwidacji. Donosy i lojalki podpisane przez kolaborantów. Nie wiem co jeszcze, zdążyłem tylko pobieżnie przejrzeć. Zaraz przekażę to wszystko analitykom. To prawdziwy skarb, dane, jakich nie zgromadziliśmy przez kilka lat pracy wszystkich naszych agentów razem wziętych – odparł kurier, pokazując wierzch dłoni z migoczącym, wszczepionym w skórę portem informatycznym. – Nie był zbyt gadatliwy ten twój agent. A niech tam sobie milczy, byle nie rezygnował. Ma dostęp do takich danych, że jest dla nas właściwie bezcenny. Oficer wywiadu Respektorium służący w samej centrali dowodzenia Gubernią! Jak dotychczas nie trafiła się nam taka żyła złota. Te informacje ocala wiele istnień i pozwolą chronić się przed inwigilacją. Skąd go wytrzasnąłeś, pułkowniku? Dobra, wiem, że i tak nie powiesz. Nieważne. Liczy się tylko, by ten chłopak jeszcze się pojawił. Wiesz, ile ryzykuje? Zdajesz sobie sprawę, co zrobią mu truposze, gdy wpadnie? Jeśli on sobie zdaje, to marne szanse, że się jeszcze pokaże.

– Nie ma obawy, zaufaj mi – z przekonaniem odparł Żegota. – On wróci.

Adam Przechrzta

Urodził się 14 kwietnia 1965 roku. Ukończył studia historyczne, po czym podjął pracę w szkole. Jednocześnie współpracował z kilkoma czasopismami, w których publikował artykuły historyczne, a także związane z pewnymi aspektami sztuk walki, m.in. na temat walki nożem i okinawańskiego karate. Interesował się działaniami służb specjalnych.

W roku 2001 uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie historii, a w 2006 zadebiutował w „Nowej Fantastyce” tekstem *Pierwszy krok*, rozwiniętym w wydaną z początkiem 2008 roku powieść pod tym samym tytułem. W NF ukazało się także kilka innych jego opowiadań i artykułów publicystycznych. W „Science Fiction, Fantasy i Horror” (wrzesień 2007) pojawiło się opowiadanie *Alchemik*, będące fragmentem *Chorągwi Michała Archaniola*, kolejnej powieści autora. W październiku 2009 ukazała się jego następna powieść – *Wilczy Legion*, a w sierpniu 2010 kolejna – *Białe noce* (jak poprzednie wydana nakładem Fabryki Słów).

Jest żonaty, ma dwójkę dzieci.

**Adam
Przechrzta**

**Czarna
dorożka**

Wiatr niósł zapach spalenizny wymieszany z wonią ogrodowych kwiatów, to wszystko podszyte delikatna, niemal niezauważalną nutą pieczonego mięsa. Ta ostatnia budziłaby skojarzenia kulinarne – nie dojadaliśmy na okrągło – gdybym nie wiedział, skąd się wzięła: niedaleko stąd, jakieś dwieście metrów, spłonął wczoraj niemiecki czołg. Chłopcom „Walerego” poszczęściło się, prawie wjechał na nich cofający się tygrys. Patrol, na który wpakowali się Niemcy, miał zrzutowego piata i cholernego, nieziemskiego farta, czołowy pancerz tygrysa był piatoodporny, niejeden się o tym przekonał w praktyce. A nie dalej jak tydzień temu spłonął żywcem wariat, który próbował załatwić ten sam czołg za pomocą butelek zapalających. Płomień popęłgał chwilę po panczerzu, nie uczyniwszy maszynie żadnej szkody, ale rozwścieczył załogę, która trafiła celną serią obwieszonych koktajlami Mołotowa, a w tym momencie uciekającego „niszczyciela czołgów”. Facet spłonął dokumentnie, został z niego tylko osmalony szkielet.

Moje rozmyślenia przerwał nowy, dużo bliższy zapach – perfumy Amour Amour reklamowane przez Jeana Patou jako odpowiednie dla „zmysłowych brunetek, które umieją utrzymać dystans”. Łączniczka „Wiera” była niewątpliwie zmysłową brunetką i z pewnością potrafiła trzymać na dystans mężczyzn, z którymi z racji swojej funkcji bez przerwy miała do czynienia. Przynajmniej zazwyczaj... Objęła mnie, potarła policzkiem o plecy, poczułem, jak wsuwa mi w dłoń niewielką paczuszkę. Zerknąłem na prezent i parsknąłem śmiechem – wczoraj przyniosła amerykańską konserwę, teraz kostkę luksusowego mydła. Miałem nadzieję, że to nie aluzja, korzystając ze statusu dowódcy, kąpałem się i tak częściej niż inni, co nie znaczy, że dość często... Odwróciłem się i wziąłem ją w ramiona, rozgniotłem wargi w zaborczym pocałunku. Zmarszczyłem brwi, widząc, że znowu włożyła kusą, podkreślającą figurę sukienkę. Przenoszenie meldunków i rozkazów było dostatecznie niebezpieczne bez prowokowania cierpiących na niedobór kobiet samców, od których roiły się powstańcze szeregi, nie wspominając już nawet o Niemcach czy rodzimego chowu szabrownikach i wszelkiej maści swołoczy krążącej po obszarach objętych walkami w poszukiwaniu łatwej zdobyczy, zdobyczy wszelkiego typu...

– Przebrałam się dopiero u was – wyjaśniła pospiesznie, widząc moją minę. – Pożyczyłam od wujka kombinezon roboczy, wyglądam w nim jak chłopak – dodała.

Uniosłem sceptycznie brwi, ale nie skomentowałem. Osobiście wątpiłem, by istniało jakiegokolwiek ubranie, w którym „Wiera” wyglądałaby jak chłopak, ale może była to wina przymusowej abstynencji, ja też należałem do owej nieszczęśliwej a wyposzczonej większości. Może niezupełnie, była przecież „Wiera”, aczkolwiek resztkami sił odsuwałem od siebie

implikacje tego faktu.

– Przygotowałam nam kąpiel na strychu – szepnęła kusząco dziewczyna. – Mógłbyś mi namydlić plecy...

Moja silna wola skruszała ostatecznie.

– Masz pięć sekund na ucieczkę – mruknąłem groźnie, nie wypuszczając jej z objęć. – Później namydlę ci nie tylko plecy.

Nie drgnęła.

– Raz, dwa, pięć...

– Powiedziałam „Aleksowi”, żeby nam nie przeszkadzali – szepnęła.

W mgnieniu oka sukienka sfrunęła na ziemię, poczułem pod palcami rozgrzane kobiece ciało.

– ...

– Możemy się wykapać później – jęknęła, wijąc się pode mną.

Wykopaliliśmy się. Później.

** * **

Zza drzwi dochodził coraz bardziej natarczywy dwugłos. Siedzący za solidnym mahoniowym biurkiem mężczyzna przysłuchiwał się rozmowie bez specjalnego zainteresowania. Mocne, pozbawione starczych plam dłonie kontrastowały z pooraną zmarszczkami twarzą i białymi jak mleko, gęstymi mimo wieku włosami, szare oczy patrzyły chłodno i uważnie zza szkieł okularów. Siedzący nie wyglądał na staruszka, ale niewątpliwie miał swoje lata. – Ona wyjechała ze swoim najnowszym gachem, a mnie zostawiła z dziadkiem! – odezwał się podszyty histerią kobiecy głos. – A co, jeśli on zachoruje, zaczniesz się ślinić albo...

– Albo korzystać z pampersów – odpowiedział rozbawiony bas.

– Nie znam go prawie! – zawołała ze złością kobieta. Tobie łatwo mówić, nie ty z nim zostaniesz!

– Chętnie bym został – zapewnił bas. – Niestety, praca... Będę wpadał – obiecał. – Aha, i nie musisz się martwić o ślinienie ani, ekhmm... pampersy.

Wargi starszego mężczyzny drgnęły w oszczędnym uśmiechu, kiedy podniósł się i stanowczym gestem otworzył drzwi.

– Witajcie, wnuczeta – mruknął ironicznie, zwracając się do dwóch liczących sobie pod trzydziestkę osób.

Ładna, choć nosząca nieco zbyt agresywny makijaż kobieta zaczerwieniła się i obrzuciła go taksującym wzrokiem. Starszy pan odwzajemnił jej spojrzenie i napinając mięśnie, przybrał pozę jak z zawodów Mister Uniwersum.

– I jak? – zapytał z sarkazmem. – Nie rozsypuję się jeszcze?

– Dzień dobry, dziadku – odezwała się wyraźnie zmieszana kobieta, nadstawiła policzek do pocałunku.

– Nie przepadam za konwenansami – skomentował jej gest starszy pan. – Być może kiedyś cię polubię na tyle, byśmy witali się pocałunkiem, na razie do tego daleka droga.

Kobieta przygryzła wargi, w jej oczach obok urazy można było dostrzec oszołomienie, najwyraźniej konfrontacja wyobrażeń z rzeczywistością zaskoczyła ją całkowicie.

– Ona nie jest taka zła – zapewnił ostrzyżony na krótko, dobrze zbudowany blondyn. Wychowowała ją mama, więc sam rozumiesz...

– Rozumiem – zapewnił go suchym tonem siwowłosa mężczyzna.

Złapał wnuka za kark i potarosił przez chwilę z zadziwiająco czułym uśmiechem.

– Słyszałeś wszystko, prawda? – zapytał domyślnie blondyn.

– Nie jestem głuchy.

– Najmocniej przepraszam waszą dziadkową, a może dziadkową wysokość – dygnęła z udaną rewerencją kobieta. – Niestety, moja matka – skądinąd idiotka i nimfomanka – przedstawiła waszą wielmożność jako obleśnego, zaślinionego starucha, który będzie mnie nieskromnie podszczypywał w przerwach pomiędzy zmienianiem pampersów. O ile to pierwsze wydało mi się mało prawdopodobne – w końcu znam swoją matkę – ta druga kwestia mnie wystraszyła. Nie jestem pielęgniarką. – Wzruszyła ramionami.

– Dlaczego więc przyjechałaś? – uniósł brwi starszy pan.

– Ojciec mnie prosił, no i on – szturchnęła wymownie brata. – Od lat wygłasza peany na twoją cześć, a ja widziałam cię ostatnio piętnaście lat temu. Kiedy tu przyszedłem, a Marek powiedział mi, że pracujesz, wyobraziłem sobie... – urwała, czerwieniąc się po raz kolejny – no... że śpisz albo coś.

– Albo coś – pokiwał domyślnie głową starszy mężczyzna. – Powinienem przewidzieć, że księżna Deliria zrobi mi entree... Przepraszam – dorzucił.

– Księżna Deliria?

– Tak nazwałem kiedyś matkę – mruknął Marek. – To jedyne przezwisko, którego dziadek pozwolił mi używać, inne były dużo mniej...uprzejme.

– Pasuje do niej – parsknęła. – W takim razie po co ci jestem potrzebna? – zwróciła się do dziadka. – Nie wyglądasz na potrzebującego pomocy.

Zapytany spojrział na nią z namysłem i skrzywił się lekko, jakby decydując się wyjawić jakąś niewygodną informację.

– Ostatnio popsuł mi się wzrok, a gosposia zachorowała. Jestem przyzwyczajony do drobnych wygod. Potrzebuję kucharki i kierowcy na dwa tygodnie.

– Kierowcy? – ożywił się blondyn. – Mogę cię zawieźć, gdzie chcesz.

– To nie takie proste, tego jeżdżenia może być sporo, chcę uporządkować pewne sprawy.

– W porządku, mam prawo jazdy, umiem też gotować. Musiałam się tego wcześniej nauczyć – dodała z goryczą kobieta.

- A więc witaj w moim domu...
- Anito – dokończył stanowczo Marek. – Ona ma na imię Anita.
- Postaram się zapamiętać – obiecał z uśmiechem siwowłosy mężczyzna.

* * *

Gabinet, o którego uporządkowanie poprosił dziadek, nie potrzebował jakichś specjalnych zabiegów, ale odkurzanie zapełnionych książkami regałów wymagało pewnego wysiłku, być może ponad siły osiemdziesięcioletka. Być może. Ujrawszy dziadka, Anita nie była już tego taka pewna. Wyglądał przynajmniej dwadzieścia lat młodziej, niż wynikało z metryki, a ostrzeżenia matki okazały się absurdalne. Nie żeby było to jakimś zaskoczeniem. Matka zawsze zachowywała się jak ostatnia suka, pomyślała smętnie kobieta. Zapewne świetnie wiedziała, że dziadek nie jest obślinionym, niedołężnym starcem, ale sprawiła jej przyjemność myśl, że córka się trochę podenerwuje.

Anita parsknęła z rozbawieniem, ujrawszy ekskluzywne szwajcarskie wydanie książki markiza de Sade „Les Cent Vingt Journees de Sodome ou l’École du Libertinage”. Obok znalazła pozycje omawiające drugą wojnę światową ze szczególnym uwzględnieniem powstania warszawskiego, podręczniki wyższej matematyki, dzieła filozoficzne, traktaty z zakresu magii i alchemii. To wszystko w paru językach. Najwyraźniej dziadek miał szerokie zainteresowania... Jedna z półek zapełniona była dziwnymi książkami o wyblakłych okładkach. Otworzywszy którąś z nich, Anita przez dłuższą chwilę wpatrywała się bez zrozumienia w zawierającą terminy medyczne tabelę. Przez moment pomyślała, że do pasji dziadka należy dodać medycynę, wzdrygnęła się, zrozumiałwszy, że pozycja traktuje o walce nożem i jej autor podaje, ile sekund żyje człowiek trafiony w poszczególne punkty witalne. Tekst wydano w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Otworzyła na chybił trafił kilka innych książek z tej półki – wszystkie traktowały o zabijaniu. Czyżby militarne zainteresowania dziadka nie były tylko teoretyczne? Skończywszy odkurzać regały, zabrała się do biurka. Sporych rozmiarów mebel z mahoniu sprawiał imponujące wrażenie. Na blacie stała zrobiona w ruinach Warszawy fotografia przedstawiająca młodą dziewczynę o przeraźliwie smutnych, zmęczonych oczach. W rysach jej twarzy było coś niepokojąco znajomego. Anita ostrożnie przetała oprawione w prostą ramkę zdjęcie i wysunęła jedną z szuflad. Zamarła – wewnątrz wałały się wrzucone niedbale banknoty o wysokich nominałach, było ich przynajmniej na kilkadziesiąt tysięcy. Klnąc pod nosem, wyrzuciła wszystko na dywan i zabrała się do liczenia, odkładając osobno każdy tysiąc.

* * *

Starszy pan odsunął opróżniony talerz i rozparł się swobodnie w wykonanym ze stali i

przezroczystego tworzywa krzesła przypominającym skrzyżowanie dziecięcej kołyski z fotelem kosmonauty. Mimo wyglądu dziwne siedziska były bardzo wygodne. Posiłek jedli tylko we dwoje, w kuchni, przy nakrytym kolorowym obrusem stole o równie futurystycznym jak krzesła kształcie. Pomiedzy porcelanową zastawą płonęły perfumowane świece, wydzielając delikatny zapach róż.

– Zupa była znakomita, a i crème brûlée... – starszy mężczyzna zawiesił znacząco głos.

Nieco zmieszana Anita skinęła głową w podziękowaniu za pochwałę. Matka nigdy nie wyrażała uznania za coś, co uznawała za oczywiste – usługiwanie jedynej osobie zasługującej na wszelkie względy, czyli jej samej...

– Mogłabym cię o coś prosić, dziadku? – zaczęła.

– Tak?

– Nie zostawiaj tyłu pieniędzy luzem w szufladzie. Gdyby ktoś się dowiedział, mogłoby to sprowokować złodziei albo...

– A kto mógłby poinformować tych złodziei? – wszedł jej w słowo dziadek. W jego głosie zabrzmiało autentyczne zdziwienie. – Moja gosposia jest zaufaną osobą, zresztą nie ma prawa szperać mi po biurku, a ty tego przecież nie zrobisz, prawda?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Ale tyle pieniędzy... Gdyby część się gdzieś zapodziała... – Przygryzła nerwowo wargi.

– No dobrze – westchnął siwowłosy mężczyzna. – Policzymy je.

– Już to zrobiłam. Wyszło mi, że jest tam sześćdziesiąt dwa tysiące.

– A więc wszystko się zgadza.

– Znałeś dokładną sumę? – Zmarszczyła brwi.

Dziadek przyjrzał jej się z rozbawieniem.

– Oczywiście, przecież to moje pieniądze. Jestem tylko bałaganiarzem, nie sklerotykiem – zapewnił.

Wydawało się, że jego rozmówczyni odetchnęła z ulgą.

– Może odrobinę wina? – zaproponowała, zmieniając temat.

– Chwileczkę – powstrzymał ją gestem starszy mężczyzna. – Ty się boisz, że jeśli coś się nie będzie zgadzało, uznam cię za... – zawiesił głos.

Anita spuściła głowę, wylamując nerwowo palce, kilkakrotnie otwierała i zamykała usta, tak jakby nie mogła się zdecydować, czy wyjaśnić sprawę, czy milczeć.

– Czasem, gdy byliśmy u kogoś w gościach, ginęły cenne drobiazgi, niedawno coś takiego zdarzyło się u ciotki Irenki, wiesz, tej z Gdańska – powiedziała wreszcie. – Ciotka bardzo się zdenerwowała, bo tym razem chodziło o biżuterię, którą miała po babce. Jeszcze kiedy byłam nastolatką, matka w podobnych sytuacjach rozkładała ręce i sugerowała, że nie może dać sobie ze mną rady. Więc nikt nie robił z tego afery, po prostu chowano przede mną kosztowności. Nikt jej nie podejrzewał. Ja myślę, że to ona... zawsze po takim incydencie nagle przybywało jej pieniędzy – zakończyła cichutko.

Ze zdumieniem patrzyła na wystrzone nagle rysy dziadka, czyniące jego twarz podobną do głowy drapieżnego ptaka, na rozbłyśniętą lodowatą furią oczy.

– Podaj mi telefon – poprosił cicho. – Jest w biurku, druga szuflada od góry.

Przyniosła go bez słowa, przestraszona nieco przemianą, jaka zaszła w uśmiechającym się jeszcze przed chwilą mężczyźnie. Starszy pan wybrał jeden z zakodowanych numerów, przystawił komórkę do ucha.

– Tak, to ja, dzień dobry – rzucił, najwyraźniej odpowiadając na pozdrowienia. – U mnie wszystko w porządku – odparł niecierpliwie. – Dzwonię w dość nieprzyjemnej sprawie, chodzi o moją wnuczkę Anitę – poinformował. – Ona jest teraz u mnie i właśnie mi powiedziała, że podejrzewasz ją o kradzież... Tak, wiem, że Kornelia ci wyznała, że ma córkę złodziejkę, a jak wszyscy wiemy, na Kornelii można polegać jak na Zawiszy – stwierdził sarkastycznie. – Tak, jestem pewien. Właśnie robiła mi porządki w gabinecie, w szufladzie miałem schowane ponad sześćdziesiąt tysięcy, kiedy wróciłem ze spaceru i przeliczyłem, wszystko się zgadzało. Nie, ależ skąd! – Machnął ręką. – Nawet mi to nie przyszło na myśl, sprawdziłem, bo jutro kupuję samochód, chciałem jeszcze raz... Tak, myślę, że jesteś jej to winna.

Wymownym gestem podał Anicie telefon.

– Tak, ciociu? – odezwała się niepewnie kobieta.

– Strasznie cię przepraszam, dziecko – odezwał się głos w słuchawce. – Powinam sama pomyśleć, na ile można wierzyć twojej matce. To ona zabrała te kolczyki, prawda?

Anita nie odpowiedziała, przez chwilę milczały obie.

– Jeszcze dziś podzwonię po rodzinie – poinformowała w końcu jej rozmówczyni.

– Ależ nie trzeba...

– Trzeba – oznajmiła twardo ciotka. – Pomijając niesprawiedliwość tego, co cię spotkało, nie mam zamiaru przejść do porządku dziennego nad faktem, że Kornelia po raz kolejny mnie oszukała, nie mówiąc już o tym, że okradła. A to, że oskarżyła własne dziecko, jest niewybaczalne – oznajmiła z obrzydzeniem w głosie. – A teraz pa, słoneczko, i proszę, daj mi jeszcze na chwilę dziadka.

Oddawszy telefon, Anita obserwowała ze zdumieniem, jak ciotka najwyraźniej strofuje zmieszanego w tym momencie starszego pana.

– Tak, zrobię to – obiecał tamten, kończąc rozmowę.

– O co chodzi? – spytała.

– Takie tam drobiazgi – wymówił się dziadek. – Pomyśl lepiej, jaki kolor lakieru wybrać.

– Lakieru?

– No, chodzi o ten samochód. Jutro pojedziemy kupić jakieś małe autko.

– Autko?

– Uhm – przytaknął. – Nie dla mnie już wozy terenowe z napędem na cztery koła, nie dla mnie... – skonstatował smętnie.

Kobieta uśmiechnęła się przelotnie, przez moment z jej twarzy odpłynęło wszelkie napięcie, stała się niemal piękna.

– Dlaczego mi zaufałeś? – spytała wprost. – Przecież z tymi pieniędzmi... Mogłam czekać na lepszą okazję.

Jej rozmówca westchnął, zabębnił z roztargnieniem palcami po stole.

– Marek wiele mi o tobie opowiadał, zawsze się tobą interesowałem, w końcu jesteś moją wnuczką – wyjaśnił. – Ale myślałem, że dobrze ci z matką. Kiedy widzieliśmy się ostatnio, w czasie rozvodu twoich rodziców, krzyczałaś...

Przerwała mu gwałtownym gestem.

– To matka – wyznała, spuszczać wzrok. – Przedstawiła mi to tak, jakby całą winę ponosił ojciec. Znasz ją przecież.

Starszy pan skinął ponuro głową.

– Znam – potwierdził. – Jediną winą mojego syna było to, że w swoim czasie zamiast głową myślał czym innym...

– Ależ, dziadku! – zawołała z udanym oburzeniem. W jej oczach zapaliły się wesołe ogniki.

– Przepraszam – mruknął. – Dzieciaki w twoim wieku lubią myśleć, że to one wynalazły seks. Nie będę cię pozbawiał tego złudzenia...

* * *

„Wiera” wprawnym ruchem wstrzyknęła rannemu morfinę, otarła mu czoło z potu. Leżący – dwudziestoparoletni chłopak o pseudonimie „Chyży” – miał przestrelone kolano, ale dzięki temu, że jeszcze nie brakowało nam środków przeciwbólowych i antyseptycznych, czuł się stosunkowo nieźle. Z chytrym uśmiechem spróbował umówić się z „Wierą” na następny zastrzyk. Nie dziwiłem mu się, pomijając jej urodę, była jedną z niewielu wykwalifikowanych pielęgniarek w okolicy. Przygryzłem wargi, wracając do rzeczywistości, trzeba było coś zrobić z rannymi, tym bardziej że w zaimprovizowanym lazarecie na pierwszym piętrze zajmowanej przez nas kamienicy leżeli ludzie w dużo bardziej poważnym niż „Chyży” stanie. Wiedziałem, że umrą bez fachowej pomocy.

– „Aleks”! – zawołałem niegłośno.

– Jestem, wodzu – zameldował się z uśmiechem mój zastępca.

Jak zwykle prezentował się nienagannie w pumpach i sportowej marynarce, nawet cholewy butów lśniły potraktowane jakimś smarowidłem. Obrzuciłem go ponurym spojrzeniem, nadal byłem na niego wściekły – tydzień temu musiałem i jemu, i dwóm innym podoficerom wygłosić dłuższą pogadankę na temat zakresu podejmowanych przez nas działań. Rzecz wiązała się z poprowadzeniem przez nich patroli o kompletnie niebojowym charakterze. Jak fama głosiła, „Aleks” zwyciężył w tej rywalizacji...

– Zorganizujesz transport rannych do szpitala na Krechowieckiej – poleciłem sucho.

– Tajestl – zasalutował z przesadną energią.

Pozwoliłem mu błaznować. Lepiej, jak podwładni widzą, że dowódcy żartują, choć Bogiem a prawdą mieliśmy coraz mniej powodów do radości.

– Ilu ludzi mogę wziąć? – zapytał „Aleks”. Mamy dwudziestu siedmiu rannych, bo dziś doszło dwóch z kompanii „Żubra”, to sporo. Chciałbym utworzyć bezpieczny korytarz do szpitala i dopiero potem rozpocząć ewakuację.

Skinąłem w zamyśleniu głową, mimo wszelkich wad „Aleks” był znakomitym taktykiem, dlatego nadal pozostawał moim zastępcą. Większość znanych mi ludzi poprzestałaby na konstatacji faktu, że teren stąd do szpitala jest teoretycznie pod naszą kontrolą, i zorganizowała transport rannych bez rozpoznania, z niewielką tylko osłoną, co w razie natrafienia na silniejszy patrol wroga musiałoby zakończyć się tragicznie. „Aleks” niczego nie pozostawiał przypadkowi.

– Weźmiesz dwa plutony – zdecydowałem. Jeden zajmie się transportem, reszta ochroną. Możesz zabrać ten niemiecki MG.

– Tam jest amunicji ledwo na trzy serie – zaprotestował cicho „Aleks”.

– Nic ci na to nie poradzę, nie wysyłam cię do walki, to jedynie zabezpieczenie – odparłem również szeptem. A sam wiesz, jak jest z zapasami...

Skinął ponuro głową, wiedział. Mimo nadprzyrodzonych niemal talentów naszego zaopatrzeniowca „Pegaza” amunicji i lekarstw było coraz mniej. Zrzuty przeważnie trafiały na pozycje wroga, obszar kontrolowany przez Niemców powiększał się. Powstanie dogorywało.

* * *

Obudził ją dziwny ni to żywiczny, ni to ziołowy zapach. W pierwszym momencie pomyślała, że to pożar, jednak kiedy otrząsnęła się ze snu, zrozumiała – ktoś palił kadzidło. Ciężka, odurzająca woń lasu i rozgrzanego bursztynu dochodziła z przedpokoju: albo coś się działo dosłownie pod drzwiami mieszkania, albo sprawcą zamieszania był jej dziadek...

Anita narzuciła pospiesznie szlafrok i wyszła na korytarz. Przez dużą matową szybę w drzwiach do gabinetu widać było jasną poświatę przynajmniej kilkunastu świec. Ciepły, miodowy blask pełgał po szkle, malując je w zawile wzory, po chwili do ognistego tańca dołączyły cienie – ktoś poruszał się, wplatając w jasność plamę mroku. Kobieta przełknęła nerwowo ślinę – matka co prawda przyzwyczaiła ją do różnych ekscesów, ale nawet ona nie odprawiała w nocy żadnych rytuałów. Najwyżej przyprowadzała jakiegoś kompana od kieliszka...

Przez chwilę poczuła lęk, gdyby dziadek chciał ją skrzywdzić... Wczoraj, kiedy wychodzili kupić samochód – ostatecznie zdecydowali się na toyotę corollę w kolorze

grafitowym – potknęła się, schodząc ze schodów. W mgnieniu oka starszy pan znalazł się przy niej i złapał za ramię chwytem tak silnym, że wręcz bolesnym. Wsparłszy się na barku dziadka, poczuła prężne mięśnie, które nie dziwiłyby u wysportowanego czterdziestolatka, no, niech będzie pięćdziesięciolatka, ale zdumiewały u mężczyzny urodzonego pod koniec drugiej dekady zeszłego wieku.

Wreszcie zakryła usta dłonią, by uciszyć nerwowy chichot, kiedy dotarł do niej niezamierzony komizm sytuacji – oto stoi tu niczym czteroletnie dziecko, podglądając dziadka, którego automatycznie obsadziła w roli czarnego charakteru. Brakuje jeszcze, by wzięła sobie, że do obrzędu, jakkolwiek by był, potrzebna jest krew dziewicy. Co by o nim nie powiedzieć – pomyślała z rozbawieniem – starszy pan wydaje się na tyle zorientowany w realiach współczesności, by nie oczekiwać, że akurat ona dysponuje tego typu płynem fizjologicznym... Tak więc jestem bezpieczna, zakonkludowała w myśli, wracając do swego pokoju.

Zanim okryła się ciepłą puchową kołdrą, uchyliła okno. Rozrzedzony nieco zapach stał się nie tylko przyjemny, ale i kojący. Uspokajał, orzeźwiał, wywoływał uczucie wyciszenia. Nie wiedzieć kiedy zasnęła.

* * *

Anita wyjęła z pieca jeszcze ciepłe francuskie rogaliki nadziewane konfiturą z róży, kilka z nich położyła na niewielkiej srebrnej tacy wraz z kubkiem zielonej herbaty. Mijał już tydzień, odkąd wprowadziła się do dziadka, i musiała przyznać, że chętnie zostałaby nie tylko drugie tyle, ale i dłużej. Widać było, że starszy pan darzy ją coraz większą sympatią, a obowiązki gospośni i kierowcy, których się podjęła, nie były specjalnie fatygujące. Przeważnie zajmowała się domem przez kilka godzin, później miała czas dla siebie. Czasami odwoziła dziadka bądź do archiwum wojskowego, bądź do kancelarii prawnej. Z tego, co się zorientowała, załatwiał tam sprawy majątkowe i grzebał w dokumentach dotyczących powstania warszawskiego. Osobny rozdział stanowiło poszukiwanie dorożki... Nie byle jakiej dorożki – chodziło o egzemplarz wykonany na przełomie wieków, kiedy, jak się wyraził: „Dorożki spełniały jeszcze funkcje użyteczne”. Odwiedzali więc osoby prywatne i firmy zajmujące się wyrobem i konserwacją powozów, kilka z nich chlubiło się posiadaniem wehikułów z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Anita i dziadek oglądali dyliżanse, landa, karykle i berlinki, by w końcu zdecydować się na wynajęcie autentycznego ponoć fiakra. Po co tyle trudu, skoro można się było przejechać zwykłą, przeznaczoną dla turystów dorożką? Tego starszy pan nie wyjawiał, ba! w ogóle nie chciał na ten temat rozmawiać.

Anita westchnęła, patrząc na przygotowany poczęstunek, dobrze chociaż, że dziadek wszelkie wariacje kulinarne przyjmował z entuzjazmem małego chłopca, komplementując ją nieustannie i – jak się wydawało, wnioskując po apetycie – szczerze. Bywało, że wspierał go

w tym Marek, również doceniający kucharskie talenty siostry. Kobieta otworzyła drzwi do gabinetu, ostrożnie balansując tacą, zapaliła światło, za oknami szarzało. Z osłupieniem spojrzała w ekran komputera – starszy pan przeglądał właśnie anonse towarzyskie w jednej z internetowych agencji...

– Hej, ostrożnie! – zawołał, zrywając się z miejsca.

Wyjął jej z dłoni poczęstunek, z lubością wciągnął w nozdrza zapach rogalików.

– Pyszności – wymamrotał, częstując się croissantem.

– Szukasz żony? – odchrząknęła niepewnie Anita.

Jej babcia zmarła kilka lat temu i do tej pory nie wyglądało, aby dziadek rozglądał się za kimś, kto mógłby ją zastąpić.

Przez chwilę wydawało się, jakby starszy pan wahał się, czy potraktować pytanie poważnie, czy wybuchnąć śmiechem.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Nie szukam żony, ani nawet kobiety. Zresztą te tutaj – wskazał ruchem głowy ekran – są za smarkate. Trzydzieści do czterdziestu lat. No i nie wszystkie są ładne – dodał grymaśnie.

– A na poważnie? – nie dała się zbyć Anita.

Już dawno zauważyła, że dziadek często ukrywa prawdziwe motywy tego, co robi. Nie żeby kłamał, ale zdawało się, że niemal odruchowo ucina wszelkie zbyt dociekliwe pytania.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Naprawdę – potwierdziła.

– To, co robię, to dość melancholijna rozrywka – wyznał. – Czytając takie strony, można się dowiedzieć, jak daleko jest w stanie posunąć się kobieta, współczesna kobieta – zaakcentował – aby znaleźć kogoś, kto – zastanowił się przez moment – mógłby rozproszyć jej samotność.

– I do jakich wniosków doszedłeś? – zapytała, zaciskając usta.

Nie ulegało wątpliwości, że dziadek, podobnie jak cała reszta rodziny, wiedział o uczuciowych perypetiach wnuczki, również o tym, że została na lodzie, kiedy jej ostatni chłopak znalazł sobie młodszą i ładniejszą. Matka zatroszczyła się zapewne nie tylko o przekazanie tych informacji, ale i odpowiednie ich ubarwienie.

– Bardzo daleko – odparł poważnie. – Jest to poniekąd zrozumiałe, bo dzisiaj ludzie żyją w wykreowanym przez media plastikowym świecie, nie mając wielu okazji do prawdziwej bliskości, szansy na poznanie się. Jedną z nielicznych pozostaje seks – wzruszył ramionami starszy pan. – Nie, ja się z tego nie wyśmiewam – zapewnił, przechwyciwszy spojrzenie wnuczki. – Ubolewam nad tym. Gdybym był twoim równolatkiem, pewnie zachowywałbym się tak samo.

Spokojny, wyważony ton, w którym nie dało się zauważyć nawet cienia poczucia wyższości, uspokoił nieco Anitę.

– A babcia? – zapytała. – Bo to chyba jej fotografia z czasów, kiedy była młoda – skinęła

w stronę stojącego na biurku zdjęcia. – Musiałeś ją bardzo kochać...

Twarz starszego mężczyzny skurczyła się przez moment, jakby poczuł nieoczekiwany ból, oczy straciły blask – w tej chwili dziadek wyglądał na swoje lata. Odpowiedział dopiero po chwili, potarłszy znużonym ruchem skronie.

– Nigdy jej nie kochałem – wyznał. – Tak, to ona – potwierdził, zerknąwszy przelotnie na fotografię. – Poznaliśmy się po upadku powstania, można powiedzieć, że zaopiekowałem się nią i dalej tak jakoś wyszło...

– Wyszło?!

– Była bardzo ładną młodą kobietą, a ja nie jestem z kamienia – odparł spokojnie dziadek.

– Nigdy nikogo nie kochałeś? – spytała Anita.

– Tego nie powiedziałem, ale dość już na ten temat. Wszedł na portal informacyjny i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Możemy pogadać dla odmiany o polityce – zaproponował z lekkim uśmiechem. – Choć w sumie – machnął ręką – byłaby to jałowa dyskusja. Ot – wskazał brodą na krzyczące nagłówki – złapali kolejnego urzędasza na kradzieży. Standard. A on oczywiście wszystkiego się wypiera i kwiczy o prześladowaniach politycznych. Również standardowo. Tak jakby wszystkim malwersantom, niezależnie od opcji politycznej, rozdano ten sam tekst. Dawniej – zabłysły mu oczy – dawniej... ktoś przyniósłby mu pistolet z jedną kulą w magazynku i przekazał ustnie instrukcję obsługi.

– Takie rzeczy się naprawdę zdarzały?

– Owszem – mruknął siwowłosy mężczyzna. – Kierowano się kodeksem honorowym. Nie, nie chodziło o pojedynki, choć to czasem także... Bardziej o przestrzeganie ustaleń, według których ktoś, kto publicznie dopuścił się kłamstwa, przestawał być osobą honorową, tracił twarz. Ciekawe, ilu współczesnych polityków przeszłoby taki test? – uśmiechnął się złośliwie.

– Pewnie niewielu – przyznała Anita. – Co sądzisz o czarach? – zmieniła nagle temat.

– O Wicca i takich tam? – upewnił się jej rozmówca. – To pierdoły. Przeważnie wygląda to tak, że grupa entuzjastów płci obojga coś tam celebryje – niemal zawsze na golasa, ale nie życzy sobie pomówień o erotomanii. No więc oni się nie obnażają, oni odbywają rytuały...

– Więc wszystkie rytuały to bzdury?

Starszy mężczyzna nie odpowiedział od razu, sapnął ze zniecierpliwieniem, zacisnął zęby, spojrzenie wyostrzyło mu się na krótką jak mgnienie chwilę. Wyglądało, że zrozumiał, iż wnuczką nie kieruje teoretyczna ciekawość.

– Nie wszystkie – przyznał z niechęcią. – Ale skończmy już tę rozmowę, jestem zmęczony. Jutro pojedziemy do Warszawy, muszę się trochę przespać.

– Chcesz zdażyć na obchody z okazji rocznicy powstania?

– Nie, to nie dla mnie, ale chciałbym się spotkać z przyjaciółmi, kilku mi jeszcze zostało z tamtych czasów.

- Z powstania?
- Tak.
- Brałeś w tym udział?
- Nie teraz – poprosił dziadek.

Naprawdę wyglądał na zmęczonego, sine obwódki pod oczyma dodawały mu lat, mięśnie twarzy zwiotczały.

- Opowiesz mi kiedyś o tym?
- Być może – odparł wymijająco.

* * *

Na imię miała Birutė, tak przynajmniej mówili ci, którzy odważyli się o niej w ogóle wspominać. Birutė była wiedźmą. Tu, w głębi litewskich lasów, wśród całkowicie przekonanych o jej mocy wieśniaków, stwierdzenie to brzmiało inaczej niż w mieście. Zupełnie inaczej... Przyglądałem jej się zmieszany, zostaliśmy w chałupie sami: gospodarze, u których mieszkalem, wymknęli się do lasu chwilę wcześniej. Zapewne od razu, gdy ją zobaczyli. Nie była ani piękna, ani młoda – oceniłem wiek kobiety na jakieś czterdzieści lat – jednak emanowała zwierzęcą witalnością, rozsiewając zapach ziół włosy splecione w gruby, niedbale przerzucony przez ramię warkocz i oczy – głębokie, brązowe – wyniosły, a jednak naturalny wyraz twarzy czyniły ją interesującą. Wyglądała jak ktoś posiadający władzę, przywykły do rozkazywania.

Przysunęła się do mnie tak blisko, że jedynie siłą woli, a może powodowany wstydem przed okazaniem strachu, opanowałem naturalny odruch, nie odstępiałem w tył. Klęknęła, przywarła ustami do mojej dłoni. Wszystko to nie tracąc ani odrobiny godności, z niedościgłą, zdawałoby się, przyrodzoną – choć w tej sytuacji i otoczeniu absurdalną – grandezzą.

– Dziękuję, wiesz za co – powiedziała po prostu.

Wiedziałem, wczoraj wyciągnąłem z bagna jej syna, zrobiłem to pod ostrzałem obojętnych, może nawet złośliwych spojrzeń okolicznych chłopów, którzy widząc dziecko w opałach, podnieśli głośny lament, ale nikt nie pokwapił się z pomocą.

– To żaden... – zacząłem.

Przerwała mi gestem, poczułem jej dłoń na ustach. Cofnąłem się, zanim pomyślałem, co robię.

– Nikt inny by mu nie pomógł, znam ich – parsknęła pogardliwie. – Mówią o mnie, że jestem czarownicą – kontynuowała z lekkim zaśpiewem, mieszając słowa polskie i litewskie. – Głupcy! Jestem kapłanką Tego-Który-Był-Przed-Czasem. Okkasa – władcy rozdroży.

– Nie wierzę...

Znowu zakryła mi usta dłonią – miała długie, smukłe palce – zapachniało malinami.

Oparłem się plecami o ścianę, czując gorąco na szyi i policzkach.

– *Gdybyś nie podarował mi życia syna, miałabym ochotę cię przekonać w taki czy inny sposób. – Jej oczy błysnęły złośliwie.*

– *O czym?! – warknąłem, odpychając ją stanowczo.*

Zatoczyła się w tył, jej ciało nie stawilo żadnego oporu, tak jakby z góry założyła, że nie będzie mi się sprzeciwiać, cokolwiek zrobię. Wbrew moim zamiarom nie zmniejszyło to napięcia, wręcz przeciwnie – nadało tej scenie niewiarygodnie erotyczny podtekst. Uśmiechnęła się, widząc, jak bardzo jestem zakłopotany.

– *O tym, że dawni bogowie istnieją i odpowiadają na prośby tych, którzy wiedzą, jak do nich mówić.*

Sapnąłem gniewnie, ale zanim zdołałem coś powiedzieć, odezwała się znowu:

– *Muszę odplacić ci za ten dar.*

Ponownie klękła, uwięzła w silnym, choć nie brutalnym uchwycie moje dłonie.

– *I odplacę – błogosławieństwem mego bóstwa.*

– *Nie chcę tego! – krzyknąłem.*

Twarz kobiety spoważniała.

– *Nie mogę postąpić inaczej. Gdybym tego nie zrobiła, straciłabym moc, zrozum – zwróciła się do mnie niemal z błaganiem w oczach. – Możesz w to nie wierzyć, ale jeśli będziesz potrzebował pomocy mego boga, raz w życiu – Okkas odpowie. Jeśli mnie odpędzisz, będę czekała przed chatą. Jak wrócisz do miasta, pojedę za tobą. Muszę spłacić dług.*

Podniosłem ją z klęczek, spojrzałem w oczy – nie żartowała. Rozejrzałem się odruchowo, zerknąłem przez niewielkie, zasmolone okno – normalnie po wsi kręcili się ludzie, teraz okolica wyglądała na wymarłą, nawet psy nie czekały. Także w chałupie panowała cisza, najwyraźniej gospodarze, gdziekolwiek by byli, czekali. Tak jak wszyscy inni...

Otarłem pot z czoła, jeszcze raz spojrzałem w oczy Birutę, napotkałem spokojne, nieugięte spojrzenie.

– *No dobrze, niech będzie – ustąpiłem.*

* * *

Silnik samochodu mrucał miarowo, na przednią szybę spadły pierwsze krople deszczu, mżyło. Anita włączyła wycieraczki, szybkim spojrzeniem skontrolowała, czy dziadek zapiął pasy. Jej matka nigdy tego nie robiła, panicznie bała się, że w razie wypadku zakleszczą się i żywcem spłoną w samochodzie. Jednak nie wyglądało, aby starszego pana męczyły jakieś lęki czy fobie – siedział rozluźniony w fotelu, śledząc spod współprzymkniętych powiek uciekające do tyłu drzewa.

– *Masz świetną koordynację ruchową, ale zaraz będą fotoradary, więc... – wymruczał.*

Anita natychmiast zdjęła stopę z gazu.

– *Przepraszam – powiedziała ze skruchą.*

– Jechałaś niemal przepisowo – odparł starszy mężczyzna – ale lepiej uważać.

Nie doprecyzował, czy chodzi mu o zasady bezpieczeństwa, czy fotoradary. Przemknęli obok przydrożnej kapliczki, mijając krzątającą się przy niej kobietę.

– Choćbym nie wiem jak się wysilała, nie mogę sobie wyobrazić ciebie jako wyznawcy pogańskich bóstw – wyznała Anita.

Odpowiedział jej krótki, zduszony śmiech.

– Bo o to chodziło, prawda?

– I tak, i nie – odparł w końcu dziadek. – Kiedyś na Litwie spotkałem prawdziwą czarownicę...

– Latała na miotle? – spytała bez zastanowienia.

– Nie – odparł sucho starszy pan. – Była kapłanką boga nazywanego Okkas. Chyba już ostatnią. Oddałem jej pewną... przysługę. Przyszła mi podziękować i obdarzyła błogosławieństwem swojego bóstwa. Raz w życiu mogłem... mogę wezwać jego pomocy. A tak czy owak, czas – jedna z domen tego bóstwa – jest dla mnie łaskawy.

Kobieta zerknęła szybko na dziadka – wyglądało, że mówi poważnie.

– Trudno zaprzeczyć, ale czy to na pewno dlatego?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Dla ciebie to nieistotne – odparł. – A ja... ja przekonam się już wkrótce – wymruczał tak cicho, że ledwo usłyszała jego słowa.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedział, całkowicie ignorując pytanie, przez kilka minut wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, a może w siekaną przez coraz mocniej zacinający deszcz przednią szybę. Anita nie ponaglała go, nie odczuwała konieczności wypełnienia zapadłej nagle ciszy słowami.

– Wracając do tej kwestii... teologicznej – powiedział, przerywając milczenie jakby nigdy nic.

– Tak?

– Jeśli wyobrazić sobie jakąś siłę wyższą, to przecież nie w postaci tabunu prymitywnych, plemiennych bożków, jak chcieliby tego wyznawcy neopogaństwa.

– A jak?

– To podobny problem, jaki mamy z szatanem...

– Wybacz, dziadku, ale jam nie uczona – oznajmiła z lekkim sarkazmem Anita. – Nie zaprzętałam sobie do tej pory głowy teologią.

– No dobrze – roześmiał się starszy pan. – Będę musiał w takim razie wytłumaczyć ci to od podstaw.

Zdjął okulary i potarł nasadę nosa.

– Jeśli wyobrażymy sobie, że Bóg, Bóg w ujęciu chrześcijańskim, jest jedyną siłą wyższą, władcą i panem wszechświata, nie ma w takim schemacie nie tylko miejsca na bóstwa

pogańskie, ale i diabła, bo przecież nic nie może istnieć poza Bogiem czy obok Boga. Gdyby jednakowoż istniało, władza Boga byłaby w mniejszym czy większym stopniu ograniczona, a więc nie byłby On tym jednym jedynym.

– No ale te bóstwa czy szatan mogą być słabsi, podrzędni wobec Jego chwały – sprzeciwiła się mimo woli zainteresowana kwestią Anita.

– Dlaczego w takim razie ich nie pokonał? Gdyby założyć, że nie może tego zrobić, te inne byty łącznie z szatanem byłyby Mu przynajmniej równorzędne.

Kobieta wydeła z namysłem policzki, wypuszczając powoli powietrze.

– Może nie chce?

– Ale dlaczego? Co miałyby Go przed tym powstrzymać, skoro i te inne bóstwa, i szatan są przedstawione jako „złe”. Szatan jest wrogim człowiekowi bytem, a pierwsze przykazanie Dekalogu mówi: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”.

– A co na ten temat twierdzi Biblia?

– „Czyż zdarza się w mieście nieszczęście, by Pan tego nie sprawił?” – zacytował dziadek. – To z księgi Amosa. A Hiob mówi: „Dobro przyjęliśmy z ręki Boga. Czemu zła przyjąć nie możemy?”. Również Kohelet pisze wprost:

„Gdy ci się dobrze wiedzie – ciesz się z tego, a wiedzie ci się źle, wtedy to rozważ: zarówno jedno, jak i drugie sprawia Bóg”.

Anita milczała przez chwilę, najwyraźniej usiłując zrozumieć to, co usłyszała. Starszy pan przypatrywał jej się z lekką kpina w oczach.

– Czy to znaczy, że Bóg jest i dobry, i zły? – zapytała niepewnie.

– Nie, oznacza to tylko tyle, że całe zło i całe dobro pochodzi od Niego.

– Dziadku, nie drażnij się ze mną!

– Już dobrze! – Mężczyzna uniósł obronnym gestem ręce. – Nie będę kłócił się z kucharką... Istnieje wiele interpretacji – powiedział, poważniejąc. Święty Augustyn, Leibniz, Teilhard de Chardin... Wszyscy oni usiłowali wytłumaczyć jakoś tę pozorną sprzeczność. Mnie najbardziej chyba odpowiada teoria Leibniza. Twierdzi on, że taki właśnie świat, w jakim żyjemy, jest najlepszym z możliwych do stworzenia. Bo nie byłby takim na pewno ten, w którym ludzie mieliby zakaz czynienia zła, pozbawiono by ich wolnej woli, czyniąc z nich zbiorowisko po prostaku zaprogramowanych automatów. Wreszcie – nie jesteśmy jako ludzie w stanie ogarnąć umysłem ogólnego bilansu, rozstrzygnąć, czy zło jest naprawdę złem, a nie okazją do czynienia dobra. Bo przecież gdyby nie istniało zło, jak można by określić dobro?

– A czy Bóg w takim razie nie może, a nawet nie powinien – mimo wszystko – przeciwdziałać złu? Przynajmniej złu dziejącemu się na większą skalę? Zawieszać w takich wypadkach funkcjonujące prawa natury? Bo skoro jest nieskończenie dobry i jednocześnie wszechmocny?

– Ale w jakim celu? – spytał dziadek. – Skoro każde zło prowadziło by w konsekwencji

do dobra? Wówczas zawieszenie tych praw, czynienie cudów, byłoby działaniem opóźniającym zaistnienie ostatecznego, wykalkulowanego już u zarania wszechświata dobra...

– Może – mruknęła nie do końca przekonana Anita. – Może. To dla mnie nieco zbyt abstrakcyjne. Wracając do wielobóstwa... – Rzuciła dziadkowi wymowne spojrzenie.

– Jeszcze nie rozumiałaś? – parsknął starszy mężczyzna.

Odwinął rękaw marynarki i spojrzał na zegarek.

– Powinniśmy zdążyć – mruknął. – Wracając do sprawy. Tak naprawdę nie ma żadnych „innych bóstw”, skoro On jest wszechmocny i jedyny. Z drugiej strony wydaje się, że istnieją jakieś na pozór oddzielone od Niego moce, przed oddawaniem im czci ostrzega przecież Dekalog.

– Dlaczego „na pozór oddzielone”, skoro istnieją? – Kobieta zmarszczyła brwi, spoglądając na rozmówcę z namysłem.

– Patrz przed siebie! – polecił suchym tonem dziadek. – Wolałbym nie zakończyć jazdy w rowie.

– Więc?

– Te byty są oddzielone od Boga tylko w naszej niedoskonałej perspektywie. Wzywamy Okkasa i on odpowiada. Wyciągamy z tego wniosek, że istnieje w sensie obiektywnym.

– Skoro oddając mu cześć, osiągamy swoje cele...

– Wtedy Bóg nie byłby ani jedyny, ani wszechmocny – przerwał jej dziadek.

– Więc kim jest Okkas?

– Słowem wypowiedzianym przez Niego, emanacją Jego mocy. Częścią gry, jaką On prowadzi z samym sobą, a może także z ludźmi? Czymś podobnie jak zło – a raczej to, co odbieramy w swej niedoskonałości jako zło – niezbędnym w procesie, którego nie jesteśmy w stanie pojąć. Tylko tym, niczym więcej...

Anita zaklęła cicho, kiedy podskoczyli, wpadając w jakąś koleinę, przyspieszyła, rozchlapując wodę z pokaźnej, zajmującej niemal całą szerokość drogi kałuży.

– Ale czy jeśli oddajesz cześć temu... Okkasowi, chcąc osiągnąć jakieś konkretne cele, zapewne polegające na zawieszeniu powszechnie obowiązujących praw... – Zerknęła niepewnie na dziadka.

Starszy mężczyzna odpowiedział skinieniem głowy, jakby potwierdzając prawidłowość jej rozumowania.

– No więc czy nie działasz wtedy wbrew Jego woli? Bo nawet jeśli zło pochodzi od Niego i podobnie jest z niby-oddzielonymi od Jego osoby bytami nadnaturalnymi, to przecież zakazuje On wyraźnie czynienia zła ludziom, tak jak i wyznawania innych bóstw. Chce, byśmy dokonali wyboru, właściwego wyboru.

– To dobry argument – przyznał poważnie dziadek. – Być może masz rację, ja wolę myśleć, że o ile ta teoria jest słuszna, potraktuje mnie On nie tyle jako przeciwstawiającego się Jego woli grzesznika, a bardziej jak niesforne, acz bystre dziecko. Takie, które zrozumiało

więcej niż inni, choć swoją wiedzę wykorzystuje niekoniecznie w dobrym celu...

– Czyli myślisz, że Go rozbroisz, rozbawisz? Jak – zawahała się – sympatyczny łobuz?

Wargi starszego pana drgnęły w powstrzymany uśmiech.

– Mam nadzieję – odparł. – Mam nadzieję...

Odchylił głowę na oparcie, przymknął oczy, sygnalizując koniec rozmowy. Anita ponownie zwołała, dojeżdżali do Warszawy.

* * *

W odgłosy strzelaniny wdarł się brutalnie łoskot miażdżących bruk gąsienic, Niemcy atakowali i zyskiwali coraz więcej terenu. Zaciśnąłem zęby, licząc sekundy, jeśli wszystko miało pójść zgodnie z planem... Przez skrzyżowanie przebiegło kilka osób, w chwilę później eksplodowała trafiona pociskiem czołgowym barykada. Zakląłem – łącznie z niesionym przez kogoś na plecach rannym barykadę opuściło pięć osób. Zabrakło dwóch. Kompania „Sztylet” wycofywała się sprawnie i bez paniki, każąc wrogowi drogo płacić za każdą zdobytą ulicę, ale sama też krwawiła. Koniec zbliżał się nieubłaganie. Brakowało amunicji, lekarstw, broni. Plotki głosiły, że toczą się rozmowy na temat uznania powstańców za kombatantów. Nie żeby to zabezpieczało przed zemstą Niemców, i tak w ostatecznym rozrachunku wszystko zależało od tego, na kogo się trafi. Miałem plan, by wycofać swoich ludzi na odcinek, gdzie dowodził pułkownik Schalke, niegdyś, przed wojną, wuj Johann... Niestety, pomysł nie wypalił – skończyliśmy, osłaniając odwrót niedobitków z rozbitych wcześniej oddziałów, taki rozkaz. Zresztą kto wie jak dzisiaj zachowałby się wujek? Bywało, że zapomniano o dużo bliższym pokrewieństwie...

Na skrzyżowanie wyjechało działo pancerne, tuż za nim dojrzałem zwinną, zwartą sylwetkę pantery. Zakląłem, oba pojazdy dowodzone najwyraźniej przez doświadczonych żołnierzy stanęły zwrócone do nas odpornym pancernem czołowym. Nie wyglądało na to, aby któryś z nich miał zamiar wysforować się naprzód, wystawiając na ogień z boku. Zahuczały armaty, Niemcy rozpoczęły ostrzał podejrzanych punktów wzdłuż ulicy. Widać było, że nie mają zamiaru tracić więcej ludzi, niż to będzie konieczne, spokojnie jak na ćwiczeniach zniszczyli dwa balkony i ostrzelali parę okien mogących służyć za stanowiska strzeleckie. Wtedy do akcji ruszyła piechota – żołnierze przemieszczali się tuż pod ścianami ocalałych budynków, asekurując się nawzajem, czasem ostrzeliwując przewencyjnie okna. Ponownie zmelłem w ustach przekleństwo – oddziały skierowane do tłumienia powstania miały różną wartość bojową, my musieliśmy natrafić na żołnierzy frontowych, ekspertów w zakresie walk ulicznych...

Pierwsi Niemcy doszli do czerwonej strefy, oznaczonej przez wywieszoną z okna na trzecim piętrze firanę. Przywarłem do obiektywu lunety, dzięki niej mogłem strzelać celnie na odległość kilometra, zresztą mauser był wyjątkowo udaną i precyzyjną bronią, nawet bez

celownika optycznego. W czasie walk zdobyliśmy trzy karabiny wyborowe, teraz mieliśmy zamiar je wykorzystać.

Rozpoczął „Aleks” krótką, mierzoną serią. Ogień ze zdobycznego MG powalił kilku Niemców. Wstrzymałem oddech i delikatnie nacisnąłem spust. Na bruk upadł żołnierz z dystynkcjami feldfebla, po chwili zaliczyłem kolejne trafienie, tym razem był to kapral. Pozostali przy życiu Niemcy natychmiast schronili się w bramach, rozpoczęli ogień, strzelając w kierunku stanowiska „Aleksa”. Miałem nadzieję, że mój zastępca wycofał się po pierwszej serii, jak się umówiliśmy. Jego odwrót miało osłaniać dwóch snajperów. Nie było sensu walczyć z Niemcami, nie mieliśmy czym. Chodziło tylko o to, by zyskać nieco czasu na oderwanie się od nieprzyjaciela.

Zawył silnik pantery i czołg wyprysnął naprzód, usiłując osłonić rannych żołnierzy. Paru z nich wiło się na ziemi, wzywając głośno pomocy. To był bardzo odważny i równie głupi wyczyn. Błysnęło w jednym z piwnicznych okienek, maszyna z rozerwaną granatem kumulacyjnym wieżą zakręciła się jak bąk, chwilę później stanęła w płomieniach. Właśnie wystrzeliliśmy przedostatni pocisk do piata... Usłyszałem tupot na schodach, do mieszkania, skąd obserwowałem skrzyżowanie, wpadł nieznany mi chudy wyrostek, na oko piętnasto-, szesnastoletni. Zza jego pleców wychynęła zatroskana twarz „Wiery”, dziewczyna obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem, najwyraźniej szukając ran. Po chwili uśmiechnęła się z ulgą.

– Panie kapitanie! – wydyszał posłaniec. – Porucznik „Góral” melduje, że tamci przedarli się przez barykadę na...

Przerwałem mu gwałtownym gestem, zagryzłem wargi – na skrzyżowaniu płonęła pantera, niemieccy sanitariusze ścigali rannych, natarcie wyraźnie się załamało. Cóż z tego, skoro Niemcy mogą obejść nas z flanki. Trudno było mieć pretensje do ludzi „Górala”, robili, co mogli, ale amunicji mieli jeszcze mniej niż my.

– Powiedz porucznikowi, żeby się wycofał do punktu »Delta«. Będzie wiedział, o co chodzi. I podziękuj, że nas zawiadomił o niebezpieczeństwie.

– Wy wygraliście – odparł z goryczą w głosie chłopak. – A my musimy uciekać...

– Nikt z nas nie wygrał, wszyscy przegrywamy. A ja wolę mieć przy sobie „Górala”, który powie mi uczciwie, jak sprawy stoją, niż jakiegoś dupka, który ucieknie bez ostrzeżenia, zostawiając nas na pastwę losu. Mówię poważnie – dodałem, widząc niedowierzający wzrok młodzieńca. – A teraz znikaj, dzieciaku, i pędź do porucznika.

Odpowiedział mi łomot podkutych buciorów na schodach. Smarkacz nosił niemieckie, najwyraźniej zabrane jakiemuś zabitemu buty. Trzeba będzie pchnąć posłańca do „Górala” i w tej sprawie, inaczej Niemcy zastrzelą gówniarza, a może nie tylko jego. Zanim skapitulujemy, rozsądniej będzie się pozbyć elementów niemieckiego ekwipunku.

– Kochany! – przywarła do mnie „Wiera”.

Oddałem uścisk, ale po chwili odsunąłem ją delikatnie.

– Razem z rannymi pójdziesz do szpitala – powiedziałem.

– *Nigdzie nie...*

– *Pójdiesz! – przerwałem jej bezceremonialnie. – To rozkaz. Nie mam zamiaru martwić się jeszcze o ciebie, a w walce nam nie pomożesz.*

– *Jestem pielęgniarką. Mogę...*

– *Pielęgniarką? – parsknąłem niewesołym śmiechem. – Zostały nam dwie rolki bandaża i butelka jodyny. Kogo i czym będziesz opatrywać?! Bardziej przydasz się w szpitalu.*

Zamilkła. Wiedziała, że mam rację, nasze sanitariuszki odesłałem już parę dni temu.

– *Proszę – dodałem ciszej. – Obiecuj mi.*

Opuściła głowę, abym nie dostrzegł łez w jej oczach, wreszcie skinęła potakująco, odwróciła się i wolno odeszła.

– *Będę czekać – zawołała już niewidoczna, piętro niżej. – Choćby nie wiem co, będę na ciebie czekała.*

Mijały sekundy, a ja stałem niezdolny się poruszyć, wsłuchany w cichnący odgłos jej kroków. Nie spotkałem jej nigdy więcej.

* * *

Stojącą w obszernym holu szóstkę starszych ludzi obścapił dziennikarze, nieopodal pracowały dwie kamery. Gdzieś widać było podobne grupki, najwyraźniej przedstawiciele mediów potraktowali zakończenie uroczystości rocznicowych jako sygnał do załatwienia własnych spraw, jednak tutaj, odwrotnie niż w paru innych miejscach, nie przemawiali weterani – ci stali milczący, z wypisaną na twarzach mieszaniną znużenia i niechęci – do obiektywu wdzięczyła się jedynie reporterka.

– Jednym z najbardziej tajemniczych oddziałów biorących udział w powstaniu warszawskim była kompania „Sztylet”. Jej żołnierze wyróżniali się wysoką sprawnością bojową – ich trening nadzorowali przeszkoleni w Anglii cichociemni – i w odróżnieniu od innych, podlegali bezpośrednio Komendzie Głównej Armii Krajowej. W czasie powstania wypełniali rozmaite, często okryte do dziś dnia tajemnicą misje, więcej wiadomo tylko o ostatnim etapie ich walki, kiedy osłaniali odwrót rozbitych grup powstańczych. Przed sobą mamy zastępcę dowódcy kompanii „Sztylet”, wybitnego uczonego, profesora Jana Tomczaka, wychowawcę wielu pokoleń polskich inżynierów. W czasie powstania nosił pseudonim „Aleks” – poinformowała dziennikarka.

Masywnie zbudowany mimo zaawansowanego wieku mężczyzna o rzymskim, arystokratycznym profilu, ubrany w elegancki garnitur i markowy, narzucony na ramiona prochowiec westchnął cierpiętniczo i pochylił się nieco do mikrofonu.

– Przed sobą mamy przede wszystkim dwie sanitariuszki, które przeszły niemal całe powstanie wraz z kompanią „Sztylet” i dwie łączniczki, tuż obok stoi też nasz zaopatrzeniowiec „Pegaz” – powiedział z niemal nieuchwytną ironią, wskazując na

towarzyszące mu kobiety i wysokiego, owiniętego szalikiem mimo względnie ciepłej pogody chudzielca.

– Tak, tak... oczywiście – wybąkała reporterka. – Czy mógłby pan, profesorze, powiedzieć coś na temat swojego udziału w walkach? – zapytała, podsuwając mu mikrofon.

– To było bardzo dawno temu – odparł tamten obojętnie.

– Może jakieś zdarzenie, które wryło się panu w pamięć? A może któraś z pań się wypowie? – nie ustępowała przedstawicielka jednej z największych stacji telewizyjnych. Licząca sobie pod czterdziestkę kobieta w krzykliwym czerwonym kostiumie wyglądała na zdesperowaną.

Odpowiedziało jej milczenie i obojętne spojrzenia.

– Zostań chwilę tutaj, poza zasięgiem kamery – poprosił dziadek.

Anita spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale posłusznie skinęła głową. Starszy pan stanął naprzeciwko obiektywu, za plecami osaczonej przez reporterów szóstki i odchrząknął głośno.

– Może ja opowiem o jednym z powstańczych epizodów z udziałem sierżanta „Aleksa” – zaproponował.

Jak na komendę wszyscy odwrócili się ku niemu, na twarzy opatulonego szalikiem mężczyzny zastygł grymas zdumienia, także towarzyszące profesorowi kobiety wyglądały, jakby zobaczyły ducha, jedynie profesor nie stracił zimnej krwi.

– Już dawno awansowałem na podpułkownika – zauważył.

– Takie tam i awanse – machnął lekceważąco ręką dziadek. – Wracając do sprawy. – Spojrzał prosto w obiektyw ustawionej najbliżej kamery. – Pewnego razu rozeszły się wieści, że jedna z mieszanek Warszawy, jak się należy domyślać – patriotka – ogłosiła, że odda się pierwszemu napotkanemu powstańcowi...

Profesor poczerwieniał jak burak, zacisnął usta. Siwowłosa, stojąca po jego prawicy kobieta zakryła usta dłonią, wyraźnie powstrzymując chichot. Wyglądało, że zna tę historię.

– Pod nieobecność dowódcy oddziału „Sztylet”, który w tym czasie odwiedził ciężko chorego ojca, wydzielono trzy patrole, które ruszyły w kierunku okolicy, skąd pochodził... anons owej patriotki. Jeden z patroli prowadził „Aleks”. Sierżant „Aleks”, wykazując się męstwem, wybitnym opanowaniem rzemiosła wojskowego i ponadprzeciętnymi zdolnościami taktycznymi, jako pierwszy zlokalizował poszukiwany... obiekt i odebrał, ekhmm... nagrodę. Starsze panie śmiały się już otwarcie, spoglądając to na zakłopotaną twarz swojego towarzysza, to na opowiadającego ze swadą dziadka Anity.

– Ale skąd... kim pan... – zaczęła podekscytowana reporterka.

– Bacność! – zakomenderował cicho nazwany „Pegazem” mężczyzna.

Cała szóstka, łącznie z opierającą się na kuli kobietą o bladej, pokrytej siecią delikatnych zmarszczek twarzy, przyjęła pozycję zasadniczą.

– Tylko bez takich bzdur! – warknął z autentyczną złością dziadek. – Zbieramy się – rzucił rozkazująco. – Niedaleko jest taka knajpka...

Ruchem głowy przywołał Anitę, skierował się w stronę wyjścia.

– Proszę pana! – chwyciła go za rękaw ubrana w czerwień reporterka.

Zmierzona lodowatym spojrzeniem odskoczyła, omal się nie przewracając.

– To dowódca kompanii „Sztylet”, „Chirurg” – powiedział, ujmując pod rękę jedną z towarzyszek, profesor.

– „Chirurg”? Skąd ten pseudonim? – spytał jakiś dziennikarz.

– Nie chciałby pan wiedzieć – odburknął profesor, odchodząc. – Naprawdę nie chciałby pan wiedzieć...

Było w jego głosie coś, co zmroziło żurnalistów, odarło ich na chwilę z zawodowej nonszalancji, jakieś leniwe okrucieństwo, niczym echo ryku polującego tygrysa – rozstąpili się bez słowa, przepuszczając wychodzących.

* * *

Maszerowałem w ślad za młodym porucznikiem w okularach, słysząc za plecami rytmiczny tupot żołnierzy kompanii „Sztylet”. A może należałoby rzec – niedobitków kompanii „Sztylet”. Ostatni tydzień kosztował nas tyle, co poprzednie dwa miesiące powstania, zginęło wielu naszych. Zbyt wielu. Niektórzy padli w walce, inni zostali wymordowani wraz z całym personelem polowego szpitala. Gdybym ich tam nie skierował, nie chciał im za wszelką cenę zapewnić bezpieczeństwa... Gdyby...

Prowadzący naszą kolumnę oficer zwolnił, najwyraźniej byliśmy u celu. Wokół rozłożyli się niemieccy żołnierze, stały warty, ale nikt nas nie zaczepiał, tak jakby uprzedzono ich wcześniej, że przybędziemy. Zatrzymaliśmy się przed niepozornym, w żaden sposób nieoznaczonym domkiem – wyglądało, że znowu trafiliśmy na zawodowców, tylko tacy wiedzieli, że lepiej, aby siedziba sztabu niczym się nie wyróżniała...

– Herr Hauptmann. – Porucznik trzasnął obcasami, skłonił się lekko, przepuszczając mnie przodem.

W jego oczach nie dojrzałem nawet cienia urazy, kiedy zaprosił mnie do wejścia. Dowódca tej jednostki, kimkolwiek by był, musiał utrzymywać swoich ludzi w żelaznej dyscyplinie. Tłumiąc powstanie, Niemcy ponieśli ciężkie straty i bywało, że folgowali żądzy zemsty.

Zapukałem energicznie, wszedłem i stanąłem na baczność. Mężczyzna, który podniósł wzrok znad zawalonego mapami sztabowymi stołu, miał szarą, pobrużdżoną od niewyspania twarz i chłodne, niebieskie oczy. Na jego mundurze dostrzegłem dystynkcje pułkownika i Krzyż Rycerski, mignęła mi odznaka za rany i srebrne okucie – znaczy brał udział w walce wręcz... Stałem tak chwilę, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, póki jego oczy nie złagodniały, a na twarzy nie pojawił się uśmiech.

– Georg – powiedział, podchodząc do mnie, obejmując uściskiem silnych ramion. –

Georg, chłopcze...

Jednak znalazłem wujka, a raczej sam się znalazł. Wujek fohann... Nie zapytał, dlaczego krewny pruskich junkrów walczy po drugiej stronie barykady. Być może tego właśnie się spodziewał – ojciec nigdy nie ukrywał, że czuje się Polakiem. A może zainteresował się już wcześniej moimi losami? Wybuch powstania w niewielkim tylko stopniu osłabił skuteczność działania Abwehry. Zresztą większym paradoksem niż mój udział w powstaniu był fakt, że jego likwidacją dowodzi posiadający polskie korzenie ss-Obergruppenfuhrer.

– Odpocznij, zaraz rozlokujemy twoich ludzi, jutro...

Bez trudu wyłuskałem mu pistolet z kabury, odbezpieczyłem.

– I co? Zabijesz jeszcze jednego Szwaba? – zapytał.

W jego głosie nie było strachu, tylko zmęczenie, może smutek.

– Przepraszam, wujku – wyszeptalem, przykładając lufę do skroni.

Sprężył się do skoku, ale przysiągłbym, że nie zdąży, nie dosięgnie broni, nim nacisnę spust. Mimo to poczułem, jak zadany z piekielną siłą cios paraliżuje mi dłoń, fachowy kopniak w nerki posłał mnie na podłogę. Tuż obok z metalicznym stukotem wylądował pistolet. Czyżby ten gówniarz w mundurze porucznika?...

– Musi go pan zrozumieć, pułkowniku – usłyszałem znajomy głos. – Wczoraj dowiedzieliśmy się, że wasi wymordowali rannych i całą obsługę szpitala polowego. Tam była jego... – „Aleks” zawahał się, zawiesił głos, jakby szukając odpowiedniego słowa.

„Aleks”, cholerny, pieprzony „Aleks”! Jakimś cudem przewidział, co się stanie, i zdążył mnie rozbroić. Sięgnąłem po leżącego w kuszącej bliskości waltera, zdołałem nawet dotknąć kolby, kiedy kopnięcie w skroń odesłało mnie w nicość.

** * **

Pierwsza godzina spędzona w jednej z najlepszych warszawskich restauracji upłynęła na wspominkach i wyrzutach kierowanych pod adresem jej dziadka. Anita ze zdumieniem obserwowała, jak starszy pan gęsto się tłumaczy, że przez dłuższy czas nie utrzymywał żadnych kontaktów z przyjaciółmi. Zniknął gdzieś dystans do świata, widać było, że rozmawia z ludźmi, którzy są dla niego ważni. Z rzucanych aluzji i półsłówek zorientowała się, że powodem, a może jednym z powodów, była śmierć jakiejś, zapewne nieobojętnej mu kobiety. Kiedy rozmowa zesła na uroczystości rocznicowe i towarzyszące im zainteresowanie mediów, odezwała się po raz pierwszy, zadając nurtujące ją pytanie:

– Skąd ten pseudonim, „Chirurg”?

Odpowiedziało jej milczenie, wreszcie po niemal niedostrzegalnym geście dziadka odpowiedzi udzielił profesor:

– Kompania „Sztylet” wykonywała wyroki na zdrajcach i zbrodniarzach wojennych, wiele z nich było operacjami bojowymi o znacznym stopniu komplikacji, trzeba było

zneutralizować ochronę, zablokować ewentualny pościg, jednym słowem – ich przygotowanie wymagało chirurgicznej wręcz precyzji. Stąd „Chirurg” jako *nom de guerre* – zakończył.

– A więc te książki o zabijaniu w twoim gabinecie... – zwróciła się do dziadka.

– Mają charakter dramatycznej pamiątki – wszedł jej w słowo starszy mężczyzna. W jego głosie wyraźnie zabrzmiało podszyte kpina znużenie. Zdecydowanie nie miał ochoty na rozwinięcie tematu. – Może odrobinę koniaku? – zaproponował.

Nie czekając na jej decyzję, były zaopatrzeniowiec oddziału wyciągnął z trzymanej pod stołem torby pokrytą kurzem butelkę. Trudno było powiedzieć, jakim cudem udało mu się przemyścić solidne skórzane torbiszczki bez zwracania uwagi personelu. Anita odchrząknęła, niepewnie patrząc na półlitrową, zamkniętą tandetną zakrętką flaszkę.

– To Otard 1795 Extra – zapewnił ochryłym szeptem chudzielec o brzydkiej, niemal końskiej twarzy.

Jako jedyny nie zrzucił grubego płaszcza, szyję nadal miał owiniętą szalikiem.

– To czemu ja piję te szczynty? – zapytał profesor.

Jednym haustem opróżnił koniakówkę i już pustą podsunął wymownym gestem kompanowi. Tamten najpierw nalał Anicie, napełniając wyczarowane skądś naczynie w kształcie tulipana, później zajął się potrzebami kolegi.

– Jest znakomity! – wykrzyknęła ze zdziwieniem Anita, degustując złotorubinowy płyn.

Dziadek machnął ręką, jakby było to czymś oczywistym.

– Podobno poszukujesz sekretarki? – zwrócił się do profesora.

– Owszem, od półtora roku – odburknął tamten. – Albo trafiam na nieuczciwe *excusez le mot* lafiryndy, albo niepotrafiące włączyć komputera idiotki. Jedna nawet próbowała mnie uwieść. – Krzaczaste brwi mężczyzny uniosły się jakby w zdumieniu nad upadkiem świata.

– To musiał być dla ciebie potworny szok – odezwała się z udaną powagą szczupła, siwa kobieta w okularach.

Podobnie jak jej towarzyszki rzadko wtrącała się do dyskusji, choć nie wyglądała bynajmniej na nieśmiałą. Wydawało się raczej, że celowo pozwala mówić mężczyznom, poprzestając na zręcznym sterowaniu rozmową, tak by żaden z nich nie poczuł się pominięty.

– Nie o to chodzi, jednak...

Przerwał mu zbiorowy wybuch śmiechu. Profesor przewrócił wymownie oczyma, ale nie próbował się już tłumaczyć.

– Dlaczego pytasz? – Spojrzał na dawnego dowódcę z zainteresowaniem.

– Moja wnuczka jest wykwalifikowaną sekretarką, przyjechała do mnie na trochę, ale za kilka dni zacznie się rozglądać za pracą – wyjaśnił zapytany obojętnie.

– Dziadku, przecież nie prosiłam cię... – zaczęła zaczerwieniona Anita.

– Nie prosiłaś – przyznał starszy pan. – Może jednak warunki, jakie zaproponuje sierżant Tomczak – zaakcentował złośliwie powstańczy stopień przyjaciela – będą ci odpowiadać. Bo twoja ciotka...

– Więc o tym z nią wtedy rozmawiałeś?

– Chwileczkę – wtrącił się wyraźnie zainteresowany profesor. – Naprawdę zna się pani na komputerach? Potrafi biegle pisać?

– No tak, ale...

– Chodzi o materiały o dużym stopniu poufności. Jerzy, jak myślisz, czy twoja wnuczka podobałaby temu? – zapytał, wyraźnie oczekując opinii.

Starszy pan wzruszył ramionami.

– Jest pilna, uczciwa i umie trzymać język za zębami. Jednak muszę cię uprzedzić, że matka wykorzystuje ją na wszelkie sposoby, a ona nie potrafi się temu przeciwstawić. Gdyby kiedyś wpadła z wizytą, musiałbyś uważać, bo to naprawdę... zła kobieta.

Ostatnie słowa mimo potencjalnie żartobliwej konotacji zasyczały paskudnie, niosąc niewypowiedziane na głos, bynajmniej nie zabawne treści. Anita opuściła głowę, czując jak jedna ze starszych pań dotyka jej dłoni krzepiącym gestem.

– Chybabym sobie jakoś poradził – odparł spokojnym na pozór tonem profesor, ale jego oczy błysnęły gniewnie. – Twoja wnuczka będzie u mnie bezpieczna – zapewnił.

– Ale to jej matka – odezwała się trzymająca ją za rękę kobieta. – Musisz o tym pamiętać, Janku.

– Wezmę to pod uwagę – odparł tamten niechętnie. – Jeśli będzie trzeba.

Jakby na niezauważalny sygnał wszyscy zmienili temat, rozpoczęli niezobowiązującą rozmowę. Kiedy pożegnali się, wymieniając adresami i numerami telefonów, zapadał już zmrok. Co dziwne, mimo iż przez większość czasu Anita nie angażowała się w rozmowę, nie czuła, że przebywa poza nawiasem grupy. Wręcz przeciwnie – miała zastanawiające ze względu na różnicę wieku poczucie wspólnoty z tymi ludźmi. Rozstała się z nimi z żalem, mimochodem przechwytyjąc pełne melancholii spojrzenie dziadka. Starszy pan wyglądał, jakby wiedział, że widzi przyjaciół po raz ostatni.

* * *

Końskie kopyta stukały o bruk, słychać było pokrzykiwania turystów, gdzieś niedaleko uliczna trupa zmagala się z tangiem *Jalousie*. Podobnie jak siedzący obok dziadek, Anita obserwowała z wysokości dorożki kłębiący się na Starym Mieście tłum. Od dłuższej chwili miała wrażenie, że dzieje się coś dziwnego, niemal nierzeczywistego.

– Dziękuję, że mnie poleciłeś profesorowi – powiedziała, ująwszy za rękę starszego pana, ignorując z pewnym wysiłkiem uparte odczucie. – Warunki pracy są znakomite, tylko nie wiem, dlaczego nie chcesz, abym mieszkała u ciebie? Pewnie nie mogłabym się zajmować domem tak jak do tej pory, ale...

– Nie o to chodzi – odparł dziadek. – Byłabyś zawsze mile widzianym gościem, ale ja odchodzę. Wszystko, co miałem, zapisałem tobie i Markowi.

Bijąca z jego głosu pewność zmroziła kobietę.

– O czym ty mówisz?! – Odwróciła się gwałtownie. – Coś ci dolega?

– Nie, ja wracam... – zawahał się – do powstania, do pewnego szpitala. Mam tam sprawę do załatwienia.

Widząc konsternację na twarzy wnuczki, roześmiał się i zatoczył ręką krąg.

– Popatrz uważnie – zachęcił.

Anita potrząsnęła głową, jakby chcąc wybić się ze snu – ucichł uliczny gwar, przy koźle, na którym rozpierał się dorożkarz, pojawił się jakiś numer, błysnęła zawieszona na kołnierzu woźnicy blacha z podobną cyfrą. Wokół majaczyły budynki, ale z pewnością nie było to Stare Miasto. Dorożka zmieniła kolor na jednolicie czarny.

– Co to... Co się dzieje? – wyjąkała.

– Aby przenieść się w przeszłość, powrócić na rozdroże, potrzebny był gadżet, coś, co służy podróżowaniu. Oczywiście nie mógł to być samochód, nic tak nowoczesnego – stąd nasza dzisiejsza wycieczka. Tak prawdopodobnie wyglądały dorożki w dziewiętnastym wieku: te numery identyfikacyjne, blachy, czarny kolor... Może zapamiętała je w takiej postaci jakaś litewska czarownica, która odwiedziła wówczas Warszawę czy jakiegokolwiek większe miasto. Kiedy uwolniłem czar...

– Co zrobiłeś?! Przecież to bzdury, czarów nie ma! Nie można się cofnąć do przeszłości, bo zmieniłoby to teraźniejszość.

– Nie wiem – odparł obojętnym tonem starszy pan. – Nigdy się tym nie interesowałem. Ta... wiedźma tłumaczyła, że Okkas, pan czasu i rozdroży, może obdarzyć człowieka drugą szansą. To nie tak, że teraźniejszość się zmienia. Na to, co już się wydarzyło, nie można wpłynąć w żaden sposób. Jednak można powrócić do pewnego punktu, do rozdroży... Do chwili, kiedy mogliśmy podjąć zupełnie inną decyzję, stworzyć nową rzeczywistość. Tylko tyle. Aż tyle.

– Ale co się stanie z tobą? Znikniesz? Ja nie chcę! Ja... Anita urwała, patrząc na leżącego niemal na siedzeniu z pobielającą twarzą dziadka.

– Raczej nie będę mógł być obecny i tu, i tam – wyszeptał z uśmiechem. – Do zobaczenia...

Ktoś krzyczał, jakiś mężczyzna szorstkim, niecierpliwym tonem strofował gapiów. Słychać było sygnał nadjeżdżającej karetki. Ktoś płakał. Nie wiadomo dlaczego zabłąkany podmuch wiatru przyniósł woń spalenizny i echo karabinowych strzałów.

* * *

Wbiegałem po schodach, skacząc po dwa stopnie. Kiedy wypadłem na korytarz, przetoczyłem się odruchowo, unikając pospiesznie wystrzelonej serii. Nacisnąłem spust, jeszcze leżąc na plecach. Trafiłem – potężne chłopisko w mundurze ss zważyło się na

posadzkę. Zewsząd słycać było strzały i bojowe okrzyki, walka toczyła się w całym szpitalu, od piwnic po trzecie piętro, gdziegdzie dochodziło do starcia wręcz. Przybyliśmy w ostatniej chwili, teraz kompania „Sztylet” starała się wyprzeć z budynku oddział, który rozpoczął właśnie likwidację szpitala.

Pobiegłem dalej, zaglądnąc do każdego pomieszczenia, Wierę” znalazłem w przepelnionej rannymi sali – stała między łózkami blada jak ściana, mały, śmieszny pistolecik, który jej kiedyś podarowałem, trzymała wycelowany w drzwi.

– Kochany! – zawołała, opuszczając broń.

– Zostań tu! – warknąłem, wybiegając ponownie na korytarz.

A więc nie spóźniłem się, jeszcze nie zginęła...

Kątem oka dojrzałem walczącego z którymś z moich ludzi esesmana, kiedy uniosłem broń, poczułem uderzenie w plecy i bark, usłyszałem przeraźliwy krzyk „Wierę”. Wystrzeliłem, zwinąwszy się w ciasnym półobrocie, starając się mierzyć w środek nie wiadomo dlaczego zamazanej sylwetki wroga. Upadłem, intensywna woń pasty do podłogi zdominowała na chwilę wszystkie inne zapachy, nie mogłem unieść głowy. Tuż przed moimi oczyma po kamiennych kafelkach rozlewała się coraz większa plama krwi. Dźwięki walki cichły, dochodziły jak zza ściany, może obroniliśmy szpital? W końcu przyprowadziłem tu kompanię „Sztylet”, dałem radę, zdążyłem...

Anna Kańtoch

Urodzona w Katowicach w roku 1976. Studiowała orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, kierunek: arabistyka. Po studiach wróciła z Krakowa do Katowic, gdzie aktualnie mieszka i pracuje w biurze podróży.

Jako pisarka zadebiutowała w roku 2004 na łamach „Science Fiction”. W tym samym roku wydała swoją pierwszą książkę, *Miasto w zieleni i błękicie*, w której interesująco spłótła wątki kryminalne i fantastyczne z motywami powieści wiktoriańskiej. W latach 2005-2007 ukazały się: *Diabeł na wieży*, zbiór opowiadań o Domenicu Jordanie, oraz *Zabawki diabła*, będące kontynuacją historii Domenica, zafascynowanego magią lekarza, egzorcysty i detektywa. *13. anioł* to powieść, której akcja dzieje się na Ziemi zamieszkałej przez śmiertelników i anioły. Pierwszy tom powieści *Przedksiężycowi*, najnowszego projektu Anny Kańtoch, został w 2009 roku nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdla.

Jej twórczość doceniana jest również za granicą. Na Euroconie 2007 została wyróżniona Encouragement Award.

W kraju – czterokrotnie nominowana, zdobyła Nagrodę im. Janusza A. Zajdla 2008 za opowiadanie *Światy Dantego* z antologii *Epidemie i zarazy*.

**Anna
Kańtoch**

**Duchy w
maszynach**

Część 1

Odkąd umarli przejęli linie kolejowe, pociągi wreszcie przestały się spóźniać. Oczywiście papierowych rozkładów jazdy na dworcu już nie było – część zgniła pod wpływem deszczu, inne zostały podarte przez wiatr albo rozwydrzoną dzieciarnię. Przetrwał jedynie ten nad kasami – białe litery wymalowane na solidnej metalowej płycie. Przez lata mocno zardzewiała, ale wciąż dało się odczytać, że ekspres Marsylia – Rzym (przewóz przesyłek konduktorskich, nie kursuje w dni świąteczne) odjeżdża z peronu drugiego o godzinie osiemnastej zero pięć. Przez dziurawy dach do holu wpadało światło. Dziewięć dziur i dziewięć jaskrawożółtych kolumn, które zmieniały dworzec w pogańską świątynię gruzu, rdzy i pleśni. Ciszę mącił trzepot skrzydeł. Gołębie krążyły pod sufitem, ich pióra w promieniach słońca miały złocistobiały kolor.

Noel zerknął na wiszący nad wejściem zegar. Gdy zielona jedyńka zmieniła się w dwójkę, wzdłuż kręgosłupa przebiegły mu ciarki. Czym prędzej odwrócił wzrok.

Trzy minuty do odjazdu. Powinien się spieszyć.

Gdy przechodził przez hol, chmury zakryły słońce, a Noel omal nie potknął się o coś, co niegdyś musiało być wózkiem bagażowym. Zaklął i jak na zawołanie zapaliła się wisząca u sufitu żarówka. Zamrugła, zgasła, po czym na powrót rozjarzyła się sinawym blaskiem.

Ścigany strachem, przyspieszył kroku. Minał McDonalda, gdzie na plastikowych stolikach zalegała gruba warstwa kurzu, potem rząd kas z powybijanymi szybami. W jednej z nich, mrucząc cicho, pracował komputer. Na ekranie spod brudu połyskiwały zielone rzędy cyfr i liter. Ceny biletów, które nikomu już nie były potrzebne, kursy do miejscowości, gdzie nikt nie jeździł.

Wbiegł na peron dokładnie w chwili, gdy ekspres hamował z przeraźliwym zgrzytem. Noel nerwowo przełknął ślinę. Krew na jego policzkach zdążyła już zaschnąć i teraz nieprzyjemnie ściągała skórę. Zaprzagnął zawrócić, zmyć znaki ochronne, a potem... potem...

Wiedział, że nie ma do czego wracać. Nie istniało takie miejsce, w którym byłby bezpieczny, więc równie dobrze mógł wsiąść do pociągu.

* * *

Z trudem znalazł przedział, gdzie w oknie była cała szyba. Jedno z siedzeń zostało pocięte nożem – głębokie rysy ciągnęły się po sztucznej skórze, a kłęby włosia leżały na podłodze. Drugie na szczęście ocalało. Noel oczyścił je trochę z kurzu i usiadł z ulgą.

Ekspres ruszył. Koła postukiwały rażno, lampka nad drzwiami świeciła, rozprasząc

półmrok. W jej blasku Noel widział upstrzone ciemnymi plamami lustro, napis „Z...az pal...eni...” oraz tabliczki z numerami siedzeń, z których trzy dało się jeszcze odczytać.

Wstał i otworzył czarne od brudu okno. Do przedziału wtargnął łagodny, czerwono-złoty zmierzch. Lato konało powoli i z godnością, dni były jeszcze ciepłe, wieczory całkiem długie, a w powietrzu unosiła się woń palonych traw.

Mijali właśnie miasto, Noel nie potrafił nawet powiedzieć jakie. Gmachy opuszczonych wieżowców godziły w niebo, ulice tarasowały zardzewiałe wraki. Przy jednym z nich stała mała dziewczynka, której za sukienkę służył męski podkoszulek przewiązany w pasie sznurkiem. Uniosła rękę i pomachała Noelowi, a on odpowiedział tym samym gestem.

Na drodze za miastem wraków było znacznie mniej. Owszem, wciąż rdzewiały na poboczu, ale środek pozostał przejezdny. I właśnie środkiem wolno posuwał się ogromny samochód z zapalonymi światłami. Za kierownicą nikt nie siedział, reszta siedzeń także była pusta. Noel pośpiesznie cofnął się od okna, a potem dla pewności zasunął szybę. Niemądry odruch – gdyby umarli mieli go zobaczyć, zobaczyliby już dawno, bo w pociągu musiało ich być sporo.

Zastanowił się, czy prócz niego jedzie ekspresem ktoś żywy. Możliwe, choć mało prawdopodobne, uznał. Większość ludzi niechętnie podróżowała koleją, mimo że umarli rzadko czynili żywym krzywdę.

Rzecz jasna, Noel stanowił wyjątek od tej reguły.

Wyciągnął się na siedzeniu, czując, jak opada z niego napięcie. Wyjął z kieszeni starą, w wielu miejscach poprzecieraną mapę Rzymu, którą kupił na targu za grosze, i studiował ją przez chwilę, jednak zmęczenie powoli brało górę. Nic dziwnego, skoro od rana był w drodze, a zeszłej nocy spał może z pół godziny.

Nie powinienem zasypiać, myślał. Nie... powinienem...

Śnił mu się szaman, który smarował jego twarz krwią świeżo zarżniętego kurczaka. Trzy znaki ochronne: jeden na czole i dwa na policzkach.

Pierwszy, żeby umarli go nie zobaczyli, drugi, żeby nie usłyszeli, i trzeci, by nie wyczuli jego zapachu.

* * *

Otworzył oczy i usiadł, zdjęty nagłym lękiem, który zawsze towarzyszył mu przy przebudzeniu. Lęk, że kiedy spał, wydarzyło się coś strasznego, że wreszcie go dopadli albo za chwilę dopadną.

Pod powiekami miał obraz pociągu, który wypadł z torów i teraz szybuje w mroku na spotkanie ziemi. Potem zgrzyt miazdżonego metalu i szybka śmierć albo długa agonía.

Lęk przed tym, że umrze i stanie się jednym z nich.

Siedział przez chwilę nieruchomo, wsłuchując się w stukot kół. Jego skórę pokrywał

zimny pot, a serce uspokajało się bardzo powoli. Był taki czas niegdyś, przed laty, gdy po przebudzeniu dochodził do siebie w parę sekund. Teraz zajmowało mu to kilka minut.

Schylił się po mapę, która spadła na podłogę, po czym wstał i spojrzął w lustro – na szczęście znaki na jego twarzy pozostały nienaruszone. Poczul się lepiej, choć oczywiście nie oznaczało to wcale, że jest całkowicie bezpieczny. Ktoś mógł zdradzić, a umarli mogli się domyślić, że będzie jechał tym pociągiem.

I nowy przypływ lęku: czy przegapił stację, do której zmierzał? Nie, niemożliwe. Za oknem dopiero szarzało, a w Rzymie powinien być koło południa.

Lustro odbiło wyraz ulgi na jego twarzy. Przeczesał palcami jasne włosy i posłał samemu sobie niepewny uśmiech. W wieku trzydziestu czterech lat wciąż wyglądał bardzo młodo, nieledwie dziecinnie. Już kilka razy ocaliło mu to życie, gdyż zabójcy wahali się, widząc kogoś tak niewinnego. Co prawda zrezygnował tylko jeden, a reszta po chwili zaskoczenia próbowała robić swoje, lecz Noelowi nawet ułamek sekundy wystarczył, by zorientować się w sytuacji i odeprzeć atak.

Wrócił na siedzenie z mocnym postanowieniem, że nie zaśnie. Udało mu się i gdy w skwarze nowego dnia pociąg wjeżdżał do Rzymu, mężczyzna wyglądał przez okno – blade i z podkrążonymi oczami, ale gotów stawić czoła wszystkiemu i wszystkim. Nawet umarłym.

* * *

Stojąca na peronie kobieta nie wyglądała na martwą.

To była pierwsza rzecz, na jaką ludzie zwracali uwagę, spotykając kogoś nieznanego – nie czy jest brzydki, czy ładny; nie czy budzi zaufanie, czy też wręcz przeciwnie. Najważniejsze pytanie brzmiało, czy nieznanomy jeszcze żyje.

Kobieta miała rumieńce, a jej oczy błyszczały, więc Noel zbliżył się ostrożnie. Gdy chwyciła go za ramię, uścisk cieplej dłoni rozwiął ostatnie wątpliwości.

– Noel, mam rację, prawda? Ja się nazywam Renata. Czekałam tu na pana... Nie gniewa się pan?

Cofnęła rękę, przerażona własną śmiałością, a potem zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Ze zmieszaniem było jej do twarzy, w dodatku miała szerokie biodra, wąską talię i duże, ciężkie piersi. Ulubiony typ urody Noela.

Z trudem oderwał wzrok od jej dekoltu, który kusząco opinała sukienka z kolorowych gałganków. Przez chwilę Noel miał ochotę zapytać, skąd wiedziała o jego przyjeździe, ale dał sobie spokój. Większość dorosłego życia spędził w podróży i wiedział już, że odpowiedzi w takich sytuacjach są zdumiewająco do siebie podobne: przyjaciel przyjaciela czy znajomy znajomego, ryzyko kontaktu przez telefon, litość i tragedia...

To zawsze była tragedia.

– Nie gniewa się pan? – powtórzyła. Uśmiech na jej twarzy był coraz bardziej

wymuszony, w oczach narastał lęk. – Wiem, że pan woli podróżować nierozpoznany, ale moja córka, och, proszę, moja mała córeczka... To nie zajmie dużo czasu, proszę...

Wciąż jeszcze mówiła spokojnie i nie zapominała tytułować go „panem”, lecz Noel wiedział doskonale, że jeśli odmówi, Renata uklęknie przed nim na brudnym peronie, obejmie za kolana, a potem zacznie wyć i błagać, i znowu wyć, a pod koniec w jej głosie nie będzie niczego poza bólem stworzenia, któremu odebrano ostatnią nadzieję.

– Nie gniewam się – odpowiedział, pocierając dłonią skronie. A potem dodał, nim znów rozpoczęła swoją litanię: – I pomogę twojej córce.

* * *

Poprowadziła go cichymi, obumarłymi ulicami aż do cichej, obumarłej kamienicy. A potem do środka, w głąb chłodnej klatki schodowej, gdzie na ścianach rósł gąbczasty grzyb i czuć było zgnilizną. Drewniane stopnie poskrzypywały, gdy w półmroku wspinali się na trzecie piętro. Renata szła pierwsza, a Noel nie mógł oderwać wzroku od jej bioder, łagodnie falujących pod sukienką. Myślał o tym, jak by to było, gdyby położył się z tą kobietą na świeżo wykrochmalonym prześcieradle, kochał się z nią, a potem zasnął z głową na jej piersiach. Spałby całą noc, choć raz spokojny i bezpieczny, a później otworzyłyby oczy i ona wciąż byłaby przy nim.

Być może.

Jestem zmęczony, pomyślał, po raz kolejny pocierając dłonią czoło. Głowa jeszcze go nie bolała, ale charakterystyczny ucisk zapowiadał, że wkrótce zacznie się migrena.

– To tutaj. – Wyciągnęła klucz z kieszeni swojej wielobarwnej gałgankowej sukienki.

Sukienka była brudna, nie zwyczajnie zszarzała i poplamiona, lecz niemal czarna.

Zauważył to dopiero teraz, wcześniej za bardzo był zajęty gapieniem się na biodra kobiety. Nic dziwnego, pomyślał, przecież Renata czekała na peronie pośród gruzu i kurzu. Ja wyglądam dokładnie tak samo.

Tak, ale ja spędziłem całą noc w pociągu, a ona tylko przyszła na dworzec, odezwała się bardziej trzeźwą część jego umysłu.

Renata włożyła klucz do zamka i przekręciła.

Mieszkanie było niewielkie i bardzo zagracone. Kawałki kolorowych materiałów, ozdobne puzderka, szklane śniegowe kule, świeczniki, wazoniki, książki i komiksy – wszystko to leżało na stole, krzesłach, nawet na podłodze. Część rzeczy była w niezłym stanie, inne wyglądały na rupiecie.

Na stole stał też telefon. Zwyczajny szary aparat, od którego odchodził kabel z wtyczką zwisającą luźno na końcu.

Spojrzeli na niego równocześnie, ona i on. Mężczyzna pospiesznie odwrócił wzrok, a kobieta pobladła gwałtownie. Przez chwilę jej usta poruszały się w milczeniu, dłonie

bezsensownie szarpały sukienkę.

– Czy chciałby pan... – wydusiła wreszcie. – Czy chciałby pan umyć się po podróży? Przygotuję w tym czasie coś do jedzenia.

Skinął głową. Przez uchylone drzwi widział drugi pokój, w którym stało łóżko. A na nim... kształt pod kocem, bardzo cichy i bardzo nieruchomy.

– Potem – dodała, podążając za jego wzrokiem – pomoże pan mojej córeczce...

W łazience sięgnęła po wiadro wody i ostrożnie przelała ją do emaliowanej miski, która pełniła rolę umywalki. Obok stała wanna po brzegi wypełniona dziecinnymi zabawkami. Noel posłał w ich stronę roztargniony, smutny uśmiech, po czym zdjął koszulę i chwycił mydło. Chłodna woda koła zmęczone mięśnie, rozjaśniała umysł. Zamknął oczy. Wiedział, że Renata stoi w progu i patrzy.

Nie przeszkadzało mu to.

Po chwili usłyszał dźwięk oddalających się kroków, a potem odgłosy kuchennej krzątaniny. Otwieranie szafek, brzęk kubków i talerzy – wszystko trochę zbyt głośne, trochę zbyt ostentacyjne.

Na palcach przeszedł do pokoju, w którym stało łóżko. Rysujący się pod kocem kształt miał wielkość dziesięcio-, może dwunastoletniego dziecka. Noel ostrożnie uniósł przykrycie.

To rzeczywiście było dziecko dziesięcio – albo dwunastoletnie. Miało na sobie sukienkę, więc wywnioskował, że to dziewczynka. Z wyschniętych i poczerniałych rysów twarzy nie dało się tego poznać. Noel wyciągnął dłoń i dotknął resztek jasnych włosów, a potem położył kódrę i cicho wrócił do łazienki.

Renata przyszła chwilę później. Stała za jego plecami, objęła go w pasie jedną ręką i przytuliła się. Jej ciało było miękkie i ciepłe. Jestem zmęczony, pomyślał. Tak łatwo byłoby pozwolić jej zrobić to, co zamierzała.

Odwrócił się powoli, podczas gdy ona próbowała go powstrzymać. Nie chciała patrzeć mu w twarz; bezustannie uciekała wzrokiem, a drugą rękę chowała za plecami.

Szarpnął ją, zakręcił jak dziecinną kukielką i chwycił nadgarstek drugiej ręki. Tej, w której trzymała nóż.

– Nie – jęknęła. – Och, nie.

Jej rysy wykrzywił ból, strach i złość. Walczyła z całych sił, ale Noel, choć niewysoki i drobny, mięśnie miał dobrze wytrenowane.

Nóż z brękiem upadł na podłogę, Renata obwisła w jego ramionach i rozplakała się. Podtrzymywał jej miękkie, ciepłe ciało, szeptał jakieś bezsensowne słowa i pozwalał, by szlochała z czołem opartym na jego piersi. Nie potrafił się na nią gniewać, czuł tylko ciężar gorzkiego smutku.

I zmęczenie.

Zadzwonił telefon, a Renata momentalnie ucichła i zeszywniała.

Jeden terkotliwy dźwięk, potem drugi. I znowu. Żadne z nich się nie poruszyło, ani nawet

głośniej nie odetchnęło.

Telefon dzwonił i dzwonił.

Kobieta wyprostowała się, Noel wypuścił ją z objęć i podszedł do aparatu. Podniósł słuchawkę.

– Mama? – głos był chrapliwy, brudny, jakby ktoś próbował mówić z gardłem pełnym ziemi. W tle Noel słyszał głuchy pogłos, który kojarzył mu się z długimi, ciemnymi tunelami, przez które mkną puste pociągi.

Milczał.

Dziecko po drugiej stronie linii zachichotało.

– To nie mama, tylko pan Noel, prawda? A więc się nie udało. Szkoda. Ale zdaje pan sobie sprawę, że my i tak wygramy?

Uderzył w widełki i przerwał połączenie.

Renata stała w progu, patrząc na niego wielkimi, zapadniętymi w głąb czaszki oczami. Rumieńce zniknęły – gdyby teraz ujrzał ją po raz pierwszy, być może uznałby, że kobieta nie żyje. W pewnym sensie to była prawda. Serce Renaty pompowało krew, ale ona sama zmarła w chwili, gdy straciła nadzieję.

– Miała na imię Eliana – powiedziała. – Moje dziecko, moja mała księżniczka. W lipcu skończyłaby jedenaście lat.

Czekał cierpliwie.

– Zatrucie, ponad pół roku temu. Odeszła szybko, w ciągu jednej nocy. Jak zdusić palcami płomień. Bóg dał, Bóg zabrał, tak kiedyś mówiono. Gdyby pan był tu wtedy...

Gdyby – odwieczna zmora wszystkich, którzy kogoś stracili. Noel nienawidził tego krótkiego słówka. Gdyby był tu pół roku temu, mógłby pomóc Elianie. Teraz było o wiele za późno.

– Myślałam, żeby do niej dołączyć, kiedy ona... ona...

– Odezwała się do ciebie – odpowiedział.

– Tak. – Przelotny uśmiech ożywił jej rysy, a kiedy zniknął, kobieta wydawała się jeszcze bardziej blada i wyczerpana. – Odezwała się do mnie. Powiedziała, że wróci, jeśli coś dla niej zrobię...

– Oni nigdy nie wracają – powiedział łagodnie. – Powinnaś to wiedzieć.

Wzruszyła ramionami. Wiedziała, ale jak wszystkie matki sądziła, że jej córka będzie tym jednym jedynym wyjątkiem.

– Powiedziała, że znów będzie jak dawniej, że będziemy razem mieszkać i... i... – zająknęła się.

– Skąd wiedzieli, że będę w tym właśnie pociągu?

– Nie znali konkretnej godziny, ani nawet daty, wiedzieli tylko tyle, że przyjedzie pan pod koniec miesiąca. Dwa dni koczowałam na dworcu, miałam tam koc, wodę i puszki z jedzeniem...

Stąd ta brudna sukienka, pomyślał, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. W takich chwilach czepiał się najgłupszych drobiazgów.

– Kto... – odchrząknął, czując, że ścisła mu się gardło. – Kto mnie zdradził?

– Nie wiem, naprawdę. Miałam tylko... – Bezradnym, dziecinnym gestem uniosła dłoń do ust, a potem potrząsnęła głową. Budziła współczucie i może to w tym wszystkim było najgorsze. – Wie pan, co miałam zrobić.

Nie odpowiedział, odsunął się tylko pół kroku. Omal nie zginął, omal nie zginął, powtarzał w myślach bezsensownie. Miał zawroty głowy i czuł, że zaczyna się dusić. Zawsze tak reagował – w chwili zagrożenia potrafił zachować spokój, ale zaraz potem przychodziła panika.

Renata uszczypnęła się w policzek, a potem w dolną wargę. Mocno, aż skóra zmieniła kolor na czerwony, a z wargi pociekła krew. Jej oczy błędziły po pokoju, nie dostrzegając Noela. Pozornie wyglądały na puste, ale głęboko na dnie wciąż tliła się iskierka świadomości. Niemal widział trybiki obracające się w mózgu kobiety. Wiedział, że jej umysł zмага się w tej chwili sam ze sobą, podejmując decyzję.

Jeszcze jeden krok w tył. I drugi. Powoli, nie spuszczać z niej wzroku.

– Mogło mi się udać – powiedziała cicho. – Mogłam odzyskać moją córkę.

Wytarła krew, rozmazując ją po całej twarzy. Jej oczy już nie sprawiały wrażenia pustych. Teraz było w nich szaleństwo.

– Gdyby nie pan...

Nie czekał na dalszy ciąg. Gdy był już blisko drzwi, po prostu odwrócił się i uciekł, w półmroku przeskakując po kilka stopni naraz. Za plecami słyszał wrzaski Renaty, coraz mniej artykułowane i ludzkie.

Wypadł na ulicę i pędził nią, wymijając zardzewiałe wraki samochodów. Nie miał pojęcia, dokąd biegnie, po prostu skręcał na chybił trafił, aż poczuł, że żar rozsadza mu płuca i nie jest w stanie zrobić ani jednego kroku więcej. Wtedy się zatrzymał, rozpaczliwie łapiąc powietrze, a potem, wciąż zgięty wpół, wszedł w ciemną bramę i znalazł tam najciemniejszy kąt. Usiadł z plecami przyciśniętymi do brudnej ściany, po czym podciągnął kolana pod brodę. I zaczął płakać – najpierw cicho, bo brakowało mu tchu, a później coraz głośniejsze. Jak zawsze doznał przedziwnego uczucia rozdwojenia – rozsądny Noel obserwował go z zewnątrz, tłumacząc, żeby wziął się w garść, bo w chwili takiej słabości ktoś go kiedyś zabije, podczas gdy Noel nierozsądny szlochał i przeklinał, wołając, że już dość, że lepiej umrzeć, niż znosić to dzień po dniu, w końcu wszyscy umrą, on też, co za różnica, wcześniej czy później, i tak dołączy do nich i oni wygrają, wygrają, wygrają...

Długo trwało, zanim się uspokoił, o wiele za długo, by mógł sobie na to pozwolić. Jednak nie potrafił inaczej – nerwy miał coraz bardziej zszargane, coraz gorzej i krócej sypiał, a w sytuacji zagrożenia trudniej było zdobyć się na reakcję. Już wkrótce nadejdzie dzień, gdy sparaliżuje go strach, i wtedy ktoś wbije mu nóż w plecy albo... albo...

Albo uda mu się jeszcze raz, a potem jego umysł podejmie decyzję i Noel zmieni się w pochlipujący strzęp człowieka. Istniała i taka możliwość.

Wstał, poszukał w kieszeni kawałka szmatki, w który wysmarkał nos. Gardło miał obolałe od krzyków, czuł się słaby jak szczenię i chciało mu się pić. Przynajmniej z tym ostatnim mógł coś zrobić. Pora poszukać wody, a potem czegoś do jedzenia.

Wyszedł na ulicę. Światło zakłuło go pod powiekami, zamrugał więc, czekając, aż ból minie. Która mogła być godzina? Pewnie koło czwartej albo piątej po południu, zdecydował. W jego rodzinnych stronach o tej porze czułoby się już chłód, ale tu nic nie świadczyło o bliskości wieczoru – może tylko fakt, że słoneczne promienie nabrały głębszej, niemal miodowej barwy.

Zdjął koszulę i przetarł spocony kark. Ulica, na której stał, była szeroka, a po jednej i drugiej stronie wznosiły się kilkupiętrowe kamienice. Szare od brudu i poobtłukiwane, mimo wszystko miały w sobie piękno i jakąś niesamowitą godność. Muszą być bardzo stare, pomyślał z szacunkiem, patrząc w ślepe oczy posągu, który stał przy jednej z bram.

Potem ruszył przed siebie. Wyglądało na to, że idzie w dobrym kierunku, bo wraki samochodów zabezpieczono tu barykadami z gruzu i połamanych mebli, co świadczyło, że gdzieś w okolicy mieszkają ludzie.

* * *

Ludzi nie było. Miasto stawało się coraz piękniejsze: świątynie jak ze snu (bo budynki tak wielkie i bogato zdobione musiały być świątyniami), posągi (niemal nienaruszone, niemal żywe) i fontanny – o tak, także fontanny – i choć w żadnej z nich nie było ani kropli wody, to Noelowi na ich widok ścisnęło się serce.

Jednak ludzi nie było. Opustoszały Rzym zastygł w miodowym blasku jak mucha w bursztynie.

Noelowi coraz bardziej dokuczało pragnienie. Zdawało mu się, że z wybitych okien wszystkich tych pięknych budowli obserwują go umarli. Obserwują i czekają, aż osłabnie na tyle, by upaść.

A może wcale mu się nie zdawało?

Dotarł na olbrzymi, otoczony kolumnami plac i usiadł przy jednej z fontann. Przed sobą miał kolejną świątynię. Nie chciał na nią patrzeć, ale patrzył. Gdyby zostało mu jeszcze trochę łez, pewnie rozplakałby się z żalu i zachwyty jednocześnie.

Odwrócił się, słysząc odgłos kroków. Ktoś nadchodził z zachodu, a jego sylwetka na tle czerwieni słońca była czarna jak drzazga wetknięta w płomień. Noel zamrugał i złudzenie znikło – szedł ku niemu krzepki, siwowłosy mężczyzna. Prawdopodobnie żywy.

– Nie musisz się mnie bać – powiedział starzec, odgadując jego myśli. – Zresztą tutaj umarli i tak nie mogliby zrobić ci krzywdy.

Usiadł obok i podał mu manierkę. Pijąc, Noel pomyślał, że to chyba najśłodsza i najczystsza woda, jakiej próbował w życiu.

– Dziękuję.

Siwowłosy powiedział cicho kilka słów, których Noel nie dosłyszał, poprosił więc o powtórzenie.

– Bazylika Świętego Piotra. Przynajmniej kiedyś tak się nazywała. Ojciec przekazał mi tę nazwę, a jemu z kolei jego ojciec. Ładnie, prawda?

Noel skinął głową i napił się jeszcze wody.

– Dobrze mówisz naszym językiem – pochwalił nieznajomy. – Byłeś już kiedyś w Rzymie?

– Nie, ale byłem na północy, w Bolonii i Rawennie. Podróżuję od dwudziestu lat i znam kilkanaście różnych języków.

Siwowłosy wrócił spojrzeniem do bazyliki.

– Jest piękna – powiedział. – Martwa, ale piękna. Co ty na to? Zgadzasz się, że coś, co martwe, może być także piękne?

Noel wzdrygnął się. Starzec zauważył to i zachichotał.

– Wiem, kim jesteś, przyjacielu. Do mnie możesz mówić Elisha. Nie tak nazwała mnie świętej pamięci matka, ale mojego prawdziwego imienia i tak nikt już nie używa. Chodź, nakarmię cię i dam ci do picia coś lepszego niż woda.

* * *

Borgo Santo Spirito, Via del Gianicolo, Via Acciaioli – Elisha wymieniał nazwy ulic, którymi szli. Słowa obcego języka pieściły ucho, były pełne, okrągłe i ciepłe niczym zastygłe krople słońca.

Mrok zgęstniał już tak bardzo, że gdyby Noel wyciągnął rękę, nie mógłby dostrzec własnych palców. Wtedy zaczęły zapalać się światła – w zakurzonych biurach, zrujnowanych sklepach i pomieszczeniach, o których przeznaczeniu dawno zapomniano. Najpierw daleko, na początku Via Acciaioli, potem coraz bliżej. Fala jasności pełzła wzdłuż ulicy, a Noel z trudem opanował chęć ucieczki. Przymknął oczy. Blask dopadł go i pochłonał, obrysował kontury i wyostrzył rysy zmęczonej twarzy.

Z jednego z mieszkań dobiegły dźwięki muzyki, a Noel przyspieszył kroku. Nie zrobią mi krzywdy, tłumaczył sobie, tu są tylko żarówki, które mogą zapalać, i płyty, które mogą puszczać. Żadnych samochodów z elektrycznymi silnikami, nic niebezpiecznego.

Mimo to szedł coraz szybciej.

– Skąd wiedzieliście, że przyjadę? – zapytał, by zająć czymś myśli.

Spodziewał się standardowej odpowiedzi, lecz tym razem został zaskoczony.

– Od naszego szamana. Jest dobry nie tylko w opanowywaniu duchów. Czasem widzi

różne rzeczy, takie, które się zdarzyły albo zdarzą. Powiedział mi, że będziesz dziś wieczorem przy San Pietro, a nawet że wcześniej zdarzy ci się coś złego. Zdarzyło się?

– Tak.

– Co takiego?

– Spotkałem kobietę, która mnie oszukała i próbowała zabić. Ładna, ciemnowłosa, twierdziła, że ma na imię Renata. Znasz ją?

– Trochę. To dziwaczka, która zawsze wolała trzymać się na uboczu. A od kiedy umarła jej córka, prawie w ogóle przestała się u nas pokazywać, czasem tylko na targ przychodzi. Miałaś pecha.

– Ktoś musiał zdradzić moje plany.

– Ktoś bliski?

– Nie, chyba nie – odparł niepewnie. Wcześniej się nad tym nie zastanawiał. – Ktoś taki wiedziałby nie tylko, że się wybieram do Rzymu, ale też którym pociągiem pojedę. Gdyby zdradził mnie przyjaciel, duchy wykoleiłyby pociąg. Kilku byłoby im żal, ale jeden pewnie by poświęcił.

– To dobrze – skomentował Elisha, a potem dodał pośpiesznie: – To znaczy dobrze, że to nie był nikt bliski. Zdrada bliskich osób boli najbardziej.

Noel odwrócił się tylko po to, by zobaczyć, że twarz starca jest uśmiechnięta i doskonale niewinna.

– Tobie też nie mam powodu ufać – powiedział z powątpiewaniem.

– Nie masz – potwierdził Elisha. – Tak naprawdę w twojej sytuacji nie powinieneś ufać nikomu. Ale przecież nie możesz unikać ludzi, bo twój dar opiera się na pomaganiu im. A żeby pomóc, trzeba też zaufać.

* * *

Sypialnia Elishy umeblowana była bardzo skromnie – koślawy stół, kilka krzeseł, na których piętrzył się stos byle jak rzuconych ubrań, i skrzynia pod ścianą. Rolę łóżek pełniły dwa niezbyt czyste materace. Noel usiadł na jednym z nich, odsuwając kłęb koców.

– Pewnie jesteś głodny... – Elisha uniósł wieko skrzyni. – Mam chleb, ser, parę jabłek, suszoną szynkę, a nawet trochę kawy, musielibyśmy tylko wyjść na zewnątrz, żeby ją zagotować...

– Wystarczy chleb i ser, dziękuję. – Noel uwielbiał kawę, lecz matka przestrzegła go, że w tym gorzkim napoju bardzo łatwo rozpuścić truciznę.

Podszedł do okna. Wzdłuż ulicy płonęły ogniska: sześć, siedem, może nawet więcej. Skupieni wokół nich ludzie piekli mięso i śmiali się radośnie. Żywi mieszkali w domach zbudowanych przed Katastrofą, lecz elektryczne czajniki i kuchenki mikrofalowe potrafili uruchomić tylko umarli, aby więc przygotować coś ciepłego do jedzenia, trzeba było wyjść na

zewnątrz i rozpać ogień – latem pod gołym niebem, a zimą w specjalnie przygotowanej dużej sali. Wszędzie tak to wyglądało.

Noel przymknął oczy, przywołując wspomnienia z dzieciństwa: za oknem deszcz, a on, jego matka i mnóstwo innych osób grzeją się w ciepłe płomieni. Nikt nie chce wracać do domu, bo tam czeka na nich zimno i wilgoć. Opowiadają więc sobie historie i żarty, a potem zasypiają przy ognisku, ramię przy ramieniu, głowa przy głowie.

– Chcesz do nich iść? – głos Elishy wyrwał go z zamyślenia.

– Nie chcę. Jestem zmęczony. Zjem tylko i położę się spać. Nie masz nic przeciwko?

Starzec wzruszył ramionami.

– Dlaczego miałbym mieć?

Noel w zamyśleniu gryzł kawałek koziego sera. Smakował dziwnie. Trucizna czy jakieś nieznanie zioła? – zastanowił się przelotnie mężczyzna, ale był zbyt wyczerpany, by poważnie rozważyć tę kwestię.

Jak to powiedział jego nowy znajomy? Żeby pomóc, trzeba też zaufać.

– Nie zajmujesz się mną z czystego altruizmu, prawda? – zapytał, wyciągając się na materacu. – Chcesz, żebym komuś pomógł?

– Tak, chcę. To matka jednego z moich przyjaciół. Ale jej czas jeszcze nie nadszedł, więc śpij spokojnie.

* * *

Noel nie spał spokojnie. Otwierał oczy za każdym razem, gdy Elisha przekręcał się na swoim posłaniu, nasłuchiwał przez chwilę, a potem z powrotem zapadał w płytki pół sen, pół jawę, gdzie odgłosy nocy zlewały się z majakami.

Śmiech, tupot stóp obutych w lekkie sandały, przenikliwy gwizd gdzieś na ulicy. Polowanie rozpoczęte, ktoś Noela ściga, a on nie może uciekać, nogi ma miękkie jak z gumy, brakuje tchu, zaraz go dopadną...

To tylko zły sen, powtarza świadoma, czuwająca częśćka jego umysłu.

Usnął na dobre dopiero tuż przed świtem.

Nie na długo.

Ktoś pochylił się nad nim i szarpnął za ramię.

– Hej, to ja... – wymruczał Elisha. – Zrobisz mi krzywdę, jeśli będziesz tak machał rękami.

Zawstydzony Noel opuścił dłonie. W głowie czuł tępy, pulsujący ból, a w całym ciele pustkę, jaką pozostawiły umykające koszmary.

Przetarł oczy. W drzwiach stał jakiś mężczyzna, jego potężna sylwetka odcinała się czernią od mroku nocy.

– To właśnie mój przyjaciel – tłumaczył cierpliwie Elisha. – Dante Benedetti. Na jego

matkę przyszedł czas. Pomożesz?

* * *

Na wschodzie niebo pękło i w kożuchu kłębiastych cumulusów powstała różowo-złota szczelina, przez którą wlewał się blask nowego dnia. Starczyło go, by podświetlić najbliższe chmury, ale mroku już nie zdołał rozproszyć.

Noel nie miał pojęcia, jak Benedetti odnajduje drogę, i niezbyt go to obchodziło. Po prostu trzymał się tuż za nim, starając się nie tracić z oczu szerokich pleców przewodnika. Jako ostatni szedł Elisha, od czasu do czasu przeklinając, gdy w ciemności potknął się o nierówność chodnika.

A jeszcze dalej gromadzili się umarli.

Noel wyczuwał ich wściekłość, gorycz i nienawiść. Mieszanka uczuć, która jeżyła włosy na karku i sprawiała, że w serce wpełzał lodowaty chłód.

Benedetti poprowadził ich do mieszkania na parterze. W dużym pokoju na wygodnym i zarzuconym poduszkami łóżku leżała stara kobieta. Martwa kobieta.

Zebrana wokół rodzina spojrzała z nadzieją na Noela.

– Skonała przed półgodziną – powiedziała dwudziestokilkuletnia dziewczyna. – Może jej pan pomóc?

– Tak, ale chcę zostać z nią sam.

Wychodzili powoli, ociągając się i popatrując na niego niepewnie.

Po chwili w pokoju został tylko on i zmarła. Ta na łóżku, blada i nieruchoma, i ta skulona w kącie, duch o wykrzywionej złością twarzy.

– Nawet nie próbuj! – parsknęła. – Jeśli to zrobisz, dopadniemy cię, rozerwiemy na strzępy i będziemy zlizywać twoją krew, a ty będziesz umierał długo i długo...

– Nie jesteś teraz sobą – powiedział Noel spokojnie. – Jeszcze mi podziękujesz.

Nie zwracając uwagi na jej wrzaski, zbliżył się do zwłok i położył dłonie na stygnącej piersi. A potem po prostu nacisnął, łagodnie i powoli, czując, jak zgromadzona w nim energia przelewa się w ciało staruszki, jak wypełnia jej żyły i pędzi aż do serca, które poruszyło się pod jego palcami.

Duch krzyknął raz jeszcze, a potem zamilkł. Umarła otworzyła oczy.

– C... co się stało? – zapytała niepewnie. – Czy ja żyję?

Wyglądała młodziej, oczy jej błyszczały i zniknęła część zmarszczek. Nie zawsze się udawało – Noel musiał nie tylko ożywić ciało, ale też zwalczyć przyczynę śmierci, a starość, choroba czy rana od czasu do czasu wygrywały z jego darem. Wtedy zmartwychwstały i tak konał po kilku godzinach.

Tym razem jednak miał przeczucie, że wszystko będzie w porządku.

Otworzył drzwi, by wpuścić rodzinę, która natychmiast obstała starszą panią. Wszyscy

– nawet powściągliwi mężczyźni – śmiali się przez łzy, całowali ją i tulili.

Noel spróbował dyskretnie wymknąć się z pokoju.

– Dziękuję, młody człowieku – głos zmartwychwstałej zatrzymał go w progu.

Uśmiechnął się, a potem dołączył do Elishy, który stał na korytarzu i przez uchylone drzwi patrzył na ulicę.

– Czekają na ciebie – powiedział starzec.

– Wiem – potwierdził Noel. – Chodźmy już, im szybciej będę miał to za sobą, tym lepiej.

– Proszę, niech pan zaczeka. – Młoda kobieta, ta sama, która pytała, czy Noel może pomóc zmarłej, wybiegła na korytarz. – Wszyscy chcielibyśmy podziękować, możemy dać panu...

– Niczego nie potrzebuję.

– To niech pan chociaż u nas zostanie. Mamy mnóstwo jedzenia... Będzie pan naszym gościem. Ty też jesteś zaproszony, Elisha – dodała pospiesznie i jakby z lekkim strachem. Fakt, że zapomniała o jego towarzyszu, najwyraźniej wytrącił ją z równowagi.

– To jak, zostajemy? – Elisha uśmiechnął się szeroko.

Noel nie miał ochoty na tak duże towarzystwo, ale był świadom, że starzec bardzo chce zostać. Pewnie nieczęsto zdarzała mu się okazja do darmowego poczęstunku.

– Zostajemy, ale najpierw muszę coś zrobić.

Im szybciej będę miał to z głowy, tym lepiej, powtórzył w myślach. Oni nie odejdą, dopóki mnie nie zobaczą.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Za plecami usłyszał odgłos powietrza gwałtownie wciągane do płuc. Nie odwrócił się, żeby sprawdzić, na kim jego odwaga wywarła wrażenie. Po prostu szedł przed siebie, a umarli rozstępowali się przed nim.

Był wdzięczny naturze za chmury. W pogodny ranek o tej porze byłoby niemal jasno, a tak ulica wciąż tonęła w mroku, razem z nią zaś twarze umarłych.

Ich wściekłość, gorycz i nienawiść...

– Nie możesz wечно uciekać – powiedział pierwszy.

– W końcu cię dopadniemy – zawtórował drugi.

– Każdego czeka śmierć – to głos trzeciego, a może trzeciej? – Ciebie także.

– Odebrałeś nam kobietę, która już do nas należała, uszczupliłeś nasze szeregi, ale w końcu umrzesz... – zaszemrał przesycony jadem szept.

– I do nas dołączysz.

Szedł szpalerem i milczał. Nie było nic do powiedzenia.

Oni mieli rację.

Jako ostatnia w szeregu stała kobieta, której sylwetka wydała mu się znajoma. Spojrzał na nią i w tym momencie kłębiaste chmury rozstąpiły się, wpuszczając więcej światła. Niewiele, ale wystarczająco, by mógł zobaczyć jej twarz.

Poznał ją, mimo że kula zmiotła pół czoła, wybiła oko i zniszczyła część policzka. Szalona Renata jakimś cudem zdołała zdobyć pistolet albo rewolwer i zdecydowała się podążyć za córką.

Noel zatrzymał się, czekając, aż kobieta wypowie swoją groźbę. Naprawdę chciał mieć to już za sobą. Lecz ona uśmiechnęła się tylko, a potem uniosła dłoń i wykonała nią krótki gest podrzynania gardła.

* * *

– Okłamałeś mnie – powiedział Noel, opierając stopy na poręczy balkonu. Była poluzowana, więc starał się zrobić to ostrożnie. Za nimi w mieszkaniu kłębił się tłum ludzi i od czasu do czasu ktoś zaglądał ciekawie przez drzwi, w których brakowało szyby. – Jesteś szamanem.

Elisha uśmiechnął się.

– Nie okłamałem cię. Po prostu nie powiedziałem prawdy.

– To to samo.

– Niezupełnie.

Noel wzruszył ramionami. Nie był wprawdzie przekonany, ale nie chciało mu się sprzeczać. Zamknął oczy – słońce świeciło mu prosto w twarz, a pod powiekami rozlewały się pomarańczowe i czerwone plamy. Gdy znikły, spojrzął w zachmurzone teraz niebo. Wiał lekki wiatr i Noel roztarł zziębnięte ramiona. Powinien wrócić do środka po koszulę, ale również mu się nie chciało. Wypite wino krążyło w jego krwi, sprawiając, że był senny i ociężały. Nie powinien pić alkoholu, a już na pewno nie o tak wczesnej godzinie, gdy wciąż był niewyspany po niespokojnej nocy i gdy za jego plecami znajdowało się kilkadziesiąt osób, z których ktoś mógłby chcieć go zabić.

– Jak na to wpadłeś? – zapytał Elisha.

– Bo traktują cię z szacunkiem i dostałeś prawie tyle jedzenia co ja. – Noel skrzywił się. – Powinienem domyślić się już wcześniej, kiedy ta kobieta zapomniała cię zaprosić i spanikowała. No i ta kawa, ilu ludzi w dzisiejszych czasach pija kawę?

Elisha zachichotał, ale nie skomentował.

– Mogłeś uspokoić umarłych – mruknął Noel z pretensją większą, niż zamierzał.

– Mogłem, ale wiedziałem, że ty to zrobisz znacznie szybciej. Ostatecznie oni czekali właśnie na ciebie. Przynieść ci coś? Jeszcze wina, salami albo oliwek? Próbowalesz oliwek? Są naprawdę dobre.

– Jeśli idziesz do środka, to przynieś mi koszulę. Niczego więcej nie potrzebuję.

Elisha wrócił po chwili z talerzem załadowanym kolejną porcją jedzenia i koszulą Noela przerzuconą przez ramię.

– Nie lubisz ludzi, co?

– Nie lubię tłumów. – Noel zapiął ostatni z trzech ocalałych guzików. Po chwili namysłu podwinął rękawy, bo teraz dla odmiany było mu za ciepło. Pogoda była dziwaczna: raz słonecznie, raz pochmurno, wiatr zrywał się, by zaraz ucichnąć.

– Oni chcą cię tylko poznać, wiesz. Żaden z tych ludzi nigdy wcześniej nie widział wskrzesiciela. I pewnie już nigdy nie zobaczy. Jesteś jedyny w swoim rodzaju, Noelu.

– Wiem.

Właśnie dlatego, że wiedział, zmusił się, by spędzić w mieszkaniu pół godziny, obściskiwany, poklepywany, wypytywany i częstowany najlepszymi kąskami. Potem uciekł na balkon, gdzie już siedział Elisha. Kilka co śmielszych osób usiłowało do nich dołączyć, lecz wystarczyło jedno znaczące spojrzenie szamana, by zrezygnowały.

– Nie lubię, gdy ktoś się kręci za moimi plecami – Noel czuł potrzebę usprawiedliwienia.

– Wiem, że prawdopodobnie nie ma tu nikogo, kto chciałby mnie skrzywdzić, że wszyscy są mi wdzięczni, podziwiają mnie i tak dalej. Ale mimo wszystko...

– Istnieje pewna szansa, co? Jak często ci się to zdarza?

– Że ktoś próbuje mnie zabić? Różnie, ostatni raz wczoraj, a przedostatni przed czterema miesiącami, w Grazu.

– I tak jest od kiedy?

– Odkąd zacząłem wskrzeszać, miałem wtedy jakieś pięć, sześć lat. Teraz mam trzydzieści cztery.

Elisha gwizdnął przeciągle.

– Musisz nieźle się znać na sztuce przeżycia.

Noel ponownie zamknął oczy.

– Większość zabójców nie jest zbyt pomysłowa. Działają tak, jak każą im zmarli, a oni są dość przewidywalni. Poza tym miałem znakomitą nauczycielkę.

– Kogo?

– Moją matkę. Zmarła, kiedy byłem nastolatkiem.

I jeszcze tej samej nocy przyszła pod okna Noela, złorzecząc mu i grożąc śmiercią, lecz o tym mężczyzna już nie wspominał, a Elisha nie spytał, choć musiał się domyślać, że coś takiego mogło mieć miejsce.

– Zaczęliśmy podróżować, kiedy skończyłem siedem lat. Najpierw po to, żeby się znaleźć w nowym miejscu, gdzie nikt by mnie nie znał i nie chciał zabić, ale po pewnym czasie ludzie i tak się dowiadywali albo pocztą pantoflową, albo dlatego, że przywracałem komuś życie. Moja matka zawsze była rozdarta – z jednej strony najchętniej ukryłaby mnie gdzieś na wsi i kazała udawać normalnego człowieka, z drugiej rozumiała, że skoro dostałem ten... dar, to musi w tym być jakiś cel, a ja nie mogę tak po prostu zapomnieć o tym, co potrafię. Potem gdy byłem starszy, zacząłem szukać Obcych. Matka towarzyszyła mi przez jakiś czas, a po jej śmierci jeździłem już sam. Cały czas miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś ich spotkam i dowiem się, dlaczego uczynili mnie tym, kim jestem. Wciąż mam nadzieję.

– Dlatego właśnie przyjechałeś do Rzymu?

Noel skinął głową.

– Słyszałem, że ostatnio widywano tu ich statki.

– Ano widywano, nad Koloseum, Santa Marią czy Villa Borghese. Ale żaden nie wylądował.

– Oni bardzo rzadko lądują. W Marsylii spędziłem prawie dwa miesiące i przez ten czas widziałem statki Obcych ze dwadzieścia razy, ale tylko jeden wylądował.

– I co?

– Nic, zanim dobiegłem do niego, już zdążył wystartować. – Noel odwrócił się w stronę Elishy. – Powiedz mi, jak dużo osób widziało statki Obcych? Mnóstwo, prawda? Widuje się je raz tu, raz tam, najczęściej nad dużymi miastami. Pojawiają się przez kilka tygodni czy miesięcy, a potem przenoszą w inne miejsce. A ilu ludzi widziało Obcego?

– Niewielu – przyznał Elisha, po czym się zaśmiał. – I zawsze to są relacje z drugiej ręki, wiesz, znajomy znajomego czy przyjaciel przyjaciela. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto widziałby Obcego na własne oczy.

– Ja nie tylko widziałem, ale nawet z nim rozmawiałem. Tak przynajmniej mówiła mi matka, bo ja tego nie pamiętam.

Elisha sięgnął do kieszeni, by wyjąć woreczek z tytoniem i bibułki. Zręcznie skrzył papierosa i gestem zaproponował go rozmówcy.

Noel pokręcił głową.

– Nie, dzięki, nie palę, ale nie będzie mi przeszkadzać, jeśli ty zapalisz. Lubię zapach dymu.

Szaman wypuścił z ust szare kółeczko. Nie odzywał się, a Noel nie przerywał milczenia. Dobrze się czuł w towarzystwie starca, który palił bez pośpiechu, z przyjemnością kogoś, kto potrafi cieszyć się drobiazgami. Sam ten widok sprawiał, że Noel rzadziej myślał o tym, że być może w mieszkaniu, gdzie trwała postwskrzeszeniowa impreza, ktoś tylko czeka na okazję, by wbić mu nóż w plecy.

– Opowiedz mi o tym – powiedział po chwili Elisha.

– O czym? – Noel zdążył zgubić wątek rozmowy.

– O tym, jak spotkałeś Obcych.

– Mówiłem, że nie pamiętam.

– W takim razie powtórz, co ci opowiadała matka.

Noel zmarszczył brwi, poczucie bezpieczeństwa nagle pierzchło. Elisha spojrzał na niego.

– Pytam z czystej ludzkiej ciekawości – zapewnił, uśmiechając się łagodnie. – I obiecuję, że niezależnie od tego, czego się dowiem, nie wykorzystam tego przeciwko tobie. Zresztą do jakich mrocznych celów miałyby mi posłużyć twoje wspomnienia z dzieciństwa?

Noel przez chwilę walczył z osobistą paranoją. Rozsądek zwyciężył.

– Moja matka była... – zaczął. – Jak to tu nazywacie? Zbieraczką?

– Aha. Zbieracze, ludzie, którzy chodzą po domach, zbierają jeszcze nadające się do użytku przedmioty, a potem sprzedają je na targu.

Noel skinął głową.

– Była zbieraczką, tak. Jak Renata, która wczoraj próbowała mnie zabić. Ojciec zmarł, kiedy byłem niemowlęciem, więc musieliśmy radzić sobie sami. Matka zabierała mnie ze sobą, kiedy szła zbierać. Ona pracowała, a ja pałętałem się w pobliżu. Miałem surowo przykazane, żeby się nie oddalać, i najczęściej tego przestrzegałem, zresztą mama często mnie wołała i sprawdzała, gdzie jestem. Ale tamtego dnia... – Potarł czoło, przywołując chwilę, która naznaczyła go na całe życie.

Dziecko stojące w strudze światła, martwy człowiek niedaleko i nadbiegająca matka z twarzą wykrzywioną paniką. Dziwne, ale po latach tak właśnie to pamiętał – jak namalowany obraz, jakby patrzył na całą scenę z boku, a nie był jednym z uczestników. I trudno mu było dobrać właściwe słowa, by zmienić ów obraz w historię.

Mimo to spróbował.

– Moja matka... nie wiem, chyba się zagapiła, a mnie coś podkusiło i szedłem coraz dalej i dalej. Jeden korytarz, potem drugi i kolejny. Pamiętam, że na zewnątrz padał deszcz, a korytarze pokryte były brązową farbą. Śmieszne, że w pamięci zostają takie szczegóły, a wypada z niej to, co znacznie ważniejsze... Potem... potem stałem na jakimś podwórku, pamiętam gruz, mnóstwo zardzewiałych puszek i leżącego między nimi trupa mężczyzny tak skurczonego i szerniałego, że wyglądał jak wysuszona mumia. I jeszcze światło... Najpierw było pochmurno, jak to w deszczowy dzień, ale nagle zrobiło się jasno, zupełnie jakby ktoś rozgarnął chmury i podkręcił słońce. I deszcz już nie padał, a ja przez chwilę czułem się jak w letnie popołudnie, chociaż dalej było zimno. Światło stawało się coraz jaśniejsze i jaśniejsze, aż wreszcie przestałem cokolwiek widzieć i zamknąłem oczy. Chyba pamiętam też, że z tego światła ktoś do mnie mówił, ale mogłem to sobie dopowiedzieć pod wpływem opowieści matki. I to właściwie tyle.

– A co ci mówiła matka?

– Wystraszyła się, kiedy się zorientowała, że zniknąłem, i zaczęła biegać po korytarzach, wołając mnie. W pewnym momencie usłyszała, jak coś mówię. Nie potrafiła rozróżnić słów, bo była za daleko, ale zorientowała się, że głos dobiega z zewnątrz. Chwilę jej zajęło szukanie drzwi, a ja w tym czasie zacząłem płakać. Gdy mnie wreszcie znalazła, stałem na podwórku i ryczałem jak bóbr. Statek Obcych właśnie odlatywał – mama widziała go z bliska i mówiła, że lśnił jak anielskie włosy. Zawołała mnie, ja się odwróciłem i chciałem do niej podejść, ale potknąłem się o tego cholernego trupa. Wtedy chwyciła mnie na rękę i uciekła ze mną do domu. Kilka tygodni później wskrzesiłem pierwszego człowieka. To trudno opisać, ale w jakiś sposób, gdy tylko zobaczyłem zmarłego, wiedziałem, co powinienem zrobić. Po prostu wiedziałem.

– Ale nie masz pewności, że dar wskrzeszania dostałeś od Obcych?

– A masz lepsze wyjaśnienie? Jestem jedynym człowiekiem, który potrafi przywracać zmarłych do życia, i jedynym, który rozmawiał z Obcymi. Uważasz, że te dwa fakty nie mają ze sobą nic wspólnego?

Elisha wzruszył ramionami i strzepnął popiół.

– Tak się tylko zastanawiam. A jeśli chcesz, mogę mieć dla ciebie propozycję.

– Jaka?

– Chodź, przejdziemy się, wytłumaczę ci po drodze.

* * *

– Myślałeś kiedyś, żeby zamieszkać na wsi? – zapytał Elisha, gdy zbliżali się do placu targowego. – Tam nie ma zmarłych, oni gromadzą się w miastach, gdzie jest dużo urządzeń elektrycznych.

– Myślałem – przyznał Noel. – I może kiedyś tak zrobię. Ale najpierw muszę znaleźć Obcych, a ich statki pojawiają się tylko nad dużymi metropoliami. Co to za propozycja? Powiesz mi wreszcie?

– Nie poganiaj starego człowieka. Najpierw chodźmy coś zjeść.

– Przecież już jadłeś.

– No to co? – Elisha uśmiechnął się, a Noel pojął, że z trzymania go w niepewności starzec urządził sobie rozrywkę. – Mam ochotę na pieczoną rybę – dodał Elisha, przełykając przy tym ślinę tak sugestywnie, jakby pościł od kilku dni.

* * *

Na nadtybrzańskim placu trwał dzień targowy. Łódkami przyплыnęli wieśniacy, którzy przywieźli ze sobą warzywa, owoce, oliwę z oliwek, domowe wino oraz żywe kurczęta. Obok rozłożyli towary rzymianie. Na zaimprovizowanych straganach, kocach i starych łózkach polowych leżały przedmioty, które Noelowi przypomniały mieszkanie Renaty. Narzędzia, dziecięce zabawki, bibeloty, książki, pudełka, a nawet kosmetyki w ozdobnych opakowaniach. Gdzieniedzie widać też było stoiska z bardziej egzotycznymi i znacznie droższymi towarami przywożonymi z daleka przez nieliczne grupy ryzykantów.

Od strony rzeki wiała bryza, a od czasu do czasu z niemal bezchmurnego nieba padał krótki, rześisty deszcz, którego strugi lśniły złotawo w promieniach słońca. Ludzie kulili się wtedy i przykrywali delikatne towary brezentowymi płachtami, ale nikomu nie psuło to humoru. Wokół rozlegały się nawoływania sprzedawców, pachniały świeżo upieczone ryby, a ognisko pod wiatą syczało i dymiło, gdy wiatr znosił nad płomień krople deszczu.

Noel podszedł do jednego ze straganów równocześnie ze starszą, tęgą kobietą. On bezmyślnie sięgnął po słoiczek kremu (prawdopodobnie zepsuty – sprzedawca musiał liczyć,

że potencjalnego nabywcę skusi kolorowe opakowanie), ona po płaski metalowy przedmiot.

– Co to takiego? – zapytała.

– Golarka – odparł sprzedawca. Był gruby, czerwony na twarzy i wyraźnie nieszczęśliwy albo zły. A może jedno i drugie. Nie miał atrakcyjnych towarów i każdy, kto zaglądał na jego stragan, szybko odchodził. – Goli dokładniej niż brzytwa i jest bezpieczniejsza.

Kobieta pobladła i wypuściła przedmiot, jakby przypadkiem złapała jadowitego pająka.

– W tym jest duch? Kiedyś to działało na prąd, a teraz jest w tym duch? Oszalał pan? Tu są dzieci, co będzie, jak któreś z nich przypadkiem weźmie to do ręki?

– Nic się nie stanie! – wrzasnął grubas. – Trzymałem to dziesiątki razy i wciąż żyję. To całkiem bezpieczne, mogę pokazać...

Jednak kobieta już odeszła, odprowadzana pomrukami pełnymi aprobaty.

Noel posłał współczujące spojrzenie grubemu sprzedawcy, po czym zanurkował w tłum, przepychając się w stronę Elishy, który kupił już pieczoną nad ogniskiem rybę i zając ją, podążał właśnie w stronę rzeki.

* * *

Szaman cisnął w nurt Tybru ogryzione do czysta ości i otarł usta wierzchem dłoni.

– Żałuj, że się nie skusiłeś – powiedział, wzorem Noela podwijając rękawy koszuli za łokcie. Rozpogodziło się już chyba na dobre i słońce zaczynało porządnie przypiekać. – Ryba była pyszna.

– Propozycja – przypomniał Noel.

Ruszyli wzdłuż brzegu rzeki.

– Tak, propozycja. Słuchaj, czy zamiast ścigać Obcych, jeżdżąc za nimi z miejsca na miejsce, nie wolałbyś się dowiedzieć, kim oni są, skąd się wzięli, a może nawet co mają wspólnego z inwazją zmarłych?

– Tego nikt nie wie.

– Niekoniecznie. Był taki człowiek tu, w Rzymie, nazywał się Massimo Nicolodi. Teraz już nie żyje, ale zanim zmarł, zbudował w dzielnicy Mazzini coś w rodzaju imperium.

– Masz na myśli gangsterskie imperium?

– Owszem. – Elisha podłubał w zębach, wyjął zabląkaną ość i splunął. – Wymuszenia, szantaże, rozbój. Nie był ani lepszy, ani gorszy niż wielu innych, więc Bóg z nim, niech mu ziemia lekką będzie, czy jak to się mówi. Ale miał ciekawe hobby. Zbierał różne przedmioty z czasów przed Katastrofą.

– Mnóstwo ludzi to robi.

– Wiem, ale Nicolodi zbierał tylko rzeczy najrzadsze i najcenniejsze i co więcej, miał wystarczająco duże możliwości, żeby zdobywać, co chciał. A krótko przed jego śmiercią rozeszła się plotka, że udało się mu zdobyć taśmę filmową, na której jest coś, co wyjaśnia

związek Obcych z umarłymi. – Szaman zatrzymał się i chwycił Noela za łokieć. – Co u was mówią o Katastrofie? Co się wtedy działo?

Noel zmarszczył brwi.

– Maszyny atakowały ludzi, którzy z jakiegoś powodu nie chcieli się nawet bronić. I...

– Tak?

– Słyszałem też, że ludzie widywali swoich sobowtórów, ale trudno mi w to uwierzyć.

– Widzisz, jak niewiele wiemy? A ten film mógłby wyjaśnić mnóstwo wątpliwości.

– Może... – mruknął Noel, wciąż nie do końca przekonany. Po chwili jednak powtórzył już pewniejszym tonem: – Może. Jest to jakiś pomysł.

Szaman parsknął.

– Nie ekscytuj się tak bardzo. Nie znam nikogo, kto osobiście widziałby tę taśmę, wszystko to tylko plotki. Ale mówi się, że Nicolodi wynajął szamana i zapłacił mu dwa razy. Raz, żeby skłonił duchy do uruchomienia kinowego projektora, a drugi, żeby potem zniknął z miasta.

– Po co?

– Bo ja wiem? Może po prostu Nicolodi chciał być jedynym posiadaczem tajemnicy. Z tego, co słyszałem, to był właśnie taki typ. Ktoś, kogo cieszy, że wie więcej niż inni, nawet jeśli nic z tej wiedzy nie ma. Jednak sądząc po plotkach, szaman wygadał się, zanim wyjechał. Próbowałem trochę o niego wypytywać, znaczy o tego szamana, ale nic konkretnego nie udało mi się ustalić.

– A kto teraz ma tę taśmę? – zapytał Noel, gdy przechodzili przez most. – Skoro Nicolodi nie żyje?

– Jego syn Carlo, jak przypuszczam. Odziedziczył po ojcu wszystko.

– I też jest gangsterem?

Szaman wyszczerzył zęby.

– Z tego, co słyszałem, stara się, ale średnio mu wychodzi.

– Elisha?

– Uhm.

– Idziemy właśnie do dzielnicy Mazzini, tak? Mam mapę Rzymu, co prawda strasznie starą i niewiele na niej widać, ale tę nazwę akurat da się jeszcze odczytać. Mazzini leży po drugiej stronie rzeki, na północnym zachodzie.

Elisha uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– No proszę, a mnie się wydawało, że idziesz za mną jak ciele. Owszem, Carlo mieszka kilka przecznic stąd, w Athenaeum. To kiedyś był hotel, wiesz. Ale wcale nie chcę cię zmuszać, żebyś tam poszedł – zastrzegł. – Jeśli nie masz ochoty, to wrócimy do mnie, nie ma sprawy.

– Nigdy nie próbowałaś pogadać z synem Nicolodiego? Poprosić albo przekupić, żeby ci pokazał tę taśmę?

Elisha pokręcił głową.

– Nie, ale znam takich, którzy próbowali i zostali odesłani z kwitkiem. Ja nie mam mu nic do zaoferowania. Ty masz.

* * *

Hol hotelu Athenaeum był obszerny i niegdyś zapewne bardzo elegancki. Wisiały tu jeszcze trzy obrazy – dwa z nich bardzo brudne, ale przynajmniej całe, trzeci zamieniony przy pomocy jaskrawoczerwonej farby w tarczę strzelniczą i podziurawiony kulami. Ze ścian osypywał się tynk, który pokrywał posadzkę, w białym pyłe widniały ślady bosych stóp. Wszędzie pełno było wypalonych kaganków zmajstrowanych z puszek po konserwach. Stały na zakurzonych stolikach, na brzegach donic, w których od dawna nie było kwiatów, tylko resztki ziemi i niedopałki papierosów, a nawet na podłodze.

Wchodząc, Noel przypadkiem kopnął jeden z kaganków, lecz siedzący w recepcji człowiek nie zareagował. Brudne bosc stopy wyciągnął na ladzie i pochylony kiwał się lekko, podczas gdy z górnych pięter dobiegała muzyka i odgłosy kłótni.

On ma broń, pomyślał z nagłym przyływem lęku Noel, patrząc, jak bosonogi sennymi ruchami dotyka spoczywającego na jego kolanach karabinu.

Dawno temu Noel sam miał pistolet, kupiony jeszcze przez matkę, jednak pozbył się go z dwóch powodów. Po pierwsze, mimo całej zręczności nigdy nie miał talentu do strzelania, a po drugie, człowiek podróżujący samotnie z pistoletem musiał albo dobrze go ukrywać, albo też liczyć się z atakiem bandytów grasujących we wszystkich większych miastach. W miarę jak malała liczba sprawnych sztuk, broń palna z każdym rokiem stawała się cenniejsza. W czasach dzieciństwa Noela jeszcze sporadycznie sprzedawano ją za niebotyczne ceny na targach, lecz teraz jedyną metodą, by wejść w posiadanie karabinu czy pistoletu, było odebranie go poprzedniemu właścicielowi. Nic więc dziwnego, że każdy, kto chodził uzbrojony, kojarzył się wskrzesicielowi z człowiekiem pozbawionym skrupułów.

Elisha posłał Noelowi uspokajające spojrzenie.

– Chcielibyśmy się zobaczyć z Carlem Nicolodim – powiedział do bosonogiego. Gdy to nie poskutkowało, powtórzył prośbę odrobinę głośniej.

Mężczyzna wreszcie uniósł głowę i spojrzał na nich spod tłustych strąków włosów. Sennymi ruchami wciąż dotykał karabinu. Jego dłoń zatrzymała się na chwilę przy spuście – widząc to, Noel drgnął lekko – a potem powędrowała dalej, wzdłuż lufy. Twarz bosonogiego ani na moment nie zmieniła wyrazu, źrenice były małe jak łebki od szpilek.

– To na nic, ten facet jest kompletnie nieprzytomny – szepnął Noel.

Gdzieś wysoko trzasnęły drzwi i po chwili do holu zbiegł rozczochrany chłopak.

– Czego tu szukacie?

– Chcemy się widzieć z Carlem Nicolodim – powtórzył Elisha cierpliwie. – Jestem

szamanem, a to jest Noel. Potrafi wskrzeszać ludzi. Pewnie o nim słyszeliście. Podróżuje po całej Europie, ale w Rzymie jest pierwszy raz.

Na chłopaku informacja nie wywarła wrażenia.

– Carlo nie potrzebuje wskrzesiciela. Kiedy go ostatnio widziałem, czuł się świetnie.

– A może pozwolisz mu samemu zdecydować, czy jestem potrzebny, czy nie, co? – zaproponował Noel. – Daj mi z nim porozmawiać, proszę. Zobaczysz, że będzie wdzięczny.

Rozzochrany wyglądał, jakby miał zamiar rzucić zgryźliwą uwagę, zamiast tego jednak wzruszył ramionami i zaprowadził ich na drugie piętro. To właśnie stąd dobiegała muzyka.

*Swing, swing, swing
From the tangles of
My heart is crushed by a former love
Can you help me find a way
To carry on again?*

I jeszcze raz to samo.

Do wtóru zapętlonego kawałka tańczyła para młodych ludzi. Mieli mnóstwo miejsca, bo jedynym sprzętem w pokoju był stolik, na którym znajdował się staroświecki gramofon. Gdy Elisha i Noel stanęli w progu, igielka przeskoczyła po raz kolejny do początku refrenu. Rozzochrany chłopak gdzieś zniknął.

– Mógłbym to naprawić, wiecie – powiedział Elisha. – Skłonić ducha, żeby grał całą płytę, nie tylko ten fragment. Jestem szamanem.

– To jest tak specjalnie, my lubimy ten kawałek – uśmiechnęła się dziewczyna. Miała czarne, sięgające ramion włosy z grzywką przyciętą równo na wysokości brwi. Noel doszedł do wniosku, że to musi być peruka. Fryzura była zbyt idealna, włosy zbyt błyszczące. Nadawały jej nierzeczywisty wygląd, jakby była postacią z komiksowych rysunków. Na jej tle chłopak prezentował się znacznie bardziej zwyczajnie. Przybrudzony podkoszulek ukazywał co prawda dobrze wyrobione mięśnie, ale jego twarz była trochę nijaka, a trochę dziecinna.

Tym razem Noel wziął na siebie ciężar wyjaśnienia, o co chodzi. Gdy skończył, dziewczyna się roześmiała.

– Czyli chcesz pohandlować, tak? My ci udostępnimy film, a ty nam się odwdzięczysz, wskrzeszając w razie potrzeby? – Potrząsnęła energicznie głową, jej czarne włosy rozsypały się i zaraz wróciły do właściwej pozycji. Peruka jak nic, pomyślał Noel. – Bo widzisz, nas nie może spotkać nic złego. My jesteśmy nieśmiertelni.

Wyciągnęła rękę do Carla, który ujął ją z ufnością.

– Niezupelnie to miałem na myśli – Noel był równie cierpliwy jak wcześniej Elisha. – Wyglądacie na wyjątkowo zdrowych młodych ludzi, więc nie sądzę, żebym był wam

potrzebny. Ale macie przecież rodziny, przyjaciół, znajomych... A to jest paskudny świat, w którym umiera się łatwo i szybko. Naprawdę nie znacie nikogo, komu mógłbym pomóc? Mogę wskrzesić każdego człowieka, pod warunkiem, że ciało nie uległo rozkładowi i rany nie są zbyt rozległe. Pomyślcie, może moglibyście zyskać w ten sposób sojusznika, kogoś, kto w odpowiednim czasie zwróciłby wam przysługę.

– Eva, chodź na moment. – Carlo wyciągnął dziewczynę na korytarz. Szeptali coś do siebie przez chwilę, potem chłopak zajrzał do pokoju.

– Zaczekajcie tu.

Wobec braku krzesel Noel usiadł pod ścianą. Elisha po chwili wahania dołączył do niego.

Czekali godzinę, a może nawet dłużej, wsłuchując się w odgłosy domu. Łomot przewracanych mebli gdzieś nad nimi, krzyki, tupot nóg, gdy ktoś zbiegał po schodach. Gramofon wciąż odtwarzał ten sam fragment i po pewnym czasie Noel zaczął każdy dźwięk odczuwać pod czaszką.

– Zrób z tym coś, bo za chwilę oszaleję – mruknął, ale Elisha pokręcił głową.

– Wolę się nie narażać tej czarnowłosej panience. Noel zamknął oczy i otworzył je, dopiero gdy wrócił Carlo.

Chłopak zaprowadził ich do niewielkiego pokoju, gdzie na przykrytym kocem łóżku leżał stary mężczyzna trawiony gorączką. Obok stała Eva. Gdy weszli, chory uniósł się na łokciach i spojrzał niespokojnie. Widać było, że za wszelką cenę stara się zachować czujność, ale skupienie wzroku przychodziło mu z coraz większym trudem. Oddychał ciężko, mnąc w spoconych dłoniach brzeg koca.

– Jeśli go uzdrowisz, pozwolę ci obejrzeć film – oznajmił Carlo.

– Potrafię wskrzeszać ludzi, a nie uzdrawiać – zaprotestował z rozpaczą Noel. – Musiałbym poczekać, aż on umrze.

Elisha pochylił się nad starcem, zbadał go i zadał Carlowi parę pytań. Na większość z nich chłopak nie znał odpowiedzi, wiedział tylko, że chory mamrotał coś o zepsutej wodzie.

Szaman wyprostował się.

– Ten człowiek umrze – orzekł. – Ale nie w ciągu najbliższych godzin. Będzie się męczył do jutra, może nawet do pojutra.

Tymczasem do pokoju weszło kilkunastu młodych mężczyzn łudzaco podobnych do tego, który siedział w recepcji: wszyscy mieli niezdrową cerę, tłuste włosy i ubrania sztywne od brudu. Niektórzy nosili broń, karabiny i pistolety mocno zdezelowane, ale niewątpliwie wciąż jeszcze zdadne do użytku. Noel niemal wyczuwał bijące od nowo przybyłych fale mieszanych uczuć. Ciekawość. Fascynacja. Lęk. Sporo niechęci. Jeden z nich, na oko najmłodszy, bo najwyżej piętnasto-, szesnastoletni, stał pod ścianą. Przez jego twarz przebiegały nerwowe tiki, mięśnie kurczyły się i rozluźniały, grdyka poruszała, jakby bezustannie coś przetykała. Karabin podrygiwał leciutko w rytm ruchów, a niespokojny wzrok chłopaka błądził po pokoju. Wpatrujący. Badający.

Noel stłumił narastającą panikę.

– Nie mogę pomóc temu człowiekowi, bardzo mi przykro – powiedział. – Zostanę przez jakiś czas w Rzymie, więc będziecie mogli po mnie posłać, jeśli... jeśli sytuacja się zmieni.

Jego głos się załamał, wyraźnie dało się w nim słyszeć nutki strachu. Niedobrze. Noel nie powinien okazywać lęku. Nie teraz, nie wśród tych ludzi.

– Chodź, Elisha. – Chwycił szamana za łokieć, może nieco zbyt szybko, choć z całych sił starał się zrobić to spokojnie. Było mu coraz bardziej gorąco, w ustach czuł narastającą suchość.

– Czekajcie – odezwała się milcząca dotąd Eva. – Mówiłeś, że możesz mu pomóc, dopiero kiedy będzie martwy, tak? A szaman z kolei twierdzi, że on i tak umrze i że w dodatku będzie się przedtem jeszcze męczył. No to na co czekamy? Zabijmy go teraz, niech wskrzesiciel przywróci mu życie.

Wolno, prowokacyjnie powiodła spojrzeniem po mężczyznach zebranych wokół łóżka. Wreszcie jej wzrok zatrzymał się na Carlu, który patrzył na nią oszołomiony i zafascynowany jednocześnie. I wystraszony, o, tak, zdecydowanie wystraszony, pomyślał Noel, który miał coraz gorsze przeczucia.

– Ty tu rządzisz, więc to twoja decyzja – powiedziała Eva.

– Ja... uhm... myślę... – Carlo rozejrzał się, szukając pomocy.

Jeden z uzbrojonych młodzieńców, wychudzony, z twarzą poznaczoną bliznami po trądziku, splunął na podłogę.

– Dziewczyna ma rację, ten facet i tak nie ma szans, więc co nam szkodzi? Niech wskrzesiciel pokaże, co umie.

– Nikt nie będzie... – zaczął Noel, ale było za późno. O wiele za późno, bo chudzielec już strzelił choremu w pierś. Tylko raz, ale to wystarczyło. Ciało podskoczyło na łóżku i znieruchomiało w szybko powiększającej się kałuży krwi. Ktoś krzyknął i zaraz umilkł, gdy młody mężczyzna strzelił ponownie, tym razem w sufit.

– Zamknąć mordy! – wrzasnął. – Wskrzesiciel zaraz go ożywi. No już! – Lufą pistoletu skinął w stronę Noela. – Pokaż, co potrafisz.

Noel podszedł do martwego starca i położył dłonie w miejscu, gdzie niedawno znajdowało się nienaruszone serce, a teraz ziała dziura wielkości połowy pięści. Wilgotne ciepło pod skórą, krew przesączająca się przez palce. Wyczuwał nawet odłamek strzaskanego żebra pod opuszką kciuka. Już się nie bał, strach został daleko za nim, czekając na sprzyjający moment, by znów go dogonić – potem, gdy będzie po wszystkim.

Potem. Wszystko potem. Teraz umysł miał chłodny, jasny i skupiony na jednym punkcie.

Będzie dobrze, jeśli tylko zdołam wskrzesić tego człowieka.

Fale uczuć napływające od strony otaczających go mężczyzn (i jednej kobiety, ale o niej nie pamiętał – nie miała broni, więc się nie liczyła, choć w jakimś stopniu była winna temu, co właśnie się stało) nabrały intensywności. Niedowierzanie. Ponownie ciekawość i

fascynacja. Nadzieja. Niepokój. Jeszcze więcej strachu.

Przelewał swą siłę życiową w żyły martwego człowieka, mając przy tym wrażenie, że usiłuje napelnić pozbawiony dna dzban. Słabł coraz bardziej, w głowie mu się kręciło. Kątem oka widział chłopaka, tego najmłodszego i nerwowego, który pocił się i aż cuchnął łękiem.

Właśnie dlatego Noel zawsze prosił, by w chwili wskrzeszenia mógł być ze zmarłym sam na sam. W niektórych ludziach akt ożywiania zwłok budził niepokój, czasem też coś gorszego.

Noel nie chciał o tym myśleć. Teraz i tak nie mógł niczego zmienić.

Zmarły wymykał mu się, z każdą chwilą zimniejszy i bardziej odległy. Rana była zbyt duża, wypłynęło z niej zbyt wiele stygnącej już krwi.

Noel czuł, jak ogarnia go chłód, jakby sam tracił życie.

Wówczas za plecami usłyszał urywany szloch, cichy szept. A potem pomruk grozy, już nie z jednego gardła, lecz z wielu, gdy przez tłum przeszedł zmarły. Zbliżył się do łóżka, opadł na kolana i zaczął chleptać własną krew, która ściekała na podłogę. W miarę jak pił, jego blade policzki nabierały rumieńców.

– Cudowny smak – powiedział, unosząc twarz, a potem się roześmiał. – Powinniście sami spróbować.

Wtedy w chłopcu, tym najmłodszym i najbardziej nerwowym, coś pękło. Z jego ust wydobył się zwierzęcy skowyt, a dłoń z karabinem poderwała się jak szarpnięta linką. Oczy miał wielkie, wytrzeszczone paniką. Rozległ się huk wystrzału, a zaraz po nim drugi. Dwie kule przeszły widmowe ciało, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy.

Jedna z nich utkwiała w ścianie, druga trafiła w szyję chudzielca z twarzą poznaczoną bliznami po trądziku. Tego, który zaczął strzelać jako pierwszy, jeszcze wtedy, gdy Noelowi zdawało się, że to wszystko można jakoś naprawić, odkręcić, wyjść z tego cało.

Przeżyć. Jak zawsze.

Jasna, tętnicza krew tryskała, podczas gdy ludzie miotali się wokół. Słysząc było wrzaski i odgłos szarpania kłamki, ktoś wreszcie zaczął strzelać do strzelającego chłopaka.

Noel skoczył w stronę drzwi i zderzył się z wysokim mężczyzną, który wpadł na identyczny pomysł. Wskrzesiciel był drobny, więc impet odrzucił go w bok. Wówczas uderzenie w plecy odebrało mu oddech. Pomyślał o kamieniach, którymi rzucał się z kolegami w dzieciństwie: wtedy bolało tak samo – tępy, rozlany ból, na pewno będę miał siniaka, może nawet połamali mi żebra. Gdy upadł, poczuł kopnięcie w twarz i słony smak w ustach. Zakrztusił się, przy każdym kaszlnięciu miał wrażenie, że jego płuca rwą się na strzępy.

– Noel, słyszysz mnie? Słyszysz? Na litość boską, niech ktoś mu pomoże! Chodź tu, dziewczyno...

Wykrzywiona przerażeniem twarz pochyla się nad nim, jedna, obok druga i trzecia. Noel ma wrażenie, że powinien wiedzieć, do kogo należą, ale nie wie. Czuje się zmęczony,

najchętniej zamknąłby teraz oczy i zasnął. Ktoś nim potrząsa.

Czemu nie pozwalają mu spać?

Oczywiście ponieważ ma jeszcze zadanie do wykonania.

Wyciąga rękę i chwyta dłoń. Nie wie, do kogo należą te szczupłe, ciepłe palce, i wcale go to nie interesuje. Wie za to, co musi zrobić. Zawsze wiedział.

Przelewa energię w cudze ciało, tak jak wtedy, gdy ożywia zmarłych.

Najwyraźniej robi to, co powinien, bo gdy kończy, nikt już mu nie przeszkadza i Noel może z ulgą osunąć się w ciemność.

Część 2

Elisha był prawdopodobnie jedynym mieszkańcem Rzymu, który od czasu do czasu jeździł metrem. Ludzi przerażała klaustrofobiczna ciasnota podziemnych tuneli, gdzie byli zdani na łaskę i niełaskę zmarłych, lecz szaman czerpał pewną przyjemność z przełamywania tego lęku. Poza tym jako rozsądny człowiek zdawał sobie sprawę, że wbrew pozorom wagoniki metra są stosunkowo bezpiecznym miejscem – duchy uwielbiały pociągi i raczej nie poświęciłyby jednego z nich po to, by zabić kogoś nic nieznaczącego.

Był też inny powód – Elisha, gdy doskwierał mu ból życia, lubił włóczyć się po mieście, a ponieważ był coraz starszy, skorzystanie z metra czasem okazywało się koniecznością.

Tego dnia czuł się wyjątkowo kiepsko. Człapiąc w górę schodów na stacji Colosseo, garbił się pod ciężarem nieszczęścia. Chwilami brakowało mu tchu – wtedy przystawał na moment, chwycił poręcz i czekał z zamkniętymi oczami, aż uspokoi się rozkołatane serce. Oddychał coraz ciężiej, zupełnie jakby ktoś położył mu na piersi kamień. Zawał? Nie, chyba jednak nie. Po prostu zmęczenie, tłumaczył sam sobie.

Dla pewności poklepał kieszeń koszuli, w której tkwiła butelka mocnej grappy. To także było częścią owych samotnych wędrówek po mieście – czasem Elisha po prostu szukał spokojnego kąta, by się upić.

Wyszedł na powierzchnię, odetchnął i rozejrzał się. Powoli zapadał zmrok, słońca nie było już widać, ale na zachodzie pozostało pasmo wpadającej w fiolet czerwieni. Na jej tle sylwetki budynków wydawały się prawie czarne, a wiszące wyżej obłoczki miały różowy kolor, jak strzępy waty zanurzonej w rozświetlonej wodzie z odrobiną krwi. Od północy wiał chłodny wiatr, stamtąd też nadciągały chmury zupełnie innego rodzaju: granatowe, o wydłużonych kształtach, jak charty. Być może znów będzie padać. A może nie.

Zmarli, choć aktywni przez całą dobę, najbardziej lubili noc. To była ich pora i właśnie teraz Rzym budził się do życia.

Bardzo specyficznego życia.

W mieszkaniach zapalały się światła, wyły odkurzacze i dudniły puste bębny pralek. Wysokimi, terkotliwymi dźwiękami rozdzwoniły się telefony, gdyby ktoś podniósł teraz słuchawkę, usłyszałby szepty umarłych. W biurach włączały się fakсы i drukarki, komputery wyświetlały rzędy od dawna nieistotnych danych. Telewizory gadały jeden przez drugi, a na ich pokrytych warstwą kurzu ekranach bohaterowie filmów sami przypominali duchy o rozmytych konturach. Windy jeździły w górę i w dół, zmieniały się zielone cyferki na tablicy, a drzwi rozsuwały z cichym kliknięciem na każdym z pięter, choć nikt nie wsiadał ani nie wysiadał. Światła porzuconych na ulicach samochodów rozcinały gęstniejący mrok, silniki mruczały, z odbiorników radiowych dobiegała muzyka przeplatana przemówieniami polityków, którzy dawno temu sami dołączyli do zmarłych. Niektóre pojazdy ruszały, wlokąc za sobą strzępy zniszczonych opon, nielicznym udawało się nawet przejechać więcej niż kilkadziesiąt metrów, ale prędzej czy później wszystkie wpadały na usypane z gruzu i mebli barykady. Samochody wycofywały się wtedy: silniki wyły, spod kół przyskał żwir, a w powietrzu rozchodził się zapach wściekłości.

Włóząc się po Rzymie, Elisha kolekcjonował dźwięki nawiedzonego miasta, tak jak niektórzy kolekcjonują przedmioty. Pobrzękiwanie automatów do gry i szum obrotowych drzwi w kasynie. Jazz dobiegający z okien niegdyś eleganckiego baru i przedziwna etniczna muzyka w pomieszczeniu, które zapewne było chińską czy tybetańską knajpką. Na ekranie jednego z odbiorników w pewnym salonie elektronicznym Rick przekonywał Ilse, by wsiadła do samolotu – robił to wciąż i wciąż każdej nocy od zachodu aż do wschodu słońca, podczas gdy pozostałe telewizory wyświetlały płataninę obrazów, w większości pochodzących z programów nadanych dwudziestego drugiego grudnia, gdy nastąpiła Katastrofa. Porady, jak przygotować świąteczne dania, informacje o wojnie w Afganistanie, wiadomości sportowe i prognoza pogody (Boże Narodzenie zapowiadało się tamtego roku wyjątkowo deszczowo). I towarzysząca reklamie coca-coli muzyczka, tak sugestywna, że aż chciało się zetrzeć kurz z ekranu, by zobaczyć Świętego Mikołaja pędzącego po niebie na saniach.

Elisha z przyjemnością zanurzał się w tych dźwiękach. To był śmietnik przeszłości, chaos ożywionych przez duchy impulsów elektromagnetycznych, które nie powinny istnieć, lecz co z tego? Czasem gdy szaman zamykał oczy i po prostu słuchał, niemal wierzył, że wszystko jest jak dawniej – w Afganistanie talibowie wciąż dają łupnia Amerykanom, a w rzymskich sklepach trwają przedświąteczne promocje i wkrótce nadejdzie deszczowe, ale radosne Boże Narodzenie.

Czasem naprawdę w to wierzył.

Podreptał w stronę Forum Romanum, które w świetle księżyca było spokojne i ciche jak wiejski cmentarz. Szaman pomyślał, że zakrawa to na potężny żart Boga – to właśnie tutaj, pośród osrebrzonych ruin, powinny grasować widma, a nie na jasnych i gwarnych ulicach.

Usiadł na trawie niedaleko świątyni Saturna, sięgnął po butelkę i wznosił toast zwrócony

twarzą na północ, w stronę dzielnicy, którą w każdej chwili mógł przywołać z pamięci. Tam ulice były cichsze i ciemniejsze, okna rozświetlały nie żarówki, tylko świece, a na chodnikach płonęły ogniska. Dzielnica żywych, gdzie mieszkał Elisha, a także wielu innych. Szaman znał dobrze większość z nich. Przed kilkudziesięcioma laty, gdy był jeszcze młody i silny, pomagał pierwszym rodzinom usuwać z mieszkań urządzenia elektryczne, a potem patrzył, jak dorastają pierwsze w tej okolicy dzieci. Leczył te dzieci, starał się chronić je przed duchami, a gdy już nic innego nie dało się zrobić, czuwał przy umierających. I czasem potem widział, jak zmarli chłopcy i dziewczynki podchodzili pod okna swoich rodziców, by ich przeklinać, wyśmiewać albo opowiadać o słodkim spokoju śmierci.

Oczywiście coś takiego zdarzało się także w przypadku dorosłych, ale widok dzieci bolał najbardziej.

Szaman pił. Jego serce się uspokoiło, ale za to żołądek groził buntem. Już teraz Elishy zaczynało być niedobrze, a grappa wydawała się niesmaczna. Mimo to przetykał palący gardło płyn, kierowany potrzebą głębszą nawet niż prosta chęć upicia się. Jakby katowanie własnego organizmu mogło w jakikolwiek sposób pomóc.

Gdyby Noel był zwyczajnym człowiekiem, szaman opłakałby go przy jednym kieliszku, a potem o nim zapomniał. Znali się przecież zbyt krótko, by poczuć do siebie nawzajem coś więcej niż powierzchowną sympatię. Jednak Noel był kimś więcej – rozmawiał z Obcymi i potrafił wskrzeszać ludzi, a dla Elishy symbolizował nadzieję. Że wbrew wszystkiemu jego życie ma sens, bo gdzieś tam, ponad nimi, w swych latających kulach krążą Oni – istoty po wielekroć mądrzejsze od najmądrzejszego człowieka, które mają plan i wiedzą, jak ocalić ludzkość.

Teraz to wszystko runęło i Elisha czuł się, jakby nagle usunięto mu spod nóg ziemię. I spadał teraz, oszołomiony i przerażony.

– Dlaczego...? – mamrotał pomiędzy kolejnymi łykami, a raz nawet wykrzyknął to pytanie w niebo, na którym chmury w kształcie chartów zdążyły już przesłonić księżyc. Umilkł jednak zaraz, bo nawet teraz, na wpół pijany i sfrustrowany, był zbyt rozsądny, by wrzeszczeć na wiatr.

– Stary głupiec – wymruczał. – To właśnie ja. Stary głupiec.

Zachichotał, ale śmiech nie przyniósł ulgi.

W miarę jednak jak Elisha pił, ból stawał się coraz mniej ostry. Był teraz zdecydowanie bardziej melancholijny, słodki i pijacki. Prywatne nieszczęście szamana roztopiło się w morzu ogólnego ludzkiego cierpienia i mężczyzna opłakał wszystkich, którzy na to zasługiwali, a o których akurat mógł sobie przypomnieć, w tym także Noela oraz samego siebie. To było właściwe, wydawało się także mieć sens i być może nawet w jakiś sposób było częścią planu.

W którymś momencie Elisha poczuł, że musi wstać. Zakręciło mu się w głowie, więc złapał się porośniętego trawą murku. Przez chwilę stał tak, oddychając ciężko. Czy mu się zdawało, czy nagle wokół zrobiło się dziwnie jasno? Pot spływał mu po czole, jaskrawe

światło kłuło w oczy, w żołądku zalegał kłęb strachu. Szaman zgiął się wpół i zwymiotował, jakby próbował go z siebie wyrzucić. Gdy skończył, cały się trząsł, ale w głowie trochę mu się przejaśniło. Splunął śliną o kwaśnym posmaku, otarł usta i dopiero teraz podniósł wzrok.

Nad nim unosiła się srebrzysta kula wielkości domu. Bombka na choinkę, pomyślał bezsensownie, gigantyczna bombka. Idą święta.

Pojazd tkwił w powietrzu jak zawieszony na niewidzialnych sznurkach i nawet nie drgnął, odkąd Elisha na niego spojrzał. Nie słychać było też mrużenia pracującego silnika ani żadnego innego dźwięku. Kulę można by wziąć za pijackie złudzenie, lecz szaman wiedział, że jest prawdziwa, czuł to całym sobą. Jej ciężar, jej... masa. Przyklejony do murku, z rękami i nogami zamienionymi w ołów miał wrażenie, że za chwilę kula na niego spadnie i wprasuje go w ziemię. Wypuścił powietrze z płuc, potem spróbował nabrać oddechu, ale nie potrafił. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał.

Obudził go deszcz. Zimne strugi spływały mu po twarzy, więc odwrócił się na brzuch. Teraz krople uderzały go w tył głowy i w kark. Wilgoć przesączała się przez warstwę odzieży i docierała do ciepłej skóry. Zimno, coraz zimniej.

Zmusił się, by wstać. Wciąż było ciemno, być może dlatego, że świt jeszcze nie nadszedł, a może deszczowe chmury zasłoniły wstające słońce. Nic go to nie obchodziło.

* * *

W mieszkaniu Elisha zmienił tylko ubranie na suche, po czym zwałił się na łóżko i zasnął od razu jak kamień. Przyśnił mu się świat idealny. Pociągi kursowały w nim zgodnie z rozkładami jazdy, po ulicach krążyły samochody, które nie powodowały wypadków, a każdego wieczoru z okien mieszkań dobiegały dźwięki radosnej muzyki. Jednak w tym świecie nie było ani jednego żywego człowieka, tylko umarli – teraz, gdy zostali we własnym towarzystwie, wreszcie uwolnieni od nienawiści i bawiący się wesoło. Ziemia była całkowicie, absolutnie martwa, a jednocześnie w jakiś perwersyjny sposób wciąż żywa, pełna zwyczajnych, codziennych odgłosów. Stukot kół pociągów, szum ekspresów do kawy i gadanie telewizorów, a pośród tego ciche, zgrzytliwe śmiechy brzmiące tak, jakby śmiał się ktoś z krtanią pełną ziemi.

Elisha zbudził się z jękiem i przez chwilę siedział na łóżku, trzymając się za głowę. Wpadające przez okno światło słońca raziło go w oczy. Wspomnienia snu się rozmywały, przez chwilę szaman pamiętał jeszcze wizję tętniącej życiem ulicy, a potem i to znikło.

* * *

Kilka godzin wcześniej w dzielnicy Mazzini Eva również zbudziła się z koszmarne snu, którego nie pamiętała. Przez chwilę leżała nieruchomo w ciemności, czekając, aż jej

serce przestanie łomotać o żebra. Zazwyczaj uspokajała ją obecność Carla, ale tym razem jej mężczyzny nie było. Eva wiedziała o tym, jeszcze zanim wyciągnęła rękę i dotknęła zimnego prześcieradła po jego stronie łóżka.

Usiadła, wymacała stojącą na nocnym stoliku świecę i zapaliła ją. W ciepłym, złotawym półmroku ubrała się i włożyła pomarańczową perukę. Jej własne włosy miały mysi kolor i były bardzo rzadkie. Eva nie lubiła ich pokazywać.

Dreńczył ją niepokój, lecz dziewczyna z całych sił starała się go ignorować. Jeszcze wczoraj chodziła po świecie uzbrojona w niewidzialną tarczę. Nic nie mogło jej zranić, nie dotknąć, żaden smutek czy ból. Tylko czysta radość i pewność, że wszystko jest dokładnie tak, jak powinno być. A potem coś się stało i ta cudowna pewność znikła.

Nie bądź głupia, podpowiedział cichy głosik w jej głowie. Nie „coś” się stało, tylko zginęło czworo ludzi. Cztery trupy w twoim domu, częściowo z twojej winy.

Zignorowała go, tak samo jak niepokój. Była ostrożna niczym człowiek, który spadł z pędzącego roweru, więc teraz siada na siodełku, uważając na każdy ruch. Nie traciła jednak optymizmu, bo przecież wszystko da się naprawić. Porozmawia z Carlem i znów będzie jak dawniej. Przecież tak naprawdę to nie była jej wina. Mogłaby to powiedzieć już wcześniej, ale wtedy nie potrafiła pozbierać myśli. Carlo zresztą też wyglądał na oszołomionego, więc dobrze, że nie zwracała mu głowy swoimi problemami.

Teraz gdy było po wszystkim, będą mogli spokojnie porozmawiać.

Na podeście schodów zobaczyła Morgię. Stał pod oknem, a w świetle księżyca tatuaże na jego umięśnionych ramionach wyglądały niepokojąco żywo i niemal ładnie, choć wykonane zostały prymitywną metodą, przy pomocy żyłki i węglowego tuszu.

– Nie widziałeś może Carla? – zapytała.

– A co, zwał ci z łóżka? – Morgia obrócił w jej stronę egzotyczną twarz o wąskich oczach i wystających kościach policzkowych.

– Obudziłam się, a jego nie było – poprawiła. Tak brzmiało zdecydowanie lepiej.

– Jest na tarasie. – Twarz Morgii drgnęła, jakby mężczyzna się zawahał, czy mówić dalej.

– Obcy znów się pojawili.

– Ach – Eva poczuła przypływ podniecenia, który niemal wyparł niepokój. Obcy. – W takim razie też popatrzę. Chcesz iść ze mną?

Pokręcił głową.

– Nie, i ty też nie powinnaś, jeśli jesteś mądra. Noc jest po to, żeby spać, a nie gapić się nie wiadomo na co.

Kierując się na taras, zerknęła za siebie. Mężczyzna wciąż stał przy oknie. Widać nie stosował się do własnych rad.

* * *

Na tarasie Eva wzięła wolne krzesło i usiadła obok Carla. Prócz nich było tu jeszcze kilka osób, lecz tamci siedzieli nieco dalej, tak że chłopak i dziewczyna mogli rozmawiać swobodnie, jeśli tylko nie podnosili głosu.

– Powinieneś mnie obudzić – powiedziała Eva.

– Pomyślałem, że potrzebujesz snu.

Skinęła tylko, przyznając mu rację. Nie miała pretensji, nie o taki drobiazg.

– Gdzie są statki Obcych?

– Niedaleko Koloseum... Moment... o, patrz, jest jeden! I drugi!

Od strony pozostałych osób siedzących na tarasie dobiegło zbiorowe „Ach!”. Eva i Carlo milczeli, gdy w niebo wzbłyły się dwie srebrzyste kule, wisiały przez chwilę nieruchomo, po czym zatoczyły łagodny łuk i poleciały na zachód. Dziewczyna przymknęła oczy, lecz zamiast odbitych na wewnętrznej stronie powiek statków zobaczyła cztery martwe ciała leżące na zbrzydanej krwi podłodze hotelowego pokoju.

Noel, który niedawno przybył do Rzymu i potrafił przywracać ludziom życie.

Jeden z ich sąsiadów, stary, samotnie żyjący i nieco szalony mężczyzna, którego Carlo kazał przynieść do Athenaeum po to, by wypróbować zdolności wskrzesiciela. Nie wiedzieli nawet, jak ma na imię. Nikt nigdy nie wpadł na to, by zapytać, choć starzec mieszkał obok nich przez ostatnie kilka miesięcy.

I wreszcie Gianni oraz Ninetto. Gianni, który bez wahania wpakował choremu kulę w serce, i Ninetto, który strzelał do ducha, a w rezultacie zabił dwie osoby.

Eva sądziła dotąd, że jest oswojona ze śmiercią – widywała już przecież ludzkie zwłoki – ale na coś takiego nie była przygotowana. Tyle krwi, a oni wszyscy, zwłaszcza mały Ninetto, umierali w męczarniach, walcząc o każdy oddech. Śmierć powinna być szybsza, bardziej... elegancka. Nie taka, nie zadana w ten sposób.

– Carlo? – szepnęła.

– Mhm.

– Znałeś ich? Gianniego i Ninetta?

– Nie wiem... To znaczy widywałem ich od czasu do czasu, jasne, że tak, chyba nawet z którymś z nich kiedyś rozmawiałem, ale nie wiem, czy przypomniałbym sobie ich imiona.

Eva wolno skinęła głową. Dla niej również Gianni i Ninetto istnieli wyłącznie jako anonimowe postacie, które od czasu do czasu mijała na schodach. To właśnie był problem. Zarówno ona, jak i Carlo zawsze czuli się inni od „chłopców”, bo tak właśnie ojciec Carla nazywał swoich ludzi. Inni i tak naprawdę lepsi, bo nigdy nie musieli wychodzić z bronią na ulice, tylko bawili się w domu.

Przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl.

– Gdyby Gianni i Ninetto nie zginęli... – zaczęła z wahaniem.

– Tak?

– Kazałbyś Morgii ich ukarać? No wiesz, za to, co zrobili.

Spojrzał na nią z lekkim zniecierpliwieniem. Wystraszyło ją to – Carlo nigdy dotąd tak na nią nie patrzył.

– Nie mogę Morgii niczego kazać. On robi, co chce.

– Przecież pracuje dla ciebie – zaprotestowała cicho.

Chłopak pokręcił głową.

– Pracował dla mojego ojca. Teraz po prostu posługuje się moim nazwiskiem, bo tak mu wygodniej, ludzie wciąż jeszcze czują dla Nicolodich respekt. Po to mu jestem potrzebny – w jego głosie zabrzmiała gorycz.

Eva nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy dotąd nie rozmawiali na podobne tematy i nawet nie przyszło jej do głowy, że tak właśnie może wyglądać sytuacja, choć teraz gdy Carlo o tym wspomniał, wydawało się to oczywiste.

Jesteś głupia, szepnął głosik w jej głowie. Wiedziałaabyś, gdybyś się choć trochę zastanowiła, ale ty wolałaś przez cały czas bujać w obłokach. Zakochana idiotka.

Carlo wyglądał na przybitego, a Eva miała ochotę objąć go i pocieszyć. Nie zrobiła tego, bo nagle przestała ufać własnemu instynktowi. Być może chłopak wcale nie chciał, by go obejmować i pocieszać na oczach siedzących niedaleko ludzi. Zamiast tego splotła więc palce. Jej dłonie sprawiały wrażenie lodowatych, choć noc nie była zimna.

Wszystko będzie dobrze, powtórzyła dziewczyna w myślach. Wszystko będzie dobrze.

– Jeśli Morgia sam podejmuje decyzje, to robi to źle – zaczęła ostrożnie. – Nie panuje nad ludźmi. Kiedyś chłopcy pili i épali od czasu do czasu, a teraz co chwila spotykam kogoś, kto wygląda jak zombie. Zauważyłeś?

Wzruszył ramionami. Wydawał się taki młody, tak chłopięco bezradny.

– Do tej pory jakoś ci to nie przeszkadzało.

– Wiem – zdecydowała się na szczerłość. – Ale powinno, prawda? Twój ojciec czuł się odpowiedzialny za nich wszystkich...

– Jasne, a ta odpowiedzialność polegała na tym, że wysyłał chłopców, żeby terroryzowali ludzi i kradli. Morgia robi dokładnie to samo, tylko bardziej im pobłaża, więc co za różnica? Przynajmniej mają z życia więcej przyjemności. To brudna robota, wiesz? Ale dzięki nim ja mam mnóstwo dobrego żarcia, ciuchy, w których nie wyglądam jak ostatni szmaciarz, a nawet cholerne płyty przy których mogę potaćzyć, o ile oczywiście zmarli są w dobrym nastroju i zechcą je odtworzyć.

Przeraziła ją pełna pasji gorycz w jego głosie i to, co sugerował.

– I ja też mam to wszystko, tak? To chciałeś powiedzieć? Korzystam z tego za darmo...

– Nie, nie. – Wyglądał teraz na wystraszonego. – Wcale nie. Nawet tak nie myśl. Tylko dzięki tobie tu wytrzymuję. Ty jesteś inna, jesteś wszystkim, co mam...

Uśmiechnęła się z ulgą i odzyskawszy nieco pewności siebie, wzięła Carla za rękę. Chłopak się odprężył. Eva najchętniej siedziałaby tak do rana, ale było coś jeszcze, co musiała zrobić.

– To, co się stało, to nie była moja wina – rozumiesz to, prawda? Wcale nie uważałam, że powinniśmy zabić tego staruszka. To był tylko głupi żart, nic więcej, nie przyszło mi do głowy, że ktoś go weźmie na poważnie. Wiesz o tym?

– Wiem – przytaknął, trochę zbyt zdawkowo, żeby poczuła się naprawdę usatysfakcjonowana. Wszystko jest dobrze, powtarzała w myślach, ściskając dłoń Carla. Nie potrafiła jednak do końca pozbyć się niepokoju, zwłaszcza że zdarzyło się coś jeszcze. Dwa fakty na pozór błahe, bez znaczenia, a jednak tkwiące w jej pamięci i uwierające jak kamień w bucie.

Po pierwsze, jeszcze wtedy, w pokoju, gdy stała tuż obok kałuży krwi i patrzyła na martwe ciała, miała ochotę ednego z nich dotknąć. Choć „ochota” to może nie było właściwe słowo – czuła potrzebę, żeby położyć trupowi dłoń na piersi, a potem... coś zrobić, nie była pewna co, ale wiedziała, że zorientuje się później, gdy tylko wykona ten pierwszy ruch. I pewnie zrobiłaby to, gdyby Carlo nie objął jej wtedy i nie wyprowadził z pokoju, przekonany zapewne, że Eva ociąga się z wyjściem, bo jest w szoku.

Po drugie, idąc na taras, minęła pomieszczenie, w którym stał gramofon. Dobiegały stamtąd słowa piosenki, co samo w sobie nie było niczym dziwnym, duchy bowiem odtwarzały płytę niezależnie od tego, czy żywi słuchali czy też nie. Tym razem jednak wokalista śpiewał chrapliwym, jakby... brudnym głosem, niektóre samogłoski rozciągały się i powracały zniekształcone echem, przywodząc na myśl kogoś, kto woła z głębi studni. W tle rozbrzmiewały szумы i trzaski, a Ewie zdawało się przez chwilę, że w tym wszystkim wyczuwa coś jeszcze, coś ledwo uchwytnego.

Wściekłość, uświadomiła sobie znacznie później, gdy już siedziała na tarasie i obserwowała krążące nad Rzymem srebrzyste kule. To mogła być wściekłość.

* * *

Elisha odciął łeb kogutowi. Ptak wciąż jeszcze się wyrywał, więc przytrzymał go mocno, pilnując, by krew lała się dokładnie w wyznaczone miejsce. Potem wrzucił zwłoki do wiklinowego koszyka i dla pewności zamknął wieko – martwe ciało co prawda podrygiwało już tylko żałośnie, ale ostrożności nigdy za wiele.

Zanurzył palec w ciepłej krwi i wyrysował symbole. Jeden, największy, na podłodze urzędu pocztowego, kilka mniejszych na ścianach, ladzie i resztkach czarnej od brudu szyby. Były koślawe, krew mieszała się z kurzem, a na podłodze także z rzadkim błotem, ale nie miało to znaczenia – znaki miały dezorientować zmarłych, a to zadanie spełniały, nawet jeśli nie wyglądały idealnie. Najważniejszy był symbol na telefonie i ten Elisha nakreślił bardzo starannie, wcześniej oczyściwszy aparat na tyle, na ile mógł. Resztką krwi namazał jeszcze kilka kresek na czole i policzkach starszej kobiety, którą poznał dziś rano, a która przedstawiła mu się jako Antonia „Mów mi Toni” Scalzi.

Toni chciała zadzwonić do córki. O tej dziewczynie Elisha wiedział już zdecydowanie więcej, niżby chciał. Że ma na imię Sonia, jest mądra, śliczna i nigdy, nawet gdy była nastolatką, nie sprawiała kłopotów. A przede wszystkim że niedawno znalazła mężczyznę, który prawie – bo jednak niezupełnie – był jej godzien. Toni paplała przez całą drogę, lecz teraz umilkła, wystraszona i pobleadła. Sonia wyprowadziła się ze swoim niemal idealnym chłopakiem do Florencji, umówiwszy się wcześniej z matką, że co dwa miesiące będą rozmawiać przez telefon. Dziś wypadał pierwszy z umówionych dni i Toni, która nie wiedziała nawet, czego się spodziewać, nerwowo wyłamywała palce.

– Ale to bezpieczne, prawda? – zapytała po raz kolejny. – Nic mi się nie stanie, kiedy będę dzwonić?

– Prawie bezpieczne – powtórzył Elisha. Kobieta wyraźnie chciała wymusić na nim zapewnienie, że absolutnie nic jej nie grozi, ale on nie mógł się na to zgodzić. – Dzięki moim symbolom duchy zignorują telefon i skupią się na krwi, którą będą mogły smakować. Zmarli bardzo lubią krew, więc nawet cię nie zauważą.

– A jeśli jednak zauważą? Będą chcieli mnie zabić?

Owszem, istniała szansa, że mimo ochronnych znaków duchy zwrócą na nią uwagę i zapragną kobietę zabić – by ukarać za używanie tego, co do nich należy, lub z innych, sobie tylko znanych powodów. Wówczas Toni będzie ścigana przez zmarłych tak jak Noel. Takie rzeczy się zdarzały, rzadko, ale jednak. Mimo to Elisha nie odpowiedział, wiedział bowiem, że kobieta nie tego oczekuje.

– Wszystko będzie dobrze. – Poklepał ją po plecach z uśmiechem, który miał dodać otuchy. – Zadzwon do córki i dowiedz się, co u niej słychać. Ja zaczekam na zewnątrz. Gdybyś mnie potrzebowała, wystarczy zawołać.

Najwyraźniej wybrał odpowiednie słowa, bo Toni, choć nadal z niezbyt pewną miną, podeszła do telefonu, po czym z kieszeni sukni wyciągnęła wymiętoszoną kartkę. Elisha widział jeszcze, jak przesuwając palcem po papierze, szuka numeru i podnosi słuchawkę. Potem wyszedł.

Usiadł na schodach urzędu, zastanawiając się, czy kobieta na pewno ma właściwy numer. Po mieście krążyło sporo ocalałych książek telefonicznych, ale nie wszystkie były aktualne. Albo telefon na florenckiej poczcie będzie zepsuty. Z drugiej jednak strony ludzie z ust do ust przekazywali sobie, które numery działają, a które nie, więc całkiem możliwe, że Toni uda się porozmawiać z córką.

Sięgnął po papierosa i palił przez chwilę, ciesząc się ciepłem popołudniowego słońca. Niedługo przyjdzie jesień, a potem zima. Elisha wzdrygnął się na samą myśl o deszczu i zimnie wciskającym się przez szpary do mieszkania. Długie noce, chłód, wilgoć i brak świeżego jedzenia – jego starzejący się organizm coraz gorzej to znosił. Może Elisha powinien udać się na południe, na przykład do Neapolu. Ostatecznie dla szamana wszędzie znajdzie się praca, a kiedyś mówiło się „zobaczyć Neapol i umrzeć”.

No, może tę drugą część mógłby sobie darować. Wystarczyło mu zobaczyć.

Rzucił niedopałek na schody i rozgniół go obcasem. Już wtedy, patrząc pod nogi, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, a gdy uniósł głowę, zobaczył stojące po drugiej stronie ulicy dziecko, chłopca tak małego, że zapewne niedawno nauczył się chodzić i wciąż jeszcze z trudem utrzymywał się w pionie. Elisha uśmiechnął się niepewnie – instynkt nakazywał mu natychmiast podbiec, chwycić malca w ramiona i szukać matki, ale doświadczenie podpowiadało, że dziecko może być martwe.

I faktycznie było – szaman poznał to, gdy drobna sylwetka rozmazała się, by po chwili znów nabrać konkretnego kształtu.

Cóż, przynajmniej mnie nie zwyzywa, pomyślał Elisha z wisielczym humorem. Wątpię, żeby ten mały znał więcej niż trzy słowa.

Chłopiec przeszedł chwiejnie kilka kroków, po czym opadł na czworaki i porazkował w stronę leżącego na środku ulicy przedmiotu, gdzie zniknął. Zaciekawiony szaman wstał. Przedmiot z daleka wyglądał jak czerwone jajko, a z bliska okazał się zabawką składającą się z plastikowej obudowy i ciekłokrystalicznego wyświetlacza. Obudowa była brudna i porysowana, lecz Elisha miał pewność, że w środku kryje się lśniący nowością mechanizm. Nikt dotąd nie wyjaśnił, w jaki sposób zmarli potrafią konserwować niegdyś elektryczne urządzenia, ale niewątpliwie to właśnie robili.

Gdy Elisha przetarł wyświetlacz rękawem, zobaczył wielkogłowe i wielkookie zwierzątko: królika czy może psa, trudno było stwierdzić. Pies czy też królik zamerdał ogonkiem, po czym rozdziawił pyszczek, jakby domagał się jedzenia.

Szaman odłożył zabawkę tam, gdzie ją znalazł. Na chwilę opanował go smutek. To się zdarzało od czasu do czasu, odkąd Noel zginął. Szaman wstawał rano, jadł, pracował, palił albo wypoczywał i wydawało się, że wszystko jest w porządku, a potem nagle przychodziła czarna rozpacz jak cios w brzuch, który pozbawiał tchu i wyciskał łzy z oczu.

Poczłapał w stronę najbliższego budynku i oparty o ścianę poczekał, aż mu przejdzie. Gdy Toni pojawiła się na schodach urzędu pocztowego, wyglądał już prawie normalnie, nie musiał więc odpowiadać na pytania: „Co się stało?” oraz „Dobrze się pan czuje?”. Inna rzecz, że kobiety i tak by to nie interesowało. Myślała teraz wyłącznie o córce i pierwszym wnuku, który był już w drodze.

Elisha grzecznie skierował rozmowę na kwestię zapłaty, a potem się pożegnał. Do domu wracał w lepszym humorze – liczył najwyżej na cztery paczki tytoniu, lecz Toni bez problemu zgodziła się na sześć.

* * *

Pod drzwiami jego mieszkania siedziała dziewczyna. Miała jaskraworude rozczochrane włosy i sukienkę w zielone groszki. Nie poznał jej w pierwszej chwili i dopiero gdy wstała,

zorientował się, że to Eva. Pomarańczowa czupryna dodała jej zadziornego wdzięku, który mu się podobał.

– Mam do pana sprawę – powiedziała.

Sięgnął po klucz. Wielu ludzi nie zamykało drzwi, bo w ich mieszkaniach i tak nie było czego kraść, lecz on trzymał w domu sporo dobrego jedzenia oraz leki, które niewłaściwie użyte mogły nawet zabić.

– Wejdz.

Poczęstował ją mlekiem z cynamonem i dopiero potem zapytał, po co przyszła. Eva nie spieszyła się z odpowiedzią, ale kiedy już zdecydowała się mówić, zrobiła to bez owijania w bawełnę.

– Myślę, że potrafię wskrzeszać ludzi – oznajmiła.

Elisha nie uniósł brwi w wyrazie ironicznego zdumienia, nie roześmiał się, nie zapytał: „Co ty, dziecko, wygadujesz?”. To prawdopodobnie były właściwe reakcje, ale Elishę na przekór wszystkiemu opanowała wariacka nadzieja. Zaciśnął dłonie na kubku z mlekiem tak mocno, aż zaboląły palce, i odetchnął, z trudem tłumiąc nadzieję do poziomu ostrożnego optymizmu.

– Nie rozumiem...

– Ten człowiek, Noel, tak? Ten, który przyszedł z panem i chciał obejrzeć film, i którego zabił jeden z naszych ludzi... Nawiasem mówiąc, bardzo mi przykro, że tak się to skończyło, ja naprawdę tego nie chciałam.

– Noel, owszem. I wiem, że nie chciałaś. Mów dalej.

– On musiał mi przekazać swój dar. Wtedy, kiedy umierał i chwycił mnie za rękę. Już wtedy coś czułam, trudno to opisać, ale miałam wrażenie, że powinnam oprzeć dłonie na piersi kogoś ze zmarłych i GO OŻYWIĆ – Elisha niemal usłyszał wielkie litery.

– Nie zrobiłam tego wtedy – kontynuowała dziewczyna – ale męczyło mnie to. Siedziało głęboko, o, tu, i mnie męczyło.

Gestem, który u każdego innego człowieka wyglądałby pretensjonalnie, położyła dłoń na sercu. Pasowała do niej ta teatralność, zwłaszcza że dziewczyna była cholernie pewna siebie. Patrzyła mu prosto w oczy bez śladu zakłopotania, panowała nad każdym ruchem, jakby całą tę scenę miała już przećwiczoną.

– Wiem, że pan mi nie wierzy – dodała, potwierdzając jego podejrzenia, bo przecież nie dał jej żadnego powodu, aby tak sądziła, musiała więc z góry to założyć. – Sama sobie też zresztą nie wierzyłam. Dlatego można powiedzieć, że poniekąd wypróbowałam moje zdolności. Widzi pan, wtedy... wtedy zginęło czworo ludzi, a my pochowaliśmy od razu troje, w tym pańskiego przyjaciela, ale jednego, Ninetta, zostawiliśmy w zimnej piwnicy, żeby tam czekał, aż zjawi się jego matka, która mieszka na wsi niedaleko Rzymu. Pomyśleliśmy, że chciałaby go jeszcze zobaczyć, zanim pójdzie do ziemi, rozumie pan?

– A ty zeszłaś do tej piwnicy i ożywiłaś go? – Elisha odłożył kubek. Bał się, że jeśli nie

przestanie go ścisnąć, szkło pęknie.

– Niezupełnie. – Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się cień wątpliwości. – To znaczy tak, ale tylko na chwilę. On... się poruszył, otworzył oczy, a potem znowu był martwy. Myślę – dodała rozsądnie – że dla niego było po prostu za późno, w końcu ciało leży w piwnicy od trzech dni. Gdybym zdecydowała się wcześniej, mogłabym mu... pomóc.

Tym razem pauza podkreślała, że Eva świadomie użyła słowa, którym posługiwał się Noel. Elishę to zabolowało, bo dziewczyna bardzo się od Noela różniła. On był zagubiony i zmęczony, ona pewna siebie i energiczna. Szamanowi wydawało się to niewłaściwe, jakby nieprzystające do tragedii, z jakimi wskrzesiciel miał do czynienia.

Może się zwyczajnie starzeję, pomyślał. Może to jest to.

– I co zamierzasz teraz zrobić?

– Cóż, przede wszystkim zamierzam się upewnić, że naprawdę potrafię wskrzeszać. Potem... potem się zastanowię.

Tym razem wyczuł w jej głosie ostrożność, przez moment nawet myślał, że dziewczyna jest jednak oszołomiona nową dla niej sytuacją, i gotów był spieszyć z pocieszeniem. Ale nie, zaraz dodała: „Jest tyle różnych możliwości” i Elisha pojął, że to nie jest ostrożność człowieka, który czuje się zagubiony, a po prostu kogoś, kto na chłodno rozważa dostępne opcje, pewien, że jeśli tylko dobrze się namyśli, wybierze tę właściwą.

– Jest tyle różnych możliwości – powtórzyła Eva. – Ktoś z takim darem mógłby na przykład skupić wokół siebie ludzi. Ja i Carlo moglibyśmy zacząć walczyć ze zmarłymi, odzyskać dla nas miasta. Ludzie nie baliby się bić, bo wiedzieliby, że kiedy umrą, zostaną wskrzeszeni.

Elisha skinął głową. Zrobił to niechętnie, z ociąganiem, choć gdy poznał Noela, sam o czymś podobnym myślał. Tyle że w ustach tej dziewczyny brzmiało to po prostu dziecinnie. Ona nie zdaje sobie sprawy, jak byłoby to trudne, pomyślał. I jak dużo ludzi musielibyśmy mimo wszystko poświęcić, bo przecież nie każdego da się wskrzesić.

Jednak tak naprawdę to nie było ważne. W każdym razie nie w tej chwili. Gdy Noel zginął, wszystko straciło sens, a teraz z powrotem go nabrało. Być może jednak istniał jakiś plan i Eva była jego częścią, tak jak wcześniej częścią planu był Noel. Może. A jeśli tak, to Elisha powinien wrócić do tego, co zamierzał zrobić przed trzema dniami.

– Będę musiał jednak obejrzeć tę taśmę – powiedział. – To prawda, że są na niej Obcy i że mówi się tam o ich związkach ze zmarłymi? To może być bardzo ważne.

Streścił jej pokrótce okoliczności, w jakich Noel otrzymał swój dar. Eva słuchała z ciekawością, lecz kiedy Elisha skończył mówić, potrząsnęła energicznie rudą czupryną.

– Problem w tym, że ja tego filmu nie widziałam. Nikt go nie widział. Mieliśmy urządzić sobie seans w trójkę, ja, Carlo i jego ojciec. Nicolodi wynajął już nawet szamana, żeby zajął się projektorem i skłonił zmarłych do odtworzenia taśmy. Tyle że szaman okazał się niekompetentny i duchy wcale nie chciały go słuchać, więc Nicolodi się wściekł i kazał

szamanowi wynosić się z miasta, bo jeśli kiedyś go jeszcze spotka, to... zrobi mu mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. – Roześmiała się. – Tak, wiem, plotki mówią zupełnie coś innego. Ale ja mówię, jak było. Potem oczywiście Nicolodi miał zamiar zapłacić innemu szamanowi, ale zanim znalazł kogoś sensownego, zaczęły się kłopoty i został ranny. – Spoważniała, oczy przesłoniła jej mgiełka wspomnianego bólu. – I kiedy leżał w łóżku coraz bliższy śmierci, Carlo powtarzał mu, że kiedy wyzdrowieje, to razem obejrzymy film, jak planowaliśmy. Rozumie pan? Carlo do końca nie wierzył, że jego ojciec może naprawdę umrzeć.

– A kiedy jednak umarł, Carlo nie miał już ochoty oglądać filmu, bo przez cały czas pamiętałby, że planował seans z ojcem. Rozumiem i naprawdę współczuję chłopakowi. Ale ty zrozum, że ja muszę wiedzieć, co jest na tej taśmie. Szczerze mówiąc, skoro nikt tego filmu nie widział, to skąd wiadomo, że tam jest coś o związkach Obcych ze zmarłymi?

Eva uśmiechnęła się szeroko.

– Bo ma naklejkę, taką żółtą, samoprzylepną, na której jest napisane: „Obcy, zagrożenie czy nadzieja?”. A umarli niewątpliwie są zagrożeniem, prawda?

– Tym bardziej powinniśmy to zobaczyć.

– Wiem. Porozmawiam z Carlem i myślę, że się zgodzi.

* * *

– Uważajcie, trochę tu ślisko.

Carlo schodził pierwszy, świeca chybotąła się w jego dłoni, rzucając cienie na zbudowane z gołych cegieł ściany. Elisha szedł za Evą, trzymając się poręczy. Stopnie faktycznie były wyszlizgane, wyczuwało się w nich nawet niewielkie wgłębienia w miejscach, gdzie ludzie częściej stawiali stopy. To musiała być cholernie uczęszczana knajpa, pomyślał, sądził bowiem, że w piwnicach niegdyś znajdował się bar, czy może restauracja. Świadczyły o tym szerokie, wydeptane schody, poręcz, której mógł się przytrzymać, i resztki plakatów na ścianach. A w powietrzu wciąż wyczuwało się lekki zapach wina, choć to akurat mogło być złudzenie – możliwe, że podobne miejsca po prostu zbyt silnie kojarzyły mu się z dojrzewającym w podziemnej ciemności chianti.

Gdy zatrzymali się przed zakratowanymi drzwiami, Carlo podał Evie świecę, a sam wyjął z kieszeni klucz i wsunął go do zamka.

Eva odwróciła się do Elishy. W blasku płomienia jej twarz była biała i ściągnięta lękiem.

– Słyszysz pan to? Słyszysz pan, prawda?

W pierwszym odruchu chciał zaprzeczyć, ale dziewczyna miała rację – zza drzwi faktycznie dobiegały głosy. Dźwięk podnosił się i opadał jak fala, to cichszy, to znów głośniejszy, i przez chwilę był na tyle wyraźny, że Elisha mógł rozróżnić słowa:

Na pokładzie samolotu lecącego z Larnaki do Pragi zginęło ponad stu

pasażerów... Katastrofa kolejowa w Niemczech, dwadzieścia pięć osób zabitych... Do pięciu wzrosła liczba śmiertelnych ofiar karambolu koło Rzymu...

– To z radia – wyjaśniła Eva. – Tam jest takie śmieszne wielkie radio, ojciec Carla mówił, że z początku dwudziestego wieku. Dziwne, nigdy wcześniej nie nadawało takich informacji. I... czuje pan, prawda?

Elisha powoli skinął głową. Owszem, pod suchymi liczbami wyczuwał coś jeszcze, coś więcej. Wściekłość. Gorycz. Nienawiść.

– Mój gramofon ostatnio też się dziwnie zachowuje, kiedy jestem w pobliżu...

Złapał ją za ramię i ścisnął tak mocno, że krzyknęła. Jak mógł to przeoczyć? Głupiec, po trzykroć głupiec. Na samą myśl o tym, na co niemal naraził tę dziewczynę, poczuł słabość w kolanach.

– Czy w kolekcji Nicolodiego są jeszcze inne przedmioty kiedyś działające na prąd?

– Tak, oczywiście. – Patrzyła na niego zdziwiona. – Nicolodi zbierał wszystko, co unikalne. Głównie obrazy i rzeźby, ale urządzenia elektryczne też.

– W takim razie nie możesz tam wejść.

Eva zaczynała rozumieć.

– Umarli chcą mnie skrzywdzić?

Przytaknął.

– I zrobią to, jeśli tylko dasz im okazję. Na twoim miejscu nie zbliżałbym się nawet do gramofonu.

Spróbowała parsknąć lekceważąco, ale w jej śmiechu słychać było napięcie.

– Co złego może mi zrobić gramofon?

Wzruszył ramionami.

– Sporo, jeśli wybuchnie ci prosto w twarz.

Przeniósł wzrok na Carla, który od pewnego czasu przysłuchiwał się rozmowie.

– Mam nadzieję, że ty to rozumiesz? Ona nie może tam z nami wejść.

– Jasne. – Chłopak spojrział na dziewczynę. – Proszę, nie bądź uparta. Obiecuję, że szybko wrócimy. Gdzieś powinny być dodatkowe świece...

Zniknął w mroku za drzwiami, skąd wrócił po chwili z zakurzonym drewnianym pudełkiem. Podając dziewczynie świecę, którą odpalił od swojej, zawahał się na moment.

– Możesz też poczekać na górze, jeśli chcesz...

– Nie – potrząsnęła rudą czupryną. – Zostanę tutaj. Tylko wracajcie naprawdę szybko.

* * *

Patrzyła za nimi, dopóki płomyk trzymanej przez Carla świecy nie wtopił się w mrok. Przez chwilę słyszała jeszcze echo kroków, a potem i ono znikło.

Żałowała, że nie może tam wejść. Że prawdopodobnie już nigdy nie będzie mogła. Carlo nie podzielał pasji ojca, lecz Eva doskonale ją rozumiała. Piwnice miały w sobie coś z romantyzmu królewskiego skarbcza albo tajemnej kryjówki zbójców, o których czytała w jednej z książek. Tylko dla wybranych, przypadkowym osobom wstęp wzbroniony.

Drgnęła nerwowo, gdy temperatura wokół nagle spadła. Umarli, pomyślała i na moment jej umysł zalała fala czystej paniki. Dziewczyna nie rzuciła się do ucieczki tylko dlatego, że czuła – właśnie czuła, bo do logicznego rozumowania nie była zdolna – że jeśli spróbuje biec po schodach (ŚLISKICH schodach), może się przewrócić i zgasić świecę. A wtedy zostanie w ciemności sam na sam z umarłymi.

Spokojnie, nakazała sobie. Oni nie mogą mi nic zrobić. Nie są na to dość... materialni.

Dwa uderzenia serca później zobaczyła Noela. Stał poza kręgiem złotego blasku i patrzył na nią z mroku. Nie widziała jego oczu, ale i tak była pewna, że patrzy. Mężczyzna poruszył się i przekroczył granicę światła. Teraz widziała go wyraźnie: stał tak blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć jego twarzy.

Wyglądał bardzo, bardzo materialnie.

Eva cofnęła się odruchowo, wydając zduszony okrzyk. Świeca, którą trzymała, zachybotała się i na skórę dziewczyny padła kropla gorącego wosku. To ją otrzeźwiło.

Uświadomiła sobie, że niedaleko jest piwnica, w której wciąż leży martwe ciało. A przed trzema dniami było ich cztery. Cztery ciała i sporo krwi. Noel musiał napić się jej wystarczająco dużo, nim zakrzepła, i dlatego wciąż wyglądał tak realnie, niemal jak żywy człowiek. Był tylko bardzo blady, a jego szeroko otwarte oczy wydawały się nienaturalnie wielkie.

Wyciągnął dłoń i dotknął jej ust. Wrażenie było takie, jakby musnęła je meduza. Zimny, galaretowaty nacisk.

– Proszę, nie – wyjąkała, cofając się jeszcze bardziej w stronę drzwi za plecami. – P... proszę...

– Rozumiesz, że muszę cię zabić? – szeptał brzmiały jak szelest, jakby przez wydrążony w ziemi tunel przepychał się owad. To było to: dźwięk pocierania skrzydłem o skrzydło i szmer sypiącego się pyłu.

Eva mimowolnie zarejestrowała, że ramieniem właśnie otarła się o otwarte drzwi do piwnic. A więc wciąż się cofała i znajdowała się już na granicy bezpieczeństwa. Dobiegający z radia głos słyszała teraz bardzo wyraźnie:

Ekipa ratunkowa wciąż wydobywa nowe zwłoki... Policja poszukuje osoby odpowiedzialnej za...

Odchrząknęła, zbierając resztki pewności siebie. Da sobie radę, zawsze sobie dawała. Wszystko będzie dobrze.

– Nie możesz mnie skrzywdzić.

– Och, naprawdę? – Ponownie dotknął jej ust i znów poczuła ten zimny, meduzowaty nacisk.

Dziwne, ale nie wyczuwała w Noelu wściekłości. Gorycz tak, trochę też złości, ale z pewnością nie wściekłość.

To obudziło w niej nadzieję. Może ten mężczyzna za życia był tak łagodny, że nawet po śmierci zachował odrobinę dobroci.

– Moglibyśmy się dogadać... – spróbowała. – Ja... Naprawdę bardzo mi przykro, że umarłeś. Pewnie mnie za to winisz i rozumiem cię, ale ja tego nie chciałam. To był dowcip, głupi, wiem, ale naprawdę nie mogłam przewidzieć skutków. Nie... proszę, nie rób tego.

Znów jej dotknął, a ona znów się cofnęła. Była już w pierwszej piwnicy, radio za jej plecami szalało z podniecenia, podając coraz wyższe liczby ofiar w coraz większych katastrofach.

– Nie chodzi o moją śmierć. Teraz jestem szczęśliwy. Ty też za chwilę będziesz szczęśliwa.

– Nie... – głos Ewy zamienił się w zduszony jęk. Kolejny krok do tyłu. Drzwi zostały przed nią w ciemności, nawet ich już nie widziała. Chciałaby mieć na tyle odwagi, żeby odepchnąć Noela i pobiec do przodu, zamiast ciągle się cofać, ale nie miała. Na samą myśl, że musiałaby chwycić to galaretowate ciało, ogarniała ją mdłości.

Jednak przynajmniej przestanie się cofać. Tyle może zrobić. Następnym razem, kiedy Noel dotknie jej twarzy, dziewczyna nawet nie drgnie. To tylko zmarły, nic nie może jej zrobić. Nikt nigdy nie słyszał o przypadku ducha, który bez pomocy elektrycznego urządzenia potrafiłby skrzywdzić żywego.

– Nie... pójdę... dalej... – Odchyliła głowę jak najmocniej do tyłu, gdy nad jej policzkiem znów zawisła blada dłoń.

– Ależ pójdziesz. – I oczywiście znów się cofnęła.

Eva zamknęła oczy, po czym wrzasnęła.

* * *

– Słyszał pan to? – W trzeciej piwnicy Carlo niespokojnie uniósł głowę. – Jakby krzyk...

– Eva?

Spojrzeli na siebie, a potem jednocześnie rzucili się w stronę drzwi.

* * *

Eva otworzyła oczy. Noel zniknął. A w każdym razie nie było go przed nią, bo za jej plecami niewątpliwie ktoś stał. Albo coś.

Odwróciła się, powoli, bo mięśnie nie bardzo chciały jej słuchać.

Zobaczyła wysoką na półtora metra rakieta kosmiczną, całą dygoczącą pod wpływem pracującego wewnątrz silnika. Wyrafinowaną zabawkę, w której sadzano maluchy, by poczuły się jak astronauty. Z całą pewnością nie powinna móc się poruszać – potrafiła tylko kołysać się w miejscu – a jednak jakimś cudem nie stała już przy ścianie, tylko naprzeciwko drzwi.

Na obudowie rakiety dwoje dzieci, chłopczyk i dziewczynka, ubranych w skafandry i z baniakowatymi hełmami na głowach, machało w stronę słońca. Na ich twarzach widniały szerokie uśmiechy; barwy obrazka były soczyście wesołe.

Eva pomyślała, że rakieta wędrowała, podrygując centymetr po centymetrze jak piorąca pralka, zagłuszana przez dźwięki radia, podczas gdy dziewczyna się cofała. Ubawiłoby ją to, gdyby nie było tak cholernie przerażające i jednocześnie nieprzypadkowe, bo tę pułapkę niewątpliwie zastawiono z rozmysłem.

Wszystko to przeleciało jej przez głowę w ułamku sekundy. Zdążyła jeszcze zarejestrować krzyk nadbiegającego Carla. Nie zdążyła uciec, bo w tej chwili zabawka zmieniła się w kłęb ognia i ostrych jak brzytwy odłamków, które rozprysły się wokół.

* * *

– No dalej, zrób to. Dasz radę. Wiem, że potrafisz.

Ktoś czegoś od niej chciał, a ona wiedziała, że musi coś zrobić. Zaraz to zrobi... Za moment... Była tak bardzo słaba, ręce i nogi miała ciężkie jak z ołowiu. Serce Ewy biło coraz szybciej, w uszach jej szumiało, z porów skóry tryskał zimny pot. Niepokój przeradzał się w panikę. Muszę... zaraz...

– Nie ruszaj się!

Ktoś trzymał ją za rękę i ścisnął. Teraz, podpowiedział głos w jej głowie. Zrób to, bo za chwilę będzie za późno.

Posłuchała go, a potem odpłynęła w pustkę.

* * *

Ktoś pomógł jej usiąść, ktoś podparł plecy poduszką i przyłożył do ust szklanke.

– Napij się. Powoli.

Przełknęła odrobinę wody, zakrztusiła się i prychnęła. Zimna struga połała się na jej piersi, lepiąc do ciała podkoszulek. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że leży na łóżku, a nad nią pochyla się Carlo. Ponad jego ramieniem zobaczyła pełną niepokoju twarz Elishy.

– Rany – wychrypiała. Jej głos brzmiał dziwnie obco, odchrząknęła więc. – Myślałam, że umarłam.

– Bo umarłaś – powiedział poważnie chłopak, odgarniając jej z czoła włosy. Zaniepokojona dotknęła fryzury, odetchnęła jednak z ulgą, gdy pod palcami wyczuła grzywkę równo obciętą jak u Kleopatry. Ktokolwiek zaniósł ją do łóżka i przebrał, włożył jej także perukę, tę czarną, jedną z ulubionych. Carlo oczywiście, bo któż by inny.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wiedział, jak bardzo Eva nie lubi się pokazywać z gołą głową. Czuła się wtedy gorzej, niż gdyby ktoś przyłapał ją nago.

– Masz na myśli, że było ze mną bardzo źle? Ale w takim razie jakim cudem teraz czuję się zupełnie dobrze? Naprawdę nic mi nie jest...

Urwała, a jej oczy się rozszerzyły, gdy zrozumiała. Carlo potwierdził ruchem głowy.

– Umierając, przekazałaś mi swój dar, a ja cię wskrzesiłem. To był jego pomysł – skinął w stronę Elishy. – Sam pewnie bym na to nie wpadł. Prawdę powiedziawszy, spanikowałem, kiedy zobaczyłem, jak tam leżysz. Wyglądałaś jak jeżozwierz, z twojego ciała wszędzie sterczały odłamki i tak strasznie krwawiłaś...

– Ran było dużo, ale żadna nie była bardzo poważna – dodał szaman. – Gdyby nie to, pewnie nie dalibyśmy rady cię uratować.

Tknęła ją pewna myśl. Eva odrzuciła kołdrę i usiadła, stawiając na podłodze bose stopy. Oprócz peruki i podkoszulka miała też na sobie spodenki gimnastyczne.

– Dlaczego nie pan? – zapytała. – Skoro to był pański pomysł, to czemu sam pan nie wziął ode mnie tego, jak mówicie, daru? Ja nawet nie wiedziałam, komu go przekazuję, więc nie mogłabym mieć nic przeciwko.

Przez twarz szamana przemknął cień poczucia winy.

– Jestem na to za stary – powiedział mężczyzna. – Nie potrafiłbym...

Wzruszył ramionami na znak, że wyjaśnienia są niepotrzebne, bo przecież tamci świetnie wiedzą, o co chodzi. Eva patrzyła na niego, czując, jak wzbiera w niej złość. Carlo ją przytulił.

– Daj spokój. Co się stało, to się nie odstanie. Najważniejsze, że z tobą wszystko w porządku. Teraz zmarli będą polować na mnie, ale jakoś sobie poradzę. Ten człowiek... Noel... żył z tym przez wiele lat, prawda? – pytająco spojrzał na Elishę.

Szaman skinął głową, dodając w myślach: i to go wykończyło psychicznie.

– No więc ja też się nauczę, jak unikać niebezpieczeństwa. A na razie, skoro i tak nie mamy lepszych pomysłów, a ty czujesz się dobrze, proponuję jednak obejrzeć ten film.

* * *

Ciekawe, czy film jest pechowy, myślała Eva w czerwonym półmroku kinowego baru. Na ladzie leżała centymetrowa warstwa kurzu, w której ktoś napisał: „Marco kocha Elenę”, z sal dobiegały głosy ekranowych bohaterów, stłumione przez odległość i brzmiące jak nasycone emocjami szept.

Nicolodi chciał go obejrzyć i zginął, potem to samo spotkało Noela, a wreszcie mnie. Trzy osoby to wciąż przypadek, czy może jednak...?

KLĄTWA, dopisała w kurzu.

Albo ani jedno, ani drugie. Może w dzisiejszych czasach świat jest tak paskudny, że takie rzeczy po prostu się zdarzają.

Zamknęła oczy, czując, jak ogarnia ją znużenie. Powiedziała Carlowi prawdę: fizycznie czuła się zadziwiająco dobrze, zupełnie jakby to, co się stało w piwnicach, było tylko koszmarnym snem, ale psychicznie była kompletnie rozbita. Rozbita, zdezorientowana, oszołomiona – mogła przebierać w określeniach, a każde pasowało. W chwili śmierci Noela jej życie gwałtownie przyspieszyło; zmiany następowały tak szybko, że ledwo uporządkowała chaos i odzyskała pewność siebie, a już coś nowego spadało jej na głowę.

Potrzebuję po prostu trochę czasu, żeby dojść do siebie, pomyślała. Wszystko będzie dobrze.

– Hej. – Rozradowany Carlo stanął za nią. Wymalowane krwią na twarzy znaki ochronne nadawały mu wygląd barbarzyńcy, przez co mimo uśmiechu sprawiał nieco groźne wrażenie.

– Byliśmy kiedyś w tym kinie, pamiętasz? Grali tu wtedy „Titanica”.

– Tu zawsze grają „Titanica”.

– To był żart. Coś taka ponura? Wciąż jesteś zła na szamana?

– Trochę – odparła i na szczęście uniknęła dalszych pytań, bo w tej chwili z jednej z sal wyszedł Elisha.

– Wszystko gotowe – powiedział. – Chodźcie.

* * *

Eva usiadła pomiędzy Elishą a Carlem w przejściu, na rozłożonej letniej kurtce. Ciężkie od kurzu kinowe fotele czaiły się w mroku jak stado ustawionych w karne rządki bestii. Dziewczyna przez chwilę próbowała sobie wyobrazić kino sprzed czasów Katastrofy. Jest jasno, bo palą się wszystkie lampy, a nie co trzecia; jest czysto, na ścianach wiszą plakaty, a nie zetlałe, brudne strzępy; maszynę do popcornu uruchamiają żywi ludzie, nie umarli. I naprawdę można tu kupić popcorn, coca-colę oraz mnóstwo innych rzeczy, które znała tylko z nazwy. Słyszeć śmiechy, dziecięce pokrzykiwania i bardziej stonowane rozmowy dorosłych.

Wszystko to brzmiało jak bajka.

Gdy na ekran padło światło, a z głośników popłynął dźwięk, Eva drgnęła. Carlo przysunął się bliżej, objął ją i połaskotał nosem w ucho.

– Nie bądź taka nerwowa. Wszystko będzie dobrze.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak echo jej własnych myśli. Wszystko będzie dobrze. Musi być.

Problem w tym, że właśnie teraz, w ciemności, podczas gdy przez ekran przewijała się

czołówka programu, Eva coś sobie uświadomiła.

Nie była zła, ponieważ Elisha z powodu własnego tchórzostwa naraził Carla na niebezpieczeństwo.

Była zła, ponieważ czuła się oszukana. Bo odebrano jej coś, co już uważała za swoje. I nic nie mogła na to poradzić, choć tłumaczyła sobie, że nie ma sensu żałować daru, który narażał ją na nieustające ataki umarłych. Powinna współczuć Carlowi, a nie... być zazdrosna. Przyszła jej nawet do głowy podła myśl...

...potrafiłabym to lepiej wykorzystać, on jest zbyt bierny...

...którą natychmiast stłumiła, przerażona nielojalnością. Przecież kochała Carla i naprawdę się o niego martwiła. Jednak nawet gdy skończyła się czołówka i zaczął właściwy program, Eva pod warstwą ciekawości wciąż czuła rozgoryczenie.

Tymczasem na ekranie pojawił się starszy mężczyzna w białym ubraniu. Obraz był niewyraźny, skakał, co chwila przebiegały przez niego pionowe pasy. Głos się rwał, ale mimo to można było zrozumieć większość słów.

– Śmiertelne zagrożenie czy szansa dla ludzkości? – mówił mężczyzna. – Kim są tajemniczy przybysze? Jeszcze do niedawna można było ich spotkać wyłącznie w książkach SF lub na stronach pulpowych magazynów, teraz ich statki widuje się nad wszystkimi większymi miastami świata. Czego od nas chcą? Czy w razie zagrożenia będziemy w stanie się obronić? Czy Obcy przynoszą nam nadzieję, czy może zagładę?

– Facet się powtarza... – mruknął Carlo i Eva dała mu kuksańca w bok.

Na ekranie pojawił się napis „Pierwsze spotkania”, a zaraz potem seria migawek. Starszy mężczyzna mówił z przejęciem do kamery:

– Wyszedłem przed dom i zobaczyłem tę kulę unoszącą się nad parkiem. Zaraz sobie pomyślałem, że to UFO, i poleciałem po córkę.

I inni w podobnym duchu:

– Sąsiad zadzwonił, że coś się dzieje...

– Byłem przerażony, jakby nogi wrosły mi w ziemię...

– Żona wołała, żeby uciekać, ale chciałem zobaczyć...

Scenki wyglądały bardzo podobnie: dwa, trzy zdania, najazd na twarz i cięcie. To, co ludzie mówili, też zresztą niewiele się od siebie różniło. Strach, zdumienie, wreszcie przemożna ciekawość – wszędzie powtarzały się te same uczucia. Trwało to kilka minut, potem miejsce anonimowych ludzi zajęli wypowiadający się eksperci, podczas gdy za ich plecami migały kolejne sceny. Zamieszki na ulicach, tłum ludzi zebranych na stadionie i wpatrujących się w niebo rozmodlonym wzrokiem. Stwierdzenia optymistyczne: „Gdyby chcieli nas zaatakować, zrobiliby to już dawno” przeplatały się z pesymistycznymi: „Nie możemy im ufać, nawet jeśli nie mają złych zamiarów, same różnice kulturowe między nami mogą doprowadzić do tragedii”. Potem rozległa się dramatyczna muzyka, a przez ekran wielkimi literami przewinał się tytuł programu: „Obcy, nadzieja czy zagrożenie?”

– Myślisz, że w końcu ich pokażą? – zapytał Carlo, a Eva odparła:

– Mam nadzieję.

Miejsce tytułu zajął napis: „Pierwsza wiadomość”.

Tym razem chudy naukowiec przemawiał na tle komputerów. Od czasu do czasu odwracał się od kamery i pochylał nad klawiaturą. Jego tłumaczenia były zawiłe, lecz Evie udało się zrozumieć, że mężczyzna opowiada o tym, jak zdołał rozszyfrować język przybyszy. Wreszcie pojawiło się zbliżenie jednego z komputerowych ekranów, a na nim napis: CHCEMY POMÓC.

– To właśnie była pierwsza wiadomość, jaką od nich otrzymaliśmy – powiedział naukowiec, a w jego głosie dźwięczała satysfakcja. Widocznie należał do tych, którzy od początku wierzyli w przyjazne zamiary Obcych.

W tym momencie Elisha drgnął. Właśnie coś takiego miał nadzieję zobaczyć.

Dalej pojawiło się jeszcze więcej gadających głów. Przemawiały na tle urządzeń pełnych pokręteł i przycisków, a sens ich wypowiedzi ginął w potoku obco brzmiących słów. Zrozumienie utrudniał dodatkowo fakt, że taśma była coraz bardziej zniszczona, obraz podskakiwał jak opętany, a na ekranie pojawiały się i znikały ciemne plamy. Wreszcie jednak kamera pokazała Obcego. Ta postać, choć tak niewyraźna, była nie do pomylenia. Wysoka, chuda i lekko zgarbiona sylwetka, łysa głowa na wiotkiej szyi i szeroko rozstawione oczy.

Eva sapnęła z wrażenia. Więc Oni naprawdę tak wyglądali. Tym razem najwyraźniej krążące wśród ludzi plotki odpowiadały rzeczywistości.

I znowu gadające głowy. Słowa, słowa i słowa, a w tle nasilający się szum.

– Rozumiecie coś z tego? – zapytał Carlo.

– Oni chyba dostali od Obcych jakąś technologię – odparł Elisha ostrożnie. – A ci eksperci twierdzą, że technika Obcych wcale nie różni się bardzo od naszej, to znaczy jest znacznie bardziej zaawansowana, owszem, ale podstawy są podobne. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Skąd pan to wie?

W mroku Eva wyczuła, że starzec wzruszył ramionami.

– Sporo czytam. To przecież wykształcenie na miarę naszych czasów. Nauka czytania i pisania, a dalej radź sobie, człowieku, sam przy pomocy tego, co znajdziesz na śmietniku cywilizacji.

Ekran poczerniał i przez chwilę panowała cisza. Eva myślała już nawet, że to koniec programu albo że taśma się wreszcie urwała. Za chwilę jednak zobaczyli człowieka zamkniętego w metalowej klatce. Zza kadru dobiegał głos:

– ...czy możemy pozbyć się cech takich, jak zawiść, złość czy okrucieństwo? Czy częśćkę zła, od wieków obecną w ludzkiej naturze, można wyizolować?

Obraz znów zaczął gwałtownie skakać, a gdy się uspokoił, ujrzeli człowieka z klatki patrzącego na swego sobowtóra. Fizycznie mężczyźni niczym się nie różnili, lecz ich twarze

miały zupełnie inny wyraz: jedna była łagodnie zdziwiona, na drugiej malowała się furia. Głos zza kadru mówił coś o środkach ostrożności i o energii elektrycznej.

– To duch – szepnął Carlo. – Ten wściekły to duch.

Eva potwierdziła skinieniem głowy. Faktycznie, gdy obraz na ułamek sekundy stał się wyraźny, widać było, że jedna z sylwetek ma rozmyte krawędzie.

Znów pojawiły się krótkie migawki: tłum wrzeszczący przed wysokim budynkiem, transparenty i butelki z benzyną lecące w stronę szeregów umundurowanych ludzi, policjantów, czy może żołnierzy.

Potem film urwał się gwałtownie, a Eva, Carlo i Elisha siedzieli dłuższą chwilę w ciemności, czekając na dalszy ciąg, którego nie było.

* * *

– Wygląda na to, że dalej nic konkretnego nie wiemy – powiedziała Eva.

– Nieprawda – zaprotestował szaman. – Wiemy, że Obcy chcieli ludziom pomóc.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Cóż, nie bardzo im wyszło, więc co nam z tego?

Siedzieli na trawie w Villa Borghese, popijając z poobijanych kubków rozcieńczone wodą wino. Słoneczne światło nabrało głębokiej złocistomiodowej barwy, która lada moment miała przejść w czerwień zachodu. Eva roztarła gęsią skórę na ramionach. Wieczory były coraz chłodniejsze, coraz wyraźniej czuło się w nich nadszyczących szybkimi krokami jesień. Pomimo to dziewczyna wcale nie miała ochoty wracać do domu. Od dawna nie była w parku i zdążyła niemal zapomnieć, jak pięknie tu jest. Pięknie i... dziko. Wypielęgnowane trawniki zarosły chwastami, szerokie aleje zmieniły się w wąskie ścieżki, a pinie, dzikie oliwki i drobnolistne krzewy rozpleniły się bujnie, tworząc splątany gąszcz, w którym z trudem dawało się dostrzec pozieleniałe od mchu posągi, fontanny i ruiny stylizowane na starożytne.

– Myślę, że to my mogliśmy w jakiś sposób zawinić – odezwał się milczący dotąd Carlo.

– Pamiętacie te migawki z końca filmu? Ludzie wrzeszczący na ulicach, że Obcy są niebezpieczni, że trzeba ich zabić, zanim oni zabiją nas? No więc ja myślę, że oni, że... ktoś z nich rzeczywiście to zrobił – chłopak mówił z wahaniem, starannie dobierając słowa. Eva wzięła go za rękę. Carlo był nieśmiały, wiedziała więc, z jakim trudem przychodzi mu formułowanie opinii. – Jeśli tamci zabili kilku Obcych albo chociaż jednego – ciągnął – to pozostali pewnie uznali, że muszą się bronić...

– I poczęstowali nas hurtowo wynalazkiem, który zmienia ludzką naturę na lepsze? – dokończył Elisha.

Carlo skinął głową.

– Nie przewidzieli... nie wierzę, żeby przewidzieli, jakie to będzie miało skutki... Pamiętacie, co się opowiada o Katastrofie? Że maszyny atakowały ludzi, a oni prawie się nie

bronili, dawali się zarzynać jak świniaki na wiosnę. Nic dziwnego, skoro byli pozbawieni wszystkich skłonności do przemocy.

– I podczas Katastrofy ludzie widywali swoje sobowtóry – dodała Eva. – To też by pasowało, owszem. Ale w takim razie dlaczego teraz jest inaczej? Mam na myśli, że ludzie są zwyczajni, wcale nie jakoś specjalnie dobrzy, a dopiero kiedy umierają, stają się złośliwi.

– Może to kwestia dawki – zastanowił się Elisha. – W mniejszej ten wynalazek powoduje nieco inne efekty niż w większej. Jesteśmy którymś z kolei pokoleniem, działanie broni Obcych osłabło i dlatego w naszym przypadku to... rozdzielenie następuje dopiero po śmierci. Wtedy ciało umiera razem ze wszystkim, co w człowieku dobre, a to, co złe, zostaje na ziemi, przyciągane przez maszyny. To by dawało nadzieję, że kiedyś ten efekt po prostu wygaśnie i nie będzie więcej duchów.

– Kiedy? – Eva zerknęła na Carla, który już od pewnego czasu siedział zgarbiony, patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń. Chciała mu przekazać cząstkę nadziei, jaką żywiła, i osiągnęła przynajmniej tyle, że chłopak na nią spojrzał.

– Nie mam pojęcia. Chyba nikt tego nie wie – odparł Elisha i dziewczyna oklapła na moment, zaraz jednak wyprostowała się ponownie. Ścisnęła ramię Carla. W tej chwili zależało jej tylko na tym, żeby go pocieszyć.

– Ale przecież są jeszcze Obcy, prawda? – ciągnęła z uporem. – Skoro ich statki wciąż latają nad Ziemią, to może oni ciągle próbują nam pomóc, naprawić to, co się stało, bo czują się winni.

– W takim razie czemu się ukrywają przed ludźmi? – Carlo parsknął, ale w jego oczach pojawiła się iskierka nadziei, którą Eva skwapliwie wykorzystała.

– Bo jednocześnie się nas boją – wyjaśniła. – Już raz przecież im udowodniliśmy, że nie można nam ufać.

Patrząc, jak jej słowa rozdmuchują iskierkę w płomień, stłumiła własne wątpliwości. Zepchnęła je w głąb umysłu, pogrzebała, pragnąc, by nigdy nie zmartwychwstały. Chciała cieszyć się nadzieją z Carlem. Dla siebie i przede wszystkim dla niego. Żeby był szczęśliwy.

* * *

Przez pierwsze kilka tygodni rzeczywiście byli szczęśliwi. A przynajmniej tak się Evie zdawało, bo potem, znacznie później, uświadomiła sobie, że już wtedy musiały istnieć pewne oznaki nadciągającego końca. Nie dostrzegała ich, bo nie chciała widzieć.

Tak bardzo się starała i może to właśnie był problem.

Podtrzymywała Carla na duchu, pocieszała i snuła dla niego plany. Każdego wieczoru siadywali na tarasie, trzymając się za ręce, i Eva opowiadała, jak będzie wyglądać ich przyszłość. Wykorzystamy twój dar, mówiła, zobaczysz, na pewno zrobimy to lepiej niż Noel. Jesteśmy młodzi, a przede wszystkim mamy siebie. Zbierzemy ludzi i będziemy

walczyć z umarłymi. To będzie trudna wojna, która pewnie się nie skończy za naszego życia, ale my ją zaczniemy i to nas zapamiętają. Będą krążyć o nas legendy we wszystkich miastach Europy, może nawet ktoś nakręci film – potem, gdy świat znów będzie normalny.

My, nas, nasze – przez cały czas używała liczby mnogiej. Dzięki temu wierzyła, że zawsze będą razem. Pomagało to także pokonać zazdrość, która wciąż wracała, zwłaszcza nocą, gdy Eva leżała w łóżku, słuchając cichego oddechu śpiącego obok Carla, i szeroko otwartymi oczami patrzyła w ciemność. Wówczas przychodziły jej do głowy złe myśli (tak to nazywała: złe myśli), które czasem potrafiła zignorować, a czasem nie – wtedy wychodziła na balkon, zapalała papierosa i gasiła go na wewnętrznej stronie nadgarstka. Jedna zła myśl – jedna blizna. Chłopakowi mówiła, że to oparzenia od ogniska, które pomagała rozpalać każdego wieczoru, a on jej wierzył. Już wtedy powinna nabrać podejrzeń, że coś jest nie tak, że jego bezrefleksyjna ufność skrywa w rzeczywistości coraz większą obojętność.

Pomiędzy nimi narastał dystans. Podczas ich wieczornych rozmów Carlo odzywał się coraz rzadziej, wreszcie ograniczył się tylko do kiwania głową, a i wtedy Eva widziała, że wzrok ma odległy, jakby myślami przebywał w zupełnie innym miejscu. Wówczas nie snuła już planów, w których realność sama wierzyła – mówiła po prostu to, co dobrze brzmiało. Prawda z każdą chwilą traciła na znaczeniu, chodziło już tylko o to, by choć na moment wywołać emocje na jego twarzy: błysk zainteresowania, ciepły uśmiech, spojrzenie pełne aprobaty.

Nawet tak drobne zwycięstwa przychodziły Evie z coraz większym trudem.

W czasie tych trzech jesiennych miesięcy, gdy ulice Rzymu spływały deszczem, Carlo wskrzesił kilkanaście osób. Było ich niewiele, bowiem nazwisko Nicolodi wciąż jeszcze kojarzyło się bardziej z zadawaniem śmierci niż z przywracaniem życia. Nawet ci, którzy o mocy chłopaka wiedzieli i co więcej, uwierzyli w nią, mieli opory przed przyjściem po pomoc do byłego hotelu Athenaeum.

Za każdym razem, gdy do Carla przynoszono zmarłego, Eva pytała chłopaka, czy na pewno chce to zrobić, a on odpowiadał, że tak, chce – jednak jego oczy zadawały kłam słowom. Dziewczyna wiedziała, że Carlo robi to wyłącznie dlatego, bo uważa, że powinien, a widok martwych ciał, często okaleczonych czy wyniszczonych chorobą, budzi w nim wstręt. W tym czasie miały też miejsce dwa zamachy na jego życie – w pierwszym przypadku chłopaka ocalił Morgia, w drugim Eva, która w porę zauważyła dziwny smak ofiarowanego mu wina. Pokłócili się wówczas, po raz pierwszy i jednocześnie ostatni. On zarzucał jej, że traktuje go jak małe dziecko, bezsensownie narażając przy tym własne życie, ona z uporem powtarzała, że jest gotowa bronić go zębami i pazurami, a jeśli będzie trzeba, to owszem, nawet umrzeć.

Dawniej chłopaka pociągala jej pewność siebie i energia, lecz teraz im bardziej Eva się starała, tym bardziej Carlo zamykał się w sobie. Gdy mówiła o planach (wspólne plany, nasze życie, my, o nas), widziała w jego oczach już nie obojętność, ale bierny opór. I coraz więcej

w tym oporze było niechęci. Pod koniec października dziewczyna spędzała już na balkonie długie samotne godziny, płacząc i zastanawiając się, w którym momencie wszystko poszło nie tak jak trzeba.

Czasem zdawało jej się, że początek końca nastąpił w chwili, gdy powiedziała: „Zabijmy go teraz, niech wskrzesiciel przywróci mu życie”, a Gianni strzelił choremu starcowi w pierś. To było nic, głupi dowcip, który przypadkiem skończył się śmiercią czterech osób, lecz właśnie wtedy wszystko, co Carlo tak bardzo w Evie kochał – jej energia, jej pewność siebie – zmieniło się na jego oczach w destrukcyjną siłę.

Może chodziło o to. A może Eva po prostu za bardzo się starała.

I w tym okresie istniał także moment najważniejszy ze wszystkich, gdy ufne i optymistyczne „wszystko będzie dobrze” przepoczwarzyło się w gorzką świadomość, że jest za późno, by cokolwiek naprawić.

* * *

Carlo wyjechał pod koniec grudnia, w pogodny i chłodny dzień, gdy ulicami przy dźwiękach kolęd płynących z wnętrz sklepów powinni przechadzać się mężczyźni w strojach Świętych Mikołajów. Wcześniej powiedział Evie o swoim postanowieniu. Zrobił to z osobliwą mieszaniną wstydu, lęku i wyzwania, jakby z góry założył, że będzie musiał stawić czoła potężnej awanturze. Dziewczyna spodziewała się, że Carlo w końcu podejmie decyzję, i kiedy wreszcie padły nieuchronne słowa, poczuła niemal ulgę. Tępy, mdlący cios był mimo wszystko lepszy niż szarpiące nerwy oczekiwanie ostatnich kilku tygodni. Postanowiła sobie wówczas, że wbrew temu, czego Carlo się spodziewa, nie będzie prosić, płakać ani histeryzować, i słowa dotrzymała. Powiedziała chłopakowi, że rozumie jego decyzję, choć wcale nie rozumiała, zdobyła się też na kilka uśmiechów, choć sądziła, że odpadną od jej twarzy jak przypięte pinezkami kartoniki. Miała wrażenie, że nosi w sobie kruche naczynie pełne bólu, które stłucze się przy gwałtowniejszym ruchu, poruszała się więc z ociężałą i oszołomioną ostrożnością, po raz pierwszy w życiu kompletnie bez wdzięku, jak ranne zwierzę.

Jej spokój sprawił, że Carlo stał się mniej wyzywający, a znacznie bardziej zakłopotany i skory do tłumaczeń.

– Doszedłem do wniosku, że to, co robił Noel, ma sens – mówił. – Tak naprawdę to jest jedyne logiczne wyjście. Muszę znaleźć Obcych, porozmawiać z nimi i dowiedzieć się, po co dali ludziom dar wskrzeszania. Może spodziewają się po nas czegoś konkretnego? Albo, no nie wiem, uważają, że to wystarczy, żeby nam pomóc, a tak naprawdę mogliby zrobić znacznie więcej... I może zrobią, jeśli tylko z nimi porozmawiam i wszystko wytłumaczę.

– Oni nie mówią naszym językiem.

– Skąd wiesz? Ja myślę, że przez ten czas zdążyli się już nauczyć, zwłaszcza że podobno

są od nas mądrzejsi.

– Czyli będziesz jeździł z miasta do miasta, ścigając Obcych. Jak Noel, który podróżował tak przez całe swoje dorosłe życie i nic mu z tego nie przyszło – jej głos zabrzmiał płasko niczym automat, tak bardzo dziewczyna wystrzegła się złości czy rozgoryczenia.

Potrząsnął głową.

– Nie, posłuchaj. Noel popełnił błąd. On wskrzeszał ludzi i w dodatku jeszcze przez cały czas musiał uważać na tych, którzy chcieli go zabić. Ja nie będę nikogo ożywiał, rozumiesz? Nikomu się nie przyznam, co potrafię. A tutaj, w Rzymie, mało kto o mnie wie, więc uda mi się zgubić trop. Będę bezpieczny i będę mógł się skupić na tym, co najważniejsze. Na szukaniu Obcych.

Gdy powiedział: „Nie będę nikogo ożywiał”, jego twarz wykrzywiła się w wyrazie tak silnej niechęci do samego siebie, że Eva natychmiast zaczęła go pocieszać. Mówiła, że to dobry wybór, że nie powinien czuć się winny, bo jeśli tylko zdoła porozumieć się z Obcymi, będzie mógł zrobić dla ludzi znacznie więcej dobrego niż ożywienie kilkudziesięciu osób.

Tak właśnie się rozstali. Ona paplająca trzy po trzy, nawet niesłuchająca własnych słów, on zażenowany i rozkojarzony, jednocześnie przerażony tym, co go czeka, i pragnący mieć ten ostateczny krok jak najszybciej za sobą.

Takiego go właśnie zapamiętała: chłopaka, który kiwał głową w takt jej słów jak nakręcana zabawka, który miał w dłoniach uchwyt brezentowej torby i z trudem ukrywał, że co chwila zerka na tarczę dworcowego zegara.

* * *

Pierwszą i jedyną wiadomość dostała od Carla dwadzieścia trzy lata później. Przekazywana z rąk do rąk kartka dotarła do niej na początku października, wymiętoszona i wytarta tak, iż z trudem dało się rozpoznać poszczególne litery.

Kobieta pochyliła się i poruszając ustami, z mozołem odczytała nagłówek:

Do Ewy, mieszkającej w dawnym hotelu Athenaeum. Carlo Nicolodi z Lucerny prosił o przekazanie informacji. Wiadomość zapisana przez Domiziano, który siódmego lipca odebrał telefon.

Wyprostowała się i potarła kark, który bolał ją na deszcz. Od pewnego czasu odczuwała w kościach każdą zmianę pogody. Poza tym nie mieszkała już w Athenaeum, a nawet nie używała imienia Eva, bo jej obecny mężczyzna wolał nazywać ją Eveliną. Nic dziwnego, że kartka wędrowała do niej trzy miesiące. To cud, że w ogóle dotarła.

Kobieta czytała dalej:

Statki Obcych nie poruszają się w sposób chaotyczny. Jest w tym pewien schemat, który rozszyfrowałem. Wiem, gdzie zjawią się następnym razem, i wiem, gdzie zjedną nad ziemię tak nisko, że będę mógł spróbować do któregoś z nich wsiąść. I zamierzam to zrobić. Jeśli jeszcze choć trochę Ci na mnie zależy, życz mi powodzenia.

* * *

– Schemat, wspomniał o schemacie – powtórzyła, pakując Elishy do ust kolejną łyżkę zupy. – Wiesz, co to znaczy, prawda?

Starzec wymamrotał coś niewyraźnie i strużka ciepłego płynu pociekła mu po podbródku. Wytarła ją zręcznie szmatką.

– Pamiętasz swoją teorię? Tę, na którą wpadłeś parę miesięcy po wyjeździe Carla? Tak bardzo byłam wtedy na ciebie wściekła, że nie pomyślałeś o tym wcześniej, i tak bardzo nie chciałam, żeby to była prawda... A jednak wygląda na to, że mogłeś mieć rację.

Zaatakowane przez zaćmę oczy byłego szamana błędziły po pokoju, jakby czegoś szukając, wreszcie zatrzymały się na twarzy kobiety i wtedy przemknęło przez nie coś, co uznała za błysk zrozumienia. Błysk, który zgasł niemal w tej samej chwili, gdy się pojawił. Elisha poruszył ustami, a ona nadstawiła uszu, lecz jedyne, co usłyszała, to:

– Jeszcze zupy.

Zaciskając wargi w wąską kreskę, sięgnęła do talerza. Ręka lekko jej drżała; dłoń i trzymana w niej łyżka wydawały się zamglone, jakby patrzyła na nie przez zaparowaną szybę.

Kobieta zamrugała, pozbywając się spod powiek łez, które spłynęły po policzkach. Czy ostatni Obcy przekazali ludziom dar wskrzeszania, przewidując własną rychłą śmierć? Czy mieli nadzieję, że potem, gdy osłabnie działanie ich broni, wskrzesiciel odnajdzie ciała przybyszy – martwe, lecz dobrze zachowane – i przywróci im życie, a oni wtedy będą mogli wreszcie pomóc Ziemianom?

Przez te wszystkie lata Eva nie chciała w to uwierzyć, bo przecież statki Obcych wciąż krążyły nad miastami.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła kartkę.

Jest w tym pewien schemat, który rozszyfrowałem – przeczytała.

Zmięła kartkę w kulkę i cisnęła na podłogę. Wciąż chciało jej się płakać.

* * *

W tym samym czasie Carlo unosił się na wysokości dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, uwięziony we wnętrzu srebrzystej kuli niczym Jonasz w brzuchu podniebnego wieloryba.

Mężczyzna umierał z pragnienia.

Woda tu była, wiedział o tym doskonale. Słyszał jej szum, ciurkanie i kapanie, lecz gdy szedł w stronę źródła dźwięków, zastawał tylko pustą przestrzeń. Suchą przestrzeń. To oni się z nim drażnili. Automaty, mechanizmy, które widywał czasem, jak przed nim umykają.

To znaczy widywał je dawniej, bo teraz, na wpół ślepy, potrafił jedynie pełzać w srebrzystej jasności. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Jasność była gorąca, w kolorze rozświetlonego lodu. Wypalała mu suche oczy, nad którymi nie domykały się powieki, język, spuchnięty i sztywny jak kawałek drewna, sterczał groteskowo z rozchylonych ust, wargi pękały i krwawiły. Carlo płakał gęstą, ciemną krwią, pocił się nią, a nawet usiłował lizać, lecz nie potrafił niczego przełknąć, bo na jego gardle zacisnęła się żelazna obręcz. Jedna na gardle, druga na głowie, rozgniatająca czaszkę niczym dorodny orzech.

Pełzał tam i z powrotem, pragnąc, aby już nastąpił koniec, aby tamci go zabili, zamiast się z nim bawić. Od czasu do czasu przez jego zamroczony umysł przesuwwały się rozmazane myśli.

...statki Obcych nie poruszają się w sposób chaotyczny...

...pociągi, odkąd przejęli je umarli, jeżdżą idealnie według rozkładu jazdy...

...eksperci twierdzą, że technika Obcych wcale aż tak bardzo nie różni się od naszej...

Nawiedzone pociągi zatrzymują się na stacjach, choć nikt tam nie czeka, drzwi się rozsuwają, choć nikt nie wysiada ani nie wsiada. A nawiedzone srebrzyste kule od czasu do czasu zawisają tuż nad ziemią i to właśnie dzieje się pewnego dnia. Wówczas skurczony i szerniały Carlo pełźnie w stronę zachęcająco otwartego włazu, po czym wypada na zewnątrz, na ciężką od wilgoci ziemię, wprost w chłodne jesienne powietrze.

Patrzy, jak srebrzysta kula unosi się nieśpiesznie, siejąc wokół srebrzystym blaskiem. Wie, że umiera, instynkt nakazuje mu jeszcze przewrócić się na brzuch i przytknąć wargi do chłodnej ziemi, lecz osiąga tylko tyle, że czuje odrobinę ulgi. Odwraca głowę.

W polu jego widzenia pojawia się rozmazana czerwona plama. Zbliża się, Carlo słyszy nawet jakby słowa. Dziecko, to jest dziecko, dziewczynka w szkarłatnej sukience, podchodząca do niego z mieszaniną ciekawości i lęku. Może być złudzeniem, jak wiele rzeczy, które wcześniej widział, ale tak czy inaczej musi to zrobić.

Całą resztkę sił, jakie jeszcze mu zostały, wkłada w kilka ostatnich ruchów: unieść się na łokciach, wyciągnąć rękę i chwycić dłoń dziewczynki.

Dziecko stoi w strudze światła, martwy człowiek leży niedaleko, a matka już nadbiega z twarzą wykrzywioną paniką.

Dariusz Domagalski

Urodzony w 1971 roku w Gdyni, obecnie mieszkający w Gdańsku – wiking niemogący żyć bez morza i wiatru. Nad stan berserka przedkłada jednak buddyjski spokój. Typowa zodiakalna Waga, dążąca do taoistycznej równowagi. Z wykształcenia tokarz, elektryk, elektronik, automatyk, specjalista do spraw marketingu i systemów zarządzania jakością.

Pasjonat historii, szczególnie okresu średniowiecza i starożytności. Pisał od dzieciństwa, jednak nie przypuszczał, że zadebiutuje jako scenarzysta komiksów o przygodach jarła i jego hirdu nieokrzesanych wikingów.

Pierwsze publikowane opowiadania to humoreski o dzielnych marynarzach polskiej floty wojennej z ORP „Dzik”, drukowane w „Science Fiction, Fantasy i Horror”. Ma na koncie również teksty w poważniejszym tonie, w tym minipowieść z gatunku hard s.f. *Silentium Universi*.

Autor cyklu krzyżackiego składającego się z trzech powieści wydawanych przez Fabrykę Słów: *Delikatne uderzenie pioruna*, *Aksamitny dotyk nocy* i *Gniewny pomruk burzy*. Wydarzenia w nich opisane obejmują okres wielkiej wojny z Zakonem Krzyżackim (1409-1411), a historia przyprawiona jest elementami mistycyzmu.

**Dariusz
Domagalski**

**Piąta pora
roku**

*Wszystkie historie od najwcześniejszych czasów to
w istocie jedna historia o sensie ludzkiego życia*

Ivo Andrić

Poranną ciszę rozdarł potężny huk. Niesiony po otulonej mgłą dolinie i bystrym nurcie rzeki Bosny, odbił się echem od zielonych wzgórz otaczających miasto. Kamienna kula wystrzelona z bombardy skruszyła spory kawał obronnego muru. Rozpoczął się kolejny dzień oblężenia bośniackiej twierdzy Dobor.

Skrzypnęły naciągane liny katapult i w górę wystrzeliły beczki z płonąca smoła. Zapłonęły strzechy chat. Główna brama trzeszczała pod naporem ciskanych przez trebusze ogromnych głazów i wydawało się, że lada chwila pójdzie w drzazgi. Hufnice plunęły ogniem i szary dym zasnuł okolicę, wdzierając się w nozdrza gotowych do szturm zbrojnych. Żołdaków o ponurych twarzach, ledwo widocznych spod nasuniętych głęboko na czoło kapalinów. Przeważali Węgrzy, sporo było Słowaków i Szeklerów, uważających siebie za potomków walecznych Hunów. W milczeniu poprawiając przytwierdzone do ramion tarcze, z obnażonymi mieczami czekali na znak setników. Niespieszno im było do śmierci, wierzyli, że i tym razem los będzie dla nich łaskawy, pozwoli wyjść z boju bez szwanku i z bogatym łupem po zdobyciu twierdzy.

Nagle umilkły armaty. Zagrały kotły i trąby. Zafalowały sztandary i w niebo wzbił się ryk tysiąca gardeł. Piechota ruszyła na mury. Najpierw pachołkowie niosący wiklinę do zasypania fosy, za nimi zbrojni ciągnący olbrzymie wieże i drabiny.

Zaraz w ich stronę poleciały okute bełty wystrzelone z potężnych kusz, miotane z balisty kamienie i wyrzucane z taraśnic metalowe kule, które odbijając się od ziemi, miażdżyły szturmujących oraz urywały im kończyny. Ukryci za blankami obrońcy szyli z łuków, a strzały z łatwością przebijały skórzane, pikowane kaftany Węgrów. Ale oni brnęli naprzód, po trupach towarzyszy, nie bacząc na tryskającą wokół krew i śmierć zbierającą należne jej żniwo.

Wreszcie dotarli pod mury twierdzy. Dostawili drabiny i drewniane szopy z pomostami, taranem uderzyli o nadwyreżoną już bramę. Mieli nadzieję, że tym razem wedrą się wreszcie do środka, wytną w pień Bośniaków i zdołają pojmać ich króla. Zygmunt Luksemburski złotem zapłaci za głowę Twerdka.

Naraz posypały się na nich kamienie i nabijane kolcami kłody drewna. Z murów polał się wrzątek, smoła, rozgrzany piasek wdzierający się za kolczugi. Rozniósł się smród palonej skóry i wrzaski umierających. Bośniacy zarzucili płonącymi szczapami szopy, które choć obłożone mokrymi skórą, i tak zajęły się ogniem.

Tymczasem pod osłoną pawęży pod mury Doboru podeszli puszkarze. Spokojnie wbili w ziemię skrócone berdysze, opierając na nich lufy hakownic, i przyłożyli do panewek

rozżarzone kawałki węgla. Huknęło. Pierwsza salwa zmiotła prawie dwie dziesiątki obrońców. Wybuchła panika. Ludzie porzucali stanowiska, szukając osłony za blankami lub chowając się w basztach.

Węgrzy krzyknęli radośnie i przystąpili do szturm. Wdzierali się na mury w uczynione przez kule wyłomy i rzucali na przerażonych Bośniaków, którzy poczuli pierwszy powiew zwątpienia. Było pewne, że lada chwila ustąpią.

A gdy żołdacy wyłamią bramę i wejdą do środka, zaczną się rzeź. Ulice spłyną krwią, zapłoną ograbione domostwa, rozkrzyżowane niewiasty będą modliły się o rychłą śmierć, a król Twerdko zostanie rzucony do stóp władcy Węgier. Padnie ostatni bastion wolnych Bośniaków.

I nagle, gdy już wydawało się, że wszystko stracone, powietrze zadrżało od potężnego ryku surm i z gęstwiny lasu wypadły dwie setki zbrojnych. Brodaci, poznaczeni bliznami woje, odziani jedynie w przeszywanice, z uniesionym w górę orężem w furii rzucili się na Węgrów. Cięli tasakami po twarzach, buzdyganami rozłupywali czaszki, w gardła wbijali puginały. W obrońców wstąpiła nowa nadzieja. Ruszyli niesieni bitewnym zapalem na znieawidzonego wroga.

W oczach szturmujących pojawił się strach. Nawet waleczni Szeklerzy, którzy nigdy nikomu nie ustępowali pola, uciekli, nie mogąc zdzierżyć Bośniakom. Setnicy zarządzili odwrót i węgierskie wojsko wycofało się, zbierając z pola poległych i rannych.

Mogłoby się wydawać, że w ten letni, słoneczny poranek rozpętało się piekło i świat pograżył się w cierpieniu. A przecież był to zaledwie jeden szturm, jedna bitwa, o której za kilka stuleci nikt już nie będzie pamiętał. Tylko krew wsiąknęła w wyschniętą glebę, krew tych, co walczyli o wolność i tych, co wolność chcieli odebrać.

* * *

Zawisza Czarny z Garbowa herbu Sulima, rycerz o czarnych jak pióra kruka włosach i miodowych oczach, uśmiechnął się krzywo na widok węgierskich żołdaków wycofujących się po kolejnym nieudanym szturmie. Od dwóch miesięcy Zygmunt Luksemburski próbuje zdobyć Dobor, dzień w dzień posyła wojska, a twierdza jak stała, tak stoi.

– Obawiam się, przyjacielu, iż rychło ta wojna się nie skończy – westchnął ciężko stojący obok Janusz Brzozogłowy. Nazywano go tak, bo włosy siwiały mu kępkami, tak że jego głowa przypominała korę brzozy. – Jak długo Twerdko będzie stawiał opór, tak długo nadzieja w sercach Bośniaków tlić się będzie.

Sulimczyk zmarszczył czoło i spojrzał w dół. Obóz węgierski, w którym się znajdowali, położony był na lekkim wzniesieniu i doskonale widać było całą okolicę.

– Mężowie tutaj twardzi niczym skała, silniejsi niżli tury i jak lwy waleczni – mówił dalej Janusz. – Nawet białki kamienie z murów ciskają, a dziatwa z proc i łuków szyje.

– Dziwisz się? Ci ludzie walczą o wolność.

– A my im tę wolność odbieramy – prychnął gniewnie Brzozogłowy. – Wyruszyliśmy na krucjatę przeciwko niewiernym. Turka mieliśmy bić, a nie tych biednych ludzi, co jeno kraj swój chcą odzyskać.

– Zważ, iż to heretycy.

– W takiego samego Boga wierzą jako i my, jeno nad materię ducha przedkładają. Że świątyni nie stawiają? Ojciec w niebiesiach tak samo wysłucha modlitwy prostego chłopca pod otwartym niebem, jak i modlitwy biskupa w katedrze. A że klechów nie mają, to i dobrze, bo ci jeno o swoją chudobę dbają, nie zaś o zbawienie powierzonych im duszyczek.

Machiny miotające i armaty ponownie rozpoczęły ostrzał. Zawisza spojrzął na przyjaciela. Łagodne oczy starszego z rycerzy przywodziły na myśl raczej mnicha niż wojownika.

– Jednakże twierdzą, iż świat to dzieło Szatana.

Janusz Brzozogłowy zmarszczył czoło i spojrzął na zasłane ciałami przedpole Doboru, gdzie krew mieszała się z kroplami porannej rosy.

– Kto wie czy nie mają racji. Zbyt wiele cierpienia w życiu widziałem, żeby nadal wierzyć, że to wszystko – wskazał brodą Dobor – jest dziełem miłosiernego Boga. Powiadam ci, świat bardziej przedsiónek piekła przypomina niżli nieba.

– Tyle samo w nim znajdziesz zła ile dobra. Człłek natomiast dokonuje wyboru.

– Między dobrem a złem?

– Tak.

– A my? – zapytał Brzozogłowy. – Jakiej teraz sprawie służymy?

– Nie wiem – odparł szczerze Sulimczyk. – Nie zawsze wszystko jest proste.

Milczeli chwilę, patrząc, jak płonące pociski katapult wznecają pożary wewnątrz twierdzy, wystrzeliwane z bombard kule kruszą mury, a zbrojni wracają po nieudanym szturmie.

– Tu, w Bośni, powiadają, że wojna to piąta pora roku.

– Na świecie zawsze toczy się jakaś wojna.

– Jednakże niektóre są sprawiedliwe, inne nie.

– Nie nam, zwykłym rycerzom, to rozstrzygać. Czynimy tylko to, co nam każą. – Rycerz z Garbowa uważnie spojrzął na towarzysza. – Król Władysław posłał nas do Luksemburczyka, abyśmy rzemiosła wojennego podpatrzyli, a przy okazji baczenie na niego mieli. Zygmunt na złoto jest łasy i w wojnie z Zakonem gotów jest wraz z Krzyżakami na nas uderzyć.

– Przecież pokój między naszymi krajami trwać ma jeszcze pięć lat!

– Luksemburczyk tak samo łatwo pakiy zawiera, jak je łamie. Ongiś pomógł Twerdkowi sięgnąć po koronę Bośni, teraz chce mu ją odebrać i ponownie oddać Stefanowi Ostoi. Bośnia stanie się częścią Węgier, a nowy król będzie jak marionetka w rękach kuglarza.

Janusz Brzozogłowy roześmiał się i kilku Węgrów spojrzało na niego surowo. Ich wojska po raz kolejny zostały odparte spod twierdzy, a Polacy w najlepsze się bawili.

– Gdyby Zygmunt dowiedział się, iż do kuglarza go przyrównujesz, toby cię kazał obwiesić.

– Niechby spróbował. – Zawisza Czarny poklepał rękojeść miecza. – Potrzebowałby do tego chyba całej chorągwi.

Teraz obaj się śmiali, a tymczasem obite węgierskie oddziały dotarły do obozu. Zbrojni odkładali broń, zrzucali pancerze i pokładali się na trawie. Medycy chodzili między nimi, opatrując rany, nastawiając zwichnięte kończyny, rozdając wodę oraz jadło.

– Obrzydła mi już służba dla Zygmunta – rycerz z Garbowa spoważniał. – Z bratem moim postanowiliśmy do Polski wracać. Wojna z Zakonem tuż-tuż i nasze miejsce przy królu Władysławie. Luksemburczyk już o tym wie. Daliśmy mu tylko słowo, że pozostaniemy do zakończenia tej kampanii.

Janusz skinął głową.

– I ja pojedę z wami.

Podszedł do nich wysoki mężczyzna. Płowe długie włosy nieporządnie wystawały mu spod szłomu. Na pancerz kolczy narzucił białą jakę. Z daleka widać było czerwony herb ze srebrną łękawicą. Skarbek z Gór herbu Habdank, podobnie jak Zawisza Czarny i Janusz Brzozogłowy, był przygotowany do boju. Mimo że nie brali bezpośredniego udziału w szturmie, nosili pełen rynsztunek, stanowili bowiem straż przyboczną króla Węgier. Zygmunt Luksemburski dobrze wiedział, że żaden z jego rycerzy nie mógł równać się z Polakami.

– Widzieliście już, kogo gościmy w obozie? – zagadnął Skarbek. Spojrzeli w stronę największego namiotu, nad którym powiewał królewski sztandar, i ujrzeli dwudziestu zbrojnych rozkulbaczających konie. Na ich szarych okryciach dostrzegli czarny półkrzyż.

– Słudzy Zakonu. – Zawisza zmrużył oczy. – Co oni tu robią?

– Przybyli w sile dwóch kopii – rzekł Skarbek. – Wiem jeno tyle, iż jakiś dostojnik krzyżacki przyjechał i Zygmunt kazał go zaraz do namiotu prosić.

– Ja wiem, z jaką sprawą tu przybył...

* * *

Michał Kűchmeister von Sternberg wygodnie rozparty na siedzisku bawił się kielichem wyśmienitego bałkańskiego wina i z drwiącym uśmiechem spoglądał na drepczącego między ścianami namiotu wzburzonego Zygmunta Luksemburskiego. Król Węgier ledwie rozpoczął czterdziesty rok życia, a już rudawe włosy i brodę przetykała siwizna, a zgarbiona postawa sprawiała, że wyglądał na starca. Tylko niebieskie oczy były żywe i drapieżne, a teraz dodatkowo skrzyły się złością.

– Niechaj piekło pochłonie tych przeklętych Bośniaków! – zdawało się, że jego krzyk

przebije płótno namiotu i samą furią zburzy mury Doboru. – Już drugi miesiąc dobywamy zamek, a obrońców, zamiast ubywać, ciągle przybywa. Bojownicy zdążają tu z Vrhbosny, Tuzly, Visoko, kryją się po lasach i niczym zjawy atakują znieca. Jak zbrodzenie, którymi zresztą są, ośmielając się przeciw naszej osobie rebelię wszczynać.

– Tak bardzo zależy wam, miłościwy panie, na tej krainie? To jeno kupa kamieni, przetykana gdzieniegdzie rzekami – spytał dostojnik krzyżacki. – Ziemie tutaj ubogie, mało żyzne, nie to co w Polsce...

Król zatrzymał się i usiadł. Gestem odesłał służbę i gdy zostali sami, spojrzał uważnie na swego gościa, bawiąc się przy tym guzem od złotolitej szuby.

– Z czym właściwie przybywasz, zakonniku?

– Wielki mistrz Zakonu Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego, Ulryk von Jungingen – rzekł oficjalnie Kiichmeister – przysłał mnie do waszej miłości z propozycją przymierza zaczepno-obronnego przeciwko Polsce.

– Chcecie, abyśmy wystąpili przeciw Jagielle? – Zygmunt uniósł lekko brew. – Wiedz, że gdy przed siedmiu laty szlachta węgierska uwięziła naszą królewską osobę i ofiarowała tron Władysławowi, ten odmówił. Co więcej, doprowadził wówczas do naszego uwolnienia. I teraz mielibyśmy stanąć przeciwko niemu?

– Jagiello to schizmatyk i fałszywy chrześcijanin – prychnął Krzyżak. – Sprzymierzył się z tym litewskim psem Witoldem i tylko patrzeć, jak zaczną kościoły palić, a miast nich pogańskie świątynie stawiać. Wy, królu, który z takim zapałem bronicie chrześcijaństwa, stawaliście pod Nikopolis, prowadzicie krucjatę przeciw bogomiłom...

– Milcz! – Zygmunt podniósł głos i powietrze wypełniła trudna do uchwycenia aura mocy. – Zapominasz, iż przemawiasz do Przebudzonego! Bajdy praw baronom, książętom i królom, których chcecie dla swojej sprawy pozyskać, a którzy nie pojmują zasad rządzących światem.

– Wybacz, Wasza Królewska Mość – wyszeptał pobladły Kiichmeister.

– A może myślałeś, zakonniku, że skoro Emanacja Binah, której służysz, znajduje się wyżej na Drzewie Życia niżli Geburah, czyni cię to bardziej wtajemniczonym?

– Nie.

– Powinniśmy cię śmiercią ukarać za bezczelność. – Władca przyglądał się, jak z oblicza Krzyżaka znikają najmniejsze nawet ślady pychy i pojawia się strach. – Jednakże uczynimy wyjątek – ciężko westchnął. – Ponoć znamienity z ciebie rycerz i szkoda, byś dał głowę. Ponadto niewielu Przebudzonych służy obecnie w Zakonie i gdybyśmy was uśmiercili, Ulryk von Jungingen wielce byłby zasmucony. A tego nie chcemy.

Michał Kuchmeister z ulgą wypuścił powietrze. Nie bał się śmierci, obcował z nią niemal od dziecka. Nieraz przyszło mu narażać życie w bitwach, w pierwszym szeregu prowadził do boju chorągwie, a jego ciało znaczyły liczne blizny. Ale teraz służył sprawie ważniejszej niż życie i nie mógł sobie pozwolić na błąd. Tymczasem błąd popełnił już na samym początku.

Zlekceważył Zygmunta Luksemburskiego.

Mimo że wyczuwał od niego aurę Przebudzonego w Świetle Sefiry Geburah, założył, że każda z Emanacji znajdująca się niżej na Drzewie Życia otrzymuje mniejszą moc, a ich Przebudzeni mniejsze zrozumienie. A przecież światło pochodzące od samego Stwórcy przekazywane jest wszędzie tak samo intensywnie.

Jednakże pomylił się i król węgierski, twierdząc, że w Zakonie jest mało Przebudzonych. Sefira Binah, która reprezentuje matczyną miłość Boga, namaściła wielu spośród wyższych rangą dostojników i teraz każdy z komturów, a nawet wójtów jest świadom prawdziwego oblicza Stwórcy. Binah rośnie w siłę, a Zakon stał się jej zbrojnym ramieniem.

Przybywający na malborski zamek goście, mijając umieszczoną nad bramą wjazdową płaskorzeźbę Dziewicy z Dzieciątkiem, nie zdają sobie sprawy z prawdziwego jej znaczenia. Widzą miłosierną matkę, orędowniczkę życia, i nie przypuszczają, że to Binah, która emanuje w świat realny w tej właśnie formie. Upodobała sobie rycerzy krzyżackich, obdarzając ich mocą i pokładając w nich swe nadzieje. Michał Kűchmeister, jej wierny sługa, nie mógł zawieść.

– Co Ulryk von Jungingen oferuje za owo przymierze? – spytał Zygmunt. – Pustymi ideami macić może swoich gości, co na rejzy przeciw Źmudzi i Litwie się zjeżdżają, ale nie nas. Czy ci głupcy nadal wierzą, że z niewiernymi walczą?

– My ich w tym względzie z błędu nie wyprowadzamy. – Krzyżak uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Zakon ze swej strony gotów jest Waszej Wysokości wypłacić pewną sumę...

– Ile?

– Trzysta tysięcy dukatów.

Oczy Luksemburczyka błysnęły, usta lekko drgnęły, ale chociaż jego serce mocniej zabiło, nic więcej nie dał po sobie poznać.

– Czego w zamian oczekujecie?

– Po rozpoczęciu wojny Wasza Królewska Mość uderzy na Polskę od południa jak największymi siłami...

– Jak największymi siłami? – skrzywił się Zygmunt. – Przecież widzicie, jak moje wojska wykrwawiają się w Bośni. Na nowe zaciągi potrzebne złoto, rycerze zaciężni każą sobie słono płacić, a królewski skarbiec świeci pustkami...

Zawiesił głos i zaczął się gładzić po brodzie, uważnie przypatrując się zakonnikowi. Ten przeklął w duchu skąpstwo i chciwość króla Węgier.

– Zakon gotów jest opłacić wystawienie przez Waszą Wysokość pięciu tysięcy kopii.

– Z takim wojskiem to można jeno po granicy hasać i wilki straszyć, a nie na Polaków się zamierzać – prychnął król. – Potrzebuję dwa razy tyle, i to najprzedniejszych rycerzy wraz z pocztami. A tacy sporo kosztują.

– Zgoda – westchnął ciężko Kűchmeister. – Niechaj będzie dziesięć tysięcy. Jednakże

Zakon nie zapłaci więcej niżli dwadzieścia cztery dukaty od kopii.

– Za tyle to najwyżej Węgrzy i Szeklerzy pójdą.

– Wystarczająca to siła – mruknął zakonnik. – Najznamienitsi z polskich rycerzy ruszą na wojnę z Zakonem, a w domach pozostaną jeno starcy, niewiasty i dziatwa. A z tymi nawet wasi żołdacy łąco sobie poradzą.

Zygmunt Luksemburski zmrużył oczy i zapatrzył się na płachtę namiotu, ale jego wzrok podążał dalej, w przyszłość. Wiedział, że tam, gdzie dwóch się bije, trzeci może skorzystać, a on chciał uszczknąć jak najwięcej.

– Jak mniemamy, na tym oferta wielkiego mistrza się nie kończy?

– Oczywiście. – Michał Kiichmeister miał dziką ochotę wyciągnąć z za pasa mizerykordię i wbić ją prosto w gardło tego chciwego szubrawca. Niestety, Zakon był jeszcze zbyt słaby, żeby samodzielnie rozprawić się z potęgą Polski i Litwy. Za kilka lat przyjdzie czas i na Luksemburczyka. Dzisiaj jednak trzeba dać mu wszystko, czego żąda.

– Po zwycięskiej wojnie Zakon zabierze Litwę, Żmudź, ziemię dobrzyńską i Kujawy, Wasza Wysokość zaś otrzyma Ruś, Podole i Mołdawię. Czy taki układ was zadowala?

Król nie odpowiedział od razu. Zamyślił się, gładząc brodę.

– Tym oto sposobem dokonaliśmy rozbioru kraju, zanim go zdobyliśmy. A przecież Polska jeszcze nie zginęła. Nie będzie łąco. To bitny i dumny naród, niewoli nie zniesie.

– Tak jak Bośniacy. A przecież ich, panie, ujarzmiliście.

– Jak widać, nie do końca. – Na czole Zygmunta pojawiła się głęboka bruzda. – Nadzieja w nich jeszcze się tli, a ją najtrudniej zniszczyć. Jeńcy powiadają, iż na południu, niedaleko grodu Visoko, stoi wzgórze zwane Visoćica. Na szczycie wznosi się twierdza, w której ukrywa się ich przywódca religijny. To on podburza lud, gromadzi zbrojnych i posyła ich z pomocą obleżonemu Twerdkowi. Zwą go djed i legenda głosi, że dopóki on żyw będzie, Bośnia nie zginie. Jest ich ostatnią nadzieją. A żeby naród ujarzmić, trzeba mu tę nadzieję odebrać.

Zamilkł i wydawał się teraz całkowicie pogrążony w swoich myślach. Kuchmeister dołał sobie wina i czekał cierpliwie, nie chcąc ponownie narazić się na gniew króla. Jednak kiedy milczenie przeciągało się, chrząknął, a widząc, że Luksemburczyk nie reaguje, zagadnął wprost:

– Nie odpowiedzieliście na pytanie. Czy mogę jechać do Malborka i rzec wielkiemu mistrzowi, że układ podpiszecie?

– Przedstawione tutaj preliminaria nas zadowolają. – Dopiero teraz Zygmunt spojrzął na wysłannika krzyżackiego. – Jednakże żądam jeszcze jednej rzeczy.

– Jakiej?

– Głowy djeda.

* * *

Siedmiu rycerzy w milczeniu jechało traktem na południe. Z przodu na rącej kasztance Vladko z Vrhbosny, jeden z niewielu Bośniaków służących w szeregach wojsk Zygmunta Luksemburskiego, uważnie rozglądał się po okolicy. Ciemnolicy zwiadowca miał sokoli wzrok, słuch niczym nietoperz z górskich jaskiń i instynkt dzikiego kota. Potrafił wyczuć niebezpieczeństwo, zanim je ujrzał.

Tuż za nim podążali Zawisza Czarny i Jan Farurey, jego brat. Ponoć ci dwaj nie mieli sobie równych w całej Europie, zarówno w walce na kopie, jak i na ubitej ziemi. Z każdego turnieju wracali z laurami, a podczas bitew rzucali się w największy zamęt i zawsze wychodzili bez szwanku. Na królewskich i książęcych dworach byli miłymi gośćmi, bo na równi w sztuce wojennej i w dworności byli biegli.

Dalej jechał rudowłosy Tomasz Kalski, który na śnieżnobiałej jace miał wyhaftowaną szkarłatną różę. Chwalił się wszem wobec, że uczyniła to swoimi delikatnymi dłońmi nadobna Anna, córka Jana Ligęzy, która była mu przyrzeczona. Potrafił godzinami rozprawiać o jej wdziękach i wyzywał na pojedynek każdego, kto wątpił, iż wybranka jest najpiękniejsza na świecie. Nie przeszkadzało mu to wdawać się w romanse. Trudno zliczyć, ilu węgierskim i bośniackim niewiastom serce zламаł.

Skarbek z Gór, zwykle skory do żartów, w milczeniu prowadził karego holsztyńskiego ogiera i czujnie rozglądał się po okolicy. Zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili mogą spotkać buntowników prowadzących wojnę podjazdową z węgierskim okupantem.

Janusz Brzozogłowy też nie był w najlepszym nastroju. Nie podobała mu się ta wyprawa. Nie rozumiał, dlaczego Luksemburczyk akurat ich wybrał do tej misji i oddał pod komendę krzyżackiego dostojnika, ale podejrzewał, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Odwrócił się w siodle i spojrział na jadącego na końcu Michała Kűchmeistera.

Ten otulony w biały płaszcz z czarnym krzyżem jechał spokojnie, rozbawiony sytuacją. Właściwie powinien być wściekły, że błąka się po bezdrożach tej zapomnianej przez Boga krainy, miast w Malborku przy krużach przedniego wina snuć plany wojenne, przepijając do braci-rycerzy. Zakonnik chciał ruszyć na wyprawę z dwiema kopiami swoich ludzi, ale przebiegły Luksemburczyk miał inny koncept. Umyślił sobie, że pojedzie tylko siedmiu rycerzy, bo niewielkiej grupie łatwiej będzie przemknąć przez pogrążony w wojennej zawierusze kraj. Gdyby djed dowiedział się, że ku jego kryjówce zmierza zbrojny oddział, zbiegłby zapewne i ukrył się tak, że przez następne kilka lat nikt by go nie znalazł.

Kűchmeister jechał więc z bośniackim przewodnikiem, wiernym poddanym Stefana Ostoi, i pięcioma Polakami, z których Zygmunt okrutnie przecieź zadrwił. Krzyżak uśmiechnął się pod nosem, biedacy nie zdawali sobie sprawy, że wypełniając misję, wyrządzają szkodę swojej ojczyźnie. Dzięki śmierci djeda Zakon zyska w Luksemburczyku sojusznika w wojnie przeciw Polsce.

Jechali już drugi dzień przez urzekające lasy, mijali czyste jak łza rzeki, jeziora mieniące

się wszelkimi odcieniami turkusu i zieleni, wyłaniające się nagle skaliste szczyty gór i wodospady spływające kaskadą w ciche, spokojne doliny. Tutaj niebo nasycone było niesamowitym odcieniem błękitu, spotykanym tylko na południu Europy. Trudno było uwierzyć, że ten cudowny kraj pogrążony jest w wiecznej wojnie. Wśród cudów przyrody mijali osady, w których nie wygaszały pogorzelska, nie cichł płacz niewiast, a dzieci włączyły się przy trakcie, wyciągając ręce po jałmużnę. Na gościńcach szubienice stały częściej niż krzyże, a kałuże krwi wolno wsiąkały w wypaloną słońcem ziemię. W pięknych brązowych oczach mijanych kobiet tliła się nienawiść. Zhańbione przez węgierskich żołdaków niewiasty zamiast namiętności nosiły w sercach wściekłość, zamiast łagodności – gniew. Tutaj, na Bałkanach, piękno i cierpienie stanowiły nierozłączną parę.

Właśnie dojeżdżali do osady w dolinie otoczonej lesistymi wzgórzami, gdy zauważyli dym i usłyszeli krzyki. Kiichmeister wstrzymał konia i chciał nakazać odwrót, ale już ich zauważono. Tuzin wąsatych knechtów w kolczugach i przeszywanicach wyłonił się pomiędzy zgliszcz chat i stanął na drodze, uważnie im się przyglądając. Krzyżak odetchnął z ulgą. To Węgrzy.

– Witajcie! – Wzniósł rękę. – Jam jest Michał Kiichmeister i wraz z tymi oto rycerzami wypełniam królewską misję.

Knechci schowali miecze, nie ze względu na krzyżackiego dostojnika, ale na widok polskich rycerzy, o których na całych Węgrzech było głośno. Budzili podziw wojów Zygmunta Luksemburskiego, przy obozowych ogniskach rozprawiano o ich kunszcie wojennym.

Siódemka rycerzy wolno przejeżdżała przez spaloną osadę, spoglądając na pokrwawione ciała tych, co próbowali się bronić, prowizoryczne szubienice z wisielcami, półnagie kobiety z poderżniętymi gardłami. Węgrzy z zapalem wykonywali rozkaz równania z ziemią każdej osady pomagającej buntownikom. Jednak im większy terror wprowadzał Luksemburczyk, tym większy był opór i rebeliantów z każdym dniem przybywało.

Vladko z Vrhbosny splunął z pogardą, widząc, jak knechci znoszą łupy w jedno miejsce. Na wojnie można się było nieźle obłowić. Bośniak opuścił głowę i zacisnął dłonie na wodzach. Nie pierwszy raz widział swoich rodaków mordowanych, ograbianych z całego dobytku i za każdym razem powtarzał sobie, że dla dobra ogółu poświęcić trzeba jednostki. Wierzył, że gdy po władzę sięgnie Stefan Ostoja, wynagrodzi ludziom wszystko. Wojska węgierskie odejdą, a nowy władca rządzić będzie uczciwie i sprawiedliwie. Jednak z dnia na dzień zwątpienie mrocznym welonem smutku oplatało jego serce.

Zawisza Czarny gniewnie spoglądał na żołdaków, którzy stojąc na zgliszczach, śmiali się i żartowali. Wyciągnęli bukłak z winem i raczyli się nim nad ciałami pomordowanych. Rycerz nie mógł uwierzyć, że to ludzie służący tej samej sprawie, temu samemu władcy co on.

Nagle usłyszał ciche łkanie. Spojrzał w stronę, skąd dochodziło, jednak wśród szarego

dymu dostrzegł jedynie zwalone, tłące się jeszcze belki domu. Zatrzymał się i zeskoczył z konia.

– Dokąd?! – syknął wściekle Kiichmeister.

Zawisza bez słowa ruszył w kierunku zgliszczy. Obszedł rumowisko, przebijając się przez gryzącą ścianę dymu, i stanął niczym słup soli.

Nie mogła mieć więcej niż jedenaście wiosen, dziecko jeszcze. Naga, rozciągnięta na ziemi pomiędzy czterema palikami, do których przywiązano ją za ręce i nogi, płakała cicho, a łzy ciekły po umorusanej sadzą twarzy. Na niewielkie, ledwie wykształcone piersi opadały dwa czarne warkocze, sarnie oczy wypełniało przerażenie, na białych udach rozmazana była krew.

Polski rycerz doskoczył do niej, wyciągnął zza pasa puginał i sięgnął do więzów.

– To nasza branka – usłyszał za sobą nieprzyjemny, chrapliwy głos.

Nie obejrzał się. Rozciął rzemienie i pomógł dziewczynce wstać. Patrzyła na niego, kuląc się ze strachu. Cóż chce uczynić z nią ten mężczyzna? Nie wiedziała, czy to koniec jej cierpienia, czy dopiero początek. Nagle wyrwała mu się i zaczęła uciekać. Sulimczyk chciał za nią pobiec, ale w tym momencie usłyszał świst przy uchu i dziewczynka upadła. W jej plecach tkwił bełt.

Odwrócił się powoli. Jego pobladła, nieruchoma twarz wyglądała jak karnawałowa maska, którą kiedyś przywiózł z Wenecji dla żony, Barbary.

– Już nie ucieknie. – Żołdak stał z opuszczoną kuszą, szczerząc w uśmiechu spróchniałe zęby. Przeniósł spojrzenie na Polaka i w jednej chwili uśmiech mu zgasł. Naraz Węgrowi zdało się, że kroczy ku niemu demon. Chciał uciec, ale przerażenie trzymało go w miejscu jak spętanego zaklęciem.

Zawisza z tamtej chwili pamiętał tylko furję. Ciało ogarnęła gorączka, czerwona mgła zasnuła oczy i już nic oprócz zabijania nie miało znaczenia.

Wyrwał żołdakowi kuszę i dzielił go w głowę. Łuczysko wbiło się w skroń, krew trysnęła fontanną, obryzgując rycerza, który teraz, z twarzą umazaną szkarłatem, wyglądał jak demon. Odwrócił się ku pozostałym knechtom, w osłupieniu przyglądającym się całej scenie. Zanim zdolali wyciągnąć miecze, Zawisza był przy nich. Pierwszy żołdak dostał opancerzoną pięścią w twarz i zwałił się na ziemię ze złamaną szczęką. Drugiego rycerz chwycił za głowę i gwałtownie skręcił. Chrupnęło i knecht padł martwy, a jego szłom poturlał się pod nogi kolejnego, który chwycił za miecz, ale zaraz został rozplątany niemal na pół przez ostrze Tomasza Kalskiego.

Polscy rycerze widzieli z daleka mord na dziewczynce i po tym, co zastali w osadzie, była to kropla przepelniająca czarę. Gniew musiał znaleźć ujście. Spadli na Węgrów jak nawałnica, ścigali ich pomiędzy zgliszczami, cięli po plecach, rozłupywali czaszki, tratowali końmi. To nie była walka, a rzeź. Knechci mimo przewagi liczebnej nie mieli szans. Tego dnia żaden z nich nie miał prawa ujść z życiem.

Michał Kiichmeister z niedowierzaniem patrzył na to, co się dzieje. Ujrzał, jak Zawisza Czarny niczym sama Śmierć kroczy wśród tłących się jeszcze zgliszcz, zwalonych belek i znika w zbitej przez wiatr chmurze popiołu. Po chwili rozległy się stamtąd krzyki umierających.

Tymczasem oczy Vladka z Vrhbosny błysnęły złowrogo, powieka kilkakrotnie mu zadrżała i naraz coś w nim pękło. Ryknął na całe gardło, spiął konia i dołączył do Polaków, z jeszcze większą niż oni furią rąbiąc Węgrów.

Wściekły Kiichmeister krzyknął za nim, ale widząc, że nie zdoła go zatrzymać, zaklął tylko i z zaciśniętymi ustami czekał, aż to szaleństwo dobiegnie końca. Zastanawiał się, co za przekłeta moc tkwiła w tej krainie, zagrzebana w ziemi lub unosząca się w powietrzu, że ludzie przeistaczają się tu w bestie? Tutaj krew częściej jest przelewana niż woda. Nie ma dnia bez wojny, bez masakry i śmierci. W Bośni tak było, jest i będzie na długo po tym, gdy oni staną się tylko imionami na kartach historii. Wojna jest tu naturalna niczym następujące po sobie pory roku.

Po chwili ustały krzyki, szcęk oręża i tylko gdzieniegdzie słychać było zduszone jęki umierających. Dokonało się. Obryzgni krwią polscy rycerze wrócili na trakt. Milczeli. Nie patrzyli sobie w oczy, ale też nie próbowali nic tłumaczyć. Z otulonych dymem zgliszczy jako ostatni wyszedł Zawisza. Podszedł do konia, wsunął stopę w strzemień i płynnym ruchem wskoczył na siodło.

Michał Kūchmeister gniewnie zmrużył oczy i już miał krzyknąć, że bez jego – dowódcy – rozkazu nikt nie miał prawa sięgnąć po miecz, gdy poczuł ciężką dłoń na ramieniu.

Odwrócił się i ujrzał twarz Janusza Brzozogłowego.

– Nie dzisiaj, zakonniku – usłyszał. – Dzisiaj byś zginął.

Krzyżak spojrział w płonące źrenice Zawiszy Czarnego i dostrzegł furię, jakiej dotąd nie widział, choć w niejednej bitwie brał udział i nieraz miał do czynienia z wrogiem ogarniętym bitewnym szałem. Przeszedł go lodowaty dreszcz, instynkt podpowiadał, by ten jeden jedyny raz powściągnąć swoją dumę.

– Jedźmy już – rzekł tylko.

* * *

Na czarnym niczym smoła niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, księżyc wznosił się nad horyzontem, między wzgórzami na niewielkiej polanie płonęło ognisko, szkarłatnym blaskiem oświetlając twarze mężczyzn. Zmęczeni podróżą i walką, siedzieli w milczeniu, odpoczywając przed czekającą ich ciężką przeprawą przez góry. Tomasz Kalski z lekkim uśmiechem wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, wspominając swoją ukochaną Annę. Skarbek z uwagą doglądał różną, na którym piekły się dwa zające. Janusz Brzozogłowy leżał na trawie z siodłem pod głową, nasunął szłom na oczy i zapewne zasnął, gdyż słychać było

jego pochrapywanie. Jan Farurey, K uchmeister i Vladko ostrzyli miecze.

Zawisza wpatrzony w buchające z ogniska iskry rozpamietywał wydarzenia w wiosce. Wiedział, e postąpił właściwie, przecież zaden sad nie wymierzyłby zbrodniarzom odpowiedniej kary. Zemsta – biblijne oko za oko, zab za zab. Wierzył, e w przyszłoci to sie zmieni i prawo ludzi do ycia bedzie przestrzegane. Nie bedzie narodw lepszych ani gorszych, a wlady bedą bronić poddanych, a nie posylać na nich wojsko. Na razie jednak w wiecie, w ktorym ył, obowiazywao prawo miecza.

– Nad czym tak dumasz, Ledianinie? – Vladko zwrocił sie do Zawiszy.

– Dlaczego sluzysz najedzcy? – odparł Polak pytaniem. – Przecież Wegrzy ziomkw twych mordują, niewiasty hanbią, a dzieci... sam widziaes.

Boniak odoył miecz i spojrzał na niego ponuro.

– Mowisz teraz jak Twerdkowi ludzie, co wzrokiem siegają jeno do dnia nastepnego, a nie dostrzegają tego, co niechybnie przyjdzie za rok, moe dwa. – Spojrzał na poudnie, gdzie w ciemnoci majaczyly masywy gorskie. – Turcy stoją już u naszych granic, lada chwila zielone sztandary zaopoczą nad naszymi głowami, wojownicy z zakrzywionymi szablami zaleją nasze ziemie, zburzą kocioly, w ich miejsce postawią meczety, a zamiast krzyy – półksiezyce. Tylko Luksemburczyk moe to powstrzymać. Lepiej być w niewoli chrzecijaskiego wlady niż u Saracena.

– Są jeszcze inni...

– Inni? – prychnał Boniak. – Moe Anglicy i Francuzi, co od niepamietnych czasw wojne ze sobą toczą i nic wieczej ich nie zajmuje? Moe Małgorzata radząca Danią, Szwecją i Norwegią, chroniona przed Turkiem przez szmat ziemi i morze? A moe wasz krol, Ledianinie, przybedzie z pomocą lub mistrz Zakonu Krzyackiego?

K uchmeister spojrzał spode ba na rycerza z Vrhbosny.

– Pierwej sie sami za by wezmą – rozemiał sie Boniak. – Gdy oni nową wojne w Europie bedą wszczynać, w jej progach stać już bedą sutanskie wojska. A my na Bałkanach pozostaniemy sami, jak przed dziewiętnastu laty w dniu więtego Wita...

– Byes tam? – spytał Zawisza. – Na Kosowym Polu?

Vladko kiwnał głową, jego oczy posmutnialy.

– Otrakiem jeszcze byem, gdy sutan Murad wysłał do serbskiego kniazia azarza Hrebeljanowicza list z ądaniem wydania kluczy otwierających wszystkie serbskie miasta oraz zaplacenienia podatku za okres siedmiu lat. Pisał, e nie moe tak być, e jedna ziemia posiada dwoch panw, i albo kniaz spelni ądania, albo niechaj sie ze swoją armią na równinach Kosowa stawi, eby spor szabla rozsadziła. Ludzie powiadali, e gdy azarz przeczytał list, zamknał sie w swoim biaym zamku w Krusevać i zalał rzewnymi zami.

Rycerz z Vrhbosny zamilkł, dorzucił drewna do ognia. Wszyscy czekali na dalszy ciąg opowieci. Nawet K uchmeister odoył miecz i zaciekawiony wpatrywał sie w pochmurne oblicze Boniaka.

– Książ na pole bitwy przyprowadził niewiele ponad dziesięć tysięcy wojów, a byli wśród nich Serbowie, Chorwaci, Wołosi, najemni Albańczycy i my, garstka rycerzy z Bośni. Musicie wiedzieć, że wtenczas nasz król, dziad obecnie panującego, był sprzymierzeńcem Łazarza. Stanęliśmy na Kosowym Polu pierwsi, tuż przed wschodem słońca. Turcy nie kazali na siebie długo czekać, a kiedy się pojawili, poczeriał horyzont. Było ich całe mrowie. Wyborowe pułki janczarskie słynące z nieustępliwości, łucznicy, genueńscy najemnicy i straszliwi spahisi, którzy mogli się równać opancerzonym rycerzom. Zdawało się nam, że oto nadszedł nie tylko kres naszego życia, ale również naszych narodów, bo cóż mogło powstrzymać taką potęgę?

Zapatrzył się w ogień. Wspomnienia sprzed blisko dwudziestu lat były żywe, jakby działo się to zaledwie wczoraj.

– Hrebeljanowicz, chcąc rozstrzygnąć bitwę szarżą ciężkiej jazdy, ustawił główne siły pośrodku. Za nimi stanęła piechota mająca ubezpieczać tyły. Na prawej flance umieścił lekką jazdę Vuka Brankovicia, pana na Kosowym Polu. Na lewej chorągwie chorwackie, serbskie i bośniackie, w tym i mój oddział. Mieliśmy za zadanie związać walką tureckie skrzydła i nie dopuścić do okrążenia naszych sił. Z samego rana, zanim słońce zdążyło wspiąć się na niebo, zaczęło się...

– Prawda to, iż Łazarz wprawdzie lekką jazdą do walki pchnął? – spytał Skarbek.

Słyszał o bitwie od swojego stryja, który ponoć stawał na Kosowym Polu. Stryj był jednak wyśmienitym łgarzem i w jego opowieściach zwykle więcej było przechwałek niż prawdy.

– Tak – potwierdził Vladko. – Rozpoczął bój od szarży na flankach, wierząc, że sułtan, chcąc zmienić szyk swoich wojsk, rozpocznie manewry, a w on czas miała uderzyć ciężka jazda.

– Nieźle to sobie umyślił.

– Pomimo silnego ostrzału łuczników Vuko Branković ze swoimi jeźdźcami doszedł wroga i rozbił jego piechotę. Zaraz potem ruszyło nasze skrzydło w szalonej szarży wprost pod zakrzywione janczarskie miecze. Vladko ciężko westchnął, opuścił głowę i teraz mówił szeptem:

– Niewiele pamiętam z tamtych chwil, jakby dobry Bóg chciał mi oszczędzić wspomnień. Najpierw czułem powiew wiatru na twarzy, radosne podniecenie walką, słyszałem bojowy okrzyk z tysiąca gardeł, a potem był tylko szczeł oręża, wrzaski umierających i strach. Potworny strach. Liczyłem jeno siedemnaście wiosen i choć wcześniej zabijałem ludzi, to jeszcze nigdy nie uczestniczyłem w takiej rzezi. Wokół lała się krew, w ścisku ludzie miażdżyli się nawzajem, gruchotały kości, pod nogami walały się odrąbane ręce, turlały głowy. Teraz to dla mnie zwykle żołnierskie rzemiosło, wtedy to było piekło.

– Wojna nigdy nie powinna być czymś zwyczajnym – mruknął Zawisza.

– Tutaj, na Bałkanach, jest.

– Opowiadaj dalej – niecierpliwił się Skarbek. – Jak to było z tym Miłoszem Obiliczem?

– Wszystko w swoim czasie – uśmiechnął się Vladko. – Nagle runął na nas hufiec lekkiej jazdy tureckiej prowadzonej przez syna sułtana, Jakuba. Wstrzymał impet naszej szarży i rozpoczęły się pojedyncze starcia. Dzięki bożej opatrności i mojej sile zwyciężałem jednego wroga po drugim, gdy nagle stanąłem oko w oko z bogato odzianym w zieleń i purpurę wojownikiem. Jego biały turban zbryzgany był krwią, w ręku dzierżył zakrzywiony miecz i dosiadał cudownej urody rumaka. Po pierwszej wymianie ciosów zrozumiałem, że mam do czynienia z nie lada szermierzem i nie zdzierzę. Mogłem się jeno bronić i myślałem już, że przyjdzie mi zginąć tam, na Kosowym Polu. Wtenczas zdarzył się cud. Bośniak zamilkł i ponownie zapatrzył się w ogień.

– No mówże! – krzyknął płowowłosy rycerz. Pochłonięty historią zupełnie zapomniał o piekących się na różnie zającach, które już poczerniały.

– Dobrze ułożony koń nie potknie się na polu walki, nie zmyli kroku, a nie wątpię, że taki był ów wierzchowiec Turka. Jednakże to się stało. Nie wiem, czy to był przypadek, czy łaska Boga? Zaskoczony przeciwnik opuścił szablę tylko na chwilę, ale to mi wystarczyło. Uderzyłem go między oczy. Po bitwie powiadali, iż w zamęcie bitewnym poległ Jakub, sułtański syn...

– Chcesz powiedzieć, iż ty go ubiłeś? – spytał Zawisza.

– Nie wiem – pokręcił głową Bośniak. – Jeśli to był ów Jakub, to bardziej pech przyczyną jego śmierci niżli moja biegłość.

– Toś nam teraz historię opowiedział – klasnął w dłonie Tomasz Kalski.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Właśnie – wtrącił Skarbek. – Opowiedz o Miłoszu.

– Niestety, fortel Łazarza się nie powiódł i środek sułtańskiej armii nadal stał niewzruszony. W dodatku z pola bitwy zbiegł Vuko Branković ze swoimi oddziałami, a Miłosz Obilicz, najbardziej zaufany rycerz kniazia, oddał się do niewoli. Powiedział Turkom, że chce do nich przystać, ale najbardziej pragnie przyjąć wiarę w Proroka w obecności samego sułtana. Zaprowadzono go zatem do namiotu Murada, a tam podczas pokłonu rzekomy zdrajca rzucił się na sułtana i przebił mu gardło zatrutym sztyletem.

– A zatem to prawda, co stryj rzekł, Miłosz ubił Murada, nie bacząc, że rozsiecze go sułtańska straż, i zamęt wywołał w szeregach wroga. – Skarbek pomyślał, czy nie nazbyt surowo osądzał swojego stryja. Może ów zacny rycerz naprawdę był we wszystkich miejscach, o których opowiadał?

– Tak – odparł Bośniak. – Jednakże nasze szczęście nie trwało długo. Drugi syn sułtana, Bajazyd, nie bez racji zwany Błyskawicą, w mig sięgnął po władzę i przywrócił porządek w tureckich szeregach.

– A co w tym czasie czynił Łazarz?

– Książ sam poprowadził natarcie ciężkiej jazdy w sam środek islamskich sił. Później

mówili, iż to było istne szaleństwo. Możliwe. W moje serce jednak spłynęła nadzieja. Rzuciliśmy się na wroga jeszcze zacieklej, walczyliśmy do upadłego. W Kosowe Pole wsiąkło morze krwi. Przeklęte to miejsce, nad którym jeszcze przez wieki będą unosić się upiory wojny.

– Czyim zwycięstwem zakończyła się bitwa? – do rozmowy wtrącił się Michał Kiichmeister. – Gdyż różnie powiadają.

– Trudno rzec – westchnął Vladko. – Jam nie doczekał. Dostałem szablą przez łeb i padłem nieprzytomny. Na szczęście ostrze ześlizgnęło się tylko po czerepie i jeno mi się blizna ostała.

Bośniak odgarnął włosy i pokazał szramę biegnącą przez pół głowy.

– Ponoć wojska były tak wyczerpane, iż obie armie się wycofały. Turcy stracili swojego sułtana i jednego z jego synów, my zaś wielu walecznych rycerzy, w tym Miłosza Obilicza i samego kniazia Łazarza.

– Zostali męczennikami za wiarę – rzekł Tomasz.

– Ludziska powiadają, że w noc poprzedzającą bitwę kniaź ujrzał anioła, który dał mu do wyboru – potęgę doczesną lub miejsce w Królestwie Niebieskim. To drugie jednak oznaczało męczeńską śmierć za wiarę. Łazarz wybrał. Oby więcej było takich jak on, gotowych stawić czoło niewiernym, zanim nas wszystkich pochłoną.

Zamilkł i siedzący przy ognisku mężczyźni pograżyli się w myślach. Słysząc było tylko pohukiwania sowy w oddali, trzask iskier i chrapanie Janusza Brzozogłowego.

– Psiakrew! – Skarbek z Gór dopadł do rożna i spalonych na węgiel zajęcy. – Przyjdzie nam dzisiaj kłaść się bez wieczerzy.

* * *

Szlak wiódł wśród skalistych, kaleczących niebo gór, olbrzymich głazów porośniętych mchem, potoków i strumyków, wprost na przełęcz, za którą rozciągały się łagodne, lesiste wzgórza Visoko. Niebo było bezchmurne i słońce, które wznosiło się nad granią, paliło niemiłosiernie. Podejście stawało się coraz bardziej strome, więc rycerze musieli zsiąść z koni i teraz prowadzili je za uzdy. Pot zrosił czoła mężczyźni, ich ciężkie oddechy zlewały się ze stukotem kopyt na kamiennej ścieżce.

Rozglądali się czujnie w obawie, że zza skał wyskoczą bośniaccy powstańcy, którzy w górach mieli swoje kryjówki. Czasami zdawało im się, że widzą sylwetki przyczajone za wyłomami skalnymi, i już sięgali do mieczy, ale okazywało się, że to tylko gra cieni. Od czasu do czasu odwieczną ciszę gór przerywał dźwięk osuwających się kamieni. Wtedy z niepokojem spoglądali w górę, jednak dostrzegali tylko kozice na grzbietach wzniesień.

– Miejcie oczy szeroko otwarte – rzekł Kūchmeister. – Teren doskonały na zasadzkę. Zauważyliście coś?

– Nic – pokręcił głową Tomasz. – Jeno skały i skały.

– To Bośnia – rzekł Vladko. – W tej krainie skały jest więcej niżli ziemi. Powiadają, że gdy Bóg zstępował z gwiazd, na plecach niósł dwa worki. W jednym była ziemia, zaś w drugim kamienie. Z tego budulca miał ulepić nasz świat. Jednakże Szatan, który zawsze i wszędzie Panu szyki pragnie pomieszać, uczynił dziurę w worku z głazami. Te zaś wysypały się i tam, gdzie spadły, zrodziła się Bośnia.

Rycerze roześmiali się.

– Piękną nam historię rzekłeś – westchnął Skarbek. – Zatem już od zarania dziejów kraj ten okrutnie przez los jest doświadczany.

– Tak to już bywa – mruknął Bośniak.

– Nie frasuj się. Zapewne kiedyś to się odmieni.

Vladko pokręcił ponuro głową.

– Bośnia zawsze naznaczona będzie piętnem wojny. Spójrzcie tam – wskazał na zachód. Rycerze przystanęli i korzystając z chwilowego odpoczynku, sięgnęli po bukłaki z wodą. Próbowali coś dostrzec pomiędzy szczytami, ale widzieli tylko kolejne łańcuchy gór. – Tam znajduje się Vrhbosna, moja rodzinna osada. Położona w rozległej dolinie otoczonej lesistymi wzgórzami, które jesienią przybierają kolor szkarłatu i brązu. Zimą okrywają się białym puchem, skrzą w słońcu i wtedy mogłoby się wydawać, iż tu właśnie znajduje się Królestwo Niebieskie. Wiosną zaś drzewa cieszą oczy soczystą zielenią.

Bośniak zamilkł zapatrzony w dal, na jego twarzy pojawiły się bruzdy.

– Wieszcza rzekła, że ledwie połowa wieku minie, najadą nas niewierni i z niewielkiej osady uczynią olbrzymie miasto. Turcy nazywać je będą Sarajewo, co w ich języku oznacza dwór na równinie. Słynne będzie na cały świat, ale nigdy nie zazna spokoju. Zawsze unosić się będą nad nim dymy z pogorzelsk, krew będzie spływała ulicami. A kiedy w Europie zapanuje pokój, bo ponoć takie czasy nadejdą, gdy umilkną bombardy i szczęk oręża, tam zawsze będzie trwała wojna...

– Bzdury! – warknął Kiichmeister. – Obląkane staruchy bajdy opowiadają. Nie można dawać wiary ich słowom.

– Nie lekceważ tego. One przemawiają ustami Boga...

– Cóż one mogą wiedzieć o Bogu? – rzekł gniewnie Krzyżak. – Nie mają pojęcia o Jego istocie, a co dopiero zamierzeniach. Wszyscy macie bielma na oczach i jako ślepcy ciemność jeno widzicie. Stwórca nielicznych tylko obdarzył światłem, darem wiedzy, uchylił rąbka tajemnicy...

Zawahał się, zdając sobie sprawę, że powiedział zbyt wiele.

– Na pewno nie są nimi te nieszczęsne niewiasty – dodał już spokojnie, próbując się uśmiechać. – Idźmy już. Czasu nie mitrężmy.

Pociągnął za uzdę konia i ruszył ścieżką. Rycerze spojrzeli po sobie trochę zdziwieni tak nagłym wybuchem, ale nic nie mówiąc, poszli za nim.

– Poczekaj. – Zawisza przytrzymał za ramię Brzozogłowego. – Co o nim myślisz?

Janusz zmarszczył czoło wpatrzony w oddalającego się Kiichmeistera.

– Nie podoba mi się ta misja.

– Jak nam wszystkim. Nie o to pytałem.

– Co mam ci rzec? – Spojrzał w miodowe oczy Zawiszy. – To przecież Krzyżak. Dzisiaj wędruje z nami, jutro będzie naszym wrogiem. Nie wiem, czemu Zygmunt go z nami posłał ani dlaczego ten przyjął misję, ale powiadam ci, tu chodzi o coś więcej niżli głowa tego nieszczęsnego djeda.

– Też tak sędzę. Miej na niego baczenie.

– Zawsze będę tuż za jego plecami.

* * *

Stało się to w południe, gdy wspinali się wąskim żlebem po zachodniej stronie stoku. Przełęcz była już dobrze widoczna i przed zmierzchem powinni tam dotrzeć. Wreszcie ukryją się przed słońcem w gęstych lasach wokół Visoko.

Rycerze usłyszeli głośny rumor, jakby potężne wrota się rozwierały, a następnie ujrzeli masę kamieni staczającą się po piargach. Potężne głazy, niektóre przekraczające wielkością dorosłego mężczyznę, odbijały się od podłoża, zabierając ze sobą okruchy skał.

– Lawina! – krzyknął Jan Farurey, który pierwszy dostrzegł niebezpieczeństwo.

Niestety, w pobliżu nie było żadnego skalnego okapu, za którym można by się skryć, uciekać też nie było dokąd. Rycerze puścili wyrrywające się w panice wierzchowce i rzucili się na ziemię. Kamienie przewaliły się nad ich głowami, porwały konie i zatrzymały się dopiero na przeciwległym piargu, tworząc olbrzymie rumowisko.

Wszystko trwało zaledwie kilka uderzeń serca, ale Zawiszy wydawało się, że minęły wieki. Niezgrabnie podniósł się, zrzucając z siebie drobne kamienie i żwir. Poczuł ból głowy i ciepło rozlewające mu się na czole. Dotknął miejsca tuż przy skroni. Spojrzał na dłoń – krew. Jakiś odłamek musiał go trafić, ale rana nie była głęboka.

Wszędzie unosił się tylko pył. Zawisza oddychał głęboko, starając się uspokoić. Gdy tylko zbierze siły, zacznie szukać towarzyszy. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mogli zginąć. W jego serce wdarł się strach o Jana. Wychowali się wspólnie, razem jeździli na wyprawę wojenne, dzielili smutki i radości. Co powie ojcu po powrocie do Garbowa?

Wierzył, że brat żyje przywalony kamieniami i czeka na ratunek. Spróbował krzyknąć, ale tylko chrapliwie zakaszał. Spojrzał na ścianę rudawego pyłu. Czy nie powinien już opaść? Wiatr powinien rozgonić tę zawiesinę, ale Zawisza nie czuł powiewów na twarzy, a oddychanie przychodziło mu coraz trudniej. Oczy powoli się zamykały.

Nagle tuż przed nim pojawiła się postać w postrzępionej szarej szacie. Skupił na niej wzrok i dostrzegł podpierającą się kijem, pomarszczoną staruchę z bielmem na oku. Miała

rzadkie białe włosy opadające do ramion.

– Witaj – skrzywiła bezzębne usta w uśmiechu.

Serce zabiło mu mocniej, zrozumiał, że to nie jego towarzysz, ale on sam nie żyje i właśnie Śmierć przyszła po niego. Starucha zaśmiała się.

– Nie, rycerzu, twój czas jeszcze nie nadszedł – rzekła. – Nie jestem tym, czego się spodziewasz, chociaż...

Zamyśliła się, patrząc w przestrzeń. Po chwili ponownie spojrzała na Zawiszę.

– Posłuchaj mnie uważnie, bo czas nam się kończy – zamilkła, znowu się nad czymś zastanawiając. – Czyż to nie dziwne? Przecież czas i przestrzeń można formować wedle uznania, więc czemuż to człowiek niczym malarz stara się zawrzeć wszystko w obrazie? Zmieścić się w jego ramach, zamiast się z nich wyrwać? To takie proste... Ale o czym to ja mówiłam?

Rycerz z Garbowa był teraz pewien, że kamień, który uderzył go w głowę, odebrał mu nie życie, lecz rozum. Chyba że to nie omamy, a siły nieczyste znalazły dostęp do jego duszy. Od dzieciństwa starał się być prawy, postępować zgodnie z kodeksem rycerskim i bożymi przykazaniami. Zawsze stawał po stronie tych, co Boga w sercu nosili. Stronił od wina, dziewczek wszetecznych i wszelkich awantur, które mogły mu przynieść złą sławę. A może spotkało go to właśnie przez pychę? Czy można walczyć ze złem, nie rozumiejąc jego istoty i samemu pozostając czystym?

– Bzdury! – starucha zdawała się czytać w myślach. – Całe to dobro i zło przyprawia mnie o mdłości. Jednakże nie jestem tu po to, żeby z tobą dysputy wieść.

Zamlaskała, drapiąc się po głowie, a Zawisza musiał przyznać rację Kiichmeisterowi, że wszystkie nawiedzone staruchy są obłąkane.

– Jutro dotrzecie do Visoko i staniecie przed górą, która nie jest górą. Na jej szczycie wznosi się twierdza, ale nie w niej znajdziecie to, czego szukacie. To góra skrywa tajemnice. Wypatruj deszczu i bacznie patrz pod nogi, a obaczysz skorupę jajka. Dostrzeżesz to, co z pozoru niedostrzegalne. Zrozumiałeś?

Spojrzała na oniemiałego rycerza.

– Lepiej tego wyrazić nie mogłam – westchnęła, obejrzała się i musiała coś dostrzec w otaczającym wszystko brunatnym pyle. – Już po ciebie idą.

Starucha jak nagle się zjawiała, tak zniknęła, a Zawiszę ogarnęła ciemność.

* * *

Schodzili w dół po lesistym stoku. W dole, ukryta za ścianą drzew, szumiała rzeka Bosna, nad głowami przelatywały rozćwierkane ptaki, a pomiędzy rozłożystymi koronami buków prześwitywało błękitne niebo. We wczorajszej lawinie stracili wszystkie konie i cudem sami uszli z życiem.

– Bogu dziękować, bracie, iż w samą porę zdążyliśmy wyciągnąć cię spod rumowiska – rzekł Jan Farurey. – Powietrza ci już brakło i ledwie dychałeś. Co ja bym rzekł ojcu po powrocie do Garbowa?

Zawisza uśmiechnął się pod nosem. O tym samym myślał, leżąc pod zwałami kamieni i myśląc, że to jego brat zginął. Nadal nie wiedział, co go spotkało. Czy starucha tylko mu się przyśniła? Czy była majakiem pojawiającym się, gdy człowiekowi tchu w piersiach brakuje, czy też znakiem, wskazówką od sił wyższych? Rycerz nie umiał sobie na to odpowiedzieć, jednak słowa, które wyrzekła, choć nic z nich nie rozumiał, dobrze wryły mu się w pamięć.

– To Michał Kiihmeister cię znalazł – rzekł Jan, spoglądając na idącego z przodu Krzyżaka. – Myśleliśmy, że porwało cię na drugą stronę stoku. Nikt nie przypuszczał, że pod tym gruzowiskiem może być żywy człowiek. On pierwszy począł odrzucać kamienie...

Zawisza spojrział na brata zdumiony. Ostatnią osobą, od której spodziewał się ratunku, był Kiihmeister. Może źle go ocenił? Może pod kirysem pełnego pychy zakonnika tli się dobro? Przecież był rycerzem i przestrzegać powinien zarówno zasad honoru, jak i boskich przykazań.

Przyspieszył kroku i zrównał się z zakonnikiem.

– Winien ci jestem życie – rzekł.

Kiihmeister prychnął lekceważąco i spojrział na Polaka.

– Potrzebny mi jest każdy rycerz.

– Wierzę, iż nie tylko ta rzecz tobą powodowała.

– Zdumiewa mnie twoja naiwność, Zawiszo – roześmiał się Krzyżak. – Cóż warte jest życie ludzkie? Jaki sens ma nasze istnienie? Jesteśmy jeno marionetkami, którymi porusza wytrawny kuglarz.

– Mówisz o Bogu?!

– Zgadłeś – odparł z przekąsem. – Mówię o Stwórcy. I nie patrz, jakbyś na stos chciał mnie posłać.

– Błuźnisz.

Krzyżak zatrzymał się, chwycił Polaka za ramię i poczekał, aż pozostali się oddalą. Gdy zostali sami, spojrział prosto w twarz Zawiszy, a w jego stalowych oczach nie było ani cienia życzliwości.

– Nic nie pojmujesz i nie dane ci będzie pojąć. Jesteś jeno ślepcem szukającym drogi po omacku, niedostrzegającym prawdziwej natury świata. Czasami zazdrościsz takim jak ty...

– Zazdrościsz?

– Tak – westchnął ciężko. – Kiedyś myślałem, iż wiedza, jaką zostałem obdarzony, jest darem, teraz zaś wiem, że to przekleństwo. Ty, Zawiszo, masz wybór, który mnie został odebrany.

– Doprawdy nie wiem, o czym prawisz – wyszeptał pobladły Polak. Czuł, że ociera się o tajemnicę, co nie była dla niego przeznaczona.

– Nie wiesz – uśmiechnął się Krzyżak. – I raduj się z tego.

– Idźmy już – Zawisza chciał zakończyć tę dziwną rozmowę.

Michał Kiichmeister przytrzymał go jednak, uśmiech mu zgasł, a oczy ponownie stały się zimne jak lód.

– Wczoraj uratowałem ci życie, ale to nie znaczy, że coś mi jesteś winien. Zbliża się wojna i gdy spotkamy się na polu bitwy, bez mrugnięcia okiem żywota cię pozbawię.

– Nie będzie to proste, zakonniku. Widziałeś, jak zabijam. Wiedz, że i mi ręka nie zdrzy.

– Masz rację – pokiwał głową Kiichmeister. – Idźmy już, bo twoi towarzysze gotowi pomyśleć, że już teraz chcemy się pozarzynąć.

Zawisza poczuł, że dopiero teraz opuszcza go gniew. Nie rozumiał tej fali wściekłości, jaka przez niego przeszła. Nieraz przecież słuchał gróźb, nieraz był obrażany i lżony, jednak zawsze udawało mu się zachować kamienny spokój. Wiedział, że emocje są złym doradcą i należy kierować się przede wszystkim rozumem. A przecież przed chwilą gotów był wyciągnąć oręż na człowieka, który wczoraj uratował mu życie.

– Czy to wojna takimi nas czyni? – szepnął bardziej do siebie.

– Wojna to jedyna rzecz, którą my, ludzie, potrafimy robić dobrze – odparł Kiichmeister.

* * *

Dotarli na miejsce tuż przed zmierzchem. Według węgierskich wywiadowców w samym Visoko stacjonowały oddziały buntowników, więc ominęli osadę dużym łukiem i gdy słońce chowało się za horyzontem, stanęli u podnóża wzgórza Visoćica. To tu, na jego szczycie, w pilnie strzeżonej twierdzy miał się ukrywać djed.

– Jezu Przenajświętszy! – szepnął Tomasz. – Cóż to za dziwo?

Porośnięte gęstwiną wysokie na ponad dwieście metrów wzgórze miało kształt ostrosłupa o czterech równo nachylonych stokach. Wyglądało raczej na bryłę postawioną ręką potężnego olbrzymia niż na twór natury.

– Pamiętacie, jak Jarosław zIwna rozprawiał o tym, co widział w Afryce? – rzekł zaintrygowany Skarbek. – Przed ośmioma laty, gdy walczył z Maurami pod murami Tetuan, dostał się do mameluckiej niewoli. Zawiedli go wraz z innymi więźniami na zachód, gdzie miał zostać niewolnikiem, bo musicie wiedzieć, że Mamelucy w przeciwieństwie do swoich niewiernych pobratymców okupów nie biorą. Jarosław po trzech miesiącach zdołał zbiec i wędrując przez pustynię, różne dziwa widział. Razu pewnego trafił do zagrzebanego w piaskach starożytnego miasta, gdzie wśród posągów ni to ludzi, ni to zwierząt ujrzał olbrzymie, sięgające nieba kamienne piramidy. Ponoć wzniesione zostały ręką ludzką przed tysiącem lat.

– Nie szkoda było tyle kamienia? – zdziwił się Janusz Brzozogłowy. – Lepiej setki twierdz postawić lub mur wybudować wokół całego kraju. Po diabła sztuczne góry stawiać?

– Do chowania zmarłych. To były grobowce.

Rycerze zamilkli, z lękiem wpatrując się w piętrzące się przed nimi wzgórze. Oczyma wyobraźni widzieli wychodzące z lasu rzesze ożywieńców. Przegniłe twarze bośniackich wojowników, trzymających w kościanych dłoniach przerdzewiałe miecze, spływające krwią tasaki. Wstawali z grobów, żeby dokonać zemsty.

– Dość tego bajania – zezłościł się Michał Kiihmeister. Pokręcił głową próbując odgonić mroczne myśli. – Zanim ciemności zapadną, musimy wdrapać się na wzgórze, a potem zakraść do twierdzy i pojmać djeda.

– Myślałem, że wystarczy nam jego głowa? – spytał drwiąco Skarbek.

– Wpierw chcę z nim pomówić – odparł Krzyżak wpatrzony w szczyt, na którym majaczyła niewielka półkolista twierdza.

Janusz Brzozogłowy wymienił znaczące spojrzenie z Zawiszą.

Ruszyli, przedzierając się przez gęste krzaki porastające stromy stok, kluczyli wśród drzew, wybierając najdogodniejsze ścieżki, i minęła godzina, zanim wdrapali się na szczyt. W szarości zmierzchu dostrzegli wyłaniające się ponure mury twierdzy i upiornie sterczącą basztę, w której, jak podejrzewali, ukrywał się djed.

– Trzech strażników na murach – szeptał Vladko, wracając ze zwiadu. – Nie wiem, ilu w środku.

– To się okaże, gdy tam wejdziemy – mruknął zakonnik.

– Jak masz zamiar to uczynić? – zapytał Tomasz Kalski. – Wszak miłosiwny Bóg w swojej łaskawości skrzydeł nam nie dał, a same nie wyrosną.

– Jak wy, Polacy, chcecie wojny wygrywać, skoro Bóg nie tylko skrzydeł wam poskąpił, ale również rozumu?

Rudowłosy rycerz warknął wściekle i sięgnął do miecza.

– Nie czas i miejsce na spory. – Zawisza przytrzymał jego dłoń.

– Każ mu zatem zawrzeć tę niemiecką gębę, bo utłukę jak psa.

– Wpierw ja z ciebie krew wytoczę jak ze świni – syknął Krzyżak.

– Spokój! – Sulimczyk spojrział na zakonnika. – Jak rozumiem, masz jakiś fortel?

Michał Kiihmeister uśmiechnął się tylko.

* * *

Mirolav poprawił szłom, mocniej ujął pochodnię i ruszył na obchód twierdzy. Dowódcą straży był zaledwie od tygodnia, od kiedy staremu Kulinowi zeszło się z tego świata. Nie zginął od miecza, nie zawisł z pętlą u szyi, jak zazwyczaj umierali bośniaccy mężczyźni. Po prostu jego serce nie wytrzymało. Skonał w łóżu, wieczorem położył się spać i więcej się nie obudził. Nie miał żony ani dzieci, więc nikt za nim oczu nie wypłakiwał, tylko strażnicy z Visoóicy, gdy już go w mogile złożyli, krużę wina uczcili jego pamięć.

Mirolav nie chciał tej godności. Wolałby po dawnemu iść z oddziałem w las, polować na Węgrów i wyrzynać ich, póki siły w rękach starczy. Nienawidził ich z całego serca za to, że ośmielili się wtargnąć na bośniacką ziemię, grabić, mordować, gwałcić. Zabrali im wolność i chcieli wytepić wiarę. Mirolav wraz z innymi poprzysiągł, że odłoży miecz, dopiero gdy ostatni z najeźdźców opuści Bośnię.

Najbardziej jednak nienawidził Szeklerów. W wojsku, które przywiódł Zygmunt Luksemburski, można było spotkać Wołochów, Mołdawian, Słowaków, a nawet Polaków, jednak to Szeklerzy znani byli z największego okrucieństwa. Zwano ich „Czarnymi Węgrami” i gdzie się zjawiali, kroczyła za nimi Śmierć. Kmiotków żywcem palili, dzieci na pal wbijali, jeńców torturowali dla samej tylko przyjemności, a kobiety, które dostały się w ich ręce, już nigdy nie odzyskiwały zdrowych zmysłów.

Wszedł na mur i spojrzał na pogrążoną w ciemności okolicę. Chmury zasnuły księżyc i tylko w nikłym świetle gwiazd widać było majaczące w dolinie ciemne kształty chat i dym z kominów. Ludzie w Visoko siadali do wieczery.

Nagle ciszę rozdarł szczęk oręża, najpierw stłumiony, później coraz głośniejszy. Mirolav spojrzał w kierunku odgłosów. Uciekającego mężczyznę ścigało dwóch zbrojnych. Co chwilę obracał się, wymieniał z nimi kilka ciosów i biegł dalej, zmierzając do twierdzy. Musiał już widzieć pochodnie na murach i zapewne też dostrzegł stojących na blankach strażników.

– Ratujcie! – krzyczał po bośniacku. – Przybywam z Doboru. Przysłała mnie Twerdko z wieściami.

Mirolav zmarszczył czoło i czekał. Musiał mieć pewność.

Tymczasem uciekinier jakieś dwadzieścia kroków od bramy potknął się. Ścigający uderzył mieczem, ale mężczyźni cudem udało się odwrócić i przyjąć cios na zastawę. Przeturlał się, unikając uderzenia drugiego miecza, poderwał się równe nogi. Pchnął sztychem, ale tylko lekko naruszył kolczugę wroga.

– Ulitujcie się! – krzyczał. – To Szeklerzy. Zaraz mnie zatłuką.

Oczy Mirolava załśniły wściekłością.

– Otwierać bramę! Na nich!

Strażnicy odwalili ciężką zasuwę, rozsunęli drewniane skrzydła drzwi i gdy chcieli ruszyć z odsieczą, do środka wpadło czterech zbrojnych. Pierwszy z Bośniaków padł z rozplatanym czołem po uderzeniu krzyżackiego ostrza, drugiego przeciął niemal na pół miecz Janusza Brzozogłowego, kolejnych dwóch poległo od sztychów Zawiszy Czarnego. Ostatni zdołał sparować cios Jana Farureya, ale rycerz ponowił atak, rozłupując czerep strażnika. W tym samym momencie rudowłosy Tomasz Kalski i Skarbek z Gór, którzy udawali atak na Vladka, rzucili się do bramy. Mirolav zrozumiał, że padł ofiarą podstęp.

– Do broni! – krzyknął, ale wszyscy jego ludzie byli już na placu. Słyszając szczęk oręża, chwycili za broń i wybiegli z kwater. Jeszcze nie całkiem przebudzeni, w płóciennych koszulach, w byle jak naciągniętych nogawicach stawali do walki z wrogiem odzianym w

pancerze kolcze.

Mirosław dostrzegł, jak obryzganym krwią rudowłosy rycerz ze zwinnością rysia unika sztychów i bez litości tnie jego ludzi. Słyszał o nim, to szybszy od błyskawicy Tomasz Kalski herbu Róża. Obok potężny mężczyzna rąbał mieczem jak toporem, a co uderzył, to krew tryskała. Wiedział, że to Janusz Brzozogłowy, o którego czynach nawet Turcy rozprawiali. Tuż za nimi niesiony walką płowowłosy rycerz śmiał się radośnie i żadne z bośniackich ostrzy nie mogło go dosięgnąć. Tylko jeden człowiek mógł tak wyzywać los – Skarbek z Gór herbu Habdank. Jednak największe przerażenie budzili w nim dwaj walczący ramię w ramię mężczyźni o czarnych włosach i oczach niczym rozpalone węgle. Mówiono o nich, że sami potrafili rozbić cały hufiec, zdobyć każdy zamek, a niewierni na dźwięk ich imion zalewają się łzami. Zawisza Czarny i jego brat Jan Farurey. A na samym końcu szła Śmierć. Zbrojny rycerz obleczony w biały płaszcz z czarnym krzyżem.

Mirosław wiedział, kim jest i po co przyszedł. Zrozumiał, że nie ma ratunku, otrząsnął się z otępienia i podbiegł w stronę baszty.

– Ogień! – krzyknął do strażnika na wieży. – Rozpał ogień!

Nagle poczuł przeszywający ból. Spojrzał na tkwiącą w ramieniu strzałę. Na szczęście rana nie była groźna. Ułamał drzewce, podniósł wzrok i ujrzał Bośniaka, tego, który udawał uciekiniera. Wyciągał właśnie z kołczana kolejną strzałę. Mirosława ogarnęła furia.

– Zdrajco! – krzyknął wściekle.

Vladko wiedział, że nie zdąży już naciągnąć cięciwy i wycelować. Odrzucił łuk, wyciągnął miecz i ledwo sparował cios. Potem kolejny. Miał przed sobą człowieka ogarniętego żądzą mordy. Dla niego był zdrajcą – wrogiem gorszym od Węgra, nawet Szeklera. Człowiekiem, który z własnej woli pomagał unicestwić swój naród.

Rycerz z Vrhbosny przyjął na zastawę kolejny cios i mógł uderzyć, rozłupując czaszkę strażnika, ale zawahał się. Miał przeciw sobie Bośniaka, rodaka. Ponownie zasłonił się przed wściekłym atakiem i znowu mógł uderzyć, bo napastnik był kiepskim szermierzem. Chociaż wojownik w czasie walki powinien myśleć tylko o pokonaniu wroga, w głowie Vladka kłębiło się tysiące myśli. Czy kiedyś skończy się zabijanie? Czy na Bałkanach brat zawsze będzie stawał przeciwko bratu? Czy bośniacki naród zasługuje na wolność, na przetrwanie?

Spojrzał w pałające gniewem oczy przeciwnika i nie znalazł w nich odpowiedzi. A może to właśnie była odpowiedź? Ludziom tak naprawdę nie zależy na wolności, na życiu w szczęściu i pokoju, oni chcą wojny. Zamiast budować – chcą niszczyć, zamiast dawać miłość – zadawać ból. Dla nich nie ma nic piękniejszego od widoku przelewanej krwi. A w Bośni splamiony jest nią każdy skrawek ziemi, kamień, skała. Narodzą się następne pokolenia, dla których zabijanie i nienawiść będą najwyższą wartością.

Vladko mocno zbił ostrze przeciwnika, odrzucając je daleko, i uderzył. O ile wypuszczonej z łuku strzały nie sposób powstrzymać, to rękę prowadzącą ostrze – owszem. Zatrzymał cios. Nie miał już serca do walki. Przymknął powieki i chwilę później poczuł

przeszywający ból. Ogarnęła go ciemność. Śmierć przywitał z ulgą.

* * *

Na szczycie wieży płonął ogień, który strażnik zdążył rozpalić, zanim zginął. Widoczne na co najmniej kilka staj płomienie lizały czarne jak aksamit niebo. Niedługo zjawia się tutaj zbrojne oddziały z Visoko, żeby sprawdzić, co się stało.

– Djeda nigdzie nie ma – rzekł Tomasz do Zawiszy, który rozglądał się po pobojowisku. Naliczył dwadzieścia ciał bośniackich bojowników. Po raz kolejny przelali krew i nie wiedział w imię czego.

– Przeszukaliśmy wszystko – mówił dalej rudowłosy. – Myślę, że powinieneś zejść do piwnicy...

Rycerz z Garbowa spojrział na niego pytająco.

– Kiichmeister trzyma tam tego Bośniaka, co przeżył, i torturami usiłuje zmusić go do mówienia.

– Pójdę tam, a wy szykujcie się do drogi.

Ruszył w stronę baszty, ale zatrzymał się jeszcze przed drzwiami, spoglądając na leżącego tuż przy progu Vladka. Któryś z rycerzy zamknął mu powieki i mogłoby się wydawać, że Bośniak śpi, gdyby nie ciągnąca się przez całe czoło głęboka rana. Czy po drugiej stronie zazna spokoju? A może tam też toczy się wojna?

Zawisza pchnął ciężkie drzwi i usłyszał jęki. Zszedł schodami i znalazł się w rozświetlonej łuczywami niewielkiej izbie. Zapewne była magazynem, gdyż pod ścianami stały beczki i skrzynie.

– Gdzie jest djed?! – Michał Kiichmeister pochylał się nad związanym strzępem człowieka. Twarz mężczyzny była zalana krwią, nos miał przetrącony, zęby powybijane. Wyłupione krzyżackim puginałem oko spływało po policzku, drugiego zaś nie było widać pod opuchlizną.

Zakonnik zamierzył się okutą pięścią, ale Zawisza ją pochwycił.

– Dość!

– Jak śmiesz? – warknął zakonnik.

– Tak się niczego nie dowiesz – wyszeptał polski rycerz i podszedł do jeńca. Przeciął mu więzy, pomógł usiąść i otarł zmasakrowaną twarz. Wiedział, że Bośniak długo nie pożyje, i spojrział z wyrzutem na Krzyżaka, który rozgniewany stał z rękoma założonymi na piersi.

– Jak cię zwą? – zapytał Zawisza więźnia. Strażnik milczał, oddychając ciężko, próbując ocalałym okiem spojrzeć na niego.

– Miroslav – wycharczał. – Tyś Polak?

– Tak.

Więzień próbował się zaśmiać, ale z jego gardła dobył się tylko charkot.

– Polak i Niemiec... Cóż za sojusz?

– Różnie się w życiu układa.

– Przybyliście zabić djeda?

Rycerz milczał przez chwilę.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Nie – Bośniak westchnął ciężko. Mówienie sprawiało mu trudność. – On jest naszą ostatnią nadzieją.

– Jest buntownikiem...

– Buntownikiem? – Zdrowe oko błysnęło wściekłością. – Oby przyszło wam, Polakom, walczyć o swoją wolność, każdego dnia budzić się pod jarzmem, widzieć niewolonych ludzi, dzieci mówiące obcą mową. Wtenczas też chwycicie za broń i pomimo że wyzywać was będą od zbrodni, pójdziecie walczyć. A jak raz za razem każdy wasz opór stłumią, pozostanie wam jeno nadzieja...

Wyciągnął ku Zawiszy rękę, drżącymi palcami chwycił za szatę.

– Zaklinam cię. Nie odbieraj nam naszej.

Do polskiego rycerza dopiero teraz dotarło, jak wielką wiarę pokładają Bośniacy w człowieku, który stał się dla nich symbolem wolności. Kiedy umrze djed, umrze ich nadzieja, a wtedy Zygmunt łatwo stłumi bunt.

Spojrzał w zmasakrowaną twarz jeńca i w zdrowym oku dostrzegł niemą prośbę. Skinął głową, sięgnął po mizerykordię i jednym ruchem podciął mu gardło.

– Nie! – krzyknął Kűchmeister. – Cóżeś, durniu, uczynił?

Doskoczył do Polaka, szarpnął za jakę i natychmiast skrzywił się z bólu, gdyż Zawisza chwycił go za nadgarstki. Na próżno próbował wyrwać ręce z żelaznego uścisku. Jęknął, upadając na jedno kolano.

– Puść.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie, zakonniku – głos Zawiszy ciął powietrze niczym sztylet. – Cel nie zawsze uświęca środki. Jeśli śmierć djeda ma zakończyć wojnę, to pierwszy mu zetnę głowę i dostarczę Zygmunтови. Jednakże nie zezwolę na torturowanie ludzi. Pokonanym należy się szacunek. Ponadto mimo iż pas rycerski nosisz, jesteś mnichem i bardziej niż inni winieneś kierować się zasadami bożego miłosierdzia...

– Bożego miłosierdzia? – roześmiał się Kűchmeister i zaraz skrzywił się z bólu, bo Polak mocniej wykręcił mu nadgarstki. – Przecież sam nie wierzysz w jego miłosierdzie. Wątpisz...

Sulimczyk puścił Krzyżaka i pchnął go na ścianę. Chciał już stąd iść, obrzydzeniem napelniał go ten człowiek. Wtedy jednak usłyszał ochryply śmiech. Ciarki przeszły mu po plecach.

– Uciekasz, Zawiszo? Nie chcesz poznać prawdy o Bogu, którego tak miłujesz? Wolisz pozostać ślepym i nie zaglądać za kotarę, bowiem to, co ujrzysz, może zniszczyć twoją wiarę w świat.

Polak odwrócił się i spojrzał na rozcierającego nadgarstki rycerza.

– A ty? – uśmiechnął się kącikami ust. – Czemu tak mocno zależy ci na odnalezieniu djeda? Wiem, że zawarłeś korzystny układ z Luksemburczykiem. Jednakże jest coś więcej. Czego pragniesz się dowiedzieć?

Krzyżak nie odpowiedział, tylko gniewnie przyglądał się Polakowi.

– Przejmuję dowodzenie – rzekł Zawisza i wyszedł.

Powitało go świeże powietrze i deszcz. Najpierw drobne krople uderzały o kamienne mury twierdzy, mieszając się z krwią poległych, po chwili zamieniając w potężną ulewę. Rycerz przyknuł oczy i uniósł twarz ku niebu. Poczuł, jak woda zmywa z niego brud i nienawiść.

* * *

Korowód pochodni niczym płonący wąż sunął w górę stoku i słychać już było nawoływania idących z pomocą Bośniaków. Musiała być ich prawie setka.

Sześciu rycerzy, ślizgając się na podmokłym gruncie, zbiegało w dół. W tej chwili pragnęli tylko ująć z życiem.

Przedzierając się przez ścianę deszczu, Zawisza wiedział już, że misja okazała się trudniejsza, niż myślał. Wywiadowcy Luksemburczyka mylili się, twierdząc, że djed ukrywa się na wzgórzu Visoćica. Zapewne wraz z wojskiem stacjonuje w Visoko. A stamtąd już go nie wyłuskają, stracili element zaskoczenia.

Błysnęło i ciszę nocy rozdarł pomruk burzy. Zerwał się wiatr, smagając liście drzew, a krople deszczu mocno uderzyły o glebę i zdawało się, że zaraz strzaskają powierzchnię ziemi niczym skorupę jajka. Nagle Zawisza zatrzymał się. Zrozumiał słowa staruchy ze swojej wizji.

– Stójcie! – zawołał.

Rycerze ujrzeli, jak ich nowy przywódca klęka i gorączkowo rękoma rozgrzebuje błoto.

– „Wypatruj deszczu i wtedy bacznie patrz pod nogi, a obaczysz skorupę jajka...” – szeptał do siebie, a jego towarzysze spoglądali z osłupieniem, myśląc, że rozum postradał.

– Cóż czynisz, bracie? – spytał zaniepokojony Jan.

– Spójrz! – Zawisza wskazał odkopany właśnie spory kawał kamiennej płyty znajdujący się pod cienką warstwą ziemi. – „Dostrzeżesz to, co z pozoru niedostrzegalne”.

Teraz już wszyscy rycerze zaczęli odgarniać ziemię, odkopując kamienne bloki.

– To wzgórze jest jakąś olbrzymią budowlą! – zawołał zaskoczony Michał Kiichmeister.

– Cicho – warknął Skarbek i wskazał ręką na zbliżające się ku nim pochodnie. – Już tu są.

– Szybko, spróbujmy podnieść którąś z tych brył – rzekł Brzozogłowy.

Rycerze przykucnęli, włożyli palce w szczelinę między płytami, szarpnęli, ale choć każdy z nich posiadał siłę trzech mężczyzn, kamienny blok ani drgnął. Spróbowali ponownie. Nic.

Pot razem z deszczem spływał po wykrzywionych w wysiłku twarzach. Słyszeli już głosy nadchodzących Bośniaków. Szarpnęli po raz trzeci i wreszcie płyta z gniewnym zgrzytnięciem ustąpiła. Zajrzeli do środka i w nikłym świetle księżycy dostrzegli ziejącą czeluść.

Nagle sto kroków od nich zamajaczyły sylwetki zbrojnych. Nie było już czasu na ucieczkę.

– Skaczemy – rozkazał Zawisza.

– Za wysoko – jęknął Tomasz. – Pogruhoczemy sobie kości.

– Bzdura. Widzę dno.

Pierwszy skoczył Sulimczyk, za nim następni. Być może zwyczajny człowiek połamałby sobie nogi, jednak ciała rycerzy były wyćwiczone i skończyło się tylko na stłuczeniach oraz zwichniętej kostce Jana.

– Jak w grobowcu – szepnął Farurey, starając się przebić wzrokiem ciemność.

– Oby nie okazał się naszym – odparł rudowłosy rycerz, któremu nie podobało się, że właśnie weszli do mrocznych podziemi.

– To jakaś potężna sala. – Skarbek szczyił się doskonałym wzrokiem i w ciemnościach dostrzegał więcej od innych. – Tam jest jakiś korytarz.

Ruszyli po omacku, jeden za drugim, trzymając się za ramiona. Wokół słyszeli dziwne szmery wydawane zapewne przez małe gryzonie lub wodę ściekającą po ścianach. Jednak wyobraźnia podpowiadała im, że w ciemnościach czają się straszliwe istoty podziemnego świata. Maskary szczerzące spróchniałe zęby, ożywieni woje, którzy legli na tym wzgórzu jeszcze za czasów Imperium Rzymskiego, złe duchy, zjawy i demony przybyłe tu wprost z piekła, żeby porwać ich dusze.

Nagle w dali dostrzegli światło. Po kilkudziesięciu krokach byli pewni, że to płoną przytwierdzone do ścian łuczywa. Przyspieszyli kroku i ujrzeli wejście do dobrze oświetlonej komnaty. Wtem usłyszeli niesione echem rubaszne śmiechy. Zatrzymali się.

– Dotarliśmy do samych czeluści piekła – szepnął Skarbek z Gór i się przeżegnał.

– Nie pleć głupstw – prychnął Kiichmeister. – To zapewne buntownicy.

– Cicho, bo nas usłyszą – warknął Sulimczyk. – Weźmiemy ich z zaskoczenia.

Wyciągnęli miecze i ostrożnie podeszli do wejścia. Wyraźnie słyszeli już rozmowy w bośniackim języku. Zawisza zerknął do środka i zaraz cofnął głowę. Wyprostował pięć palców, potem jeszcze cztery. W pomieszczeniu znajdowało się dziewięciu zbrojnych. Następnie wskazał każdemu z rycerzy, w którą stronę ma się kierować podczas ataku, żeby na siebie nie powpadali.

Wdarli się do komnaty niczym nawałnica, z szybkością błyskawicy dopadli leżących na siennikach i odpoczywających na ławach Bośniaków. Cięli przez twarze, rąbali po głowach, nie dając czasu na sięgnięcie po oręż. Nie minęło dziesięć uderzeń serca, a na posadzce leżały tylko martwe ciała buntowników. Żaden z rycerzy nie został nawet draśnięty.

Schowali miecze i rozejrzeli się po rozległej komnacie. Znajdowały się tu ławy i stoły z naczyniami oraz dzbany z wodą. Musiała to być strażnica, a zbrojni czegoś lub kogoś pilnowali.

– W każdej ścianie są wejścia do korytarzy, jakby schodziły się tutaj z czterech stron świata – powiedział Brzozogłowy. – Czyżbyśmy byli w środku tej piekielnej góry?

Michał Kūchmeister zdjął ze stelaża łuczywo i zajrzał do każdego z tuneli. Nic jednak godnego uwagi nie dostrzegł. Spojrzał na Zawiszę.

– Co teraz? – uśmiechnął się krzywo. – Decyduj. Ty tu dowodzisz.

Polak otworzył usta, ale w tej właśnie chwili Skarbek pociągnął go za rękaw, wskazując malowidło na posadzce.

– Spójrz. Cóż to może być?

Rycerze pośpiesznie odsunęli pod ścianę sienniki i ławy. Ukazał się obraz drzewa o brązowym pniu. Na zielonych gałęziach wisiały dojrzałe, czerwone jabłka, jednak nie były rozmieszczone bezładnie, jak to zwykle na jabłoniach, ale w trzech rzędach. W skrajnych znajdowały się po trzy jabłka, w środkowym cztery, z czego jedno na szczycie drzewa, drugie na samym jego dole. Przy każdym z nich widniały dziwne hebrajskie symbole. Poniżej malowidła złotymi literami wypisane były sentencje z Biblii.

– Drzewo Życia – wyszeptał poblady Kiichmeister.

* * *

– Wiesz, co to jest? – zagadnął Zawisza.

Krzyżak skinął głową.

– Mówiłem ci, że niewiele wiesz o Stwórcy – uśmiechnął się. – A teraz przed tobą i twoimi przyjaciółmi uchyla się rąbek Wielkiej Tajemnicy. Jesteś gotowy na prawdę?

Skarbek po raz drugi tej nocy przeżegnał się, mimo że wcześniej czynił to tylko w niedzielne poranki w kościele i tylko wtedy, gdy ksiądz patrzył. Jan Farurey zamrugał kilka razy, Janusz Brzozogłowy podejrzliwie zmrużył oczy i jedynie najmłodszy Tomasz Kalski czekał zaintrygowany na to, co się wydarzy.

– Nie interesują mnie heretyckie bzdury – rzekł Sulimczyk. – Jesteśmy tu, aby odnaleźć djeda.

– Obawiam się, przyjacielu, że jedno jest z drugim powiązane. Powiadają, że niezbadane są wyroki boskie, a one zaprowadziły nas do tego miejsca.

Kiichmeister wskazał na malowidło.

– Drzewo Życia najpełniej obrazuje istotę Boga, jak również budowę naszego uniwersum. Jabłka symbolizują dziesięć Emanacji Stwórcy. Przekazują sobie boskie światło od najwyższej z nich, umieszczonej na samym szczycie drzewa, zwanej Kether, aż do najniższej, Malkuth, która przekazuje światło ponownie w górę. Nie jesteście w stanie zrozumieć tego w

pełni, gdyż nie zostaliście powołani, nie została wam objawiona prawdziwa natura Boga.

– A tobie została?

– Jestem jednym z Przebudzonych – odparł. – Wygląda na to, że nasz djed również.

– Nie wierzę w nic, co rzekłś – warknął Janusz Brzozogłowy. – Oczy nam tylko mydlisz.

Krzyżak roześmiał się.

– Zaraz się przekonasz. – Wskazał ręką cytaty z Biblii. – Niech ktoś odczyta pierwszy wers.

Tomasz Kalski stanął przed napisami.

– *Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.*

– Ścieżka zwana Cudowną. Najwyższa korona Kether jest światłem pierwotnej przyczyny, które nie ma swego początku – rzekł Kiichmeister i stanął na jabłku znajdującym się u szczytu drzewa.

Nagle symbol z głośnym kamiennym zgrzytnięciem zapadł się na pół stopy. Rycerze z lękiem zeszedli z malowidła.

– Jaki jest następny wers?

– *A ziemia była pustkowiem i chaosem; ciemność była nad otchłanią, a Duch Boży unosił się nad powierzchnią wód.*

– Pod tym wersem ukryta jest ścieżka Promienistej Świadomości, która prowadzi z Kether do Chokhmah. – Postąpił w lewo, na położony najbliżej symbol po tej stronie. Również on zapadł się z głośnym trzaskiem.

– *I widział Bóg, że to było dobre* – dalej czytał Tomasz.

– Ścieżka Przejrzystej Świadomości jest przenoszeniem czystej myśli do sfery obrazów. Przejście z Chokhmah do Chesed. – Zakonnik postąpił trzy kroki prosto i znalazł się na kolejnym jabłku, które osunęło się jak dwa poprzednie.

– *Wtedy nazwał Bóg suchy lad ziemią, a zbiorowisko wód nazwał morzem.*

Zakonnik zawahał się, zmarszczył czoło, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

– Kto kroczy ścieżką Ognistą, może stać twarzą w twarz z przyczyną przyczyn – rzekł i ruszył na skos ku jabłku w środkowym rzędzie. – Droga prowadzi wprost do Tiphereth. Co dalej, Tomasz?

– *I nastał wieczór, i nastał poranek, dzień piaty.*

– Ścieżka Wierności, która potęguje moce duchowe. O wschodzie i zachodzie słońca z powierza i ziemi można czerpać najwięcej energii. Zapewne o tym nie wiedzieliście?

– Nie – burknął Brzozogłowy. – Długo to jeszcze potrwa?

Krzyżak bez słowa ruszył ponownie na skos i znalazł się na jabłku na samym dole drzewa, po jego prawej stronie. I ten symbol się zapadł.

– Droga z Tiphereth do Hod.

– *I stworzył Bóg człowieka na obraz swój.*

– Ścieżka prowadząca z Hod do Jesod jest dopełnieniem natury wszystkiego, bo czyż

człowiek nie jest najważniejszą istotą w całym uniwersum?

Skręcił w lewo i do środkowego rzędu, tuż przed nim znajdował się ostatni symbol na Drzewie Życia.

– *I spojrzal Bóg na wszystko, co uczynił, a było to bardzo dobre* – wyrecytował Tomasz, a Kūchmeister podążył do najniższego z jabłek.

– Droga z Jesod do Malkuth otwiera zamknięte dotychczas drzwi.

Symbol opadł i w tym samym momencie zgrzytnął ukryty mechanizm. Rozwarła się podłoga, a rycerze przywarli plecami do ściany. W otworze dostrzegli kręte kamienne schody.

* * *

Pierwszy szedł Zawisza. Prawą dłoń zaciskał na rękojeści obnażonego miecza, w lewej trzymał rozpalone łuczywo. Za nim podążał Michał Kūchmeister z lekkim uśmiechem błakającym się na ustach. Zdawał się dobrze wiedzieć, co zastaną na dole. Brzozogłowy zamykał pochód, podejrzliwie wpatrując się w Krzyżaka. Reszcie rycerzy Zawisza rozkazał pilnować wejścia.

Schodzili coraz niżej i zapewne od dawna byli poniżej poziomu ziemi, a schody wydawały się nie mieć końca. A może wcale nie podążali w dół, tylko chodzili w kółko, jak te postacie na obrazach szaleńców, w wykoślawionej przestrzeni, w której złuda zastępowała rzeczywistość?

Ich kroki dudniły nienaturalnie, cienie rzucone na ścianę wykrzywiały się, a powietrze stało się tak gęste, że ledwie można było oddychać. Stracili poczucie czasu, nie tak jak wtedy, gdy chwila zdaje się godziną, ale jakby upływ czasu już ich nie dotyczył.

Nagle jeden ze stopni zgrzytnął pod naciskiem okutego rycerskiego buta i usłyszeli potężny huk, jakby wystrzeliła setka bombard. Zatrzęsło ścianami i podłożem. Schody zaczęły pękać, tworząc szybko powiększającą się szczelinę. Brzozogłowy odskoczył, Zawisza rzucił się do przodu, ratując życie, jednak wypuścił z rąk łuczywo, tłące się teraz na ziemi, i miecz, który wpadł w rozpadlinę. Natomiast Kūchmeister ześlizgnął się, w ostatniej chwili chwytając krawędź, i zawisł nad przepaścią. Zawisza rzucił się do niego i wciągnął do góry. W tym momencie ziemia przestała się trząść.

– Teraz ty życie mi uratowałeś. – Zakonnik ciężko oddychał. – Co to, u licha, było?

Zawisza podniósł się i sięgnął po tłące się jeszcze łuczywo. Na nowo rozdmuchał żar i podszedł do przepaści. Po drugiej stronie stał Janusz Brzozogłowy z nieszczęśliwą miną.

– Nie przeskoczę – rzekł.

– Wiem. Wracaj na górę.

– A wy?

– Znajdziemy inne wyjście.

– Uważaj na niego – wskazał rycerza krzyżackiego.

– Dam sobie radę.

Janusz skinął głową, odwrócił się i zniknął w mroku.

– Zostaliśmy sami. – W oczach rycerza zakonnego pojawił się zimny błysk. – A ty straciłeś swój miecz.

– Nie potrzebuję oręża, aby cię pokonać.

Zmierzyli się wzrokiem.

– A ja nie zamierzam cię zabijać – odparł Kuchmeister. – Idziemy?

– Ty pierwszy...

– Nie ufasz mi? Myślisz, że wbiję ci sztych w plecy?

– Nie – rzekł. – Ty masz miecz, a nie wiadomo, co nas w dole czeka.

Tubalny śmiech Krzyżaka rozniósł się po całych podziemiach.

– Czy wy, Polacy, zawsze liczycie na innych? – spytał drwiąco. – Wierzycie, że sojusznicy was ochronią, wspomogą orężem? Dzisiaj liczycie na Litwę, a jutro? Na Anglików, co dbają jeno o własną chudobę? Francuzów, którzy są niczym kiepy i na wojowaniu się nie wyznają? Niewiasta lepiej poprowadziłaby ich armię...

– Gadasz po próżnicy – powiedział spokojnie Zawisza. – W drogę!

Ruszyli w dół, uważnie spoglądając pod nogi, żeby znowu nie nadepnąć na pułapkę. Zauważyli jeszcze dwa podejrzane wyglądające stopnie, nim wreszcie dotarli na sam dół. Przemierzyli krótki korytarz zakończony drewnianymi, bogato zdobionymi drzwiami.

* * *

– Czekalem na was – rzekł wysoki, chudy mężczyzna otulony w opończę z kapturem. Wyciągnął kościstą dłoń i wskazał rycerzom miejsca. Sam zasiadł za stołem zarzuconym mapami i listami. Zapewne właśnie planował nową wyprawę.

Rycerze rozejrzeli się po dużej, dobrze oświetlonej sali, wyposażonej niczym komnata zamku, a nie podziemna kryjówka. Pod ścianami stały kufry na szaty i skrzynie, a w rogu obszerne łoże.

Usiedli.

Djed zdawał się nie zwracać na nich uwagi, chwycił za pióro i pochyłym pismem zapępiał kartkę papieru.

– Zapewne zastanawiacie się, kto to wybudował? – spytał, nie przerywając pisania.

– Ty wiesz kto? – Michał Kuchmeister wznosił brew.

– Powiadają, że uczynili to przed tysiącami lat legendarni Atlantydzini, o których wspomina Platon w swoich pismach. Niektórzy zaś twierdzą, iż to sami aniołowie zstępujący z niebios w żelaznych latających rydwanach. – Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem i odłożył pióro. – Niestety, prawda jest bardziej przyziemna. Na długo przed narodzinami Chrystusa przybyli na te ziemie Ilirowie i to oni postawili te monumentalne budowle.

– Budowle? – zdziwił się Zawisza.

– Wokół Visoko prócz tej piramidy stoją jeszcze dwie, jednakże ustępują jej wielkością. Któż zgadnie czemuż je postawili? Może to pomnik poświęcony zapomnianym bóstwom, kalendarz lub zwykły grobowiec?

– W każdym razie stanowi doskonałą kryjówkę.

Mężczyzna podniósł głowę i rycerze mogli przyjrzeć mu się dokładnie. Miał bladą twarz naznaczoną siecią zmarszczek, skórę cienką jak pergamin i oczy błękitne niczym bośniackie niebo. Spoglądał łagodnie i trudno było uwierzyć, że ten człowiek posyłał tysiące ludzi na pewną śmierć, do walki, której wygrać nie mogli.

– Zygmunt wysłał was po moją głowę – stwierdził raczej, niż zapytał. – Tak długo już wojny toczy, a nic zgoła nie pojmuję. Nie wystarczy zabić przywódców, żeby ujarzmić naród. Należy pozbawić go nadziei. A ona nie umiera nigdy.

Zimne oczy Krzyżaka błysnęły.

– Wraz z twoją śmiercią nadzieja w Bośniakach zgaśnie niczym zdmuchnięty przez wiatr płomień świecy. Gdy obrońcy Doboru ujrzą zatkniętą na włóczni głowę swojego djeda, poddadzą się.

– Będą zatem nosili Dobor w sercach, w twierdzy, której murów żadne bombardy nie skruszą. Jeśli czas zetrze pamięć o królu Twerdku i obrońcach Doboru, pojawi się jakiś inny okrucz nadziei, którego ludzie się uchwycą. Dzisiaj jestem ja, dając im wiarę, będąc ich najwyższym kapłanem...

– Jesteś heretykiem! – prychnął Kuchmeister.

– Nazywasz mnie heretykiem – roześmiał się Bośniak. – Ty, który poznałeś prawdę?

Rycerz zakonny zbladł nagle.

– Wiem, po co tak naprawdę tu przybyłeś, zakonniku. – Djed wstał, założył ręce do tyłu i zaczął przechadzać się po sali. – Chcesz znaleźć odpowiedź.

– Znam ją.

– Nie wszystko zostało ci objawione.

– Ty to uczynisz? – rzekł Kuchmeister sarkastycznie. – Nie wyczuwam od ciebie aury żadnej z Emanacji. Nie jesteś Przebudzonym.

– Bowiem jestem tym, który przebudza.

– Jesteś wysłannikiem Stwórcy? – wyszeptał Krzyżak. – Aniołem?

– Nie – roześmiał się. – Jestem takim samym człowiekiem jak i wy. Aczkolwiek zostałem obdarzony większą niż inni łaską, wiedzą o prawdziwej naturze Boga.

– Nie godzi mi się tego słuchać! – Zawisza zerwał się ze swojego siedziska. – Obaj jesteście opętani.

– Boisz się prawdy. To zrozumiałe – odparł łagodnie djed. – Jednakże przeznaczenie przywiodło cię tutaj, abys otrzymał dar. Możesz go przyjąć lub odrzucić, tobie został dany wybór.

Starzec zbliżył się do polskiego rycerza. Z jego spojrzenia nagle zniknął błękit, a w jego miejsce pojawiła się straszliwa, absolutna czern. Wydawała się tak stara jak świat, pustką trwania. Prerażony Zawisza instynktownie sięgnął do lewego boku, zapominając, że stracił miecz. Po chwili mgła otuliła jego zmysły, pozbawiła woli, poczuł, jak obca siła wdziera mu się do umysłu, otwiera to, co w każdym człowieku uspięne, wiedzę o naturze istnienia.

Ain-Sof – byt nieskończony, pełny i wszechobecny – w swoim niezgłębnym zamyśle postanowił stworzyć świat i żeby zrobić dla niego miejsce, wycofał się z pewnego obszaru własnego jestestwa zwanego tehirem, przeznaczając go na Kreację. Obawiał się jednak, że boski blask, którym emanował, może skruszyć marną materię, więc wypromieniował z siebie dziesięć świetlistych kręgów, tworzących niejako tarczę ochronną między sobą a tehirem. Tak powstały Sefiry – Emanacje Boga, jego Oblicza. Pierwsza – Kether – najsilniej emanuje światłem i najbliższa jest światu duchowemu, ostatnia – Malkuth – świeci najślabiej, ale za to najbliższa jest ludziom. Na Drzewie Życia każda ma przynależne miejsce i odpowiada za różne aspekty życia.

Niemoc ustąpiła, mgła otulająca zmysły opadła, a oczy djeda na powrót przybrały błękitny kolor.

– Teraz znasz prawdę, rycerzu – rzekł. – Piąta Emanacja Stwórcy, zwana Geburah, powołała ciebie na służbę. Otrzymasz jej moc i atrybuty. Jej domeną są sądy, bezwzględna sprawiedliwość. Nie ma w niej miejsca na miłosierdzie i litość. To pod wpływem Geburah dokonałeś na Węgrach rzezi za zabiłą dziewczynkę, za wymordowanie całej osady.

– Wiesz o tym? – wyszeptał poblady Zawisza.

– Wiem o wielu rzeczach.

– A to, że skróciłem męki dowódcy straży? Czyż nie wykazałem się miłosierdziem, które nie przystoi powołanemu przez Piątą Emanację?

Djed pokręcił głową.

– Uczyniłeś to ze strachu. Bałeś się tu dotrzeć. Obawiasz się swojego przeznaczenia.

Polak spojrzał na siedzącego z ponurą miną Kiichmeistera.

– To nie przypadek, że tylko my dwaj tutaj dotarliśmy.

– Obaj przybyliście tu w jakimś celu. On – żeby zrozumieć w pełni, ty – żeby otrzymać dar.

– Jeśli go przyjmę, to cóż stracę?

– Nie zapytasz, co zyskasz?

– Odpowiedz.

Bośniak zmrużył oczy i w milczeniu przyglądał się polskiemu rycerzowi. Zdawało się, że szuka odpowiednich słów.

– Zanim odpowiem, musicie obaj coś usłyszeć – westchnął ciężko. – Trudno powiedzieć, kiedy to nastąpiło, bowiem czas jest rzeczą umowną i nijak nie można pojąć jego istoty, Sefiry nie wytrzymały naporu boskiego światła i pękły, rozpadając się na skorupy, które wraz

z nim wlały się do tehiru. Od tej pory każdy człowiek i rzecz nosi w sobie dwa pierwiastki: światła i mroku. Sam Ain-Sof jest podzielony i we własnym jestestwie sam ze sobą toczy wojnę.

– Domyślałem się – wyszeptał Michał Kiichmeister.

– Oblicza Boga znajdujące się po lewej stronie Drzewa Życia walczą przeciwko prawej stronie. Binah, Geburah, Hod przeciw Chokhmah, Chesed, Netzach. Te znajdujące się na środkowej ścieżce pozostały bierne. To Kether, Tiphereth, Jesod i Malkuth, ale i one mogą przyłączyć się do odwiecznej wojny. A wszystko, co dzieje się w świecie duchowym, ma odbicie w świecie materialnym.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Zawisza.

– Właśnie odpowiedziałem na twoje pytanie. – Djed spojrzał na niego uważnie. – Na ziemi również toczyć się będzie wojna. Siły służące lewej stronie wystąpią przeciw prawej. Jagiełło służy Emanacji Chokhmah i będzie wspierał w walce prawą stronę, zaś Geburah znajduje się po lewej. Tak jak i Binah, której służy Zakon...

– Co?! – krzyknął Polak. – Mam sprzymierzyć się z Krzyżakami?

Pod sklepienie sali wzbął się śmiech Kiichmeistera.

– Cóż za ironia losu, prawda? – rzekł, ocierając łzy z kącika oczu. – Najwierniejszy z rycerzy króla Władysława ma teraz przeciw niemu się obrócić. Wybieraj między darem osądu, dzięki któremu świat uczynisz sprawiedliwszym, a lojalnością wobec władcy.

– Świat uczynić sprawiedliwszym? – rzekł ponuro Zawisza. – Ale czy lepszym? Zabiłem węgierskich żołdaków i słusznie śmierć ich spotkała, ale czy to wróci życie tym, których pomordowali? To, co uczyniłem, było jeno aktem zemsty, nie sprawiedliwości. Krzywd ludzkich nie da się wycenić. A jak ocenić tych, co zbrodni dokonali, jeśli nawet Bóg sam ze sobą wojnę toczy?

Djed pokiwał głową i zdjął kaptur.

– Widzę, że podjąłeś już decyzję.

– Tak.

– Wiesz, że do końca swoich dni będziesz czuł żal za czymś, czego nie będziesz umiał uchwycić, za wiedzą, z której cię ograbiono. Zabiorę ci pamięć tego, co tu doświadczyłeś i usłyszałeś.

– Uczyn to.

Mężczyzna zbliżył się do Zawiszy, położył mu ręce na głowie i przymknął oczy. Trwali tak dłuższą chwilę, w milczeniu, czekając, aż to, co się już wypełniło, zostanie cofnięte, a co dane – zostanie odebrane. To nie przeznaczenie decyduje o losach człowieka, ale jego własna wola.

Djed cofnął ręce i odsunął się od rycerza, który stał z zamglonym spojrzeniem utkwionym w dal.

– Skończone – rzekł.

– Jeszcze nie – usłyszał tuż za sobą głos Kiichmeistera i poczuł chłód ostrza na karku.

– Naprawdę wierzysz, że po mojej śmierci Luksemburczyk wspomógł Zakon w wojnie z Polską? – Djed odwrócił się i spojrzął na zakonnika. W jego oczach dostrzegł wahanie. Krzyżackie ostrze drgnęło.

– Po której ze stron ty stoisz?

– Zawsze po stronie ludzi – odparł Bośniak.

Przyglądali się sobie w milczeniu.

– Tak będzie już do końca świata? Stwórca toczyć będzie wieczny bój sam ze sobą. A jak sam rzekłeś, wszystko, co dzieje się w świecie duchowym, ma swoje odbicie w świecie materialnym. Zatem nie czeka nas nic innego niż rozlew krwi. Wojna jest sednem istnienia.

– Tutaj, na Bałkanach, powiadają, że wojna to piąta pora roku. – Mężczyzna uśmiechnął się lekko. – Cóż teraz zamierzasz uczynić, zakonniku?

* * *

Na zazwyczaj pogodnym bośniackim niebie pojawiły się ciężkie, czarne chmury zwiastujące burzę. Zerwał się wiatr, unosząc drobne ziarenka piasku, chłoszcząc twarze zebranych pod murami miasta Dobor.

Czekali. Tego popołudnia miało się wszystko zakończyć.

Skrzydła głównej bramy zaczęły się otwierać. Bardzo powoli, jakby jakaś siła nie chciała do tego dopuścić, nie chciała się na to zgodzić. Pojawili się pierwsi obrońcy, o twarzach wychudłych, oczach zmęczonych i zgasłych. Tyle miesięcy poświęceń, przelanej krwi i wszystko okazało się daremne. Twierdza Dobor została poddana.

Rano strażnicy pełniący służbę na blankach dostrzegli w obozie węgierskim ruch, ktoś nadział na włócznię głowę i wbił ją głęboko w ziemię. W niebo wzbily się triumfalne okrzyki. Nie było wątpliwości, Zygmunt Luksemburski dostał djeda. Kto teraz wleje w serca Bośniaków nadzieję? Kto zorganizuje zbrojne hufce do walki z najeźdźcami? Kto wskaże cel, dla którego warto walczyć?

Na końcu orszaku na śnieżnobiałej klaczy jechał sam król Twerdko. Siwowłose starzec próbował do końca zachować godność. Przywdział złotolitą szubę, a na wysoko uniesioną głowę nałożył koronę, która już wkrótce dostanie się w ręce Stefana Ostoi.

– Mylił się djed – rzekł Michał Kuchmeister do stojącego obok Zawiszy Czarnego. Z obozowego wzgórza obserwowali kapitulację. – Wraz z człowiekiem umiera nadzieja. Jakże łatwo ją zgasić.

– Nie – pokręcił głową Polak. – Djed mówił, że nadzieja przeniesie się do ich serc.

Krzyżak spojrzął zdumiony.

– Zdawało mi się, że nic nie pamiętasz z tamtego spotkania.

– Pamiętam obrazy, strzępy słów – odparł zamyślony Zawisza. – Wiem, że zostało mi coś

objawione, a później na powrót przesłoniła to kotara zapomnienia. To czary musiały jakieś być.

– Może i czary. – Rycerz zakonny uśmiechnął się. – A może po prostu rana na głowie ci się odezwała?

– Jak przez mgłę pamiętam drogę schodami na górę, inną niż ta, którą przybyliśmy. Pamiętam korytarz, który przywiódł nas do sali, gdzie czekali nasi towarzysze. Pod osłoną nocy wymknęliśmy się z piramidy, zdobyliśmy konie i pognaliśmy do Doboru.

– Tak było – przytaknął krzyżacki dostojnik.

– Jednakże w głowie mi się rozjaśniło, dopiero gdy dotarliśmy do obozu. – Zawisza spojrział na zatkniętą na włócznię głowę bośniackiego przywódcy. – Odpowiedz mi szczerze na pytanie?

– Zależy od pytania.

– Co ci przyobiegał Zygmunt za głowę djeda?

Michał Kűchmeister von Sternberg, choć w ȳciu nieraz przyszło mu okłamywać nawet najbliższych przyjaciół, a cół dopiero wrogów, ten jeden jedyny raz postanowił być całkiem szczerzy:

– Przymierze przeciw Polsce.

Zawisza skinął głową.

– Wiedziałem to od samego początku wyprawy.

Krzyżak spojrział na niego zdumiony.

– I pomimo to pojechaliście ze mną?

– Dzięki temu zakończyła się wojna. A my daliśmy słowo Zygmuntowi, że do jej zakończenia może liczyć na nasze miecze. Teraz wracamy do ojczyzny, gdzie Jagiełło szykuje się do rozprawy z Zakonem. Tym razem, zakonniku, staniemy po przeciwnych stronach.

Kűchmeister uśmiechnął się. Gdyby Polak wybrał inaczej, walczyliby ramię w ramię, ale wola człowieka jest najwyższym prawem.

– Zygmunta znam dobrze, wojuję u niego kilka lat i wiem, że paktu z wami i tak nie dochowa – mówił dalej Zawisza. – Co najwyżej wyśle na granicę z Polską kilka chorągwi, aby się jeno pokazały. Pierzchną, gdy tylko panowie małopolscy na nich ruszą. Jednakże Luksemburczyk rzec będzie mógł, iż powinności względem sojusznika wypełnił. Jak zatem widzisz, nic na tej wyprawie nie straciliśmy.

– Ale też niewiele zyskaliście – mruknął zakonnik. – Przecież służbę u Zygmunta mogliście porzucić w każdej chwili. Ucierpiałby jeno wasz honor. Niewielka strata. Bośniacy stracili o wiele więcej...

Polski rycerz zmarszczył brwi, na czole pojawiła mu się głęboka zmarszczka.

– Każdy toczy swoją własną wojnę.

Milczeli, przyglądając się, jak ostatni z obrońców opuszcza zamek. Za chwilę bandy

rozochoconych żołdaków wedrą się do środka i wojennym zwyczajem zaczną rabunki i gwałty. Dzisiaj setnicy przymkną oczy, nikogo nie będą przywoływać do porządku, ten dzień należał do zdobywców.

Küchmeister spojrział na południe, gdzie za horyzontem kryło się wzgórze Visoćica. Tam dowiedział się czegoś więcej nie tylko o Stwórcy, ale również o sobie.

Nie zabił djeda. Po tym wszystkim nie mógł tego uczynić. Wrócili z Zawiszą na górę i tam, gdy nikt nie patrzył, odrąbał głowę jednemu ze zmasakrowanych strażników. Sulimczyk nie pamiętał twarzy djeda, reszta polskich rycerzy go nie widziała, więc śmiało mógł twierdzić, że to głowa heretyka.

Bośniacki przywódca pozostał w podziemiach i zapewne za jakiś czas ponownie podniesie bunt przeciw węgierskiemu królowi. W tym czasie on, Michał Küchmeister von Sternberg, zostanie wielkim mistrzem Zakonu Krzyżackiego i gdy już rozprawi się z polsko-litewską unią, przyjdzie czas na Luksemburczyka. Powiadają, że wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem. W pełni się z tym zgadzał. Nie miał wyrzutów sumienia. W grze, jaką jest wojna, każdy oszukuje każdego.

– Żegnaj – rzekł do Zawiszy, gdy już siedział w siodle. – Obyśmy spotkali się w lepszych czasach.

– Też mam takie życzenie – odparł Polak. – Jednak szczerze w to wątpię. Na świecie zawsze toczy się jakaś wojna.

Rycerz krzyżacki uśmiechnął się smutno, spiął wierzchowca i razem ze swoim pocztem ruszył na północ.

Zagrzmiało. Wkrótce rozpęta się burza.

Jacek Komuda

Pierwsza szabla polskiej literatury. Uczestnik wyprawy na Moskwę, opis jego peregrynacji można przeczytać w pamiętnikach zatytułowanych *Samozwaniec*.

Pisarz, niezależny historyk, autor powieści historycznych i fantastycznych, których akcja rozgrywa się w Rzeczypospolitej szlacheckiej i w XV-wiecznej Francji. Wierny prawdzie, nie stroni od brutalnych, mocnych kart historii. Woli pisać ku przestrodze niż ku pokrzepieniu serc. Wskrzesza dawne obyczaje, postaci, zapomniane miejsca. Jego bohaterowie, to ludzie miotani namiętnościami, a nie papierowe ideały.

Nakładem Fabryki Słów wydał następujące powieści: *Wilcze gniazdo* (2001), *Bohuna* (2006), poświęconego największej klęsce Rzeczypospolitej w wojnach z Kozakami, *Czarną szablę* i *Diabła Łańcuckiego* (2007), odtwarzające wielokulturowe XVII-wieczne Bieszczady, *Galeony Wojny* (2007), nawiązujące do walk polskiej floty za czasów Zygmunta III Wazy, piracką *Czarną banderę* (2008), opisującą brutalny świat korsarzy i buntowników, *Imię Bestii* (2005) i *Herezjarchę* (2008), zbiory poświęcone Villonowi, dwa tomy *Samozwańca* (2009-2010), należące do cyklu „Orły na Kremlu”, sarmacki thriller *Banita*, oraz *Krzyżacką zawieruchę*, literacki hołd dla uczczenia 600-lecia Bitwy pod Grunwaldem.

**Jacek
Komuda**

1989

*Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? – czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament,
Wiekuistego zwycięstwa zaranie...*

Cyprian Kamil Norwid „Za kulisami”

1.

Denaturat przesączał się przez chleb jak przez gąbkę, pozostawiając fioletowy osad. Ciurkał potem równie szybko co potok wypływający z rozporka pijaka i lał się w przepaścistą głębię butelki. Trunek nadszpiewanie łatwo stracił kolor, więc Seta z niedowierzaniem podniósł flaszkę pod światło. W końcu w trzynastym roku kryzysu gospodarka Polski doszła do takiego dna, iż na rynku można się było spodziewać nawet podrabianej piszczelówki.

Zakaślał, splunął na ścianę, nalał do brudnej szklanki. Garbaty Konus wyciągnął koślawe paluchy w stronę naczynia. Łysy Glaca uderzył go po rękę, spojrzął spod przymrużonych bezzębnych powiek.

– Nie dygaj, nielat! Nie leż przed szereg. Jak będziesz miał odgibane tyle lat co ja, puszcza cię przed zgredami. Tera czekaj, aż hrabiowie skończą.

– Przecie ja nie paparuch.

– Kurwa, bo to raz przecweliłem człowieka?! Jakbyś pod celą chciał przykirzyć czaju przed gitami, wydziabali ci Kanadę deską klozetową na sty. Tydzień byś na koju nie usiadł. Na ZK Rawicz posyłali w dół za mniejsze rzeczy. A przecie podnieść kogoś po czymś takim nie sposób.

– Ano kulawo trochi – potwierdził Seta.

Glaca sięgnął po szklanę. Skóra pod jego paznokciami była pobłękotniała, podobnie jak białka wytrzeszczonych oczu. Pewnie od denaturatu. Seta zastanowił się, kiedy jego wafel kopnie w kalendarz od częstego picia piszczelówki. Czasami po setce zwykłego bimbru trzęsło go tak, że zęby dzwoniły jak dzwonki. Innym razem po zwykłej połowce nie poznawał starych fąfli, chciał głuszyć klientów w biały dzień na środku Marszałkowskiej albo rzucać się z piąchami na przechodzący patrol zomowców – ot, tak, dla samej zadymy. Ostatnio złopali denaturat jak wodę, więc miał powody podejrzewać, że dzień, w którym Glacy odbije szajba, zbliżał się równie szybko co ruskie tanki do Warszawy w osiemdziesiątym pierwszym. Co zrobić, kiedy ucziwej gołdy było jak na lekarstwo – kartki na wódkę nie starczały nawet na tydzień. Dziś, ósmego marca, skończyły się nawet te fałszywe, skombinowane na mecie u Marychy.

– Pod te kobity!

– Za nasze stare kurwy.

Glaca upił nieco denaturatu. Zaznaczył paznokciem po szkle i podał Secie, a ten, po solidnym łyku – Komisowi. Pili po równo, sprawiedliwie. Na zagrychę nie mieli nic; Seta nie musiał czekać zbyt długo, piszczelówka popędziła do głowy szybciej niż ekspres Moskwa – Warszawa. Już po trzeciej kolejce szary świat made in PRL poweselał. Brudne ceglane ściany

warszawskiej kostnicy dzielnicowej przy Odrzykońskiej 2, powszechnie nazywanej Trupiarnią Jaroszewicza, nabrały kolorów. Światło słabej, dwudziestopięciowatowej żarówki osłoniętej drucianą siatką zaśnięło tęczowym blaskiem. Seta obejrzał się na uchylone drzwi prowadzące do chłodni. Za ścianą był stary, zajeżdżony agregat, bulgotała woda w rurach. Ostatnio w chłodniach było mało pacjentów. Widać po ośmiu latach rządów Jaruzela Polacy nie mieli już siły umierać.

– W chłodni ni chuja lasek – wymamrotał Konus. – Nic do jebania. A kurwy na Brzeskiej złapały ruską odmianę syfa od kacapów. Można je odpytywać tylko z ustnego.

– Pierdolisz, Konus – wycharczał Glaca. – Pierdolisz o jebaniu. Gadasz nam tu o kurwach, a przecież wszyscy wiemy, żeś zwykły oleander i wyżej damskiej dziury nie podskoczysz. Założę się, że do dziś na pizdę mówisz proszę pani, boś jej na oczy nie widział. A na twojego małego starczy dziura w ścianie.

– Gównu prawda! Mam chuja większego od tego. – Konus sięgnął gdzieś pod stół, a potem rzucił na blat duży, pokryty zaschłą krwią członek. Seta nawet nie drgnął. Znał głupie maniere Konusa, zresztą sam, nudząc się po nocach, nieraz wyciągał flaki z brzucha trupów, zwłaszcza tych, które były źle zszyte po sekcji.

– Ty, kurwa, skąd to wzięłeś?! Chcesz, żeby oddziałowy się dowiedział?

– Co się dowie... Co się dowie... – zabczał rozpaczliwie Konus. – Mamy tego fajansu skolko ugodno. Nie doliczą się.

– To z szóstej chłodni – mruknął Glaca. – Od bejcy, co wpadł pod beteera na Poniatoszczaku. Kolo urznął się jak szpadel i padł na środku jezdni. Widać go było z daleka, ale że na patrolu jechali Ruscy, a nie nasi, przejechały się po nim ze trzy wozy. Łopatami go do wora zbierali. Kurwa, co za szajs. Można się było porzygać, kiedy go przywieźli. Wszystko luzem; pieprzona rąbanka.

– Ale kutasa miał niezłego, co?

– Leć po igły i nitki – zarechotał Glaca. – Przyszyjemy ci raz-dwa. Będą miały co ciągnąć kurwy i prawiczki. Posikają się na taki rozmiar.

Z ulicy doszedł chrzęst podkutych żołnierskich butów. Zbliżał się szybko, rozbrzmiewał coraz głośniejsze, potem ścichł. Było już dawno po godzinie milicyjnej, patrole krążyły gęsto po całej Warszawie. Niespodziewanie usłyszeli stłumione odgłosy krzyków, ktoś biegł ulicą, zaszczyty jak zwierzę, goniły go wrzaski i okrzyki. Daleko za placem Narutowicza, koło Filtrów, a może w pobliżu starego akademika, rozległ się pojedynczy wystrzał z kałacha.

– Napierniczają ile wlezie – mruknął Konus. – Słyszałem, że dzisiaj były jakieś wiece i demonstracje na uniwerku. ZOMO zrobiło łapankę, aresztowało ludzi. To dlatego psy i Ruskie kręcą się po całym mieście jak wściekłe. Tam była jakaś profa...macja...

– Prowokacja – poprawił go Seta.

– Kurwa, magister się znalazł!

– Znowu zomowcy rozpierniczą luda. Jebany Jaruzel! Jebana komuna! Jebani Ruscy.

– Koło uniwersytetu? Seta, to twoje strony. Tyś tam kiedyś gibał, nie?

– Wypierdolili mnie w osiemdziesiątym czwartym.

– Chuj w dupę tym studenciakom – zawyrokował Glaca. – W pizdu z demonstracjami. Przez nich, kurwa, nie ma wódki.

Seta rozparł się wygodnie na krześle. Denaturat podrywał go jak ostrogi rączego konia do galopu, czuł zawrót głowy i jeszcze szybszy powrót życiowych sił.

– Chodźmy obejrzyć pacjentów. Konus, dawaj kutasa!

Mały garbus nie protestował, gdy Seta wziął członka w rękę i chwiejnym krokiem ruszył do sąsiedniego pomieszczenia. Tutaj było zimniej niż w dyżurce. W metalowej ścianie po lewej widniały całe szeregi drzwiczek chłodni, w których spoczywały martwe ciała.

– Nie ma żadnej laski – narzekał płaczliwie Konus. – A jebać się chce.

Na zewnątrz, na ulicy Słupeckiej, rozległ się warkot motoru. Coś ciężkiego – pewnie ciężarówka – podjechało pod główne drzwi kostnicy. Seta usłyszał łomot otwieranej kłapy, stukot podkutych butów, jakieś głosy. A potem w drzwi posypały się uderzenia. Głośno, przenikliwie zabrzączał dzwonek.

– Kurwa pierdolona chujosa i w dupę mamuni – rzucił przez zaciśnięte zęby. Błyskawicznie wsunął mary do chłodni i zatrzasnął kłapę. Potem wpadł po pochylni na górę. Przeleciał przez pokój przyjęć, wbiegł do korytarzyka prowadzącego do głównego wejścia. Konus i Glaca podążali zaraz za nim.

Gdy niecierpliwy dzwonek odezwał się znowu, Seta przekreślił zasuwę, odemknął ciężką żelazną furtę i wyjrzał przez próg. Na ulicy było ciemno, czerwone światelka jarzące się z tyłu paki wydobywały z mroku zarys wielkiego ciężarowego stara. Plandeka była podwinięta, dokoła samochodu stało kilku żołnierzy. I jeszcze oficer milicji i jakiś człowiek ubrany po cywilnemu. Seta nie widział jego twarzy. Zresztą padało, tamten miał kapelusz nasunięty na oczy i postawiony kołnierz od płaszcza. W słabym świetle latarki trzymanej przez jednego z żołnierzy cywil błysnął blachą legitymacji.

– Służba Bezpieczeństwa. Osiem ciał do kremacji.

Mężczyzna w cywilu był równie wesoły co pośmiertny uśmiech Lenina. Ubek – pomyślał Seta – zawodowy skurwiel od cuchnącej, czerwonej roboty.

– A zaświadczenie od lekarza jest? – zapytał odruchowo. – Zgoda rodziny...

– Jakiego lekarza, idioto – przerwał mu cywil. – Masz rozkaz od kapitana Zielińskiego. Tu, kurwa, debilu, czytaj. – Promień latarki padł na biały dokument wyciągnięty w stronę Sety. – Ruchy, człowieku! Nie mamy czasu!

Żołnierze odchyliłi plandekę. W żółtym świetle latarek zabłysły worki z ciemnoszarej folii. Dwaj zomowcy chwycili jeden, zrzucili z chrzęstem na ziemię, kopiąc podkutymi buciorami, jakby były w nim pegeerowskie kartofle, a nie ludzkie szczątki.

– Dawajcie wózek, do cholery!

Glaca ciągnął – nie jeden – dwa! – skrzypiące wózki. Szybko położyli na nich worki,

ciężkie, zimne jak lód i wilgotne od marcowego deszczu, zaczęli pchać. Żołnierze chwycili następne, taszczyli je niezdarnie.

– Wszystko do kremacji. Do rana ma nie być ciał – zakomenderował cywil, gdy znaleźli się w chłodni. – I żadnych sztuczek, bo będziecie mieli kłopoty. No, tu podpiszcie. – Podsunął Seta świsstek papieru, będący w istocie protokołem przyjęcia zwłok. Seta odnalazł odpowiednią rubrykę, z trudem nagryzmolił swój podpis.

– A co to za trupy? – nie wytrzymał Konus.

– Takie mądrale jak ty – mruknął ubek. – Gównu was to obchodzi. Nie wy jesteście od myślenia. Ładujcie sztywniaków do pieca! Zaraz!

Wyrwał papier z ręki Sety i ruszył do drzwi, ale uwagi tego pierwszego nie uszło, że ubek był cały rozdygotany. Zomowcy, którzy z nim przyjechali, chyba też, bo tłoczyli się za plecami pryncypała, aby jak najszybciej opuścić krematorium. Seta usłyszał stukot ich podkutych butów na schodach, potem trzaśnięcie drzwi na górze i zapanowała cisza.

Swoją drogą, dlaczego wyszli?

Seta, Konus i Glaca zostali sami z trupami, więc najpierw popatrzyli na siebie zdumieni, potem zerknęli na worki złożone pod ścianą. Leżały cicho, otulając zmarłych jak kokony. Że też szarego plastiku na trupy nigdy nie brakowało w PRL-U... Szarość i czerwień – cały zniewolony kraj ciepnięty w dwa kolory.

Setą wstrząsnął dreszcz. Ciała leżały tak cicho, tak spokojnie. Wory były zaplombowane, ale tylko w jednym miejscu – na środku szczeliny. Gdyby tak... Ledwie pomyślał, a zaraz to zrobił. Ostrożnie rozsznurował górną część zapięcia, nie naruszając plomby. Rozchylił szeleszczącą folię. W środku był trup. Młody, może dwudziestoletni chłopak miał przymknięte oczy, wpółotwarte usta, jak gdyby lada chwila miał wydobyć się z nich jęk bólu. Złote druciki okularów połyskiwały słabo, a głowę oplół czerwony polip krwi, już zakrzepłej, wypływającej z małego otworu po kuli na czole. Kurwa – pomyślał Seta – ktoś ich rozwalił. Wpakował do głowy ołowiane tabletki wiecznego odpoczynania.

– Pierdzieleni gówniarze – mruknął Glaca, który zajrzał tymczasem do innego worka. – I co my... Co, kurwa, teraz? Popatrz – mruknął do Konusa – sikor ma ładny. Zajrzyj, czy psy nie obłuskały go ze szmalu.

Seta szybko i sprawnie zajął się swoim nieboszczykiem. Bez pośpiechu ściągnął mu zegarek, ale nie mógł wymacać portfela. Na szyi zmarłego odkrył mały złoty krzyżyk. Przez chwilę usiłował zdjąć go z trupa, niespodziewanie jednak łańcuszek stawiał opór. Seta szarpnął mocniej i ogniówka pękła. Sprawdził na ząb, czy złoto, skrzywił się, bo jego złodziejski nos wyczuwał ruski tombak, ale wcisnął łup do kieszeni. I wtedy zobaczył coś jeszcze na ciele. Sine znamiona na policzkach, krwawe pręgi i sińce, podbite oko. Chłopak musiał dostać ładny wycisk od ubeckiej atandy. Szef zmiany dojrzał okrągłe oparzenia po papierosach i wstrząsnął nim dreszcz. Kiedyś, przed laty, tam gdzie Cyryl i metody jego, w Warszawie, na Pradze, Setę też potraktowali takimi szlugami. I nawet, kurwy lesbijskie, nie dali mu zapalić,

choć wcześniej garował bez dymka całe czterdzieści osiem.

Przeszedł do następnego sztywniaka.

– Trzeba palić, kurwa, jak kazali – upomniał kompanów zajętych przetrząsaniem kolejnego trupa. Rozwiązał worek, zajrzał do środka i zamarł. Na wózku leżała kobieta. Złote włosy w nieładzie opadały na jej czoło i policzki, zlepione od wilgoci. Złote włosy anioła... Obejrzał się na garbatego Konusa i Glacę. Porozumieli się wzrokiem.

– To poczekajcie jeszcze... – nie skończył. Popchnął wózek za drzwi. Tamci uśmiechnęli się wyrozumiale.

Wtoczył wózek do wąskiego korytarzyka obok sali sekcyjnej. Tutaj był piec, nosze i turbina. Szybko przysunął wózek do otwartych drzwiczek. Spojrzał na leżącą na wózku dziewczynę. Była piękna... Nie wiedzieć czemu czuł się tak, jak gdyby wynurzył się na powierzchnię z gorącego morza gówna, szczyń i odpadków... Jakby patrzył na anioła poprzez ruszt diabelskiego pieca. Dawno nie widział takiej laski. Była inna niż przepite i wyszczerbione kurwy z Brzeskiej, które rznął na melinach, zajeżdżone i pijane jak ryby wyciągnięte z kotła w gorzelnii. Seta dawno nie widział takiej kobiety... Prawdziwej kobity. Wpatrywał się w nią jak urzeczony i nawet nie przemknęło mu przez głowę, by sięgnąć do rozporka.

Od razu dostrzegł plamę krwi na jej piersi. Nie musiał nawet zaglądać pod bluzkę. Wiedział, że zginęła od kuli z milicyjnej albo ruskiej broni. Seta nie był głupi. Domyślał się, że przywieźli ciała do kostnicy, żeby pozbyć się zwłok – dowodów kolejnej ubeckiej zbrodni. Zanim każdego z tych młodziaków ożenili z kulą, torturowali ich, bili, tłukli jak esesowcy za Hitlera. Nie było to nic nadzwyczajnego w Polsce, w Warszawie, w ósmym roku stanu wojennego, a siódmym bratniej radzieckiej pomocy. Do diabła, który to już był mord w tym pieprzonym kraju? Seta dygotał, mdliło go. Był złodziejem i pijusem, ale zawsze brzydził się mokrą robotą.

Cofnął się do sąsiedniego pokoju. Glacy i Konusa tu nie było. Pewnie poszli rozpalać piec. Wskoczył zatem na chwilę do sąsiedniej salki sekcyjnej. Szybko znalazł aparat – starego zenita. Trzęsącymi się dłońmi wepchnął doń film...

Zbliżył się do trupów. Rozsunął pierwszy worek. Błysk flesza wydobył z mroku pokryte krwawymi bliznami oblicze jasnowłosego mężczyzny z dziurą po kuli na skroni. Seta rozsupłał następny. Magnezjowy rozbłysk podkreślił ciemne włosy kolejnego trupa, krew na piersi załśniła czerwono. Przeszedł dalej, szybko, jak automat robił zdjęcia, błyskał fleszem raz po raz, aż wreszcie, chyba za trzydziestym razem, usłyszał metaliczny szczęk, a lampa błyskowa nie zajaśniała światłem. Wypstrykał całą rolkę filmu. Ostrożnie zasnurował worki, przewinał i wyjął błonę z aparatu, odniósł zenita na miejsce. Film niemal sparzył go w dłoń, gdy wsuwał rolkę do kieszeni. To było wszystko, co mógł zrobić. Teraz pozostawało tylko wykonać wolę ubeków. Spalić ciała!

Wrócił z powrotem do korytarzyka. Popchnął wózek z ciałem dziewczyny w stronę pieca.

Nagle zamarł, zdawało mu się, że usłyszał cichy jęk. Kobieta poruszyła się lekko. Kurwa – pomyślał spłoszony jak ptak – ona żyje... Żyje!

– Booli... – na poły wyszeptała, na poły wyjęczała, otwierając zamglone powieki. – Proszę... Nie bijcie...

– Kurwa, co ty? – zapytał zbity z tropu. Wąska rubinowa struga krwi wypłynęła z jej ust, przecięła podbródek na pół.

– Gdzie ja... jestem? – wyszeptała półprzytomnie.

Seta rozejrzał się spanikowany. Ten ubek mógł przecież wrócić, a wtedy... O kurwa, nie byłoby żadnego wtedy. Pamiętał zawziętą gębę tamtego i wiedział, że jeśli wyjdzie na jaw, że nawijał z tą lalunią, w raporcie tego pieprzonego ubeckiego mordercy pojawią się kolejne zwłoki.

– Dobra, dobra, wszystko git.

Spojrzała na niego przytomniej, sięgnęła lewą ręką do boku, dotknęła zakrzepłej krwi.

– Pomóż mi, błagam...

Cofnął się jeszcze bardziej.

– Żyję... – wyszeptała. – Boli, jak strasznie boli... Bili mnie... Zabrali do piwni... Strzela...li... do nas... A Jurek? Gdzie jest?! No gdzie?! – Szarpnęła się nerwowo.

– Nie ma, kurwa, żadnego Jurka. Michaś jestem.

– Posłuchaj – wyszeptała rozpaczliwie. – Złamali mnie... Nie wytrzymałam... Wydałam... O Boże... Booli... Wydałam skrzynkę... Kontakt na grupę w Aninie. Musisz go ostrzec, ja już nie dam rady. Proszę, błagam!

– Kogo mam ostrzec?!

– Kotwicza...

– Kogo? – Seta zdretniał, usłyszawszy to nazwisko. – Posłuchaj, laleczko, leż, proszę, grzecznie. Byłaś, kurwa, martwa i tak pozostanie. Żyjesz nie żyjesz, jedna pizda – i tak trafisz do pieca! Jak kazał pan kapitan.

– Możesz go jeszcze uratować! – zajęczała. – Jedź do Anina... Zielna 7, powiedz, że wyspałam... że Anita wyspała skrzynkę kontaktową... Hasło... Czterdzieści i cztery... – Zakrztusiła się krwią spływającą z ust. Rubinowy strumyczek przybrał na sile. – Oni dojdą... Po nitce do kłębka. To ważne.

– Dla kogo? Chyba dla twojej pieprzonej Solidarności! Ja mam to w dupie, słyszysz?! W pierdolonej dupie, głęboko aż po styję! I nie dam się za damski chuj ugotować! Wpierdolisz mnie na mukę i co dalej? Rok temu wyszedłem z pudła.

– Musisz mi pomóc – wyszeptała. – Proszę... Dla... Pooo...lski...

Na górze trzasnęły drzwi. Seta usłyszał jakieś głosy. Na schodach zadudniły mocno podkute buty żołnierzy. Przyskoczył do dziewczyny, pchnął ją na wózek, brutalnie wcisnął głowę do worka, zawiązał sznurek. Jęknęła cicho, potem chyba zemdląła, bo przestała się rzucać. Seta usłyszał, że za ścianą wybuchła jakaś sprzeczka. W uszy wwierał się piskliwy

głos Konusa, potem rozległy się kroki. Szli tutaj – był tego pewien. Rozejrzał się jak szczur w pułapce i skoczył w małe drzwiczki prowadzące do magazynu z wózkami. Było tu zupełnie ciemno. Ale gdy przycupnął obok szafy z narzędziami, mógł wyraźnie słyszeć wszystko, o czym gadali za drzwiami.

Ktoś wszedł do słabo oświetlonego korytarza. Dwóch gości po cywilnemu. Jednego poznał po niskim, niepewnym głosie. To musiał być ten sam ubek, który przywiózł tu trupy. Teraz klócił się z drugim – pewnie zwierzchnikiem.

– Kurwa, Micewicz! Nie mogłeś przeszukać jej wcześniej?!

– Przecie i tak robota czysta. Nikt nic nie wie, panie kapitanie. A o niej zapomnieliśmy... Naprawdę.

– Kurwa twoja mać! Jak zapomnieliście? Jak mogliście, do pierdolonej kurwy nędzy, jej nie obszukać?! Debil jebany jesteś czy co? Że pierwszy raz na robocie, to nie znaczy, że macie wszystko spierdolić! Po jasny chuj przywoziłeś tutaj sztywniaki?! Co za kurewski pomysł! Nie było lepiej do lasu?!

– Już się nie mieszczą w lesie. Chcieliśmy cicho...

– Jakie cicho?! Czy ty, kurwa mać, wiesz, co będzie, jak się dowie pułkownik?! Gównno będzie! Jedno wielkie łajno! Wtedy ja też zapomnę! O twoim awansie. I trzynastce!

– Każdemu mogą puścić nerwy! Iiii. Nie gadaj tak głośno. Tu ściany mają uszy!

– Chuj z tym. Uszy utniemy, razem z głową. No, zapal. I nie dygaj. Zaraz ją sprawdzimy.

Skulony pod wózkiem Seta usłyszał szelest folii. W korytarzu zajaśniał ognek zapalnika, potem czerwono odznaczyła się końcówka zapalonego papierosa. Ubecy sprawdzili jeden worek, potem drugi. Doszli do dziewczyny, usłyszał cichy jęk, potem stukot. Pierwszy z cywilów zagwizdał przeciągle. Drugi jęknął.

– Ja pierdołę! Słodkie nieba! Micewicz, kurwa, co jest?! Ja się pytam, do stu chujów, co to ma być?! Przywieźliście ją... żywą?

– Myślisz, że to ja strzelałem!? Leszek sprawdzał...

– A chuj mu w dupę! To nie wzięliście żadnego konowala? Czy ty jesteś, Micewicz, idiotą? Powtórz: kompletnym idiotą?! – zawył głucho ubek. – Wyciągnęliście ją żywą z piwnicy? I nikt nie sprawdził, czy żyje?

– Student i Dziad nosili.

– A co mnie to, kurwa, obchodzi! Nie mogliście, kurwa, Zdziśka ściągnąć? Żeby ich sprawdził, czy dychają?!

– Jakiego Zdziśka?

– Kurwa, Marka! Ty, mała, słyszysz nas?

Seta, skulony w niewygodnej pozycji, usłyszał zdławiony jęk. A potem suchy trzask, oznaczający chyba, że ubek uderzył dziewczynę w policzek.

– Oprzytomnieliśmy. No proszę. I co, warto bawić się w konspirację, laleczko?!

– O Boże! – jęknęła dziewczyna. – Boooli... Czego chcecie...

– Niczego – znów rozległ się głos wyższego z cywilów. – Wszystko już nam powiedziałaś. Wybacz, że cię zbudziliśmy, pora spać.

– Co teraz?!

– Jak to co teraz, Sławek?! Wszystko spierdoliłeś, to kończ sprawę. Dawaj tetetkę!

Zabij ją! – zawyło w duszy Sety. Zabij ją jak bum-cyk-cyk...

– Kurwa, jak to kończ? Tutaj, teraz... – wybełkotał rozpaczliwie ubek. – Ja nie... dam rady.

– Dajesz radę wóde chlać i jebać baby, to dasz radę i rozwalić małą. No, na co czekasz? Kurwa, kończ ją, mówię!

Ktoś załkał, zaszlochał – chyba dziewczyna, bo przecież nie ubek. A może jednak? Kurwa, takie to wszystko było popierdolone jak flaki po samookaleczeniu.

– Grzesiek... Nie zmuszaj mnie! – wystękał płaczliwy głos. – Sam to zrób!

Suchy płask, łoskot, jęk, szloch.

– Grzesiu... I za co to? Grzesiu, ja nie... Nie ja!

Bełkotliwy odgłos rzygania, jak z głębokiej studni.

– Kurwa, załatw ją wreszcie!

Szamotanina, włosy na głowie Sety stają dęba. A potem cichy trzask, łoskot wystrzału, błysk, jakby piorun rąbnął. I cisza.

– Weź się w garść, Micewicz. Trzęsiesz się jak kupa gówna! Spójrz na siebie, człowieku!

– To nie... Kurwa – zajęczał żałośnie mniejszy ubol. – To nie tak miało być...

– *Zupełnie nie tak...* – zanucił ten drugi. – *Cały świat miał być nasz, tylko go brać. Ale świat poszedł swoją drogą.*

– Co my...

– Spokój, kurwa! Spokój już! Dla Polski. Dla Polski ten cały pierdzielnik!

Seta, skulony pod wózkiem, zaczął powoli pełznąć w tył. Prześliznął się do korytarzyka. Stał pod ścianą, drżącymi rękoma wyciągnął paczkę klubowych.

– Ty tam, do ciebie mówię!

Z wrażenia wypuścił szluga. Ubek, wyższy z tamtych, wyszedł z sali.

– Chodź tutaj! – wskazał drzwi.

Seta posłusznie postąpił we wskazanym kierunku. Znów był w pokoju, w którym tamci przeszukiwali ranną. Drugi z esbeków palił papierosa. Jarzący się ognek oświetlał jego pobladałą, wystraszoną twarz. A dziewczyna? Wzrok Sety mimowolnie powędrował w kierunku wózka. Nie poruszała się już. Folia była rozpięta. Dostrzegł włosy studentki powalane krwią, której wcześniej nie było. Kurwa twoja mać – powiedział przerażony sam do siebie – kurwa twoja mać. Rozwalili ją, ale za co, do diabła, za co? Ja widziałem... Zaraz rozwałą i mnie!

– Spal zwłoki! – zakomenderował cywil. – Natychmiast!

Bez słowa Seta popchnął wózek w stronę pieca. Otworzył drzwi do drugiej sekcji.

Najpierw wcisnął przycisk rozrusznika. Agregat ruszył z cichym sykiem. Zaszumił, zabulgotał. W korytarzyku zrobiło się cieplej. Seta otworzył drzwiczki. Przepchnął worek z ciałem na nosze, a potem pchnął na ruszt. I właśnie wtedy jego dłoń musnęła kieszeń, w której spoczywał film.

Zdrętwiał, mierzony baczynymi spojrzeniami ubeków, a potem wepchnął nosze do pieca, zatrzasnął drzwiczki i przełączył zawór. Gaz wpadł z sykiem do komory, usłyszeli wściekły trzask płomieni, głuchy huk ognia i... było po wszystkim.

– W porządku – mruknął wyższy z tamtych. Zmierzył Setę badawczym spojrzeniem, a potem ruszył w stronę drzwi. Posługacz wsłuchał się w łoskot płomieni, w poszeptywanie gazu w rurach i spuścił głowę. Dokonało się.

2.

Dzienna zmiana, czyli Lobo, Zocha i Marcus, przyszła o czasie. Gdy Seta i Konus wyszli z kostnicy, był mglisty i zimny warszawski świt, piąta rano. Nad miastem wstawał kolejny zadymiony, zasnuty chmurami i deszczem, szary dzień komunistycznej Warszawy. Rodził się w równie strasznych bólach jak komunizm w Rosji przez ostatnie pół wieku. Oznajmiał nadejście łoskotem otwieranych drzwi, chrzęstem podkutych butów żołnierzy i milicjantów patrolujących ulicę. Majaczył na poszarzałych twarzach kobiet, które pół wieku po drugiej wojnie światowej wystawały przed sklepami, aby kupić dzieciom bułkę i butelkę kartkowego mleka.

Jednak dla Polski druga wojna jeszcze się nie skończyła. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że w zimie 1981 roku, zanim skończyła się poprzednia, zaczęła następna. Kryzysowy świt odbijał się w zmęczonych obliczach ludzi śpieszących do roboty, tkwił w drażniącym oczy dymie z koksowników, w warkocie motorów ciężkich skotów i BTR-ÓW... Godzina policyjna przeminęła, miasto budziło się do życia, takie skacowane, zarzygane, złe... Konus i Seta szli wolno do siódemki, a wokół nich były same odcienie szarości. Szare budynki, szare ulice, szare chodniki, czarny asfalt, czarne, bezlistne, poskręcane drzewa, smutne, zmęczone i złe twarze ludzi o płonących gorączką oczach, oblegających nieliczne samochody z chlebem, strzeżone przez uzbrojonych konwojentów. A ponad tym wszystkim ołowiane niebo i szary mroźny deszcz obmywający mury, ludzi, nieliczne pordzewiałe samochody, ściekający strumyczkami na nierówny bruk.

Siódemka miała pętlę na placu Narutowicza. Jeszcze były w niej miejsca. Konus i Seta niemal padli na siedzenia, oparli się o wilgotne, zamglone od ludzkich oddechów szyby. Tłum w pojeździe gęstniał, ludzie pchali się, wciskali, napierali. Nikt nie ustępował miejsca

starszym, nikt nie przeproszał, nikt się nie uśmiechał.

Tramwaj ruszył, minął sowiecki posterunek przy wylocie Filtrowej, potoczył się wolno w stronę placu Zawiszy Przybywało pasażerów. Wsiadali na każdym przystanku, wpychali się w drzwi, w miarę jak na ulicach robiło się coraz ludniej. Ci wszyscy śmierdziele... Seta rzygał nimi, dusił go odór ciał, dławiał napór tłumu, rozwścieczały szare, pobrużdżone twarze. Wciąż czuł na swym obliczu cuchnące, skacowane oddechy, czuł napierające nań ciała, oczy patrzące z poządlivością, czekające na chwilę, gdy zwolni miejsce i cała tłuszcza będzie mogła rzucić się, by dać ulgę strudzonym nogom. Nienawidził ludzi wokół siebie, nie tylko w tramwaju, ale i na ulicach. Robole, urzędaszy, nauczyciele, trochę studenciaków, jakieś gnoje, takie złe, zmęczone twarze. Taksówkarze i cinkciarze, kurwy i dewoty, zmęczone robotnice, przypalające na przystankach nerwowym ruchem ostatniego radomskiego.

Tramwaj wtoczył się w Aleje Jerozolimskie. Z lewej zrobiło się nieco jaśniej, nad rozmokłym wykopem kolejowym wiatr bawił się śmieciami i starymi gazetami, porywając je ponad zardzewiałe torowisko. Seta wpatrzył się w niebo, spojrział przez zamgloną szybę w ołowiane, matowe kłęby chmur, zalewające deszczem tę nieszczęsną Warszawę, miasto betonu i rdzy, gówień i odpadków, rzygowin, kaca i mgły. Kołchozowe blokowisko, koszmarne jak obóz koncentracyjny, zbudowane na ruinach dawnego Paryża Północy, zmiecionego przez Niemców na jesieni roku czterdziestego czwartego.

Minęli następny posterunek, tym razem przy placu Starynkiewicza. Dziewięciu Sowietów opatulonych po szyję grzało się przy koksowniku ustawionym nieopodal starego T-82. Po drugiej stronie ulicy zagrzewało się w taki sam sposób ośmiu milicjantów. Nie widać było między nimi żadnych oznak miłości. Przeciwnie niż na rozmokłych plakatach, na których krasnoarmiejcy przyjmowali kwiaty od wdzięcznych matek Polek – chyba za to, że zrobili z nich dziwki oddające się za puszkę konserw, wdowy oplakujące pomordowanych mężów albo matki szlochające nad ciałem zakatowanych synów i córek.

Na ulicach nie było dużego ruchu. Szybko dojechali do Dworca Centralnego. Ogromna, zrujnowana i postrzelana hala była prawie pusta, tylko deszcz zacinał po ścianach, wpadał do środka przez wybite szyby. Po drugiej stronie Alej Jerozolimskich, obok starego, nigdy niedokończonego terminalu LOT-U, który groził zawaleniem, hulał dziki wiatr.

Seta przywarł do szyby, bo ktoś w waciaku przepychał się przez tłum w tramwaju. Jakiś wariat. A może ostatni normalny człowiek?

– Wszystko przez profesorów! – krzyknął Secie niemal wprost do ucha. – Wszystko przez profesorów. Ale sekretarz wojewódzki nas uratuje. No powiedzcie sami... Ludzieeeee! – rozdarł się w tłumie. – Przecież daję dupy co noc Millerowi. Co noc, przysięgam!

Tramwaj toczył się dalej. Za Centralnym Ruscy przeprowadzali rewizję w starym fiacie kombi. Kierowca i jakaś kobieta stali z rękami podniesionymi do góry, podczas gdy trzech żołdatów wyrzucało z wozu kartonowe pudła. Jeden z Sowietów przyskoczył do aresztowanych, bił kolbą, tłukł lufą, nie bacząc na to, że z chodników i tramwaju spogląda na

niego dwieście bezsilnych par oczu.

Skrzyżowanie z Marszałkowską, tu wysiadło sporo osób. Deszcz zaczął ostro w szyby. Z boku słychać było krzyki...

Uśmiechnięta twarz dziewczyny na plakacie. Wola PZPR wołą narodu. Sojusz robotniczo-chłopski...

Dziarskie oblicze ojca Rydzyka, koncesjonowanego księdza patrioty, który z jakiegoś starego afisza nawoływał do zgody narodowej. Nie wyglądał na zmartwionego, cóż – za pancernymi szybami merca mógł kpić sobie z papieskiej ekskomuniki. A od legendarnego księdza Jonasza, który niczym inkwizytor zaprowadzał ład i porządek wśród duchownych, co zbłądzili zbytnio na lewą stronę drogi ku czerwonej latarni, odgradzały go bycze karki i szerokie ramiona całej armii ubeckich ochroniarzy.

Tramwaj wtoczył się na most Poniatowskiego. Tu było groźniej. Przy wieżyczkach na obu końcach ułożono worki z piaskiem, stały na nich karabiny maszynowe, obok transportery; jezdnie przegrodzone były kolczatkami.

– Co ja widziałam, pani Podajowa – gadała bezzębna starucha z tobołami do swojej sąsiadki. – Wyrwał się wczoraj matce i poleciał przez most w Łazienkach, bo kaczuszki pływały. Ale przyuważyli Ruscy – puścili serię. Jezus Maria, ino strzępy z dzieciska...

– To skurwysyn, krzywy chuj złamany. To on, kurwa, doniósł, fiut jebany – gadał niski, gruby robot o błyszczących od tłuszczu włosach. – Tylko Kotwicza na niego trzeba...

Seta nie słuchał dalej, bo wszystkie te gadki tylko przypominały mu o wydarzeniach z nocy. A on nie chciał przypominać sobie koloru włosów i krwawego zapachu półżywej dziewczyny przywiezionej w ubeckim worku do krematorium. Jak to się stało, że przeżyła? Widać któremuś z czerwonych zadrzała ręka w czasie egzekucji. Potem nie było czasu, by wezwać lekarza, i tak – niedobita – trafiła w ręce Sety. I tak dobrze, że nie ocknęła się dopiero na ruszcie, pieczona żywcem.

Jak się nazywała? Agata? Anita... Chyba Anita.

Prosiła, żeby ostrzec innych, że wpuściła czerwone psy na ślad Kotwicza. Musieli nieźle ją tłuc, nie wyglądała przecież na laleczkę z porcelany. Może zgwałcili, na pewno nieźle wystraszyli. Nie, nie wolno było o tym myśleć. Dlatego że ów Kotwicz, najbardziej poszukiwany człowiek w PRL-U, był wcieloną śmiercią. Od lat wymykał się z obław polskiego SB i ruskiego KGB, uchodził z sideł, kotłów i łapanek, unikał wpadek i wsyp. Kpił ze śmierci i za nic miał fakt, że gdzieś tam, na Mostowskich czy na Rakowieckiej, czekał na niego w podziemiach dół ze świeżym wapnem. Przygotowany bynajmniej nie po to, aby rozpuścić w nim jego zwłoki. Do wapna komuniści spuściliby Kotwicza żywcem, byle tylko powetować sobie straty, jakich ten wilk w owczej skórze dokonał w stadku ich wiernych owieczek i baranów. Które przecież nie inaczej niż tylko przez przypadek i pełne dobrych chęci podpisywały deklarację tajnego współpracownika, wydając przy okazji wyroki łagrów na przyjaciół, znajomych i domowników.

Kotwicz zabijał. Nazwany tak od krwawych znaków Polski Walczącej pozostawianych na trupach, mścił się, posyłając do piachu kolejnych sowieckich kapusiów i donosicieli, wprowadzając tym samym wielki zamęt w teczkach bezpieki. Zerował operacyjne kontakty i utajniał tajnych współpracowników tak, że milczeli jak trusie – albowiem niezmiernie trudno jest gadać z kulą w potylicy.

Morderca, a przecież tak naprawdę bohater, nie oszczędzał nikogo. Agenta Delegata delegował w ostatnią podróż do wieczystego raju, w którym panuje wiekuisty komunizm. Ketmana zrobił męczennikiem bolszewickiej sprawy, łamiąc mu kręgosłup i kości na schodach. Opłacał zdrajców judaszowymi srebrnikami z ołowiu, a pachołkom Rosji udzielał tak gorących lekcji patriotyzmu, że na prażonych podszwach szli poskarżyć się do Lenina.

Gadanie, a nawet samo myślenie o Kotwiczu było równie bezpieczne jak oddanie moczu na urnę towarzysza Czernienki na placu Czerwonym albo oblanie portretu towarzysza Feliksa Edmuntowicza czerwoną farbą w obecności pięciu kagiebiów. Dlatego Seta wolał trzymać się z dala od tego wszystkiego. Ktoś tam wydał Kotwicza czy nie wydał, gównem go to obchodziło! Bo prawdę powiedziawszy, sam nie był bez winy. Pamiętał ciągle ubeckie pały, wspominał moment, kiedy wydał esbekom studencką siatkę ruchu oporu i dzięki temu zamienił daleki i zimny Perm na swojski Zakład Karny Rawicz, po czym wyszedł zaledwie po czterech latach. Odsiedział swoje, ale nie został kapusiem.

Ale po co było do tego wracać.

Tramwaj skręcił w Zieleniecką. A dokoła wciąż była Warszawa. Warszawa milicyjnych patroli, mundurów, skotów, Ruskich z kałasami, ulotek, tajnych drukarni, bibuły, dziwnych ludzi, wódki i przemycanego przez Ruskich spirytusu. WRON za Don! Orła wrona nie pokona! Generale – nie boimy się tej wojny wcale. Solidarność walczy!

Przejechali pod wiaduktem kolejowym, skręcili w Kijowską. Seta ocknął się nagle. Byli u celu. Szarpnął za ramię Konusa. Szybko przepchnęli się do wyjścia. Wyszli wprost na deszcz, słońce i marcowy ziąb. Ale to nic, że lało. Uczynili zaledwie kilka kroków i znaleźli się na Brzeskiej, czyli w domu. Tu była wolność. Brzeska, Stalowa, Ząbkowska, Białostocka, Markowska... Inny świat, wolny kraj w centrum zniewolonego miasta. W wąskich, błotnistych uliczkach pomiędzy starymi, rozpadającymi się kamienicami panowały inne prawa, nikt obcy nie miał tu wstępu. Nawet patrole Ruskich i milicjantów zapuszczały się tutaj niechętnie. Zresztą w ciągu ostatnich kilku lat w ciemnych podwórkach, w ponurych bramach przepadł niejeden politruk czy żołdat, ruskie kałasze trafiały stąd do rąk konspiratorów z Solidarności, a co drugi meliniarz przechwalał się, jak ukrywał ostatnich delegatów rządu narodowego na kraj. Niejeden litr gorzałki czy poleć mięsa przemycony ze wsi przez szmuglerów wędrował z Pragi pod lady warszawskich sklepów, w których od lat straszyły puste półki, nie licząc oczywiście octu i sznurowadeł – zbyt cienkich, niestety, aby upleść sobie pętlę na własną szyję, a za krótkich, aby starczyło chociażby na powieszenie wszystkich czerwonych z rządu Jaroszewicza. W Warszawie, stolicy zniewolonego kraju,

Brzeska była oazą spokoju i dobrobytu. A gdy Seta zanurzał się w ciemne bramy i zaułki tej części Pragi, przestawał czuć na swych plecach ciężkie jak ołów spojrzenia milicji i ruskich żołdatów.

3.

Noc spędzona z ubekami na paleniu trupów to niezapomniane przeżycie, nawet w kraju, gdzie na ulicach rządzi Armia Czerwona, a rozkazy Kremla wykonuje się, jeszcze zanim zostaną wpisane do biuletynu sowieckiego Politbiura. Po takiej zabawie można albo spać kamiennym snem, albo wałnąć sobie klina. I właśnie to drugie rozwiązanie przypadło do gustu Secie i Konusowi. Rozumieli się bez słów. Dlatego zamiast na wyrku, czyli tam, gdzie zgodnie z wolą WRON-y powinien lądować wzorowy i porządny obywatel wracający z nocnej zmiany, desantowali się – szybciej niż ruski specnaz w Afganistanie – w „Kolorowej”, małej knajpce, a właściwie melinie na tyłach bazaru Różyckiego. Tutaj, w starej, odrapanej kamienicy z czerwonej cegły, wszystko było na swoim miejscu. Zadymiona sala, gruba Maryśka za szynkwasmem i – rzecz jasna – morze bimbru. Obcych witano niemile. Ale na szczęście rzadko przychodzili.

To były stare, dobre złodziejskie śmieci. Od razu przy wejściu powitali starych fąfli – Drzazgę, Esego, Kaczora, Gajowera i Dominika. Ferajna zaprawiała, aż kurzyło się z czupryn. Seta i Konus dosiedli się do Kaczora. Ten fachura w okradaniu ruskiej swołoczy kiwał się sennie nad stołem. W szklance miał jakąś mętną herbatę, bo oficjalnie nic poza tą letnią lurą nie można było kupić u grubej Marychy. Wystarczyło jednak, że Seta uśmiechnął się do właścicielki, a ta podała mu sporą flachę bimbru. Obciągali ją przy stole, polewali do musztardówek z mankietu, zerkając na sąsiadów, bo choć i tak w barze byli sami swoi, to nie nie wkurwiała Sety bardziej niż nachalne sępy z Brzeskiej.

– No, jak tam trupy? – wychrypiał Kaczor. – Kurwa, chłopaki, ciągle się dziwię, że nie mogliście znaleźć lepszej roboty.

– Jak wyszedłem z cymru, to dzielnicowy łąził za mną i pierdolił, że jak nie zacznę robić, to coś na mnie znajdzie – mruknął Seta. – A po tym jak buchnąłem merca tej kurwie Pęczakowi, mieli na mnie oko. A mnie już styknie, swoje odsiedziałem. Co tam u ciebie?

– Kurwa jak zwykle.

– A to jebać czerwone kurwy.

Popili bimbru. Był mocny, ale czuć w nim było posmak drożdży; widać Bercie nie chciało się destylować samogonu do końca. Kaczor wstrząsnął głową. Seta popatrzył na jego ręce, białe i smukłe, nienawykłe do ciężkiej pracy. Przypomniał sobie, jak kiedyś opowiadał

mu jeden stary złodziej, że w ruską rewolucję bolszewicy rozwalali złodziei razem z burżujami, bo każdy z nich miał dłonie jak elegant.

– Farcie mi się ostatnio – mruknął Kaczor. – Załapałem ładny sikor od frajera. Chyba kradziony w Niemczech. Ale już poszedł u starego Kubasa.

Wypili znowu. Konus odcharknął w ciemny, pokryty pajęczynami kąt knajpy.

– Kurwa, ziomy, nie wiecie, jaki przedwczoraj miałem sen.

– Gołe kurwy ci się śniły, Konus? Z cyckami do ziemi? Takie metr czterdzieści, żebyś mógł dosięgnąć pizdy bez wchodzenia na drabinę?

– Nie, chłopaki. Śniła mi się niby Warszawa. A właściwie to nie Warszawa.

– Co ty pierdolisz?

– Szedłem Alejami Jerozolimskimi, przy Centralnym, a wszystko było inne niż teraz. Kurwa, wszędzie sklepy, banki, komisy, a sklepy, taka jego mać, same peweksy z wódkami. A samochody jakie... Przez jezdnię przejść się nie dało, bo stały zachodnie bryki. A jakie wieżowce! Ja pierdołę – wyższe niż Pałac Kultury... Takie jak w Ameryce. Domy ze szkła, czaicie? Całe ze szkła! I budowali coraz to nowe i nowe!

– Co ty opowiadasz? Szklane domy w Warszawie? To jak u tego, kurwa, jak mu tam, Sienkiewicza. W... „Przedmaju”?

– „Przedwiośniu” – Seta zabłysnął uniwersytecką wiedzą.

– A ludzie jacy wystrojeni. I jakie laski mi się śniły. – Konus aż się rozpląszczył na blacie stołu. – Wszyscy uśmiechnięci i jacy inni. A w sklepach – żadnych kolejek.

– To już pierdolisz. Może jeszcze powiesz, że kartek nie było?! – warknął Kaczor.

– A pewnie – wszystkiego dawali, ile kto chciał. Jak wszedłem do sklepu, to kupiłem zaraz pięć kilo zwyczajnej. I dali mi od razu. Kurwa, jakie piwo piłem – ale nie z butelki, ale z takiego, no... kranu. Z baryłki. Zimne jak, kurwa, lód. A w sklepie jacy wszyscy uprzejmi...

– No chyba żeś się za dużo ożłopał bimbru.

– A potem – Konus spojrzął na brudny sufit – potem śniła mi się Brzeska. I byłem tutaj – u Marychy. A tutaj jak czysto, jak schludnie. A Marycha uśmiechnięta, wysztafirowana. Aż się lepiła od tapety. A jakie zakąski u niej były, człowieku!

– Pierdolisz. Marycha uśmiechnięta? Prędzej się doczekam, że mordercę Jaroszewicza wyhuśtają na krawacie we własnym domu, niż że stare kurwiszcze będzie szczerzyć zęby.

– A na Brzeskiej wyburzali domy. I budowali same takie ze szkła i betonu. I był taki ten, no, jak na filmach... sklep z samochodami.

– A może czerwoni odszykowali Warszawę na przyjazd Andropowa?

– Nie, nikt nie przyjeżdżał. Słuchajcie, wy wiecie, że ja bez wizy mogłem dymać do tej, no... Unii. Do samego Paryża. Do Londynu. Samolotem. Uwierzycie?!

– Kurwa, jak to? Nie strzelali na granicy?

– Nie było żadnej granicy. Żadnej, uwierzycie?!

Pokręcili głowami.

– Ale potem znowu bieda przyszła.

– Dlaczego?

– Bo ludzie znowu komunistów wybrali...

– U nas to, kurwa, naród ciemniaków – mruknął Kaczor. – A jak tam u was w trupiarni? Nie było w nocy zamieszania?!

– Nie, a bo co?

– Chłopaki – Kaczor aż odsunął się z krzesłem w tył – to wy naprawdę niczego nie wiecie? Wczoraj były marsze i demonstracje przy uniwersytecie. Na ósmego marca. Podobno Rusczy i milicja strzelali do niełatów z uniwerku. Aresztowali studenciaków i nie wiadomo, co się z nimi stało. Gadają, że ich rozwalili. Jak w Katyniu.

Seta spojrzął na Konusa, a Konus na Setę. Ich oczy spotkały się, ale tylko na chwilę. Kurwa mać, pomyślał tylko. Fatalny film wciąż tkwił w jego kieszeni. Seta. Czuł jego ciężar, rolka uwierała go w udo...

– Nie, nic u nas nie było – powiedział. Kaczor skinął w stronę starego rubina na blacie. Telewizor trzeszczał niewyraźnie.

– Mówią o tym.

Seta przechylił się w stronę odbiornika. Właśnie szedł poranny dziennik, na brudnym ekranie widział twarz prezentera Barańskiego, ubeka i zaufanego towarzysza partyjnego. Z tyłu w studio siedzieli jacyś goście, Seta rozpoznał wśród nich tę starą kurwę Urbana, papugę Jaruzelskiego, Oleksego i innych komuchów...

– Wczoraj – mówił prezenter poważnym, ale uniżonym tonem – doszło do kolejnych zamieszek na Uniwersytecie Warszawskim. Wszyscy wiemy, że po ostatnich nielegalnych demonstracjach cierpliwość władz wyczerpała się i Uniwersytet Warszawski będzie czasowo zamknięty. Tymczasem jednak studenci prowadzeni przez zbrodniczych prowodyrów i podżegaczy próbowali zorganizować nielegalną manifestację...

Seta pociągnął łyk bimbrowy, przetarł zmęczone oczy.

– Jakikolwiek pogłoski o tym, że doszło do użycia broni, są oczywiście bezpodstawne – powiedział prezenter. Kamera pokazała Urbana szczerzącego zęby w bezgłośnym uśmiechu.

– Ach, te demonstracje i strajki... – powiedział. – W obecnej chwili takie żądania, jakkolwiek uzasadnione, stanowią podcinanie gałęzi, na której każdy z nas siedzi.

– A jak skomentuje pan pomówienia na temat użycia siły przez jednostki prewencyjne Milicji Obywatelskiej?

– Jestem zdania – powiedział Urban – że żyjemy w kraju łagodnych rządów, gdzie represje są raczej dobrotliwe i krótkotrwałe. Panowie, Solidarność to pojęcie ideowo mi obce, a pod względem programowym – jeżące włosy na głowie.

Siedzący razem z Urbanem przy stole mężczyźni aż zarżeli z radości. Seta patrzył na nich przymglonym wzrokiem. Studenci, trupy... Kurwa, chuj go to wszystko obchodziło. Ta cała jebana, pierdolona Polska. Jemu było git. Najważniejsze, że nikt się do niego nie

przypierdalał, od czasu do czasu szedł na mały włam albo zapierdalał brykę i miał wszystko – ciuch, szmal, poważanie u dziwek. A ten uniwersytet, strzelanina? Głupi gówniarze, sami tego chcieli...

Nic go nie obchodziło? Gówno prawda! Feralny film ze zdjęciami zmarłych nagle sparzył go w udo. Cholera, co go podkusiło, by sięgnąć po aparat?!

– Rodzi się pytanie, kto rozpowszechnia te kłamliwe pogłoski – prezenter szczekał jak ratlerek, nadrabiając paplaninę miną rasowego buldoga. – Przywódca nielegalnego spisku godzącego w podstawy ustrojowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Donald Tusk, Niemiec szczycący się polskim pochodzeniem, syn folksdojczy i wnuk esesmana...

– Zajeście go! – mruknął Seta pod adresem prezentera. Ach, gdyby marzenia mogły się spełniać. Gdyby zła wola milionów Polaków oglądających tę czerwoną szczekaczkę mogła zabijać, całe KC udławiłoby się własnym tłuszczem, a telewizja świeciłaby pustkami. Nie na długo, niestety. Z komunistami zawsze było tak, że kiedy podgoliło się jednych, zaraz wyrastali następni – jak chwasty. Nawet kiedy wypaliło się ich do gołej ziemi.

Na ekranie pojawiła się zaaferowana gęba grubawego przystojniaka ze znaczkiem ZSMP wpiętym w klapę marynarki. To był ten młody Kwaśniewski.

– Jesteśmy krajem, w którym staramy się, aby obywatel miał wpływ na władzę, na jej decyzje, ale nie organizując tego rodzaju zadymy, protesty, tylko żeby uczestniczył w życiu publicznym... – recytował. – I ten drugi świat także znam. To jest świat, w którym nie ma argumentów, w którym jest tylko siła, w którym jest tylko pięść, w którym jest petarda, w którym jest śruba rzucona w okno i jest słowo, które jest albo wulgarne, albo obrzydliwe.

– Kurwa, co za pierdolony cwel – mruknął Seta. Nie słuchał już dalej. Kaczor podniósł się z miejsca i poszedł odlać się do sracza, pod którego mianem wszyscy znali przechodnią bramę na bazar Różyckiego. Konus szarpnął Setę za rękaw.

– W co myśmy wdepnęli – wyszeptał. – Co za gówno! Seta, rozwał nas! Przecież paliliśmy ciała.

– Nie dygaj, Konus. Dopóki trzymamy gęby na kłódki, jesteśmy kryci. Pamiętaj, nic nie widzieliśmy, nic nie słyszeliśmy.

– Zabiją nas. Wyślą w pizdu, na Syberię. Na białe misie...

– Konus, pamiętasz tę małą z jasnymi włosami?

– Tę, co ją chciałeś jebać?

– Co tam jebać! Ona jeszcze żyła.

– Co?! Kurwa fiks Kanada!

– Posłuchaj – syknął Seta. – To było morderstwo. Ubecy torturowali studentów, rozstrzelali ich w jakiejś piwnicy, a potem kazali spalić ciała, żeby nie było dowodów. Ale dowody są. Jak was nie było, zrobiłem zdjęcia.

Seta wyciągnął z kieszeni film, pokazał go Konusowi pod stołem.

A Konus, który właśnie łykał bimber ze szklanki, zakrztusił się, zacharczał, oczy wyszły

mu z orbit. Seta uderzył go pięścią w plecy – pomogło.

– Wyrzuć to!

– To jest prawda. O ubeckim mordzie.

– Wyrzuć to, kurwa.

– To trzeba zanieść, pokazać...

– Komu?!

Seta milczał. Pomyślał znowu o umierającej dziewczynie, przypomniał sobie ubeków, ciężarówkę wyładowaną ciałami, strzały w nocy. To wszystko było takie popierdolone. I nie do ogarnięcia.

– Konus – powiedział cicho – na tym filmie jest prawda. Dowód na zbrodnie komunistów. Musimy to wywieźć za granicę.

Wstał od stołu. Potracił przy tym szklanekę i resztką księżycówki wylała się na blat.

– Chodź, Konus, idziemy, pogadamy jeszcze.

Mały złodziej przetarł oczy, splunął i ruszył za Setą.

4.

Gdy wyszli, rozpadało się na dobre. Marcowy deszcz lał jak z cebra. Choć była już dziewiąta, Brzeska jeszcze spała. Seta i Konus skręcili w bramę, wyszli przez przechodni dom na małe, zaśmiecone podwórko – plugawą studnię nakrytą szarym dachem pochmurnego nieba. Weszli do następnej bramy. Zaraz za progiem stało trzech nieogolonych mężczyzn. Pili wódkę z butelki, zataczali się lekko. Podnieśli głowy, gdy tylko zobaczyli Setę i Konusa, ale od razu rozpoznali swoich. Któryś gwizdnął, inny pozdrowił Setę.

Ponura, odrapana kamienica z czerwonej cegły cuchnęła stęchlizną. W bramie, w której ktoś wyłamał drzwi, leżał wielki paw, na schodach usłyszeli piski spłoszonych szczurów. Gdy byli na drugim piętrze, jakaś postać poruszyła się w głębi korytarza. Seta usłyszał skrzyp drewna i cichy łoskot. Cień poruszył się szybko, zbyt szybko. Do nozdrzy Sety doszła zgniła woń kanałów ściekowych. Tak cuchnął tylko stary Maksio.

– Spokojnie, to ja, Seta.

Nieznajomy zamarł. Seta odetchnął z ulgą. Zawsze bał się, że ten stary, pierdolnięty Maksio z drewnianą nogą nie rozpozna go kiedyś w ciemności i wypruje mu flaki. Stary zbliżył się, uśmiechnął, szczerząc powybijane zęby.

– A, to wy, dzieciaki – mruknął. – A już myślałem, że Moskale.

Seta wiedział, co Sowietci zrobili kiedyś z żoną Maksia. I nie dziwił się, dlaczego tamten przepadał na całe noce, a patkami i baretkami zerwanymi przez niego z ruskich trupów można

by wytapetować całą kamienicę, od pierwszego aż do czwartego piętra.

Wyminęli Maksia i weszli na półpiętro. Seta zastanowił się, czy aby nie kupić jeszcze jednej flaszki. Ale bał się kupować gołdę u starego Legionisty na parterze. Tamten trzymał metyl razem z wódką, a wzrok miał już słaby.

Weszli do mieszkania Sety. Konus kopnął walającą się butelkę po wódce. Seta podszedł do okna. Skąpaną w deszczu ulicą przejechała wolno milicyjna nyska.

– Nie wiem, co robić – mruknął Seta. – Ale nie mogę o tym zapomnieć...

– Też się w tobie, kurwa, profesor odezwał. Wyrzuć ten film w cholere. Zapomnij o wszystkim.

– To nie takie proste.

Seta zdjął kurtkę, buty i spodnie. Rzucił się na rozgrzebane wyro. Wszystko byłoby w porządku, tylko dlaczego czuł jakiś taki dziwny skurcz pod sercem? Okrył się starym tramwajarskim kozuchem i odwrócił do ściany.

Konus nie poszedł spać. Usiadł na zydłu i czaszkował. Siedział sam nie wiedział ile, aż wreszcie przypomniał sobie, że w małej szafce w kuchni miał dwa puste filmy do zenita. Kiedyś buchnął je z prosektorium.

Powoli podkradł się do Sety...

5.

Kapitana Grzegorza Zielińskiego z pewnością nie można było nazwać typowym ubekiem. Zresztą on sam starał się odróżnić od reszty pracowników z III pionu Służby Bezpieczeństwa o tyle, o ile żuk gnojarsz może różnić się czymś od pospolitych karaluchów. Był zawsze niezwykle zadbany i elegancki, uprzejmy i elokwentny, a wobec przesłuchiwanego zgrywał czerwonego macho z nieodłącznym szlugiem przyklejonym do ust. Bił dużo mocniej niż inni, nie była to jednak jedyna cecha, która wyróżniała go spośród pozostałych pracowników MSW. Zieliński w przeciwieństwie do wielu innych prostodusznych stróżów bezpieczeństwa i prawomyślności Polaków wiedział dobrze, o co chodziło w PRL-owskim kołchozie i jaka rola przypadła mu do odegrania. Nie miał złudzeń, ale i nie oszukiwał się co do swej funkcji. Był prawą ręką Ruskich i nie czynił sobie subiekcji, że spełnia jakiegokolwiek posłannictwo dziejowe, jak na ten przykład szef wszystkich szefów w resorcie – generał Kiszczak.

Zieliński doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wejście Sowietów w zimie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, po buncie w polskim wojsku, nie było decyzją podjętą na Kremlu, lecz że to sam Jaruzelski tak bardzo się bał, że solidarnościowcy powieszą go na latarni, iż kiedy wojsko odmówiło strzelania do robotników, wymógł na Breżniewie,

aby wspomógł go swymi dywizjami. Zresztą Zieliński pamiętał go jeszcze z czasów praskiej wiosny i doskonale wiedział, ile telefonów do Moskwy wykonywał wtedy Wojtek w ciągu każdego miesiąca. No, ale i Grzesiek wiedział dobrze, jak się ustawić. Dlatego częściej niż u swego bezpośredniego przełożonego bywał na popojkach u pułkownika Ałganowa, radzieckiego „doradcy” przy III pionie. W końcu po „spisku podchorążych” Kuklińskiego, do którego przyłączyła się 1. Warszawska, a potem 3. Pomorska i cała reszta wojska, Jaruzelski był chodzącym trupem, który potrafił powtarzać tylko: „Obywatelki, Obywatele, Towarzyski, Towarzysze” jak nakręcona płyta. A i tak żeby mógł wydusić z siebie dwa głupie słowa, moskiewscy lekarze musieli pracować przez bite dwa tygodnie. Rządził więc za niego Jaroszewicz i czuł się jak w raj. Przecież od lat czekał na sowiecką interwencję, która wyróciłaby do góry dnem stare układy w partii i Politbiurze. Dzięki Sowietom miał władzę, a więcej nie było mu do szczęścia potrzebne.

Swoją drogą, nikt nie przypuszczał w osiemdziesiątym drugim roku, że cała ta banda alkoholików i degeneratów zwana Ludowym Wojskiem Polskim wytnie partii taki numer i zacznie strzelać do Ruskich, a po rozbiciu i rozbrojeniu części jednostek po prostu pójdzie do lasu, jak jacyś pieprzeni powstańcy styczniowi.

Zieliński zdawał sobie sprawę, że większość Polaków zatłukłaby go kłonicą za samą legitymację SB, CO jednak nie psuło mu nastroju. W końcu na jego miejscu mógł znaleźć się ktoś znacznie gorszy. Zresztą kapitan znał dobrze historię, przynajmniej w jej czerwonej wersji. Wiedział, że po czterdziestym piątym roku elity musiały skapitulować, bo ich polityka sprowadziła na Polskę zagładę. Wóz albo przewóz, nie mogąc utrzymać się pomiędzy ZSRR i Niemcami, trzeba było kogoś ucapić za nogi. Zieliński wierzył głęboko, że państwo ludowe uczepiło się właściwych nóg – ma się rozumieć tych obutych w walonki.

Dziś jednak wydarzyło się coś, co zepsuło mu humor do tego stopnia, że po raz pierwszy w swojej karierze – bo przecież jako człowiek szczerzy do bólu nie nazwałby jej służbą Polsce – poczuł chłód. Stało się tak, kiedy zadzwonił telefon. Zieliński zdusił papierosa, podniósł słuchawkę i wcisnął czerwony przycisk wewnętrznej linii.

– Zieliński. Słucham?

– ...

– Tak, towarzyszu generale. Tak, tak.

– ...

– Nie, nie wiem.

– ...

– Co takiego? Tak, puściliśmy.

– ...

– Co?! Kur... Tak jest, towarzyszu generale!

– ...

– Nie, nie znam. Nie było nikogo takiego.

– ...

– To trzeba spytać towarzysza Karpiela...

– ...

– Jak to, towarzyszu? Kto? Ja?!

– ...

– Wcale się nie wygłupiam, towarzyszu. Słowo czekisty...

– ...

– Ja oczywiście zdaję sobie sprawę. Ale trzeba pamiętać...

– ...

– Skąd mogłem wiedzieć... Towarzyszu, rozumiecie, służba, nasi też...

– ...

– No, no, no. Ja myślę.

– ...

– Tak jest, towarzyszu generale!

– ...

– Oczywiście, towarzyszu generale!

– ...

– Będę informował na bieżąco, towarzyszu generale!

W miarę upływu czasu ton słów towarzysza Zielińskiego zniżał się od basu do piskliwego szeptu. A ostatnie słowa dorzucił takim głosem, jak gdyby z czerwonego marksistowskiego koguta przerobiono go nagle na trockistowskiego kapłona.

Odgarnął w tył posiwiałe włosy, sięgnął dygocącą ręką po paczkę peweksowskich cameli. Pierwszego papierosa złamał przy wyciąganiu, rozerwał kartonik, wyjął drugiego, zapalił. A potem wduśił czarny przycisk na blacie.

Wszedł porucznik Micewicz. Błady, w wymiętej marynarce, jakby od czasu pamiętnej wizyty w krematorium trapił go bezustanny niezbyt żołądka i tępy ból głowy będący niechybnym objawem kaca moralnego niepokoju.

– Micewicz – wybełkotał przełożony – posłuchaj, pamiętasz tę laleczkę z wczoraj? Z trupiarni?

Porucznik rozdziawił usta. To było jasne jak słońce, że prędzej zapomni służbowej legitymacji niż widoku na pół martwej dziewczyny.

– To dobrze. Bo posłuchaj... Jest pożar w burdelu. Kurwa, sprawa śliska jak białoruskie lodowisko. Ta laska, ta mała... Właśnie miałem telefon. To była córka... generała Przeręby. O kurwa, młody! O kurwa, kurwa, kurwa!

Micewicz tylko jęknął.

– Ja o niczym nie wiem – wybełkotał Zieliński. – Ja nie chcę wiedzieć. Ty za nich odpowiadałeś.

Porucznik milczał.

– To teraz, kurwa, myśl, człowieku! Niech ci się łeb zrobi jak u tego, kurwa, Łomonosowa! Czaszkuj bracie, jak wyjść z tego z całą dupą!

– Ja jej nie zabiłem!

– Ale to ty byłeś przy przesłuchaniach.

– Ale nie ja, do stu kurew, wydałem rozkaz, aby ich torturować. A potem rozwalić w piwnicy! Ty mi zawsze kazałeś wywozić ciała do lasu!

– To czegoś je zawiózł do trupiarni?! Kurwa, człowieku. Patafianie, palancie! Czegoś ich po prostu nie powrzucał do dołu jak tamtych od Pawłowa, kurwa jebana, psim chujem wyjebana mać?!

– Za dużo ich tam wrzucaliśmy. Nie myśl, że wykręcisz się z tego łatwo! – wybełkotał Micewicz. – To ty chciałeś ich przycisnąć. Myślałeś, że dadzą ci na tacy Kotwicza. Dali ci gówno wielkie jak dupa Breźniewa! Słyszałeś dobrze, co gadał Ciastoń na odprawie! Żadnych, kurwa, trupów! Żadnych krwawych przesłuchań. A jeśli już, to w rękawiczkach i bez szeregowców. Zapomniałeś, że kazał się wstrzymać ze wszystkim, dopóki w małym pałacu siedzi ta jebana komisja Czerwonego Krzyża?! Pierdoleni Szwedzi i pierdoleni Angole! A co drugi od pierdolonego Reutersa, a co trzeci, kurwa, człowiek Kuklińskiego!

– Stul mordę, do kurwy nędzy!

– Ja to mam na piśmie. Dobrze schowane. Nie jestem aż tak głupi. Nie wystawisz mnie za chuja!

– To co... będzie?

– Będzie nieszczęście. – Micewicz wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. Dziwny zaiste widok u oficera operacyjnego bezpieczeństwa; zgoła niegodny stachanowca. – Choć może... Nikt nic nie pisnie? I sprawie ukręci się łeb?

– Widzieli zomowcy.

– Widzieli albo nie. Mało to osób przechodzi przez ich ręce?

– Wieźli worki. I ślepy by się domyślił, co w nich było.

– Ale nie wywąchałby córeczki Przeręby...

– Jasny szlag! Czemu ten kutas nie pilnował gówniary? Nie mógł pizdy za nogę do stołu uwiązać! Żeby tak moja córka...

Zieliński umilkł. Wszyscy wiedzieli, że nie miał córki. A o synu, nałogowym ćpunie, większość podwładnych kapitana wolała nie wspominać.

– Sztyniaki to sztywniaki, normalna rzecz w naszej pracy. Chuj się tam domyślą, a nie że wieźli w worku Anitę Przerębę. Nie ma ciała, nie ma problemu.

– Są świadkowie – mruknął Zieliński. – I od tego trzeba zacząć. Inaczej skończymy na białych misiach albo w najlepszym razie na posterunku w Wygwizdowie. Przez ciebie, fiucie, żeś zawiózł ciała do krematorium! O, tamci menele z kostnicy. Od nich trzeba zacząć. Nie będzie świadków – nie będzie córeczki. Fiuuuuu – zagwizdał – wywiało lalunię do RFN-U. Z gachem, przez zieloną granicę. A o resztę niech się martwi Przeręba.

- Co mam zrobić?
- Zatrzymaj tych gości z krematorium. To na początek.
- A potem?
- Jeszcze nie mamy Kotwicza. Więc będziemy mieć... wampiry z Odrzykońskiej.

6.

Seta ostatkiem sił wszedł na piętro kamienicy przy Brzeskiej 15. Do wczoraj zaprawiał razem z chłopakami od Ząbka. Tamci mieli farta, trafili wystawną brykę, kupił ją za niezły szmal jakiś Ruski z Odessy. Było za co pić.

Zdyszany pokonywał ostatnie stopnie. Musiał zerwać się z biby, czekała go jeszcze robota przy trupach na Odrzykońskiej. Trochę się przekima na kwadracie, a potem trzeba będzie zwlec się z wyra. Przeszedł przez korytarz, przestąpił nad rozlaną wodą ze wspólnej łazienki i stanął przed drzwiami mieszkania Konusa. Już miał położyć dłoń na klamce, ale coś go tknęło. Kurwa, zawsze jak coś było nie tak, miał jakieś dziwne przeczucie, złodziejski fart. Co było nie w porządku? Za cicho? Kurwa, czyżby Konus spał? Seta przyłożył ucho do drzwi. Nic nie usłyszał, ale ten fakt, zamiast uspokoić, zaniepokoił go jeszcze bardziej. Rozejrzał się dokoła. Cisza aż świdrowała w uszach. Już miał wejść, ale się wstrzymał. Nigdzie nie było starego Maksia. A przecież codziennie ten stary wariat wystawał na klatce schodowej, wpatrując się przez okno w zmurzałe dachy domów przy Brzeskiej. Dziwne. A nawet bardzo dziwne.

Seta zbiegł na dół. Przemknął przez podwórko, zaszył się w bramie, a potem wszedł po skrzypiących drewnianych stopniach na trzecie piętro. Podwórce miał teraz jak na dłoni. W mieszkaniu Konusa paliło się światło. Od kiedy w delirce chlasnęła się nożem stara Ziuta, matka garbusa, nie było im w głowie wieszanie w oknach jakichś śmieci, więc Seta wyraźnie widział wewnątrz. W środku dostrzegł cienie ludzkich postaci. Ktoś stał przy drzwiach, dwóch gości krzątało się po pokoju. Do diabła, co to mogło znaczyć?! Seta poczuł chłodny pot na czole. Kurwa – w mieszkaniu był milicyjny kocioł. Czyżby Konus go wsypał?! Ledwie przyszło mu to na myśl, zaraz przypomniał sobie o filmie. Szybko wsunął rękę do kieszeni, ale kasetka była na swoim miejscu.

Seta wyteżył wzrok aż do bólu. Po chwili dostrzegł zamieszanie, zdaje się, że kogoś wlekli ku wyjściu. Trzasnęły drzwi, na drugiej klatce schodowej załomotały kroki. Marcowy zmrok zapadał szybko, ale Seta dojrzał, jak przez podwórce szła ku bramie grupa mężczyzn ubranych po cywilnemu. Prowadzili, a właściwie wlekli małego, ślaniającego się na nogach człowieczka. Seta zadrzał. Choć serce biło mu jak młot, ostrożnie zszedł w dół, przycupnął za

barierką schodów, w miejscu, z którego mógł widzieć część mrocznego wnętrza bramy. Tamci musieli tędy przechodzić. Zamarł w oczekiwaniu. Kroki zbliżały się...

Było ich pięciu. Ten szósty potykał się, ledwie szedł, popychany mocnymi dłońmi ubeków w cywilu. Po chwili zatrzymał się, upadł na bruk. Mężczyźni poderwali go brutalnie, a wówczas Seta po garbie rozpoznał Konusa. Zadrżał, spoglądając na obitą głowę kaleki, na złamany nos, podbite oko. Konus drżał, dygotał, ale posłusznie szedł z ubecją.

Seta przez długą chwilę nie mógł złapać oddechu, pociemniało mu w oczach, gdy wrócił myślami do tamtej nocy w trupiarni, kiedy milicja przywiozła zwłoki... Przypomniał sobie jasnowłosą, jej krew... Coś musiał zrobić, ale co? Komu to oddać? Do kogo iść po pomoc?

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, iż tego właśnie nie wiedział.

7.

Ten pierdzielony Kotwicz... Przez niego Zieliński wpakował się w aferę, która mogła kosztować go głowę. Przez niego wylało się tyle krwi, łez, zużyto tony milicyjnych łol, zakatowano, posłano na śmierć albo do Rosji tysiące ludzi. Po trzech latach śledztwa, po setkach nieprzespanych nocy i hektolitrach wypitej przydziałowej kawy, której próżno było wypatrywać w sklepach, kapitan mógł przyznać jedno: morderca jego współpracowników był nieuchwytny, jak gdyby nigdy nie istniał.

Zawiodło wszystko. Inwigilacje i przesłuchania. Trop wewnątrz ministerstwa – w końcu człowiek, który zlikwidował więcej tajnych współpracowników i kontaktów operacyjnych polskiej ubecji, niż wynosiła populacja przeciętnego miasteczka w środkowej Polsce, musiał mieć jakieś wtyczki w SB. Skąd by znał nazwiska i inne personalia osób, które po podpisaniu deklaracji współpracy – przygotowanych przez agentów ze wszystkich trzech głównych departamentów MSW – rozpracowywały Solidarność? Przecież żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie powiedziałby wprost i na piękne oczy, że donosi na sąsiadów i kumpli do ubecji. Ktoś musiał informować Kotwicza o tym wszystkim. Wynosić akta albo przepisywać nazwiska. Bo zabójca uderzał zawsze celnie jak amerykański pershing. Zabijał tych, którzy poszli na kolaborację, zostawiał na ciele kartkę z informacją o przebiegu służby, a na czole wycinał kotwicę Polski Walczącej. Z tego właśnie powodu przewano go Kotwiczem. Scenariusz zawsze był taki sam – najpierw w otoczeniu współpracownika SB krążyły plotki o tym, że jest czerwonym szpiclem. Potem zaś, kiedy kontakt był w zasadzie spalony, nadchodziła bezlitosna sprawiedliwość. I w końcu znajdowano gościa z podejrzanym gardłem albo powieszono go na ręczniku nad własnym kibelem.

Oczywiście kilku przeżyło. Na przykład ci, którzy byli do dupy i nikogo nie wsypali. A

także ludzie, którym SB zapewniło ścisłą ochronę, wywiozło do tajnych ośrodków rządowych, gdzie trzymano ich niemal pod eskortą brygady pancernej. Ale, do kurwy nędzy, Zieliński ani resort nie byli w stanie zapewnić bezustannej ochrony kilkudziesięciu tysiącom współpracowników. Bo kto w tym czasie chroniłby ustrój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przed obcymi agentami? Chyba tylko duchy Bieruta i Gomułki – gdyby oczywiście ktokolwiek w ubecji wierzył w życie pozagrobowe.

I pomyśleć, że dane o współpracownikach, które uzyskiwał Kotwicz, pochodziły ze ściśle tajnego, najnowszego i w pełni skomputeryzowanego systemu ewidencji, opartego na imperialistycznym sprzęcie sprowadzonym z pominięciem embarga gospodarczego z USA. Wszystko na nic! Kotwicz wciąż uderzał. I był nieuchwytny.

Z takimi myślami Zieliński odwrócił się do człowieka, którego właśnie usadzono za wielkim, pokrytym zielonym sukniem biurkiem. Mały pokurcz o zaciętej twarzy recydywisty tkwił na krześle na wprost pana kapitana, dokładnie pod portretem Karola Świerczewskiego, co pokłonił się w Bieszczadach kulom własnych żołnierzy jakoś niepotrafiących zapomnieć kumpli poległych w czasie operacji budziszyskiej. Gdzie generał Walter dowodził w pijanym widzie. Niebezpiecznie było o tym mówić, ale tu, w siedzibie SB, wiedział o tym nawet dyżurny cieć i sprzątaczkę.

Zieliński przejrzał akta leżące na stole, choć nie musiał. Tu, w gabinecie przesłuchań, on był jedynym panem i władcą, jak Bierut po wyborach w czterdziestym dziewiątym roku. Mógł równie dobrze oskarżyć delikwenta o posiadanie ulotek, jak i o przygotowywanie do zbrojnego obalenia ustroju państwa. Co z tego, że gość nie umiał nawet załadować broni? Z akumulatorem na jajach przypucowałby się nawet do zabójstwa Kennedyego.

Kapitan zaciągnął się niedbale papierosem.

– Opowiedz mi jeszcze raz, mój mały przyjacielu – rzekł z cierpkim uśmiechem – skąd miałeś ten film?!

Mały złodziej zadygotał.

– Ja wszystko... mówiłem, panie kapitanie. Ale mogę jeszcze raz. Znaczy nawijać. Seta! Seta go zrobił. Wtedy, jak żeście przywieźli te, no... trupy. Znaczy się do nas, do kostnicy. To ja pomyślałem, że przecież nie wolno fotografować tych ciał. No i kiedy dowiedziałem się, że Seta zrobił filmy, to potem je od niego zabrałem i... I chciałem wyrzucić... I wtedy wy przyszliście. Ale to nie ja! Nie moje te filmy – załkał rozpaczliwie.

Zieliński otworzył teczkę, spojrział na wywołane przed chwilą, jeszcze wilgotne zdjęcia. Uśmiechnął się tryumfalnie, bo to, co zrobili menele z krematorium, cholernie mu się podobało. Mówiąc krótko – pasowało jak ulał do bajeczki o wampirach z Odrzykońskiej, którą chciał opowiedzieć – ba! – wykrzyzczyć całej Polsce, kryjąc tym samym prawdę o córce towarzysza Przeręby. To było jeszcze większe mistrzostwo niż oskarżenie śląskiego wampira w siedemdziesiątym piątym. A jakże było to potrzebne społeczeństwu steranemu wojnami polsko-jaruzelską i polsko-ruską. Proszę – SB nie tylko strzela do demonstrantów, katuje i

wywozi trupy do lasu, ale także chroni i służy. Łapie seryjnych morderców i głaszcze dzieci po główkach.

– Jak się nazywał ten trzeci?

– Glaca, to znaczy Janusz Brzóska. On mieszka na Stalowej, pod numerem osiemnastym. Tak jak mówiłem.

– Wszystko jest git, jak to wy gadacie. Tylko że ja ci nie wierzę – oświadczył Zieliński z rozbijającą szczerością. – Bo widzisz, moja wersja jest nieco inna i brzmi tak: trzech meneli z krematorium zamordowało ośmiu studentów, ograbiło ich, a ciała spaliło w piecu. Wampiry z Odrzykońskiej, to tak ładnie brzmi. A dowody przeciw wam mamy pewne jak mury Kremla.

– Jak to? – wybełkotał Konus. – Panie władzo, jak to?

– Tak to, kurdupłu. Masz tutaj – podpisz zeznanie. Może przypieprzą ci mniejszy wyrok.

– Jakie zeznanie?! Jak pragnę zdrowia, panie kapitanie! Powiedziałem wszystko. To Seta zrobił fotki, nie ja!

– Podpiszcie, podpiszcie. Będzie dla was lepiej.

– Ale ja niczego nie zeznawałem...

– Uparciuszek – mruknął cicho Zieliński. – A to nieładnie. Nazwisko! – huknął tak gwałtownie, że karzełek omal nie spadł z krzesła.

– Ko... Konus.

– Prawdziwe imię i nazwisko! Nie jak wołają cię w chlewie.

– Janusz... Majewicz.

– No proszę. Karany?

– Tylko raz. Paragraf dwudziesty ósmy.

– A teraz będzie KS. Pod celą wydziergasz sobie na ramieniu marszałka.

Kurdupel spociał się, a Zieliński postanowił pomęczyć go jeszcze trochę, zanim dojdą do finału. To znaczy póki nie zawoła sierżanta Zyki i każe brać się do łol. Przecież po ostateczne środki Zieliński zawsze sięgał na samym końcu, nie jak Piotrowski, Pękala i Chmielewski z IV departamentu, którzy od razu ładowali klechów do worka, a potem kazali im spływać z prądem.

– Po co ich zabiliście? – uśmiechnął się przyjaźnie Zieliński. Wyciągnął w stronę małego paczkę z papierosami. – Dla szmalu? Dla blitu?

– Panie władzo... My nikogo! Nikogo! Jak pragnę zdrowia i mamę Kocham! Przecież to wy przywieźliście te ciała. Ja powiedziałem wszystko. To Seta robił zdjęcia, nie ja.

– Zlituj się nad sobą, człowieku! Do tej pory było ci u nas jak u mamy, ale teraz... Ty chyba nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, coście narobili. Przecież za ośmiokrotne zabójstwo dostaniesz czapę jak w mordę strzelił.

Konus zbladł. Zieliński uśmiechnął się z politowaniem.

– Ale jeśli się przyznasz, opowiesz dokładnie, jak zabijaliście tych studenciaków i ile w

tym było roboty twoich kumpli, może sąd weźmie to pod rozwagę. Nasz sąd.

– Ja jestem niewinny! – zaszlochał Konus.

– Nie ma niewinnych. Nie w tym kraju. A przy okazji, w okolicy Filtrów zginęło kilku Ruskich. To też wasza sprawka?

Kurdupel zadygotał.

– Wiemy, że od pięciu lat grasujecie na Ochocie. Zabiliście Rosjan! Wiesz, co to oznacza?

Konus pokręcił głową.

– To znaczy, że będzie sądził cię sąd wojenny Związku Radzieckiego. Pojedziesz na Łubiankę w worku na głowie, tak jak Wałęsa, Kuroń i Michnik. Co ty wiesz o moskiewskim przesłuchaniu, gnido?

Więzień zbladł jeszcze bardziej. Zieliński uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie mówię, że cię wyciągnę. Ale jeśli okażesz skruchę, zarobisz parę latek w Białolece albo w Rawiczu, a to przecież nie Syberia. Musisz tylko powiedzieć, kogo i kiedy zabiliście. Wydać innych współników. A jak nie – no cóż, sąd dopierdoli ci krawat albo taką pajdę, że nie zobaczysz już słoneczka. Osiem trupów. Spalenie zwłok... Pamiętasz, kurduplu, jak było z Marchwickim?!

Konus zbladł, a Zieliński uśmiechnął się. Ten gnój zaczynał się łamać. Wszystko było na dobrej drodze.

– No to kto jeszcze był razem z tobą? – wysyczał Zieliński.

– Ja powiem... Napiszę, panie władzo... Wszystko napiszę.

Zieliński podsunął tamtemu kartkę i długopis. Potem podszedł do okna. Usłyszał za sobą szelest papieru. Gdy odwrócił się po chwili, Konus podał mu zmięty arkusz. Zieliński podniósł go z tryumfem, rozwinął... Na samym środku kartki widniał czerwony, kłujący w oczy napis:

Guwno pierdlony ubeku.

I nic więcej.

Zieliński zmiażdżył kartkę. A potem sięgnął do przycisku na biurku. Drzwi z lewej otworzyły się, weszli sierżant Zyka i Micewicz. Ich czarne, oksydowane pałki kołysały się w takt kroków.

– Rozbieraj się – rzucił Zieliński do Konusa.

– Może najpierw buzi?

– Ja ci, kurwa, dam buzi! Na rzęsach będziesz chodził! – ryknął Zyka.

Konus niezdarne zdjął skórzaną kurtkę, potem koszulę. Ubecy zarechotali na widok jego krzywego, trzęsącego się garbu, chudych żeber i powykręcanych kości. Zyka podstawił krzesło. Potem już z Micewiczem złapali ręce Konusa, posadzili złodzieja na krześle i jednym

szybkim ruchem zatrzasnęli mu kajdanki na dłoniach, przewlekając wcześniej łańcuszek przez poprzeczkę pod siedzeniem. Zyka włożył rękawiczki, Micewicz też.

– Uważajcie, żadnych śladów!

– Wy kurwy, pierdolone chuje ubolskie – zaskomlał Konus. – Katujcie, esesmańskie wyrodku.

Pierwszy cios odbił się głośnym echem po pokoju. Następny był już cichy, bardziej stłumiony. Zyka szybko się zmachał, zastąpił go Micewicz. Ten tłukł mocniej – był w końcu młodszy. Konus rzeził, na usta wystąpiło mu nieco krwawej piany. Gryzł oparcie krzesła, gdy Zieliński schwycił go za włosy i poderwał jego głowę do góry.

– Ty mordowałeś ludzi?

– A cmoknij mnie w koniec kutasa – wymamrotał Konus. – Ty spasiona świnię, ty kurwo, ty esesmanie...

Zieliński zmarszczył brwi. Puścił włosy Konusa i skinął na Zykę. Usłużny sierżant natychmiast podał mu lejek i małą gumową rurkę, a Micewicz wydobył z szafki bańkę z terpentyną. Konus patrzył na to wszystko i mrugał. Nie wiedział jeszcze, że już wkrótce ten widok okaże się dlań najstraszniejszy na świecie. Ale tego nie mógł przewidzieć. Tymczasem Micewicz poderwał mu głowę, a Zyka wsunął w usta rurkę zakończoną lejkiem...

Zieliński zapalił kolejnego papierosa.

8.

– Szukają cię – mruknął Kaczor. – Słyszałem, jak gadali w szczekaczce.

Odlewali się na zasyfioną ścianę w bramie tuż obok „Kolorowej”. Kaczor smarknął przez dwa palce.

– Mówili, że zamordowałeś kupę ludzi. Gadają o was „wampiry z Odrzykońskiej”. Tak samo jak kiedyś o Marchwickim. A Glacę zabrały psy. Katują go teraz na Rakowieckiej albo u Mostowskich.

– Nikogo nie zamordowałem. Kaczor, kurwa, znasz mnie dobrze.

– Wczoraj zrobili nalot na melinę Kokoszki. Nie jesteś bezpieczny na Brzeskiej.

– Potrzebuję bryknąć gdzieś w Polskę. Mam szmal. I fanty. Zapłacę.

– Zobaczymy, co się da zrobić. – Kaczor podciągnął rozporek. – Przyjdź tu wieczorem, może skombinuję jakiś kontakt.

9.

Na mecie powitał go chór stu zegarów, cykanie grubych polskich cebul, szmer ruskich czajek i wostoków. Herod, który za pięćset dolców przerzucał ludzi do RFN-U i Austrii, był zegarmistrzem, co oznaczało, że skupował hurtem i na pniu złodziejski plon doliniarzy przemykających w sztucznym tłoku warszawskich tramwajów i autobusów. Seta nie raz i nie dwa sprzedawał u niego cymy i sikory, blitne fingle i portfele wydobyte z przepastnych karmanów, toreb, zdarte i zwinięte z rąk, palców, a czasem zabrane razem z dłońmi i paluchami sowieckich żołdatów.

Heroda nie było za ladą, więc Seta rozejrzał się po warsztacie smętym jak grobowa krypta. Zegary cykały jak świerszcze, jeden dzwonił, inny wygrywał właśnie melodyjkę na kurantach.

– Herod? – zapytał półgłosem Seta. Nikt nie odpowiedział, mógł gadać sobie zdrów do stu dwudziestu kilku cyferblatów i wskazówek. – Herod?

W chórze zegarów usłyszał coś, co nie pasowało mu do gromadnego cykania. Cichy, złowieszczy skrzyp. Podłoga? Czyżby paser był na zapleczu?

Seta nie mógł czekać. Przeszedł za ladę, uchylił drzwiczki prowadzące do warsztatu Heroda.

Skrzyp był głośniejszy, rozlegał się bliżej.

A Seta już wiedział, co to znaczy.

Zegarmistrz wisiał na haku po lampie zdjętej z sufitu. Kołysał się w pętli z paska od spodni, sztywny, napuchnięty, z sinymi worami pod oczyma. Na czole wyciętą miał kotwicę z literą P – znak Polski podbitej, ale ciągle walczącej. Na burym tureckim swetrze przyczepiono wymiętą kartkę:

Janicz Stefan, ur. 28 X 1922, Lwów

Zdrajca narodu polskiego

Tajny współpracownik SB. Nawiązanie kontaktu – 13 XI 1969, pseudonim operacyjny: Piłat

Wydał SB osoby: Komolowskiego Stanisława, Barykę Juliusza...

Seta nie czytał dłużej. Kotwica wycięta na czole zmarłego starczyła za wyrok. Kotwicz był tu wcześniej. Wpadł, zadławił starego zegarmistrza i zniknął, roztopił się w marcowym zmierzchu, nim na ulicach zdołały zabłysnąć milicyjne koguty, zanim rozszczeptały się psy i ubeccy tajniacy. A swoją drogą, Seta nigdy by nie przypuszczał, że Herod był ubecką kurwą. I zamiast przerzucać ludzi do RFN-U, wydawał ich czerwonym.

Co teraz zrobić? Jedynek człowiek, który mógł załatwić mu przerzut na Zachód, kiwał się na haku jak wahadło ratuszowego zegara. Seta rozłożył bezradnie ręce. Co zrobić? Dokąd iść?

Powoli narastała chęć, aby zaszyć się gdzieś na melinie, zrobić ze dwa skoki, oczyścić jakiś kwadrat, a potem położyć się brzuchem do góry i spijać gołdę.

Nie, nie mógł tego zrobić. Szukała go ubecja i milicja. W dzień i noc czerwone szczekaczki trąbiły tylko o wampirach z Odrzykońskiej, przepowiadając im karierę równą zaszczytom, które spotkały Marchwickiego. A portrety pamięciowe Sety wisiały bodaj na każdej poczcie.

Walnął pięścią w ścianę, aż skreśliło go z bólu. Znów napłynęło doń wspomnienie tamtej nocy. Pamiętał śmierć dziewczyny, nawet nie wiedział, jak się nazywała. Jak głupio, jak głupio skończyło się wszystko. Za co? Przecież pierdolił tę całą politykę równie mocno i głęboko jak starą raszplę z bazaru na Ząbkowskiej.

I nagle przypomniał sobie słowa umierającej. „Ostrzeż ich, proszę. Anin, Zielna 7”. Może to było jedyne, co jeszcze zostało do zrobienia?

10.

Willa w Aninie wcale nie wyglądała jak kwatera główna Solidarności. Seta przyglądał się niewielkiemu drewnianemu domkowi otoczonemu ogródkiem z rzędem bezlistnych topól. Obejrzał mały składzik na tyłach budynku i niski płotek okalający posesję. Nie słyszał pracującego powielacza, a z drzwi na werandzie nie wychodzili kurierzy ani młodzieńcy ukrywający pod płaszczami odbezpieczone steny. Zupełnie nic, spokój i cisza. To miała być kryjówka Kotwicza? Śmiechu warte.

Minęła długa chwila, nim ruszył ku furtce. Nie wiedział, co powiedzieć ludziom, których spotka w środku. O czym nawijać? A może o zamordowanych studentach przywiezionych nocą do kostnicy? O sobie? O Konusie? Chyba powinien powtórzyć im słowa dziewczyny i zniknąć.

Furtka nie była zamknięta, więc wszedł na werandę. Zadzwoił. Przez długą chwilę nikt nie odpowiadał. Wreszcie szczęknął zamek i drzwi uchylły się nieco. W szparze dostrzegł młodą, ciemnowłosą dziewczynę. Uśmiechnął się niepewnie.

– Dzień dobry. Mam coś wam przekazać.

– Nam to znaczy komu?

– No... Solidarności.

– Co pan opowiada? – Dziewczyna drżała zaniepokojona, Seta czuł, że źle rozegrał tę partię. Zresztą wcale jej się nie dziwił. Jego poszczerbiona gęba nie budziła zaufania. – Pomyłka – głos jej się lekko załamał. Zatrzasnęła szybko drzwi. Usłyszał potem oddalające się śpiesznie kroki. Potem jakieś szepty. Zastukał znowu.

Tym razem czekał dłużej. Dziewczyna nie była już sama. Obok niej stał wysoki, szczupły mężczyzna. Seta ocenił go na dwadzieścia parę lat. Nieznajomy spojrzał nieprzyjaźnie na nieproszonego gościa.

– Czego pan chce?

– No dobra. – Seta przestąpił z nogi na nogę. – Hasło czterdzieści cztery... Nie jestem ubeckim kapusiem. Wiem, co stało się z waszymi waflami z uniwerku. Sam wsadzałem sztywniaków do pieca. Ubecy ich zamordowali, a wcześniej katowali jak gestapo. Mam dowody.

Mężczyzna spojrzał na dziewczynę, ale ona wpatrywała się w Setę przerażona.

– Jedna z waszych, znaczy Anita... Kazała przekazać, że sypnęła Kotwicza. I żebyście uciekali.

Zapadła cisza.

– Mogę wejść?

Cofnęli się odruchowo. Seta wszedł do przedpokoju. Nie wpuścili go dalej, ale i tak przez uchylone drzwi do salonu zobaczył aż za wiele. Najpierw usłyszał stukot. Potem dostrzegł jakiegoś młodziaka w okularach przy maszynie do pisania, potem drugiego przy kolejnej. Na szerokim stole królowało dziwne urządzenie wypływające długie i szerokie taśmy papieru. Na ścianie wisiało godło Solidarności, w głębi stały jakieś skrzynie.

Młodzieniec wbił w Setę błędny wzrok.

– Skąd znasz hasło?! Gdzie jest Anita?! Szukamy jej od... Nie wiem od kiedy!

– Ja jestem, kurwa, zwykły praski złodziej. A robię na Odrzykońskiej, w kostnicy. Przedwczoraj w nocy ubecy przywieźli całą ciężarówkę sztywnych. Tam były różne ciała... Jedna dziewczyna, taka długowłosa laska, jeszcze żyła. Kazała... Kazała przekazać pod ten adres, że sypała na torturach... Wpakowała was na mukę. Mówiła, żebyście ostrzegli Kotwicza.

– Anita! – krzyknęła dziewczyna. – Jezus Maria, co się z nią stało?!

– Przyszli ubecy... Zabili... Potem kazali spalić ciała.

Seta patrzył na młodego, widział, jak tamten chwycił się za głowę. Dziewczyna wybuchnęła płaczem, szlochała rozdzierająco, wsparta na ramieniu swego towarzysza.

– Niech pan wejdzie – powiedział tamten, odsunął się i wpuścił Setę do pokoju. Tutaj złodziej zobaczył znacznie więcej. Najpierw dwóch młodziaków, tak na oko po jakieś szesnaście wiosen, którzy przeglądali długie wstęgi papieru i zaznaczali dane czy liczby. Inni... Seta nie miał zielonego pojęcia, co robili, bo jak określić pracę przy czymś, co wyglądało jak mały zielony telewizor postawiony na skrzynce z wąską szparą z przodu, połączony z dziwną, płaską maszyną do pisania. Co to mogło być? Z trudem przesyłabizował niebieskawy napis na skrzynce.

– IBM PC XT? Komputer? To teraz takie małe były?

Od większej skrzynki odchodziło wiele kabli – jeden wiódł wprost do telefonu.

Dziwnego, bo jego słuchawka wetknięta była w jakąś skrzynkę, jakby to urządzenie mogło gadać przez telefon. Czego to, kurwa, ludzie nie wymyślą!

Rozejrzył się po lokalu – dwóch młodziaków pakowało stosy papieru do kartonowych pudeł. Stary, zgarbiony dziadek z białym wąsem przywodzącym na myśl ostatniego legionistę Piłsudskiego wyglądał przez okno.

– Anita nie żyje! – niemal wykrzyknął mężczyzna, który otworzył drzwi Secie. – Zgarnęli ich z uniwerku, zawieźli do SB, torturowali i rozwalili w piwnicy. Ciała spalili w Trupiarni Jaroszewicza.

Wszyscy natychmiast oderwali się od swoich zajęć. Jeden ze studenciaków wypuścił z rąk plik papierów. Seta podniósł jedną z kart. To była lista... Długa lista nazwisk:

0866/435 KONARSKI JAN, ps. op. Wieniawa

01024/166 KONARSKI JULIUSZ, ps. op. Baruch, NJW 02/227

0125/198 KONARSKI JÓZEF, ps. op. Futryna, KBW, OP 334.1

01928/1909 KONARZEWSKI JULIAN, ps. op. Kwinto, NN 45/67 AB

Do diabła, to była tajna lista agentów SB wykradziona z ubeckich archiwów. Jak? Jakim cudem? Skąd oni to mieli?! I, do diabła, gdzie był sławny Kotwicz? Seta chętnie przybiłby mu piątkę. Nie miał też czasu, by czytać dalej, bo wszyscy skupili się wokół niego. Chciał splunąć, ale się pohamował. Ślina napłynęła mu do ust, ale nigdzie nie było soplawczki.

– Mów, człowieku, co się stało!

– Gadałem już wszystko. Przedwczoraj rabotałem na nocnej zmianie w kostnicy przy Odrzykońskiej 2. Przykitrali do nas ubecy ze starem. Targali osiem ciał. Wszystkie zabite strzałami, po torturach. Musieli, gady, najpierw sprawić im łomot, a potem rozwalić. Ja jestem stary pener, nie peniajcie, że tak gadam.

– A niby dlaczego – zapytał ten wysoki – mamy ci wierzyć?

– Mam dowód. – Seta wyciągnął film z kieszeni. – Zrobiłem zdjęcia. Obejrzyjcie sobie.

– Wiedziałem – mruknął jeden z tamtych. – Korab mi mówił, że na uniwerku była strzelanina, kiedy rozpędzali marcową demonstrację. Potem zwinęli wszystkich, cały komitet młodzieżówki. Anita i pozostali musieli się tam zaplątać... Zgarnęli ich do jednego worka! Jasny szlag!

– Trzeba zawiadomić Karola.

Dziewczyna, jedyna w tym towarzystwie, szlochała cicho. Wszyscy pochylili głowy.

Nagle okna prowadzące na zarośnięty ogród rozpadły się z trzaskiem. Seta nie zdążył uczynić kroku, gdy do pomieszczenia wpadli żołnierze w łaciatych mundurach, z kałuszami w dłoniach. Nie padł ani jeden strzał. Wszystko odbyło się szybko i sprawnie. Wysoki mężczyzna, ten sam, który wpuścił Setę do domu, rzucił się jeszcze ku drzwiom prowadzącym do sąsiedniego pokoju, ale uderzony kolbą w łeb padł na posadzkę, a wokół

jego głowy poczęła się tworzyć ciemna kałuża krwi.

Seta nawet nie mrugnął, gdy znalazł się na podłodze, przetoczył się na wznak, przesunął rękę z filmem na plecy. I zanim wepchnięto mu lufę kałasznikowa pod gardło, z wysiłkiem wsunął film do odbytu. To był stary więzienny sposób. Miał nadzieję, że i teraz zadziała. Pozwolił potem bez oporu podnieść się z podłogi i zatrzasnąć na rękach kajdanki. To było nawet znajome uczucie. Aż zarechotał, udając, że ma łaskotki.

– Co wam tak wesoło?!

Od wejścia szło już dwóch cywilów. Na kilometr śmierdziało od nich ubecją. Secie od razu zrobiło się chłodno, bo byli to starzy znajomi z kostnicy. O kurwa zajebiaszczą mać! Oby go nie poznali!

Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy zasalutował.

– Wsio charaszo, towariszcz komandir.

Pierwszy ubek zlustrował zatrzymanych. Spojrzał na dziwaczne maszyny do pisania, na godło Solidarności na ścianie, kotwicę, ulotki, uśmiechnął się krzywo.

– Gdzie jest Kotwicz? Gdzie Kotwicz, pytam?!

– Wyszedł minutę temu, ubeku – mruknął jeden z młodziaków, którego właśnie oderwano od klawiatury. Nie mówił prawdy. Przecież Seta pamiętał dobrze, że nikt nie wychodził od dłuższego czasu.

– Gdzie jest Kotwicz?! – wrzasnął wyższy. – Gadać, bo was tu, kurwa, wszystkich wystrzelam!

– W twojej dupie!

Rozwścieczony ubek walnął młodziaka hakiem w żołądek. Poprawił w szczękę, aż chrupnęły zęby. Miał bydlak parę w łapach i wieloletnią wprawę.

Niższy z uboli podbiegł do niego ze stosem papierów.

– Grzesiu, cho no! Patrz tutaj. – Podtykał kumplowi pod nos listę agentów. – Tu i tu...

Wyższy gwizdnął przeciągle. A potem powiódł zdumionym spojrzeniem po pokoju i sprzętach.

– Skąd to macie?! – głos mu się załamał, kiedy potrząsał plikiem wydruków. – Skąd wytrzasnęliście kartotekę?! Naszą listę... kontaktów?

– Książd Popieluszko z nieba przyniósł – rzekł pobity młodziak, sepleniąc nieco przez wybite zęby.

Pilnujący go ruski żołdat bez słowa zdzielił młodego kolbą w kark. Ubek przyskoczył do dziewczyny, uderzył ją po twarzy wydrukami.

– Skąd to się tu wzięło?! Skąd – pytam?! Jakim cudem?

Dziewczyna milczała. Uderzył ją pięścią, raz, drugi, aż z rozbitego nosa pociekła krew.

– Czekaście, ja z was wyduszę wszystko! Wy amerykańskie pierdolone kurwy. Wy kundle Reagana! Do wszystkiego się przyznacie! Wszystko powiecie! Jak Jezus Chrystus winy na siebie weźmiecie.

Nie musiał ich przesłuchiwać. Niższy z ubeków zakrzyknął się koło dziwacznych maszyn, szarpnął za kabel, pociągnął, podniósł pudełko, w które wciśnięta była słuchawka telefoniczna.

– Kurwa twoja mać! – zakrzyknął. – Podłączyli się nam do systemu!

– Włamali – mruknął któryś z aresztowanych.

– Ale jak?

– Urzędy wojewódzkie – zapiszczał cienko niższy – przekazują raporty do serwera przez telefon. Musieli przechwycić transmisję. Chyba? Zdaje mi się?

– Jak to zrobiliście?! Jak to w ogóle możliwe?

– Jesteście sto lat za Albanią, ubeku! – warknął jeden z zatrzymanych. – Obejrzyj sobie film „Gry wojenne” Brodericka. Co, nie puszczałeś tego na szkoleniach?

– Przecież system – zapiszczał płaczliwie tajniak – jest zabezpieczony!

– Jak cnota twojej córki.

– Kurwa, nie mam córki!

– Było stawiać serwer na Makach.

– Makach? Co ty pierdolisz o narkotykach?! Zanotuj to, Micewicz – jęknął ubek, zapominając nawet o biciu. – Zanotuj wszystko! Ja was, kurwa, wyślę do Permu! Ja was, kurwa, zrobię na szaro i fioletowo! Gdzie Kotwicz? Dostaniecie czapę za ukrywanie mordercy!

– Nie ma żadnego Kotwicza.

– Gówno prawda! Przeszukać dom!

Sowieci w panterkach rzucili się, by wykonać rozkaz. Zaszeleściły wyrzucane z półek papiery. Wiedzieli, jak zabrać się do rewizji. Wytrząsali książki, zerwali ze ścian makaty. Jeden wspiął się na krzesło i gmerał przy żyrandolu. Niespodziewanie któryś gwizdnął. Pozostali spojrzeli w jego stronę. Oderwał szeroką listwę przy ścianie, odsłaniając przemyślny schowek, i teraz wyrzucał zeń pistolety, magazynki, lufy i rozłożone części karabinów. Twarze jeńców zbieleły. Sam Seta poczuł chłód w sercu.

– Próba zbrojnego zamachu na ustrój państwa ludowego – wybełkotał ubek. Nawet on był pod wrażeniem. Zdjął czapkę i przesunął ręką po spotniałym czole. Spuścił wzrok.

– Zabrać ich!

Pomiędzy wyrzucanymi ze schowka częściami broni błysnęło coś małego, matowego. Stary, zgarbiony dziadek wysunął się pomiędzy zatrzymanych, przypadł do stosu broni.

– Kuda ty?! – mruknął jeden z Ruskich i bez namysłu zdzielił starca kolbą kałasznikowa. Staruszek opadł z jękiem na podłogę, ale wcześniej chwycił mały brązowy krzyżyk leżący między magazynkami. Krasnoarmiejec złapał zaciśniętą rękę starego.

– Zostaw, ścierwo bolszewickie, zostaw – wychrypiął starzec. Z ust ciekła mu krew. – To od marszałka, jeszcze w dwudziestym roku...

Krzyknął z bólu, gdy rosyjski komandos uderzył kolbą w jego zaciśnięte palce. Staruszek

zwinął się, płacząc, a wtedy poderwały go z podłogi mocne ręce żołnierzy. Z zaciśniętych, skrwawionych rąk wypadł mu mały złoty krzyż Virtuti Militari, potoczył się po dywanie między rozrzucone karabiny i magazynki do kałasznikowów.

– Nie bijcie, kurwy, starego! – prawie ryknął Seta. – Wy pierdolone chuję, esesmańskie wyrodkie. Pizdy lesbijskie!

Najbliższy z eskortujących żołnierzy uderzył go z zamachu w twarz. Seta aż padł na kolana, splunął krwią. Drugi Ruski poprawił kopniakiem w nerki, potem wspólnie z komandosem poderwali jęczącego Setę z podłogi, popchnęli ku drzwiom.

11.

Szybko i sprawnie zagnali ich do milicyjnej suki. Jednak Seta i zakrwawiony młodziak w okularach nie załapali się do środka. Rusczy wepchnęli ich do milicyjnego gazika. Młodziak płakał cicho, łzy spływały mu spod okularów.

– Nie becz, kurwa – mruknął do niego Seta. – Trzymaj się i na komendzie nie wsyp kumpli. Jak będą bili, wystaw głowę pod lolę albo zapierdol łapą w szybę – wtedy powiozą cię do szpitala.

– Zabiją nas... Zakatują.

– Nie peniaj. Kotwicz uciekł. Nie dostali go, kurwy babilońskie.

– Nie było żadnego Kotwicza. Kotwicz... to my.

– Morda w kubę, bandyto – syknął jeden z milicjantów, na szczęście Polak. Gdyby wyglądał pięknie i młodo, można by rzec, że tak jak sławna aktorka Maria Wisnowska puszczał się z Moskalami. Ale ponieważ był stary, łysy i siwy, więc wysługiwał się Ruskim jak ostatnie kurwiszczce. – Bo zapierdolę!

Ruszyli. Seta milczał, ale wszystko kłębiło mu się w głowie, myśli zasuwały jak szalone, bez sensu, bez związku. Jedno było pewne – skrewił na całej linii. Spóźnił się z tym wszystkim. Gdyby od razu pojechał do Anina, zdołałby ostrzec tych z Solidarności. Spierdolił całą sprawę. Przez niego wszyscy trafili w brudne łapki ubecji!

Jechali przez Warszawę. Najpierw Płowiecką, potem Grochowską. Wcześniej milicyjna nyska przed nimi zakręciła w lewo, w Ostrobramską. Seta domyślił się, że pewnie pojechała wprost na Rakowiecką albo do Mostowskich, do Komendy Głównej. Dokąd jednak zabierali jego? Może na Białolekę? Ale było mu już wszystko jedno. Seta czuł tylko, że dokoła robi się coraz zimniej. Pamiętał, że takie uczucie ogarniało go zawsze w więzieniu, gdy zaprawiał kotwicę na ostro albo ciął sobie żyły. To samo co wtedy... Teraz nie był już sobą, wiedział, że gdyby tylko chciał, mógłby krajać się na kawałki.

Samochód skręcił w Targową, przejechał pod mostem kolejowym. A wówczas Seta poczuł, że jeszcze chwila, a oszaleje.

– Ty kurwo, pierdolony ubeku! – wysyczał do siedzącego obok mężczyzny. A potem jak błyskawica złapał go za gardło, ścisnął jak w żelaznych kleszczach. Esbek zakrztusił się, zacharczał. Ktoś krzyknął, samochód zahamował, siedzący z tyłu tajniak wyciągnął pistolet, ale nie mógł nic zrobić w kotłowaniu ciał.

– Hamuj! – wrzasnął do kierowcy.

Seta pochylił się jeszcze bardziej. Ubek szarpnął się, rzucił w tył, a wówczas drzwiczki gazika otworzyły się. Wypadli na zewnątrz, potoczyli się po mokrym asfalcie. Seta usłyszał tuż obok siebie świst kuli. Poderwał się zatem i rzucił przez skrzyżowanie w stronę rogu Brzeskiej i Kijowskiej.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon. Zieliński wyskoczył z drugiej strony, łapiąc za służbową tetetkę. Zapadł już zmierzch, w strugach deszczu ledwie widział uciekającego Setę. Strzelił raz, drugi, trzeci. Wszystkie kule chybiły celu.

– Micewicz! – ryknął w stronę gramolącego się na kolana porucznika. Obejrzał się na dwóch komandosów z pododdziału Ałganowa.

– Za mną!

12.

Na Brzeskiej panował mrok, było pusto i cicho, porozbijane latarnie nie świeciły. Zieliński spojrzał na stare rudery z czerwonej cegły po obu stronach jezdni, na ciemne, ślepiące nań ze wszystkich stron okna. Poczul dreszcz i splunął z obrzydzeniem. Musiał dostać tego gościa. Tylko gdzie wsiąkł ten cholerny bandyta? Pewnie wskoczył do bramy Ale do której?

Zieliński skinął na Micewicza, gestem pokazał mu drugą stronę ulicy i majaczącą w mroku bramę. Porucznik i towarzyszący mu komandos szybko skoczyli na drugą stronę Brzeskiej, roztopili się w mroku. Zieliński wbiegł do pierwszej z bram. Tuż za nim wsunął się drugi z Ruskich z odbezpieczonym kałasznikowem. Kapitan znów zadrżał mimowolnie. Wiedział, że nie powinien pakować się w te ulice, zwłaszcza mając ze sobą tylko jednego człowieka.

Przeszli przez ponure, zaśmiecone podwórko. Gdy zerknął w górę, ponad poszczerbionymi dachami kamienic dostrzegł czarne niebo. Czuł się tak, jak gdyby biegł po dnie ogromnej, ponurej studni. Usłyszał gdzieś z boku tupot kroków i rzucił się w tamtym kierunku, chwytając oburącz tetetkę. Wyminął wrak rozbitej syrenki, wpadł w wąskie

przejście wyrąbane w murze. Pędził dalej. Gdzieś z przodu usłyszał brzęk szkła, jak gdyby ktoś biegnący przed nim (zapewne uciekinier) potracił pustą butelkę. Zieliński był już pewien. Miał go!

Gnał co tchu. Z wąskiego przejścia pomiędzy dwoma rozpadającymi się domami wypadł na następne podwórko. Z jednej strony był mur nieczynnej fabryki, stare, zniszczone zabudowania straszyły czarnymi otworami po wybitych oknach. Z drugiej widniała sterta węgla. Zieliński usłyszał skrzyp i trzask – w wejściu do klatki schodowej chwiały się wypaczone drzwi.

Zieliński i towarzyszący mu Ruski wbiegli do środka. We wnętrzu, ledwie widocznym, brudnym i śmierdzącym szczynami, kapitan dostrzegł od razu pnące się stromo w górę schody. Usłyszał jeszcze echo dalekiego tupotu stóp, więc pomknął jak zając po trzeszczących stopniach. Komandos popędził za nim.

Ten dom miał tylko dwa piętra. Na drugim Zieliński dostrzegł długi korytarz, zakończony przejściem do drugiego budynku. Omal nie upadł, cuchnęło tu jak na dnie kloaki. Z prawej strony mijał co jakiś czas okrągłe, zbutwiałe okienka wychodzące na podwórze, z lewej drzwi do mieszkań, a co jakiś czas wspólne łazienki – ponure, mroczne czeluście jaśniejące bielą rozbitych kafelków, przesycone pluskiem wody wypływającej z potrzaskanych rur. Z jednej z takich nor wytoczył się nagle jakiś gruby człowiek. Zieliński omal nie wrzasnął, widząc jego oblicze. Lewa połowa twarzy tamtego była nienaturalnie spuchnięta, dwa razy większa od prawej. Spomiędzy popękanych warg wystawały rzadkie zęby. Nieznajomy chciał przegrodzić wąskie przejście, ale Zieliński skierował w jego stronę lufę pistoletu, a wówczas tamten cofnął się zaskoczony.

Mężczyźni popędzili dalej. Ruski omal nie wyłożył się w wilgotnej kałuży rzygowin. Zieliński skoczył na wąskie schodki prowadzące w dół. Strącił z nich kopniakiem jakiegoś pijaka, który laził w górę na czworakach. Przystanął, widząc, że jest na następnym podwórzu. Rozejrzał się dokoła. Zewsząd otaczały go gnijące domy, ceglane ściany, sterty śmieci, wraki samochodów, strome dachy przedpotopowych kamienic, odór ścieków, mdła woń rzygowin i rozlanego bimbrow. Brzeska była wszędzie, nawet we włosach czuł lepki odór zgnilizny.

Ale wciąż słyszał kroki uciekającego. Popędził dalej, w głąb wilgotnego, lepkiego labiryntu ze starych murów, deszczu i mgły. Wpadł do ciemnego wnętrza, potem do korytarza, w przejście między domami. Przeskoczył oślizgły mur i znalazł się na jakimś małym podwórzu. Rozejrzał się zdezorientowany, ale niczego nie dostrzegł. Toczył wzrokiem dokoła, podszedł wolno do rozwalonego śmietnika. I wtedy właśnie poczuł dziwny, mdły i słodkawy zapach ścieków. Nieopodal, o kilka kroków od niego, znajdował się otwarty właz do kanału. W słabym świetle Zieliński wyraźnie widział unoszące się nad nim wilgotne opary.

I wtedy poczuł lęk. Aż zadygotał, pierwszy raz w życiu bał się tak strasznie, tak szaleńczo. Uniósł dłoń z pistoletem, a wówczas jakiś cień przemknął za jego plecami. Coś drewnianego, ciężkiego uderzyło w głowę kapitana. A potem nie było już nic, tylko cisza,

ciemność i deszcz.

13.

Igor Zamordcew wpadł na podwórko ledwie chwilę później. Rozejrzył się po mrocznych domach i zamarł, bo nigdzie nie widział komandira. Chciał zawołać, ale wstrzymał się, gdy uświadomił sobie, w jakiej części Warszawy przebywa. To właśnie tutaj znajdowano zmasakrowane ciała zabitych Sowieców. Igor spojrzął dokoła, zatrzymał wzrok na zamkniętej klapie do kanału ściekowego, zajrzał do śmietnika, do najbliższej klatki schodowej, ale po kapitanie nie było ani śladu. Nagle wyteżył słuch, bo gdzieś obok w bramie usłyszał warkot motoru. Skoczył w tamtą stronę. Wypadł z ciemnego przejścia na jeszcze mroczniejsze podwórko i zobaczył starą nyskę podjeżdżającą tyłem do klatki schodowej. Przy samochodzie stało dwóch mężczyzn – jeden w ciemnym płaszczu, z czarnymi włosami wymykającymi się spod płaskiej czapki, drugi mniejszy, w skórze, jasnowłosey. Igor spojrzął na nich, coś mu się nie zgadzało. Przecież była godzina milicyjna. Ci dwaj powinni siedzieć w domu.

– Ech, wy skatiny! – wykrzyknął Zamordcew i przypadł do tamtych. – Ruki wwiorch! – zawołał, mierząc z kałasza do jasnowłosego.

Tamci dwaj spojrzeli na niego zdziwieni. A później wszystko stało się tak szybko, że Igor nie zdołał nawet zgiąć palca na spuście. Długowłosey rozchylił poły płaszcza. Zamordcew zobaczył tylko przez chwilę wymierzone weń dwa czarne oczka luf obrzyna.

Wilgotny bruk dotknął jego pleców. Ze zdziwieniem zobaczył wirujące wokoło czarne i czerwone plamy. Tamci dwaj podeszli bliżej; pojawił się i trzeci – długowłosey, pyzaty, w czarnym płaszczu. Zaciągnął się schowanym w dłoni papierosem.

– To Ruski!

– Dokończ go, Kaczor.

– Mam lepszy pomysł.

Igor poczuł, że ciągną go w stronę bramy. Zostawiał za sobą sporą smugę krwi. Gdzieś w głębi brzucha narastał ból tak straszny, że chciało mu się wyc... Ale nadal nic nie pojmował.

Zrozumiał wszystko, gdy zawarczał silnik furgonetki. Leżał na lewym policzku i chciał krzyczeć, kiedy zobaczył zbliżającą się doń nyskę, ale nie miał sił. Wypluł tylko nieco krwi i wybełkotał jakieś niezrozumiałe, rozpaczliwe, cisnące się na usta słowa...

14.

Słodkawy odór ścieków zbudził Zielińskiego z omdlenia. Kapitan nie wiedział, gdzie jest. Poruszył rękoma, a wówczas poczuł, że są skrępowane na plecach, związane grubym, wrzynającym się w ciało drutem. Palce miał zupełnie zdrętwiałe. Usta, język i gardło były opuchnięte, tętna na skroniach waliły jak stachanowskie młoty. Dopiero później zorientował się, że wisi, powieszony za nogi w dużym tunelu. Usłyszał plusk płynącej pod nim wody, owionęły go wiotkie, wilgotne opary. Wówczas domyślił się, że jest w kanale ściekowym. Zobaczył śliskie od osadu, pokryte zielonymi plamami ściany.

Gdzieś z boku było źródło światła – ostatnia, zapomniana żarówka w tej części Warszawy. Kapitan dostrzegł kilka włochatych, ruchliwych plam. Szczury, pomyślał z obrzydzeniem. Zakrztusił się własną śliną, o mało nie zwymiotował. Wisiał, dysząc ciężko. Nie wiedział, kto go tak załatwił. Może to po prostu zgrywa praskich meneli? Jakkolwiek by było, pozostawało mu tylko jedno: czekać. Zieliński wierzył, że rozpoczęto już poszukiwania, że lada chwila w kanale pojawią się chłopcy z SB albo sowieccy bojcy po raz kolejny udziela mu bratniej pomocy.

Spróbował uwolnić się z więzów, ale drut był tak ściśnięty, że przy każdym, nawet najmniejszym ruchu dłoni wrzynał się w ciało. Udało mu się tylko rozbijać linę, którą obwiązane były jego nogi. I wówczas jego wzrok padł na jakiś ciemny kształt kołyszący się tak jak on na linie tuż obok. Zieliński zamrugał zażawionymi oczyma. Długi toból miał ludzką twarz. Kapitan wyraźnie widział dwie czarne jamy w miejscu wylupionych oczu i szeroko rozwarłe usta. Widział rozdartą klatkę piersiową tamtego, czuł coraz silniejszy zapach zgnilizny, mieszający się z odorem ścieków, w otwartych do krzyku ustach widział ślad po obciętym języku, wydarty nos, wywleczone trzewia. Trup przyodziany był w brudny, wilgotny mundur żołnierza Armii Czerwonej...

Zieliński nie mógł uczynić nic. Chciał krzyczeć, ale obrzmiały język stawał mu kołkiem w ustach. Jedyne, co mu jeszcze pozostawało, to wisieć, kołysać się i czekać, aż zostanie znaleziony.

Z tyłu poruszył się jakiś kształt. Zieliński widział tylko zamglony, niewyraźny cień, zbliżający się powoli, ale nieubłaganie. Zobaczył wyciągniętą w swoją stronę rękę z czymś kolistym zakończonym, z cieniem sierpa, ale bynajmniej nie był to sierp z flagi ZSRR.

A potem coś dotknęło jego czoła. Zawył, kiedy poczuł ból rozcinanej skóry. Darł się jak opętany, gdy zrozumiał, co takiego wycina mu się na czole.

Kotwica.

Znak mordercy.

– Kotwiiiiiiicz! – zakrzyknął, szamocąc się na sznurze jak obdzierany żywcem ze skóry królik. – Pokaż się, skurwysynu! Chcę widzieć twoją twarz!

Z półmroku wychynęło brodate, poznaczone bliznami, spuchnięte oblicze zarośniętego

menela.

– Ty jesteś Kotwicz?! Zabijałeś naszych ludzi... Wymykałeś się grupie pościgowej? Milicji? Nam?

– Ja jestem Kotwiczem – wycharczał obszarpaniec. – Jest nas więcej. Myśleliście, że ścigacie jednego człowieka, a on był w wielu osobach. Imię jego legion, ubeku.

– Jak to legion? Co ty pierdolisz? To jakaś banda? Organizacja?

– Patrz, ubeku, póki jeszcze możesz.

Menel miał rację. Było ich więcej. Szli korytarzem, ciągnęli z mrocznych zakamarków. Młodzi i starzy, piękni i brzydzy. Ci w powyciąganych swetrach i ci w wojskowych kurtkach. Studenci i robole.

– Nie znajdziesz odpowiedzi w dialektyce marksistowskiej – wycharczał Maksio. – Zwij to, jak chcesz, widmem narodowym lub Królem-Duchem. Szukaliście jednego, a zabijali wszyscy ci, którzy dowiadywali się, że ten czy inny zdrajca wydawał wam ich bliskich. A jedno, co ich łączyło, to krwawe kotwice Polski Walczącej. I Solidarność, co wykradała wam dane z systemu. Ludzie – wyszeptał wprost do ucha Zielińskiego cuchnącym, rwącym się szeptem – mają was dosyć. A że chroni was Armia Czerwona, więc zabijają was wszystkich po kolei. Bo naród już nie chce być baranami wiedzionymi na rzeź. Bo już rozumiał, że wykrwawi się w kolejnym powstaniu. Kotwicz to największa, najtajniejsza tajemnica narodowa, której nigdy nie poznacie. Kotwicz... to wszyscy Polacy. A teraz módl się.

Tamci zbliżali się powoli, nieśpiesznie. Dwóch starych dziadków pchało wózek ze sparaliżowaną, wykrzywioną dziewczyną okrytą szarym pledem. Obszarpany dziad kuśtykał o kulach. Młody student szedł z siekierą w ręku. Obok dreptało małżeństwo z dzieckiem. Ci wszyscy szarzy, chorzy, zmęczeni tak jak cały kraj ludzie maszerowali obok siebie niczym w pierwszomajowym pochodzie. Ci z dziurami od kul ubeków i z rękami skrepowanymi na plecach drutem. Zabici strzałem w tył głowy i zadławieni na szubienicy w więzieniu na Mokotowie. Ci z Katynia i z Miednoje, z Charkowa i Kalinina, Kijowa i Mińska... Z Kuropat i Kampinosu, dokąd wysyłał samochody pełne trupów.

Kapitan wiedział, że ma mało czasu. Wszystko, co przeżył, całe jego życie, przemykało mu przed oczyma. Teraz już nie liczyła się partia ani praca. Zieliński przypomniał sobie, jak kiedyś w rodzinnych stronach widział swego ojca w jarmułce odmawiającego modlitwy w kieleckiej bożnicy... Przypomniał sobie dawno zapomniane hebrajskie słowa, ale już nie zdążył ich wyszeptać.

Przerażający, zwierzęcy skowyt wstrząsnął ścianami kanału ściekowego.

Pięć metrów ponad wrzeszczącym Zielińskim ulicą Brzeską przejechał wolno sowiecki BTR. Kierowca i załoga może nawet usłyszeliby krzyki kapitana, jednak wcześniej kupili na mecie wódkę u starego Legionisty i teraz tego pociągali z flaszek. O tym, że kupili metyl, przekonali się dopiero w kilka godzin później.

15.

– Mówię, kurwa, że to będzie się opłacać.

– No, no, zobaczymy jeszcze – wychrypiął Gumiś. – Mam nadzieję, że gadasz prawdę. Wydaliśmy kupę szmalu, żeby przykitrać ciebie na melinie.

– Spoko, spoko, przerzucicie mnie tylko na Zachód, zobaczycie. Zaraz dam to jakieś agencji prasowej. Dostaniecie kupę forsy.

– Oby – dorzucił z drugiego krańca stołu Komsomoł.

Drzwi od ciemni otwały się ze skrzypem. Stary Nocuj zmrużył nienawykłe do światła oczy, wbił spojrzenie w Setę.

– Ty, kurwa, na tej kliszy nic nie ma.

– Co takiego? – Seta poderwał się z krzesła. – Jak to?

– Czegoś, kurwa, bajerował, że tam są dowody na ubeków. Czegoś, kurwa, kazał się przerzucać do Berlina. Poszło na to dwa tysiące zielonych. Popatrzcie. – Rzucił na stół matowy jak wąż film. Seta zamarł. Klisza była czarna, jakby prześwietlona.

– Ty, kurwa, co to ma być? – zapytał Gumiś.

– Wstawiałeś nam, Seta, zwykły bajer. Mówiłeś, że to jest film warty kilkaset kawałków.

A teraz szukaj wiatru w polu!

– Kurwa! Tyle kasy od nas wyciągnąłeś!

– Tu chuju! Ty cwelu pierdolony!

– To niemożliwe!

Klimek strzelił Setę krótką piryda w szczękę. Seta uchylił się, jak błyskawica kopnął Komsomoła w krocze. Ten zwinął się z jękiem. Stół, potrącony przez Gumisia, przechylił się, zwałił z trzaskiem. Wszyscy trzej rzucili się na Setę. Osaczony rąbnął Gumisia w twarz, ale w tej samej chwili Nocuj przyłożył mu przez łeb łomem. Seta zamarł. A potem bardzo powoli osunął się na posadzkę.

Komsomoł skoczył do niego, kopnął w głowę. Aż zawył z wściekłości, a potem uderzył Setę obcasami, raz, drugi. Gumiś poprawił paroma kopami. Zatrzymali się nad ciałem Sety, drżący i spoceni.

– Tyle kasy – jęknął Nocuj. – Tyle kasy poszło!

– Zabrać go – warknął Kosmek.

Bez słowa powlekli bezwładne ciało Sety ku drzwiom.